

Maciej Głowacki

Odcienie Chołów

Projekt okładki: Maciej Woźniak

Korekta: Anna Dubec, Magda Jarzębska

Redakcja**:** Emilia Wyciślak

Łamanie i skład: Wojciech Dąbek

Wrocław 2020

„Czy naprawdę nie można mieć zarazem źródła i wzgórza idei i liścia
i przelać wielość bez szatańskich pieców ciemnej alchemii zbyt jasnej
abstrakcji”

Ścieżka, Zbigniew Herbert

Rozdział pierwszy: Podkuj buty

Kiedy wchodzisz do Lasu, przestajesz być sam we własnej głowie. Oprócz ciebie jest jeszcze intruz z obcego świata. Możesz mówić o nim bóg, przybysz albo halucynacja, ale nazwanie wcale go nie obłaskawi.

Intruz jest dla ciebie tak samo niepoznany, jak ty dla niego. Ma inny aparat pojęciowy, inne zmysły, urodził się w świecie innych praw. Fakt, że znajdujecie się w tym samym miejscu, wymaga od rzeczywistości, by ta szła na ustępstwa.

Świat w Lesie jest większy; możliwe, że dąży do nieskończoności. Las posiada niepoliczalną ilość pięter, które nakładają się na siebie, jak warstwy bardzo cienkiego sukna o wąskich okach. Czasami powąchasz kwiat, wprowadzisz do swojego organizmu cząstkę Lasu i on w zamian przepuści cię kilka warstw materiału wyżej. Zawsze jednak zostajesz z pytaniem: jak wrócę do domu?

Twój dom to kępka mchu na skraju Lasu, przewrócony, spróchniały konar, drobina pyłu na krawędzi cyklonu. Jednak ten dom jest też szyjką lejka, przez który musi przejść wszystko, co chciałoby się wydostać z Lasu, nawet bez twojej wiedzy i zgody.

Nie możesz ocenić Lasu. Ma on swoją moralność, która została ukształtowana w wymiarze tak niedostępnym dla twojego zrozumienia, że jakakolwiek próba poznania jest z góry skazana na klęskę. Możesz tylko przestrzegać nowych, wspólnych tradycji, odprawiać rytuały dla samego siebie i krzyczeć do szumiącego matecznika, by cokolwiek, co drzemie w jego sercu, wiedziało: jestem człowiekiem, a to moja pieśń, bo tylko bestie nie mają swoich pieśni.

– Chociaż i tak człowiek patrzy na to wszystko i nic nie rozumie, z pieśniami czy tam bez żadnych pieśni – odezwał się w końcu Krzysztof, klepnął w kolana i zaczął podnosić z fotela. – Lubię tak z panem porozmawiać, panie Drozd, od razu się człowiekowi w głowie lepiej układa.

Przez moment patrzyłem jeszcze w majestatycznie szumiący Las na granicy widnokręgu. Oddzielająca nas szyba i kilometr nieużytków wydawały się z tej perspektywy być parominutowym spacerem, ale ja wiedziałem, że to wyprawa na całe życie.

Wstałem powoli, tak by nie spłoszyć Chołownika. Ludzie, którzy regularnie chodzili do Lasu, często mieli tendencję do nerwowego reagowania na ruch. Zarzuciłem na siebie płaszcz, naciągnąłem na uszy czapkę i wskoczyłem w kapcie.

– Odprowadzę pana do drzwi, to przynosi szczęście – skłamałem z premedytacją.

Skoro mieszkańcy Chołów byli w stanie uwierzyć mi w kwestiach ich zdrowia i podróży przez Las, to warto by było to wykorzystać, by zakrzewić w nich nieco ogłady i kultury.

Wyszliśmy na ganek; Krzysztof wyjął papierosa, którego wcześniej skręcił, następnie gestem spytał, czy się poczęstuję. Pokręciłem głową na boki, niby lekko spłoszony; jemu wypadało spytać, mnie wypadało odmówić.

Wyjąłem w końcu swojego, zwiniętego ze znacznie mniejszą wprawą, odpaliłem i zaciągnąłem się powoli. Od razu rozniósł się mocny, energetyzujący od samego wąchania zapach jażyka, lokalnego pożytku.

– Myśli pan, że od tego potem… no, nie ten – machnął dłońmi Chołownik, jego twarz rozpromieniła się rubasznym przedśmiechem.

– Nie umiera się na raka? – zapytałem, czując, jak świat lekko wibruje, ale trzyma się swojego piętra.

– Nie staje.

– I to martwi pana bardziej? To, czy kuśka stanie, zanim zjedzą pana robaki?

– Mężczyzna ma swoje potrzeby – obruszył się niewiele starszy ode mnie autochton i zaciągnął zniecierpliwiony.

Palił zwykły tytoń, poznałem nie po zapachu, a po samej reakcji. Łatwo zauważyć, że ktoś ćmi papierosa, bo jest wtedy zwyczajnie zdenerwowany. Regularni palacze wmawiają sobie, że to ich odpręża, ale to jedynie redukuje lęk, który sami w sobie zaszczepili w pierwszej kolejności.

Spojrzałem znowu w kierunku Lasu. Nadal bałem się tego, że dom, który dostałem po nieboszczyku Romanie, stał najbliżej krawędzi światów. Mimo to nie umiałbym znowu żyć normalnie. Nie wiedziałbym, co ze sobą zrobić. Jak żyć ze świadomością, że tam za miedzą jest dosłownie wszystko, a po tej stronie nie ma absolutnie nic.

– Pan doktor dryfuje?

– Nie, chociaż czasem się łapię na tym, że jażyka nie należy mieszać z innymi pożytkami, bo człowiek może źle wyliczyć trasę.

– Opowiedzieć panu historię?

Wzruszyłem ramionami, ale po chwili obróciłem się do rozmówcy i grzecznie przytaknąłem. W końcu nie wypadało odmówić, gdy ktoś chce się czymś podzielić.

– Uczyłem syna szuflowania węgla…

– To znaczy, że po prostu kazał mu pan wnosić węgiel, co tu do nauki?

– Tylko mój Michał miał wtedy jedenaście lat, taki mały był. – Wskazał ręką Krzysztof i przypadkiem wypuścił papierosa z dłoni. Zaklął pod nosem, podniósł zwitek papieru i zaciągnął się szybko, by rozbudzić ogień.

– No i to był pierwszy raz, jak ładowaliśmy do zsypu, więc nie wiedział jeszcze, że to taka męcząca robota. Sęk w tym…

Na moment zamilkł, obaj spojrzeliśmy w kierunku ogrodzenia. Gdzieś na granicy słyszalności zabrzmiał bardzo cichy szelest i stukot dzięcioła. Wzniosłem rękę i opuściłem ją dopiero po kilku minutach, wtedy Krzysztof znów podjął wątek.

– Rzecz w tym, że Michał to był bardzo mądry dzieciak na swój wiek. Zawsze taki łebski, jakby to pan doktor powiedział? No taki…

– Analityczny?

– Dokładnie, łebski, no i umyślił sobie, jak tu zapakować ten węgiel, by się nie namęczyć. Chwytał łopatę raz tak, znowu inaczej, lewą ręką, prawą, oburącz, bliżej trzonka albo dalej, próbował się zapierać albo z wyskoku. Próbował wszystkiego, by zrobić to jak najsprytniej i najszybciej. I wie pan doktor co?

Mruknąłem pytająco.

– Umęczył się i prawie nic węgla nie naniósł. Czasami nie ma sensu szukać nowych, niezbadanych sposobów. Zazwyczaj w życiu po prostu polega się na uporze, sile i przerzucaniu węgla do dziury, tyle.

Rzuciłem na ziemię niedopałek, przygniotłem go kapciem i podałem pacjentowi rękę.

– Pouczająca historia, zapamiętam, gdy następnym razem będę szukał Chołowych dzieci, które zostały porwane przez żebraki.

Krzysztof wyraźnie pobladł, po chwili niemrawo uśmiechnął się i w końcu uścisnął mi dłoń.

– Niech się pan doktor nie obraża, nie to, że ja się z pana śmieje tylko…

– Tylko ma pan swoje lata, ja to szanuję – przerwałem, bo tylko tego brakowało, by się w sobie zamknął i przestał przychodzić na terapię z tak głupiego powodu. – Z Panem Bogiem i proszę być ostrożnym.

– Tak, z Bogiem – odparł bez przekonania i minął furtkę z gazrurek.

Wziąłem głęboki oddech, już miałem się schować do środka, gdy coś tknęło mnie w sercu i skłoniło do wyjścia kilka kroków przed posesję. Przymknąłem za sobą bramkę i rozejrzałem się, sam nie wiem za czym.

Wszystko przesłonił delikatny filtr zimowego powietrza, mrozu i nakładających się o poranku warstw szronu, które osadzały się w małych pryzmach zlodowaciałej brei. Dało się odnieść wrażenie, jakby zima na wsi naprawdę spowalniała czas.

Styczeń miał się ku końcowi i strach nie pozwalał mi nie myśleć każdego dnia o tym, że kolejny dzień jest zawsze bardziej niebezpieczny od poprzedniego. Choły żyły swoim rytmem, którego nadal nie poznałem w pełni, nie doświadczyłem osobiście, a to znaczyło, że był to rytm kompletnie mi obcy.

Bałem się, oczywiście, że się bałem. Czułem się jak serce, które w każdej chwili może być zmuszone do bicia kilka razy na sekundę, aż w końcu nie wytrzyma tempa i pęknie. Czasami inaczej – byłem jak głowa płetwonurka, którego jakiś niewidzialny prąd ciągnie na dno rowu morskiego, gdzie ciśnienie łamie kości i składa organy w płaską miazgę.

Zawiał wiatr od wschodu, niosąc ze sobą drobne płatki śniegu. Mógł to być równie dobrze efekt zmęczenia, zmiany pogody albo jażyka, ale miałem graniczące z pewnością przekonanie, że ktoś mnie woła.

Czy gdybym oszalał, to wiedziałbym o tym, pomyślałem w duchu. Czy gdybym naprawdę postradał zmysły albo robił coś niezwykle niebezpiecznego i głupiego, biorąc za prawdziwe to, co mi się tylko zdawało, to czy bym wiedział?

– Zostanę tu na zawsze – powiedziałem sobie na głos.

Czasami powtarzałem to, jakbym chciał tym urealnić decyzję i zdać sobie z niej sprawę.

Przy czym nadal była to myśl tragiczna. Byłem w końcu sam, pozostawiony w tym odludnym przejściu do piekła. To było tak, jak widzieć łunę pożaru cudzego domu i zachwycać się kolorami ognia. Szczere, ale bardzo naiwne i zwyczajnie złe.

Spojrzałem w kierunku okien, z których dawno temu zdjąłem deski, przybite od wewnątrz, ale zostawiłem kraty od strony podwórka. Na wysmarowanych żywicą kolcach, sterczących na wszystkie strony, można było dostrzec poprzyklejane, czarne pióra.

– W końcu mnie zgniecie – powiedziałem sobie. – albo z jednej, albo z drugiej strony.

Wtem rozległo się bicie dzwonów wiejskiego kościoła. Mocne, dźwięczne uderzenia wyrwały mnie na powierzchnię własnych rozmyślań. Wiedziałem, że wieczorem miała się szykować uroczystość, kolejna tradycja, której nie znałem. A skoro nadchodziło święto związane z Lasem, to logiczne było, że obrażony ojciec Maurycy ogłosi jakąś mszę z intencją, szpilę wymierzoną we wszystkich Saprofitów.

Zaśmiałem się pod nosem, ale po chwili jęknąłem ze zrezygnowaniem. Wypadało mi przyjść na mszę, skoro i tak miałem niepewną reputację we wsi.

– Dziś modlimy się w intencji tych, którzy odeszli od nas przedwcześnie, niekoniecznie ze swojej winy – mruknąłem, całkiem sprawnie udając chrapliwy głos księdza.

* * *

– Dziś modlimy się w intencji tych, którzy odeszli od nas przedwcześnie – zaczął ojciec Maurycy.

Jasna cholera, pomyślałem i od razu rozejrzałem się, czy jedynie to pomyślałem, czy może rzeczywiście przekląłem, siedząc wciśnięty między miejscowych w watowanych kurtkach i szalikach.

Choć nie było to od razu takie oczywiste, to szarobrązowy tłum pełen zmęczonych, zapadniętych twarzy o pożółkłych oczach, nie był taką jednolitą masą, jaką się wydawał. Po paru miesiącach zaczynałem pojmować drobne niuanse, związane z tym, gdzie kto siedzi.

Na przedzie Piotrowscy, obok Lużwińscy, dalej wdowa po Trywielkiczu, który był kompletnie niedobranym do żony dewotki Saprofitą. Potem ze dwie ławki wiernych, którzy na myśl o Lesie robili znak krzyża, a dalej już we względnej rozsypce rodziny, które starały się nie myśleć wcale o czymkolwiek, tylko żyć swoim życiem.

To były tylko lewe rzędy, a ja siedziałem na tyle prawych. Dość blisko ołtarza i ambony, by każdy mógł sobie mnie obejrzeć, że oto pan doktor przychodzi się modlić, klęka przed Bogiem i nie ubliża prawdziwym wierzeniom. Jednocześnie samo siedzenie po prawej oznaczało tyle, co utrzymywanie się ze zbieractwa pożytków albo innych moralnie niejasnych spraw.

Szczerze to po takim czasie nadal byłem przekonany, że bycie zbieraczem w Chołach było mniej groźne, niż bycie innej narodowości czy wyznania. Bo chociaż doktryna Kościoła Katolickiego stała w kompletnej opozycji do tego, czego udawało nam się dowiedzieć o Lesie, to przynajmniej na jedno z nich ludzie mieli dowody każdego dnia, więc głupio było wierzyć w Boga, a nie wierzyć w to, co się widziało na własne oczy.

Chyba najbardziej współczułem sołtysowi, który od pamiętnej nocy Krzykacza utykał na jedną nogę na tyle mocno, że chodził o lasce, a nieraz o

dwóch kulach. Regionalna polityka wydawała mi się nie mniej zagadkowa i pełna niuansów niż lokalny ekosystem.

Oto skłócony wiecznie z ojcem Maurycym sołtys Bieniasz stracił w obronie kilkunastu przychylnych sobie chłopów, którzy oddali życie w obronie rodzin. Tragedia, niewątpliwie, ale mająca swoje całkowicie pragmatyczne konsekwencje. Równowaga mocy została zachwiana i teraz lokalny kapłan ostrzył sobie zęby na to, aby odchodzić od prób zrozumienia Lasu czy nawet obrony przed nim. Zapewne przed śmiercią chciał jeszcze ostatni raz, całkowicie oczyścić się z tolerowania takich herezji na swoim terenie.

– Drapieżniki, wszędzie drapieżniki – powiedziałem znowu do siebie, ale ludzie obok spojrzeli się na mnie dziwnie.

Czyli tym razem mi się wymsknęło.

Rozległ się głośny kaszel. Ksiądz zgiął się nisko i przyłożył do ust niegdyś zapewne białą, bawełnianą chustę, która pokryta była żółtymi i popielatymi plamami.

– Ale chyrla – szepnął ktoś obok mnie.

Rzeczywiście, gdy ksiądz odłożył chusteczkę, rzuciło mi się w oczy, że osiadło na niej na tyle dużo krwi, że można było ją dostrzec z daleka. Rak płuc kapłana nie był tajemnicą, dlatego tym mniej dziwiła mnie radykalizacja poglądów, jaka momentami dawała o sobie znać. Ot, szykował się do grobu, jak każdy.

– To będzie najzimniejsza ze wszystkich zim do tej pory – odezwał się nagle Maurycy z nową mocą. – Ponieważ będzie to zima, którą spędzimy w najmniej licznym gronie. Wiem, że nigdy nie uda nam się zatrzeć wspomnień po wspaniałych ludziach, których nam wydarto tak nagle i brutalnie.

Kilka osób z lewej strony kościoła spojrzało na mnie ostentacyjnie. Odpowiedziałem udawaną zadumą i kiwaniem głowy: tak, tak, prawdę mówi ojciec, straszne rzeczy.

– Nigdy jednak nie uda nam się naprawić błędów przeszłości, jeśli nie odetniemy się od tego brudnego dziedzictwa, jakie ciągniemy za sobą od lat. Nadchodzi czas, gdy zmuszeni będziemy do podjęcia decyzji, czy chcemy przez resztę życia klękać przed aniołem i służyć diabłu, czy podjąć ponownie dialog z naszym ojcem. Wciąż możemy żyć dobrym i prawym życiem, ze spokojem patrząc w niebo. Wystarczy pochylić głowy i przyznać się do swojego grzechu i słabości.

Wzniosłem brwi, bo zawsze zaskakiwało mnie, z jaką pewnością siebie ksiądz wymawiał te truizmy i sprzeczności, zapewne samemu w nie wierząc. Natomiast rozumiałem,

że Maurycy jak każde zwierzę łańcucha pokarmowego, ma swój sens istnienia w postaci podtrzymywania tej delikatnej struktury. Nie wiem, co spajałoby mieszkańców wsi, gdyby nie religia. Bo na pewno nie nazbyt przerażająca i bezlitosna tradycja Lasu.

Prawie godzinę później msza dobiegła końca, a ja pomyślałem jedynie o tym, ile jeszcze takich kazań ojca Maurycego miałbym wytrzymać? No i rzecz jasna, jaka byłaby ku temu alternatywa w wiecznie wyludniającej się wsi? Bo przecież jakakolwiek próba ściągnięcia nowej osoby do Chołów była nie tylko niepożądana, ale i niemalże niemożliwa w wykonaniu i niebezpieczna dla kruchej struktury samego zjawiska istnienia Chołów.

Już miałem wstać z ławki i z cięższym sercem wrócić do siebie, gdy jeden z ministrantów w jaskrawo czerwonej pelerynce zbliżył się ku mnie i szepnął:

– Ojciec chce się z panem widzieć po mszy.

– Wątpię, bo nie żyje – zażartowałem, ale pod jasnymi loczkami ministranta wyzierała na świat pozbawiona zrozumienia twarz. No tak, może powinienem był wisielczy humor zostawić dla kogoś, kto ma więcej niż dwanaście lat. – Dobrze, przyjąłem, dziękuję.

Chwilę później kościół opustoszał całkowicie i tylko ja siedziałem w niewygodnej ławce, czekając, aż ksiądz dokończy swoje prywatne obrzędy. Miałem wrażenie, że celowo przeciągał nadejście tak, żebym oczekiwał jak najdłużej, na dowód tego, kto tu rządzi.

– No cóż, ja nie pracuję na godziny – rzekłem sam do siebie i zebrałem się do wyjścia, ale w ostatniej chwili usłyszałem chrzęst zamka.

Kapłan wyszedł z zakrystii, idąc powoli i ostrożnie w moim kierunku. Dopiero po kilku metrach dostrzegłem, że to bynajmniej nie z niefrasobliwości, a z bólu ojciec szedł takim żółwim wręcz tempem.

Zbliżyłem się o parę kroków do Maurycego i skłoniłem lekko głowę na przywitanie, bo chyba wyszedł już z roli księdza i mogliśmy rozmawiać jak ludzie.

– Jeden z mieszkańców powiedział mi o twoich schadzkach – zaczął cichym, ale skupiającym uwagę głosem. – Chciałbym, żebyś zwrócił szczególną uwagę na to, co ci zaraz powiem, rozumiesz?

– Zrobię ten wyjątek i nie zignoruję pana słów, skoro dla odmiany mają mieć jakiekolwiek znaczenie.

W oczach księdza dostrzegłem błysk frustracji połączonej z gniewem. W gruncie rzeczy dostosowywałem się do jego postawy, więc mógł winić tylko siebie. Natomiast rozumiem, że jeśli ktoś przywykł do bycia traktowanym jak kryształowy wazon, to potem ciężko jest znieść szyderstwo.

– Słyszałem na spowiedzi, jakie okropne bzdury opowiadasz ludziom, którzy wrócili z tamtego obrzydliwego, wykręconego piekła.

– Ktoś tu łamie tajemnice spowiedzi – zaśmiałem się pod nosem.

– Masz zaprzestać tych praktyk. Nie chcę, by ludzie myśleli, że to, co się tam dzieje jest normalne, a oni mają prawo czuć się dobrze, wykorzystując te nienaturalne fenomeny, jakie mają miejsce w Lesie.

– Oczywiście, że tak. Z najwyższą chęcią przestanę jakichkolwiek prób udzielenia pomocy psychologicznej, wszystkim osobom, które doznały jakiegokolwiek uszczerbku na zdrowiu w wyniku działań innego świata.

Maurycy spojrzał na mnie szczerze zdziwiony, ale widać było, że gdzieś z tyłu głowy już wyszukuje podstępu i nie mylił się.

– Gdy tylko przestanie być pan w tej kwestii bezużyteczny, a wręcz szkodliwy – dokończyłem. – Jeśli ma pan zamiar dalej zamykać oczy na wszystko, co się dzieje i ograniczyć swoje działania do modlenia się w trosce o zaginionych, to może nie warto marnować mojego cennego czasu.

– Przez lata służyłem tym ludziom! – uniósł się ksiądz.

– Służysz tylko swojemu sumieniu i zdecydowanie nazbyt długo zaprzęgałeś Boga do tego, by ciągnął bagaż twoich lęków. Teraz chodzi o to, żebyś się zastanowił, czy zależy ci na tych ludziach, czy na własnym samopoczuciu. Bo tak się składa, że to, co robię ja, ma realne przełożenie na ich dobrostan.

– Jesteś butny, bezczelny i pyszny. Nie wiesz, przez jakie piekło przeprowadziłem bezpiecznie to miejsce. Nie umiesz sobie wyobrazić najgorszych demonów, jakie wywlókł na nas ten przeklęty Las. W tych chwilach tylko łaska Boga trzymała nas przy życiu! – Maurycy nagle rozkaszlał się i zgiął w pół.

– Pomagam im zrozumieć, z czym tak naprawdę mają do czynienia. Możesz nie wierzyć Lasowi, ale w Las wierzyć trzeba. Oddałem temu miejscu życie, zostałem tu dla was, by przerwać ten bezsensowny przemiał ludzkich żyć i nauczyć was, jak obcować z tym nieznanym przybyszem.

– Oddałeś życia, ale nie swoje. Zmarnowałeś dziesiątki rodzin, nakłaniając ich do walki z jedną z miliona form diabła, który wróci tu i tak. – Na moment spróbował złapać oddech i z trudem dodał: – Zostałeś tutaj dla siebie, ze swojej chorej ciekawości, wielkomiejskiej nudy i chełpliwego poczucia wyższości.

– Uratowałem was przed losem gorszym od śmierci! – teraz to ja uniosłem się, czując, że krew się we mnie gotuje.

– Jesteś nikim, Drozd. – Maurycy wyprostował się na moment i spojrzał na mnie z góry tym chłodnym, kalkulującym wzrokiem, który tak dobrze zapamiętałem z naszego pierwszego spotkania. – I zapewniam cię, że dopilnuję, żebyś wrócił w niebyt, z którego wypełzłeś z resztą zjaw. A teraz wynoś się z domu Bożego.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziałem. – Znam dom boży, w którym jestem zawsze mile widziany.

* * *

Zapiąłem koszulę, wciągnąłem przez głowę czarny sweter, wyrównałem kołnierz w płaszczu i sprawdziłem, czy pistolet gładko wychodzi z zapinanej kieszeni na piersi.

– Wróć – warknąłem sam na siebie i odłożyłem tokariewa do szuflady. – Czy ty masz jakąś chorobę sierocą?

Miałem pomagać Saprofitom dojść do siebie po długich podróżach w Lesie, a wychodziło na to, że sam nie byłem wolny od nawyków. Dobre przyzwyczajenia pozwalały przetrwać w Lesie. Te najbardziej rytualne, jak inkantowanie pieśni, by skupić się na piętrze i układanie mnemotechnik do spamiętania kolejności branych pożytków. Jednak także te najmniej rytualne, jak pamiętanie, by zawsze mieć na sobie dobre buty.

I oto miałem iść na festiwal, w gruncie rzeczy pozytywne, niegroźne spotkanie lokalnej społeczności, ale przez głowę przechodził mi tajfun myśli, a każda z nich niosła tysiąc przerażających zagrożeń.

Sam nie byłem pewien, czy ojciec Maurycy zaszczepił we mnie jakieś nowe lęki, czy to pochowane pod płytką warstwą pamięci stare koszmary się przebudziły. Mogłem rzeczywiście antycypować zagrożenia wszędzie i wspominać wilgotną, zimną piwnicę, z której wyciągnęła mnie Gopulska. Z drugiej strony mogłem myśleć, że jestem już swój, u siebie i bezpieczny, co niewątpliwie skończyłoby się idiotyczną katastrofą.

– Pieprzony klecha – szepnąłem, zamykając szafkę z bronią w środku. – Oby tym razem obyło się bez palenia kukieł i nocnych schadzek.

Rozległ się nagły huk. Coś z mocą uderzyło we framugę okna, ledwie centymetr mijając szybę, wychodzącą w kierunku Lasu.

Wyjrzałem ostrożnie przez okno, czując, że serce rzuca mi się w piersi, jak spłoszony ptak, któremu ktoś walnął kijem w klatkę. Na pokrytym warstwą śniegu polu odbijało się dość światła z garbatego księżyca, bym dostrzegł, że coś jest nie tak.

Na oko z dwieście metrów od mojego domu stała postać, niewysoka, czarna jak smoła i pokryta jakimś masywnym ubraniem, może szubą? Co najdziwniejsze stała wyjątkowo sztywno, na dwóch, cienkich nogach. Aż zaskakujące, że na takim mrozie powstrzymywała się od przebierania nimi, by się rozgrzać.

Jeśli ktoś pofatygował się do mnie aż z Lasu, to można było zrobić tylko jedną racjonalną rzecz.

Wyszedłem przed dom, trzymając w jednej dłoni woreczek z ciecierzycą, wymieszaną z żytem, a w drugiej latarkę. Promień światła kierowałem przed siebie, jak gdyby nigdy nic, nie chcąc się po prostu potknąć.

Co rusz rzucałem dookoła odrobinę ziaren. Ciecierzyca była na niwelowanie mieszanin pożytków, a żyto jako zwykła przynęta na leśną drobnicę.

– Przed moim domem wiatr, wichura – zacząłem intonować głośno. – Teraz i gość tu także hula. Zawiej w tę stronę i pokaż lico, nic wszak me oczki tam nie widzą.

Na moment skrzywiłem się, bo zdałem sobie sprawę, że chyba najzwyczajniej w świecie pomyliłem słowa piosenki. Zawsze mogłem liczyć na to, że gość sam coś zaśpiewa,

do czego ja będę znał odzew. Jednakże zamiast tego nieznajomy jedynie stał.

– Wybacz, jestem raczej z tych niemelodyjnych – podniosłem głos, bo obcy był ciągle daleko, choć już zaczynałem dostrzegać poszczególne elementy jego ubioru. – Może chciałbyś podejść bliżej?

Miał na twarzy maskę, byłem tego prawie pewien. Dostrzegłem oranżowe ornamenty na przedzie, nieco jaskrawej siwizny po bokach i całą masę smoliście czarnej farby.

Zatrzymałem się w pół kroku.

To nie była farba. To nie była nawet maska. Nieznajomy był nieco niższym ode mnie, stojącym w wyproście ptakiem, o czarnych piórach, długim dziobie i szczudlastych nóżkach, zasypanych w śniegu.

Odruchowo sięgnąłem dłonią do kieszeni płaszcza, przypadkiem wypuszczając worek z ziarnami. Palce gorączkowo zaczęły szukać pistoletu i dopiero po krótkiej chwili do mnie dotarło, że zostawiłem go w chacie, by nie zrobić nikomu krzywdy.

– Gratulacje – wyrwało mi się i ugryzłem się w język.

Nieznajomy obrócił się i po prostu odszedł kilka długich kroków. Myślałem wpierw, że to ja go obraziłem, nie używając melodii na przywita-

nie lub po prostu odzywając się, a nawet niezdarnie wypuszczając poczęstunek.

No cóż, dochodziła jeszcze kwestia tego, że chciałem przywitać wielkiego ptaka ziarnami, co już samo w sobie zakrawało na pewne uprzedzenia. Jednakże mieszkańcy Lasu nie należeli do szczególnie wrażliwych na tym jedynym punkcie.

Ogromna, humanoidalna wrona obróciła się nagle, spojrzała na mnie bez wyrazu i rozdarła dziób w przeszywającym skrzeku.

Jakiś mały przedmiot poleciał szybko w moim kierunku, mijając moją głowę niebezpiecznie blisko i wylądował w zaspie śniegu.

Wymierzyłem latarkę w humanoida, by mu się przyjrzeć, ale ten rozpostarł nagle ręce i odleciał wysoko, kierując się na Las. Po chwili już tylko szerokie na ponad dwa metry skrzydła łopotały w ciemności, wzniecając zawirowania śniegu.

Odetchnąłem z trudem. Serce waliło mi jak szalone i tylko krótka myśl uderzała o wnętrze czaszki. Mogłem łatwo umrzeć pod własnym domem. Właściwie to nie wiem, czy śmierć była moim największym zmartwieniem, bo w końcu stworzenie chciało, bym za nim szedł do Lasu. A w Lesie śmierć jest raczej na średniej półce złych zdarzeń.

Przypomniałem sobie wykręconą, nieco małpią twarz rogatego Latarnika, którego widziałem dawno temu w Abdankach.

Wzdrygnąłem się, jakby chcąc strząsnąć z siebie myśli i już miałem wrócić do domu, gdy dostrzegłem miejsce, w które trafił pocisk. Ostrożnie włożyłem dłoń do dziurki w śniegu, jakby bojąc się, że może być gorąca albo wypełniona kwasem, po czym wyjąłem ze środka coś, co rozbudziło moją wyobraźnię o wiele bardziej, niż najbardziej żrąca wydzielina.

W śniegu leżał gawroni dziób, przebity zardzewiałym gwoździem. Dziób owinięto przyszpiloną, pożółkłą kartką sporych rozmiarów.

Lekko drżącymi z zimna i potwornie drżącymi ze strachu dłońmi, wyjąłem gwóźdź pokryty wilgotną, czerwoną pleśnią i schowałem go do kieszeni. Rozłożona kartka ukazała prymitywnie nabazgrany obraz dwóch, masywnych, przypominających ptaki ludzi, którzy stali obok siebie, nad linią spisanego czerwoną mazią tekstu.

Uroczyście zapraszamy szanownego doktora Drozda na ślub o sierpie starego księżyca, w gnieździe tartaku z osobami towarzyszącymi. Wystawia imiennie...

Złożyłem kartkę na czworo, wypuściłem ustami siwy kłąb ciepłego powietrza i dokończyłem na głos:

– Gawron. – Przez moment patrzyłem w kierunku Lasu, wyszukując wzrokiem pokracznego posłańca i dodałem od siebie. – Kurwa mać.

* * *

Pół godziny po otrzymaniu wiadomości z Lasu, siedziałem na jednej z wystawionych na dworze ław, skryty pod bazarowym baldachimem w biało-niebieskie pasy. Atmosfera była biesiadna, głośna i wesoła, jak nie u nas.

Zreflektowałem się, że może jeszcze nie u nas, tylko u nich. I może nigdy nie będzie żadnego nas. Fakt jednak był taki, że przez jeden wieczór wszystko wydawało się bardzo zwyczajne i sielskie. Przynoszono konfitury, sałatki, ktoś rozpalił benzyną ognisko dla oświetlenia i odwagi. Nawet momentami magnetowid huczał popularne w całym kraju piosenki o wszystkim i o niczym.

Miałem wrażenie, jakbym obudził się z jakiegoś długiego snu. Jakbym dopiero co przybył do Chołów przeprowadzać badania, i nie miało się wydarzyć nic nadzwyczajnego. Właściwie wszystkie elementy układanki były na swoim miejscu, łącznie z przykrytym brezentem pomnikiem na

końcu placu zabaw. Jedyną nietypową rzeczą było to, że zimą organizowano zabawę na zewnątrz, zamiast w świetlicy.

Brakowało mi tylko jednej osoby. Jednakże żadne miejsce nie świeciło pustką, bo to nie tak sprawy się miały w Chołach. Na biesiadach okolicznościowych każdy siedział z każdym; był czas na animozje i podziały, a był czas na wspólne świętowanie. Najwyraźniej doczekałem się tego drugiego.

Przysłuchiwałem się rozmowom z umiarkowanym zaciekawieniem, dopytując z rzadka o szczegóły lub mądrze kiwając głową. Czasami dawałem aprobatę komuś, kto wcale jej nie potrzebował, bo w niemal każdym sporze trzeba było mieć swoją opinię. To jedna z tych rzeczy, do których wykształcenie mnie nie przygotowało.

To nie tak, że czułem się od nich lepszy – wręcz przeciwnie. Dopiero z czasem zrozumiałem, że ich zacietrzewienie w tradycjach, kulturze i tej rzadkiej specyfice miejsca było jedynie wynikiem prób przetrwania.

Kiedy w nocy puka do ciebie coś o pięciu odnóżach, to lepiej żebyś wiedział jak postąpić, by sobie poradzić. Masz wiedzieć, czy ktoś przyszedł po jajka, czy ktoś chce cię pożreć żywcem albo po prostu popatrzeć jak śpisz. Bez tej wiedzy, zdobytej w wyniku czyjegoś poświęcenia, prawie nigdy nie zaimprowizujesz właściwej odpowiedzi.

Więc po czasie przestało mnie dziwić, że Chołownicy kultywowali swoje pieśni, za każdym razem powtarzając instrukcje, zamiast próbować nowych rzeczy. W końcu jeśli coś zapewniło przetrwanie przez niemal pół wieku, to musiało chociaż w pewnym stopniu działać i być osadzone w realiach.

– Panie doktorze, pozwoli pan, no.

– O, proszę podejść, właśnie.

– Niech pan pomoże, no, panie doktorze.

Westchnąłem od serca i wyraźnie bez chęci wstałem.

– I to by było na tyle z całego szacunku do kultury agrarnej – szepnąłem do siebie i zwróciłem się już głośniej do wzywających mnie biesiadników. – A co to, panowie sobie nie dają rady z flaszką na trzech?

Mężczyźni wyszczerzyli się, coś tam rzucili dokazując, nawet nie zwróciłem uwagi co, bo to był jeden z tych rytuałów, które zdążyłem już opanować do poziomu nawyku. Oni wpierw zagadywali niby z szacunkiem, a ja odpowiadałem niby wyzywająco i tak się ta karuzela dziwacznych kurtuazji kręciła.

Przysiadłem ciężko na ławce, ścisnąłem rękę siedzącemu obok mnie wąsaczowi, pozostałym tylko skinąłem głową. Nie wiem jak to działało, że podać sobie rękę trzeba było z dowolnie dużej odległości, ale jeśli na drodze stał jakikolwiek, nieruchomy przedmiot, jak na przykład stół albo biurko, to nagle wystarczyło się dojrzeć wzajemnie. Ot, jakoś się tak utarło, że podać sobie rękę nad naczyniami to za dużo roboty, ale podejść do siebie kilkadziesiąt metrów to nic.

– Proszę… – powtórzył jeden z chłopów.

Zorientowałem się, że nie słuchałem momentu, w którym przeszli od grzeczności do meritum. Odchrząknąłem głośno, przechyliłem głowę i spojrzałem z paternalistycznym zażenowaniem na jednego z nich.

– No ja wiem, że tyle razy już prosiliśmy, ale jakby pan chociaż jednemu z nas wyczytał z oczu, to byśmy bardzo poprosili.

Ach tak, pomyślałem, więc jak zwykle chodzi o to.

– Powtarzam wam, że nie czytam ani z oczu, ani z ręki, ani z czego byście tam chcieli, bym wam wywróżył.

– Ale pan psycholog jest, to prawie jak lekarz.

Zacisnąłem zęby, aż zgrzytnęło. Dopiero po krótkiej chwili uśmiechnąłem się kwaśno i rzuciłem od niechcenia:

– A czy rolnik plecie wianki z rumianku jak dzierlatka w rui?

– No niby nie – odpowiedział wąsaty w zadumie i polecił najmłodszemu w gronie polanie czegoś mętnego. – To co, zdrowie z panem doktorem. Bo tak sobie umyśliłem, że jakby coś nas złego miało spotkać, to by nam pan doktor od razu powiedział. A to mi się widzi, że co nas dobrego spotka, więc doktor nie chce psuć niespodzianki, dobrze mówię?

Wieśniak popukał się w skroń i wypił kieliszek jednym haustem.

Pokręciłem głową, wlałem w siebie paskudny, drażniący przełyk bimber i popiłem kompotem bezpośrednio z dzbanka. Człowiek niby pił już gorsze rzeczy, ale zawsze, żeby przeżyć, a nie w ramach rozrywki.

– Si vis pacem para bellum – rzuciłem, przywołując na twarz uśmiech, ale po chwili wzruszyłem ramionami i dodałem. – Idzie luty, podkuj buty.

Panowie pokiwali głowami mądrze, poklepałem jednego z nich po ramieniu i wróciłem do swojej ławki, gdzie nikt mnie nie nagabywał na popijawę. Alkohol szedł od razu do głowy, więc odetchnąłem ciężko i nałożyłem sobie sałatki w ramach wsparcia.

Rozejrzałem się od niechcenia, czując, jak przesadnie zaprawiona octem jarzynówka walczy z bimbrem o dominację nad moimi kubkami smakowymi.

Byli prawie wszyscy, jak to zwykle na uroczystościach świątecznych. Nawet na wigilię mieli oddzielne spotkanie w świetlicy wiejskiej, które było nie mniej ważne od rodzinnej kolacji. Tym trudniej było wyłapać z tłumu poszczególne osoby.

Ktoś bawił się metalową zapalniczką na benzynę. Ktoś odgarniał przysmaki ze stołu, by zrobić miejsce na szybką partyjkę kart. Gdzieś dalej kobiety śpiewały z dziećmi własną piosenkę, jedną z najpopularniejszych w okolicy, coś rytmicznego o sianokosach.

Szczególnie zaciekawił mnie ojciec Maurycy, ubrany w czarny płaszcz, uszankę i grube rękawice. Widocznie nie chciał kusić losu na swój i tak zrujnowany układ oddechowy. Wraz z kilkoma mieszkańcami wyjął metalowy krzyż na okrągłym stojaku i umieścił go w centrum stołu, przy którym siedział. Ot, ciche przyzwolenie na rytuał, ale zarazem też cicha niezgoda. Wszystko zgodnie z miejscowym obyczajem.

– Pan szanowny pozwoli, że się przysiądę? – spytał ktoś, wyłaniając się zza mnie nagle i bez ostrzeżenia.

Zapachniało świeżymi liliami, aż mnie oszołomiło.

– Tak, jak najbardziej – odsunąłem się na tyle, by nieznajomy mógł usiąść bez ocierania się o mnie. – Proszę wybaczyć, po prostu…

– Zapach, wiem, przepraszam za to.

– Nawet mi nie przeszkadza – Wyszczerzyłem się szczerze rozbawiony. – Lepsze to niż pot i cebula. Czy ja pana nie znam?

– Tak, nie zna mnie pan – odpowiedział przekornie, odwzajemniając uśmiech. – Kurobród Dionizy, jestem batiuszką z Sęd, a pan?

– A ja – zdębiałem na moment, wpatrując się w szklane oczy współrozmówcy. – Drozd Jerzy, zajmuję się ludźmi.

– Jak my wszyscy – odpowiedział kapłan i pogładził się po brodzie z jednej strony, a potem z drugiej. – Proszę wybaczyć nieład, długa droga, wyboista, a jeszcze na piechotę to wie pan. O własnych nogach zawsze idzie się najdłużej, ale podróż najciekawsza, prawda?

Pokiwałem głową, przyznając rację Dionizemu i zaraz zacząłem ponownie przypatrywać się mieszkańcom. Było ich sporo, jedzenia praktycznie nie brakowało, a ciągle dochodziły nowe osoby. W powietrzu w pewnym momencie zaczęło być duszno, mimo tego, że cała uroczystość miała miejsce na zewnątrz, a temperatura balansowała stale na granicy zera stopni.

– Pana też wcześniej nie widziałem.

– Słucham? – spytałem Kurobroda, bo rzeczywiście się nie skupiłem, a może wypadało wpierw zamienić ze dwa zdania z grzeczności. – Bo ja od niedawna tutaj, jak teraz mamy dwudziesty trzeci stycznia, to ja jakoś od końca września.

– Którego roku?

– No od osiemdziesiątego.

– Którego roku stycznia…

Zamrugałem zdziwiony, lekko rozchyliłem usta i powstrzymałem się od liczenia na palcach. Miałem wrażenie, że coś mi umyka, ale alkohol i biesiada z Chołownikami zawsze wymagały ode mnie ignorowania powolnego toku rozumowania innych.

– Osiemdziesiąty pierwszy oczywiście.

Dionizy zasępił się na moment, wykrzywił twarz w smutnym uśmiechu i odrzekł powolnym, czystym głosem:

– No i niech pan spojrzy, jak ten czas leci, prawda?

Przewróciłem oczami.

– No tak, święta, święta i po świętach.

– Przepraszam, że ja tak zapytałem, bo to wina wieku, wie pan? – Staruszek wydawał się naprawdę pogodny i łagodny w usposobieniu. Nie sposób było się na niego gniewać. – Zwyczajnie już zapominam na stare lata, a lepiej chyba nie będzie.

– Ja to rozumiem – odpowiedziałem pierwsze, co mi przyszło na myśl i zaraz się poprawiłem, pokazując puste dłonie na znak dobrych intencji. – Przepraszam, miałem na myśli, że tak z racji profesji, a nie wieku. Nie chcę sobie dodawać, bo mnie zdarza się też czasem zapomnieć, ale rozumiem, jeśli pan…

– Proszę się tak nie tłumaczyć, tu przecież sami swoi – zaśmiał się kapłan.

– No tak, tu sami swoi, faktycznie. – Obejrzałem się z rosnącym niepokojem na stale dochodzących, nowych gości i dostawiane licznie stoły z blachy. – Tylko pan powiedział jak? W sensie... Znaczy się, że z Sęd… Sędów jest pan, tak?

Ściągnąłem brwi w zdziwieniu, patrząc się w pusty talerz. Stale coś kręciło mnie w nosie i nie mogłem zebrać myśli. A najgorsze było to, że akurat jak na złość przydałoby się wytężyć wszystkie neurony, bo w pamięci kołatała mi się nazwa wsi, ale nie wiedziałem, gdzie już ją usłyszałem.

– Oj, tak, piękne miejsce. Mieliśmy kiedyś taki wielki dąb w prawie samym centrum wsi, przy głównej drodze. Latami rodziny o to dbały i utarła nam się taka tradycja, że na zimę oplataliśmy drzewo takim jakby kocem, wie pan? I na tym kocu baby wyszywały ozdoby, ładne rzeczy, to co człowiek chciał. Głównie rysie i kawki, wie pan? A potem co kilka lat trzeba było poszerzać nieco cały materiał, a drzewo rosło i rosło.

– No i co się stało z dębem?

– Odszedł, jak wszyscy – rzucił od niechcenia staruszek i uśmiechnął się w kierunku sołtysa, który kuśtykał o kulach w kierunku podestu.

Podest był w gruncie rzeczy jedynie kanciastą, metalową beczułką, którą na potrzeby dnia nieco ustabilizowano. Mimo to Bieniasz nie połasił się o wejście na nią, a zamiast tego oparł się o rzeczoną beczkę, jak o mównicę i odchrząknął znacząco, by zaraz krzyknąć:

– Proszę wszystkich o uwagę! Już, spokojnie, na moment ściszmy się, chociaż wiem, że okazja do hałasowania jest rzadka. Jarek nie graj tam, proszę, odłóż harmonijkę, zaraz sobie tym pobzyczysz do znudzenia.

Z całej gamy wydarzeń powoli wyzierały na świat drobne elementy, będące częścią jednego obrazu. Matki z wyszczerzami na twarzach, przyciskające dzieci do piersi, dłonie odchodzące od kieliszków, by mocno chwy-

cić krzyżyki na szyjach, biesiadne stoły, przy których mnóstwo mówiono, ale mało robiono.

Miałem wrażenie, jak gdybyśmy wszyscy byli schowani pod drzewem w burzowy dzień i próbowali zagłuszyć łomot piorunów.

– Jak co roku spotykamy się, by razem budować śnieżynkę i liczyć na to, że zima będzie łagodna, a wiosna nadejdzie szybko. Chciałbym szczególnie z tego miejsca podziękować Rochowi Lepkiewiczowi, Józefowi Mokrzyckiemu i Szymonowi Młynarkowi za to, że tym razem to oni będą wykonywać spoiny na stelażu.

Rozległy się długie, może nawet celowo przeciągnięte brawa, a ja skorzystałem z okazji i patrząc nadal na sołtysa, spytałem cicho towarzysza:

– Co będą budować?

– Śnieżynkę, będziemy wzorować się na płatkach śniegu, aż spodoba się tamtej u góry jej podobizna i skróci mróz – odpowiedział facet, który zajął miejsce po Dionizym.

Obejrzałem się ze zdziwieniem, bo nawet nie zauważyłem momentu, w którym pop zniknął. Prawie zadławiłem się własnym językiem.

Tuż przed moją twarzą była jelenia maska, zbryzgana ciemną krwią i przysypana szarawym nalotem, jak po zarodnikach grzybów. Człowiek obok mnie nosił dziurawy waciak koloru popiołu papierosowego, miał dwie torby z lisich skór i włócznię o długim, najeżonymi ząbkami grocie.

Przez chwilę przypatrywałem mu się, gdy Bieniasz kontynuował swoją przemowę. Nowy nieznajomy był nie z tego świata, dosłownie. Czułem jego niezwykle intensywny zapach mokrego psa zmieszany ze smrodem, jaki można uzyskać tylko od leżenia w bagnie.

– Coś mnie ominęło? – spytał nagle, przyglądając mi się dokładnie.

Dwa, zabrudzone starą posoką wizjery skrywały w sobie niemalże niemożliwe do dostrzeżenia, zaciekawione oczy, a ja się czułem, jakby pę-

dziła w moim kierunku ciężarówka, wyjąca na alarm. Z trudem przełknąłem gulę śliny i bezskutecznie spróbowałem przywołać na twarz jakiś normalny wyraz, który nie był mieszaniną strachu, zaskoczenia i zwyczajnego wścibstwa.

– Dosłownie nic, ledwie zaczęli, znaczy, zaczęliśmy.

Saprofita pokiwał głową, obrócił się w stronę sołtysa i nagle jednym, drapieżnym ruchem przekręcił się znów do mnie, tak szybko, że aż podskoczyłem.

– Przepraszam, że nie zdejmuję wszystkiego – wyjaśnił głębokim, stłumionym filtrami głosem. – Po prostu ledwie wróciłem, nie chciałem się spóźnić i nie miałem czasu nawet się umyć. Wszystko gra?

– Tak, proszę wybaczyć, po prostu się… rozmarzyłem?

– Niech pan cichnie, bo nic nie słychać. – Trącił mnie mocno łokciem w żebra któryś ze słuchaczy.

– Zatem odsłońmy pierwszą śnieżynkę! – zakończył sołtys i machnął ręką.

Dwóch gotowych młodzików podbiegło do płachty materiału, ściągając ją z trudem na oblodzoną ziemię. Oczom wszystkich ukazała się siedmioramienna gwiazda zespawana ze starych rur, powiązana brudnymi ścierami i przyozdobiona błękitnymi wstążkami.

Ludzie zaczęli klaskać i hałłakować na widok konstrukcji, która zdawała się jakimś brutalistycznym żartem, posklejanym ze śmieci. Mimo to im dłużej przyglądałem się tej prymitywnej, topornej konstrukcji, tym większą niezwykłością zdawała mi się odznaczać.

– I niech to będzie ostatnia! – krzyknął ktoś nagle i wszyscy skierowali głos w jednym kierunku.

Ojciec Maurycy stanął przy stole, opierając się o blat zaciśniętymi dłońmi. Nagle uderzył z hukiem, aż talerze podskoczyły i powtórzył z niespotykaną mocą:

– Czas najwyższy, żebyśmy stawili czoła prawdzie i zaprzestali kłaniania się złotym cielcom z Lasu. Koniec z nadawaniem im imion, koniec ze słuchaniem się podszeptów złego i koniec z oddalaniem się od rodzimej wiary, która stworzyła ten świat.

Wymuszona cisza zmieniła się w dobrowolną ciszą, ponieważ niemal każdy nadstawiał uszu, wyczuwając istotne wydarzenia. Grzybiarz obok mnie starł rękawiczką grubą warstwę kurzu z maski i przeklął pod nosem.

Oglądałem się to na zmieszanego sołtysa, to na rozgoryczonego księdza i znowu na Saprofitę, który cały był pokryty szarym nalotem, rozsypującym się na wszystko dookoła.

– Wszyscy znamy stanowisko ojca Maurycego w kwestii dostosowania się do naszych nietypowych okoliczności… – zaczął sołtys Bieniasz, ale zaraz mu przerwano.

– Nie! To nie jest już tylko stanowisko, teraz to ma być porządek rzeczy! – krzyknął kapłan, a jego głos rezonował melodyjnie i odbijał się wzdłuż okolicznych domów.

Coś było zdecydowanie nie tak. Nawet z daleka mogłem dostrzec ten niezdrowy błysk w oczach Maurycego, nie wspominając już o tym, że jeszcze dzisiaj chrypiał i kasłał krwią, a teraz gotów był wdawać się w przekrzykiwanie z lokalnym władyką.

– Wyznanie wiary wiąże każdego z nas, by przekładał pewne prawdy ponad to, co jest mu w danym momencie wygodne. Z tego miejsca oświadczam, że jeśli nie zaprzestaniemy tych wszystkich bzdurnych prób ideologizowania wynaturzeń, to będę zmuszony wystosować list do kurii.

Zapadła grobowa cisza, a ja w oczach wielu ludzi zobaczyłem strach, który mi coś przypominał w dużym stopniu. Był to ten sam wzrok, którym Pień patrzył na jego płonący dom. Niedowierzanie, przerażenie, a potem furia.

– Teraz, gdy wreszcie mamy szansę żyć normalnie! – podniósł głos sołtys. – Gdy wreszcie uporaliśmy się z głównym problemem, gdy możemy liczyć na zachowanie naszego stylu życia, w obecności takich gości…

– Jakich gości? – szepnąłem, rozglądając się po rozległym tłumie.

Odprasowane koszule, podarte kurtki, wypastowane buty, pokryte śniegiem gumiaki, niewyspane twarze i puste oblicza. Dopiero wtedy zdałem sobie w pełni sprawę, jak wiele osób dookoła nie jest wcale z Chołów, tak jak i dziwaczny pop, który przysiadł się do mnie na moment.

– Nieustannie giną ludzie, rodziny są rozbijane o próg naszych domów, w które zapraszamy najbardziej obrzydliwe i nikczemne kreatury! – huknął Maurycy, zagłuszając po raz kolejny sołtysa.

– Pokorne ciele dwie matki ssie! We wczorajszej pełni nie straciliśmy nikogo – odparował Bieniasz. – Wystawiane kukły działają, mamy coraz mniej zatruć pożytkami, a odkąd pan Drozd odkrył sposób na żebraki, to nasze dzieci…

– Pan Drozd jest akurat naszym problemem, a nie zbawieniem. – Ludzie zaczęli mi się przyglądać i ani jedno z tych spojrzeń nie było pozbawione uprzedzenia, lęku lub zwyczajnie gniewu.

– O, kurwa – rzuciłem nieopatrznie.

– To przez niego i jego bzdury ludzie myślą, że mogą wchodzić do Lasu i szukać tam nie wiadomo czego.

– Nie tak się sprawy mają – podniosłem głos.

– A przez kogo zginął Jarosław?! – zagrzmiał nagle Maurycy. – Stanisław, Felicjan… Straciliśmy mnóstwo wspaniałych, pobożnych

ludzi, których Drozd namówił do zwalczania jednego z tysięcy lich, jakie czekają w gęstwinie leśnej. To nie jest jego zabawa, nie może tak po prostu rzucać ludzi na poświęcenie.

– Ryzykowałem własnym życiem! A oni mi pomogli z własnej woli! – krzyknąłem, czując, jak burzy się we mnie krew. – Jakoś nie protestowałeś, gdy ludzie chcieli mnie oddać tej maszkarze żywcem. Gdzie wtedy było twoje zafrasowanie ludzkim losem?

Ktoś bardziej mi przychylny mruknął coś pod nosem z aprobatą i tyle. Ten jeden cichy szept był wszystkim, na co mogłem liczyć ze strony nijakiego tłumu zaaferowanych twarzy, wystających spod czapek.

– Dosyć! Nie ma Krzykacza, nie ma powodu, by kłaniać się ze strachu diabłu! – ryknął donośnym, władczym głosem kapłan i dał znać kilku chłopom, których dopiero teraz zauważyłem przy stelażu śnieżynki.

Ktoś chwycił kanister koloru zgniłej oliwki i chlusnął czymś na pomnik w kształcie płatka śniegu. Zaraz ktoś inny podbiegł i zaczął się szarpać z drugim Chołownikiem, krzycząc coś o niebezpieczeństwie. Po chwili padł pierwszy cios, a zaraz za nim cały plac objęła pijatyka, wrzaski i kłótnie.

Rozejrzałem się dookoła w zalęknieniu. Towarzysz z rogami, mignął mi gdzieś obok śnieżynki i nagle w niebo buchnął błękitny płomień, który zaraz przekształcił się w oranżową łunę. Skrawki tlącego się materiału pofrunęły wysoko, a cała konstrukcja stanęła w ogniu, kopcąc się czarnym dymem.

Wiatr zawył niemalże ludzkim głosem bólu, strącając talerze ze stołów i zrywając ludziom czapki z głów. Kilka osób jeszcze turlało się po ziemi w zapasach, warcząc na siebie i wydzielając sobie kułaki.

Wtem cała śnieżynka z rur jęknęła przeciągle, zgięła się i runęła na ziemię, przygniatając dwóch, kłócących się mieszkańców. Podmuch wiatru

wzniecił tumany białawego nalotu i szarawego pyłu, który objął wszystkich zebranych.

Zgasły światła, zapadła cisza przerywana zawodzeniem rannych i pojęliśmy, że stoimy osamotnieni na placu w bardzo dziwnych pozach. Ponad połowy ludzi nie było. Stoły świeciły pustkami, wszędzie leżały śmieci, a ziemię oświetlał tylko księżyc i gwiazdy.

Zniknęli także goście, którzy nie byli z Chołów. Nie mogłem się nigdzie doszukać dziwacznego Dionizego ani innych, obcych twarzy, które zniknęły tak nagle, jak się pojawiły na biesiadzie.

Chwyciłem ze stołu pół litra wódki, rozejrzałem się ostatni raz po pobojowisku i opuściłem plac zabaw.

– Jak nie sraczka, to urok – szepnąłem do siebie i pociągnąłem łyk z butelki. – Cholera, już nawet mówię jak oni. Tylko tego mi na głowie brakuje, by srali kolejnym bóstwom na ołtarz, obijali sobie mordy, a to wszystko do wtóru klechy, który kłania się wszystkiemu, co nie odwzajemni ukłonu.

Dopadło mnie to znamienne uczucie déjà vu. Ot, znowu wracałem z jednego z rytuałów Chołów, moim jedynym towarzyszem była flaszka, noc gwiaździsta i zimna, a na starej ścieżce do domu nic, tylko wiatr i diorama Lasu.

Spojrzałem w kierunku nieruchomej, gigantycznej ściany drzew. Dziś to były same sosny, pokryte białym puchem, którego nie strącał żaden z porywów wichru. Nazajutrz mogły

to być wysokie sekwoje albo rozłożyste buki, nikt nie mógł wiedzieć. Teraz spokój, odpoczynek, ot, las zimowy, ale nadal Las.

Nagle usłyszałem trzepot skrzydeł, który wydał mi się tak paskudnie znajomy. Spróbowałem wymacać pistolet na piersi, ale przecież go nie zabrałem.

Wziąłem głęboki oddech, zważyłem w dłoni butelkę, wyczekałem odpowiedni moment i zamachnąłem się nią za siebie na wysokości szyi. Butelka przecięła powietrze i jakby pociągnęła moją rękę, która spodziewała się oporu, ale takowego nie napotkała.

Omal się nie przewróciłem, robiąc bardzo nieudany piruet. Jedyne co udało mi się osiągnąć, to nastraszenie wrony, która wzleciała nade mną i przysiadła beztrosko na jednym z metalowych szczebli płotu.

Gdy obróciłem się z powrotem w kierunku Lasu, przede mną stał Dionizy, wpatrując się we mnie ze współczuciem. Odezwał się nagle no-śnym, spokojnym głosem:

– Wybacz, że tak wszyscy zniknęliśmy. Nikt przy zdrowych zmysłach by nie chciał, aby posądzono go o udział w takiej farsie.

– Jasne, rozumiem – odpowiedziałem cierpko, wzdychając od serca. – Sędy, prawda? Już wiem, skąd pamiętałem, Pień wymieniał razem z resztą wsi, które padły w pierwszych dniach przybycia Lasu.

– Nie tak pierwszych, ale fakt. – Kurobród nie mrugał, zamiast tego patrzył się tęskno w moim kierunku, jakby na przestrzał, pomimo mojej obecności. – Dąb, z którym byliśmy tak związani, okazał się mniej zakorze-niony w ziemi, niż my w nim. Pewnego dnia po prostu odszedł, zabierając nas wbrew naszej woli. Chociaż Bogiem a prawdą, to jaką mieliśmy alterna-tywę do ucieczki?

– Jesteś duchem, tak?

– Możesz to tak nazwać, ja bym powiedział, że utknąłem w klatce schodowej, na półpiętrze między mieszkaniami.

– Mówisz o poziomach Lasu?

Dionizy wzruszył ramionami, jakby niechętnie przyznając rację, samemu nie będąc przekonanym. Ewentualnie po prostu nie obchodziło go wyjaśnienie, bo mógł się po latach przyzwyczaić do samych efektów.

– Chcę cię ostrzec – powiedział duch, patrząc w końcu na mnie, a nie pomimo mnie.

– Czyżby przed Lasem? – spytałem, przechodząc przez ciało Dionizego w kierunku swojej posesji.

– Przed ojcem Maurycym.

Zatrzymałem się na moment, pociągnąłem łyk z butelki i dopiero wtedy zauważyłem, że zawartość chlupocze na dnie, choć wypiłem stosunkowo mało. Widocznie wylałem nieco przy zamachu albo to już alkoholizm.

– Stary, poczciwy ksiądz, który czuje, że jego stadko wymyka mu się z rąk. – Wzruszyłem ramionami i podszedłem do granicy ogrodzenia, gdzie dalej był tylko rów melioracyjny, a potem pola.

– Stary, to prawda. – Duch pogładził się po brodzie i pojawił się koło mnie nagle i bezszelestnie, nie kryjąc się z niebyciem człowiekiem. – Natomiast już nie taki poczciwy, a nawet stado nie wymyka mu się z rąk, a samo w nie wskakuje ze strachu.

– Strachu?! – warknąłem rozgoryczony, na samą myśl o wcześniejszej rozmowie z księdzem. – Przecież nigdy nie mieli mniej powodów do strachu, niż teraz. Wreszcie mamy jakąś inicjatywę, efekty. Ostatnio nawet zacząłem liczyć piętra i jak dawkować pożytki.

– Ich nie obchodzą efekty, Drozd. – Dionizy spojrzał na mnie z jednej strony, a po drugiej stronie płotu przysiadła wrona o jednym, czerwonym oku. – Ich obchodzi stałość, bezpieczeństwo i przewidywalność czasów. Dla nich całym życiem do tej pory była stabilna dekompozycja w zgodzie z ich sumieniem, rozumiesz?

– Więc mam po prostu słuchać, jak śpiewają swoje pieśni, ale kiedy napotykają coś nowego, na co pieśni nie mają, to mam odwracać się i zatykać uszy? Mają prawo mieć swoją kulturę, tylko niech nie skaczą za nią w ogień. Przecież nawet sołtys się ze mną zgadzał!

– Bo nie ma wyboru – odrzekł duch. – Jeśli nie pójdzie na ustępstwa i nie przygotuje ludzi na swoje odejście, to ta krucha równowaga zostanie całkowicie zerwana na rzecz spirali chaosu, ściągającej ich w dół.

Wyjąłem z kieszeni papierośnicę, chwyciłem jażyka i zacząłem oklepywać się w poszukiwaniu zapalniczki. Nagle błysnęło błękitne światło i dostrzegłem, jak duch cofa swój palec od zapalonego pożytku.

– Drozd, mało wiesz, a próbujesz mędrkować.

Zaciągnąłem się nerwowo, wypuściłem słodki, silnie pachnący dym i obejrzałem się

na ducha, którego oblicze wydawało się symulować zmartwienie.

– Łatwo tak mówić, gdy od pół wieku nie ma się na nic wpływu.

Ogień skręta zgasł nagle.

– Oj, nie drocz się tak ze mną – syknąłem i jażyk znów zapłonął. – Po prostu irytuje mnie to, że raz ksiądz i sołtys chcieli mnie zabić, ja zaryzykowałem wszystkim, by ich chronić, a teraz znowu próbują to wszystko zniweczyć. Może trzeba było zamieszkać w leśnej chacie i mieć spokój.

– Jak ja? Za życie w Lesie płaci się czymś więcej niż brakiem bieżącej wody.

Kurobród patrzył się przez moment na panoramę Lasu, westchnął i powiedział mi na ucho:

– Zadam ci zagadkę i myślę, że jeśli na nią odpowiesz, to znajdziesz rozwiązanie swoich problemów. – Duch batiuszki odchrząknął, choć przecież nie musiał. – Czy mogę w tym stanie zgrzeszyć?

– Nie jestem teologiem – odwarknąłem i doznałem nagłego uczucia pustki.

Duch zniknął, a jego ogienek na jażyku pozostał. Spojrzałem na przypatrującą mi się z ciekawością wronę, zaciągnąłem się mocno i pstryknąłem niedopałkiem w kierunku ptaka, płosząc go.

– Ruchliwa okolica – szepnąłem do siebie zmęczony i dostrzegłem, jak ścieżką od Lasu idzie postać.

Postać była niewysoka, za to obleczona kilkoma warstwami skór, obwieszona torbami, z pleców zwisał jej łuk, a nad głową sterczał szóstak, czyli para jelenich rogów, każdy z trzema zakończeniami. Do pierwszego i drugiego rzędu przywiązano furkoczące, czerwone i jasnozielone wstążki. Na krańcach rogów były dwie brudne nitki bandaży.

Nieznajomy szedł bardzo powoli, wyłaniając się spośród zadymki. Delektowałem się każdym detalem, jaki eksponował księżyc z całej sylwetki. Wymalowane ochrą symbole na jeleniej czaszce były hipnotyzujące. Widziałem szczegółowo oddaną postać krowy, a obok pszczeli ul i kilka uniwersalnych znaków w leśnym języku.

Las nie miał swojego języka jako takiego, natomiast nie raz natykaliśmy się na ślady systemów komunikacyjnych, gdzie każdy symbol był przypisany do jakiegoś elementu świata realnego. Naliczyłem co najmniej cztery takie pseudoalfabety, ale jeszcze żadnego nie rozszyfrowałem. Byliśmy pewni ledwie kilku znaków, niby uniwersalnych, takich jak te, które niósł na sobie człowiek z Lasu.

Nad prawym okiem miał harmonię, nad lewym ciszę, na lewym płacie skroniowym była kora, a prawego nie mogłem dojrzeć, ale wiedziałem, że jest to droga.

Wiatr łopotał naderwaną płachtą skóry, którą zasłoniono usta i główny filtr. Żółtawo szara guma zaczynała się tam, gdzie powinna była być żuchwa, gdyby takowej czaszki jelenia nie pozbawiono. Zamiast tego sam czerep przylegał ściśle do głowy człowieka i jak maska przeciwgazowa zaciskał się na szyi.

Przybysz szedł spokojnie, pewnie. W jednej dłoni kołysał zakrwawionym toporkiem, w drugiej zwisało mu coś, co wybiło mnie z rytmu. Był to

płócienny wór, duży, wypchany jednym, twardym przedmiotem, który odznaczał się okrągłymi krańcami i jednym ostrym.

Ten wór przeciekał i zostawiał na ziemi strugę czarnej krwi.

Koszmarna postać zbliżyła się, rzuciła wór na ziemię i przytuliła do mnie. Czułem mocny zapach rumianku i lekką nutę goździków. Oczywiście oprócz tego był smród krwi i cokolwiek brudnego i przesiąkniętego rozkładem leżało w worku.

– Sześć dni, zaczynałem się martwić. Po zapachu wnoszę, że wracając, szłaś pod górkę, tak?

Demoniczna postać odsunęła się ode mnie, włożyła kciuki za obojczyk i oderwała od skóry lepką, przepoconą gumę. Maska jelenia odeszła z paskudnym mlaśnięciem, po czym jej właścicielka odrzuciła do tyłu skołtunione, popielate włosy. Wpierw wzięła głęboki, czysty oddech i dopiero po chwili, łapiąc się dla pewności płotu, wyszła z transu podróży.

– Co z chochołem? – spytała Lusia, patrząc się z mieszaniną tęsknoty i zawodu na najbliższe posesje Chołowników.

– Zbudowałem ci uroczą kukłę, która przez całą noc poruszała miotłą w lewo i prawo. Także gratuluję, miałaś mechanicznego chochoła – powiedziałem i widząc jej przestraszoną twarz, od razu zastrzegłem. – I skoro żyjesz, to widocznie wszystko zadziałało, spokojnie. Kolos z Lasu może i jest regularny, ale niezbyt dokładny.

– Fakt, ciężko rozróżnić człowieka od kukły z wysokości kilkudziesięciu metrów.

– Myślę, że miał z setkę – mruknąłem, drapiąc się po zarośniętej szyi. – Był naprawdę ogromny, utkany z dymu i zostawiał za sobą ślady wielkie jak stodoła.

– Setkę to chyba ty miałeś – stwierdziła niby półżartem, odsuwając się ode mnie i zatykając nos. – Rozumiem, że popijawa była udana.

Łucja zaśmiała się na moment, obnażając zęby, siwe jak kość słoniowa. Najpewniej przez ostatni tydzień kruszyła nimi suche wafle i nie mogła się doczekać spróbowania czegoś bardziej soczystego.

Obejrzałem się na bok, wzruszyłem ramionami, coś tam wymruczałem bez składu i to jej wystarczyło, by sama zrozumiała, że nie wszystko poszło zgodnie z planem. Wpierw nawet nie pytała, wzięła kolejny głęboki oddech, jakby zaraz miała założyć poroże i wrócić do Lasu, ale zaraz odważyła się powiedzieć:

– Co się stało?

– Diabeł przywdział ornat i na mszę ogonem zadzwonił.

– Niech będą sądzone czyny człowieka, a nie jego godność – odparła.

– Ślicznie, a umiesz po łacinie?

– Nie.

– Actus ho…

– Jurek! – warknęła gniewnie i widziałem, że nie żartuje. – Dosyć zabaw, pośmialiśmy się, potęskniliśmy, tak? Świetnie, a teraz powiedz mi, dlaczego nie słyszę muzyki, a mamy dwudziesty czwarty.

Na moment zapatrzyłem się w pustkę. Nie czułem już przyjemnego ciepła alkoholu, nie miałem nastroju do żartów, z sympatycznego spotkania z przyjaciółką nie pozostał nawet czuły dotyk na powitanie. Znowu byłem tylko ja, proza życia i kaskada problemów.

– Ojciec Maurycy stwierdził, że dobrym pomysłem jest porzucenie naszych… waszych tradycji. Chodziło mu raczej o taki, no nie wiem, aspekt semantyczny.

– To jeszcze nie jest nic nowego – dopowiedziała nieufnie Łucja, przeczuwając coś gorszego. – Zawsze tak mówił, ale przecież jest świadomy, że mamy pewien dług, który musimy spłacać. A jeśli on tego nie nazywa długiem, to po prostu mamy sąsiada, z którym musimy współżyć.

– No więc ksiądz jest innego zdania i najpewniej to on kazał podpalić śnieżynkę.

Pierwszy raz widziałem usta Łucji, układające się do staropolskiego „kurwa mać”, natomiast nie dane mi było usłyszeć. Zamiast tego zobaczyłem, jak jej dłoń zaciska się z mocą na trzonku toporka i nie ma zamiaru zluzować.

– A czy ojciec Maurycy zdaje sobie sprawę, że śnieżynka ku czci, nomen omen, Śnieżynki jest czymś więcej niż jedną z miliona kapliczek maryjnych?

– Wiem, że to zawsze ja jestem bardziej cięty w tych kwestiach, natomiast proszę cię, uspokój się, bo…

– Nie mów mi, że mam się uspokoić! – podniosła głos i rzuciła siekierę na ziemię. – Nawet nie wiesz, przez jakie… A zresztą, przecież wiesz i to jest chyba najgorsze.

Przez moment staliśmy w milczeniu, nasłuchując wyjącego wiatru. Ja patrzyłem w kierunku Lasu, ona w kierunku Chołów. Każde z nas wracało z jednego złego miejsca i przypominało sobie, że drugie nie jest wcale lepsze.

– Dziś już nic z tym nie zrobimy – rzuciłem po dłuższym namyśle i obróciłem się w jej stronę. – Może chcesz mi coś opowiedzieć o tajemniczym, spóźnionym prezencie bożonarodzeniowym? Jak znam Choły, to Mikołaj zachowuje węgiel dla grzecznych dzieci, a rózgi sam się boi zerwać i ukręcić.

Lusia zaśmiała się w końcu, pokiwała głową i rozpakowała worek. Ze sporym trudem wyjęła ze środka wielki, acz wychudzony łeb konia, obleczony czarną skórą. Spod długiej grzywy spoglądały na świat całkowicie białe oczy zastygłe w wyrazie przerażenia.

– No cóż, wybacz, chyba będę rzygał – odpowiedziałem grzecznie, obróciłem się i zgiąłem w pół, ale po chwili udało mi się odzyskać pion i spojrzeć na łeb. – Moment… Chwila… Walczę ze sobą, jeszcze nie mam pewności.

– Skończ teatrzyk, widzieliśmy gorsze rzeczy. Ty przynajmniej nie musiałeś mu wypruwać żołądka.

– Zmieniłem zdanie, teraz będę rzygał – dodałem, ale zamiast tego zbliżyłem się i obejrzałem czerep z bliska. – Konie nie są przypadkiem jakieś takie mniejsze? Zresztą, jak na łeb konia to całkiem lekki, jakby pusty w środku. A co to w pysku? Czy to są kły?

– To wszystkożerca.

– Czasami nie wiem, kiedy kończy się żart, a zaczyna horror. Może chcesz mi rzucić jakimś wyjaśnieniem, dlaczego przytaszczyłaś z Lasu głowę konia szablozębnego?

Lusia odłożyła worek wraz z zawartością z powrotem na ziemię i wytarła krew z rękawiczek o spodnie. Wtedy dopiero zdjęła z siebie plecak, a następnie drugi, ot, zwykły mieszok. Sięgnęła do tego, który na pewno nie był jej i nosił znamiona znacznego wieku, po czym wyjęła ze środka niewielki notesik, obity skórą.

– Stała się jedna z tych rzeczy – wyjawiła po chwili.

– Widziałem kiedyś taki plecak – odpowiedziałem, odbierając od Lusi książeczkę.

– Co jakiś czas znajdujemy trupy po czerwonoarmistach, ale wiesz, jak tego znalazłam? Byłam już w drodze powrotnej, gdy usłyszałam takie gardłowe pohukiwanie i krzyk, jakby kogoś obdzierali żywcem ze skóry. Podkradłam się, zauważyłam tę dwójkę – wskazała na plecak i czerep – w rozpadlinie, która przypominała coś w rodzaju polanki o dużym zagłębieniu i…

– Chcesz mi powiedzieć, że on jeszcze żył? – spytałem, odrywając się od książki.

– Miałam ci właśnie powiedzieć, mógłbyś nabrać nieco ogłady i cierpliwości – ofuknęła mnie i wróciła do roztaczania swojej wizji. – Opuściłam się po korzeniach, przysiadłam na półce skalnej i dostrzegłam, że koń jest wychudzony, pokraczny i poraniony. Akurat okropnie haratał tego nieszczęśnika, więc zdjęłam z pleców dziryty i...

– A te dziryty pani amazonka skąd miała?

– Z kapelusza, a jak myślisz? Zrobiłam je u jednego Samosiedlca, ale o tym innym razem. Liczy się to, że ten Konieczek był…

– Konieczek? – parsknąłem śmiechem.

– Będziesz mi przerywał? Tak, nazwałam go sobie Konieczkiem, bo brzmi lepiej, niż mięsożerny, ćwierćtonowy bydlak.

Podniosłem ręce i schyliłem kark na znak poddańczości.

– No właśnie, lepsze to niż kolejne nienazwane licho… Gdzie ja skończyłam?

– W dole.

– Tak, w dole, gdzie ten Konieczek wreszcie padł, bo dziryty nasmarowałam lulkiem czarnym. Niestety musiałam poczekać, aż trucizna zacznie działać, więc zeszłam na sam dół dopiero po tym, jak zeżarł archiwistę żywcem i tak, nazwałam tego żołnierza archiwistą, przysięgam, że jak jeszcze raz się zaśmiejesz, to nakarmię cię własnymi uszami.

– Nie, akurat to mi nie przeszkadza. To sołdat, jak każdy inny, ten akurat piśmienny całkiem, więc równie dobrze może być archiwista. I tak pewnie nie żyje i go nie pochowałaś, prawda? – spytałem, widząc, jak na jej twarzy mieszają się emocje gniewu, poczucia wstydu i frustracji.

– Wycięłam go nożem z żołądka tej bestii. Niestety, było za późno.

– Młody?

– W moim wieku.

– Czyli młody – mruknąłem, uśmiechając się.

Lusia schyliła lekko głowę, szczerząc zęby. Nagle jednak posmutniała albo inaczej, spojrzała po prostu w ziemię takim pozbawionym zapału wzrokiem.

– Teraz to brzmi tak prosto, ale gdyby to nie był koń w dole, a na przykład wilk albo małpa czy inna sprawna rzecz? Mogłoby mnie tu już nie być. Jestem na siebie strasznie zła tak naprawdę.

– Czasami lepiej zachować dystans, chociaż nie jestem dobrą osobą, by cię w tej kwestii pouczać. Nie wiem w jakim stanie i gdzie byłaś. Kiedy człowiek jest głodny, w jego ciele mieszają się pożytki, piętro skacze w górę i w dół, a na każdym kroku jest karykatura cudu, to można podjąć bardzo nielogiczne decyzje.

– Nie zrobiłam tego z ciekawości, tylko ty robisz to z ciekawości i nie powinieneś. Ja zrobiłam to, bo myślałam, że uratuję człowieka. Potem nie było co zbierać, hałas mógł ściągnąć większego drapieżnika, a w gruncie rzeczy byłam stratna kilka dzirytów i…

– I zabrałaś trofeum. – Pokiwałem głową z nieukrywanym szacunkiem.

– To nie trofeum – przeciągnęła Lusia, jakby walcząc sama ze sobą, czy mówi prawdę, czy nie. – Konie są rzadkie, zwłaszcza w Lesie. Jest w nich coś pięknego, jakieś poczucie siły, którego mi trzeba. Dlatego liczę na to, że nasza Gopulska zrobi z tego coś przydatnego. Chociaż będzie problem, żeby się z nią dogadać.

– Konie… Są dalekie od pięknych i silnych stworzeń – powstrzymałem się przed dalszym komentarzem, bo jakakolwiek krytyka mogłaby się spotkać ze stwierdzeniem, że jestem tylko mieszczuchem, więc nie powi-

nienem się wypowiadać. – Natomiast popieram tę drugą część twojej wypowiedzi.

Przez moment patrzyliśmy się na siebie w milczeniu. Wiatr cichł nieco, płatki śniegu opadały nam na twarze i kłuły w odsłoniętą skórę. Zbliżyłem się do niej o krok – miałem jedno z tych uczuć, kiedy chce się coś powiedzieć, ale nie za bardzo się wie, na jaki temat. Bardziej miałem po prostu odczucie, pewną nić porozumienia i chciałem ją podeprzeć słowami.

– Przeczytaj dziennik, a ja pójdę się umyć… do siebie – dodała prawie bez widocznej przerwy, jakby wolała mnie upewnić. – Także powodzenia Drozd.

– Powodzenia z czym?

Nie odpowiedziała. Wzruszyła jedynie ramionami, jakby straciła całe zainteresowanie rozmową, zabrała swoje toboły, a następnie ściskając kurczowo maskę i topór w dłoni, ruszyła wzdłuż drogi do wsi.

Zamknąłem furtkę na łańcuch i już miałem wrócić do domu, gdy coś mnie tknęło, że może czekać mnie niezbyt przyjemna noc. Ostatecznie skierowałem swoje kroki do drzwi od piwnicy, które pokrywała coraz grubsza warstwa śniegu.

Drzwiczki zostawiłem za sobą otwarte, nauczony dawnymi wydarzeniami, że nie warto odcinać sobie jedynej drogi ucieczki. Już po chwili byłem na dnie piwnicy, ściskając w dłoni wyłączoną latarkę, którą nauczyłem się odkładać zawsze w tym samym miejscu.

– Dobry wieczór, przeszkadzam? – spytałem w zimną pustkę.

Poczułem, jak ciemność obwąchuje mnie z każdej strony, jakby wytwarzając tysiące drobnych próżni dookoła skóry. Teraz te mikroskopijne otchłanie znajdowały się na granicy czucia, podrażniając najdelikatniejsze włoski.

Nagle pustka jakby zniknęła, uleciała w nicość i dopiero wtedy włączyłem latarkę i odłożyłem tak, by świeciła w sufit.

Nicość, otchłań, pustka, z czasem człowiek uczył się wyczuwać i odróżniać jedno od drugiego. Mogła to być iluzja, paranoja lub celowe zakłamywanie rzeczywistości, ale lepiej było dostosowywać się do pewnych zasad niż próbować je nagiąć na siłę.

Odpaliłem podwieszoną pod sufitem lampę gazową, by było choć jeszcze trochę jaśniej i rozejrzałem się po wnętrzu piwniczki. W gruncie rzeczy nie było tu wiele niezwykłości, ot, zimowa piwnica. Węgiel, kartofle, do połowy pełna lub pusta miska podstawiona pod cieknącą rurę i kapryśny hydrofor.

Natomiast wprawne oko mogło szybko zorientować się, że coś odstaje od spodziewanego obrazu rzeczywistości. Na oddzielnych półkach, oprócz peklowanego mięsa i konserw, leżały słoiczki i przykryte materiałem szklanki z osobliwościami.

Podniosłem jedną z płaskich konserw z etykietą głoszącą: „Etykieta zastępcza, wołowina mielona, przechowywać w suchym miejscu".

Pociągnąłem nosem, otuliłem się mocniej płaszczem i włożyłem puszeczkę do kieszeni. Dopiero następnie minąłem sekcję szklanek, w których wyroby musiały oddychać i nie można ich było zamykać, inaczej cała specyfika mieszaniny zmieniłaby się i stała bezużyteczna, jeśli nie po prostu szkodliwa.

– To się nada – mruknąłem do siebie, sięgając po encyklopedię wielotomową, zawierającą hasła od litery H do I.

Otworzyłem tomiszcze na jednej z opisanych ołówkiem zakładek i moim oczom ukazały się dwie, pożółkłe karty, które przez tyle tygodni ściskały w sobie specyficzną i bardzo mi potrzebną roślinę.

Tysiąclist, ten konkretnie rzadszy, czerwony, można było suszyć po prostu pod sufitem, w długich niciach, ciągnących się do ziemi. Natomiast miejscowi nadal twierdzili, że suszenie w książce wyzwala inne właściwości. Szczerze powiedziawszy, to ciężko było się domyślić, kiedy tubylcy mówią o realnych, unikalnych elementach miejscowego zielarstwa, a kiedy po prostu powielają wielopokoleniowe bzdury. Wszystko trzeba było odkryć samemu i wtedy dopiero ocenić.

Wyjąłem ze środka końcówkę łodyżki, nad którą były sprasowane, białe baldachimy kwiatów z brązowymi brzegami. Zaraz odłożyłem kwiat na bok, sięgnąłem po kolejną księgę i wyciągnąłem ze środka tylko kilka kawałków zasuszonego, fioletowego przetacznika leśnego. Ten co prawda nie był mój, Gopulska zebrała go jeszcze w kwietniu i dała mi na dobry sen, więc starałem się wydzielać sobie po odrobinie, aż będę mógł uzbierać własny.

Zgniotłem oba kwiaty w moździerzyku, potrząsnąłem proszkiem zmieszanym z kurzem i zbliżyłem się do dziwacznej maszynerii, którą dawno temu nieopatrznie wziąłem za destylator do bimbru.

Podłożyłem ogień pod główny zbiornik, sypnąłem mieszaniną do zaczerniałego piecyka i odkręciłem nieco rurę, by zaczęła sączyć dym do izby.

– Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz – rzuciłem sam do siebie i od razu zamilkłem.

Z masywnej, metalowej szafy dobiegło pojedyncze, ciche uderzenie.

Pokręciłem jedynie głową, zgasiłem lampę, odłożyłem latarkę na półkę i wyszedłem z piwnicy, zamknąwszy za sobą drzwi. Odchodząc, zdało mi się, jakby z dołu dobiegło ostatnie memento, jedno zdławione uderzenie z szafy.

* * *

Był ciepły i suchy wieczór, świerszcze grały cicho w wysokiej trawie, a drzewa kładły się do snu, szumiąc niezłomne „dobranoc". Wtedy to kapitan Nikołaj Aleksandrowicz Karpow przyznał, że wraz ze swoim oddziałem się zgubili.

Co musieli myśleć najpierw? Że to przypadek i po prostu są gdzieś obok, a celu nie widać przez gąszcz drzewostanu. Odłączyli się od dywizji tylko na moment, jakby przypadkiem, nie bardzo wiedząc jak. Więc siłą rzeczy towarzysze powinni byli być blisko, na to by wskazywała logika, prawda?

Nieprawda. Znam to bolesne, przeszywające do granic możliwości frustracją uczucie, gdy podążasz szlakiem wnioskowania i nie dochodzisz nigdzie. Bo jeśli wkroczyliby do lasu, to rzeczywiście wszystko by się zgadzało. Niestety dla nich, nie wiedzieli, że w pewnym momencie las zmienił się w Las.

Wypuścili flarę po zmroku i rozłożyli tymczasowy obóz. Narąbali drewna, rozpalili ognisko i popełnili jeszcze kilka równie tragicznych błędów.

Właściwie od tego momentu dziennik zaczął przypominać formę mniej zapisu wydarzeń, a bardziej serii prywatnych, emocjonalnych wywodów. Przywodziło to na myśl zapiski rozbitka, którego fale wyniosły na wyspę pośrodku niczego.

Nocą ktoś zaatakował obóz; do tego wydarzenia jeszcze myśleli, że są na wojnie. Mimo gnących się drzew, liści z ptasich piór, szepczącej na granicy słyszalności kory i innych niewyjaśnionych zjawisk. To nadal byli tylko przerażeni, głodni młodzieńcy na wojnie, myślący, że idą walczyć z faszystami.

Musiało ich napaść coś wielkiego, ale jeszcze nieukształtowanego. Widocznie jedna z machin przybyszów, o których mówiło mi Serce. Przyznaję, że czytając o tym, jak gigantyczne, rogate, zdeformowane bydle wyżyma transporter opancerzony niczym brudną szmatę, zastanawiałem się jedynie nad stworzeniem, a nie nad mordowanymi żołnierzami.

W końcu to była część tradycji Chołów; nienawiść do sowieckiej inwazji. Ucieczka w kulturę, własne rytuały, język, który przybrał namacalną formę. Niestety, ostatecznie wymieniono jednego nieproszonego gościa na innego, który wcisnął stopę w drzwi i okazał się zbyt silny, by go wyprosić.

Ku własnemu zdziwieniu przeczytałem, że sowietom udało się poskromić bestię. Scenariusz był nieprzyjemnie podobny. Otoczyli licho, strzelali tak długo, aż zmieniło się w wykręcone zwłoki, przysypane liśćmi i kościstymi ornamentami. Oczywiście była to wymiana z paskudnym przelicznikiem kilkadziesiąt do jednego. Mimo to dalej twierdziłem, że lepiej jest, żeby przetrwał ktoś, niż nikt; zapewne to samo myślał dowódca oddziału.

Potem było już tylko gorzej, a Archiwista zaczął pisać o tym, jak to świat rozjeżdżał się na dwie albo trzy części, wszystko gięło się, zmieniało kolory i wydawało narastające buczenie. Tak, najwidoczniej to wtedy zaczęły powstawać piętra. Chociaż kto wie, czy był taki moment, w którym przybysze musieli się zmieścić na jednym piętrze? Czy może raczej dopiero później zaczęły powstawać sposoby samej podróży między piętrami?

Efekt był tego taki, że nieświadomi niczego żołnierze ruszyli na piechotę w kierunku zachodnim, licząc na to, że spotkają się z resztą armii albo chociaż znajdą jakąś drogę. Zorientowali się, że coś jest nie tak, gdy zniknęła kolejna osoba.

Dla kogo to mogło być straszniejsze uczucie? Dla człowieka, który widzi, że jego towarzysz rozpływa się w powietrzu i w ułamku sekundy

znika? Czy może dla znikającego, który widzi, jak wszystko zmienia się w półprzezroczystą fotografię, na którą ktoś nakłada inny, choć podobny świat? A po krótkiej chwili człowiek znajduje się w kompletnie obcym miejscu, gdzie nie ma ani towarzyszy, ani nawet nie da się wrócić do domu, którego nie ma, po własnych śladach w tym świecie, gdzie owe ślady nigdy nie istniały.

Kapitan nakazał wszystkim trzymać się jednej liny i zagroził, że zastrzeli tego, kto ją puści albo się odwiąże. Brutalne, zamordystyczne, skuteczne; przepis na wyjątkowo niebezpieczny typ człowieka.

Po kolejnym dniu błądzenia próbowali nie robić wszystkiego, co robili do tej pory. Nie zerwali drewna na opał, nie przygotowali ogniska i nie hałasowali. Noc przebiegła względnie bezpiecznie, choć jeśli mam być szczery, to notatki nie wyjaśniają, czy byli dalej na tym samym piętrze, czy przez noc wszyscy się przenieśli.

Oczywiście, nie mogli wiedzieć, a opis okolicy nie był szczególnie rozległy, ale bardzo szybko następnego dnia dotarli do wyłożonej kostką brukową i przysypaną piaskiem drogi wiejskiej.

Wtedy nie musieli już się bronić przed potworami, bo sami się nimi stali.

Wieś była w większej części zniszczona przez wydarzenia związane z pojawieniem się Lasu. Nikt nie raczył nawet spisać nazwy miejscowości, bo i po co nazywać przyszłe gruzowiska i popioły?

Ocaleni z leśnej masakry mieszkańcy zabarykadowali się wokół posesji, którą odgradzał mur z kilku warstw bali. Jest też wpis o koniach, które pewnej nocy zniknęły ze swojej stajni, choć nie wiadomo, czy same, czy ktoś im pomógł. Od tamtej pory mieszkańcy byli odizolowani i dokładali jedynie kolejne warstwy improwizowanego częstokołu z drewna i śmieci.

Bez zaskoczenia żołnierze zrobili to, co zrobili na całym wschodzie. Największy lęk czułem, czytając o tym, jakby to była dla nich najnormalniejsza część dnia. Pozbycie się ludzi, zajęcie inwentarza i te wszystkie, pozornie suche fakty, za którymi kryło się katowanie i pogrom lokalnej ludności.

Czytałem dalej przez ściśnięte gardło, gdy Archiwista po prostu zapisywał, że wreszcie mogą zjeść świeżą wieprzowinę, napić się, spróbować konfitury i pospać na miękkim. Było jeszcze o tym, że nastroje poprawiły się, choć sam kronikarz nie połączył faktów i nie wiedział, dlaczego Las ma mniejszą prezencję wewnątrz częstokołu.

Mniej drzew, mniej roślin, więcej spalenizny. Mieli względne dwa dni spokoju i tylko ci, którzy byli dość nierozważni, by wyjść poza obręb wsi, już więcej nie wracali. Byli tylko i aż kilkaset metrów dalej, ale przy tym niezliczoną ilość nieznanych jednostek miary w innym niedefiniowalnym kierunku.

Następnym wydarzeniem, które przypisywałbym działaniom nowopowstałego Lasu, były konsekwencje wykorzystania przez jednego z agresywnych sołdatów młodej dziewczyny. W normalnych warunkach pominąłbym graficzne szczegóły, ale w tym wypadku proces miał istotne znaczenie dla powstania anomalii.

Żołnierz, który zgwałcił kobietę, zrobił to, opierając ją o cembrowinę studni. Dziewczyna albo przez przypadek, broniąc się i szarpiąc, albo celowo, woląc taki los, wpadła do środka. W ciemności słychać było tylko jednorazowy trzask łamanej kości, a następnie lament i drapanie paznokciami o kamienie.

Wojskowi wpierw chcieli ratować dziewczynę, rzucając jej linę, ale ponoć ani razu się jej nie złapała. Nikt nie pomyślał o tym, by nawet ją oświetlić albo rzucić kobiecie cokolwiek do jedzenia. Zamiast tego kilka

razy ciśnięto, tu cytat: „chłamem”, wedle poprawności mojego tłumaczenia oczywiście. Dziewczyna tylko łkała, więc ją zostawiono.

Nad ranem jednak znaleziono ślad krwi, prowadzący od pokoi przystosowanych na potrzeby sypialni, aż do studni. Krew pokrywająca cembrowinę była niemalże czarna. Zamiast wiadra na linie, spod daszka studni zwisały jelita wytrzewionego żołnierza, który zaginął w nocy.

Z dna studni dalej dobiegało jedynie ciche chlipanie, przerywane spazmatycznymi oddechami i szuraniem paznokci o ściany.

To wystarczyło, by przegnać żołnierzy ze wsi, choć zapiski sugerują, że przed odejściem mogli podpalić lub w inny sposób zrujnować resztki zabudowań. Nie jest doprecyzowane, a na tej konkretnie kartce było kilka kropel krwi, przypadek albo poszlaka.

Dziennik dalszej podróży zawiera się w bardzo skąpym i miałkim opisie tego, że Las dziwił ich na każdym kroku i zdawało im się, że maszerowali tak pozornie bez dotarcia do jakiegokolwiek punktu orientacyjnego.

Powyższy stan rzeczy zmienił się przy leśnej kapliczce, gdzie zawieszono na drzewie coś w rodzaju budki z samymi jelenimi rogami. Ponoć niżej był wyryty napis, ale albo go nie zapamiętano, albo nie ostał się w oddziale nikt, kto znałby polski.

Któryś z żołnierzy najpewniej z ulgi przeżegnał się, ciesząc się, że wreszcie jest jakiś znak, że nie krążą w kółko. Kapitan strzelił mu w tył w głowy za agitację religijną. Odwiązano denata od liny, ruszono dalej i zapiski sugerują, że zwłoki bezszelestnie zniknęły razem z rogami kapliczki.

Dziennik jest bardzo nieprecyzyjny, gdyż w pewnym momencie informuje czytelnika o obecności żołnierza bez nóg, ale nie wspomina o nim nigdzie wcześniej. Nie ma brakującej strony, ot zaczyna się niezobowiązujące wspomnienie, że jeden z podróżujących z nimi ludzi nie ma nóg, więc pełznie, ciągnąc tułów rękoma.

Dopiero później pojawia się informacja, że zniknął jeden z żołnierzy, a pełznący człowiek nie jest po prostu więcej wymieniany. Jedynym logicznym, jeśli można je tak nazwać, wnioskiem jest, że cokolwiek z nimi pełzło, nie było jednym z żołnierzy, a stworzeniem, które jakimś niezrozumiałym sposobem zinfiltrowało ich szeregi.

Nie wiem, co mnie przerażało bardziej – że uznali pełzacza za jednego ze swoich, że przyjął tak wynaturzoną postać, czy to, że zapewne zabrał jednego z żołnierzy do Lasu i nikt nawet nie mrugnął okiem, ani nie połączył tych dwóch faktów.

Archiwista z każdą następną stroną coraz bardziej zaczynał się plątać we własnych rozważaniach. Nie wiadomo jak długo podróżowali ani w jakim roku się znajdowali i w jakim miejscu. Z biegiem wydarzeń można było odnieść wrażenie, że nie tylko krążyli w kółko w przestrzeni, ale i czasie.

Wreszcie zdarzyło się coś, co typowym dla Lasu utargiem odpowiedziało na jedno pytanie, w zamian zadając kilka. Archiwista chwycił plecak, prowiant i nawiał w czasie swojej nocnej warty, gdy jego przetrzebiony oddział obozował w kamiennym kręgu.

Dziennik od momentu osamotnienia stał się znacznie uboższy w opisy. Widocznie autor nie czuł się na siłach, by spisywać, co widział, gdy nie miał nikogo, kto by go ochraniał. Musiał się mieć stale na baczności.

Jednakże sama historia ma swoją konkluzję, gdy Archiwista dostrzegł ogromnego, czarnego konia, z którego sypał się szary popiół, a ciało zachowywało, jakby doznał on uszkodzenia mózgu. Leśny stwór według opisu wzbudzał zarówno przerażenie, jak i politowanie żołnierza.

Zwierzę podrygiwało ciągle, ocierało ciałem o skały w rozpadlinie, w której się znajdowało, a następnie próbowało podskoczyć w miejscu. Wszystko to mogło tworzyć obraz nieporadnego, rannego stworzenia, które potrzebuje pomocy.

Końcowy wpis w dzienniku brzmiał:

– Podejdę bliżej z ciekawości – wyczytałem na głos ostatnie słowa Archiwisty.

* * *

Obudziłem się nagle, czując, że ktoś mnie obserwuje. Poderwałem się z łóżka i jak najszybciej złapałem za leżący na stole nóż, którym wcześniej obierałem jabłka. Dookoła mnie było tylko jasne, mleczne światło.

W uszach nie dźwięczała nawet cisza, a szyby domu zdawały się zalane jakąś cienką warstwą farby. Domowe zapachy jakby uciekły, zostawiając po sobie jedynie ćwierć dawnej intensywności. Nawet na języku wyczuwałem coś nietypowego, a raczej czegoś brak. Nie miałem tego prozaicznego, zaschniętego, nieprzyjemnego uczucia po przebudzeniu.

Ubrałem się pełen niepokoju i uchyliłem ostrożnie drzwi na zewnątrz. Niebo przybrało kolor polerowanej blachy, błyskającej co chwila promieniami słońca, odbijającymi się wśród siwych chmur.

Świat wydawał się jakby przyciemniony, a może po prostu to ja byłem jeszcze niewyspany lub otumaniony pożytkami. Przez moment obstawiłem jeszcze możliwość, że to kac i nie ma żadnej tajemnicy. Jednak wkładając palec w zaspę śniegu, zrozumiałem, że coś jest zdecydowanie nie na miejscu. Hałdy puchu z poprzednich dni były przykryte nowym, innym rodzajem śniegu.

Bardziej sypki, szary, przypominający kurz, który wtapiał się w rzeczy, zamiast do nich przyklejać. Powstrzymałem się przed próbą powąchania go, wiedząc, że jeśli w Chołach natrafia się na coś dziwnego, to wąchanie i spożywanie jest najmniej rozsądnym pomysłem.

Może to te nowe projekty śnieżynki, pomyślałem, może przez spalenie płatka śniegu, teraz sypie popiół. Miałoby to pewien sens, ale mimo to coś mi się nie zgadzało w tym równaniu i jeszcze nie byłem przekonany.

Zdążyłem się umyć i ubrać w miarę po ludzku, gdy przeszło mi przez myśl, że wypadałoby się rozeznać w najnowszej sytuacji politycznej wioski. Podstawową kwestią było to, czy trzeba będzie przekonywać księdza do rozsądku, czy może dał sobie spokój, a wczoraj był po prostu pijany.

Przypomniałem sobie, jak niespotykanym, silnym i czystym głosem przemawiał Maurycy w czasie festynu i jak różny był to ton od tego, którym wygłaszał kazanie w kościele. Chociaż nie byłem żadnym muzykiem ani śpiewakiem, to nie wydawało mi się, aby istniały sposoby na tak nagłą poprawę emisji głosu.

Oderwałem kartkę z kalendarza, spojrzałem na datę, fazę księżyca, wschód i zachód słońca, po czym pominąłem kilka dni i oznaczyłem sobie trzydziesty pierwszy, kiedy to księżyc jest w fazie niknącego sierpa. Zaproszenie, które dostałem, wydawało mi się nadal niepewne i podejrzane, ale warto było mieć je w pamięci.

Idąc przez wieś, miałem nieodparte wrażenie, że nikt mnie nie obserwuje. A było to coś całkowicie odwrotnego, niż to, czego można się spodziewać na wiosce z zaledwie paroma uliczkami i zakrętami, splatającymi posesje o szerokich podwórkach.

Na moment spojrzałem w szare niebo, z którego sypał się popiół i przeszyła mnie nagła, przerażająca myśl, że może oni wszyscy zmienili się w pył? Po prostu ci, którzy wstali wcześniej ode mnie, rozpadli się na płatki pseudo-śniegu i kurzu, a ja miałem zaraz zmienić się w hałdę brudu i lodu.

Pył, gdy przeciskał się między czapką i szalikiem, rzeczywiście na zmianę szczypał zimnem albo parzył gorącem, igrając sobie z moim mó-

zgiem. Schowałem dłonie w kieszeniach i usłyszałem, że dobiega mnie jakaś nieodległa, wyciszona wrzawa spod domu samego sołtysa.

– Cholera, jak zimno – warknąłem sam do siebie, buchając parą z ust. – Jakby nie trzeba było zmieścić tych wszystkich gości wczoraj, to moglibyśmy całą uroczystość zrobić w ogrzewanej świetlicy. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Rzeczywiście, pod od dawna domagającą się remontu bramą posesji stał tłum mieszkańców. Nie był on spory, a co więcej, wydawał się całkiem cichy, ale twarze zebranych wyrażały najwyższe oburzenie. Coraz bardziej miałem nieodparte wrażenie, że przygłuchłem, szczególnie gdy dosłyszałem pierwsze urywki rozmów.

– Nie stało się nic istotnego – mówił ojciec Maurycy, ale jego głos był ochrypły, słabowity, niepodobny do wczorajszego. – Chyba możemy przyznać, że jest zima, to musi być zimno, a jeśli nawet się gniewa coś złego na nas, to tylko znak, że mamy rację.

– No, to co tak pada z nieba? – odwarknął zły sołtys. – Bo na pewno nie śnieg. Dla mnie sprawa jest jasna, rzucił ksiądz kamieniem w ul, a teraz nas dziabią pszczoły.

Kilka głosów podniosło się nagle z oburzeniem. Szybko pojawił się wyraźny podział na stronnictwo klerykalne i świecko-agrarne. Natomiast większość osób i tak wolała po prostu schować się przed dziwacznym opadem, zaciągając mocniej czapki na uszy.

– Dzień dobry, panie Zdzisławie – odezwałem się do najbliżej stojącego Chołownika

w przeżartym przez mole futrze. – O co tam afera?

– Dobry, panie doktor, dobry – mruknął starszy mężczyzna, pociągnął kilka razy nosem i jakby dopiero po chwili zrozumiał, że został o coś zapy-

tany. – Tego, co przyszedł z Lasu złapali, przywlókł choróbsko, no to będą go wieszać.

– Wieszać?! – podniosłem głos zdziwiony.

– Nie będziemy wieszać, jeszcze debatujemy – zwrócił się do mnie sołtys, dopiero teraz mnie zauważając.

– Cokolwiek go spotka, sam na siebie to ściągnął – dodał ktoś pouczającym tonem, patrząc się na księdza i wyraźnie szukając aprobaty. – Trzeba było do Lasu nie łazić.

– No właśnie, jego wina, bo jak on wrócił, to od razu się zaczęło.

– Wróciła w tym samym czasie Łucja Bieniaszówna, sołtysowa córka – dodałem, wywołując nagłe zdziwienie. – Jednak to nie znaczy, że ktokolwiek wczoraj przybył, jest winny. Tak samo były z nami te wszystkie… osoby z innych miejscowości, jak i my tam byliśmy, ale najważniejsze zdarzenie jest raczej oczywiste.

Wszyscy rozejrzeli się po sobie, jakby szukając wzrokiem kogoś, kto będzie dość odważny lub głupi, by podsycić kłótnię, której i tak wszyscy chcieli. Więc tak szybko, jak się dało, odezwał się młody Zenek, który smalił cholewki do córki Bieniasza, a zatem zawsze szukał u niego aprobaty.

– To wina księdza – podniósł głos Zenek i zaraz jakby sam zaskoczony sobą dodał. – Bo to ojciec Maurycy wczoraj kazał podpalić śnieżynkę i to proste, że teraz jego jest wina. Trzeba było siedzieć na dupie i się nie rypać.

– O, ty gówniarzu, jak ja ci pieprznę! – ryknął ktoś doniośle i zaraz zaczęły się pierwsze przepychanki.

– Spokój! – podniósł głos sołtys, ale kilka osób nadal próbowało się zaczepnie przewrócić, by wywołać pełnoprawną bójkę.

– Uspokójcie się – dodał ksiądz i rzeczywiście ludzie na moment zaprzestali waśni, ale na ich twarzach wciąż malował się gniew. – Nieważne,

czy przyniósł to ze sobą z Lasu tamten młodzieniec, czy to kwestia spalonego cielca.

Przewróciłem oczami, słysząc to ostatnie.

– W końcu wiele osób widziało, że to on, świadomie lub nie, podpalił śnieżynkę, więc ostatecznie jest to jego wina.

– On twierdzi inaczej – stwierdził Bieniasz.

– I komu mamy wierzyć? – odparował ksiądz. – Oskarżonemu czy świadkom?

– Jeśli śnieg jest taki szkodliwy, to proponuję się rozejść, bo i tak nic tutaj nie wskóramy. – Spojrzałem po wszystkich po kolei. – Chciałbym porozmawiać z tym Saprofitą, a wszystkim radzę wrócić do domów, załatać dachy i wynieść popiół z kominów.

– Będzie pan doktor czytał mu w myślach? – spytał ktoś zaciekawiony, choć ciężko było mi powiedzieć, czy to był przytyk, żart, czy poważne pytanie.

– Zobaczymy – odpowiedziałem bez przekonania. – A ojcu Maurycemu szczególnie prędko radzę wracać na parafię. W końcu wczoraj był ojciec pierwszy do przekrzykiwania się, a dzisiaj chudziutko z głosikiem, więc ten pył może jeszcze źle działać na płuca.

Ksiądz zmrużył oczy, chciał coś jeszcze dodać na koniec, ale nagle zatrzymał się z otwartymi ustami. Czyżby się zgodził? A może po prostu wiedział, że się akurat rozkaszle i nie chciał tym samym potwierdzać moich słów? Ostatecznie pomachał głową na boki i machnął ręką, odchodząc.

Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić w swoje strony. Odsapnąłem z ulgą i nagle usłyszałem wypowiedziane ostrym tonem:

– A pan doktor niech tak nie mądruje – odezwał się ktoś z wieśniaków i na moment reszta nadstawiła uszu, licząc na drugą rundę. – Bo nie

jest pan lepszy od tego brudasa, co przyniósł to choróbsko. I jak tak dalej pójdzie, to mi się widzi, że i pana weźmiemy na spytki, gdzie to się chadza.

Uśmiechnąłem się samymi ustami i poczekałem, aż sobie pójdą. Gdy tłum się wreszcie rozszedł, sołtys machnął jeszcze Zenkowi ręką, by nie czekał na nic, a on sam odwrócił się do mnie.

– Mam co do pana mieszane uczucia – powiedział szczerze, zbijając mnie tym z pantałyku. – Bo jest pan mędrek za trzy grosze, przyjezdny i odpowiedzialny za więcej problemów, niż ktokolwiek mógłby sobie naliczyć na palcach.

Może warto zacząć uczyć się, jak używać liczydła, pomyślałem jedynie, zachowując uszczypliwości dla siebie.

– A z drugiej strony wiem, że tak po ludzku nie robi pan tego ze zła.

– Z czego w takim razie?

– Z głupoty zwykłej – odpowiedział, otwierając furtkę. – No, zachodź pan.

– W sumie to z tym przepytywaniem, a już na pewno czytaniem w myślach, to ja tak blefowałem, ale faktycznie coś może być na rzeczy.

Droga była paskudnie znajoma, miałem nieustanne wrażenie, jakbym grał w jakimś spektaklu, którego scenariusza nie dostałem jedynie ja.

Zbliżyliśmy się do pomieszczeń gospodarczych, skąd i dokąd prowadziły wydeptane w śniegu ścieżki. Drzwi otworzyły się z irytującym skrzypieniem, potem minąłem korytarzyk, obok wannę, gdzie kiedyś widziałem leczone mchem zwierzę, a z drugiej strony drzwi i schody do przerażającej piwnicy.

Piwnica była wilgotną, ciemną jamą, w której jedynie podwieszona pod sufitem żarówka oświetlała postać, przywiązaną do krzesła. Najciekawsze znajdowało się jednak pod krzesłem i grubą kratownicą, przez którą skapywała woda z sufitu

– One nadal żyją? – spytałem, patrząc się w dół studzienki, nad którą siedział skrępowany oskarżony.

– Tak jak my wszyscy – odpowiedział dwuznacznie sołtys, obchodząc powoli Chołownika dookoła.

O dziwo nie ściągnięto mu nawet maski, był tak ubrany, jak ostatnio.

W głębi dziury wiły się długie, wilgotne korzenie, które zdawały się być wielometrową, pulsującą masą drzewnych żył. Niczym macki gigantycznej ośmiornicy, wydawały się momentami drgać, nagle podnosić, zawijać i opadać z cichym plaśnięciem. Większość czasu jedynie leniwie ślizgały się po sobie, ocierały się o siebie i wydawały szmer, przypominający coś na granicy drapania i szeptu.

– Czemu nie zdjęliście mu maski?

– Bo mogę ugryźć – zachichotał pod warstwą kości, skóry i gumy Chołownik. – No i pewnie się mnie brzydzi po ostatnim razie.

– Zaraża – mruknął krótko Piotr.

Cofnąłem się o krok i zawiązałem ciaśniej szalik wokół ust. Miałem nieodparte wrażenie, że dookoła mnie podpala się kilka różnych lontów, a ja mógłbym nie być w stanie podążać za nimi wszystkimi, by powstrzymać wybuchy.

– Pan się nie boi?

Sołtys wzruszył ramionami i usiadł w kącie, na krześle z miękkim siedzeniem. Noga zdawała się mu dokuczać coraz częściej, a w oczach brakowało jakiejkolwiek żywotności i chęci do pracy.

– Dobrze, a więc miejmy to już za sobą – powiedziałem i wstrzymałem się na moment. – Masz coś przeciwko temu, że ci zdejmę poroże?

Oskarżony pokiwał głową, dalej wgapiając się we mnie zza czerwonych wizjerów. Krew zamazała jakiekolwiek ornamenty, jeśli maska takowe posiadała. Sama zaś czaszka jelenia miała kilka wyraźnych pęknięć, załata-

nych zielonkawą substancją, może jakimś naturalnym klejem albo pastą z żywego mchu lub huby.

Zatarłem rękawiczki o siebie, jak siłacz przygotowujący się do wzniesienia wielkiego ciężaru i włożyłem kciuki pod gumę, przylegającą do obojczyków Grzybiarza. Maska w pierwszym momencie nawet nie drgnęła, ale po chwili z trudem się odkleiła. Od skóry do materiału szły długie, ciągnące się białe kawałki, przypominające roztopiony ser. Dookoła buchnęło szarą chmurą pyłu albo drobnych nasion i wreszcie maska z trudem zeszła.

Chciałem odłożyć czerep obok, porożem do góry, tak by go nie uszkodzić, ale ciągle nie mogłem oderwać wzroku od twarzy oskarżonego i nieomal się przez to przewróciłem. Okrążyłem mężczyznę i obejrzałem dokładnie, próbując nie dać po sobie poznać obrzydzenia i wzrastającego strachu.

– Jak się nazywasz? – spytałem w końcu, choć powinienem był od tego zacząć.

– Marian Socha, ale wolę Śledź. Przyzwyczaiłem się, żeby w Lesie nie używać imion ani nazwisk.

– Mądrze, mądrzej ode mnie. Ja jestem doktor Jerzy Drozd, spotkaliśmy się już przed odsłonięciem śnieżynki, pamiętasz?

Śledź miał skórę koloru kurzu, pory zatkane od pyłu i wągrów, a żyły na wychudzonej twarzy nadawały mu niezdrowy, zielonkawy odcień. Był całkowicie łysy, jakby włosy wypadły mu wraz z cebulkami na skutek jakiejś choroby. Kiedy mrugał, brzmiało to tak, jakby ktoś wbijał paznokcie w płytę paździerzową.

– Drozd, pamiętam, powiedziałeś, że się rozmarzyłeś na mój widok.

Sołtys mruknął coś w kącie, ale nawet się nie obróciłem. Zamiast tego spojrzałem speszony w kratkę studzienki i odpowiedziałem:

– Alkohol, zwykły bełkot.

– Możliwe – odpowiedział powoli Śledź. Jego głos był równie suchy co cera, wydawało się, jakby w każdej chwili mógł się rozpaść. – A może wyczułeś we mnie coś cennego, co sam byś chciał.

– Pod warunkiem, że tym czymś jest odpowiedź na kilka pytań. Nakarmili cię chociaż w tej celi?

– Wystarczyła mi woda – mówił, stale mi się przypatrując. Nie wiedziałem, czy zza szkieł wcześniej patrzył na mnie tak samo, czy dopiero zdjęcie czerwonego filtra w jakiś sposób zmieniło jego postrzeganie. – Może mnie odwiążesz?

– Najpierw pytania, potem odpowiedzi, a na końcu werdykt.

– Kto będzie mnie oceniał? – spytał Śledź i zaczął sobie sam opowiadać. – Chromy wieśniak, klecha o zdartym gardle czy może ty?

– Na mnie nie masz żadnego przytyku?

– Jak tylko poznam cię od gorszej strony – odpowiedział, a na jego twarzy odmalowało się poczucie wyższości, które zaraz zniknęło, zastąpione przez spokojną uprzejmość. – Wybacz, nie spałem, zresztą wiesz. Ledwie wróciłem z Lasu, nie mogłem nawet wrócić do swojego łóżka, a teraz to wszystko.

Spojrzałem na jego czoło, wzdłuż którego szła bruzda, tworząca coś w rodzaju nieforemnego okręgu. Wyglądało to nieco jak zasuszone błoto, które pęka na rozdzielone szczelinami wysepki brudu.

– Kiedy wyruszyłeś do Lasu, z kim i czy może to ktoś potwierdzić?

– Dużo pytań naraz – zaśmiał się nieszczerze.

– Im dłużej będziesz zwlekał z odpowiedzią, tym mniejsze mam podstawy, by ci uwierzyć, a jeśli naprawdę zależy ci na opinii chociaż jednej osoby, która nie szuka kozła ofiarnego, to masz do dyspozycji tylko mnie. Dlatego zacznijmy od nowa, kiedy i z kim?

Śledź sapnął ciężko, przez jego gardło przeszło powietrze, jakby ktoś spuszczał powietrze z opony rowerowej. Można było odnieść wrażenie, że świszczał nawet swoim brzuchem i plecami.

– Ruszyłem trzeciego stycznia o świcie, samemu, ale o przygotowaniach powinni wiedzieć Zalewscy, a przynajmniej Zalewska z córkami obiema. Brałem od nich placki na drogę i jeszcze dostałem słoik dżemu, by mieć coś na osłodę. Chciałem u nich posiedzieć do powrotu Filipa, ale on wtedy był czymś innym zajęty. No i co powiedzieć, nie wypada mężczyźnie z trzema kobietami siedzieć u kogoś w domu zbyt długo, tak?

– Czemu poszedłeś sam?

– Z oczywistego powodu – powiedział, zaczekał chwilę i pokiwał głową, widząc, że nie mam zamiaru dopowiadać za niego. – Samemu jest łatwiej się przekradać, robić mniej hałasu, każdy dźwięk jest obcy. Nie trzeba się co chwila zastanawiać, czy to ktoś obok odetchnął, mruknął pod nosem, wyrwało się komuś albo nadepnął na patyk, czy po prostu ordynarnie pie…

– Rozumiem – przerwałem wywód, zmrużyłem oczy w zamyśleniu i spojrzałem w bok, długo nie mogąc samemu odpowiedzieć sobie na pytanie. W końcu postanowiłem, że spytam i jeśli odpowiedź mnie nie zaskoczy, to będę mieć do czynienia z kłamstwem. – Jak przeżyłeś dwadzieścia dni w Lesie sam?

Ledwo zauważalny uśmiech wystąpił na zniszczonej twarzy Śledzia. Już zaczął otwierać usta, lekko przechylając głowę, jakby chciał odpowiedzieć szybkim, ciętym żartem. I równie nagle zesztywniał, jego oczy błysnęły niezdrowo i odpowiedział z powagą:

– Część czasu spędziłem w opuszczonym lokum, uzbierałem dość jedzenia na drogę powrotną i tyle.

– W jakiej wiosce się zatrzymałeś?

– To nie była wioska, tylko jakaś melina przykryta deskami. Musiała tam być bimbrownia jeszcze przed wojną. Potem pewnie Las wyrwał to i rzucił na któreś piętro. Po tamtej stronie świata jest mnóstwo takich miejsc, które potem trudno wyśledzić z powrotem albo policzyć, do jakiej miejscowości było im najbliżej.

– Na co się natknąłeś po drodze?

Śledź wzruszył ramionami i syknął nagle, gdy lina przetarła mu nadgarstki. Dopiero po dłuższej chwili zastanowienia spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem, jakby wiedział, że prędzej czy później, będzie musiał przez to przejść.

– Było tego mnóstwo i większości rzeczy nie pamiętam, bo mam prawo nie pamiętać. Nie skupiałem się albo miałem gdzieś, ewentualnie dochodzi możliwość, że nie chciałem zapamiętać, no bo po kiego grzyba?

– Więc powiedz to, co pamiętasz. Może minąłeś któregoś z naszych, kilku ich było w Lesie w tym samym czasie co i ty.

– Nie, szanse na takie spotkania są bardzo małe, a ja nie szedłem ciągle utartym szlakiem, bo w pewnym momencie się zgubiłem. Chciałem nazbierać Cierpczyków, a znam tylko jedno miejsce, gdzie rosną w miarę regularnie i tylko w nowiu.

– Co to za miejsce?

– To tajemnica – warknął, jakbym chciał go co najmniej okraść. – Nie muszę wam mówić wszystkiego. Jeśli będę ich kiedyś potrzebował, to co wtedy?

– Nie powiem nikomu – zarzekłem się i spojrzałem na sołtysa.

Korzenie zaszumiały cicho w studzience i nagle Bieniasz drgnął w kącie. Jego twarz wykrzywiona była w wyrazie nieustannego strapienia i rozmyślań. W odpowiedzi na rozmowę moją i Sochy pokiwał jedynie gło-

wą, jakby pozwalając wszystkiemu dziać się bez jego udziału. Chyba rzeczywiście z dnia na dzień tracił dawny wigor.

Widać było po Marianie, że realnie nie chce podzielić się tą informacją, jakby ważniejsze od tego, czy mu uwierzymy, było to, aby jego sekrety były bezpieczne. Przez moment patrzył się gdzieś w dół i bił z własnymi myślami, aż wreszcie westchnął od serca.

– Rosną przy…

– Nie mów mi – przerwałem mu. – To widocznie nie jest takie ważne. Znałeś miejsce, gdzie rosną i tam poszedłeś, twoja sprawa. Powiedz po prostu, po co ci one były.

– Nie wiesz, po co są Cierpczyki? – spytał szczerze zdziwiony. – Pożytki, wyglądają trochę jak sierp, wbity trzonkiem w ziemię, mają białe kwiaty, pod poziomem ziemi są odbite, niby w tafli wody i tam są już koloru fioletu. Ściera się to na proch, połowę wciąga, a drugą przysypuje zwłoki, by widzieć duchy.

– Widzieć duchy?

– Cierpczyk wżera się w ciało, właściwie to ma się wrażenie, jakby zmiażdżony Cierpczyk miał w sobie pasożyty, które są tak małe, że nie sposób ich zniszczyć, ale można je wyciągnąć na zewnątrz. Później one obrastają ciało, żerują na nim, usychają i wracają znowu do ziemi w tej czy innej formie.

– Tylko to nie jest prawdziwa rozmowa z duchem tej osoby, prawda?

– Dla mnie była zawsze dość prawdziwa – odpowiedział smutno Śledź. Szmaragdowe żyłki dookoła oczu zapulsowały gorączkowo jak pełznące pod skórą glisty. – A mimo to nic nie przychodzi bez ceny.

Korzenie drzewa pod piwnicą zatarły się o siebie mocno. Od ścian odbiło się echo nawarstwiających się szeptów. Żarówka pod sufitem lekko przygasła i zatrzęsła się, ale po chwili wszystko ustało.

– Wierzę ci – odezwałem się najspokojniejszym tonem współczucia, na jaki było mnie stać wobec kogoś oskarżonego o rozpętanie klęski żywiołowej. – Czy spotkałeś na swojej drodze coś, co mogłoby wywołać ten opad pyłowy?

Wysuszone oczy Mariana zdawały się wwiercać w sufit, jakby spróbował z niego wyczytać odpowiedź. Zaglądał pewnie w głąb swojej pamięci, wertując dziesiątki niewyjaśnionych zjawisk, przerażających lub majestatycznych stworzeń, które mógł widzieć w czasie wędrówki.

– Nic wartego uwagi – rzucił po chwili, jakby mówił o wycieczce do sąsiedniego miasta. – Krzywulce, głównie dużo Krzywulców.

Wzdrygnąłem się na samą myśl. Krzywulce nie istniały jako takie, ale były szeroką kategorią wszystkich zjawisk, w których wydawało się, że widzi się niezwykle wykrzywione i nieproporcjonalne sylwetki. Wielometrowe, chude jak jedna noga giganty, cienie kilkumetrowych ludzi, przylegające do ziemi humanoidy o pustych oczach i długich zębach, cienkich jak igły.

Właściwie to ilu ludzi, tyle opinii na temat Krzywulców. Niektórzy widzieli głowy dzików, ciągnące się jak kilkumetrowe węże. Inni opowiadali o tym, jak z dziury patrzyły się na nich twarze, pozbawione jakichkolwiek części charakterystycznych dla człowieka. Dalej ciężko powiedzieć, czy można było zaklasyfikować coś jako Krzywulca, czy po prostu krótkie i niedokładne widzenie czegoś znajomego.

– Cisi?

– Nie widziałem… Cholera. – Przez twarz Śledzia przemknął grymas, który nadał mu wygląd rodem z wizji kręgów piekielnych. – Naprawdę nie brzmi to dobrze.

Zgodziłem się kiwnięciem głowy.

– Od kiedy jesteś taki… brzydki? – spytałem wprost.

Nawet sołtys podniósł brwi na moment, zaciekawiony nagłym pytaniem. Socha obejrzał mnie dokładnie, wyszczerzył zęby i syknął:

– Od zawsze.

– Nie jestem złośliwy, to pytanie natury medycznej. Wyglądasz, jakby ta lina miała zaraz nie być potrzebna, bo i tak się rozpadniesz niby trędowaty. Jesteś łysy całkowicie, domyślam się, że w każdym miejscu, bo nawet brwi nie masz. Wpierw myślałem, że rzęsy masz blond albo pojaśniałe od wieku, ale ty po prostu jesteś w tragicznym stanie.

– Nie jestem na nic chory.

– Mimo to tak wyglądasz i tak się zachowujesz. Zęby masz wszystkie, nie nosisz śladów poparzeń, wczoraj nie kulałeś, ani nie stękałeś z bólu. Jest wiele przypadkowych objawów, które każą mi myśleć, że jesteś chodzącą bombą zegarową. Odpowiedz mi w takim razie na jedno pytanie, skąd zarodniki na twojej masce?

Śledź nie odpowiedział. Zamarł i milczał długo.

– Byłeś i nadal jesteś pokryty pyłem, podobnie jak i wszystko dzisiaj w Chołach. Z nieba pada coś szarego, co przypomina mniejszą i mniej inwazyjną wersję tego, co masz na sobie. Nawet pod twoją maską, którą musiałeś długo nosić, było ukryte mnóstwo czegoś, co nazwałbym zarodnikami grzybów albo innymi mikroskopijnymi nasionkami. Więc możesz mi odpowiedzieć, od kiedy jesteś taki i jak to przyniosłeś z Lasu.

W oczach Mariana przez chwilę grała nienawiść i na ułamek sekundy dostrzegłem błagalne spojrzenie pełne bólu. Jednak od razu wszystko zniknęło, jakby mi się jedynie wydawało. Zaraz sam oskarżony patrzył się ze spokojnym uśmiechem i odpowiedział jak gdyby nigdy nic:

– Przypomniałem sobie. Wpadłem do rozpadliny pełnej pulsujących grzybów i udało mi się wykaraskać, nim to coś mnie pożarło. Widocznie zabrałem ze sobą część z nich nieświadomie. Myślę, że dałbym radę wrócić

w tamto miejsce, zresztą było bardzo charakterystyczne. Wysokie lipy, białe grzybnie na drzewach i powbijane na sztorc słupki ze starego ogrodzenia z drutem kolczastym.

Spojrzałem na sołtysa, on zmrużył oczy, pomachał głową na boki, ale po chwili wzruszył ramionami, ponownie zrzucając odpowiedzialność na mnie.

– Ach tak… I przypomniałeś to sobie właśnie teraz i w tak dokładnej formie?

Śledź wzruszył jedynie ramionami, a ja zasępiłem się na dłuższą chwilę. Wbrew pozorom odpowiedź przyniosła więcej problemów niż rozwiązań. Bo tak właściwie to, za co mielibyśmy go karać? Jeśli nie był odpowiedzialny za opad, którego objawów nawet jeszcze nie znamy, to nie mogliśmy mu nic zrobić.

Druga możliwość była taka, że z jakiegoś powodu przyniósł to ze sobą i zaraził tym sam śnieg. Byłoby to dziwne, ale nie niemożliwe, znając realia, w jakich przyszło nam żyć. Jednak nawet jeśli tak było, to co miał zrobić? Nie miał prawa wiedzieć, że czymś zaraża, a nie powinniśmy oczekiwać, że przezornie sam się zabije albo uda na wygnanie.

– Moim zdaniem musztarda po obiedzie – odpowiedziałem w końcu. – Jak to zwykle w życiu bywa, są zbrodnie bez zbrodniarzy i wina bez winnych. Powiedz mi, kolego Socha, co ty byś zrobił na naszym miejscu?

– Odwiązał mnie, zebrał kilku silnych ludzi i odnalazł tę grzybnię.

– Tylko w jaki sposób nam to pomoże, skoro zarodniki już tu są?

– Może uda nam się ich pozbyć, może umrą z czasem, może któreś z ziół pomogą. Po prawdzie to trzeba się pozbyć źródła, a przy okazji można zabrać jedno ze sobą, co by jakiś zielarz obejrzał.

– Możecie iść z tym do Gopulskiej, jednej i drugiej – odezwał się w końcu sołtys.

– Kto, jak kto, ale ona będzie znała odpowiedź albo chociaż kogoś, kto mógłby nam pomóc. Na pewno nie zaszkodzi spróbować.

– Też myślałem o tym, by przeszeptała go.

Odwróciłem się zdziwiony. Miałem wrażenie, że nie dosłyszałem.

– Niech sprawdzi, czy on nie kłamie. Bez urazy panie Drozd, ale nie możemy opierać naszej decyzji tylko o to, że mu pan ufa. Też nie chciałbym nawet puszczać was obu, bo mam wrażenie, że on ani nie pociągnie długo, ani ty nie utrzymasz koni na wodzy i wejdziesz w pierwszą dziurę, jaką zobaczysz.

– Więc jaki jest pomysł?

– Pogadam z naszą Gopulską, ty go rozwiąż i obaj się szykujcie. Nie ma co gapić się na bociana, postaram się wam zorganizować towarzystwo i ruszycie jeszcze przed zachodem. Więc liczę na to, że wykorzystacie ten czas i wrócicie tu jak najszybciej.

– Jeśli wrócimy i wszyscy będziecie wyglądać jak on, to będzie to dosyć straszne – przyznałem z ciężkim sercem. – Natomiast trapi mnie inna kwestia, ale to tak już między nami, panie Piotrze.

Zbliżyłem się do sołtysa, nachyliłem konspiracyjnie i wyszeptałem:

– Co zrobicie ze śnieżynką, kiedy nas nie będzie? Pył to jedno, ale mam wrażenie, że te kwestie na siebie nachodzą.

– Odbudujemy śnieżynkę po cichu, tak żeby nikt nie zauważył. Może i nie jest to w pełni zgodne z tradycją, ale liczę na to, że się uda. Musimy podjąć decyzję, kto pójdzie z wami do Lasu.

– Saprofici – odpowiedziałem od razu, ale zaraz zamilkłem.

No tak, przecież w obecnej sytuacji i tak brakowało rąk do pomocy, by trzymać dekonsekracyjne zapędy księdza w ryzach. W gruncie rzeczy to mogłem wrócić do wsi i zastać ją w całkowitej ruinie. Bo co jeśli Maurycy umyśliłby sobie, żeby złamać tradycję na któryś z tysiąca złych sposobów?

Pozostawała jeszcze kwestia tego, że ludzie mogliby nie posłuchać księdza, bo jednak zdążyli się przyzwyczaić do tego przedziwnego, acz skutecznego balansu dwojakiego wyznania wiary. Kapłan odgrażał się i postawił ultimatum, a ujawnienie światu kwestii związanej z anomaliami, mogłoby być tragiczne w skutkach.

Właściwie, to czemu nie? Zastanowiłem się na moment. Choć istnieją osoby spoza Chołów, które wiedzą o Lesie, to nawet nie wiem, ilu ich jest i co robią. Może zdążyły zabrać tajemnicę do grobu, a może nie miały dość siły przebicia, by ktokolwiek uwierzył im w te niezwykłości. Z kolei bez pożytków zobaczenie tych zjawisk mogłoby być wręcz niemożliwe, a przynajmniej nie w warunkach laboratoryjnych.

– Dasz mi tylu ludzi, ilu uznasz za słuszne.

– Tobie? – zdziwił się sołtys. – Widzę kogoś innego w roli przewodnika. Jesteś zwykłym zapaleńcem z brudną kartoteką. Chcesz iść do Lasu sam? Śmiało, ale Śledź pójdzie z ludźmi, których wyznaczę do tego zadania. Jeśli zechcesz, możesz iść z nimi jako… wsparcie rodzaju…

Zamachnął palcem, jakby nie mogąc znaleźć słowa, po czym przejechał dłonią po wąsie, zaśmiał się i zaczął rozwiązywać Sochę.

Stałem tak jeszcze przez moment, zły na niego, potem na siebie, a na końcu zły dla złoszczenia się samego w sobie. W końcu usłyszałem cichy szept korzeni spod piwnicy, on pomógł mi wrócić do myślenia o tym, co realne. Wziąłem głęboki oddech i uznałem, że trzeba się przygotować na grzybobranie.

– Hej, panie Drozd – odezwał się cicho Śledź, gdy sołtys odwiązał mu ręce od krzesła. – Proszę zabrać dużo jedzenia. Las ma wielu głodnych mieszkańców, szkoda byłoby zawieść ich i siebie.

* * *

Ostrożnie obmacałem z każdej strony niewielką, białą szyszkę o gładkich bokach i jasnoniebieskich wzgórkach, wystających tu i ówdzie. Włożyłem jeden palec pod rzemyk, wzniosłem cały amulet bliżej twarzy, obejrzałem go w bladym, mlecznym świetle i z nutą nostalgii odłożyłem go z powrotem do szuflady.

Któryś z cieni wyskoczył zza szafy i dołączył do kilku doniczek na parapecie. Nie miałem na to żadnego dowodu i nie umiałbym wskazać, który to był cień, skoro wszystkie znajdowały się na swoich miejscach. Natomiast byłem pewien, że to się stało.

Złe przeczucie przydusiło mnie w piersi, coś z tyłu głowy drążyło, drapało i nie dawało odpocząć. Nie było to jednak takie samo odczucie, które ma się, gdy zapomni się czegoś, ale nie wie czego. To było bardziej to uczucie, gdy pomyli się dni, ale którąś część twojego mózgu wie, że porządek tygodnia został zaburzony.

Na oknie przysiadł gawron, duży, o smukłej sylwetce polanej atramentem i ostro zakończonym dziobie z białą łysiną. Przyglądał mi się ciekawskim, szkarłatnym okiem i lustrował co chwila wnętrze całego domu. Szczególnie uważnie obserwował wnętrze mojego otwartego plecaka, jakby chciał coś ukraść ze środka.

Rozchyliłem lekko usta, przełknąłem ślinę tak, by nie spłoszyć gościa i zbliżyłem się o krok do szyby. Mogłem wtedy przyjrzeć się z bliska dziwacznemu stworzeniu, którego dziób był przebity zardzewiałym, grubym gwoździem.

– Jak ty możesz tak żyć? – spytałem się gawrona.

Ptak zerwał się nagle, odleciał w stronę Lasu, a ja zostałem sam na sam ze swoim odbiciem w szybie. Śnieżny pył znowu nawarstwiał się

wzdłuż całego szprosu, płotu i na wszystkich narzędziach ogrodniczych, których nigdy nie chciało mi się sprzątnąć.

Obejrzałem się dokładnie w odbiciu, czując, jakbym zaraz miał spędzić kilka dni nad jeziorem i przygotowywał się do starcia z komarami i kleszczami. Buty za kostkę, spodnie z dodatkowymi kieszeniami, spory plecak koloru jaśniejących winogron i nijaki, brązowy płaszcz, z którego kołnierza wystawały niesforne nitki.

Taki był obraz człowieka, który miał dawać świadectwo ludzkości przed ekosystemem Lasu. W wymiarze, którego nie sposób pojąć, gdzie czas przelewa się i następuje na własny ogon, a jakiekolwiek byty są opisywane jedynie przez alegorie i funkcje w większej strukturze świata.

Spakowałem dodatkową paczkę sucharów i wyjąłem sobie jednego już wtedy, by spróbować mocno dających kminkiem przysmaków. Ot, trochę mąki pszennej i żytniej, cukier, jedna przyprawa i można maszerować. Świat byłby o wiele straszniejszy, gdybym był bardziej wybredny.

Chwyciłem za pistolet i zastanowiłem się, do czego go tak właściwie potrzebuję. Czy ja jestem najeźdźcą, czy tylko się bronię? Jeśli idę do Lasu, gdzie już coś mieszka, to czy przypadkiem nie staję się intruzem? Czy mam prawo tak po prostu pójść, zabrać co mi się spodoba, spisać, zbadać, a potem eksploatować wszystko, co uznam za słuszne?

Przecież te wszystkie pożytki nie biorą się znikąd i na pewno nie rosną dla przyjemności ludzi, choć ich nazwa nas do tego przyzwyczaiła. Jeśli pochodzą od przybyszów, to może oni powinni mieć do nich prawo.

A z drugiej strony, to oni przyszli do nas i zabrali nasz las, by zmienić go w swój Las. Nieświadomie, może nie do końca celowo i z opłakanym skutkiem, ale jednak stworzyli artefakt pośredni, który teraz nie jest ani ich, ani nasz, jest swój własny i właśnie to chyba jest

w nim najstraszniejsze.

Czy tak naprawdę Chołownicy powinni byli budować śnieżynkę? Czy to po stronie samej Śnieżynki stała wina za to, że zrzucała regularnie na wioskę zamiecie i mróz? A może to tylko wymiana handlowa – oni płacili w pokłonach, a ona oddawała w łasce. W takim wypadku był to zwykły feudalizm z wieloma seniorami.

– Jeśli jest więcej niż jeden demiurg, to potrzebuję sporo naboi – szepnąłem do siebie, drżącą ręką chowając tokariewa w kieszeń na piersi.

Coś zastukało w drzwi cichutko, ledwie przebijając się przez hulający na zewnątrz porywisty wicher.

– Otwarte! – odkrzyknąłem, choć dzieliło mnie od drzwi tylko kilka metrów.

Nic, przez chwilę cisza, a potem kolejne pukanie.

Psiocząc pod nosem, zbliżyłem się do wyjścia, chwyciłem za klamkę i szarpnąłem do siebie z mocą.

– Dzień dobry, panie doktorze, mogę na momencik? – spytała z uśmiechem Zofia Gopulska, spoglądając na mnie jasnymi, inteligentnymi oczami.

– A mam jakiś wybór? – zaśmiałem się i na moment zastanowiłem nad pytaniem. – No cóż, proszę, bo niedługo wychodzę.

– Wiem, ja w tej sprawie – powiedziała i weszła, nie zamykając za sobą drzwi.

Pokręciłem głową, przymknąłem raz, drugi, wiatr odpychał drzwi w moją stronę, a zamek chyba zamarzł i nazbyt się skurczył. W pewnym momencie wreszcie mechanizm zaskoczył, usłyszałem cichy trzask i w izbie nastał spokój.

– Zrób mi herbatę – odezwała się Gopulska już innym, przeszywającym głosem.

– Coś konkretnego? – spytałem, kierując się do kuchni.

– Tak, cokolwiek z zewnątrz, bo nie chcę mieszać.

Nastawiłem czajnik z wodą, po czym od razu zabrałem się za szukanie jakichś czystych kubków. Jedyne co udało mi się znaleźć, to dwie szklanki z koszyczkami z metalu, co w sumie nawet pasowało bardziej. Już po chwili siedziałem z Gopulską przy stole, wdychając parę z gorącego napoju.

– Spójrz na te plamy na powierzchni, jak się błyskają, aż można się w tym przejrzeć.

– Umyłem wcześniej, po prostu im dłużej tu jestem, tym gorzej znoszę herbatę. Jeszcze na domiar złego zaczyna mi się robić niedobrze od mieszanin ziół.

Gopulska pokiwała głową w zadumie, jakby brała moje słowa o wiele poważniej niż ja i poddawała je jakiejś głębokiej analizie. Dłuższą chwilę siedziała w ciszy, mrugając rzadko i niemal na pewno celowo, a nie odruchowo.

– Wiesz, na czym polega problem, chłopcze? – spytała Gopulska pewnym siebie tonem i nie poczekała na odpowiedź. – Że mi cię szkoda, bo wiem, że nie może ci się nic udać. Nie, nie przerywaj mi i posłuchaj. Nic, czego się dowiesz w Lesie, nie przetrwa. Nikt po tobie nie będzie tego kontynuował, nikt nie będzie używał tych samych pojęć i nic, co odkryjesz, nie przyniesie ci ukojenia. Ten świat stale się zmienia i twoje poznawanie go przyniesie same koszty i żadnych zysków. Ja tutaj żyję od zawsze, jestem związana z tym miejscem, więc dla mnie to żadne poświęcenie. Przekazuje tradycję dalej, by ulżyć w cierpieniu tym, którzy przyjdą na świat po mnie. Ty natomiast przybyłeś z zewnątrz i próbujesz zagarnąć wiedzę dla samej wiedzy. Jesteś jak wielki, ziejący ogniem gad, który zbiera swój kopiec złota i cieszy się z wysokości górki, na której śpi. Pewnego dnia spadniesz z

wysokości własnej pychy na poziom, który wyznaczył chłodny i bezlitosny świat. Więc teraz pozwól mi, że pokażę ci sztuczkę.

Gopulska zamilkła. Coś było nie tak, patrzyła się na mnie takim pustym, ale jednocześnie skupionym wzrokiem i nawet nie drżała. W pewnym momencie spostrzegłem, że świat zaciął się, jak powtarzająca się klatka z filmu. W powietrzu wisiała jednego kształtu chmurka, idąca od herbaty donikąd. Zegar naścienny przestał tykać, a ja nie miałem pewności, czy mogę chociażby drgnąć.

– Widzisz drozda? – spytała, nie ruszając ustami.

Mrugnąłem bez poruszania powiekami. Raz, drugi, trzeci, ptak pojawił się na stole nagle, bez jakichkolwiek znaków poprzedzających, poza słowami kobiety.

Drozd był mały, malutki, mógłby się zmieścić w dłoni. Miał brązowy grzbiet z szarymi akcentami, który w kierunku podbrzusza zmieniał się w świecący pas jaskrawej żółci, a potem białawy brzuszek z czarnymi plamami. Jego długie lotki sunęły gładko nad powierzchnią stołu, jakby chcąc dotykać jak najmniej tego świata.

Drobny ptaszek skoczył w górę raz i drugi, po czym zbliżył się do mnie i spojrzał czarnymi oczkami. Ciekawsko przechylił głowę na bok, rozchylił dziób i wydał z siebie wysoki, piskliwy głosik, tym samym znikając.

Zorientowałem się, że patrzę tępo na Gopulską, która już skończyła swoją herbatę.

– Czy on był prawdziwy? – spytałem o pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– Skoro go widziałeś…

– To nie jest wystarczający dowód – przerwałem, podnosząc głos i napierając dłonią na krawędź stołu, aż nogi zaszurały o podłogę.

– Więc co byłoby wystarczającym dowodem, chłopcze? Wieloletnie obserwacje każdym zmysłem, spisywanie i mierzenie każdej informacji o tym jednym droździe?

– Zadam pytanie inaczej: skąd wiedziałaś, że się pojawi?

– To nie magia, jeśli o to pytasz. Co najwyżej sztuczka, pożytki, zapach mojej skóry, para w nosie i siła sugestii. Powiedz mi synku, chciałeś zobaczyć tego drozda, prawda? Spytałam cię o to i nie widziałeś go od razu, ale w mig już się pojawił, prawda?

– Czego ma to dowodzić?

Byłem oburzony, przyznaję. Miałem wrażenie, że rozmowa nie tylko próbuje podważać jakieś ustalone reguły, czy posiadany przeze mnie rozum, ale samą ideę możliwości zrozumienia świata. A na takie rzeczy jeszcze nie byłem gotów i nie chciałem być, nieważne ile sztucznych drozdów by mi pokazano.

– Chciałam ci tylko dać taki przykład, co byś go miał przed oczami i słuchał mnie uważnie. Tak jak się dzieciakom pokazuje na skarpetkach albo innych łątkach, tak tobie chciałam pokazać, że umyka ci szerszy obraz. Co by było, gdybym dźgnęła cię nożem, gdy patrzyłeś na tego ptaka? Tak po prostu, ja, starsza już kobieta. A tak, nie patrz na mnie tym wzrokiem, mogłam to zrobić, bo gapiłeś się na najprostszą sztuczkę, którą można skleić z gałązek, żywicy i odrobiny wiatru.

– Więc mam iść przez życie kiwając głową, nigdy nie zadać sobie pytania o nic i po prostu akceptować wszystko, co widzę? Może mnie to zabije, ale chciałbym wiedzieć, jak działa świat, a szczególnie ten nowy, obcy, którego pewnie nikt inny nie mógł nigdy zbadać. Jeśli dostanę przez to nożem między łopatki, to trudno, umrę szczęśliwy.

– Będę szczera, nie zależy mi na tym, abyś był szczęśliwy.

Patrzyliśmy się na siebie w milczeniu, a w oczach starszej kobiety nie widziałem żadnej oznaki, że mogła żartować. Ot, poszarzała, przeorana zmarszczkami twarz, patrząca spod czerwonej chusty i kilka słów bolesnej prawdy, tylko tyle dostałem.

– Więc czego ode mnie chcesz?

– Jak zwykle, przysług, wymiernych korzyści. Uważam, że jesteś niegłupi i możesz

mi się przydać, dlatego chcę ci zapłacić wiedzą za wiedzę, co ty na to?

Wzruszyłem ramionami, udając, że mi niczym nie zaimponowała. Po prawdzie to zwyczajnie nie zrozumiałem, zgubiłem się w analogiach i symbolach, bo też jestem tylko człowiekiem. Chyba każdy czasem odpowiada nijako i liczy na to, że to, czego nie dosłyszał, nie było pytaniem.

– Nie ufaj Śledziowi, nie ufaj lichom z Lasu i najważniejsze...

– Nie ufaj księdzu.

Gopulska uderzyła pięścią w stół, aż mnie wryło w ziemię. W powietrzu na moment błysnęły zielone światła, zapachniało mocno igłami, a w gardle poczułem dziesiątki ukłuć.

– Nie ufaj temu przeklętemu Bieniaszowemu plemieniu.

– W sensie sołtysowi?

– I jego dzieciom, wszystkim, ale zwłaszcza Łucji. Ty myślisz, że oni są rozsądni albo – co gorsza – troskliwi i opiekuńczy względem nas wszystkich. Prawda jest taka, że gdyby mogli, to jako pierwsi uciekliby gdzie pieprz rośnie. Jednak tak się składa, że wszyscy jesteśmy związani z tym miejscem. A niestety wygląda na to, że ty też już tu zostaniesz, chyba że wykażesz się wielką siłą woli, o którą nieszczególnie cię posądzam. Ktoś musiałby ci zaoferować coś więcej niż Choły, coś, co nakarmiłoby to cholerne, ciekawskie stworzenie, jakie w sobie nosisz.

– Sztuczne drozdy, żadnych prawdziwych – odpowiedziałem, wstając od stołu. – Nie usłyszałem ani jednej informacji, tylko słowa, które udają, że się ze sobą łączą.

– Siadaj – warknęła gardłowo i rzeczywiście natychmiastowo usiadłem. – Odpowiedz mi na pytanie, dlaczego żebraki kradną dzieci?

Pomyślałem o ogromnych ludziach, zawiniętych w jutowe worki. Spod nałożonego na głowę materiału wyzierały na świat tylko dwa reflektory złocistych oczu, wyszukujących jak najsłabszych ofiar. Z pleców tych gigantów zwisały dziesiątki wielkich klatek jak ptaszarnie z żerdziami, tylko przygotowane dla ludzi.

Olbrzymy zazwyczaj wbiegały do wioski bez ostrzeżenia, siejąc terror i absolutny chaos. Jedno z najstraszniejszych wydarzeń mojego życia było pierwszym najazdem żebraków, jaki widziałem na przełomie listopada i grudnia. Te stwory nawet kości miały zrobione z zardzewiałych prętów pokrytych rdzą. Zresztą stąd wzięła się nazwa – od wystających żeber z metalu, które kryły w sobie ropiejący guz serca.

– Żeby je zjeść? – spytałem bez przekonania.

– Bo mogą – odpowiedziała cichym, smutnym głosem Gopulska. – Chodzi o władzę, Jureczku, tylko o władzę. Tak, robią coś z tymi dziećmi na pewno. Jestem przekonana, że jest to okropieństwo, choć sama też nigdy nie widziałam siedziby żebraków i w tym wieku już pewnie nie będzie mi dane.

– A więc?

– A więc większość rzeczy, jakie mają miejsce w Lesie, wynikają tylko i wyłącznie z dominacji. Ty szukasz motywów, części wspólnych, wyjaśnień, ale odrzucasz najważniejszy element, który wiąże to jak kłos snopowiązałkę. Przybysze przynieśli ze swojego świata mnóstwo rzeczy, które nie przetrwały w pierwotnej formie. Jednak niezależnie od tego, co się z nimi

stało, zachował się jeden motyw. Wszystko, co było do tej pory przybyszem lub zwierzęciem w lesie, gałązką, bądź słowem przybysza, teraz jest czymś więcej i może spełniać własną wolę. Oczywiście, jeśli tylko im na to pozwolimy. Tym są właśnie nasze pieśni, sposobami na to, by nie być zwykłą bestią, a myślącą istotą, która ma swoje prawa. A wiesz, z czego wynikają prawa Jurek?

– Z siły – szepnąłem cichutko, jakby z niedowierzaniem. – Zwierzę ze szczytu łańcucha pokarmowego jest bogiem dla zwierzęcia niżej.

– Nie jesteś aż tak naiwny, to mi daje pewną nadzieję – powiedziała Gopulska, wstając spokojnie i gładząc spódnicę. – Sługa zawsze będzie się kłaniał panu, a zając będzie uciekał przed lisem. Możesz powiedzieć lisowi, że tak nie wolno, ale on nie posłucha. A jeśli żubr nie zadepcze zająca, to nie dlatego, że nie może, tylko dlatego, że nie ma w tym interesu, ale jeśli będzie inteligentny, to skłamie, że to wynik kultury. Jak widzisz po mnie, cała ta wiedza z Lasu, mądre słowa i inne bzdury przybyszów, nic wielkiego nie zmieniły. Nadal jesteśmy wioską na końcu świata, a na wiosnę siejemy.

– Powiedz mi jeszcze… – podniosłem głos błagalnie i zatrzymałem się w pół zdania, jakby bojąc się, że mogę otrzymać odpowiedź. – Co z Krzykaczem? Czy my… Czy ja powinienem był zrobić to, co zrobiłem?

Gopulska spojrzała na mnie z troską, a potem już zwyczajnie smutno, z nostalgią, jakbym był rozbitą szklanką, którą się wspomina przed sprzątnięciem miotłą.

– Zabiłeś boga, Jurek… Ale to nie znaczy, że nadajesz się na następnego. Nie może być bóstwem ktoś, kto nie wie, jak nim być. Bardziej od rozumu przydałoby ci się serce, żeby podpowiadało, czego chcesz, dokąd zmierzasz i jak tam dojść. Dla ciebie pieśni to ciekawostka, zagadka, dla nas to zawsze będzie modlitwa o przeżycie.

– A czy ty… Jesteś dla kogoś bogiem? – spytałem naiwnie.

Zofia zaśmiała się, podeszła do mnie nieporadnie i przytuliła mocno, po czym otworzyła drzwi i zaczęła się gramolić na zewnątrz, jak przystało na osobę w jej wieku. Przy tym wszystkim była taka słaba, stara i bezbronna.

– Ty już tu nie wrócisz, ale nie muszę być dla ciebie bogiem, by ci pobłogosławić – powiedziała poważnie, zrobiła, o dziwo, znak krzyża, wyszczerzyła się i wyszła na dwór, zmieniając nagle ton głosu na sztucznie łamiący się i pogodny. – Dziękuję bardzo, panie doktorze, życzę zdrowia dużo i niech pan doktor nie zapomni usiąść przed podróżą!

Pomachałem kobiecinie ręką, widząc, jak ta sunie powoli przez zaspy szarego pyłu, roztrącając pozornie bez trudu brudne hałdy na boki. Szarość zdawała się jej nie imać, a świat dookoła zyskiwał na świeżości i czymś, co nazwałbym duszą, gdybym w nią wierzył.

* * *

Sześć postaci wyzierało rozmytym cieniem spośród zamieci, jaka szła od Lasu na Choły. Zebrani blisko siebie rozmawiali o czymś, przepakowywali plecaki, torby, zawiązywali dokładniej worki, rozciągali się i robili to, co zrobiłby każdy biwakowicz przed wędrówką krajoznawczą.

Analogia kończyła się, gdy w miarę przybliżania kształty zmieniały się w dokładne kontury, wypełnione kolorami i głębią. Robocze ubrania mieli przykryte płaszczami z futer i wyprawionych skór o różnorakich barwach. Obok każdej z osób leżała na ziemi maska, a w zasadzie to hełm, w kształcie czaszki, której otwory w większości załatano, oblepiono gumą lub przeszklono.

Zbliżyłem się wreszcie na odległość ręki, chciałem zrzucić z pleców ciężar, ale ktoś mnie powstrzymał gestem i powiedział:

– I tak zaraz ruszamy, czekaliśmy tylko na ciebie – odezwała się Lusia, nie odrywając wzroku od masywnego worka, wypchanego martwodrzewem.

– Zagadałem się, moja wina – odparłem, nie chcąc zdradzać, z kim rozmawiałem i zaraz odwróciłem się do kolejnej osoby. – Długo czekacie?

– Nie, panie doktorze, my wszyscy ledwie kwadrans temu, ale oni to byli już na początku. – Artur wskazał dłonią na Lusię i stojącego na boku Śledzia. – No, to teraz pan doktor niechybnie będzie mi musiał z oczu wyczytać, co mnie czeka!

Artur zaśmiał się wesoło, kosmyk jasnych włosów opadł mu na czerwoną twarz. Dopiero po tym przypomniałem sobie, że rzeczywiście był przy stole na biesiadzie, gdy jeden ze starszych Chołowników pytał mnie o wróżby.

Spojrzałem na nie wyróżniającego się niczym Artka, który nie mógł mieć nawet trzech krzyżyków w kalendarzu. Dobry chłopak, bystry, pomocny, z kategorii tych, którzy niosą światełko wszędzie tam, gdzie pójdą. Nie mogłem mu przecież powiedzieć nic innego niż zwyczajne:

– Nie idź z nami.

Zamilkłem. Artur patrzył na mnie przez chwilę tym samym wzrokiem i dopiero później dotarło do niego, co powiedziałem. Właściwie to do mnie też dotarło to po czasie i spostrzegłem, że kilka innych osób podsłuchało.

– Przejęzyczyłem się… To z mrozu. Chciałem powiedzieć, że wszystko będzie w porządku. Byle byśmy trzymali się razem i nic ci się złego nie stanie.

Artur przytaknął nieufnie, uśmiechnął się od niechcenia i ewidentnie dalej mielił w głowie to, co mu powiedziałem. Zaciągnął sprzączki plecaka, podniósł z ziemi swoje poroże, widłak, dwa niemalże proste rogi, po czym

brzdąknął palcem o zieloną wstążkę, którą przewiązał między rogami w zmyślną plątaninę.

– Wszyscy się znamy, ale nie wszyscy ze sobą byliśmy w Lesie, prawda? – spytałem, choć wiatr zdawał się zagłuszać moje słowa.

– Większość woli używać aliasów – podpowiedziała mi Lusia, bo wyraźnie zależało jej na czasie. – Inaczej, większość z nas woli w ogóle nie rozmawiać, ale wiem, że twój migowy jest kiepski.

– Umiem migać bardzo dobrze – pokazałem dłońmi.

– Mignąłeś grubo, pewnie chodziło ci o to, że dobrze. – Łucja westchnęła ciężko, machnęła dłonią i wskazała palcem na Artura. – Nie powiedział ci pewnie nigdy, ale on jest Kozioł, jeśli już będziesz musiał szeptać.

Artur pomachał mi na dodanie otuchy, chyba jako jedyny miał do tego wszystkiego pozytywne podejście albo nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Nawet w tym momencie na jego barkach osiadał szary, wygryzający kolory z tkanin pył.

– Rzęsa – wyciągnął do mnie rękę wysoki, szczupły Chołownik, któremu znad pleców wystawał kołczan strzał.

– Drozd, ty jesteś synem… pana Adolfa, prawda? Starszy taki, co większość czasu przebywa w domu, prawda?

– Przykuty do wózka, tak.

Przytaknąłem, bo wiedziałem o tym, ale nie chciałem być niemiły. Niełatwo opiekować się własnymi rodzicami większość życia, a co dopiero w takim miejscu, które ma swoje wymagania niezależne od czyichś możliwości. Pewnie musiał robić co miesiąc kilka kukieł na pełnię księżyca dla siebie i pozostałych.

– Pan doktor pomagał mojemu bratu, Kajtkowi, mówił pan, że on… że nie mówi, bo jest jakiś? – dokończył Rzęsa, sugerując, żebym mu pomógł znaleźć właściwe słowa.

– Tak, mutyzm wybiórczy, a przynajmniej tak mi się wydawało, nie wiem, czy to coś pomogło, ale starałem się…

– Pomogło – przerwał mi Saprofita i pokiwał poważnie głową. – Pan doktor wziął tylko konserwy, a dał mojemu braciszkowi głos, zapamiętałem. Liczę, że po powrocie będziemy już w równych stosunkach.

Zacisnąłem usta w wąską kreskę i przytaknąłem w ciszy. Było w Rzęsie coś, co mówiło o powadze i pewnym poczuciu majestatu. Pod śmiesznie wyglądającą czapką z filcu, była drobna, dostojna twarz, która w innym życiu mogłaby należeć do księcia. Zamiast tego należała do wieśniaka z końca świata, który zarabiał na życie, skradając się pośród najgorszych koszmarów z otchłani Lasu.

Rzęsa założył na głowę piękny dziesiątak koronny, poroże z dwoma odnogami, którego główne tyki kończyły się rozczapierzonymi dłońmi z zaostrzonych krańców. Stara, ale zadbana rzecz, nosząca na sobie niejedno zadrapanie, przebarwienie i ornament. Miałem ochotę zapytać, czy należała do ojca nim zniedołężniał, ale nie chciałem być obsceniczny.

– Trzaska. – Trzeci członek naszej wyprawy podszedł do mnie i sam chwycił moją dłoń na przywitanie. Miała silny, pewny siebie uchwyt, co dobrze wróżyło powodzeniu całego przedsięwzięcia. – Nie rozmawialiśmy, długo się wzbraniałam.

– To mała miejscowość, kojarzę cię z widzenia, ale faktycznie, nigdy nie przyszłaś do mnie z niczym, ani ja do ciebie – powiedziałem, gapiąc się na gęste, rude włosy, związane w wianek dookoła głowy. Zważywszy na to, jak niepokojąca, a zarazem piękna była twarz Saprofitki, musiało być prawdą, że celowo mnie unikała, inaczej bym zapamiętał. – Znamy się z czegoś? Może jesteś z kimś spokrewniona blisko?

Dziewczyna, a w zasadzie kobieta, bo było jej bliżej do mojego wieku niż na przykład Lusi, uśmiechnęła się zakłopotana, po czym zmrużyła oczy i odzyskawszy pewność siebie, powiedziała głośno:

– Zabiłeś mojego przyjaciela, Zająca.

Zawiał głośno wiatr, Lusia przeklęła pod nosem, Śledź odwrócił się na moment, Artur cofnął o duży krok, a Rzęsa ignorował całe zajście, pomagając przy czymś szóstemu z Chołowników. Zaraz się mogło okazać, że ta liczba miała pozostać na tym poziomie.

– Nie zabiłem go – postarałem się, żeby mój głos brzmiał twardo, bo mówiłem szczerą prawdę. – Krzyczał po pijaku w Lesie, grożąc mi i celując z broni. Zabrało go jakieś licho, przykro mi, ale to nie znaczy, że jestem win…

– Nie mam ci za złe – przerwała, podnosząc dłoń. – Po prostu chciałeś wiedzieć, z czego możesz mnie znać, a to od razu wyjaśnia, dlaczego nie rozmawiałam z tobą. Po prostu mam… uraz, wiesz? Ale taki niewidoczny, który noszę w sobie, jak rana, której nie ma, ale boli.

Zamrugałem zdziwiony, przechyliłem głowę na bok i stwierdziłem:

– Tak… Takie rzeczy istnieją. – Przez moment milczałem, bo miałem wrażenie, że coś było dziwnego w Trzasce, pomijając jej niezwiązany z niczym przydomek. – Nauczymy się współpracować, może nawet polubimy, w każdym razie, ja mogę obiecać, że będę się starał, dobrze?

Trzaska pokiwała głową poważnie i odeszła na krok, by założyć swój szpicak, najkrótsze poroże, jakie w życiu widziałem. Ledwie dwa, malutkie różki, pokryte czerwoną farbą. Przez czoło czaszki przebiegała długa kreska w tym samym kolorze i jedno słowo w języku Lasu, o którym wiedziałem tylko tyle, że oznacza fale, jakie rozchodzą się po wzburzeniu tafli jeziora.

– No to zostaliśmy my dwaj, drogi panie – podniosłem głos, bo znowu wiatr przybrał na sile.

Wszyscy zaczynali już przebierać w miejscu z zimna, a nieznajomy dalej nachylał się nad swoimi pakunkami, do akompaniamentu instruktażu Rzęsy.

– Może z nim potem, Jurek, on ma swoje potrzeby – odezwała się dziwnym tonem Łucja, ale było za późno.

Chołownik, którego nie kojarzyłem z widzenia, podniósł się znad worka pełnego cennego martwodrzewu, wyprostował plecy i obrócił twarzą do mnie. Był wielki, właściwie to może większy niż nieodżałowanej pamięci Pień. Jednak spod krzaczastych brwi nie patrzyła na świat prymitywna głupota, tak często na wyrost łączona z siłą. Spoglądał na mnie ze szczerym strachem.

Miałem wrażenie, że patrzyła z tej góry mięśni dziecinność, lęk, ale na pewno nie brak inteligencji. Z każdym następnym Chołownikiem, kojarzyłem twarze jeszcze mniej, aż do etapu tego wielkoluda, którego przysiągłbym, że nie widziałem nigdy.

– Przepraszam, po prostu ja się pakuję i nie chcę robić problemów.

Stałem jak wryty, patrząc się na dwumetrowego mięśniaka, który mógłby zgnieść moją głowę w dłoniach, a nie umiał zawiązać mocowań na jednym z kilku worków, które miał nosić na plecach.

– On taki jest, nikt nie wie czemu, może coś się zakradło do jego matki, jak była w ciąży i zepsuło go – podpowiedziała Lusia.

– Nawet wąs mu nie rośnie, a już powinien własne dzieciaki odchowywać – dodała Trzaska ze śmiechem.

– Gówno, a nie zepsuło – odwarknąłem zirytowany, bo miałem wrażenie, że jestem świadkiem jakiegoś znęcania się nad niepełnosprawną osobą. – Po prostu ten człowiek ma swój charakter i nic wam do tego… Swoją drogą, jak panu na imię?

– Zefiryn – odpowiedział Chołownik zawstydzonym, ale bardzo głębokim głosem.

– Nie wiedziałem nawet, że takie imię istnieje – przyznałem zdziwiony.

– Matka, świeć panie nad jej duszą, wybrała z jakiejś starej książki, bo w tamtym roku to już trzy Józefy się urodziły i chciała jakoś inaczej.

– Więc mam ci mówić w Lesie właśnie tak? Czy może wcale nie chcesz?

Mężczyzna, choć ciągle miałem na końcu języka słowo: młodzieniec, wydawał się zakłopotany, co wyglądało dosyć kuriozalnie, zważywszy na jego posturę. W pewnym momencie zauważyłem, że pod jego płaszczem kołysze się prymitywnie przypięta do biodra pepesza, a z drugiej strony długi nóż, zrobiony z jednego kła lub szabli zwierzęcia.

– Byłeś już w Lesie? – spytałem, mając wrażenie, że wszyscy wiedzą o czymś, o czym ja nie miałem bladego pojęcia.

– Tak, byłem, proszę pana.

– Nie jest tak strasznie, wystarczy trzymać się razem i…

– Nie, nie jest wcale strasznie. Ja właściwie… Ja właściwie to wolę.

W oczach Zefiryna błysnęło coś niezwykle dzikiego, drapieżnego i zdecydowanie nienaturalnego. Mógłbym przysiąc, że przez moment patrzyła na mnie inna osoba, która jedynie schowała się za maską strachu, by przebywać wśród ludzi.

– To jest dzikie dziecko, Jurek – szepnęła mi Lusia na ucho. – Mamy szczęście, że akurat był w Chołach. Większość czasu spędza na granicy Lasu, czasami nie wraca całymi dniami, aż zastanawiamy się, czy kiedyś tam nie zostanie po prostu. Jego rodzice, wszyscy poszli w Cichych, tak samo brat i trzy siostry.

Przełknąłem ciężko ślinę. Miałem wrażenie, że za każdym razem, gdy byłem blisko zrozumienia otoczenia, ktoś wyciągał z piwnicy coś takiego. Ogromnego, przerażonego dzikusa, który pewnie widział w ciągu życia więcej cudów, niż ja mogłem pomyśleć, że mają szansę istnieć. A mimo to patrzyła z niego jakaś dwojaka natura, siła i słabość.

– Będę mówił na ciebie Juki, jeśli ci to nie przeszkadza, dobrze?

– To nie jest coś, co możesz, ot tak, komuś sobie nadać – syknęła Lusia i zaraz dodała głośniej, jakby pouczając wszystkich. – Czasami to Las sam wybiera imię, czasami jest ono wróżbą, nie zawsze wydaje się sensowne, ale nigdy nie jest przypadkowe.

– Nie jest przypadkowe – mruknąłem i wskazałem palcem na toboły, których Zefiryn miał ze sobą więcej niż ktokolwiek. – Jest silny, nosi ze sobą mnóstwo rzeczy, w tym całą swoją ciężką przeszłość. Możemy uznać, że to bardzo trafne imię.

Obejrzałem się na resztę, Kozioł przytaknął, reszta względnie zaakceptowała to mimochodem, nie mając motywu do kłótni.

– Zapamiętam – odpowiedział cicho Zefiryn i założył na głowę swoją maskę.

Zmrużyłem oczy, przyjrzałem się dokładniej, podszedłem o krok i po dłuższej obserwacji powiedziałem:

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Juki założył na głowę masywną, podobną do psiej czaszkę, z której wystawały brudne, porośnięte mchem kły. Całość była wyłożona futrem i tylko przy szyi miała standardowe ogumienie, a w miejscu nozdrzy i ust dwa otwory na filtry lub jedzenie. Nie miał żadnych rogów na sobie.

– Nigdy nie przyznał się, skąd to ma, kiedyś przyniósł z Lasu – powiedziała nieco karcącym tonem Łucja. – To najwyraźniej jest… A raczej

był niedźwiedź. Jak mam być szczera, to sama nie wiem i nigdy nie chciałabym wiedzieć.

– A ja wręcz przeciwnie. – Wyszczerzyłem się, zakładając swoje poroże o żywicowym oku. – Za wszelką cenę muszę wiedzieć.

Rozdział drugi: Strzeżonego pan Bóg strzeże

Strach jest wtórny wobec lęku. Lęk to przeczucie, że zagrożenie może czyhać tuż za rogiem, to oczekiwanie obcego niebezpieczeństwa i wszystko to, co nie pasuje nam do zwyczajowego schematu spokoju. Strach to już zagrożenie świadome, bezpośrednie, doświadczalne i odróżnialne od tła innych zmysłów, świadomość tego, że ma się przed sobą przeciwnika w tej czy innej postaci.

Las jest odbiciem lustrzanym zwierzęcej natury człowieka. Tutaj lęk czujesz zawsze, a strachem reagujesz na chwile odpoczynku, bo są tak niespodziewane, nagłe i oszałamiające. To nie ty masz nasłuchiwać wrogów, to oni nasłuchują ciebie. Ty masz tylko stąpać jak najciszej, być przemykającą, mglistą sylwetką albo sunącą po mchu górką zszytych skór.

Obejrzałem majestatyczne, brunatne giganty, które pozornie bez wysiłku podtrzymywały niemalże doskonale szczelne sklepienie Lasu. Różnorodność tego miejsca zaskakiwała za każdym razem, nie stawiając sobie żadnych ograniczeń w doborze kolorytu, kształtu i tekstury.

Po wejściu minęliśmy ośnieżoną fasadę świerków oraz sosen i zagłębiliśmy się powoli w prawdziwy Las, którego niemożliwe w tym rejonie Ziemi sekwoje sięgały nieba, a właściwie to tworzyły swój własny nieboskłon z konstelacjami gniazd wśród pasm gałęzi. Pnie szerokie na kilka metrów wyzierały spod zbrylonego śniegu na świat i kłuły jasną czerwienią, sprawiając wrażenie wielkich kości, do których lepił się jeszcze żółtawy tłuszcz, świeża krew i pulsujące kapilary.

Śnieg sypał już spokojniej, wielkimi, szybującymi niezwykle powoli płatami bieli, która zdawała się tak odmienna od pylistego opadu brudu, jaki nawiedził Choły. Brnęliśmy w zaspach, potrafiących sięgać nam kolan,

a mimo to krajobraz nie wydawał się groźny czy nawet nieprzychylny, a po prostu majestatycznie dziki i naturalny.

Gdzieniegdzie można było dostrzec ślady na świeżym puchu, najczęściej w formie opadających igieł, gałązek i szyszek, rzadziej odcisków łap, a najrzadziej dziwnych, gładkich kształtów geometrycznych. Wyglądało to, jakby ktoś przypadkowo przygniatał w jakimś miejscu śnieg tablicą albo oponą, by zrobić odcisk, a potem zabierał przedmiot ze sobą.

Człowiek miał szczerą, naiwną ochotę skoczyć w taką bielusieńką hałdę, wytarzać się, jak w pierzynie, zrobić aniołka i po prostu na moment usnąć spokojnie. Tak, to wydawało się rajem, krótka drzemka w perłowej komorze z miliardów śnieżynek.

Plaśnięcie skóry, grzechot sprzączek i ból w ramieniu.

Stałem pomiędzy drzewami, coś uderzyło mnie mocno i zacisnęło dłoń, nie chcąc za nic puścić. Miałem wrażenie, jakbym wisiał nad krawędzią przepaści.

Obróciłem się nagle i spostrzegłem, że Lusia jedną ręką trzyma się Zefiryna, a drugą mnie, nie chcąc za nic zejść z trasy. Poczułem mocne szarpnięcie i zaraz obydwoje wypadliśmy na ścieżkę, ja na kolana, Łucję przytrzymał Zefiryn.

– Skup się, obserwuj oddech, śpiewaj – mignęła mi Lusia. Za wizjerami błyszczała irytacja, odbijająca się w jej przekrwionych oczach.

Byłem blisko śmierci, pomyślałem, weszliśmy tu ledwie kwadrans temu, a ja już prawie odłączyłem się od reszty i zginąłem. Przecież te kształty mogły być równie dobrze wnykami, co portalami do innych pięter albo alarmami dla jakichś wyjątkowo przebiegłych i krwiożerczych drapieżników.

Weszliśmy z myślą, że wszystko pójdzie dobrze, jeśli będziemy trzymać się razem i właściwie to tej zasady miałem zamiar trzymać się w szcze-

gólności. Samotne wyprawy do Lasu miały swoje nieliczne zalety i liczne wady.

Oczywiście, że łatwiej się przekraść, im mniej jest osób, choć i od tej zasady są wyjątki. Natomiast więcej osób dawało tę przewagę, że przynajmniej zawsze ktoś mógł cię odwieść od zrobienia czegoś głupiego lub obejrzeć ci tyły, dosłownie i w przenośni.

Trzaska dołączyła do mnie, niby mimochodem, zwalniając przez ostatnie kilka minut, aż zrównała tempo z moim. Na tyłach szedł Rzęsa, rozglądając się uważnie, ale bez zbędnej paniki. W środku dreptał powoli Juki i wydawał się absolutnie nieporuszony czymkolwiek. Natomiast Kozioł towarzyszył Lusi na przodzie i gestykulował coś gorączkowo, uzupełniając sporadycznie szeptami.

– Powinnam cię pilnować? – spytała Chołowniczka bardzo cicho.

Spod błyszczącego poroża co chwila unosiła się para z niezwykle gorącego oddechu.

– Dam sobie radę, to był przypadek – odpowiedziałem równie cicho, macając się po ułamanym rogu. Może powinienem był to jakoś naprawić, ale wolałem jedynie spiłować i zaplatać ciasno rzemień z koralikami. – Tutaj jeszcze możemy rozmawiać, prawda?

– Możemy rozmawiać wszędzie, po prostu podejmujemy ryzyko, jak zawsze. To ty chyba wiesz najlepiej, skoro to twoja zasługa, że oddalono Krzykacza.

– Zasługa albo wina.

– Potrafię uszanować dobre trofeum, a jeszcze bardziej łowcę, który je przyniesie. Chłop, który od dwudziestu lat orze te same jutrzyny nie jest tak samo imponującym opiekunem, jak ktoś, kto wyrywa ziemi zdobycz własnymi rękoma.

– Żałuję, że nie mieliśmy okazji odbyć tej rozmowy wcześniej – mruknąłem sardonicznie, bo kwestia Krzykacza była wyjątkowo drażliwa. – Od dawna jesteś zbieraczką?

– Jak wszyscy, od urodzenia.

– Tak, ale niektórzy wydają się być bardziej…

– Wyczuleni na zew Lasu?

– Chciałem powiedzieć zaangażowani, ale twoja wersja brzmi lepiej.

– Nie wierzę w zew Lasu, choć niektórzy tak próbują usprawiedliwić brawurę. Jeśli kogoś ciągnie do matecznika, to powinien to przed sobą przyznać, żaden wstyd. Wielu ludzi oddałoby wszystko, by nie musieć przebywać nawet w pobliżu tego piekła. Jednak to nie znaczy, że ci którzy mogą, nie powinni z tego korzystać.

Pokiwałem głową i obydwoje zamilkliśmy, bo wiatr zaczął wiać mocniej. Z koron drzew posypał się śnieg, który na najkrótszy moment spowił wszystkich. Zasłoniłem się łokciem, obróciłem w bok i dostrzegłem Jego.

Nie wiem czym był On, ale widziałem niską, szeroką sylwetkę, odznaczającą się wśród zamieci jak plama oleju. Zdawał się być człowiekiem i obserwował mnie z bardzo bliska czerwonymi oczami.

Wiatr ścichł, zadymka opadła, a wraz z nią zniknął obserwator.

Wziąłem głęboki oddech, chwyciłem za naszyjnik z cieciorki na szyi i spojrzałem po towarzyszach, szukając jakiejś reakcji. Najwidoczniej tylko ja widziałem przyczajoną istotę, co oznaczało, że albo odchodziłem od zmysłów albo przenosiłem się na inne piętro.

Wyjątkowo założyłem, że na pewno nie jestem najbardziej spostrzegawczym z całej siódemki i dla bezpieczeństwa zacząłem zmiękczać na języku ziarno ciecierzycy. Była diabelnie twarda, jak zawsze, ale pomagała zachować balans.

– W porządku? – spytała Lusia migowym.

Wszyscy odpowiedzieli, układając dłonie w proste do zrozumienia gesty, mówiące o tym co czują. Było wcześnie, więc każdy pokazał kierunek horyzontalny, co znaczyło tyle, że nikt nie czuł, jak porywają go jakieś zawirowania pięter. Szliśmy na odczynie neutralnym w maskach i planowaliśmy zostać tak jak najdłużej.

Okolica zdawała mi się znajoma, choć musiało to być złudzenie. Jeśli ktoś całe życie chodził po Lesie, to na pewno potrafił rozróżniać, czy coś zapamiętał kiedyś, czy jedynie widział coś podobnego. Dla mnie, człowieka żyjącego większość czasu w mieście, wśród stosów dokumentów, blokowisk, prostych siatek ulic i betonowych zakamarków, Las wydawał się skrajnie podobny albo różny wszędzie. Właśnie dlatego liczyłem, że nie przyjdzie mi służyć za żaden wyznacznik trasy.

Coś ukłuło mnie w sercu. Przez chwilę nie mogłem oddychać, zgiąłem się i z trudem zaciągnąłem powietrze do maski. Nie czułem czegoś takiego od dawna i szczerze mówiąc nie spodziewałem się, że znowu mnie to dotknie. Alergia czy może jakaś nieznana mi ułomność własnego organizmu, tego nie wiedziałem.

Ostatecznie uznałem, że to ostrzeżenie.

Obejrzałem się w bok, coś długiego, pokrytego brązową łuską, zsunęło się po pniu drzewa. Stwór wyglądał jak człowiek, który narzucił sobie na plecy wielką jaszczurkę i udawał, że nią jest. Przyspieszyłem kroku i zignorowałem anomalię. Czasami tak jest lepiej, po prostu nie patrzeć, nie pytać, liczyć, że coś straci nami zainteresowanie.

Rozbrzmiał nagły trzask w oddali Lasu. Wszyscy zatrzymali się gwałtownie, jednocześnie Łucja wzniosła pięść ku górze i długo trzymała ją tak zaciśniętą. Czekaliśmy, nie było nic dalej, ot wielkie drzewo upadło gdzieś w niezmierzonej przestrzeni puszczy.

Już miałem powiedzieć coś, byśmy wrócili do marszu, ale rozległ się mrożący krew w żyłach grom. Drzewa zaszumiały, wiatr poderwał w naszym kierunku iskrzące drobiny śniegu i poczułem, jak moje kości drżą.

To był dźwięk jakiegoś stworzenia, a nie przedmiotu. Coś masywnego musiało wydać z siebie nawoływanie z aż tak niespotykaną mocą. Jeszcze przez chwilę w powietrzu tańczyły wzburzone, lekkie igiełki koloru błękitu.

Łucja opuściła dłoń, wróciliśmy do przemierzania drogi i nikt nie odważył się podnieść tematu choćby jednym słowem. Jeśli to coś nie dotyczyło nas, to nie było sensu wpychać nosa w nieswoje sprawy.

Choć przyznam, że z tyłu głowy już szacowałem: co to było, jak wielkie było, gdzie żyło, czym się żywiło? Przestałem dopiero wtedy, gdy ponownie zatrzymaliśmy się na moment i zebraliśmy przy czymś w rodzaju skrzyżowania.

– Problemy? – mignąłem do Kozła.

– Łucja – wskazał.

Lusia przypatrywała się czemuś, na co dopiero po chwili zwróciliśmy uwagę. Zadarliśmy głowy do nieba i dało się słyszeć tylko jedno, siarczyste:

– Cholera jasna – warknęła Trzaska na głos, już nawet nie szeptem.

Przed nami rosło masywne, przysadziste drzewo, któremu ciężko było przypisać konkretny gatunek. Wyglądało jak dąb, ale miało nienaturalnie szeroki pień i liczne, nagie rozgałęzienia, rozpoczynające się kilka metrów nad ziemią.

Część dziwacznych gałęzi nie miała na sobie żadnej kory, jakby ktoś je obrał jakimś bardzo ostrym i prymitywnym narzędziem, nie bacząc na kanciaste cięcia. Jednak to nie sama inność drzewa przykuła naszą uwagę, a to, co zwisało w koronie.

Zmarznięte na kość zwierzęta, śmieci, pożytki, opony, kończyny, a nawet kilka zachowanych w całości trupów; wszystko to zwisało bezwładnie z drzewa, powiązane półprzezroczystymi sznurami koloru mleka lub pajęczyny.

Sam pień drzewa zdawał się obrastać linami, które wrosły w korę, jakby ją wzmacniając. Tłumaczyło to szerokość obiektu, przypominającego z pewnej perspektywy masywną szpulę, na którą ktoś nawinął kabel.

– Idzie tutaj – mignął włochatymi łapskami Juki i wskazał między nieodległymi drzewami, zwracając uwagę wszystkich.

Spojrzałem między sekwoje, wśród których ciężko było dostrzec cokolwiek istotnego. Ot, rzeczywiście na ziemi leżało sporo gałęzi, które w pewnym momencie nawet zasłaniały obszerny kawał terenu, trzęsąc się i gnąc, ale poza tym nic nadzwyczajnego.

Aż zza drzewa wychyliła się sylwetka. Można było odnieść wrażenie, że zmierza ku nam obsydianowy posąg, ciągnący za sobą foliową narzutę. Humanoidalny kształt zdawał się sunąć między gałęziami, jakby nie tykając żadnej. Czarny materiał zasłaniał go od czoła po palce stóp. Tylko blada, koścista twarz wyzierała na świat spod kaptura.

W miarę zbliżania się istoty zaczynałem zdawać sobie sprawę z kolejnych, coraz bardziej niepokojących detali taksonomicznych. Miał dobre cztery metry wzrostu, gałęzie, które zdawały się za nim ciągnąć, były tak naprawdę grubymi, postrzępionymi sznurami. Nicie przypominały opalizujące bryłki węgla, odznaczające się na zmianę doskonałą gładkością lub ostrymi bokami.

Gdy to coś było już blisko, zrozumiałem, że nie zauważyłem nadal najgorszego. To nie twarz błyszczała tak w cieniu własnych szat, to była czaszka. Długa, przypominająca sępa czaszka o zaostrzonym, bezbarwnym

dziobie. Oczodoły nieznajomego spowijała gęsta ciemność, aż zdawało się, że mogłaby się wylać ze środka, gdyby przechylić czaszę.

W końcu obcy stanął przy spowitym szubienicznikami drzewie i zrozumiałem, że jego czaszka nie skrywa w sobie twarzy człowieka, a na pewno nie była ona maską.

– W tył – mignęła bardzo powoli Lusia i zaczęliśmy niezwykle ostrożnie cofać się po własnych śladach.

Szkielet wyjął spod szaty człowieka, jakby ten nic nie ważył. Na śnieg bryznęła krew z otwartych ran, a ciało ubrane w jelenią maskę z białymi wstążkami, wydało z siebie ledwie słyszalny jęk bólu.

– Cichy? – wyrwało mi się szeptem.

Kostucha obróciła się do nas w ułamku sekundy, trzymając w powietrzu człowieka za kark, tak jak trzyma się niesforne kocię. Wiedziałem, że mogła nas widzieć wcześniej, ale dopiero wtedy zwróciła na nas uwagę. Zdecydowanie uwaga była ostatnim, co chcieliśmy na siebie ściągać.

Zamarliśmy w bezruchu i po krótkiej chwili kostucha odpuściła obserwowanie nas, mimo tego, że staliśmy na stosunkowo otwartej przestrzeni, ledwie kilkanaście metrów od niej. Zdawało się, że nie była nami zainteresowana.

Ogromna istota z pietyzmem i niemalże pieszczotliwością przywiązała jedną z lin koloru zgniłej śliwki wokół szyi Cichego. Zacisnęła mocno pętlę i drugi koniec liny samoistnie zaczął pełznąć w górę drzewa jak posłuszny wąż.

– Nie – szepnąłem.

– Cicho – mignęła Łucja.

– Ten człowiek żyje – zacząłem migać, ale ręce nazbyt mi drżały i dokończyłem własnym głosem. – Poza tym, może coś wie…

– Jurek, ciszej! Nie pozwolę ci nas zabić. – warknęła Łucja na głos.

Umilkliśmy, wpatrując się, jak sylwetka Łucji zaczyna odbijać się na doskonale czarnym tle. Nawet pod jelenią maską można było dostrzec, jak po twarzy naszej przewodniczki przebiegł grymas zrozumienia i następujący po nim strach.

– Stoi za mną – mignęła.

Obalający z nóg skowyt posłał nas wszystkich w śnieg. Był krótki, potężny i zdecydowanie użyty na postrach, jak salwa w niebo. Dopiero po dłuższym czasie odważyliśmy się otworzyć oczy i wstać.

Kostucha tak szybko, jak pojawiła się za Lusią, wróciła do wieszania Cichego. Lina szubieniczna wrosła z chrzęstem w korę drzewa, wzmacniając strukturę całego pnia i gałęzi. Mniej więcej wtedy spostrzegłem, że białe, łyse gałęzie, to tak naprawdę rozkładające się liny, które wyblakły.

I rzeczywiście, na własne oczy widziałem, jak fioletowa liana zaczyna po powieszeniu ofiary zrzucać skórę. Stryczek wypełznął sam z siebie, zostawiając pustą, półprzezroczystą wylinkę, jakby był gadem.

Istota ponownie obróciła się w naszym kierunku, drgnęliśmy odruchowo. Zamiast jednak ukarać nas, za przerywanie jej rytuału, stanęła jedynie pod drzewem i zaczęła wydawać z siebie ciche, basowe pomruki, przypominające piosenkę.

– Widzę ją na każdym piętrze – powiedziałem, zamykając i otwierając na zmianę oko, które patrzyło na świat spod warstwy żywicy, przyklejonej do mojej maski. – Na pewno jest wyżej, a czy niżej, to mogę się tylko domyślać.

Juki pociągnął nosem jak koń chrapami, głośno, z paskudną i wilgotną nutą na zakończenie. Można było mieć przeświadczenie, że nasz towarzysz dosłownie próbował wywąchać poziomy halucynacji w tle.

– Mocno pachnie – mruknął.

– Jak Śledź – dodałem ze śmiechem i zrozumiałem, że od początku wyprawy nie zwracałem uwagi na mój główny powód wędrówki.

Śledź stał tuż koło mnie, choć wcale go nie zauważyłem do tej pory. Nawet o nim nie myślałem przez cały ten czas, praktycznie zapomniałem o jego istnieniu. A mimo to, gdy już wspomniałem jego bagienny smród, jakby sam zmaterializował się koło mnie.

– Nie wygląda groźnie – odezwał się chory po raz pierwszy. – To znaczy, nie zrozumcie mnie źle, wygląda na naprawdę niebezpiecznego drapieżnika albo gorzej. Właściwie to wygląda na kolekcjonera, a to chyba coś znacznie bardziej nieprzyjemnego do spotkania. Natomiast nie wydaje mi się, że ma ochotę nas skrzywdzić. Myślę, że po prostu ma nas gdzieś jak…

– Jak żubr zająca – dodałem wbrew sobie i zastanowiłem się na moment. – Myślę, że możemy go lub ją po prostu obejść, kto jest za?

– To nie wybór koloru nowej wyszywanki – syknęła Łucja, zbierając wszystkich w jedno miejsce. – Ja mówię, że przejdziemy pod nim i wynurzymy się kawałek dalej albo przy następnym punkcie orientacyjnym.

Kozioł pokiwał głową, w ślad za nim Trzaska. Juki i Rzęsa wydawali się obojętni, a Śledź z jakiegoś powodu jedynie obserwował mnie.

– Czyli my nie mamy nic do powiedzenia? – wskazałem dookoła, choć po prawdzie to miałem na myśli głównie siebie.

– Nie – odparła z rozbrajającą szczerością Łucja. – Bo mamy odpowiedzialne zadanie, do którego zostałam wyznaczona i nie pozwolę, byś próbował teraz zgrywać koguta przy grzędzie. Jestem s… A zresztą, nie będę się tłumaczyć, wszyscy wyjmować szkatułki, a ty wyjmij windę.

Łucja wskazała na Zefiryna, jakby nie chcąc ani nazywać go po imieniu, ani tym bardziej aliasem, który mu wybrałem na czas podróży. Mimo to wszyscy zaczęli robić dokładnie to, co powiedziała.

Zamknąłem oczy, wziąłem głęboki oddech i zacząłem szperać w plecaku za swoim puzderkiem. Nie było sensu się kłócić, a przynajmniej jeszcze nie. Jeśli chciała na siebie wziąć odpowiedzialność, to miała prawo.

Grzebiąc w pakunkach, zacząłem się realnie zastanawiać, czy ja jestem tym złym? Czy rzeczywiście zaproponowałem coś nieroztropnego albo próbowałem ugryźć więcej, niż było mi wolno?

Spojrzałem na nucącą pod drzewem kostuchę i potrząsnąłem głową, jakby próbując zrzucić z siebie jej obraz. Samo patrzenie na istotę wydawało się… odbierać oddech.

Wyjąłem szerokie, jesionowe pudełko. Było bardzo podobne do tego, które kiedyś znalazłem w rzeczach starego Romka, byłego właściciela mojego poroża. Różnica była taka, że mogłem ułożyć przedziałki po swojemu i zebrać pożytki według własnych potrzeb. A zważywszy na to, że już raz prawie zabrakło mi sekundy, by uciec na inne piętro, wolałem szybko wiedzieć, gdzie mogę znaleźć jaką substancję.

– Dziesięć poryblinu – powiedziała Łucja, jakby była lekarzem, wydającym pielęgniarce polecenie na ostrym dyżurze. – Gotowe? To teraz kto jaki wziął.

– Kolczasty – odpowiedzieli zgodnie wszyscy poza Śledziem i Trzaską.

– Ja biorę jeziorny – odpowiedział Śledź po chwili przyglądania się Chołowniczce, ta odpowiedziała skinieniem.

– Poryblin i cieciorka z szyi, szliśmy jakąś godzinę w górę, ale bardzo powoli i teraz jeszcze wy jeziorny, my kolczasty…

– Ja jedną cieciorkę już wziąłem doustnie – poczułem się, jakbym dostawiał kubek, komuś zmywającemu naczynia, czyli co najmniej niezręcznie.

– Ja oddycham przez podwójny rumianek, bo z nozdrzy i z ust – dodał Juki z lekkim zawstydzeniem, niewspółgrającym nadal do najeżonej zębami maski.

– Jasny gwint – warknęła Lusia, chwilę stała w milczeniu i zaczęła coś liczyć na palcach bardzo powoli.

– Mogę ci pomóc – powiedziałem.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Nie, ale może ci się przydać, a to dwie różne rzeczy. Co, jeśli przesadzimy z dawkami i dobijemy do dna?

– Do dna... Dna? – zaakcentowała mocno Lusia, wskazując roztrącony butami śnieg. – A co było, gdy dobiłeś do sufitu góry?

Przypomniałem sobie Serce, które było okaleczonym przybyszem i to, jak Lusia musiała mnie dokarmiać przez parę dni, nim wróciłem do siebie. Dla mnie to było kilka minut rozmowy, które moje ciało odczuło jak tydzień, a na względnie podstawowym piętrze minął wtedy mniej więcej dzień.

– Co jest na dnie? – spytałem z zaciekawieniem.

– Jurek, miałeś pomóc.

– O więc teraz mam po… Przepraszam, masz rację. No dobrze, to w takim razie problem jest taki, że nie trafimy wszyscy na to samo piętro, bo Jukiego będzie bardziej ciągnąć w górę niż resztę, a Śledzia i Trzaskę… Jak mniemam w dół, tak?

– To nie tylko w tym problem – przyznała Trzaska poważnie. – Ona myśli o tym, że cały plan się przez to wali, bo rozkład poryblinu jeziornego w organizmie jest inny, niż kolczastego. Oznacza to, że będziemy dłużej schodzić, ale będzie to bezpieczniejsze dla organizmu, bo potem również dłużej będziemy to wydalać. A dobrze wiemy, że można spożytkować się na śmierć albo gorzej…

– A nie możemy obejść tego czegoś? – Artur wskazał na kostuchę, lecz ta nawet nie drgnęła, dalej nucąc.

– To jej teren, łowiecki albo święty, ale na pewno nam nie pozwoli – mruknął Juki, kiwając głową, jakby mówił z własnego doświadczenia.

– Cofnięcie się po własnych śladach to tylko przesąd – podpowiedział Rzęsa, w przenośni szturchając patykiem mrowisko

Wśród niektórych Saprofitów dalej gorzała debata, czy można w Lesie cofać się po własnych śladach. Konsekwencje takiego działania różniły się w opowieściach i legendach oraz mitach. Jedni mówili, że nie można ani kroku, inni, mniej ortodoksyjni, że nie można iść więcej niż sto kroków. Kary były różne, anomalie czasowe, odpadające nogi, samozapłony, w znaczną większość nie wierzyłem.

– Możemy z nią porozmawiać? – zasugerowałem, ale nikt nawet nie kiwnął głową.

– Za dużo gadamy – stwierdziła Lusia, choć szanse na to, że coś by się na nas połasiło na terenie kostuchy, były raczej niewielkie. – Mam pomysł… Z kategorii tych, które miewa pan doktor.

Kilka osób zaśmiało się cicho, a ja obejrzałem się zdziwiony.

– Przepraszam bardzo, ale czy ja stałem się jakimś wyznacznikiem głupoty?

– Nie, chciałam zażartować ostatni raz, nim się rozstaniemy.

Rzęsa i Trzaska pokiwali głowami, jakby jako jedyni domyślili się już, co się zaraz miało stać.

– Trzaska i Śledź, pójdziecie niższą parabolą pod kostuchą. Rzęsa i Kozioł, idziecie razem po większej głębokości. Ty… Juki możesz zrobić, jak chcesz, ufam ci, liczy się efekt.

– A ja?

Łucja spojrzała na mnie, wizjery jej maski błysnęły, a ciało drgnęło ledwie dostrzegalnie. Miałem przez moment wrażenie, jakby sama nie była pewna swojej decyzji.

– Ja wezmę cieciorkę, poczekamy chwilę i też popłyniemy dołem, pomiędzy parą jeziorną a kolczastą. – Gdy upewniła się, że każdy usłyszał i zrozumiał, stanęła pomiędzy nami i zaczęła rysować palcem w śniegu. – Chcę was widzieć przed nocą, najpóźniej na kilka godzin po zmroku. W innym wypadku zmarnujemy mnóstwo martwodrzewu, a obawiam się, że i tak zaczęliśmy na rezerwie, licząc na uzupełnienie po drodze.

Obejrzałem się na wszystkich, miałem wrażenie, że ich maski jaśnieją i wyostrzają się w konturach, jakby zastępowały im głowy. Poczułem, że jest coraz trudniej oddychać i drżą mi paliczki. Tak, to było bardzo złe przeczucie.

– Idziecie ciągle tak, by mieć słońce po lewej, mniej więcej tak, jak my teraz, czyli prawie w oczy, ale nie do końca. Jeśli będziecie próbowali znaleźć kierunki po gwiazdach albo mchu, to szybko się zgubicie. Jedynym gwarantem jest to, że z tego samego miejsca, chociaż na różnych piętrach, będziemy szli w ten sam sposób z podobną prędkością. Ostatecznie zacznijcie dryfować w kierunku najbliższego punktu wspólnego dla pięter, jakiegoś leja albo nawet studni, byle niezbyt mocnej.

Przez moment zastanawiałem się, czy ten plan ma jakieś oczywiste wady. Na pierwszy rzut oka był niebezpieczny i wynikał jedynie z beznadziejnej sytuacji. Zdecydowanie nosił znamiona improwizacji i mógł nie wypalić na dowolnym etapie wypełniania. Cóż, nic dziwnego, że porównała go do moich planów.

Łucja zebrała nasze ręce w środku, usiedliśmy na ziemi na kilka sekund i wstaliśmy, by chociaż na chwilę zgodnie ze zwyczajem usiąść przed podróżą.

– Każdy niech wyjmie windę i ruszajcie, gdy będziecie gotowi. Pamiętajcie, lepiej jest czekać, niż błądzić.

Zefiryn mruknął coś pod nosem, wyjął drugie puzderko, sięgnął do środka po strzykawkę i napełnił ją jakimś zielonym płynem z buteleczki.

Odwróciłem się, nieomal wymiotując. Wzięło mnie z zaskoczenia, nie chciałem tego widzieć i na pewno nie miałem zamiaru przy tym być.

Usłyszałem tylko szelest odwijanego rękawa, palec napierający na tłoczek, pęknięcie ciśnienia w uszach i ciszę.

Zefiryn zniknął, nie wiadomo gdzie i na jak długo. Coś mi cicho podpowiedziało, że mogłem go już nigdy nie zobaczyć. Nie to, że miałoby mu się coś stać, bo sprawiał wrażenie raczej samotnego wilka i właśnie dlatego pomyślałem, że mógłby po prostu o nas zapomnieć lub celowo nas zignorować i zostawić.

Śledź i Trzaska chwycili za wyjęty z kieszeni kawałek liny, którą ktoś zanurzył w czerwonej farbie. Była to winda, czyli przedmiot, którego musiały się chwycić osoby przed wspólną podróżą, by ich różne organizmy, wylądowały ostatecznie na tym samym poziomie halucynacji. Dla bezpieczeństwa warto było się przywiązać, ale to jak z zapinaniem pasów w samochodzie, nie każdy ceni życie bardziej od wygody.

Odmierzyli sobie po dziesięć mililitrów proszku, odchylili głowy, wsypali w drobne kanaliki kościanych nozdrzy i wciągnęli. Zniknęli, choć dopiero z kilkunastosekundowym opóźnieniem, a nie natychmiast, jak Zefiryn.

Artur przytulił nagle Łucję, ich rogi zderzyły się, szepnął coś i ruszył razem z Rzęsą, wciągnąwszy swoją dawkę proszku z mniejszą wprawą niż poprzednia dwójka. Pękło powietrze i zostałem sam z córką sołtysa.

Czułem takie chłodne uczucie w sercu, jakiego nie doświadczałem od dawna. Miałem wrażenie, że była to zazdrość, mieszająca się z zawiścią,

strachem przed kostuchą, lękiem przed nieznanym i złością na samego siebie.

Łucja odpięła zasłonkę na wargach, pod szczęką jelenia i wrzuciła do ust ziarno ciecierzycy, po czym zamknęła podajnik i wciągnęła powietrze przez filtry.

Miałem ochotę zrobić coś głupiego. Kusiło mnie chwycić najmocniejszą dawkę i zejść na sam dół pięter. Właściwie to niewiele mi brakowało, w końcu miałem podajnik w dłoniach, wystarczyło wyjąć na moment cylindryczny filtr z jeleniego nosa, wciągnąć i wkręcić filtr z powrotem…

– Miałem jeden z… tych pomysłów – przyznałem.

Lusia zbliżyła się na krok, obróciła głowę, za wizjerami dostrzegłem chwilowy uśmiech. Wydawała mi się zawsze taka efemeryczna, jakby mogła w każdej chwili zniknąć.

– Powiedz mi, co jest między nami?

Bieniaszówna zakręciła palcem w powietrzu i powiedziała:

– Cały kosmos… Albo odległość ręki, zależy, o co pytasz. – Zaraz jednak spostrzegła, że zapytałem ją o coś bardzo konkretnego. – Dla mnie tam jest całe życie, rozumiesz? Nie chcę badać Lasu, chce z nim żyć. Chcę chronić moją rodzinę, wiesz? To jest we mnie, musisz mi uwierzyć, że najważniejsze, o czym myślę to móc ponownie zobaczyć dzieci w Chołach, bawiące się w popychanie kijem kamienia do dziury. Swoją drogą, to świetna zabawa i pomaga ćwiczyć piosenki…

– Skoro zostaliśmy prawie sami to… – Wziąłem głęboki oddech i zacząłem szeptać coś do samego siebie pod maską. – Chciałem cię chyba przeprosić?

Skłamałem.

– Jesteś zły, że nie możesz pokazać, jaki to jesteś: hej do przodu!

– Jestem zły na siebie, bo nie radzę sobie z wieloma elementami swojego życia, które zresztą tak się zmieniło. I jak mam być szczery to Las wydaje mi się ucieczką, innym życiem, które rozwija się jakby obok mojego. Dlatego, gdy jest mi źle, to myślę o tym, że gdybym tylko znalazł się w Lesie, to tak jakbym na moment mógł pożyć tym drugim, właśnie innym życiem, może trochę lepszym.

– Chodzi ci o zew?

– Zew nie istnieje – mruknąłem zirytowany. – Zew to wymówka Saprofitów, których żonom opadły piersi i skończyły się kartki na wódkę, a bimber wyszedł zbyt paskudny. Zew tego Lasu to kłamstwo, które wmawiamy sobie, bo boimy się przyznać, że jesteśmy tylko znudzonymi życiem małpami, wierzącymi, że czeka nas przygoda albo magiczna przepowiednia czy cokolwiek z obiektywną wartością.

– Więc co cię kusi w Lesie?

– Dualizm – powiedziałem po chwili zastanowienia. – Niezwykła obcość życia przybyszów oraz prostota obserwowania ścierwojadów, tych wszystkich wykrzywionych, zmitologizowanych przez nas maszyn. Ja też się boję o życie i nie trywializuję tego, co się tu dzieje. Pieśni przecież działają i trzeba czasem splunąć przez lewe ramię lub młócić zboże w deszczowy dzień. To wszystko jest prawdziwe i niesie ze sobą pewną wzniosłość, sztukę, którą rozumiem, choć nie zawsze czuję, tylko czy to wystarcza?

– Wierzysz w duszę?

– Nie jestem pewien, chyba nie.

– Opowiadałeś kiedyś, że spotkałeś Latarnika, pamiętasz?

Przypomniałem sobie. Nie chciałem, ale przypomniałem sobie światło ludzkiego cierpienia, skowyt małpy i gorący oddech na moim karku.

– Wiem do czego zmierzasz – odparłem, odwiązując i zawiązując szalik ponownie, luźniej mimo mrozu. – Że bałem się licha, które mogło uwię-

zić moją duszę i torturować mnie przez kilkadziesiąt lat, jak nie więcej. Konkluzja jest taka, że dziwnie nie wierzyć w duszę, ale bać się tortur duszy, prawda? No więc uważam, że Latarnik nie musiał torturować samej duszy, ale mógł podtrzymywać mózg przy życiu i…

– Myślę czasem, że Latarnik miał duszę – szepnęła Łucja, odwróciła się i wskazała na śpiewającą kostuchę. – Że ona lub on też ma duszę. Wszystko, co żyje w Lesie, ma duszę, choć nie taką, o jakiej naucza Maurycy w kościele. To bardziej taki… sok z nas samych, to kim jesteśmy, jako… istoty. Pewnie jak zwykle masz mnie za wsiura i zaraz mi powiesz, że takie coś już jest w jakiejś nauce i się jakoś nazywa.

– Jesteś mądra, ja co najwyżej inteligentny, a to dwie różne rzeczy. Mam czasem wrażenie, że żyjesz dłużej niż te swoje dwadzieścia lat.

Łucja spojrzała na mnie zza rogatej maski, drzewa zaszumiały cicho i wiatr zwolnił nieco tempa. Mogłem dostrzec, jak jej twarz za wizjerami zmienia się w pole bitwy dla różnych, walczących o dominację emocji.

– Ludzie, którzy podróżują po Lesie, przenikają całą jego istotą… To się chyba tyczy też wiedzy przybyszów. Wiesz, łaska pańska na pstrym koniu jeździ, jednym da rozumu, innym pozwoli widzieć tyle barw, że oszaleją.

– Co tłumaczy, czemu widzimy albo potwory, albo szalonych. Normalni są na tyle rozsądni, by się nie pokazywać.

Łucja wzruszyła ramionami niemalże obojętnie i odpowiedziała:

– Cieszę się, że ty jesteś normalny, głupio byłoby cię stracić… A teraz wciągnij swój poryblin i zacznij już sobie przypominać pieśń do schodzenia między piętrami. Będzie cię kiedyś trzeba naprawdę porządnie przećwiczyć.

Odmierzyliśmy po dziesięć mililitrów pożytku i wciągnęliśmy ostrożnie w nozdrza. Smarknąłem mocno, myślałem, że urwie mi nos. Wkręciłem filtr i spojrzałem na moją współtowarzyszkę podróży.

– Pieśni?

– Nie, zwykłych piosenek, rytmu, melodii, czegoś, czego tobie brakuje – zaśmiała się nagle, klepiąc mnie w tors ręką, którą trzymała windę.

– Ja mam świetne poczucie rytmu – odparłem celowo niższym tonem i chwyciłem ją za wystawioną dłoń.

Lusia odpowiedziała uśmiechem, ledwie widocznym spod czaszki. Położyłem jej dłoń nad biodrem, ona na mojej dłoni i zrobiliśmy pierwszy krok. Nasze buty roztrącały śnieg i ślizgały się wśród ubitego puchu, znacząc zagadkowe, spiralne kształty, które spędziłyby sen

z powiek każdemu tropicielowi.

– O mój Boże, wiedziałam, że źle śpiewasz, ale tańczysz jeszcze gorzej.

– Wiesz, jeśli tak ci się nie podoba, to zawsze możesz mnie nauczyć.

Postąpiliśmy krok, kolejny, obrót i mocny wykrok. Kostucha jakby zaczęła dla nas nucić głośniej, a jej piosenka wydawała się bardziej skoczna i radosna, wtórując makabrycznie do rytmu dyndania Cichego. Miałem wrażenie, jakby celowo chciała nam zrobić przyjemność i nakłonić do bardziej żywego tańca.

– Przynajmniej zabawny jesteś, choć nogi to masz lewe i to obie – dodała ze śmiechem, pozwalając mi prowadzić.

Przez chwilę miałem wrażenie, że czujemy to samo. Krótki moment zrozumienia, prostota tańca, kultura, dzięki której uciekaliśmy przed horrorami świata. To był nasz mały, własny rytuał, którego zasady pisaliśmy na bieżąco, licząc na pomyślne spełnienie.

– Przy tym mogę zapomnieć, gdzie jesteśmy – powiedziałem z nieukrywanym wzruszeniem, wypuszczając Lusię z rąk do piruetu.

– Jurek, nie! – krzyknęła, ale było za późno.

Nasze dłonie rozłączyły się na moment. Lusia stanęła jak wryta, za czaszką mignął na jej twarzy wyraz terroru i zaraz rzuciła się w moim kierunku. Podeszwy butów wydały przeszywający, paskudny pisk. Dostrzegłem, jak jej obarczona bagażem sylwetka wyskakuje, leci w moim kierunku nieskończenie powoli, trzymając w dłoni windę i znika, gdy już miałem złapać.

Mrugnąłem i Lusia zanurkowała na inne piętro.

Na zamaskowaną twarz powiał mi delikatny wiatr, który pozostawiło w ruchu jej ciało. Do uszu dobiegało mnie tylko cichnące nucenie kostuchy.

Aż zniknąłem też ja, zostawiając Las sam sobie.

* * *

Ojciec Maurycy wstał w szampańskim nastroju. Wreszcie miał poczucie, że może żyć z czystym sumieniem i jest w stanie zakończyć swoje eschatologiczne popisy akrobatyczne. Las bzył formą zła i należało, jeśli nie walczyć z nim, to przynajmniej nie oddawać mu czci i zamiast tego występować aktywnie przeciwko jego niecnościom.

Zaparzył herbaty, usadowił się na taborecie, zapinając swoją ulubioną, szarą koszulę w kratę i upił pierwszy, gorący łyk. Przez moment zastanawiał się jeszcze, czy nie powinien sobie przygotować nieco ziół, które dostał od Marii.

Wzbraniał się długo przed korzystaniem z ziołolecznictwa, a przynajmniej z tego, które pochodziło bezpośrednio od Lasu. Jednakże jeżeli napar sam w sobie nie wymagał do przygotowania niczego godnego potę-

pienia, a przynosił prozdrowotne efekty, to należało to jednak zaakceptować. W końcu nawet Mendel był zakonnikiem, a jego prace mogłyby się wydawać bardzo nienaturalne w tamtych czasach.

Ksiądz zmrużył oczy, spojrzał za okno i zacisnął usta. Momentami miał wrażenie, że coś go obserwuje. Jakiś pojedynczy, stojący cień wydawał się obarczać ciemnością okno, do którego lepił się śnieżny pył.

Przypomniał sobie, o czym myślał, gdy już filiżanka była prawie pusta. Maria, młoda kobieta, którą znał od berbecia, zresztą jak prawie wszystkich. Był gotów przyznać sam przed sobą, że zdziwił się, że Saprofitka była w stanie sama przyjść do niego i to z gotowymi preparatami. Przekonała go szczególnie tym, że to ze względu na rozrastający się nowotwór płuc kapłana.

Maurycy odchrząknął z trudem, zaczął kasłać i zorientował się w pewnym momencie, że nie może przestać kaszleć i na zmianę brać krótkich, rwanych oddechów. Dopiero po kilku minutach spazmy uspokoiły się i pozwoliły mu dojść do siebie.

Tak, gdyby nie specyfiki od Marii to na pewno nie udałoby mu się przekonać ludzi w czasie biesiady. Szkoda tylko, że nie pomyślała o takiej pomocy wcześniej, gdy można było przy setkach innych okazji zająć się tym problemem. Z drugiej jednak strony, on też by nie skorzystał nigdy bez zachęty, choć mógł.

Jednak sama Maria była już w Lesie z resztą tych przeklętych grzybobiorczych przebierańców, wlokąc ze sobą tę żywą puszkę Pandory w postaci chorego Mariana. Zabić człowieka to grzech, owszem. Na pewno nie podjąłby takiej decyzji lekką ręką, może nawet wcale w wielu przypadkach.

Z drugiej strony, gdyby miał do wyboru zarazić wszystkich Chołowników i narazić ich na śmierć w męczarniach, to prawdopodobnie też by się nie odważył.

– I takie to życie, gdy powinność sumienia i ducha ciągnie w dwie różne strony.

Rozległo się pukanie od strony przedpokoju i nieco zdziwiony ksiądz poszedł otworzyć niezapowiedzianemu gościowi. Wiatr zawiał mocno, gdy tylko drzwi się uchyliły, naganiając szarą, pełną kurzu zadymkę.

Ksiądz wpuścił do środka zmarzniętego nieboraka, któremu tylko oczy świeciły spod grubej uszanki. Postać zdawała się pochodzić z wycinka jakiejś gazety, wydrukowanej na kiepskiej jakości papierze. Dopiero po chwili Maurycy zorientował się, że śnieg niczym sadza, brudził nie tylko ubrania, ale i skórę, wyszarzając ją nieznacznie, ale widocznie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedział kapłan i obejrzał z troską chłopaka, którego nie sposób było poznać pod taką warstwą odzieży. – Jakaś sprawa szczególnej wa…

– Kazik, najmłodszy Jutrzyńskich nie żyje.

Kwadrans później Maurycy przedzierał się w długim, czarnym płaszczu przez zaspy śniegu, walcząc z porywistym wiatrem o władzę nad własną czapką. Był wściekły, cały poranny humor prysł i uleciał gdzieś w niebyt, zostawiając jedynie ciemną prozę życia. Co gorsza, zaczynało we wsi brakować odpowiedzialnych i winnych, więc siłą rzeczy nadszedł czas na zmierzenie się z konsekwencjami własnych decyzji.

Grupka osób zebrała się kilkadziesiąt metrów od ujścia z wioski. Stali w okręgu nad czymś i obradowali, obrastając powoli w nawarstwiający się kurz, który sypał z nieba. Któryś z nich obrócił się, zawołał coś, czego nie dało się dosłyszeć przez wycie wiatru i machnął w kierunku ojca Maurycego.

Kapłan zbliżył się, kiwnął zbiorowo głową na przywitanie, by nie witać się oddzielnie z każdym i spojrzał, co też wyrwało wszystkich z domów.

Pogoda była niebezpieczna sama w sobie, a nikt nie chciałby później godzinami bezskutecznie szorować się gąbką drucianą.

Pierwszy był smród, a dopiero później Maurycy zorientował się, na co tak naprawdę patrzy. Odruchowo przeżegnał się i przykucnął obok pokrytych żółtawym futrem zwłok. Coś masywnego, nieco mniejszego od człowieka, leżało na wznak. Długie, zaostrzone pazury wydawały się jeszcze drgać momentami, ale to pewnie wicher szarpał poskręcanymi kłakami.

Pył przysypywał powoli miejsce kaźni, choć wciąż dało się dostrzec wyraźny obrys, gdzie i z jakiego kierunku lunęła krew. Widok był potworny, szczególnie gdy spostrzegło się, że część krwi nie należy do ubitego dziwadła.

Przy najeżonym kłami łbie barano-podobnego stworzenia spoczywało kilka fragmentów ubrań i bucik, w którym jeszcze tkwił kawałek stópki. Wszystkie niezbędne informacje wydawały się leżeć na widoku.

Ot, przylazło licho z Lasu i zaczęło gonić chłopaka, który nieroztropnie zapuścił się między pola. Tak mógłby pomyśleć ktoś, kto nie był Maurycym.

Kapłan wskazał ręką na najbliższego Chołownika i razem, doliczając do trzech, przewrócili zewłok na plecy. Natychmiastowo w powietrzu zawisła mgiełka ciepłego, śmierdzącego powietrza, a zaraz za nią wyleciała chmara tłustych much.

Maurycy machnął ręką, jednakże nie po to, by odpędzić się od przepłoszonych owadów. Chwycił między palce jedną z robacznic i przyjrzał się jej bardzo dokładnie. Miał wrażenie, że jest zrobiona z betonu, ze względu na to, w jak wielkim stopniu jej skóra pokryta była szarymi wypryskami. Chropowata powierzchnia rozpadała się pod palcami, a zwierzę nieudolnie próbowało się wydostać z uścisku.

Ksiądz przez dłuższą chwilę przyglądał się z zaciekawieniem czemuś, co niosło ze sobą jedynie obrzydzenie i zarazę. Z każdą sekundą dostrzegał coraz więcej szczegółów, wydających mu się obcymi. Oczy nazbyt trójkątne, nogi długie i podobne do wici, podwójna para skrzydeł i cztery nabrzmiałe otwory gębowe z dodatkowymi trąbkami do wdychania.

Muchy pochodziły z Lasu, ale było to raczej mało prawdopodobne. Nawet spore drapieżniki rzadko podchodziły pod zabudowania, a padlinożercy prawie nigdy. O muchach, pokonujących stosunkowo duże dystanse nie było mowy. A oto jednak wyjął spod brzucha rogatej obrzydliwości muchę.

Fakt, że owadów było tak wiele i dotrwały aż tutaj mógł świadczyć o tym, że przybyły naraz, jedną grupą. Jednak nie wydawały się żadnym stadem, w przeciwieństwie do poruszających się zawsze w rojach świetlików, które potrafiły nawet budować gniazda, różniąc się znacznie od ich naturalnych odpowiedników spoza Lasu.

Zatem muchy musiały przybyć już wewnątrz stwora do Chołów. A to oznaczało, że żerowały na gnijącym drapieżniku jeszcze za jego życia, czy też tego, co życie udawało. Sam stwór, tak samo jak i muchy, był oblepiony znacznie grubszą i głębiej wżerającą się warstwą toksycznego popiołu, niż to, co spadło do tej pory na wioskę.

Maurycy warknął pod nosem, zgniótł między palcami muchę i powiedział:

– Kolejny zarażony pomiot. Widocznie będziemy mieć jeszcze więcej problemów, zresztą jak zwykle przez ten Las.

Kilku chłopów pokiwało głowami, nikt nie chciał protestować, stojąc nad ciałem rozszarpanego nieboraka. Ktoś rozejrzał się, jakby szukając odpowiedzi i spytał:

– To co zrobimy, ojcze?

Maurycy uśmiechnął się szeroko, poklepał pytającego po ramieniu i ledwie widocznie wytarł palce o jego kurtkę.

– Będziemy musieli zbudować umocnienia i wtłuc dzieciakom do głowy, by nie zapuszczały się poza obręb. Taki tradycyjny częstokół, jak to się kiedyś stawiało. Tylko może z tą różnicą, że rzeczywiście podarujemy sobie drewno, przynajmniej na razie.

– Co z chłopakiem?

– Urządzimy mu pogrzeb, prawdziwy. Najwyższy czas zacząć chować zmarłych zgodnie z obyczajem. A jak będą chcieli odbić dzieciaka, to my wtedy... – urwał ksiądz i wzniósł pięść do góry. Wszyscy zawtórowali wartko, kilku zdobyło się na odwagę i kopnęło leżącego stwora. – Kto ubił tego dziada?

– Ja, akurat fintę pod ręką miałem – powiedział cicho kolejny Chołownik, przez chwilę myśląc, czy wspomnieć księdzu o czymś, co mogłoby go zirytować. Postanowił jednak zachować dla siebie to, kto mu ostatni miesiąc wpajał, by mieć broń zawsze przy sobie. – Usłyszałem raban, krzyk był straszny, dzieciak niechybnie uciekał, ale nim trafiłem tego paskudnika z Lasu, to już go… To już było po wszystkim.

Wszyscy kiwnęli głowami, ale nikt nie chciał zdejmować czapki na znak szacunku dla zmarłego. Przynajmniej nie w taką pogodę.

– Powiedzcie komu trzeba, zabierzcie bucik, przynajmniej tyle możemy oszczędzić, bo wytrzewianie tego bydlaka to… To mogłoby być za dużo chociażby dla rodziny.

– To co mamy zrobić?

– Spalcie go w cholerę jak szkodnika. A Wy dwaj – wskazał palcem ksiądz – idziecie ze mną, bo trzeba porozmawiać z sołtysem o sprawie. No, chyba że już wie?

– Nie, najpierw posłaliśmy po księdza.

Maurycy pokiwał głową i odszedł, zostawiając za sobą tłumek, który już zabierał się za odwleczenie zwłok na bok.

Szedł z nim Tomek Jaśkowiak i Bonifacy Żałowski, obaj masywni, barczyści jak robocze woły, przebrane za ludzi. Dawało to księdzu dawno utracone poczucie pewności siebie, które znikało z każdym momentem, gdy pęcherzyki płucne załamywały się pod własnym ciężarem.

Mimo to twarz miał zmartwioną, a obrazy, których był świadkiem, nadal drążyły sobie norkę w jego pamięci. Wiedział, że przyjdzie mu zapłacić za własne sumienie, ale nie spodziewał się, że dotknie to tak szybko innych.

Dwie myśli biły się w jego głowie, a on sam nie mógł zdecydować, która z nich jest tą słuszną. Z jednej strony przecież wiedział, jakie są konsekwencje życia w tym przedziwnym miejscu, w jakim przyszło im egzystować, a zarazem nie mogło się to odbywać w zgodzie z jego sumieniem. Wiedział tylko tyle, że nie mógł długo wytrzymać na takim rozdrożu i nadszedł czas na podjęcie ostatecznej decyzji.

Wtem spostrzegł, że oprócz odcisków podeszew w roztrącanym śniegu, idzie wraz z nimi kilka ciągłych śladów jak po masywnych saniach. Co rusz któryś ze śladów załamywał się i psuł nawarstwiający się, gładki puch. Wyglądało to, jakby jakiś ciężki ładunek spadał z biedki albo ktoś wywracał się co kilka kroków.

Odczuwał narastające zaciekawienie, lęk i zwłaszcza irytację, których mieszanina osiągnęła punkt krytyczny, gdy tylko dotarł pod posesję sołtysa. Oczywiście ślady przechodziły dalej, tak jakby ktoś otworzył od środka główną bramę wjazdową.

Maurycy szarpnął za klamkę furtki, na jego szczęście była otwarta. Przyłożył palec do ust i zaraz weszli w trójkę, wciąż podążając śladem dziwacznego transportu. Nie spodziewał się po sołtysie, by miał dziś odbierać

coś dużego. A zważywszy na dzień tygodnia i perypetia pogodowe, to o żadnej dostawie spoza Chołów nie było mowy.

Ślady zakręciły nagle, wyglądało to, jakby ludzie przystanęli na moment przed gankiem sołtysa i naradzili się, gdzie ruszać dalej. Ku zdziwieniu kapłana ktokolwiek wciągnął sanie na teren Bieniasza, postanowił nie ukrywać go ani w domu, ani szopie na narzędzia. Poszlaki prowadziły w kierunku nieco odleglejszej stodoły.

Budynek stał nieco na uboczu, schroniony pod wyjątkowo rozłożystymi świerkami od dwóch stron i starą lipą od trzeciej. Nad zabudowaniami wydawało się, jakby było nieco jaśniej i spokojniej, a śnieg sypał regularnie.

Maurycy pochylił się i przejechał palcem po zaspie obok chlewika, skąd dobiegał cichy chrobot racic. Wszystko dookoła wydawało się podlegać innym prawom i formować niejako powtarzalne wzory. Każdy następny kształt był pomniejszonym powtórzeniem poprzedniego i tak w pozorną nieskończoność.

Drzwi od stodoły były lekko uchylone, ze środka słychać było narastający syk piły tarczowej. Zdławione głosy, stuknięcia młotka, łomot opadających na klepisko rur.

Maurycy wyszczerzył się w złym grymasie, rozwarł masywne, drewniane skrzydła i wparował do środka, gromiąc wzrokiem. Jego oczom ukazało się wysprzątane miejsce w centrum budynku, gdzie Roch Lepkiewicz i Józef Mokrzycki składali stelaż ze złomu i starych kabli.

Piła ucichła, wszyscy zamarli wpatrzeni w siebie nawzajem.

Ze stołka na przeciwległym końcu wstał sołtys, zrzucając przypadkiem kilka kartek ze szkicami wieloramiennych płatków śniegu. Na stole leżał niedokładnie wyczyszczony z kurzu mikroskop, który sołtys wypożyczał raz do roku, a tym razem sam używał, by spisać kształt płatków śniegu.

– Powiem ludziom – stwierdził krótko ksiądz, nie zdobywając się na żadne przemówienie i po prostu wyszedł tą samą drogą.

– A żeby szlag was i waszą ciekawość – warknął sołtys i zaczął kuśtykać za Maurycym. – Po co ci to?! Przecież widzisz, ile nam biedy napytałeś!

Wiatr zerwał się mocniej i zaczął trząść drzewami. Maurycy zakręcił się w miejscu i wskazał palcem, na podążającego za nim Piotra. Dwójka jakby przypadkiem, ślizgając się na nierównej nawierzchni, wpadła na siebie.

Kapłan zrzucił z siebie Bieniasza, wstał i kopnął w złości śnieg. Sołtys spróbował się podnieść, ale zamiast tego chwycił się za bok kolana, sycząc z bólu.

– Nie mam słów na ciebie! Pchacz się psu do pyska i czekasz, aż cię dziabnie. Po jaką cholerę znowu składacie to szkaradztwo.

– Żeby nas ocalić! – odkrzyknął sołtys, z trudem podnosząc się na równe nogi. – Wiesz, jaka może być zima, a w tym roku jest stokroć potworniejsza. To nas zabija, wyżera kolory, a cholera wie, czy nie dusze…

– Nie bluźnij!

– Popatrz, popatrz na moje ręce! – ryknął Bieniasz, wyciągając przed siebie dłonie, którymi przed chwilą przerysowywał śnieżynkę. – One nie są blade z zimna!

Maurycy wyciągnął szyję i niechętnie spojrzał na grube, spracowane paluchy sołtysa. Rzeczywiście, były strasznie brudne, pokaleczone starymi bliznami i oparzeniami, ale nosiły też całkiem nowe znamię brzydoty. Wyglądały, jak na dawnej fotografii, zachowując nieco żółci, a żywsze kolory przysypując szarością.

– To są ręce człowieka, który umrze – powiedział sołtys, po czym schował je do kieszeni waciaka.

Przez krótki moment Maurycy obserwował Piotra, na jego twarzy malował się żal, ból i wewnętrzna walka. Wiedział, że zima jest realnym zagrożeniem, tak samo, jak i stworzenia z Lasu. Jeśli jedno z nich planowało wytruć całą wioskę, to mieli w gruncie rzeczy dwie możliwości. Odbudować pomnik ku czci Śnieżynki, zimnej pani z chmur albo liczyć na to, że ekspedycja młodej Bieszniaszówny się powiedzie.

Zważywszy na to, że Bieniasz dmuchał na zimne i po wysłaniu córki wraz z tym pyszałkowatym doktorkiem od razu zabrał się za budowę śnieżynki, to nie wierzył szczególnie w powodzenie misji. Jednakże nie dziwił się temu Maurycy, który już dawno zrozumiał, że wiara stała się towarem deficytowym w Chołach, gdzie ludzie zapragnęli bezpieczeństwa i ciepła, stroniąc od wyrzeczeń.

– Nie żyje mały Kazik – powiedział w końcu Maurycy, widząc stojących w progu stodoły Chołowników. Podniósł głos niespodziewanie i dodał. – Jeśli ta bestia zabiła chłopaka, bo wolicie się kłaniać złu, zamiast z nim walczyć, to masz krew na rękach Piotrek.

Kapłan obrócił się i odszedł. Jego skóra nabierała granatowego zabarwienia, aż do momentu, gdy był dość daleko i w końcu umęczony kaszlnął krwią w śnieg przed bramą wjazdową. Długo wstrzymywał się z atakiem kaszlu, nazbyt długo. Jednak wiedział, że ludzie potrzebują kogoś, kto będzie im świecił przykładem.

Przynajmniej na razie, kasłając, pomyślał Maurycy, potem niech się dzieje wola nieba. Ostatecznie i tak nie było nam pisane wygrać.

* * *

Wziąłem głęboki oddech, jakbym dopiero co skończył się dusić. Miałem wrażenie, że dookoła mnie są tylko kolorowe plamy, a ja jestem kamie-

niem w procy, gotowej wystrzelić mnie w dal. Dopiero po chwili mdłości minęły, a wzrok zaczął przyzwyczajać się do dziwacznego półmroku, jaki zastąpił odbijane przez śnieg, rażące światło.

Drzewa już przestały być tytanicznymi sekwojami, a zaczęły dla odmiany być niemalże symetrycznymi rzędami olch i wiązów, sięgających wysoko i trzymających się w kordialnych uściskach koron. Dawały wilgotną, mocną wonią, którą czuć było nawet przez filtry. Liście zieleniły się soczyście i trzymały mocno swoich gałązek.

Spojrzałem pod siebie, półświadomie odwlekając na koniec najgorszy element nowego środowiska. Stałem na polanie pełnej przebiśniegów koloru czystego złota. Wyglądały, jakby ktoś oblepił je gęstym miodem, bądź żywicą. A im bliżej TEGO, tym grubsza warstwa złota pokrywała całkowicie pozbawioną śniegu okolicę.

TO było nie z tego świata, nie tylko nie z Ziemi, ale nawet nie z Lasu. Tego byłem niemalże pewien od pierwszego momentu ujrzenia. Nie miałem na to żadnego dowodu ani realnego sposobu sprawdzenia, jedynie uczucie, którego za nic nie umiałem zdławić.

Ledwie kilkanaście kroków ode mnie był Dysk z – a jakże – czystego złota. Nie przypominał oka istoty, wyglądał jak coś całkowicie sztucznego. Miał średnicę trzech, może czterech metrów, a na rogach zaokrąglał się nieco, by krawędź była jak najostrzejsza, mimo grubego rdzenia. W promieniu pół metra od Dysku unosił się nad ziemią Pierścień, który wydawał się nie tylko zaprzeczać prawom grawitacji, ale także podtrzymywać Dysk w idealnej harmonii.

Zajęło mi to dłuższą chwilę, ale dostrzegłem niedoskonałości Dysku, który zdawał się w kilku miejscach wystrzępiony, jakby był zrobiony z jakiegoś miękkiego, włóknistego materiału. Mimo że cała reszta przedmiotu, czy też istoty, wyglądała jak szlachetny metal.

Przymknąłem jedno oko i spojrzałem na wyższe piętra przez żywicę. Powyżej nie było Dysku, ale nie było też stwora spod wisielczego drzewa, zamiast tego były jedynie sznury, ciągnące się po ziemi i kilka zwisających z drzew stryczków.

Widocznie byłem świadkiem granicy terytoriów dwóch potężnych drapieżników, których samo istnienie przekraczało moje pojmowanie. Bo nie miałem pojęcia ani jak doszli do takich granic, czy polowali na to samo, czy musieli polować, a może zajmowali tę niszę z przymusu albo fanaberii.

Motywacje lich z Lasu były nie tylko niepojęte dla człowieka, ale często dla nich samych. Czasami w wyniku przymusu innego licha, które narzucało słabszym swoją wolę, bez wyjaśniania celu. W innych przypadkach to pozostałości przybyszy próbowały wykorzystywać swój rozum w tym obcym dla nich świecie, który całkowicie zaprzeczał ich sposobowi widzenia rzeczywistości.

Las jak Las zatem. Cieniutka linia między wymiarami, która rozciągała się w nieskończoność, a zarazem mieściła na tak niewielkim terenie.

– Lusia – szepnąłem odruchowo, rozglądając się spod maski. – Lusia!

Podniosłem głos i dopiero po chwili zrozumiałem, że to był ogromny błąd. Natychmiast zacisnąłem usta i przypadłem do ziemi, ale było już za późno.

Dysk wydał z siebie bardzo ciche buczenie, przypominające przelewającą się wodę w pralce. Sam obiekt zaczął obracać się wokół własnej osi niezmiernie powoli, wydając coraz głośniejsze i głośniejsze dźwięki. Aż w końcu dostrzegłem, jak zwisający strzępek złota prysnął syczącą, rozgrzaną kroplą na jeden z najbliższych przebiśniegów.

Spojrzałem pod nogi, stałem pomiędzy złocistymi przebiśniegami. Obróciłem się, przebiśniegi były coraz mniej złote, ale nadal. Naturalnie

rosły dopiero ze sto metrów dalej. Dokonałem szybkiej kalkulacji, zrozumiałem, że nie wiem, gdzie jest słońce, jestem sam i nie wiem dokąd iść.

Więc zrobiłem to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek na moim miejscu.

– Szlag! – krzyknąłem i nieomal przewróciłem się o utwardzony kwiat. – Szlag, szlag, szlag, cholera, gówno!

Odbiegłem jak najdalej od Dysku, potykając się co chwila o wystające, złociste rośliny. Przypominało to bieg po podkładach kolejowych, z których wystawały dziesiątki gwoździ. Nie szło się ani rozpędzić, ani postawić bezpiecznie kroku.

Wreszcie złapałem rytm, zacząłem dosłownie przeskakiwać z kwiatka na kwiatek, jakby to były kamienie, wyrastające z tafli jeziora. Za mną coraz głośniej rozlegało się zawodzenie przybysza.

Na najkrótszy moment obróciłem się i dostrzegłem, że Dysk kręci się już bardzo szybko, robiąc obrót co sekundę i rozpryskując błyszczący metal dookoła, przypalając kolejne przebiśniegi i drzewa, pokrywając je zasychającym złotem.

Straciłem czucie pod stopami i poleciałem przed siebie. Uderzyłem mocno i boleśnie, czując, jak metal wbija mi się w kilku miejscach naraz. Ukłucia bólu były przenikliwe, aż odebrało mi dech. Zacząłem się czołgać, próbując oddalić się o chociaż jeszcze kilka metrów.

Miałem wrażenie, że Dysk i Pierścień są tuż za mną i zaraz zmienię się w posąg, chwilę po tym, jak wygotują mnie żywcem.

Odprysk złota upadł tuż obok mojego oka. Był wielkości guzika, ledwie go dostrzegłem, a mimo to był to widok bardziej przerażający niż niejedna potworność.

Obróciłem się lekko i zacząłem po prostu toczyć, aż poczułem, że moje plecy natrafiają na równomierny opór. Wypadłem na pokrytą bielutkimi przebiśniegami i trawą polankę, dysząc ciężko.

Dysk ryczał już tak głośno, że drzewa wydawały się lekko wyginać w przeciwne strony. Fale złocistego płynu oblewały wszystko dookoła, jakby ktoś na moment przeniósł wielki sztorm w środek Lasu. Obok mnie syczała substancja, przepalającą się, aż do gołej ziemi i dalej.

Aż wreszcie wszystko ucichło, obejrzałem własne ręce i odetchnąłem z ulgą.

– Nazwę cię Midas – powiedziałem, otrzepałem się i zgiąłem, gotów do zemdlenia. – I mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę.

Obmacałem maskę, dopiero wtedy do mnie doszło, że gdybym miał drugi róg albo bardziej rozłożyste poroże, to ten manewr z turlaniem się mógłby nie wystarczyć. Właściwie to poczułem pod palcami, że coś było nie tak.

– Nie, nie, nie… – szepcząc, zacząłem tarmosić za koronę poroża i przyczepione do trzech zakończeń trzy wstążki.

Czułem, że szczyt poroża stał się bardziej gładki, ale też sztywniejszy, a same wstążki straciły na lekkości. Widocznie nie udało mi się tak całkiem uciec z pola rażenia tego Dysku. Natomiast, czy była jakaś wada w tym, że końcówka rogu stała się złota? Czy ten kolor mógł mieć inny wpływ na otoczenie niż pozostałe? Cóż, nie miałem jak sprawdzić, ani co z tym zrobić, więc po prostu dałem sobie spokój.

– Złota korona, co za głupota – zaśmiałem się, przypominając sobie, że rzeczywiście szczytowa część poroża u dojrzałego jelenia to korona. – Jakby mi przeżarło tętnice, to nie byłoby to wcale takie wzniosłe.

Rozruszałem ramiona, odsunąłem się jeszcze o trzy kroki od złocistego kręgu i spojrzałem, jak Dysk spowalnia swoje obroty i na nowo milknie.

Rzeczywiście, dwa dziwaczne uczucia zaczęły mi towarzyszyć od razu po przejściu na nowe piętro: ciepło i cisza. Było zdecydowanie o wiele przyjemniej niż na wyższym, zimowym piętrze.

Choć zdawałem sobie sprawę, że Las raczej lekko podchodzi sobie do kwestii tego, jaka pora roku jest obecnie dookoła niego, to można było dostrzec wyraźne wpływy przynajmniej w okolicach piętra ziemskiego. A wtedy najwidoczniej znalazłem się na tyle głęboko, że była już wiosna albo przynajmniej coś, co przypomniało wiosnę.

Więc czy to był rzeczywiście twór przybyszów albo nawet jeden z nich? Co sprawiło, że tak pomyślałem. Z daleka, wśród lekkiej, srebrzystej mgiełki, ogromny Dysk i Pierścień wydawały się bardziej urządzeniem, które reagowało po prostu na ruch albo dźwięk. Może nie, może to nawet nie była reakcja, a przypadek.

Jednak mimo wszystko miałem tak przedziwne, niemalże mistyczne skojarzenie, które podpowiadało mi, że złocisty obiekt był czymś na kształt kołyski. Nie miałem żadnych podstaw, by tak twierdzić, ale tak czułem. Dziwny system obronny, choć niezbyt skuteczny, mógł być po prostu efektem ubocznym działania. Jak melodia z pozytywki dla dziecka, która dezorientuje przelatującego obok nietoperza. Nie mogłem tego rozpatrywać w kategoriach własnego poznania, bo nakręcana zabawka przybysza mogłaby dla mnie być nowym słońcem albo całym kosmosem.

Pociągnąłem nosem, poprawiłem paski plecaka i wziąłem oddech stłumiony filtrami. W ostatecznym rozrachunku byłem tylko podróżnikiem, który mijał cuda i zatrzymywał się jedynie na ułamek sekundy, by się rozejrzeć, a potem musiał ruszać dalej.

Słońce, no właśnie, miałem patrzeć za słońcem, by kierować się nim do następnego punktu spotkania z resztą grupy. Rozdzielenie się z Lusią było… moją winą, idiotyczną i przypadkową. Mimo wszystko nie czułem

się z tym aż tak źle. W gruncie rzeczy warto było choć przez chwilę znowu poczuć, że darzymy się sympatią.

A potem była tylko samotność, bladość kostropatych drzew i wyjąca otchłań.

Dawno nie byłem w Lesie sam. Właściwie to tylko raz od pierwszej wyprawy, a i to bardzo szybko się skończyło, bo zaraz wróciłem. Prostota i szczerość osamotnienia były niemalże kojące dla kogoś mojej natury. Było to jednak bardzo egoistyczne. Moja śmierć, w żaden sposób nie chwaląc się, zmniejszała szanse znalezienia grzybni, o której mówił Śledź. Zresztą, tak samo jak i śmierć kogokolwiek z drużyny, która już istniała jedynie na papierze. Zadanie mieliśmy jedno, a wszystko dookoła było tylko przeszkodą… Choć trzeba przyznać, że nieraz piękną.

– Gdybym tylko wiedział, gdzie jest słońce – szepnąłem nadzwyczaj cicho.

Spojrzałem w niebo, spod gęstej korony drzew i prześwitującej szarości chmur nie szło spostrzec, jaka była pora dnia, ani skąd padały promienie. Próbowałem przez chwilę odszyfrować kąt padania po natężeniu cienia pod pniami drzew, ale to także się nie udało.

Ostatecznie wybrałem kierunek na wyczucie i zacząłem okrążać bezpiecznie Dysk i Pierścień, starając się nie wpaść w żadną ukrytą pułapkę. Gdzieś z tyłu głowy miałem przeczucie, że jeśli się myliłem i w gruncie rzeczy był to jedynie bardzo wyrafinowany zwierz łowiecki, to mógł się otoczyć pułapkami, które ściągnęłyby mnie wprost w jego paszczę. Tak, rzeczywiście Las był miejscem, gdzie czasami łatwiej było pozwolić się innym znaleźć, niż samemu ich szukać.

Co w sumie przypomniało mi, że jeśli nie azymut słoneczny, to zawsze mogłem spotkać resztę w studni. Tylko rozpoznać studnie, to tak, jak zrozumieć, że patrzy się w lufę pistoletu. Bardzo głupie i zarazem orzeźwia-

jące uczucie. Coś na zasadzie wykrzyczenia heureka! po wyskoczeniu z wanny pełnej gotującej się wody.

Studnie i leje ściągały do siebie wszystko z okolicznych pięter, nawet jeśli ktoś próbował się zasłonić filtrami z pożytków. Takie czarne dziury różniły się od siebie mocą i zasięgiem, ale łączyło je to, że zawsze były bardzo zatłoczonymi miejscami, choć nie w ten sam sposób, co gniazda świetlików.

Ostatecznie gniazda świetlików przypominały wodopoje, gdzie można było spędzić stosunkowo spokojną noc, a między istotami Lasu panowało coś na zasadzie kruchego paktu o nieagresji. Natomiast studnie wydawały się bardziej… studzienkami kanalizacyjnymi, w których wrzucone szczury wdrapywały się pazurami po głowach pozostałych, byleby nie dać się utopić.

Wizja może i niezbyt przyjemna, ale nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

Zacząłem myśleć, że w sumie to idąc takimi ciepłymi piętrami, można by zaoszczędzić sporo martwodrzewu, który zabraliśmy ze sobą w podróż. Z jednej strony, owszem, było to bardziej niebezpieczne i wymagało nierzadko nadłożenia drogi albo nawet zgubienia się. Natomiast nawigowanie w Lesie i tak było kontrolowanym gubieniem się, przeskakiwaniem z jednego punktu orientacyjnego do drugiego.

Starałem się nie zwracać uwagi na to, że w gruncie rzeczy Las był oceanem, wielkim i pustym, gdzie większość znanego życia miała miejsce tuż pod powierzchnią. W głębinach czaiły się nieznane, obce formy życia i nie życia, a pomiędzy nimi nie było nic, woda. Rozciągającę się w nieskończoność drzewa, które potrafiły zatruć halucynacjami organizm do tego stopnia, że właściwie nie dało się już wrócić samemu na sensowne piętro.

Minąłem niezwykły Pierścień od boku, z tej perspektywy przypominał unoszącą się w powietrzu kolumnę czystego złota. Odsunąłem się o kolejny krok i postanowiłem jeszcze ostrożniej obejść obcy relikt.

Piętro to, tak wyludnione i pozbawione innych osób, wydawało mi się na swój sposób urzekające. Wreszcie była chwila oddechu, w miarę naturalna roślinność i brak tego poczucia, że nieustannie jest się obserwowanym. I może właśnie to paradoksalnie powinno było być największym powodem do ostrożności.

Więc dlaczego kostucha spod drzewa akurat tutaj ustanowiła granicę? Co takiego w tym Dysku uniemożliwiało jej rozszerzenie dominium żywych stryczków? Może nic. Ot, przypadek, że ona tyle chciała dla siebie, a po drugiej stronie był ten nieszczęsny Midas. Nie miałem prawa wiedzieć, a poznawać prawdę można było tylko ogromnym kosztem.

I to chyba było kwintesencją tego, dlaczego Choły były takie, jakie były. W pełni oddane swoim pieśniom, poznanym pół wieku temu. Nie mieli tylu ludzi, czasu i sumienia, by rzucać żywoty na zmarnowanie. By odkryć choć skrawek Lasu, potrzeba było ryzykowania własnym życiem. Natomiast by jeszcze zrozumieć ten kawałek, to była już niemal pewna śmierć w imię samego poznania i mądrości przyszłych pokoleń.

Tylko znowu, Las był tak bogaty i tak szybko się zmieniał, że większość tej wiedzy pojawiała się i znikała. Zupełnie jak śmiertelnie niebezpieczne ryby, które na moment wyskakiwały z tafli jeziora i na zawsze w niej znikały. Niby zagrożenie, fakt, a nawet istotne, ale ostatecznie bardziej anomalia niż priorytet. Więc chyba lepiej było zająć się uprawą ziemniaków i pędzeniem bimbru.

Aż nagle mnie uderzyło, że w polu widzenia pojawił się nowy, niezwykły obiekt. Niezwykły w kategoriach Lasu, a całkowicie zwyczajny w kategoriach Ziemi. Chatka – ordynarna, leśna chałupa, właściwie to lepian-

ka nie szersza niż kilka metrów. Cała zrobiona była z drewna i to nawet nie martwodrzewu, a prawdziwego, zrąbanego na kawałki drewna.

Dach porośnięty mchem odznaczał się drobnym paluszkiem w postaci kominka, wystającego jakby ze wstydem, wśród tego niemalże naturalnego krajobrazu. Sama chatka nie miała okien, a jedynie szerokie, zasuwane drzwi, zresztą również z drewna.

Spojrzałem w niebo i mruknąłem do siebie:

– Skoro i tak nie wiem, gdzie mam iść… To mogę chyba zawitać na moment.

I postawiłem pierwsze kroki w kierunku domu. Nie powinienem był i wiedziałem o tym. To nie tak, że kierował mną głupi impuls czy nawet ta przeklęta ciekawość. Szczerze to chciałem zrobić pewne porównanie.

Co, gdybym trafił do takiej chatki, zamiast do domu Pnia? Wtedy jeszcze, gdy uciekałem przed Chołownikami, pierwszy raz w Lesie. Co by się stało, jak zmieniłoby to moje życie? Czy zginąłbym? Dałbym się złapać? A może sam został Samosiedlcem i dalej życie potoczyłoby się kompletnie innym torem. Ostatecznie i tak nie miałem jak wrócić do świata, skoro miałem kontynuować badania w innej wsi i nigdy do niej nie dotarłem.

Byłem w odległości kilku kroków od drzwi, gdy poczułem, że przestałem być sam w Lesie. Coś zdawało się stać obok mnie, choć nie do zobaczenia w żaden sposób. Było to bardziej jak dym po papierosach, który świadczył o czyjejś obecności w przeszłości. Nie mogłem tego jednak wywąchać ani wyczuć w jakikolwiek mierzalny sposób.

– Oczywiście, że ktoś tu kiedyś był – szepnąłem do siebie zirytowany. – Przecież ktoś to musiał zbudować, żadne mi odkrycie.

Chwyciłem za krawędź drzwi i już miałem je otworzyć, jak zwykły wagon towarowy, gdy nagle coś tknęło mnie i zapukałem. Przecież wypadało, prawda?

Stuknięcie wydawało mi się nadzwyczaj puste, niosące się echem zdecydowanie nazbyt długo. Ostatecznie nie stało się nic wyjątkowego i może właśnie to w szczególnym stopniu mnie zdziwiło.

– Paranoja – mruknąłem do siebie pod nosem. – Tudzież przezorność, czasami naprawdę ciężko odróżnić.

Drzwi otworzyły się z dużym trudem, widać było, że dawno nikt ich nie używał. Zewsząd opadła mgiełka kurzu, ale żadnych pajęczyn, które wydawały się nieodłącznym elementem takich scenerii. No rzeczywiście, pająki w Lesie musiały być dużo bardziej wyrafinowane albo karykaturalne, niż te spoza Lasu.

Do środka wpadła niewielka ilość światła i miałem przekonanie, że tak musieli się czuć odkrywcy najmizerniejszych spośród egipskich mastab. Wewnątrz znajdowało się bardzo niewiele mebli, a w powietrzu nie unosił się żaden charakterystyczny zapach. Brak trupów, brak gnijącej żywności, nieco ziół pod sufitem, ale tak starych, że przypominających ledwie cienie dawnego żywota.

Pierwsze co rzuciło mi się w oczy, to że w piecyku ktoś bezczelnie palił drewnem. Obok znajdowało się jeszcze kilka ściętych i porąbanych kawałków, a ja byłem pewien, że to nie był martwodrzew. Nawet kilka prostych mebli w postaci stołka i niskiego stolika były zrobione z prawdziwego drewna.

W kącie leżał wygnieciony, brudny śpiwór, odizolowany od podłogi dodatkową warstwą skóry. Zbliżyłem się i bardzo ostrożnie obejrzałem masywny płat zdjęty niegdyś z jakiegoś zwierzęcia. Cokolwiek to było, na pewno nie należało do zwierząt naturalnych. Bardziej przypominało coś w rodzaju aberracji jelenia o szerokim kadłubie i niezwykle długiej szyi.

– Palenie drewnem, skórowanie zwierząt, mieszkanie w Lesie… Jak żyję, nie widziałem tak kreatywnego samobójstwa. – Wyjąłem z plecaka

latarkę i rozejrzałem się dokładniej. – Ostatnie ostrzeżenie, jeśli ktoś tu mieszka, to proszę mi powiedzieć.

Cisza. Żadnego skrzypienia, wycia wiatru i poruszających się przedmiotów. Nawet istoty z Lasu czy sam aspekt, który pasywnie towarzyszył wszystkiemu i zawsze, wydawał się nie zaglądać to tego małego grobowca.

Nie było śladów walki, nikt nikogo nie wywlókł na dwór, ani nie oddał życia jednemu z niezliczonych bóstw, żywiących się ludziną. Drzwi były przecież zamknięte, a licha raczej nie zamykają za sobą drzwi, przynajmniej zazwyczaj.

Stolik wyraźnie uprzątnięto przed opuszczeniem lokum. Nikt nie pokwapił się na zostawienie chociażby dziennika, na wypadek gdyby zbyt ciekawski podróżnik chciał się pobawić w detektywa.

Wykrzywiłem się w grymasie – starałem się maskować stres żartem, ale dobrze wiedziałem, że miałem przed sobą zagwozdkę, która mogłaby mi spędzać na długo sen z powiek. Gdyby jeszcze dodać do tego fakt, że poszlak było tak mało, to właściwie pewne było, że nigdy nie mógłbym się dowiedzieć, co tam zaszło.

Wtedy zobaczyłem coś, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu o wyjątkowo przeklętym i paskudnym charakterze tego miejsca. W przeciwległym do śpiwora rogu zostawiono plecak turystyczny, a obok niego złożone w kostkę ubrania.

Jedna sterta należała do kobiety, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo koszula miała guziki po lewej stronie. A tak naprawdę to po prostu leżało tam wszystko, łącznie z bielizną, więc miałem prawo przypuszczać, że właścicielką była kobieta.

Druga sterta była gorsza. Druga sterta była malutka. Druga sterta to były ubrania dziecięce na rozmiar ledwie dwulatka.

Wziąłem głęboki oddech, obejrzałem się za siebie i w oddali dostrzegłem zarys Dysku. Był ledwie widocznym, złotym przebłyskiem, maskowanym mgiełką.

Zbliżyłem się do ubrań i plecaka i zacząłem je szabrować. Było to dziwne uczucie, właściwie to na granicy obrzydliwego. Miałem wrażenie, a właściwie to byłem pewien, że przegrzebuję prywatne rzeczy martwych ludzi. Pytanie, czy było to coś złego, to już moralna zagwozdka, która rzadko miała znaczenie w Lesie.

Znalazłem malutki, srebrny wisiorek. Nadgryzłem okrągły medalion i okazało się, że jednak był ledwie posrebrzany. Nie to, że miałem zamiar go ukraść i sprzedać, ale czasami lepiej wiedzieć. Srebro mogło się przydać także do mniej przyziemnych celów.

Lekko drżącymi dłońmi otworzyłem medalionik i większych problemów nastręczało mi robienie tego w rękawiczkach, których za nic nie chciałem zdjąć, niż sam fakt, że mechanizm zdążył zaśniedzieć. No i oczywiście dochodził do tego strach, bo przecież jak miałem się nie bać?

Krótkie kliknięcie nieomal sprawiło, że podskoczyłem. Medalion otworzył się i ukazał pozaginane z wprawą zdjęcie, które przedstawiało matkę z dzieckiem. Byli śliczni, kobieta była ubrana w odświętną suknię, która na pewno nie nadawała się do pracy.

Choć to nie po samej matce poznałem, że to nie byli jacyś tam rolnicy, bo dziecko nosiło zbyt kolorowe i eleganckie ubranko na potrzeby zdjęcia. Przy umieralności, jaka miała miejsce w tych rejonach, buciki były zbędną ekstrawagancją. Nie wspominając o tym, że często chłopcy nosili spódnice do pewnego wieku, by móc w każdym miejscu załatwiać swoje potrzeby.

Wyciągnąłem ze ściany bardzo mały kawałek drewna, nie większy od wykałaczki i wyskrobałem ze środka medalika zdjęcie. Po rozłożeniu obróciłem je i dostrzegłem napisany

z wprawą rok: czterdziesty drugi.

– Uciekliście przed czymś do Lasu, kiepski wybór. Zdjęcie jest z czterdziestego drugiego, więc mieszkaliście gdzieś dalej, poza obrębem skażonych… Czy raczej wchłoniętych wsi. No cóż, nie tylko wy posmakowaliście lokalnej gościny, ale żeby zobaczyć wszystko, co się dzieje w Lesie i jeszcze tu zamieszkać? Tylko pogratulować odwagi.

Przysiadłem na stołku, wyprostowałem plecy i na nowo pochyliłem się nad zdjęciem. Było w nim coś kojącego, dawało niejasne poczucie familiarności. Po prostu jakbym znał te osoby albo mógł znać lub chociaż mógł polubić, gdybym poznał.

Przez najkrótszy moment zastanowiłem się, co by się stało, gdybym rozsypał dookoła proszek z tych kwiatów, o których mówił Śledź? Tylko to chyba działało bezpośrednio na ciało, a nie na pamiątki.

Z jakiegoś powodu zgiąłem zdjęcie na czworo i włożyłem do kieszeni.

– Jest to jakaś myśl – powiedziałem do siebie głośniej. – Poddać się, rozebrać i po prostu odejść. Tylko to mi nie pasuje do ciebie, droga pani. Własnymi rękoma zbudować chatę, nawet tak mizerną, to już wyczyn. Zioła pod sufitem, znak, że próbowałaś coś zrozumieć i przetrwać. Brak jedzenia, czyli nie wszystko poszło zgodnie z planem. Jeszcze to dziecko, cholera, dziecko w Lesie to przecież musi być jakaś katastrofa.

Spojrzałem w sufit, zmrużyłem oczy i momentalnie odebrało mi dech w piersiach. Nakierowałem latarkę i nie mogłem powstrzymać uśmiechu, widząc, że ktoś wyciął nożem coś, co wyglądało jak litery. Ostrożnie odczytałem kolejne znaki, szepcząc do siebie:

– Idziemy spać. Każdy sen będzie lepszy od tej jawy.

Nie było nic więcej, a przynajmniej nie znalazłem kolejnych słów. Zastanowiło mnie tylko, czy sen oznaczał samobójstwo, czy dosłownie mieli miejsce, w którym dało się zasnąć w inny sposób, niż w tym barłogu, blokując drzwi od środka i modląc się, by nic nie usłyszeć przez noc.

Tylko po co poszliście nago, pomyślałem, bez pośpiechu i z własnej woli.

W uszach zaczęło mi narastać niskie buczenie. Był to jeden z problemów użytkowych noszenia maski, nie można było sobie po chłopsku podłubać w uchu. Jednak po zbyt długiej chwili zrozumiałem, że dźwięk nie znika, a wręcz przeciwnie, narasta.

– Midas – wyrwało mi się, odsunąłem stół z szurnięciem i wybiegłem na zewnątrz.

W oddali dostrzegłem delikatny obrys Dysku, który powoli zaczynał się rozkręcać. Co gorsza, widziałem jedną, masywną sylwetkę, która po prostu szła w moim kierunku przez środek złocistego pola. Wrzące złoto ochlapywało nieznajomego, a ten nic sobie z tego nie robił. Jedynie patrzył się w tym kierunku wielkimi, pustymi oczami koloru czystej bieli.

Zaśmiałem się z nerwów i zacisnąłem oczy, jakbym zaraz miał zamiar się rozpłakać. Serce zaczęło mi kołatać się w piersi, bo doszło do mnie, że nawet nie mogę zażyć kolejnych pożytków, by stąd uciec, bo wtedy zgubię się zupełnie.

Zacząłem biec, jak najdalej, byle z dala od Dysku, licząc na to, że ten spowolni obcego. Próbowałem uciekać, tak byleby najdłużej zasłaniał mnie obrys leśnej chatki, a potem nawarstwiające się drzewa. Jednakże dobrze wiedziałem, że stwory z Lasu potrafią tropić na więcej sposobów, niż ja potrafiłem zakrywać ślady.

Nieomal wpadłem na jedno z drzew, obejrzałem je w mgnieniu oka i dostrzegłem, że zawieszono na nim czaszkę jelenia. Nawet więcej, bo nie była to sama czaszka, a przyozdobione poroże Saprofity.

Nie miałem czasu oglądać go dalej, po prostu minąłem drzewo, ocierając się o nie i prawie uderzyłem w kolejne. Biegnąć tak, zacząłem dostrzegać coraz więcej białych, świecących obiektów wśród mgły.

Na rosnących równymi rzędami drzewach wisiało coraz więcej czaszek różnego kształtu, wielkości i pochodzenia. Widziałem poroża Cichych, masywną głowę niedźwiedzia z rurą, zwisającą bezładnie od pyska. Przy jednym z drzew zwisał sznur, najeżony czaszkami nazbyt małymi, by kiedykolwiek nosili je ludzie.

Mijając tak dziesiątki, a potem setki głów zrozumiałem, że nie znalazłem się na spokojnym i niezamieszkanym piętrze. Byłem na cmentarzu, biegnąc wśród nagrobków Saprofitów, grzybiarzy, przypadkowych podróżników, Samosiedlców, zagubionych żołnierzy i mnóstwa innych osób, które dokonały żywota w tym miejscu, bądź zostały tu pośmiertnie zawleczone przez coś.

Co gorsza, miałem wszelkie podstawy przypuszczać, że tym czymś była istota, która nadal za mną podążała.

Obróciłem się tylko na moment i dostrzegłem, że obcy jest nie tylko coraz bliżej, ale wydaje się wcale nie spieszyć. Miał około dwóch metrów, był obrośnięty ciemnozielonym bluszczem i nosił na głowie coś w rodzaju miski albo korony.

– Jasny gwint! – warknąłem, przewracając się o wystający korzeń. – Żeby was wszystkich piorun strzelił albo…

Urwałem, bo trawę dookoła mnie pokrył jakiś dziwny cień. Natychmiast obróciłem się na plecy i wyszarpnąłem z kieszeni pistolet, celując przed siebie.

Miałem ułamek zawahania, czy nie lepiej było w takiej chwili najpierw wymierzyć w siebie, ocenić niebezpieczeństwo, a dopiero potem podjąć decyzję.

Moim oczom ukazała się kompletnie biała, pozbawiona charakterystycznych cech twarz, z której biło światło. Na głowie rzeczywiście miała pierścień, na wzór korony, jednakże wydawało mi się, że miało to swój inny powód, niż sama funkcja ozdobna.

Aha, czyli lepiej było strzelać w siebie, pomyślałem, bo to na pewno nie będzie przyjemne spotkanie.

Już miałem naprzeć na cyngiel, gdy postać powoli, niezwykle dostojnym ruchem uklękła przy mnie i wyciągnęła w moim kierunku dłoń. Palce miała pozbawione linii papilarnych, całe z niemalże jednolitego, szlachetnego marmuru.

– Kim jesteś? – spytałem, poprawiając przycelowanie na twarz nieznajomego. – Czemu się nie odzywasz?

Postać wskazała palcem swoją płaską, pozbawioną ust twarz.

– Dobra, głupie pytanie. – Zacząłem się śmiać w nerwach i dostrzegłem, że obcy przybliża do mnie swoją dłoń. – Gdzie, gdzie, gdzie?! Uszu też pan nie ma? Proszę sobie zabrać te ręce, ale już!

Biały nieznajomy rzeczywiście posłuchał, zachowując wyprostowane sztywno plecy wstał, a ja usłyszałem delikatny chlupot.

– Czyli jednak mówisz?

Obcy ponownie uklęknął, ciągle balansując głową i wskazał palcem na swoją koronę.

Wstałem niezwykle ostrożnie, czując, że mogłem już połamać przynajmniej kilka rzeczy w plecaku. Nadal nie zdejmując palca ze spustu przyjrzałem się głowie obcego i musiałem przez dłuższą chwilę przyglądać się, by zrozumieć co widzę.

Korona z kości, czy też marmuru, była tak naprawdę naczyniem o gładkich ściankach, wewnątrz których była czysta, niemalże absolutnie przezroczysta woda.

– Nie chcesz tego wylać?

Nieznajomy wzniósł dłoń i pokręcił nią na boki, sprytne.

– To klątwa?

Ponownie dłoń, tym razem góra dół, a potem lewo prawo.

– To bardziej skomplikowane, rozumiem. – Wziąłem głęboki oddech i schowałem broń do kieszeni. – Jak wszystko ostatnimi czasy.

Przez moment trwaliśmy tak w tej niezręcznej ciszy. On oczywiście nie odzywał się ze względu na to, że nie mógł, a ja ze względu na to, że nadal nie otrząsnąłem się z szoku i szczerze ciągle spodziewałem się, że… No nie wiem, że przebije mi ręką serce na wylot, zje trzewia, wypruje mnie jak szmacianą lalkę i powiesi na drzewie. Coś w tym guście.

– Te wszystkie czaszki dookoła... – powiedziałem, z przyzwyczajenia licząc na to,

że interlokutor pomoże mi sformułować zdanie, ale niestety, nadal nie miał ust. – To ty to wszystko powiesiłeś?

Pokiwał dłonią w górę i dół.

– Ty ich… zabiłeś? – spytałem i ręką odruchowo zacząłem sięgać ponownie po tokariewa, łajając się za to, że w ogóle go schowałem.

Pokręcił dłonią na boki.

Odetchnąłem z ulgą. Przez moment zastanawiałem się, czy jestem w stanie się z nim jakoś porozumiewać, ale różnica między nami wydawała się zbyt ogromna.

– Umiesz pisać? Mógłbym ci dać na przykład kawałek węgla albo kartkę…

Nie odpowiedział, zupełnie tak, jakby nie zrozumiał albo nie chciał w ogóle zaprzątać sobie głowy takimi kwestiami.

– Przepraszam, czy ja pana nudzę? – spytałem, oczekując, że zrobi się bardziej rozmowny, chociażby z grzeczności.

Pokiwał dłonią w górę i w dół.

Zacisnąłem usta, zmrużyłem oczy, już miałem poczuć się urażony, ale chyba nie było sensu przystawiać moich zasad kindersztuby do wykonanego z marmuru pomnika humanoida, który wieszał czaszki na drzewach.

– Chyba takich was się boję najbardziej – powiedziałem na głos, choć nie wiem czemu. – Milczących, obcych, kompletnie poza zasięgiem. Nie jestem pewien, czy to wy jesteście z innego świata, czy to ja jestem w innym świecie. Chociaż z nas dwojga, to chyba ja muszę oddychać przez maskę, więc…

Alabastrowa postać wyciągnęła do mnie ponownie dłoń. Odważyłem się, zdjąłem rękawiczkę i uścisnąłem ją. Było w tym ruchu coś naprawdę pierwotnego, wstydliwego i niemalże doskonałego. Miałem wrażenie, jakby był to jakiś ustanowiony prawami fizyki gest, który łączy dwie istoty tylko po to, by powiedziały sobie: nie rozumiem cię.

– Wiesz, gdzie jest słońce?

Obcy wskazał mi palcem punkt na niebie, zmrużyłem oczy i nie umiałem stwierdzić, czy to rzeczywiście właściwe miejsce. Po chwili sam chwycił moją rękę i wymierzył ją w ten punkt. Pokiwałem mu głową w odpowiedzi, że zrozumiałem.

– Muszę odnaleźć moich znajomych, wybacz, jeśli przeszkodziłem ci w czymkolwiek albo naruszyłem twój mir domowy.

Nieznajomy nawet nie zareagował. Przez moment zastanawiałem się, jak przeszedł przez pole Dysku, czemu nie nakapało mu do głowy, a tak właściwie to w ogóle skąd się tu wziął i jaki był jego cel.

Ostatecznie po prostu pomachałem mu drugą ręką na pożegnanie i poszedłem, obracając się co chwila za siebie.

Wtedy zaczęło się robić dziwnie, bo zauważyłem, że obcy po prostu idzie za mną i przygląda mi się bez słowa. Nie próbował się zbliżyć, dotknąć mnie, ani nie dawał mi żadnych znaków, jakobym miał coś jeszcze zrobić przed odejściem.

Może byłem dla niego ciekawy? Czasami dzieci znajdują na przykład gąsienicę albo kolorowego motyla w trawie, a potem idą za nim tylko po to, by się mu przyglądać. Taka myśl była naprawdę orzeźwiająca i na swój sposób nowatorska, bo miałem przez to wrażenie, jakbym zamienił się z nieznajomym rolami. Teraz to ja byłem obcym obiektem nieznanego pochodzenia o niezbadanych motywach, a on zaciekawionym obserwatorem.

I jak przystało na zaciekawionego obserwatora lub dziecko, gdy odszedłem dość daleko, mając ciągle po lewej słońce, obcy przestał mnie śledzić. Nawet się nie pożegnał, a po prostu zatrzymał, chwilę postał i obrócił w bok. Nie wrócił tam, gdzie go spotkałem, wybrał na pozór losowy kierunek i zaczął sunąć tuż nad ziemią.

Nie wiem jak długo tak szedłem, ale w pewnym momencie podniosłem z ziemi leżącą gałąź i wbiłem w miękkie runo leśne, by wskazywała tam, gdzie moja ręka. Niestety, ale nawet robienie sobie przerw nie pomagało. Krew nieustannie odpływała mi z kończyny i nie mogłem wytrzymać nieustannego wskazywania słońca.

Oczywiście perspektywa stracenia jedynego punktu orientacyjnego było iście koszmarna, ale jednak organizm miał równie mocne argumenty. Postanowiłem odpocząć na moment, siadając pod pniem drzewa równie nijakiego co pozostałe na tym cmentarnym piętrze Lasu.

Wpierw nieco bałem się, że jeszcze zasnę i przyjdzie mi obudzić się nie tylko o nieznanej porze, ale i w nieznanym miejscu. Natomiast uczucie

to szybko zniknęło, gdy zorientowałem się, że zaczęło się robić coraz zimniej i ciemniej.

Spojrzałem w niebo, zmrużyłem oczy i zacząłem dokładniej dostrzegać, że słońce rzeczywiście jest tam, gdzie wskazywałem ręką, a następnie gałęzią. Jednak dopiero wtedy zrozumiałem, że oprócz zamglenia i chmur, dochodził jeszcze do tego fakt, że Dysk świecił własnym światłem na ogromne odległości.

Mogłem zaryzykować podróż bez wyciągniętej ręki, spoglądając tylko co jakiś czas na punkt na niebie. I nie wynikało to tylko z mojego zmęczenia, ale też z faktu, że i tak byłem pewnie stratny czasem wobec reszty. Chociaż trzeba przyznać, że i tak sposób spotkania się był raczej niepewny.

Ostatecznie oddychając rumiankiem mieliśmy wypłynąć do pierwszego, wspólnego piętra, które powinno dać opór. Tylko mogliśmy pojawić się przy różnych obiektach, które oddziaływały na nas z różną mocą. Więc w gruncie rzeczy nie szło się zgrać tak, by spotkać się w drodze.

Cóż, pewnie dlatego Lusia uznała, że warto ruszać w parach, by pilnować się chociaż i nie zbaczać z piętra na własną rękę. Ponownie, moja wina. W sumie to przez cały ten czas ani razu nie zastanowiłem się, czy Łucja da sobie radę sama. Myślałem bardziej nad tym, by samemu nie dać się przez nic złapać.

Złapać, to słowo brzmiało w Lesie o wiele gorzej niż zabić.

Schrupałem trzy suchary i popiłem wodą. Plecak był właściwie tak samo ciężki, ale psychicznie dawało mi to pewne poczucie lekkości. Zupełnie tak, jakbym przeniósł część bagaży z pleców do brzucha.

Zamarłem w bezruchu.

Między drzewami, ledwie kilkanaście metrów dalej, przepływała nad ziemią kula zielonkawego światła. Wyglądała jakby ktoś po prostu rzucił flarę na wodę, a ta dryfowała po prostu po tafli jeziora swobodnie.

– O, cholera – szepnąłem do siebie i przymknąłem prawe oko.

Lewym, żywicznym wizjerem zobaczyłem, że na wyższym piętrze jest zamarznięte jezioro, czy może raczej głęboki staw. Gdybym teraz się pojawił w tamtym świecie, to moja głowa byłaby tuż pod taflą zmarzliny.

Widok był równie piękny, co napawający lękiem. O dziwo, jak nigdy w przypadku Lasu, bardziej to pierwsze niż drugie. Wstałem i zacząłem przechadzać się dookoła, próbując dotknąć nawet nie pół, a ćwierć przezroczystych przedmiotów, gałązek, utkwionych w lodzie kamieni lub przepływających płotek.

To wszystko było skąpane pięknie w blasku zachodzącego słońca, jaki sztucznie wytwarzał pryzmat oranżowej żywicy. Każdy element świata wydawał się taki żywy, naturalny i soczysty.

Obróciłem się i spostrzegłem, że kilka metrów ode mnie unosi się w wodzie kilkunastometrowy, gruby jak kłoda wąż. Z głowy wyrastały mu liczne kolce, pomiędzy którymi rozrastała się mięsista, różowa błona. Dziwaczne uszy drgały co chwila jak membrana, niby nasłuchując albo przyglądając się.

Bez sensu, pomyślałem, to by znaczyło, że przygląda się mnie, a to niemożliwe, bo jesteśmy co najmniej kilka pięter od siebie.

Powtórzyłem w myślach to samo zdanie, rozszerzyłem powieki w zdumieniu, zabrałem plecak spod drzewa, wycelowałem ręką w słońce i oddaliłem się szybkim marszem.

Chyba nic nie było tak niegroźne, jak wąż wodny, który chciał zaatakować kogoś na lądzie. Tylko z drugiej strony nie chciałem tego samemu testować. Jeszcze by się okazało, że potrafi przeskoczyć na inne piętro, ugryźć i zanurkować z powrotem.

Poczułem się cięższy, jakby powietrze zgęstniało. Każdy ruch wydawał mi się o wiele większym wyzwaniem. Drzewa minimalnie wyblakły, a toń stawu wyostrzyła się wraz z konturami stworzeń.

Obróciłem się na moment za siebie i spostrzegłem, że wąż jest dosłownie pół metra ode mnie, jego głowa drży jakby w ekscytacji, a wzrok jest ewidentnie skupiony na moim karku. Śledził mnie, wyczekiwał na coś.

– Nudzi ci się? – spytałem, próbując dodać sobie pewności siebie.

Na stawowym piętrze wzniosły się trzy malutkie, ledwie widoczne bąbelki powietrza.

– Test… Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu.

Z każdy moim słowem odrobina powietrza uciekała na piętrze węża w górę.

Krótka myśl uderzyła mnie znienacka: on nie próbuje wejść na moje piętro… On ściąga mnie na swoje. Tylko jak?

Kolejny ciężki oddech, zatracenie kolorów, płuca powoli wymagające coraz większego wysiłku, by zassać tlen.

Zacząłem biec, byle szybciej, byle z dala od węża. Po kilku krokach opuściłem rękę i po prostu puściłem się biegiem. Nawet nie obracałem się za siebie, czując podświadomie, że wąż nie ma problemu, by gonić mnie na swoim piętrze.

Nie było żadnego punktu orientacyjnego, ani sposobu na ucieczkę. To był ewidentny koniec. Sama myśl o walce była idiotyczna, bo i tak pojawiłbym się w lodowato zimnej wodzie, bez żadnego przerębla do ucieczki, z sufitem o grubości mojego ramienia.

Zatrzymałem się, nie mogłem biec dalej. Przebiegłem nie więcej niż sto metrów, a każdy oddech palił mnie żywym ogniem. Było coraz bardziej wilgotno, a drzewa zaczęły zlewać się z mgłą w półprzezroczystą malignę.

Drzewa, pomyślałem, drzewa ty małpo z kciukami przeciwstawnymi.

Wybrałem pierwsze z brzegu drzewo, które miało w miarę nisko położone gałęzie. Mózg zaczął wypluwać z siebie dziesiątki pomysłów na sekundę, z których niemal każdy był idiotyczny albo wprost samobójczy.

Wyciągnąłem z plecaka małą siekierkę, wziąłem głęboki oddech, przymierzyłem się do ciosu i uderzyłem w drzewo. Nic. Przekląłem w duchu, wziąłem kolejny zamach i znowu uderzyłem. Kawałek kory odskoczył od pnia i uderzył mnie w brzuch, odsłaniając fragment nagiego drzewa.

Poczułem, że robi mi się mokro pod kołnierzem i szczerze nie wiedziałem, czy to wina stawu, czy panicznego strachu.

Krzyknąłem dla dodania sobie animuszu, wziąłem zamach i uderzyłem z całych sił w bok drzewa. Siekierka utkwiła, drżąc przez moment ledwie widocznie jak kamerton.

– Do odważnych świat należy – szepnąłem, zdjąłem maskę, wziąłem głęboki oddech, po czym wszedłem na toporek i podskoczyłem, a właściwie odbiłem się z wybiegu.

Narzędzie wytrzymało mój ciężar ledwie sekundę, ale to wystarczyło. Wybiłem się jak najwyżej. Świeżo zagarnięte powietrze wypchnęło mnie w górę pięter szybciej, niż mógł to przewidzieć drapieżnik.

Świat zawibrował żywymi kolorami. Momentalnie zrobiło mi się zimno, jasne światło oślepiło mnie, odbijając się od przykrywającego korony drzew śniegu. Byłem na piętrze zamarzniętego stawu i węża.

Grawitacja pociągnęła mnie z powrotem. Dla mnie był to skok na dobre dwa metry, ale droga powrotna wyniosła ledwie parę centymetrów. Uderzyłem plecami o taflę lodu i obróciłem się, wypuszczając wypełnione halucynogenami powietrze w samą porę, by dostrzec wściekłe oblicze węża, patrzącego się na mnie zza drugiej strony zmarzliny.

– Wal się gadzie… Tak po prostu, bez rytuału i symboliki, wal się, wiesz?

Naciągnąłem maskę z powrotem na twarz i spróbowałem wstać. Natychmiast przekonałem się, jak nierozważny był to pomysł, bowiem straciłem grunt pod nogami i walnąłem bokiem w lód.

Usłyszałem chrzęst i szczerze miałem nadzieję, że to moje żebra, a nie struktura zamarzniętego jeziora. Niestety szybko rzeczywistość zweryfikowała moje nadzieje. Pod rozrzuconym na boki śniegiem było malutkie wgniecenie i odchodząca od niego rysa, kończąca się gdzieś głęboko.

Wąż wyszczerzył się cienkimi zębiskami, jakby w złośliwym tryumfie.

– Tak? To patrz na to, gadzi móżdżku.

Położyłem się brzuchem na lodzie i wąż zakręcił się rozochocony na posiłek, zupełnie jakby dystans między nami miał zaraz zniknąć. Tak się oczywiście nie stało, a ja sam zacząłem po prostu czołgać się po stawie do najbliższego brzegu.

Pamiętam jeszcze za czasów dzieciństwa, że w mniej mroźne zimy bałem się przekraczać rzekę, którą znajomi używali jako skrótu do znanych nam miejsc. Szybko nauczyłem się, że rozłożenie ciężaru jest o wiele lepszym sposobem, niż stawianie całego nacisku w stopach.

Wąż jeszcze jakiś czas podążał za mną wściekły, aż w końcu obrał jakiś inny kierunek i zaczął w nim szybko płynąć. Widocznie dał sobie za wygraną albo wystraszyło go coś większego i niebezpieczniejszego.

Uśmiechnąłem się sam do siebie, zupełnie tak, jak uśmiechają się ludzie zbyt zmęczeni i przytłoczeni złymi wydarzeniami, by ubolewać. Tak po prostu chciało mi się śmiać, na myśl, że miałbym jeszcze móc spotkać coś gorszego w tym ledwie przerośniętym stawie lub skarłowaciałym jeziorze.

Do brzegu miałem kilkanaście metrów powolnego, metodycznego sunięcia, gdy nagle usłyszałem chlust, a zaraz za nim coś w rodzaju powtarza-

jącego się echem rzężenia. Dochodziło jakby z mojej prawej strony i ewidentnie niosło się po powierzchni.

Obróciłem głowę i ku mojemu niedowierzaniu spostrzegłem tego samego węża. Turkusowa łuska, wykrzywiona w grymasie agonii i wściekłości paszcza i ciągnący się na kilkanaście metrów tułów.

– Ty… – zdążyłem tylko wysyczeć wściekły i wróciłem do czołgania się, byle jak najbliżej brzegu.

Wąż był stosunkowo powolny na lądzie, zdecydowanie preferował zaciąganie swoich ofiar w wodną toń. Mimo to nadal był to gigantyczny drapieżnik, który poruszał się po lodzie szybciej ode mnie, a w dodatku miał równie dobrą motywację.

On był wściekły i chciał mnie zjeść, by przeżyć, a ja byłem wściekły i chciałem się nie dać zjeść, by przeżyć. Wspaniały impas, tak jakby nieznajomość intencji lich nie była wystarczająco straszna do tej pory.

Sięgnąłem do plecaka, wiedząc, że gdzieś mam jeszcze zachowane jakieś ciężkie przedmioty, którymi mógłbym chociaż cisnąć w złości w monstrum.

Wymacałem pod palcami coś cylindrycznego, twardego, ale pokrytego lekko szorstkim nalotem, pozostawiającym ślad na palcach. Zacisnąłem zmarznięte palce i wyjąłem z pakunków flarę. Drugą ręką chwyciłem z kieszeni w spodniach zapalniczkę, zdjąłem ochronkę z lontu i go podpaliłem.

Wąż był już naprawdę blisko, gdy cisnąłem w jego kierunku sygnalizatorem. Czerwony walec zaczął tryskać iskrami, a po chwili dymić intensywnie. Dym niemalże natychmiastowo spowił przestrzeń między mną a drapieżnikiem.

Było coś niezwykłego w tym widoku. Czerwone, jasne światło sunęło prędko po zamarzniętej powierzchni i przypominało do złudzenia obiekt,

który widziałem przez filtr żywiczny, nim pojawiłem się na tym piętrze. Zupełnie tak, jakbym już wcześniej widział coś, zanim to się stało.

Odczołgałem się kolejnych kilka metrów, nim wściekła bestia wysunęła pysk zza zasłony dymnej, sycząc paskudnie. Żałowałem tylko, że zamiast flary nie widziałem przez żywicę tego, czy miałem szansę to spotkanie przeżyć.

– Bardzo nie lubię tego robić – warknąłem sam do siebie i sięgnąłem do kieszeni płaszcza po pistolet.

Wymierzyłem z tokariewa w zbliżającą się do mnie parę szkarłatnych oczu i nagle wybrzmiał potężny trzask, a zaraz za nim łoskot. Palec nawet nie dotknął spustu, a przede mną rozegrała się porażająca scena.

Lodowa powierzchnia akwenu pękła na wiele płatów, z których zaczął osypywać się śnieg. Wąż wzleciał wysoko, trzymany w połowie przez paszczę jakiegoś przerażającego giganta. Lewiatan był po prostu wielką, siną paszczą pełną zębów, nad którą narosło jedno, tytanicznych rozmiarów oko.

Wielkolud wyskoczył na moment w powietrze i uderzył o taflę jeziora kilkanaście metrów dalej. Ląd zaczął pękać w wielu miejscach, kry podskakiwały poruszane ogromnymi siłami, a wzburzona woda oblała zmarzlinę z każdej strony.

Gigant zniknął tak szybko, jak się pojawił, zupełnie tak, jakby przeskakując na inne piętro na życzenie, zamiast musząc poruszać się w realnych kierunkach. Zważywszy na fakt, że nie zmieściłby się pod lodem, to było nawet pewne.

– Zawsze jest większa ryba – szepnąłem na dodanie otuchy i spostrzegłem, że zaczyna mnie otaczać woda, a lód, na którym leżę rozstępuje się.

Przyspieszyłem, czołgając się już nie do brzegu, a jak najdalej od strzaskanej powierzchni. Z nieba spadł deszcz odłamków lodowych, które ciągnął za sobą wodny potwór, a ja starałem się nie dać się trafić nimi w głowę.

Wreszcie odpełzłem w miarę bezpieczne miejsce i wyszedłem na brzeg, dysząc ciężko, czując jak ciążą na mnie przemoknięte ubrania i dziękując losowi za to, że jestem tylko płotką w tym ekosystemie.

Schowałem pistolet do kieszeni na piersi, położyłem się na parę sekund i po prostu patrzyłem w niebo, nasłuchując jak woda uspokaja się i przetacza majestatycznie po stawie.

Lecz odpocząć nie można, pomyślałem otwierając oczy, bo nie zmęczenie wyznacza czas na odpoczynek, a miejsce.

Zebrałem się do kupy i uderzyłem lekko w ciemię dwa razy, jakby dla otrzeźwienia, a może wręcz przeciwnie. Nie było mowy o odpoczynku, bo zaczynałem coraz szybciej kręcić się na karuzeli nieprzewidzianych wypadków. Musiałem szybko ułożyć sobie w głowie ostatnie wydarzenia oraz wybrać sensowny kierunek i tempo podróży.

Drżąc lekko z zimna zorientowałem się, że na tym piętrze widać niebo bardzo dobrze, za to jest oczywiście zimniej. Nie było jednak aż tak zimno i wietrznie jak na umownym piętrze zerowym, na którym rozdzieliliśmy się z Lusią i resztą.

No i właśnie, jeśli wąż wyciągnął mnie, pal licho jakim sposobem, kilka pięter wyżej, to powinienem był albo natrafić na którąś z par albo szybciej wypłynąć do punktu startowego, gdzie zostawiliśmy kostuchę.

Swoją drogą, bardziej znaczącym czynnikiem było to, że nadal w krwioobiegu miałem pożytki, które musiałem wpierw wydalić, zanim był sens myśleć o jakiejś konkretnej nawigacji. Bo w przeciwnym wypadku

będę jedynie piłeczką, odbijającą się od przeszkód i wpadającą na wszystko chaotycznie.

Ziewnąłem sobie przez maskę i spojrzałem na błyszczącą się toń akwenu, po którym rozchodziły się resztki dymu. Flara w pewnym momencie wpadła pod wodę, z tego miejsca nawet nie szło dostrzec gdzie. Jedyne co widziałem to zrastający się szybko lód, który przypominał wielkiego, półprzezroczystego strupa.

Ruszyłem dalej, przegryzając suchara i robiąc na zmianę wymachy rękoma. Cieszyłem się jedynie, że nie wpadłem pod wodę. Podtopienie się w takich warunkach oznaczało niemal pewną śmierć z wyziębienia. A do Lasu zazwyczaj nie bierze się wielu ubrań na zmianę, jeśli w ogóle.

Swoją drogą, ciekawa sprawa, bo poza pewnym kamuflażem smrodu, to czy ubrania nie zabierały ze sobą cząsteczek okolicznych pożytków? Czy mógłbym się przenieść przypadkiem na inne piętro, ubierając czyjś szalik? Gorzej, czy mógłbym się zgubić między piętrami, gubiąc rękawiczkę. Bo jeśli miałem precyzyjnie wyliczoną trasę, a nagle zmienił się sposób interakcji mojej skóry z halucynogenami, to teoretycznie mogłem na długim dystansie zmienić cel o kilka pięter.

Cóż, pierwszy przykład z brzegu pokazywał, że potrzebna jest dokładność jubilerska, a nie baby sprzedającej warzywa na targu. Szliśmy z Łucją tą samą drogą, wzięliśmy odmierzone dawki w tym samym momencie, a najwidoczniej ona wylądowała trochę głębiej, bo przecież bym ją zobaczył na wyższym piętrze.

I wtedy mnie olśniło, że rozwiązanie zagadki nie było w żaden sposób magiczne, ani nie wynikało z różnicy w kolorach wstążek czy ornamentów na czaszkach. Lusia po prostu liczyła dawkę z doświadczenia, na siebie. A przecież była i mniejsza i chudsza ode mnie. Pomijając już takie subtelne

różnice genetyczne, o których konkretnych zastosowaniach względem halucynogenów nie mieliśmy bladego pojęcia.

To oznaczało, że Łucja wylądowała głębiej, może nawet znacznie. Ja natomiast miałem to szczęście lub pecha, że trafiłem na styk w granicę terytorium kostuchy. Czy Rzęsa i Kozioł trafili na to samo piętro? Najpewniej, bo mieli windę. Rzęsa był wyższy, ale na pewno chudszy od Kozła, który był stosunkowo przeciętnej budowy i…

Spojrzałem po sobie, odchrząknąłem i wróciłem do rozmyślań.

No cóż, Kozioł był ponad przeciętnej budowy, ale to by oznaczało, że zanurkowałby płycej przy tej samej dawce, co ktoś mniejszy. Więc na które piętro trafili razem? Płytsze, głębsze czy pomniejszy?

I teraz pojawiał się największy problem, bo cała analogia z nurkowaniem była ledwie niedokładnym narzędziem poznania. Bo organizm jako taki nie miał wyporności, tylko nabierał prędkości i na zmianę wytracał, zależnie od wdychanych pożytków.

Maska nigdy nie zatrzymywała stu procent pożytków, ale pomagała nadać kierunku, a nawet tempa, ale jeśli byli obaj napchani rumiankiem, który nieznacznie ciągnie w górę, a zażyli poryblin, który miał ich pociągnąć mocno w dół, to ostatecznie trafili prawie tak nisko, jak w nieistniejących, laboratoryjnych warunkach robiłby to sam poryblin.

Tylko oni tego poryblinu wciągnęli bezpośrednio w nozdrza pełną dawką, a filtr z rumiankiem jest rozkładany w czasie. No i jeszcze dochodzi kwestia czystości preparatu oraz tego, na jakie piętro wylądują. Bo jeśli na danym piętrze znajdzie się coś, co ich popchnie jeszcze niżej albo wyżej, to wyliczenia nie mają znaczenia, tak jak i w moim przypadku spotkania węża.

Jest jeszcze kwestia tego, że mogli zwyczajnie się o COŚ zatrzymać. Coś żywego lub nie, co mogłoby wyłapywać w ten sposób nieroztropnych

podróżników. Zupełnie tak, jak wchodziło się do wioski Cichych, medytując w górę i licząc na to, że ktoś cię złapie.

Natomiast o Jukim to nawet sensu myśleć nie ma, bo mi niedobrze od tego. Słyszałem tylko, jak wstrzyknął sobie nie wiadomo co i zniknął. A zastrzyk chyba jest najbardziej bezpośrednim sposobem wprowadzenia substancji do organizmu.

Z lekkim rozbawieniem i zażenowaniem pomyślałem, że kierowcy ciężarówek wlewają sobie do butów alkohol, by szybciej się upić. Przynajmniej tak głosiły miejskie legendy, a czy to prawda to tylko milicja i kierowcy wiedzą.

Niezwykły pomysł, upychać pożytki do butów, by szybciej przeskakiwać między piętrami. Prawdziwe odkrycie w dziedzinie logistyki i szamanizmu agrarnego.

I tak na rozmyślaniach mijały mi kolejne kilometry, w których tylko leniwy wzrok słońca wydawał się znajdować coś wartego uwagi. Nie obejrzałem się nawet, a wpadłem w trans podróży, który potrafił człowieka zabrać dokładnie tam gdzie trzeba… Oczywiście w granicach możliwości i szczęścia. Natomiast po wydarzeniach tamtego dnia miałem wrażenie, że kapryśny bóg fortuny przygląda mi się z rozbawieniem i szczerzy kły, strzegąc mnie jak prosię, które najpierw trzeba utuczyć przed pożarciem.

Rozdział trzeci: Ani w Boga wierzy, ani się diabła boi

Z czasów szkolnych zapamiętałem nad wyraz dobrze jedno uczucie. Nie ma swojej nazwy, ale jest ono tym, co czuje się w ułamku sekundy, gdy huśtając się na krześle, człowiek zdaje sobie sprawę, że stracił balans. Serce staje w miejscu, ciało na moment robi się lekkie, a potem leci w tył. Człowiek w akcie desperacji wyrzuca ręce przed siebie i krzesło staje z powrotem z hukiem.

To właśnie poczułem, gdy zdałem sobie sprawę, na co patrzę.

Gigant, potworny, zatopiony do połowy w błocie, patrzący w niebo długim, szarym pyskiem, wystającym bezpośrednio z krępego, szerokiego ciała, pokrytego siwym pancerzem. Od jego powierzchni ciągnęły się do ziemi dziesiątki brązowych winorośli, jakby i one zatruły się od samej próby obrośnięcia czegoś tak niszczycielskiego z natury.

Czołg. To był czołg, ukryty w cieniu dwóch szerokich platanów. Białe pnie przypominające oblizane do czysta kości, stanowiły makabryczne obramowanie dla tego przerażającego widoku. Nawet śnieg wydawał się omijać pancerny kadłub, jakby ten był gorący i topił go przy dotknięciu.

Tak, zorientowałem się, że rzeczywiście tak było, bo biały puch padał wszędzie poza tym jednym miejscem. Miałem przez moment ochotę zbliżyć się do machiny i przejechać palcami po tak solidnie zakonserwowanym pojeździe, który jakimś cudem znalazł się na tym odludziu. Na szczęście zachowałem dystans i to uratowało mi życie.

Zza czołgu wyłoniła się twarz koloru dojrzewającej gruszki. Była zielona, z plamami szarości i brązowymi krostami. W tym obliczu błyskały się dwa, zaciemnione od środka wizjery, obramowane metalowymi zaczepami.

W miejscu ust wisiała czarna, gumowa rura, która urywała się nagle, bez konkretnego powodu.

To nie był człowiek, to była maska przeciwgazowa. Tak, z maski wystawała szara, nijaka szyja, wychudzony tułów o długich rękach zakończonych małpimi dłońmi. Tylko nie sprawiało to w żaden sposób, że myślałem o nim, jak o człowieku. Cała istota wyglądała, jakby jakiś wyjątkowo kapryśny i pomysłowy bóg znalazł samą maskę i z niej wyhodował pokraczną osobliwość, która byłaby dopełnieniem maski.

Licho w pewnym momencie wypełzło spod krzywych gąsienic i zaczęło huśtać się na lufie czołgu. Cofnąłem się ostrożnie o kilka kroków i zacząłem obchodzić to groteskowe miejsce po niewielkim łuku. Starałem się cały czas mieć stwora przed oczami, by mi nigdzie nie umknął, ani bym ja się nie zgubił.

Nie było w nim nic niezwykłego, interesującego, wzniosłego. Nie widziałem żadnych nietypowych zachowań, a jedynie prymitywną sekwencję ruchów i uwiązanie do jednego obiektu, który stanowił cały jego świat.

Zrozumiałem, czym się różni ta paskuda od reszty, często bardziej makabrycznych i groźnych stworzeń Lasu. Nie wynikał z naturalnych, nieważne jak wykrzywionych i niezrozumiałych, procesów rozwoju życia w tym świecie. W rzeczywistości był tylko przedmiotem, zabawką albo śladem. Nie był stworzeniem o własnej woli, a jedynie ruchomym wytworem, tak, jak ślad odciśnięty przez but nie jest ani człowiekiem, ani butem.

Minąłem chodzącą maskę i wszedłem głębiej w gęstniejący Las. Drzewa przybierały coraz różniejsze kształty i rozmiary, niektóre zwieszały swoje gałęzie tuż nad moją głową, łaskocząc mnie z rzadka po ramionach i szyi.

To była naprawdę odludna i zapuszczona część Lasu, gdzie życie przybierało najdziksze i odrażające formy. Zdawało mi się, jakby śnieg pociemniał, a sople zwisające z przewróconych pni miały bordowy odcień.

Słońce było coraz niżej i chowało się za ołowianymi chmurami, przez co świat był jeszcze bardziej nieprzyjemny do oglądania, zarówno z filtrem nadającym mu kolorytu miejsca krwawej kaźni, jak i bez filtra, gdzie wszystko zlewało się w plamę koloru betonu. Pejzaż samą swoją obecnością wydawał się zacieśniać mi gardło i sprawiać, że coraz trudniej było złapać oddech po męczącej podróży.

Mimo wszystko coś zdawało się jednocześnie naciskać na mnie z góry i zarazem pchać naprzód, a nawet lekko w prawo. Ciągle stawiałem nierówne kroki, miałem wrażenie, że zaraz się wywrócę albo zwyczajnie zemdleję.

Było za późno, gdy zrozumiałem, co się dzieje.

Padłem na ziemię, a coś dopiero po tym chwyciło mnie za kostkę. Wyciągnąłem szyję i nie dostrzegłem niczego. Nawet materiał mojej nogawki wydawał się ledwie opierać o piszczel i wchodzić w buty.

Mimo to nagle coś pociągnęło mnie z mocą, trąc plecakiem i ramieniem o ziemię. Zacząłem zjeżdżać po płaskim terenie, nabierając prędkości coraz bardziej. Korzenie chwytały mnie za ubrania, ciągnęły plecak, cięły po rękach i próbowały zerwać poroże.

Całą drogę spędziłem podkulony, jak dziecko w łonie, zasłaniając kark i trzymając się maski, by nie spadła albo nie dała się o coś zaczepić.

Wreszcie poczułem, że lecę. Myślałem, że jestem w powietrzu, rozpędzony kilkadziesiąt kilometrów na godzinę, jak wystrzelony pocisk albo dziecko, po opuszczeniu zjeżdżalni. Szybowałem przez próżnię, aż w końcu uderzyłem z hukiem o ziemię.

W uszach dzwoniło mi co najmniej tak, jakbym spadł z bloku i rąbnął głową o chodnik. Chciało mi się na zmianę rzygać i wyrwać wyjący z bólu łeb.

Jednak prawdziwego bólu nie było, był tylko udawany ból, głęboki, wewnętrzny, ale nie paraliżujący ruchów. Leżałem na ziemi w gęstym, zabarwionym czereśniowym kolorem Lesie pełnym wykręconych drzew. Tylko nic mnie nie ciągnęło i nigdzie mnie nie uprowadzono. Nie czułem nawet niczyjej obecności, zupełnie tak, jakbym upadł i to wszystko sobie wyobraził zamiast przeżyć.

A mimo to… Miałem wrażenie, że byłem już bardzo daleko, w kompletnie innym czasie i przestrzeni. Odbyłem niewyobrażalną podróż, która była mniej niż jednym krokiem moich zmęczonych nóg.

Zdawało mi się, że w oddali coś jakby biło, niby dzwon, ale nie tak metaliczny i zdecydowanie bardziej miękki. Przypominało to pojedyncze uderzenia w masywny bęben, które jednak zdawały się nieść echem i wręcz fizycznie wibrować pod ziemią. Zapewne to czuł pająk na krańcu sieci, gdy w jej centrum łapał się nieroztropny owad.

Zacząłem powoli zbliżać się do źródła dźwięków, gdyż nie sposób było złapać żadnej orientacji w terenie. Uznałem, że lepiej jest iść ostrożnie do najbliższej rzeczy niż błądzić po omacku i dać się znaleźć przez jakiegoś drapieżnika.

Miałem własną teorię na temat tego, że niektóre licha potrafiły wyczuć, gdy ktoś się włóczył bez celu i o wiele bardziej wolały atakować takie właśnie osoby. Może wynikało to z tej korelacji, że zazwyczaj osoba z zaburzonym zmysłem kierunku jest również pod wpływem środków odurzających, które osłabiały jej zdolności obronne. No i silni się nie gubią, to swoją drogą.

A więc ja nie byłem silny, ale starałem się być, idąc do źródła uderzeń. Każdy następny dźwięk, rozchodzący się falami, odczuwałem od podeszew aż po koniuszki włosów. W pewien sposób było to hipnotyzujące uczucie, które nakazywało się zintensyfikować i zobaczyć, do czego doprowadzi końcówka.

Otrząsnąłem się, gdy byłem już blisko. Nie, po takim dniu nie było mowy, żebym dał się nabrać na coś tak prostego. Wszystko zaczęło się układać w mojej głowie, a przynajmniej udawać, że ma sens.

To była studnia albo lej. Nie wpadłem w realną dziurę, ale wpadłem w przestrzelinę między piętrami, po której krawędzi spadłem lub wzniosłem się na obce piętro. Piętro śmietnisko, opuszczony, dziki zakątek, gdzie spadały najróżniejsze rośliny, wijące się gęsto od mchu na ziemi po korony pod niebem.

Słuchałem z umiarkowanym zainteresowaniem co trzeciego uderzenia, by nie dać się znowu zauroczyć, ale żeby wiedzieć, czy zbliżam się do celu. Krok za krokiem, a właściwie kroczek za kroczkiem, idąc coraz bliżej, nie wiedząc, kiedy nastąpi moment przełomowy i…

Dostrzegłem ogień między niskimi gałęziami świerku, na którym ktoś zawiesił mnóstwo ornamentów w postaci kości i wygładzonych kamyków. Położyłem dłoń na pniu drzewa i wychyliłem się, próbując dostrzec dokładnie źródło światła.

Widok był porażający, bo był dokładnie tym, czego nie mógł nikt opowiedzieć. Bo nikt nie opuściłby takiego miejsca żywy.

Niewielkie wzniesienie wybijało się z bogatego Lasu, zupełnie tak, jakby ktoś cyrklem wyrysował okrąg działki i nie pozwalał niczemu na nim rosnąć. Niczemu, poza jednym, gargantuicznych rozmiarów czerwonym Dębem pozbawionym liści.

Ogromne drzewo zdawało się wzrastać wysoko ponad korony pozostałych drzew, panując mimo własnej martwoty. Szkarłatne gałęzie pryskały ostrymi koniuszkami na wszystkie strony jak zatrzymany w ruchu wodospad. Sieć gałęzi zdawała się tak gęsta, że można by w niej zbudować malutką miejscowość… I tak właśnie było.

W jednym miejscu gałęzie dźwigały na sobie ciężar surowego drewna, tworzącego coś w rodzaju naturalnych schodów. Prowadziły one na sporych rozmiarów podest za barykadą, który wisiał kilka metrów nad ziemią. Centralnym obiektem dziwnej zabudowy był dom z płaskim dachem, gdzie przez dziurawe ściany błyskały płomyki.

Zamrugałem kilka razy, wytężyłem wzrok i upewniłem się, że to nie jest ten słynny domek na kurzej stopce rodem z bajek. Tak się jednak sprawy nie miały, a szkoda, bo może starsza kobieta w Lesie nie byłaby aż tak straszna, jak tumult, jaki dobywał się z chaty.

Słyszałem co najmniej kilka głosów, niosących się echem i brzmiących jednocześnie obco i znajomo. Dopiero po chwili nasłuchiwania zrozumiałem, że byli to obcy ludzie, ale mówiący w języku, który znałem. Ktoś wydzierał się wniebogłosy po rosyjsku w środku Lasu, robiąc ognisko na martwym, szkarłatnym Dębie.

Jeśli z jakiegoś powodu Lusia nie wprowadziła programu wycieczkowego dla oficjeli z ZSRR, to musiało znaczyć, że w punkcie zbiorczym nie czekają na mnie moi towarzysze.

Spojrzałem w granatowe niebo, zacisnąłem usta i zacząłem się cofać, ale nagle coś złapało mnie za nadgarstek. Dobrze, że tak ściskałem wargi, bo bym krzyknął, gdy pokryta kleszczami i ropą twarz starca zbliżyła się do mojej.

Ze świerku wystawała fizjonomia, dwa razy większa od mojej, nosząca znamiona matuzalemowego wieku i bliskiego pokrewieństwa z szyszka-

mi. Był to leśny dziad, jakich z bardzo rzadka można było spotkać w Lesie. Geneza dziadów nie była mi znana, ale wiedziałem, że tak jak Pień, niektórzy Samosiedlcy hodowali je dla ich słodkiej, dodającej sił żywicy i rzadziej tego, że ich ciała nie liczyły się według Lasu jako drewno.

Dziad otworzył ogromne usta, jakby chciał mnie skosztować. Miał gębę pełną drzazg, nadających mu makabrycznego wyglądu. Kłapnął niezmiernie powoli paszczą i zamrugał zdziwiony, że jego żółwia prędkość nie wystarczyła, by mnie ugryźć.

Wyswobodziłem się z uścisku i cofnąłem o krok. Leśny dziad przekręcił się nieskończenie powoli, ale tylko trochę i zaraz z powrotem spojrzał w kierunku ognia. Wydawał się nie tylko wrośnięty w ziemię, a przez to wolny, ale także na swój sposób… Upośledzony albo otumaniony.

Miałem w plecaku jeszcze sierp, na wszelki wypadek oczywiście, ale nie spodziewałem się, że musiałbym go używać. To było narzędzie, a nie broń, nawet w Lesie. Toporek straciłem już przez przeklętego węża, więc jedynie tokariew na piersi dodawał pewności siebie, ale i ona znaczyła niewiele.

To żadna sztuka wystrzelić magazynek w jednego drapieżnika, by w mgnieniu oka mieć na głowie pięciu padlinożerców. Był jeszcze nóż, ale ja w życiu noża tysiąc razy częściej używałem do krojenia kartofli niż nieprzyjaciół, a i z tym szło mi różnie.

Aż nagle broń znalazła mnie samego i położyła masywne palce w rękawiczkach na mojej twarzy. Coś chwyciło mnie mocno za maskę i wciągnęło kilka kroków głębiej w Las. Szybko zacząłem sięgać do kieszeni po nóż. Ostrze wyskoczyło ze skórzanej pochwy i zaraz znalazło się pod moją własną szyją, napierając na ogumienie.

Tępa strona noża, podpowiedział mi mózg, zamiast zrobić coś użytecznego.

Nie krzyknąłem, bo i nie było po co. Gdy tylko chwyt zelżał, obróciłem się i zamarłem w bezruchu. Myślałem, że umrę ze strachu na sam widok góry mięsa, której najeżona kłami głowa szczerzyła się prosto we mnie. Zwróciłem swój wzrok na wyprawione skóry, opinające stworzenie z każdej strony, jak chodzący bazarek myśliwego.

– Pień? – szepnąłem z przejęciem. Serce uderzyło mi na samą myśl mocniej, wyciągnąłem dłoń przed siebie i poczułem, jak większość ekscytacji opuszcza moje ciało, pozostawiając jedynie zmęczenie, lęk i rozczarowanie. – Nie, nie Pień.

Obcy przybliżył mi się nieznacznie i mignął:

– Ja.

Odpowiedziałem tym samym, bo albo był to jakiś dziwak i lepiej było grać w jego karty, albo był to jakiś test, sprawdzający w oczach tego czegoś, czy jestem istotą myślącą.

I nagle uderzyło mnie olśnienie i rozpoznałem makabryczny czerep, jaki spoczywał w miejscu głowy nieznajomego. To był Juki; z wszystkich możliwych osób jego znalazłem pierwszego, a raczej on znalazł mnie. W sumie to można było się tego spodziewać po kimś, kto potrafi wywąchać na ilu piętrach ktoś jest jednocześnie.

– Co się stało? – mignąłem rękoma.

– Pięciu złych chwyciło trzech dobrych. Kobieta szóstak, mężczyzna widłak, mężczyzna dziesiątak koronny.

Lusia, Kozioł i Rzęsa, pomyślałem, świetnie, a oni mieli być tu pierwsi. Oznacza to, że tego łajzy Śledzia i Trzaski jeszcze nie ma i nie wiadomo, czy w ogóle będą. Inna sprawa, że nie wiadomo, kim byli ci źli Rosjanie? Jaka była szansa, że ktoś wszedł do Lasu i trafił tutaj, a co ważniejsze – przeżył i jeszcze dopadł trójkę skądinąd doświadczonych Saprofitów?

Skupiłem wzrok na obrośniętych turkusowym mchem kłach niedźwiedziej czaszki i spróbowałem dostrzec, w jakim stanie jest mój jedyny towarzysz. Ostatnim razem jak go widziałem, to był przestraszony samą podróżą i mówił do mnie per: pan. Teraz jednak wydawał się pewny siebie, wręcz niewzruszony, do granic możliwości treściwy w ruchach. Może rzeczywiście był dzikim dzieckiem i tak jak ja bałem się Lasu, tak dla niego niezrozumiały był świat poza nim.

– Co robimy? – zamigałem.

– Jemy – odpowiedział.

Przekrzywiłem głowę, nie bardzo wiedząc, czy dobrze zrozumiałem.

– Nie rozumiem.

– Jemy ludzi.

Przełknąłem ciężko ślinę, mając nadzieję, że czegoś nie zrozumiałem i Juki nie miał zamiaru wparować sam w obce miejsce i dokonać jakiegoś kanibalistycznego szturmu. Na szczęście po krótkiej chwili dodał kilkoma ruchami wyjaśnienie.

– Ludzie jedzą tam, my nie jemy tu, my idziemy tam, my bijemy.

– Bijemy tam? – dopytałem.

Pokiwał głową. Zza wizjerów patrzyły na świat niemalże pionowe źrenice oczu. Jak mam być szczery, to widywałem licha, które miały bardziej ludzki wzrok.

Westchnąłem ciężko i na moment zastanowiłem się, czy był sens cokolwiek robić. Jeśli wypada na mnie zza krzaków poczwara, której w sumie bliżej do maszyny niż do stworzenia, choćby nieważne jak żywotnie wyglądała, to logiczne jest, że strzelam albo uciekam. Natomiast wziąć i zastrzelić człowieka przy ognisku, to trzeba mieć nerwy.

Juki odłożył na moment swoje pakunki i przywiązał je do drzewa sznurem, ja zrobiłem to samo. Dobrze było wreszcie rozprostować ramiona i

chwilę nie czuć tego ciężaru. Zaraz jednak zdjął z siebie futra i zostawił jedynie cienką, bawełnianą koszulę koloru starego sernika. Ku mojemu zdziwieniu dryblas wziął śnieg w dłonie i zaczął nacierać się nim wzdłuż ramion, biorąc szybkie wdechy i wydechy.

Zdezorientowany zacząłem się rozciągać, czując się co najmniej głupio. Byłem przy nim jak chorowity skryba z angielskiego klasztoru, który po raz pierwszy widzi wikinga. Z każdym jego gestem oraz dziwnym nawykiem miałem coraz mocniejsze przeczucie, że mógłbym równie dobrze zostać w tych krzakach i poczekać na wynik potyczki.

Aż wskazał palcem, pytając się mnie, czy potrzebuję czegoś z jego arsenału. Myślałem, że oczy mi wypadną od patrzenia na przygotowany przez niego sprzęt. Pomijając wcześniejszą pepeszę i długi nóż, chyba z szabli jakiegoś dzika, miał ze sobą dwa inne noże, oba ręcznie wykonane, a w dodatku na pasku zawiesił kilka granatów obronnych F-1.

Odchrząknąłem, pomachałem ręką lekceważąco i poklepałem się po piersi. Juki, nie mniej zdezorientowany ode mnie, wzruszył ramionami, chwycił pepeszę i po prostu zaczął iść na ugiętych nogach w stronę czerwonego Dębu.

Wyjąłem pistolet i poszedłem w ślad za Zefirynem, który zachowywał się, jakby robił to już więcej razy, niż przystoi człowiekowi bez kartoteki więziennej. Przypadł plecami do drzewa, już miałem go ostrzec, ale nic się nie stało. No tak, to tylko mnie zdarzało się przylepiać do rzeczy pokrytych kwasem.

W miarę jak zbliżałem się do celu, zauważałem coraz więcej niepokojących szczegółów, które wcześniej mi umykały. Obok samego Dębu wykopano studnię, którą na noc zakryto okrągłą klepką. Na sznurku przeciągniętym z jednej gałęzi do drugiej, wisiały schnące ubrania, zarówno ze

skóry i futra upolowanych zwierząt, jak i takie, których widok nie zdziwiłby mnie nawet w centrum miasta.

Wzdłuż polanki szedł długi łańcuch, co kilka metrów przybity do ziemi wielkim prętem. Dziwna konstrukcja była przywiązana do niektórych drzew, tak, jakby chciała je utrzymać w jednym miejscu. Spostrzegłem, że wśród tych drzew znajdował się leśny dziad, a i pozostałe pnie wydawały mi się drżeć i co chwila spoglądać w moim kierunku.

Olśniło mnie nagle coś, co za dnia zapewne byłoby oczywiste. Przy tym Dębie ktoś mieszkał i to na stałe. I to nie jeden Samosiedlec, a cała gromada. A jeśli była to studnia, to znaczy, że musieli tam mieszkać od bardzo dawna i przygotować się na wszelkie możliwości.

Juki zaczął wspinać się powoli po schodach, których każdy następny stopień był mocniej oświetlony przez skryte wewnątrz domu ognisko. Mimo swojej wagi był cichy jak kot, a dopiero zaraz zorientowałem się, że stawiał kroki jak najbliżej mocowań szczebli, by zmniejszyć swój nacisk.

Tym właśnie było doświadczenie, setkami detali i nawyków, składających się na pewność własnej jakości. Niestety pewność siebie rodzi niechęć do spostrzegania szczegółów i wybierania mniej prawdopodobnych możliwości.

Było już za późno na takie rozmowy, gdyż Juki zaczął powoli zbliżać się do głównych drzwi izby, które dziwnym trafem stały na oścież otwarte. Przestępowałem po dwa stopnie, chcąc jak najszybciej dogonić towarzysza, ale było już za późno.

W ostatnim momencie myślałem jeszcze o tym, by wziąć przykład z tego, co zrobił kiedyś Pień. Zażyć na szybko pożytek, przeskoczyć piętro i zaraz pojawić się wewnątrz domu. Z tym że wymagałoby to ode mnie precyzyjnie odmierzonej dawki specyfiku o niewyobrażalnie szybkim czasie rozkładu.

Albo nie, pomyślałem, sięgając po puzderko i odmierzając malutką dawkę słabego specyfiku, to teraz albo bohater, albo bohaterska śmierć Jurek, wybieraj.

Podniosłem na moment maskę, wiedząc, że i tak jesteśmy w studni. Wziąłem głęboki oddech dla dodania animuszu i przyłożyłem szklane naczynie z miarką do nosa. Poczułem, jak sproszkowany drobno mniszek lekarski wchodzi mi przez nozdrza i natychmiast naciągnąłem poroże z powrotem.

Zacząłem biec po schodach na górę, w tym samym czasie, w którym Juki wpadł do środka, celując pistoletem maszynowym z biodra. Huk był ogłuszający, dziesiątki pocisków przeorały cienkie ściany z drewna, wzniecając huragan drewnianych odłamków.

Świat zaczął mi się rozjeżdżać na dwie części i przez najkrótszy moment bałem się, że w pół kroku przeskoczę między jednym piętrem a drugim i spadnę na ziemię w świecie, w którym nie ma zabudowań na Dębie.

Tak się jednak nie stało, bo było jak zawsze gorzej.

Minąłem masywnego Zefiryna, który właśnie się zorientował, że wypruł część magazynka w pustkę. Zdjął palec ze spustu, obejrzał się na bok, spięty, gotowy do ataku, ale ja już mijałem go z drugiej strony.

Świat nagle przekręcił się o dziewięćdziesiąt stopni i poczułem, że lecę. Rąbnąłem głową o podłogę i przetoczyłem się kawałek po deskach. Wypuściłem z palców pistolet, który prześlizgnął się kilka metrów dalej. Coś czekało na nas za progiem, a cała biesiada przy ognisku była zaledwie wabikiem.

Ognisko płonęło na żelaznej blasze otoczonej polnymi kamieniami. Dookoła ogniska siedziały podparte o pakunki, przywiązane sylwetki Chołowników. Wszystkie głosy przekomarzające się po rosyjsku, dogadujące

sobie i stukające się sporadycznie menażkami, były zaledwie imitacją, którą powtarzała zapętlona roślina o kielichu w kształcie rogu.

Zbyt wiele informacji naraz, zdążyłem pomyśleć, nim coś kopnęło mnie w plecy.

Obróciłem się twarzą do góry i spostrzegłem, jak przyobleczona w ciosane deski postać pikuje wprost na mnie, by przygnieść mi brzuch kolanami. Ręce napastnika natychmiastowo skoczyły ku mojemu gardłu i zaczęły mnie dusić. Poczułem, jak robi mi się niedobrze, świat okryła płachta barw, świadczących o tym, że mózg wariuje.

Kątem oka spostrzegłem, jak Juki mocuje się z kimś za bary, dostaje w twarz, ale w przeciwieństwie do mnie nie pada na deski, a jedynie chwyta agresora za głowę, zaciska palce i uderza nią o ścianę. Słychać trzask łamanego nosa, a zaraz potem Juki bierze drugi zamach i ponownie ciska mieszkańcem Dębu o ścianę.

Ostatni oddech uciekał mi z płuc; próbowałem wbić kciuki w oczodoły nieznajomego, ale ten odchylał się stale i unikał mojej desperackiej obrony. Byłem pewien, że to mój koniec, widziałem jedynie wściekłą, zarośniętą twarz, w której więcej było drapieżnika niż człowieka. Wyglądał jak troglodyta, przewiązany sznurami, na które nanizano drewniane kawałki, imitujące pancerz.

I wtedy opuściłem świat. Widziałem jedynie zdziwioną twarz niedoszłego mordercy, którego dłonie uderzyły nagle o podłogę i nie mogły mnie złapać. Kolanami opadł na deski i przestał mnie przygniatać, bo był już w innym świecie niż ja.

Mniszek lekarski zadziałał z opóźnieniem.

Przetoczyłem się na bok i złapałem kilka oddechów. Podniosłem się na równe nogi i spostrzegłem zaciśniętą pięść agresora, który już ruszył na

mnie. Jego palce przefrunęły przez moją twarz, a on sam nieomal stracił równowagę i się potknął.

Spojrzałem pod nogi i spostrzegłem, że stoję na ogromnej gałęzi drzewa z innego piętra. Zrobiłem krok bliżej środka, tak, żeby na pewno nie spaść i wtedy doszło do mnie, że przecież nie muszę robić żadnych uników.

– Cholera – warknąłem, szukając wzrokiem mojego tokariewa.

Pistolet leżał na podłodze obok ogniska, ale w moim świecie było to powietrze, pustka między dwoma oddalonymi od siebie znacznie gałęziami drzewa. Położyłem się i spróbowałem sięgnąć po broń, ale nie dosięgnąłem.

I tak jej nie dotkniesz, pomyślałem i poderwałem się na równe nogi, kiedy to cholerstwo się skończy?!

Wyciągnąłem z kieszeni w spodniach nóż i na moment zignorowałem rozważania nad naturą przechodniości przedmiotów między piętrami.

Zefiryn sięgnął ponownie po pepeszę, wycelował w leżącego przeciwnika, któremu połamał twarz i wypalił kilka razy. Następnie spojrzał na tego, który nieomal mnie zabił i przycelował z kilku metrów.

– Ja jestem z wami! – krzyknął człowiek w drewnianej zbroi, podnosząc ręce. – Ja swój, naprawdę.

Już miałem otworzyć usta i spytać o coś, ale Juki musiał mieć bardziej ograniczone zaufanie do takich przypadków. Pociągnął za spust, nieznajomy zadrżał i zgiął się wpół, by zaraz uderzyć o ziemię, jęcząc agonalnie.

– Rzuć broń! – warknął ktoś krótko.

W futrynie drzwi stanął jakiś nowy cień z błyszczącymi niezdrowo oczami. Tylko wystająca lufa rewolweru pokazywała dobitnie, że nie jest to kolejna gra świateł.

Zefiryn obrócił się prędko, rozbrzmiał huk i mój wielki towarzysz padł na ziemię, rycząc zduszonym z bólu głosem. Jego rzepka w prawym

kolanie zmieniła się w siniejącą pod rozerwanymi spodniami miazgę. Krew zaczęła ściekać między deskami, wsiąkając w gałęzie czerwonego Dębu.

Chołownik siłą rzeczy wypuścił pepeszę, którą zaraz podniosła jedną ręką postać, wychodząca z mroku. Był to przedziwny miszmasz między pragmatycznym strojem, jaki dało się wykonać ze skór i futra na zimę oraz ubrań spoza Lasu. Obcy nosił na sobie czapkę z daszkiem i czerwoną gwiazdą, co nazbyt dobitnie napawało mnie strachem, który wwiercał się w moją świadomość.

Nigdy nie spodziewałem się, że zobaczę kiedyś jednego z przeklętych najeźdźców, których lata temu pochłonął Las.

– Głupi traci dwa razy – dodał radziecki oficer i przestrzelił Zefirynowi drugie kolano, po czym włożył nagana do kabury. – A co do twojego towarzysza ducha, to niech lepiej się ucieleśni albo to wy wszyscy odwiedzicie jego w zaświatach.

Mówi po polsku, pomyślałem, zaciskając palce na rękojeści noża, jeszcze na dodatek mi grozi. Wszyscy albo obezwładnieni, albo dogorywający, a ja jestem sam. Trzeba być idiotą, by rzucać się z nożem na kogoś z pepeszą.

– Nie mogę nic zrobić – wybełkotałem, głos kompletnie mnie nie słuchał.

Oficer wymierzył rewolwer w związanego Rzęsę, który siedział zakneblowany i bez maski pod ścianą.

– Nie, ja naprawdę nie mogę, po prostu nie da się, nie mogę!

Rosjanin wyszczerzył się paskudnie, spojrzał na zbierającą się krew na podłodze. Obok sowieta leżało dwóch jego towarzyszy, on sam musiał czekać na zewnątrz albo się nas spodziewając lub przypadkiem wkraczając w ostatniej chwili. Z drugiej strony, nie wyglądał na kogoś, kto szczególnie liczył się z innymi.

Wtem zobaczyłem, jak zawiesza sobie pas nośny pistoletu przez ramię, sięga do ręcznie szytej pochwy na dwustronną siekierę i dobywa broni. Podwójne ostrze błysnęło refleksami z ogniska, brudne dłonie zacisnęły się na stylisku i zaczęły wymownie ciągnąć konstrukcję po podłodze w kierunku jeńców.

– Wy z zewnątrz jesteście tacy sami – stwierdził, jakby mówił o różnicach w guście muzycznym i wziął zamach siekierą.

– Nie! – krzyknąłem, ale było za późno.

Ostrze wbiło się z chrzęstem w skroń Rzęsy. Krew bryznęła na twarz kata. Dąb zatrzeszczał gałęziami, wydając z głębi siebie ciche buczenie, jakby wyrażając aprobatę.

Ciało dostojnego Chołownika opadło na bok bezwiednie, a oficer przygniótł jeszcze butem jego twarz, by móc wyciągnąć zaklinowaną broń z czaszki.

Opadłem na kolana i zwymiotowałem. Przez przełyk przeszła mi fala gorąca, w ustach zebrał się paskudny posmak i w ostatniej chwili wstrzymałem się dość długo, by uchylić otwór w porożu. Poczułem, jak uchodzi ze mnie jakakolwiek myśl, w głowie kotłowało się jedynie przerażenie i obrzydzenie.

Nagle coś chwyciło mnie za róg i wzniosło nieco w górę, aż prawie zakrztusiłem się własną treścią żołądkową. Kolano oficera trzasnęło mnie w grdykę i poleciałem na bok, nie mogąc oddychać.

– O, jesteś z nami – powiedział gospodarz drzewa, ale w jego głosie nawet żart nie miał oddzielnego, lżejszego tonu.

Kurczowo trzymałem się jedną ręką własnego gardła, drugą noża. Czułem, że z każdą sekundą tracę możliwości. Twarz oficera i czerwony Dąb były jedynymi rzeczami, które widziałem przez żywiczne oko na wyższych piętrach. Dopiero po chwili zauważyłem, że leżące ciała jego dwóch

popleczników również były na wyższych piętrach, unosząc się w mroku. Aż na samym końcu to samo mogłem powiedzieć o okaleczonym Jukim, martwym Rzęsie, Łucji i Koźle.

Przez ułamek sekundy coś mignęło mi w mroku wyższego piętra, jakby dwie, skryte w oddali plamy ciepła, które zbliżały się do mnie przez chwilę.

Najdziwniejsze było jednak to, że gospodarz wydawał się tak absolutnie nawykły do tego, co się działo. Jego zapadnięta niezdrowo twarz patrzyła się na nas z pewnym pożądaniem, takim, jakie ma w oczach lis na widok kury.

– Poro… Por… – próbowałem coś powiedzieć, ale czułem jedynie, jak odmawiające posłuszeństwa gardło charczy i rzęzi.

– Ja już rozmawiałem z tymi, którzy byli tu przed wami. I z żołnierzami rozmawiałem i ze swoimi rozmawiałem, a nawet szkopami i tymi w rogatych maskach i tymi z czterema oczami oraz nagimi i białymi jak śnieg. – Oficer rozejrzał się po izbie, wyjrzał na zewnątrz i wzdrygnął się do własnych myśli. – Miałem dużo czasu na naukę języków, teraz to wszystko wydaje się takie proste.

Oficer podszedł do Kozła, który zaczął szarpać się i wydawać z siebie zduszone kneblem wycie. To był okropny dźwięk, przypominał przy tym zarzynaną… no cóż, kozę właściwie. Nie mijało się to bardzo z prawdą, bo ostrze topora zbliżyło się do jego skroni i zaczęło po niej jeździć delikatnie, jakby smakując potu.

– Nie… – wychrypiałem jedynie, ale Rosjanin spojrzał na mnie z mieszaniną pogardy i zażenowania.

– Najpierw tego wysokiego, potem dryblasa, a was zostawię na potem – powiedział, jakby wyjaśniał, kto ma stać za kim w kolejce do lekarza. – Bo ten tu leżący zacznie się podnosić, ale go szybko weźmiemy w trójkę.

Nie rozumiałem, o czym mówił i nawet nie miałem siły pytać. Kątem oka dostrzegłem, że na podłodze nadal leży tokariew, którego albo oficer nie dostrzegł, tudzież jeszcze nie uznał za stosowne zagarnąć.

Spojrzałem na leżącego Zefiryna, on zdawkowo kiwnął głową. Miał nogi wygięte dziwacznie i podkurczone, kompletnie bezwładne z bólu. Natomiast ręce nadal miał całe, a kto mógł mieć dość samozaparcia, by nie zemdleć, jeśli nie ten wielkolud.

Z ogromnym trudem wstałem, podpierając się o ścianę i chwyciłem nóż oburącz, jak do pchnięcia. Oficer z politowaniem spojrzał na mnie, dokładnie wiedział, jak mam zamiar zaatakować i nawet nieszczególnie przejął się moją desperacką próbą.

No cóż, każdy popełnia błędy.

Zrobiłem dwa powolne kroki w bok, nagle kopnąłem pistolet w kierunku Zefiryna i skoczyłem na nieznajomego, który do samego końca nie wydawał się zaskoczony.

Zrobił krok w lewo, ostrze minęło jego tułów, zjeżdżając po giętkich deskach drewnianego pancerza. Na moment straciłem równowagę, coś podcięło mi nogę i poleciałem prosto na ścianę. Razem z uderzeniem maską poczułem, że coś łupnęło mnie obuchem w plecy tak, że od razu przydzwoniłem w podłogę.

Upadłem i mogłem zobaczyć, jak wirujący majestatycznie w powietrzu toporek wbija się w wyciągniętą dłoń Zefiryna. Olbrzym zawył z bólu, a ja wiedziałem, że jesteśmy już całkowicie skończeni.

Oficer przekroczył nad moim ciałem, wyciągnął z lekkością ostrze z podłogi, przy okazji podnosząc z ziemi kawałek uciętego, małego palca Jukiego.

– Mówiłem, że człowiek ma dużo czasu na naukę w takim miejscu jak to – powiedział, włożył obcięty kawałeczek mięsa do ust i zgniótł go zęba-

mi. – Brzydzę się wami, robaki, ale jak to mówił jeden z waszych, gdy tu trafił? Na bezrybiu i płoć ryba, tak?

Oficer zbliżył się do kwiatka, który przez ten cały czas wydawał z siebie zapętlone dźwięki biesiady i dotknął palcem wnętrza kielicha. Płatki zacisnęły się na sobie, roślinka zwinęła się w kłębek i zapadła cisza.

Łzy cisnęły mi się do oczu. Nigdy, gdy wyobrażałem sobie, w jakiej paszczy bestii mogę skończyć, nie zdarzyło mi się pomyśleć o człowieku. Las jednak zawsze zaskakuje i to w najmniej przyjemny sposób. Człowiek myśli, że ma wszystko podane jak na tacy, że wziął wszystkie możliwe warianty pod uwagę, a dostępne dane wystarczają, by przewidzieć każdy możliwy wypadek.

No nie, tak po prostu nie jest.

Rzucony nóż wbił się w lukę napierśnika Rosjanina. Ten spojrzał jakby bez zrozumienia, a dopiero sekundę po tym zorientował się, że powinien być zdziwiony. Widocznie lata w tym przeklętym miejscu odebrały mu poczucie zagrożenia.

– Który… – warknął, nim błyszcząca stalą błyskawica przeszyła mu pierś.

Trzaska wleciała jak burza, do samego końca myślałem, że widzę dzikiego kota, a nie człowieka w masce o czerwonych, krótkich różkach. Buty na wzmocnionej podeszwie posłały oficera w krótki lot, który zakończył na podłodze, między pakunkami.

Chołowniczka upadła kontrolowanie, przetoczyła się na bok i podniosła na równe nogi, jednocześnie dobywając nóż zza paska. Krótkie ostrze zawirowało w powietrzu i wbiło się w dębowy naramiennik Rosjanina.

Żołnierz nie czekał na swoją kolej. Wstał, ryknął jak wściekły niedźwiedź i spróbował wyrwać sobie włócznię z piersi. Jednakże grot odznaczał się ostrymi zadziorami, przez co od razu spostrzegł, że byłoby z tego więcej

bólu i pracy niż pożytku. Zamiast tego oparł pepeszę o biodro i lunął ołowiem.

Pomieszczenie wypełniło się dymem, zapachem wypuszczanych pod ciśnieniem gazów i porażającym hukiem. Zdawało się, jakby sam Dąb kulił się i trząsł, próbując zrzucić z siebie źródło tak głośnej kaskady dźwięków.

Trzaska wbrew logice i naturalnemu instynktowi rzuciła się przed siebie, pochylając się mocno. Zaraz zrobiła krok w prawo i dobiegła do boku oficera, nim ten zdążył zorientować się, co się dzieje.

Uderzenie było okropne. Pięść kobiety przemieściła żuchwę przeciwnika, ten wypuścił jeszcze kilka kul w sufit i padł na ziemię. Nim wróg zdążył się podnieść po raz drugi, Chołowniczka chwyciła za trzon włóczni i naparła mocniej. Grot zagłębił się w trzewiach człowieka, wydając paskudny chrzęst, w miarę jak przebijał kolejne organy.

Oficer w końcu stracił przytomność z bólu i opadł bezwładnie w rosnącej kałuży własnych płynów.

– Niesamo… – zacząłem, Trzaska w pół mojego słowa zdążyła chwycić siekierę Rosjanina i przerąbać mu szyję. – ...wite…

Dopiero po chwili przez drzwi wszedł Śledź, ściskając w dłoni nóż, jakby był gotów cisnąć nim, tak jak to zrobił przez okno, nim wparowała Trzaska.

– Dobrze was widzieć – wyszeptałem, patrząc z przerażeniem na kaźń, jaka miała miejsce w domku na Dębie.

Trzaska stanęła na chwilę sztywno, opadła na kolana i gwałtownie zerwała z głowy poroże. Jej twarz była nabrzmiała od pulsujących żył, oczy zaszły jej czerwienią i nagle zaczęła krwawić z kanalików łzowych.

– Wszystko pod kontrolą – powiedział Śledź, kierując te słowa niby do wszystkich, ale patrząc szczególnie na moją, przerażoną twarz. – Zaraz dam każdemu po dawce i wyczekamy do rana.

– Juki i Rzęsa i…

– Wyjaśnię, ale teraz powiedz, czy potrzebujesz przeciwbólowych? – powiedział Śledź, rozwiązując Łucję, Kozła, a następnie nieruchome ciało Rzęsy.

– Nie tak bardzo jak Juki, ale…

Bez słowa Śledź wyciągnął przybornik z plecaka, następnie nabrał z buteleczki półprzezroczystego, lekko białawego płynu do strzykawki i pozbył się tłoczkiem powietrza.

– Nie, to ja jednak nie, to nie, dziękuję – zacząłem się wzbraniać, więc Śledź nie marnując czasu, podszedł do Zefiryna i zrobił mu zastrzyk zamiast mnie.

– Szpik kostny Wierzba, powinien wystarczyć do rana.

Przez moment przypomniałem sobie, jak Pień też tego używał. Doszło do mnie, że właściwie nie nadaję się do tak awanturniczej tułaczki, ani może nawet do uczestniczenia w tej wyprawie. Nie byłem w stanie wytrzymać iniekcji, nawet jeśli miałoby mi to ocalić życie. Reszta za to potrafiła…

Spojrzałem na trzęsącą się na ziemi Trzaskę, z której schodziły efekty czegokolwiek, co wzięła przed wpadnięciem do środka. Wiedziałem, że niektóre pożytki potrafią mieć niezwykłe działanie, ale nigdy nie miałem odwagi, by ryzykować swoim zdrowiem fizycznym i psychicznym, by wstrzykiwać sobie jakieś esencje z lich czy inne dziwne substancje z pogranicza ziołolecznictwa i rytualizmu.

– To nie jest po prostu studnia, prawda? – spytała Łucja, jakby nigdy nic podniosła siekierę i zaczęła szykować się do ścięcia głów pozostałych sowietów.

Śledź pokiwał głową, pomagając Zefirynowi oprzeć się o ścianę i odsapnąć w bólach. W pewnym momencie wyjął z plecaka niewielki słoiczek,

włożył do środka palec i oszczędnymi ruchami zaczął rozsmarowywać coś wzdłuż framug drzwi i okien.

Spojrzałem na dziwną, zielonkawą maź i doszło do mnie, że w niewielkim stopniu wydaje się odbijać światło, ale tylko na wyższych piętrach. Zrozumiałem, że Śledź wyznacza granice za pomocą przecieru ze świetlików. To oznaczało, że ma tu zamiar zostać na dłużej.

– To studnia, fakt – powiedział w końcu, gdy skończył stosowne rytuały i mógł wziąć zasłużony oddech. – Tylko oprócz tego jest to anomalia czasowa, kieszeń lub pętla. Nie wiem, czy zaciąga czas z innych pięter, czy to kwestia tego czerwonego drzewa, ale na pewno nie działa tak, jak miejsca poza Lasem czy nawet w większości jego miejsc.

– Niby jak się domyśliłeś?

– Większość osób, które mieszkają w Lesie, robi to w kieszeniach czasu, celowo

lub nie, ale tylko dzięki temu są w stanie nabrać doświadczenia i nie zdziadzieć. Dochodzi do tego fakt, że o ile drapieżniki, a nawet zwykli roślinożercy trzymają się z dala od takich miejsc i mają je za niebezpieczne, to ludzi i inne inteligentne istoty wydaje się ciągnąć, jakby wiedzieli, że tutaj uciekną przed śmiercią najdłużej.

– I po prostu uznajesz, że każda chata w Lesie to taka anomalia? – spytałem podejrzliwie, bo może byłem zazdrosny, że sam wpakowałem się w tę kabałę.

– Gwiazdy na niebie są zazwyczaj przypadkowe, a nawet nie działają w taki sposób, w jaki widzimy je z Ziemi po naszej stronie. Natomiast jeśli spojrzysz tutaj i znasz się na tym, to wiesz, że to jest układ początkowy, tak wygląda domyślne ustawienie gwiazd dla Lasu z nocy siedemnastego na osiemnastego września.

– Więc?

– Więc jeśli jest tu dom i ktoś tu mieszka od tamtego dnia, a na sznurze wiszą męskie drelichowe spodnie, Rubażki i cała reszta tego sowieckiego tałatajstwa, to odpowiedź jest tylko jedna.

Pokiwałem głową w zdumieniu. Miałem wrażenie, że zawsze byłem kilkanaście kroków za doświadczonymi grzybiarzami. I nie miało to nic wspólnego z magią czy nawet ich pochodzeniem. Oni po prostu żyli w ten sposób od lat, bo musieli przeżyć. A ja mogłem teraz zobaczyć tych, którym udało się własnymi siłami przetrwać w Lesie przez taki kawał czasu i jeszcze nauczyć się z niego korzystać.

– To nie wyjaśnia, czemu postanowiliście zdekapitować tych dzikusów.

– Żeby nie wstali tak szybko – powiedziała Lusia, wyrzucając głowę oficera za okno i zamykając okiennicę. – Bo gdzieś w okolicach północy, poranka, a najdalej południa, wszystko na nowo wstanie. To nie jest sposób na wieczne życie, to klątwa, powtarzająca się agonia i cykl głodu.

– Żywią się wszystkim, co wpadnie tu z innych pięter. Czasami pewnie są okresy, gdy nic nie wpada, więc nie zdziwiłoby mnie, gdyby oryginalnie było ich tu więcej niż ta trójka. No cóż, pół wieku głodu robi sobie – dodał Śledź i siadł przy ognisku, dorzucając przygotowany przez czerwonoarmistów kawałek drewna. – Tyle dobrego, że mogli palić drewnem z tego gigantycznego drzewa, inaczej dawno by zamarzli i wstali następnego dnia, by zamarznąć kolejnej nocy.

– Więc to oznacza, że… – Wskazałem nieśmiało na Rzęsę, który leżał bezwładnie pod ścianą i wciąż krwawił ze skroni.

– Wstanie, na nasze szczęście wstanie. Przestrzelone nogi też się zrosną, rany przestaną boleć. Tylko ten palec Jukiego... – Łucja pokiwała głową na boki. – Przykro mi wielkoludzie, dałeś się schrupać.

– Przeżyję – mruknął Zefiryn, dysząc ciężko z bólu. Po jego czole wciąż leciały stróżki potu, a on sam blady był jak gips. – Bywało dużo gorzej.

Spojrzałem na kwiatek, którego okrzyki zwabiły nas w tę pułapkę.

– To jakiś naturalnie rosnący gramofon? – zaśmiałem się z nerwów, ale Łucja jedynie pokiwała głową w ciszy. – I tak sobie po prostu nagrali siebie, jakby wiedzieli, że tu przyjdziemy do nich?

– Mieli pół wieku, by doskonalić się w jednej rzeczy: wabieniu zwierzyny we wnyki i zatrzaskiwaniu ich – powiedział Kozioł, gładząc się po skroni. W jego oczach widać było, że perseweruje wspomnienia z momentu, gdy dosłownie otarł się o śmierć.

– Jest mi niedobrze – stwierdziłem, kierując się do wyjścia.

– Nie możesz teraz wyjść, zresztą nie wyglądasz najlepiej – zaprotestował Śledź.

– Zostawiliśmy plecaki z Jukim, o tam, za skrajnie przywiązanym dziadem leśnym. Powinienem po nie pójść, zanim zapadną się pod ziemię albo porwie je diabeł czy cholera wie co w tym przeklętym miejscu.

– Pójdę po nie, muszę zrobić obchód i tak. Nie mamy pewności, czy to byli wszyscy. Zawsze jest możliwość niemiłej niespodzianki, a tego byśmy nie chcieli.

Socha jak powiedział, tak zrobił i zostawił naszą szóstkę z ogniskiem. Byliśmy przestraszeni i zmęczeni, czyli było prawie jak każdego wieczora w Lesie. Trzaska nadal kucała zgięta i nie chciała się za nic w świecie ruszyć, a ja nie miałem zamiaru w to ingerować, nie wiedząc, do czego jest zdolna.

– To jakiś koszmar – mruknąłem, zdejmując poroże.

– Są dobre strony – podpowiedziała Lusia – nie musimy na noc się przywiązywać i można wreszcie spać bez masek. W końcu i tak wszystkie piętra ciągnie do tego miejsca, więc nigdzie nas nie wyrzuci.

– Miałem na myśli… wszystko. Mogliśmy przecież zginąć, dosłownie być zjedzeni!

– Mówisz, jakby wcześniej było inaczej.

– Wcześniej było inaczej, bo miałem wrażenie, że jest jakaś poprawna odpowiedź. Że jeśli dzieje się coś złego, to albo jestem za to odpowiedzialny, albo to po prostu natura lich z Lasu i trzeba się do tego dostosować.

– A teraz było inaczej?

– Doktorowi chyba chodzi o to, że być napadniętym przez ludzi w Lesie, to rzadkość i może człowieka wziąć z zaskoczenia – podpowiedział Artur.

– Nie w tym rzecz – warknąłem, gładząc palcami czoło jeleniej czaszki. – Nie wiem, skąd mi się to bierze, ale jakoś na myśl o tym, że to byli ludzie, to aż mnie wzdryga. Spędzili w tym miejscu pół wieku, głównie głodując na śmierć, marznąc na śmierć, a potem się pożerając nawzajem. I aż się zastanawiam, czy ci, których zjedli, bo tak na pewno się stało, sami ich o to prosili, by się stąd wyrwać? Czy oni mieli jeszcze jakiś cel i wartości?

– Agresorzy z założenia są bestiami – powiedziała Łucja, wpatrując się w ognisko. – A bestie nie mają swoich pieśni. Jeśli przyjmiemy, że licha w Lesie to tylko maszyny Przybyszów, które zmieniły się po przejściu na tę stronę, to nie możemy ich winić. Bo nawet najbardziej zwyrodniałe akty okrucieństwa są im narzucone.

– A oni byli tacy od początku do końca z własnej woli. Byli ludźmi, którzy do samego końca uznali, że ich życie ma wartość samą w sobie, nawet pomimo zła.

Łucja pokiwała głową i spojrzała na śpiący kwiat, służący Rosjanom za gramofon.

– Nawet śmiali się i cieszyli tylko po to, by móc udawać ludzi. Nie ma sensu się nimi zadręczać. Jest z tego tylko jedna nauka, że nigdy za wiele ostrożności.

– Czemu stąd nie uciekli? – spytałem, przysypiając powoli.

– Bo nie wiedzieli, że mogli? Bo nie mogli? Bo nie chcieli? Nie wiem, ale my wyniesiemy się windą i pożytkami tak szybko, jak się da. Nie wiadomo, ile czasu minęło poza tym miejscem i chyba nie chcemy się o tym przekonywać. Liczy się każdy dzień, więc mam jedynie nadzieję, że w Chołach wszystko w porządku.

Ognisko trzaskało przyjemnie, Las zdawał się trzymać z daleka i tylko raz usłyszeliśmy, że w koronie Dębu przysiadł jakiś masywny ptak. Zwierz wydawał się nas obserwować pewien czas, bo siadł blisko i nie bał się hałasów, jednakże żadne z nas nie mogło go dostrzec.

Wtem usłyszałem krzyk. Spróbowałem poderwać się z miejsca, ale jedynie zaszamotałem się w kocu, którego nakładania nie pamiętałem.

Zorientowałem się, że zasnąłem i coś mnie obudziło. Nade mną stał Śledź z założonymi rękoma, w kącie Zefiryn rozprostowywał i zginał nogi w ramach ćwiczeń. Trzaska dalej spała niezrażona, Łucja wyglądała, jakby wcale nie zasnęła, a Kozioł obudził się zaraz ze mną.

Rzęsa zmartwychwstał.

Jego czaszka zrekonstruowała się, a skóra nie wydawała się nawet ton jaśniejsza w miejscu uderzenia. Ot, kompletny restart maszyny, jakby go ktoś przekalkował na powielaczu do momentu, w którym wszedł na teren Dębu.

Tylko to tak nie działa, bo ludzie nie są przedmiotami. A nawet człowiek ze sporym doświadczeniem, nie ma w swoim repertuarze narzędzi,

by zrozumieć własną śmierć. Więc oto widziałem rozbiegane białka oczu, twarz zdjętą terrorem najwyższego stopnia i grdykę, sunącą w górę i w dół jak sznur, podczepiony do bijącego dzwonu głowy.

– Spokojnie, wszystko jest już w porządku, jesteś z nami – powtarzała Łucja zmęczonym, ale pełnym współczucia tonem. – Zaraz ci wyjaśnimy wszystko.

Rzęsa pomachał ręką, przyłożył ją do ust, jakby miał zwymiotować, przełknął coś głośno i wziął głęboki oddech. Potem już tylko trzymał dłonie zaciśnięte na twarzy i wgapiał się w podłogę, gdzie dopiero co była jego zaschnięta krew.

– Mogłem zginąć – wyszeptał pierwsze słowa.

– Żyjemy z tą myślą… – zaczęła Lusia, ale nie zdążyła dokończyć.

– Milcz!

Zapadła cisza i wszyscy poza śpiącą Trzaską wpatrzyli się w Rzęsę. Wyglądało to tak, jakby zaraz miał ze strachu przed śmiercią wziąć pistolet i się zastrzelić. Bo sama myśl o tym, że umarł, wydawała się go przerażać bardziej, niż fakt dokonany.

– Mam ojca, którym się opiekuję – powiedział. – Mam brata, mam dla kogo żyć. Nie mam dla kogo umierać i teraz rozumiem, że po mojej śmierci nie zostanie nic. Jeśli ja umrę, to jest to koniec mojej rodziny, koniec Chołów, koniec was wszystkich, bo jestem tylko ja.

Zamrugałem zdziwiony, było to zdecydowanie coś z mojej dziedziny nauki, ale scedowałem odpowiedzialność za odpowiedź na Łucję. Skoro chciała dowodzić naszymi ruchami, to niech razem z tym weźmie serca.

– Ratujemy ich wszystkich – powiedziała Chołowniczka.

– Pakujemy się do Lasu po nic. Co idziemy znaleźć? Wielką grzybnię, w którą spadł Marian Socha, wielki, smutny grzybiarz, który wpadł w dziurę? Bardzo straszne, tak wygląda właśnie życie Saprofity. Mój ojciec

został kaleką, bo próbował wykarmić rodzinę, a ty czym się pochwalisz Socha? Że chciałeś się ućpać czy że się potknąłeś?

– Odczep się ode mnie – warknął Śledź.

– Jesteś chory, przykro mi, ale ja właśnie za ciebie umarłem i wiesz co? – Rzęsa wstał, chwytając za swoje poroże i nałożył je na głowę. – Nie było warto.

– Hej, hej, nie stroszyć tu piór jak dwa koguty, mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Trzeba się stąd zabierać, a potem znaleźć tę grzybnię albo wioskę Cichych.

– Nie mogliśmy iść tunelem? – spytał nagle Kozioł. – Myślałem, że to wszystko pójdzie o wiele bardziej gładko.

– Przenieśli go w styczniu, bo najwidoczniej Cisi też mają nas dosyć. Przymierze zbudowane na potrzeby jednego Krzykacza przez nieco zbyt emocjonalną przemowę pana doktora nie okazało się fundamentem trwałej społeczności.

– Że niby teraz moja wina? – Wstałem, wbijając gniewny wzrok w Bieniaszównę.

– Mówię tylko, że Cisi niekoniecznie chcą nas widzieć, zwłaszcza stara Gopulska. Także cała sprawa ze Śledziem wynika między innymi z tego, że musiałeś zajść za skórę Maurycemu i teraz…

– Teraz jeszcze jestem odpowiedzialny za to, że wasz ksiądz to podstarzały krzyżowiec, który nie potrafi nawet wziąć oddechu bez zamiaru powiedzenia czegoś głupiego. W dodatku o ile się nie mylę, to mieliście z nim spory jeszcze na długo nim pojawiłem się u was.

– Mimo wszystko było spokojniej – wtrącił się Kozioł.

– Słucham?

– Mówię tylko… No, zanim pan doktor przyjechał, to było spokojniej, więc może faktycznie lepiej by było, gdyby…

– Dla jasności, nie prosiłem się o to, by iść z wami. Mogłem to załatwić sam.

– I skończyłbyś jak Rzęsa – dodała Lusia.

– Nie matkuj mi, potrafię sobie radzić sam w Lesie. A ty do tej pory co osiągnęłaś? Gówniara, która najpierw próbuje mnie okłamać, potem poświęcić żarłocznej bestii z Lasu, a na koniec goni mnie ze starym alkoholikiem i morduje mojego jedynego przyjaciela!

– Jedynego? – spytała nagle Łucja.

W jej głosie zabrzmiała dziwna nuta, która nie pasowała do całej atmosfery rozmowy.

Rozbrzmiał trzask. Deska obok Zefiryna pękła w pół, po zderzeniu z jego pięścią.

– To wszystko Dąb – powiedział głębokim, pewnym siebie tonem. – Sączy wam truciznę w uszy, chce, żebyście tu zostali na zawsze. Powinniśmy się stąd zabierać i to jak najszybciej, nim te bezgłowe kukły wstaną.

Wszyscy otrząsnęliśmy się, jakby ktoś otworzył okno w mroźny wieczór. Spojrzeliśmy po sobie i ciężko nam było patrzeć sobie w oczy. Zmęczone twarze, drążone przez poczucie obowiązku, który ani nie sprawiał przyjemności, ani nie dawał szans na lepszą przyszłość. Był po prostu obowiązkiem, potrzebą obrony przed silniejszymi.

Założyłem poroże, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na Łucję, ona zrobiła to samo. Nikt z nas nie mógł komfortowo patrzeć na siebie bez wizjerów masek. Ktoś zbudził Trzaskę, która otworzyła szybko powieki, jakby pełne wybudzenie zajmowało jej ułamek sekundy.

Byliśmy gotowi do drogi, staliśmy pod wielkim Dębem, a na horyzoncie wschodziło pąsowe słońce, obwieszczające koniec pierwszej nocy w Lesie.

– Powinniśmy to spalić? – spytał Kozioł, wskazując gargantuiczne, krwawe drzewo.

– Ma prawo istnieć… Poza tym, nie wiadomo, czy nie pojawi się tu coś dużo gorszego, gdy zniknie Dąb – odpowiedziała Łucja, wyjmując puzderko. – Bierzemy po piętnaście miligramów gołąbka lazurowego. Trzymajcie się windy i błagam… Niech nikt jej nie puści, bo naprawdę nie chcę być znowu sama, ani wy nie chcecie.

– Chcę wrócić do domu – powiedział nagle Rzęsa.

Byliśmy oszołomieni, ale Łucja zaraz machnęła dłonią lekceważąco.

– To nie Dąb. – Rzęsa cofnął się od nas o krok, jakbyśmy mieli na niego zaraz naskoczyć albo zrobić mu inną krzywdę. – Mówiłem, to co myślałem, Dąb mi jedynie podniósł ciśnienie. Ja naprawdę nie chcę umierać za wasze błędy.

– Nie umarłeś za błędy – próbowałem się wtrącić, ale Rzęsa podniósł dłoń w skórzanej rękawiczce i wystawił palec wskazujący.

Zamilkłem, czekając na rozwój wydarzeń, który nie zwiastował nic dobrego.

Od tamtej pory, gdy o nim myślałem, miałem ten sam widok przed oczami. Wysoki, niemalże czarny kształt człowieka o rozrosłym porożu, za którym wstaje różowa, kosmiczna kula płonących gazów.

– Wrócę do Chołów, powiem im, że kontynuujecie zadanie i sprawdzę, czy mamy jeszcze czego bronić. Nie da mi to spokoju, jeśli spędziliśmy tu kilkadziesiąt lat, nie wiedząc nawet o tym.

– To kieszeń czasowa, ale to nie znaczy, że spędziliśmy tu tyle czasu. Kto wie, może w naszym świecie minęła ledwie sekunda – objaśniła Łucja.

– Sekunda – powtórzył spokojnie Rzęsa, przez maskę wydawał się pomnikiem człowieka, doskonale roztropnego i wyważonego. – Wiem, jak mija sekunda. Sekunda minęła między moją śmiercią a odrodzeniem i wie-

cie co? To była pusta sekunda. Nie czułem się, jakbym był nieprzytomny albo spał. To było uczucie nicości całkowitej, braku świata, braku czegokolwiek, braku Boga. Tak musi wyglądać nic, nieodróżnialne, jednolite, bez możliwości porównania do czegokolwiek.

– Więc zostawiasz nas? – spytała Trzaska, zaciskając palce na skraju spodni.

– Odłączam się od stada.

– Nie zatrzymamy cię siłą – stwierdziła Łucja, po czym wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń. – Oddaj nam martwodrzew.

Atmosfera zrobiła się tak gęsta, że można było w nią wbić siekierę i ukroić kawałek. Nawet Juki drgnął zaskoczony i obrócił się w kierunku przywódczyni wyprawy.

– Umrę, zamarznę...

– To tak jak my – przerwała Łucja. – Obliczyliśmy ogniska na nas wszystkich. Nie możemy ci teraz oddać siódmej części zapasów, nawet wliczając w to dzisiejszą noc, a może zwłaszcza. Nie wiadomo jak daleko zaszliśmy, a przez całe to omijanie olbrzyma ze sznurami, możliwe, że będziemy zmuszeni do uzupełnienia zapasów w Lesie i to biorąc z żywego materiału.

– Porąbcie dziady – powiedział Rzęsa.

– Nie będziemy zabijać – zaprotestowałem.

Ludzie spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, choć to wcale nie znaczyło, że wszyscy się ze mną nie zgadzali. Na twarzy Kozła odmalowało się zrozumienie, pokiwał głową i obejrzał się na łańcuch, pętający ruchome drzewa.

– Dlaczego nie? – Rzęsa potrząsnął masywnym porożem i ręką sięgnął do kieszeni.

– Dlatego, że mamy nad nimi władzę, by ich uwolnić. To myślące, a przynajmniej czujące istoty, którym ktoś zrobił krzywdę. Wystarczy, że spędziły, nie wiadomo ile lat w niewoli, teraz nie mogą umrzeć, gdy wreszcie ich ciemiężyciele zniknęli.

– Zgadzam się z Drozdem – powiedziała Lusia, uśmiechając się pod maską. – Dlatego tym bardziej powinieneś zrozumieć, że po prostu nie możemy ci pozwolić odejść z twoim martwodrzewem. Możemy bez niego zamarznąć w nocy albo być postawieni w sytuacji, w której będziemy zmuszeni do złamania zasad.

Rzęsa pokiwał głową w zadumie, podrapał się po szyi, cofnął o krok i nagle ściągnął maskę. Wszystko widziałem jak na spowolnieniu. Wypadające spod szarej gumy włosy, twarz ściągniętą w grymasie determinacji i dłoń, trzymającą, a następnie wciskającą w nos przezroczysty dozownik pożytków.

Rozległo się jedno, suche pociągnięcie nosem. Juki szarpnął się, by złapać uciekiniera, ale Łucja chwyciła go za rękę i przytrzymała, dając Rzęsie czas.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że nasz wzrok się spotyka, a Rzęsa patrzy na mnie ze strachem. Tylko nie bał się mnie, a tego, co spotkałoby nas, gdyby z nami został. To było jak ostrzeżenie: „rób to, co ja".

I zniknął, tak po prostu.

– Nie było sensu go łapać i tracić dwie osoby zamiast jednej – stwierdziła Łucja i puściła rękę Zefiryna. – Miejmy nadzieję, że wrócimy do Chołów i tam go spotkamy w zdrowiu.

– Zostawił nas, tak po prostu! – pisnął z niedowierzaniem Kozioł.

– Możemy go winić? – spytałem, samemu nie znając odpowiedzi.

– Trzymajmy się razem i tyle. – Łucja spojrzała na wszystkich i zawiesiła na moment wzrok na Zefirynie.

Zefiryn przytaknął, zaciekle ściskając znaleziony worek, do którego upchał trzy głowy sowietów. Pozbycie się kanibali było dobre zarówno dla nich, jak i dla wszystkich podróżników, którzy mogliby odwiedzić to miejsce. Mieliśmy taką możliwość, więc jej użyliśmy. Efekt, jak zawsze, miał się pojawić dopiero po czasie.

Juki, nie bardzo wiedząc, co zrobić, przerzucił na moment worek przez ramię i przywiązał go do pasa pepeszy, który zawiesił sobie na krzyż. Wyglądał, zgodnie ze swoim aliasem, na objuczonego pakunkami wszelkiego rodzaju. W końcu niósł najwięcej martwodrzewu, który miał nas uratować.

Każdy z nas chwycił jedną ręką sznur windy, drugą wepchnął proszek w nozdrza, a następnie zaciągnął maskę i wziął głęboki wdech. Byliśmy gotowi ruszać w nieznane, mając jedynie nadzieję, że następny przystanek nie będzie krwawą studnią między piętrami.

Spojrzałem jeszcze na towarzyszy i upewniłem się, że każdy z nas, nie licząc palca Zefiryna, wrócił do zdrowia, tak jakbyśmy nigdy kanibali nie spotkali. Mimo to miałem wrażenie, że wracamy ze znacznie cięższymi od ponurych myśli głowami i sercami, targanymi przez raptowne wiatry zmiany.

Trzeba jednak zachować w pamięci, że ci, którzy zgadzają się iść sami, będą musieli dźwigać na swoich barkach więcej od reszty.

* * *

– Jak długo, panie? – spytał szalejącej zamieci Maurycy. – Czy zawsze będziesz się ukrywał? Czy twoje oburzenie będzie płonąć jak ogień? Pamiętaj, jak krótkie jest moje życie, jak znikomymi stworzyłeś wszystkich

ludzi. Czy jest ktoś, kto by żył, a nie zaznał śmierci, kto by życie swe wyrwał spod władzy Szeolu?

W pewnym momencie ksiądz ocknął się i rozejrzał dookoła. Wszędzie była jedynie ciemność, zapach płynu do podłóg i szum z hulającego na dworze wiatru. Musiał znowu pogrążyć się w rozmyślaniach, tym razem, siedząc w konfesjonale.

Ziewnął przeciągle i przetarł oczy. Nieustannie coś gryzło go pod powiekami, ale tarcie tylko pogarszało sytuację. Ostatecznie wszyscy patrzyli na świat zza przekrwionych białek i napuchniętych limfą zmęczenia powiek.

Nikt przecież nie przyjdzie na spowiedź, skoro on sam zabronił wychodzić z domów. Wszyscy musieli chodzić w chustach, nawet w domu. Budowa muru, tak entuzjastycznie przyjęta, szybko stanęła w miejscu. W końcu nie mieli na to ludzi ani sił, to był tylko pomysł, rzucony na chwilę, by zająć czymś Chołowników.

Odkąd pierwsza osoba zaniemogła z nowej choroby, zabroniono się nawet myć. Palec starego Taszyńskiego odpadł, gdy ten spróbował zeskrobać drucianą szczotką szarość ze swojej skóry.

I tak nastał koniec stycznia, a wraz z nim koniec złudzeń. Nie mogło być mowy o pomyłce, a ludzie mimo to starali się nawzajem oszukiwać. Zapewne robili to z braku lepszych perspektyw.

Co można było powiedzieć więcej? Że to na pewno przez Mariana Sochę z nieba spada śnieg, zarażony jego chorobą? Bzdura ta funkcjonowała jakiś czas, a potem z każdym dniem słabła, aż ludzie zdawali się wręcz zapominać, jakoby jakikolwiek Marian w ogóle istniał. Pojawił się we wsi i zniknął tak szybko, nawet jego rodzina wydawała się nieporuszona w żaden sposób tą sensacją.

A więc to na pewno Śnieżynka była wściekła, że jej pomnik w kształcie śnieżynki nie został ukończony i to po dwakroć, a zatem dwukrotnie zła była i ciskała śniegiem, lodem i wiatrem w dzielnych mieszkańców wsi. Tylko czemu jej mróz nosił znamiona rozkładu, czemu pod wioską sporadycznie zdychały głupsze i bardziej zezwierzęcone Licha? Większość miała tak niezwykłe i niespotykane kształty, że zdecydowanie musiały pochodzić z najgłębszych odmętów matecznika.

Z drugiej jednak strony, w Chołach nie ostało się znowu tak wielu Saprofitów, którzy mogliby fachowo ocenić, co czym jest. A z kolei pieśni nieszczególnie nadawały się, jako źródło objaśniające wszystkie aspekty Leśnych istnień. Służyły tylko i aż za sposób obrony.

I jeszcze ten pierwszy ze stworów, który zagryzł chłopca. On najbardziej nie dawał spokoju Maurycemu, który stale pod palcami czuł szare, Leśne muchy. To dziwadło przyszło już do nich martwe, choć nie miał na to żadnych dowodów.

Pojawił się znikąd, śmierdział strasznie, a jak tylko wyrządził szkody, to o nim od razu wszyscy zapomnieli. Zapach rozkładu przypominał gazy, wydobywające się z dna obrośniętego bagna. Nie sposób było przy tym nawet stanąć, a kiedy zwłoki spalono, to swąd nawiedzał Choły jeszcze dwa dni.

Nawet zielarka Gopulska zapadła na tę chorobę, co mogło świadczyć tylko o tym, że bez ucieknięcia się w łaskę sił wyższych Chołownicy nie mieli szans. Jeśli ktoś ich nie wybawi z opresji, to przyjdzie oddać życie w pladze, która przyszła znikąd i pewnie w ową nicość bardzo szybko wróci.

– A zatem przyszło mi dźwigać krzyż tuż przed szczytem – mruknął do siebie kapłan, po czym szepnął złym głosem. – Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowio-

na dusza moja… Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja. Powiedz tylko słowo. Powiedz słowo… Słowo… Słowo.

Maurycy zacisnął pięść, uderzył w kratę konfesjonału, a ta zatrzęsła się i wydała z siebie cichy trzask.

– Słowo, do jasnej cholery! – krzyknął wściekle kapłan i rozkaszlał się, plamiąc krwią swój ornat.

– Czy można się wyspowiadać? – spytał nagle głos zza kratki, wtrącając się w pokasływanie księdza.

Maurycy wyprostował się w zaskoczeniu i niemalże zachłysnął się własnymi wydzielinami. Przez moment myślał, że nadszedł jego koniec i tym razem atak kaszlu zakończy się bezdechem i przyjdzie mu lec w trakcie pełnienia posługi. Zamiast tego jeszcze chwilę wydawał z siebie suchotnicze pohukiwania i ustabilizował oddech.

– Wybacz, można, oczywiście.

– A jeśli nie mogę zadośćuczynić pokrzywdzonym? – spytał spokojny, starszy głos.

– To zawsze zostaje pokuta i obietnica poprawy – odpowiedział niemalże automatycznie Maurycy, z lekka wyglądając przez oka kratki. Po drugiej stronie nie mógł dostrzec nikogo.

Obcy głos odchrząknął, pomruczał coś chwilę, dając znać o zaawansowanym wieku i nagle odezwał się z nową energią.

– Ja to już chyba nie mogę odpokutować ani za bardzo poprawić się nie mam jak, bo i już księgi u mnie, w boskiej ewidencji chyba zamknięte. Tak, właśnie tak, buchalteria boża to chyba o mnie pamięta, ale stempel dawno podbity. Ani ja tam do nich pójdę, ani oni zejdą, prawda? Słowa mi nie dadzą, jak się sprawy mają, ani powiedzą co robić, a mimo to wymagają, czyż nie? Zawsze od człowieka wymagają, nawet jeśli nie istnieją.

Maurycy zmrużył zaciekawione oczy, ale zdławił w zarodku chęć wyskoczenia na zewnątrz i zobaczenia, kto też nawiedził go bezszelestnie w kościele. Miał wrażenie, że nie tylko nie słyszał nigdy tego głosu, ale też nigdy nie czuł przy kimś takiej pustki.

– Na tym właśnie polega wiara, że nie mamy dowodów. Mamy, owszem, podania historyczne, ale cała siła bierze się z tego, że człowiek nie wie, ale wierzy.

– Dziwna to siła, którą musimy mieć, by wierzyć, by otrzymać ją z powrotem – powiedział głos i zastanowił się na moment. – A taka siła to pewnie może sporo zmienić, prawda? Czytałem, że wiara góry przenosi, ale ciężko mi teraz spamiętać, czy to w Biblii było, czy w kalendarzu.

– Więc jakie grzechy masz na sumieniu? – spytał Maurycy, starając się ukryć zainteresowanie, które powoli zmieniało się we frustrację.

Spowiadający się zarechotał głośno. Przez moment chrapliwy głos niósł się pod nawą kościoła i niknął gdzieś pod zakurzonymi ornamentami. Dopiero potem nastała cisza, w której słychać było jedynie nakładające się na siebie warstwy śniegu. Aż w końcu głos odezwał się na nowo.

– Wierzyłem za mocno. Wierzyłem tak bardzo, że postanowiłem uznać wiarę za wiedzę i postępować z nią tak, jakbym mógł przewidywać przyszłość. Odciąłem się od tego, co obce i zamknąłem w tym, co znane, wygodne, ciepłe. Nie chciałem być koniem pociągowym, chciałem być woźnicą. Niestety woźnica nie jest sługą konia, a na pewno nie jest sługą pasażerów, jeśli i oni są związani, bądź zmuszeni groźbą czy sytuacją.

– Co to ma wspólnego z twoją spowiedzią?

– Moją spowiedzią? – zdziwił się głos. – Ja tylko zapytałem, czy można się wyspowiadać, nie mówiłem, że mam zamiar to zrobić. Jestem raczej obserwatorem, więc nie planuję się podejmować. Zapisana księga, postawiona kropka, wszystko wiecznym piórem.

Maurycy wstał, stanął przed konfesjonałem i założył ręce, czekając, aż dziwaczny pątnik wyjdzie. Zamiast tego, poczuł ciepło na ramieniu i obrócił się, by spojrzeć.

– Gdzie zabierasz swoją trzodę? – spytał Dionizy Kurobród, stojąc niczym błękitny płomień, wyrastający z podłogi. – Dokąd prowadzi cię wiara? Jak masz zamiar upewnić się, że wiedziesz ich na zielone pastwiska? Kto dał ci prawo decydować o tym, co jest dobre, a co złe, skoro odrzucasz chęć poznania, na rzecz wiary, że już wszystko jest poznane, a to, co niepoznane jest z natury złe?

– Duch, mara nieczysta, tylko tego tu brakowało – odezwał się Maurycy, odzyskując rezon. Wydawał się już bardziej rozgniewany niż zdziwiony, a na pewno nie był zlękniony na widok prześwitującej istoty. – Jeśli przybywasz z piekła, to przepadnij precz, a jeśli przybywasz tu z Lasu, to po prostu się wynoś sprzed moich oczu!

– Nie mam dokąd iść, a ty nie masz mi co zrobić. Gdybym chciał, nawiedzałbym cię, aż do twojej śmierci. Tylko wcale tego nie chcę i zostawię cię, tak szybko, jak będę kontent z naszej rozmowy.

– Grozisz mi?!

– Tak – przyznał Dionizy, ale głos miał wyjątkowo smutny, a nie pewny siebie. – Grożę ci, grożę, że skrzywdzę ciebie i twoich bliskich. Powiedz mi, co z tym zrobisz?

Maurycy chwycił za krzyżyk na szyi, wyciągnął go na zewnątrz i zaczął powtarzać cicho słowa modlitwy, jednakże Kurobród czekał jedynie. Nie stało się nic, przez długi czas ksiądz zmieniał formuły, aż w końcu wziął głęboki oddech i przysiadł zmęczony, trzymając się za bolącą głowę.

– Para w gwizdek – stwierdził duch. – Może powinieneś napić się swoich pożytków, masz wtedy taki pewny siebie głos, wiesz? Wprost idealny do wysyłania ludzi na śmierć.

– Czego ode mnie chcesz, duchu?

– Dionizy, Kurobród Dionizy, dla ciebie może być batiuszka, dobraliśmy się, prawda? Nie pamiętasz mnie, bo nigdy się nie spotkaliśmy na rozmowę. A nie wyglądasz mi na kogoś, kto pamięta ludzi, którzy jedynie go słuchali, a których słuchać nie musiał. – Duch przez moment wydawał się rozbawiony, zaraz jednak jego oczy zapłonęły błękitem i ponownie przybrał surową minę. – Nie przyszedłem żartować, chcę ci dać pewną radę i upewnić się, że ją weźmiesz sobie do serca.

– Czy wtedy się wyniesiesz?

– Jeśli będę chciał. Tak jak mówiłem, nie rozmawiam z tobą jak równy z równym, bo sam wchodzisz w rolę kogoś niższego. Nie możesz mi nic zrobić, nie wiesz, jak mógłbyś się dowiedzieć, co można mi zrobić i nie chcesz móc się dowiedzieć. Jesteś ledwie kamieniem, ocieranym przez wichry. Trwasz w swoim uporze, ale to nadal zależy od wiatru, gdzie i jak szybko zostaniesz zmieciony.

Maurycy dyszał ciężko, chwytając się za wznoszącą się i opadającą szybko pierś. W końcu zaczął iść w kierunku ołtarza, przejechał palcami po chłodnym kamieniu i usiadł, opierając się plecami o konstrukcję.

Wiedział, że jego dni są policzone, aż tu przed samym końcem, gdy już myślał, że jest blisko poczucia spokoju i wewnętrznej równowagi, został nawiedzony. Nie było to jedno z tych nawiedzeń, które zwiastowały dobre nowiny. To było nawiedzenie, które z siłą gromu rozbijało w proch jego kruche postanowienie, by odejść z tego świata na swoich warunkach.

– Ciekawość potrafi poparzyć – pokiwał głową Kurobród, uśmiechając się do siebie. Przez moment przechadzał się dookoła ołtarza, aż w końcu przysiadł obok księdza na schodach. – Jednakże to ignorancja zamraża, odbiera siły, powoduje chłód w sercu i zostawia na pastwę losu.

– Nadal nie powiedziałeś, czego chcesz – jęknął zmęczony kapłan.

– Liczę po cichu, że sam się domyślisz. Wierzę, że nie jest dla ciebie za późno, bo wiem, że sam taki byłem, gdy jeszcze nie było dla mnie za późno. Różnica między nami jest tylko jedna, że wolisz opłatek od prosfory – zaśmiał się duch. – To był żart. Różnica jest taka, że ja zrobiłem to, co ty chcesz zrobić teraz i skończyłem tak, jak widzisz.

Maurycy zamrugał ciężko, miał wrażenie, że przygniata go nawa kościelna, jakby musiał dźwigać na plecach wszystkie kamienie i dachówki. Wyciągnął dłoń i przeszył nią ciało ducha, sprawdzając, jak dalece jest realne. Poczuł ciepło, ale nic poza tym.

– Ja też stanąłem przed laty na czele moich ludzi. Ku nam zmierzała burza, a my dumnie wystawiliśmy czoła pod wiatr i przeklinaliśmy ją za niegodziwość. Brzmi znajomo, prawda? Bo niestety tak jest czasem, że nie ma zła, są tylko nieszczęścia i nie ma bestii, a są potwory, a święty Jerzy nie walczy ze smokiem, tylko z dużą jaszczurką. Księga mówi nam co mamy robić i jest nieomylna, nadal w to wierzę. Po prostu uważam, że się przedawniła. Nie ze swojej winy bynajmniej, po prostu świat się zmienił. A świat, jak to świat, też nie jest niczemu winny, po prostu zderzył się z innym światem. Jestem pewien, że przybysze, którzy nieświadomie stworzyli Las, też mieli swoją świętą księgę. Czasami mam wrażenie, że wasze pieśni są kilkoma wyrwanymi stronami z ich Biblii.

Maurycy słuchał, ściskając swoje ramiona i chowając głowę między kolanami. W uszach dzwoniło mu coraz mocniej, wiatr świstał przeciągiem, a podłoga coraz mocniej dawała chłodem.

– Gdybym wtedy wiedział, to co wiem, to kazałbym się ludziom odciąć od drzewa, przywiązać do nowego lub je zasadzić. Gdybym wiedział, to co wiem, Sędy istniałyby jeszcze jakiś czas. Postawilibyśmy mur, niewątpliwie, ale oprócz muru byłaby brama, a nad tą bramą napisy w nie naszych językach. Bo po co mówić do obcych w swoim języku? Po co się

bronić przed innością samą w sobie. Inność nie może sobie nic zabrać dla siebie, nie dajmy się jej sterować. Przybysze też się nas boją i też nas nie znają, i są w wielokrotnie gorszej sytuacji od nas. Ich świat, jeśli w jakikolwiek sposób potrafimy myśleć o czymś tak obcym i wielokrotnie bardziej majestatycznym, na pewno jest wyszytym złotymi nićmi gobelinem, powieszonym na marmurowej kolumnie, pod którą piętrzą się wota dziękczynne. A nasz świat? Nasz świat to brudna piwnica, w której leżą ziemniaki na zimę. Niestety muszą się dostosować, muszą nas poznać i grać z nami na tych samych zasadach.

– Co mam robić? Przecież inni nie mają takich dylematów, w ich świecie to jest łatwe. Ja nie mogę po prostu wybierać tylko takich elementów, jakie mi są wygodne! Więc jeszcze raz pytam w pustkę, co mam robić?! – spytał Maurycy cicho i podniósł głowę.

Po jego policzkach spływały dwie łzy, a twarz zdawała się zapadać.

– Poszukaj odpowiedzi – stwierdził Dionizy i wstał. – Nie przyszedłem rozwiązać twoich problemów, a jedynie zachęcić do tego, byś znalazł rozwiązanie. Nie zależy mi na tobie ani tych waszych Chołach tak bardzo. Z drugiej strony nie zależy mi też na Lesie ani na niczym. Jednakże jeśli mi na czymś kiedyś zależało, to powiedzmy, że jest to teraz moja forma cichych wypominek.

– Gdzie mam szukać odpowiedzi?

Dionizy zaczął iść przez opustoszały kościół, jego sylwetka dalej żarzyła się błękitem i rozświetlała poszarzałe wnętrze.

– Trzeba było korzystać z okazji, póki ci ją dawałem. Zamiast tego wolałeś siedzieć w pustym konfesjonale i na zmianę obrażać jednych bogów i drugich. Rozmawiałeś z sołtysem, prawda? Więc chyba spojrzałeś w przeszłość. Teraz porozmawiałeś ze mną, pokazałem ci, jak wygląda teraźniejszość. Znajdź sobie jeszcze kogoś, kto pokaże ci przyszłość, inaczej bę-

dziesz musiał iść po omacku i badać teren własnym nosem. Zdecyduj się, czy chcesz poświęcić siebie, czy wszystkich.

Dionizy podszedł do drzwi, te otworzyły się, wpuszczając do środka szarą zamieć pyłu oraz śniegu i zaraz postać ducha zniknęła, nie zostawiając po sobie ani śladu.

Maurycy spojrzał na nawiewający do świątyni brud i obejrzał własne dłonie. Były na wskroś szare, niemalże czarne i osypywały się z nich kawałki zwęglonej skóry. Wiedział, że nie zostało mu wiele czasu.

* * *

Chciałem zażartować, że się zgubiliśmy, ale co to za żart, skoro więcej w nim prawdy niż fałszu. Przeszło mi przez myśl, by ponabijać się z Łucji za to, że prowadzi nas przez ten Las w tak tragiczny sposób, ale w tym również było zbyt wiele prawdy, by tak mówić. Po raz kolejny straciliśmy nie tylko cenny czas, ale weszliśmy na ziemie całkowicie nam obce i pozbawione dla nas znaczenia.

Przesuwaliśmy się coraz bardziej pod górę, wiatr wiał mocniej i mocniej, a mróz dosłownie wyginał nas nagłymi spazmami bólu. Z drzew zwisały długie na metr sople, z których najgrubsze potrafiły łączyć się w oplatające całą koronę żyrandole lodu.

W pewnym momencie wyszliśmy na coś w rodzaju przetartego szlaku, gdzie śnieg sięgał ledwie kolan. Drzewa dookoła potrafiły być zasypane tak bardzo, że nie szło się w nie wbić bez narzędzi.

Odchyliłem maskę i przejechałem rękawiczką po brodzie, ścierając z twarzy kawałki zmarzniętych wydzielin z nosa oraz szarawego śniegu, który dostawał się dosłownie wszędzie. Miałem wrażenie, jakby pył przechodził przez materiały i wżerał się w skórę.

– Jakie to były drzewa, Śledź?

– Co? – spytał zdziwiony Chołownik. Z jego rogów zwisały małe sopelki, których nie chciało mu się łamać. – Nie usłyszałem.

– Pytałem, przy jakich drzewach znajdziemy tę grzybnię?!

– Nie słyszę! Wiatr trzaska po drzewach.

– Co?! – podniosła głos Trzaska, próbując przebić się przez narastającą zamieć.

Wędrowaliśmy kolejny dzień i przez tę jedną noc pod Dębem ciężko było powiedzieć, jak staliśmy z czasem. Narastająca niepogoda zdawała się wprost mówić nam, że dalsza droga nie ma sensu. Wreszcie na zakończenie zaczęliśmy dostrzegać ślady szarego rozkładu w śnieżycy, co mogło oznaczać, że ścigaliśmy się z czasem podwójnie. Mogliśmy nie tylko nie dotrzeć na czas, by pomóc Śledziowi, ale i sobie samym.

Przez moment coś mnie tknęło. Świat dosłownie wydał mi się całkowicie obcy, a ja wyszedłem ze swojej roli. Czemu jakoś nie zależało im tak, gdy Krzykacz chciał dorwać mnie? Czemu ryzykujemy wszystkim dla jednego Mariana Sochy, który przywlókł ze sobą choróbsko i twierdzi, że wystarczy dostać się do jakiejś grzybni w Lesie i jakoś to będzie? Może trzeba było rzeczywiście iść najpierw do Cichych?

Czyjaś dłoń opadła mi ciężko na ramię. Obróciłem się i dostrzegłem czerwone wizjery Śledzia, który nawet przy takim wietrze wydawał się cuchnąć bagnem. Nie usłyszałem, co powiedział, poczułem jedynie, że powinniśmy iść dalej, skinąłem głową i wróciłem do mocowania się z zaspami.

Łucja wskazała ręką jakiś odległy punkt wzgórza, pod które podchodziliśmy. Nie zrobiła tego, by zachować ciszę, ale dlatego, że już nie szło dosłyszeć kogokolwiek. Momentami niebo było przesłonięte nie przez chmury, a przez zlatujący ze wzgórza śnieg, który sypał nam w wizjery.

Co chwila musiałem ścierać z twarzy opad, poprawiać szelki coraz cięższego przez zmęczenie plecaka i stawiać kolejne, bardzo powolne kroki. Kończyło się nam jedzenie i martwodrzew na opał, a przy takiej pogodzie nawet nie sposób było porządnie zapolować. Raz jedynie Jukiemu udało się nagle przeskoczyć między piętrami, ukręcić łeb czemuś w rodzaju rozrośniętej kuny leśnej i wrócić z tym na nasze piętro.

Łucja była wściekła, że Zefiryn nas opuścił, by zapolować, bo główna zasada była taka, żebyśmy się nie rozdzielali. Odkąd zrobiliśmy to pod drzewem tej kostuchy, czy też Sznurnika, jakkolwiek zwać to straszne dziwadło, Bieniaszówna wydawała się autentycznie przerażona na samą myśl o samotności. A to przecież była Lusia, ona zawsze wyruszała sama i akurat powinna była najmniej się bać.

Chyba że bała się o nas. Tego nie wiedziałem, bo nie miałem nawet okazji z nią porozmawiać. Ciągle wydawała się taka cicha, odległa, obca. Ruchy miała sztuczne, jakby kierowane zawsze na konkretny wynik. Z czasem przestała się śmiać, a w końcu nawet mówić o czymkolwiek, co nie było bezpośrednio związane z dotarciem na miejsce.

Tak naprawdę to Śledź nas prowadził, ale Bieniaszówna szła na przedzie, dopóki nie trzeba było podjąć decyzji o zmianie kierunku. Wypatrywała, nasłuchiwała, wąchała, dosłownie przewodziła swojemu stadu, z którego niedawno ubyło jednego osobnika.

Rzęsa zniknął i odczuwaliśmy tę pustkę nie tylko brakiem opału i jedzenia, ale też nagłym poczuciem realności zagrożenia. Przeżyć w Lesie, a przetrwać w nim to dwie różne rzeczy. W tym dziwnym świecie można było zobaczyć rzeczy, które później nie dawały człowiekowi spać po nocach, wyniszczały go, a ostatecznie zabijały w nim coś, bez czego nie mógł zaznać spokoju.

Szaleństwo było najsilniejszym drapieżnikiem Lasu. Monoteistycznym bóstwem, na którego ołtarzach wszyscy składaliśmy ofiary. A kapłani szaleństwa zdawali się czyhać zawsze i na wszystkich. Byli wszędzie, widzieli wszystko i nie sposób było ich pokonać. Można było tylko się bronić, aż do ich znudzenia albo swojego zamęczenia.

Odwróciłem się na moment, ale przez zawieję nie sposób było nawet dostrzec, jak wysoko zawędrowaliśmy, idąc pod górę. Co gorsza, nie było nawet sposobu na to, by obejrzeć się za jakimiś drapieżnikami. Coś mi podpowiadało, że w Lesie musiały istnieć stwory, którym taka pogoda była jak najbardziej w smak.

Na przekór złej aurze doszliśmy do pierwszego punktu orientacyjnego. Wzgórze było coraz bardziej strome, a drzewa porastały je stosunkowo rzadko, jakby dawno zatracając prawiekowy, dziki charakter na rzecz bardziej skarłowaciałych form. Widać było, że flora w Lesie miała swoje ograniczenia tak jak i w naszym świecie.

Im wyżej byliśmy, tym niższe i bardziej przysadziste były krzewy. Większość roślin zakopała się pod śniegiem i tylko masywne drzewa chybotały się na wietrze, walcząc o przetrwanie. Choć tu i ówdzie można było dostrzec gigantyczne, powalone pnie, znak tego, że pogoda była głównym aktorem na scenie lokalnego życia.

Na poboczu stała zaparkowana ciężarówka, która przysiadła mocno na przebitych oponach, zasypanych w śniegu pod same błotniki. Oliwkowa plandeka zakrywała przewożony ładunek, ale i ona wystawała tylko w kilku miejscach, a w większości była pokryta siwą zmarzliną.

Nasz punkt orientacyjny napełnił nas podejrzeniami i lękiem. Bo co robiła ciężarówka w środku Lasu?

Obejrzeliśmy ją z paru stron i ku własnemu zdziwieniu odkryłem, że nie ma tablic rejestracyjnych. W szoferce były jedynie dwa wojskowe

mundury, złożone w kostkę, co było jeszcze dziwniejsze. Zupełnie tak jakby kierowca oraz pasażer rozebrali się i zniknęli.

Miałem też nieprzyjemne wrażenie, jakby mundury zachęcały do włożenia i zajęcia miejsc w porzuconym wozie, ale to było jeszcze bardziej absurdalne i straszne. Ostatecznie postanowiliśmy ominąć znalezisko w odległości kilku metrów i ruszyć dalej pod górę.

– Z przodu napisano – mignęła powoli Łucja, walcząc rękoma z porywistym wiatrem.

Zbliżyliśmy się jeszcze kilkadziesiąt męczących i zdecydowanie nazbyt powolnych kroków. Dopiero wtedy z zadymki począł wyłaniać się przykryty lodem, zielony znak na dwóch słupkach, które dawno temu zasypał śnieg.

– Cholera – szepnąłem w szalik, którym owinąłem otwór gębowy czaszki.

Zmrożona tablica była stara, zardzewiała i spisana po rosyjsku. Przez moment walczyłem z literami, które tak ciężko było rozczytać, aż mniej cierpliwa Lusia po prostu kopnęła słupek. Śnieg posypał się kaskadą, dołączając do zaspy u naszych stóp.

Odsłonięty napis głosił: „Stacja pomiarów meteorologicznych numer dwieście trzynaście”. I tyle, żadnej nazwy, czyja to stacja, blisko czego, ani co tu robi, tylko lakoniczna tabliczka w cyrylicy.

– Wooon… – zawył mi ktoś do ucha.

Obróciłem się nie lada przestraszony i niemalże wywróciłem o własne nogi. Obok mnie jednak nikogo nie było. W pierwszej chwili myślałem, że ktoś sobie robi paskudne żarty, ale bogiem a prawdą, to najprawdopodobniej przesłyszałem się, od tego hulającego pod czaszką wiatru.

Zawinąłem się ciaśniej w płaszcz, potarłem o siebie rękawiczki i spojrzałem wyczekująco na Łucję. Nie pozwoliła mi długo czekać bowiem od razu skinęła, jakby to wszystko wyjaśniało i ruszyła szybciej wzdłuż drogi.

Zrozumieliśmy, że w pewnym momencie wyszliśmy na drogę z asfaltu. Była dziwnie szeroka, jednopasmowa, choć ciężko było powiedzieć o niej cokolwiek więcej, ze względu na koszmarne warunki atmosferyczne.

Ktoś, kto nigdy nie był w Lesie, nie może zrozumieć w pełni, jak płynnym zjawiskiem jest przechodzenie między punktami orientacyjnymi. Na papierze wydaje się to takie logiczne, dla mnie, miesiące temu, też tak było. Wodzisz palcem po mapie i idziesz z punktu jednego do drugiego, żadna filozofia. Potem możesz wrócić tą samą ścieżką, z tą samą prędkością, pokonując ten sam dystans.

Tak się jednak nie dzieje. Idzie się gęstymi zaroślami, wypatrując zagrożenia. Z czasem drzewa robią się wyższe, bardziej rozłożyste, zasłaniają więcej światła i gromadzą pod sobą ciężkie, słodkie od zapachów i halucynogenów powietrze. Przechodzi się przez to, jak przez szklarnie, w której każdy oddech próbuje cię zadusić albo ućpać. Potem taki Las rzednie coraz bardziej i bardziej, stopniowo, wykorzystując twoją nieuwagę, aż nagle idziesz drogą i masz wrażenie, że idziesz nią już parę kilometrów.

Jedno się nie zmieniło, stale szliśmy pod górę, teraz jednak w zamieci zaczęliśmy widzieć majaczący kształt. Było to coś na wzór budynku, ale w pewnym momencie jego szczytowa część oderwała się jakby i zniknęła. Przetarłem wizjer i wmówiłem sobie, że mi się jedynie przywidziało, ale dobrze wiedziałem, że tak nie mogło być.

Dotarliśmy pod masywną konstrukcję, zbudowaną na wielkiej, skalnej półce. Droga okrążała kompleks, kończąc się pewnie na jakimś parkingu, ale my stanęliśmy pod niemalże pionową ścianą i schroniliśmy się przed wiatrem.

Ściana posiadała spore zagłębienie, które odznaczało się grafitowym kolorem i kilkoma bąblami nieczynnych lamp o żelaznych kloszach. To była ciasna klatka schodowa, prowadząca dobre pięć metrów w górę.

Spojrzałem na Kozła, on wzruszył ramionami i pognał za resztą. Ostatni raz obejrzałem się za siebie i miałem wrażenie, że coś majaczy wśród śnieżnej zamieci. Jakiś wysoki, czarny kształt, który w pewnym momencie pomachał mi. To było takie nie na miejscu i absolutnie niepasujące do czegokolwiek.

Oczywiście, gdy tylko chciałem się przyjrzeć uważniej, kształt rozmył się i zniknął, lecz tym razem nie miałem wątpliwości. Widziałem człowieka, a przynajmniej coś do niego podobnego. Po ostatnim spotkaniu z ludźmi w Lesie chodziłem niemalże stale z odpiętą kieszenią na piersi.

– Ślisko! – krzyknęła Trzaska z góry.

Kamień przeleciał tuż obok mojej głowy, łupnął o barierkę, rozpadł się na kilka mniejszych odłamków i pofrunął dalej w dół. To mogło się skończyć tragicznie, choć ostrzeżenie Trzaski i tak było nazbyt późne. Nie zrobiłem uniku, po prostu miałem szczęście, że mnie nie trafił.

Przez moment zastanowiłem się, czy ten kamień nie leciał zbyt szybko, ale zignorowałem to, zrzucając na karb wiatru i innych dziwactw Lasu. Ostatecznie udało nam się wejść na sam szczyt, kurczowo trzymając się oblodzonych, metalowych barierek.

Obejrzałem się za siebie, by nacieszyć się niezwykłym widokiem zimowego pejzażu. Oczywiście nic takiego nie miało miejsca. Widziałem jedynie na parę metrów przed siebie, wiatr wył potwornie, szary pyłopodobny śnieg dosłownie parzył przez ubrania, a z tej wysokości było widać jedynie przepaść, pustkę, ciemniejszą ścianę lasu i jej brak w postaci zablokowanej drogi, w której wyżłobiliśmy szybko niknący ślad.

Otworzyłem na moment filtr maski, smarknąłem w palce i spojrzałem na resztę. Moi towarzysze oglądali budynek, pod który udało nam się wspiąć, a było, co oglądać. Staliśmy na czymś w rodzaju tarasu widokowego, położonego wokół gniazda jakiejś wieży albo wyniosłego pomieszczenia kontroli lotów, na którego szczycie stała wygięta antena nadajnika. Kawałek dalej wznosiła się wysoka na parę pięter wieża, z której obalono ogromny maszt z przekaźnikiem. Wydawało się, że byliśmy nad głównym kompleksem, który składał się też z jakiegoś magazynu, parkingu podziemnego i kilku korytarzy, ciągnących się między poszczególnymi kondygnacjami. Najdziwniejsze było jednak to, że niedaleko nas były kolejne schody oraz rampa, prowadzące do niknącego w zamieci lądowiska. Na samym lądowisku coś stało i choć widoczność była ograniczona, a ja nie byłem ekspertem, to byłem pewien, że był to śmigłowiec i to zdecydowanie militarny.

– Drooozd! – doszedł mnie głos z oddali.

Ocknąłem się i spostrzegłem, jak Kozioł macha do mnie, trzymając otwarte drzwi kolejnej klatki schodowej; w odróżnieniu od tamtej, ta była zadaszona i wchodziła do wewnątrz. Zamek był wyłamany i wszyscy weszliśmy do środka, a następnie zeszliśmy ze dwa piętra, trzymając w zmarzniętych dłoniach latarki.

– Tyleż zimno, co na zewnątrz, ale nie wieje – powiedział głośno Kozioł, a jego głos poniósł się echem.

Łucja syknęła wściekła i jakoś tak poczułem się lepiej na duchu, że to nie na mnie była zła. Było to szczeniackie z mojej strony, ale taka prawda.

– Ani słowa – pokazała w migowym Łucja, błyskając latarką po ścianach.

– Dobrze – odmignąłem, ale ta nawet nie spojrzała, tylko wróciła do podejrzliwego oglądania ścian w kolorze zgniłej cytryny.

W korytarzach odłaził tynk ze ścian, a spod sufitu momentami zwieszały się długie, rude kłącza. Zdawało się, że Las niejednokrotnie próbował objąć ten teren w swoje władanie, z różnym skutkiem. Momentami mijaliśmy drzwi, które były zarośnięte żółtym bluszczem, jakby ktoś celowo je zalakował. Innym razem widzieliśmy otwarte baraki, gdzie szafki na ubrania zdawały się lśnić nowością, a łóżka miały na sobie wykrochmaloną pościel. Te ostatnie mijaliśmy szczególnie ostrożnie.

Szliśmy stale przy prawej ścianie, tak, by na pewno nie zacząć gonić w piętkę. Co jakiś czas Trzaska rysowała grotem włóczni strzałkę, skąd szliśmy i dokąd. Przy kilku pierwszych postawiła cyfry, by pamiętać, które strzałki prowadziły do wyjścia. Cóż, liczyłem na to, że przynajmniej ona będzie się orientować w terenie.

Juki szedł bardziej spięty, już nie taki żywiołowy, pewny siebie, a bardziej wyczekujący zagrożenia. Miałem wrażenie, że rzeczywiście bał się ciasnych przestrzeni, budynków i wszystkiego, co świadczyło o cywilizacji. Mogło mi się oczywiście wydawać, bo w głowie wytworzyłem sobie jedynie jego uproszczony obraz. W końcu znałem go bardzo krótko i powierzchownie.

– Zajrzyjmy tu – machnąłem rękoma na resztę.

Łucja pokiwała głową niepyszna, ale ostatecznie przyzwoliła ruchem głowy i została wraz z Kozłem i Jukim przed drzwiami. Ja wraz z Trzaską i Śledziem weszliśmy do środka pomieszczenia, które opisano tabliczką: laboratorium pomiarów numer jeden.

Masywne komputery zajmowały całe ściany, błyszcząc setkami wskaźników, przycisków i rzędów kabli. Człowiek miał wrażenie, jakby patrzył się na kalejdoskop, obracający się nieustannie i rażący kolorami. Współgrało to wraz z długą linią dostawionych do siebie biurek, na których kurzyły się nowsze komputery z wyświetlaczami.

Śledź zbliżył się do jednej z maszyn i przetarł palcem szybę, za którą widniała masywna szpula jednostki magnetycznej. Obok wystawała gardziel dyspensera, z którego dawno temu wypłynął wodospad papieru, walającego się teraz po ziemi.

Podniosłem jeden z wydruków, wczytałem się na moment i stwierdziłem bez większych zaskoczeń, że nic nie rozumiem. No bo jak miałem rozumieć, skoro to były surowe dane, których pochodzenia ani celu nie znałem, nie posiadałem legendy oznaczeń, ani nie wiedziałem nawet, co mają pokazywać poszczególne odchylenia.

Cisnąłem papier z powrotem na ziemię i zbliżyłem się do komputerów, by obejrzeć sobie kilkucalowe wyświetlacze. Teraz były jedynie ciemną, lustrzaną powierzchnią, w której mogłem przejrzeć się i skonstatować, że wyglądam jak dzikus.

Obejrzałem własną maskę z połową twarzy pomarańczową od zaschłej żywicy. Jeden róg pokryty złotem i wstążkami, drugi ułamany niegdyś. Uśmiechnąłem się do wspomnień i odsłoniłem kołnierz płaszcza, pod którym dostrzegłem szare plamy na skórze. W kilku miejscach przebijały się zielonkawe żyłki i wijące się dziko odrosty od brody. Czułem się jak troglodyta, który trafił do futurystycznego, zaawansowanego świata.

Zabawne, że wizjery masek przypominały nieraz ten wyświetlacz komputerowy, martwy i skrywający za sobą jedynie obwody, sterujące bezmyślnymi poczynaniami ciała wedle zaprogramowanych algorytmów.

– O czym myślisz? – spytał cicho Socha, chwytając mnie za ramię.

Spojrzałem w jego czerwone szkła, zza których nie szło dostrzec człowieka.

– O nas, zastanawiam się nad głupotami, chodźmy dalej.

Łucja wyjrzała zza winkla i śmiesznie zwyczajnym gestem wskazała na dłoń, na której opinał się skórzany karwasz. Normalnie byłby tam zegarek, ale nie w Lesie.

– Minutę – wskazałem i uniosłem ręce.

Pod sufitem ciągnęły się zarówno pobielone byle jak kable od oświetlenia, jak i kilka zaschniętych wici jakiejś fluorescencyjnej rośliny. Kierując się w ten sposób, dotarliśmy za zakręt, gdzie stało coś w rodzaju biurka ochroniarza, drzwi do gabinetu i masywne, wzmocnione drzwi z przymocowanym u góry sygnalizatorem.

– Promieniowanie – przeczytałem jedno słowo, ukryte w czerwonym kloszu.

– Myślałam, że to stacja meteorologiczna – mruknęła Trzaska, próbując otworzyć drzwi, niestety bezskutecznie. – I niby skąd tutaj promieniowanie?

Otworzyłem drugie drzwi, które były pomalowane na granatowo i pozbawione zabezpieczeń. Obok nich była jedynie tabliczka z nazwiskiem jakiegoś kierownika, więc uznałem, że to powinien być gabinet, a zatem mogło być w nim coś ciekawego.

Nie myliłem się, bo wewnątrz było schludnie urządzone biuro, wraz z kilkoma szafkami na akta, stojącym globusem i metalową półką na klucze.

Powoli rozczytałem bazgroły na segregatorach i znalazłem interesujący mnie egzemplarz koloru soczystej truskawki.

Plan zagospodarowania stacji numer dwieście trzynaście na rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci, przeczytałem w myślach.

– Długo się jeszcze będziecie gramolić? – syknął za mną rozwścieczony, damski głos.

Obróciłem się, niemalże nie wypuszczając z dłoni, świeżo odpiętych foliówek. Łucja wyglądała na naprawdę zirytowaną, a łatwo było to poznać, ponieważ w dłoni ściskała siekierę i dyszała jak pies.

– Już idziemy – odpowiedziałem cicho, odkładając dokumenty. – Sprawdzę tylko to.

Pomocowałem się chwilę z globusem, znalazłem zapadkę i otworzyłem górną półkulę. Wewnątrz mebla znajdowało się kilka szklanych butelek, opisanych kolorowymi, fabrycznymi etykietami alkoholi. Chwyciłem jedną z butelek i wyszczerzyłem się pod maską.

– Może wreszcie czeka nas ciepła i spokojna noc.

– Skąd wiedziałeś? – spytał się zdziwiony Śledź.

– Na katedrze się nie przelewało – stwierdziłem, zadowolony, że wreszcie ja mogłem pokazać jakiś wynik doświadczeń, zamiast zaprawionych Saprofitów.

Ruszyliśmy dalej korytarzem, szukając wygodnego miejsca, na odłożenie plecaków i przeczekanie zamieci. Jedyne co słyszeliśmy to nasze własne oddechy, stłumione przez maski i miarowe szuranie podeszew. Z każdym krokiem nad ziemię unosiła się chmurka kurzu, który wirował w świetle latarek i opadał nieskończenie powoli.

– Kur… – usłyszałem zduszone przekleństwo.

Zanim zdążyłem się zorientować, co się stało, już byłem przestraszony. Bo Łucja przeklinała bardzo rzadko, wiedząc dobrze, jaką wagę niosą ze sobą słowa w Lesie.

Skierowałem światło latarki w to samo miejsce, które oświetlała nasza przewodniczka, zaraz za mną zrobiła to samo reszta, aż zatonęliśmy w mroku. Byliśmy tylko my, pustka, słup światła i jasno oświetlona ściana, na której widniały ślady zaschniętej krwi.

Zjechałem wzrokiem w dół, tam, gdzie ślady umazanych krwią palców sięgały do ziemi. Pod ścianą leżały zakonserwowane, suche zwłoki żołnierza, który trzymał w dłoniach jakiś żółtoczarny kamień. Dopiero po chwili zrozumiałem, że ochroniarz placówki trzymał w rękach własne serce, po którym dziura widniała mu na piersi.

Ściana była koszmarnie ubrudzona juchą, jakby ktoś wyjątkowo nieumiejętnie chlastał prosiaka nożem. Najbardziej jednak przerażał prosty, prymitywny wręcz znak, który wymazano na obszarze paru metrów.

– Nie znam tego znaku – powiedziałem, patrząc się na trójkąt, wewnątrz którego postawiono palcami kilka kropek i fal.

Kozioł pokiwał głową, zaraz za nim wolniej, zaciskając zęby, zrobiła to Trzaska, Śledź ledwie drgnął, jakby budząc się i też zaprzeczył, na końcu pomachał głową Juki, przybijając gwóźdź do trumny mojego spokoju. Jeśli oni nie znali tego znaku, to nie mogło to być nic dobrego, ani krzepiącego.

Spojrzałem wyczekująco na Łucję, licząc na to, że chociaż ona nas oświeci. Ta jednak dziwnym trafem wpatrywała się w symbol bez słowa, zbliżyła do ściany i położyła delikatnie dłoń w centrum. Dopiero po chwili ocknęła się, zorientowała, że patrzymy na nią zdziwieni i jak gdyby nigdy nic odsunęła się od malowidła.

– Nie wygląda to na nic dobrego, tym bardziej nie chcemy tu zostawać. Po prostu sobie stąd pójdziemy i starajmy się nie robić hałasu – oznajmiła szeptem i powiodła latarką po dalszej części korytarza.

Zaświeciłem w wyschnięte oczy żołnierza i obejrzałem go dokładniej. Wyglądało na to, że dziura, przez którą wyjęto serce, była jedyną patologiczną zmianą w organizmie. Nie widziałem znaczących śladów po walce, więc tym bardziej zagadkowe wydawało się to, jak ten człowiek się tam znalazł.

Nie chciałem tego nawet sprawdzać, ale byłem pewien, że odciski dłoni na ścianie za nim, pasowały do rozpiętości jego własnych dłoni. A to oznaczało, że albo sam wymalował ten symbol własną krwią, a następnie wyrwał sobie serce i spoczął, albo ktoś zaaranżował scenerię, używając jego ciała jak palety barw.

Oczywiście, że w Lesie nie brakowało dziwnych zjawisk. Natomiast coś tego kalibru zaliczało się pod sadyzm, rytualizm albo wyższe, niezrozumiałe motywy. Każdy z tych przypadków oznaczał, że sprawca był niebywale niebezpieczny i pozbawiony skrupułów. Choć mogłem sobie wyobrazić przynajmniej jedną sytuację, w której ktoś dokonałby czegoś takiego z ciężkim sumieniem, dla zapobiegnięcia realnego, większego zła.

– Nie bierzesz? – spytała podejrzliwie Trzaska, kucając obok ciała.

– Słucham? Czy nie biorę czego?

Chołowniczka wypięła z kabury żołnierza steczkina, zważyła w dłoni pistolet, sprawdziła liczbę naboi i pogrzebała za zapasowym magazynkiem. Wydawała się nie brzydzić tego, że rabowała zwłoki, w których zapewne jeszcze dało się znaleźć kropelkę niewyschniętej krwi.

– Na wyjątkowo paskudne istoty – stwierdziła, mierząc mnie wzrokiem. – Masz podobny, prawda?

– Tak, noszę na piersi – powiedziałem, wskazując kształt, na którym opinał się płaszcz. – Na wszelki wypadek.

Trzaska pokiwała głową i włożyła pistolet za jeden z dwóch skórzanych pasków. Przez moment zastanawiałem się, czy nie wolałaby wziąć też kabury, ale przy naszych dystansach każdy dekagram potrafił później ważyć tonę. Dlatego momentami cieszyłem się, że w przeciwieństwie do niektórych nie musiałem targać ze sobą żelastwa, łuków czy innych narzędzi walki, z których i tak nie zrobiłbym użytku.

Kiedy myśleliśmy już, że najbardziej obrzydliwe widoki mamy za sobą, Las jak zwykle postanowił podbić stawkę, pokazując nam stołówkę.

Minęliśmy podwójne drzwi, prowadzące na dużą, wysadzaną kafelkami salę, gdzie okna były całkowicie zamrożone, a wentylacją hulał wiatr. Przy kilkunastu sporych stołach stały po dwie ławki i niestety, część z nich była zajęta.

– Ani słowa – mignęła Łucja, sięgając ręką po topór.

Na środku stołówki rozsunięto meble, poodkręcano od podłogi stoły i zrobiono miejsce, by wyznaczyć ogromny symbol, spisany na kaflach. Był to ten sam znak co wcześniej, również spisany zakrwawionymi dłońmi, tym razem jednak w większym rozmiarze. Tutaj również artyści siedzieli z własnymi sercami w dłoniach.

Wtem spostrzegliśmy ruch i odruchowo drgnąłem z zaskoczenia. Niemalże przewróciłem się, bo nie mogłem ze stresu ustać na prostych nogach. Jeden z zabitych poruszył się nagle przy stoliku obok nas.

Zaraz zorientowałem się, że to tak naprawdę nie on samoistnie drgnął, a kilka małych stworzeń wybiegło spod jego rozwartego brzucha i zaczęło salwować się ucieczką. Żółtawozielone ptaki na dwóch nogach z podkurczonymi, przednimi łapkami i długimi, zakrwawionymi pyskami. Miały ciała pokryte pierzem i sięgały najwyżej kilkudziesięciu centymetrów wzrostu.

– Trup jedzenie? – spytałem kiepsko w migowym.

Zefiryn pokiwał głową bez słowa i zaczął przymykać drzwi. Nie było sensu niepokoić zmarłych, ani też nie mogliśmy tam znaleźć nic, co by zrekompensowało nam widoki. Pozostawało zagłębić się dalej w gardziel szarego korytarza.

Miałem wrażenie, że nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi, ale taka dorodna padlina, dobrze zachowana i to w sezonie zimowym, mogła ozna-

czać kilka rzeczy. To była albo spiżarnia jakiegoś licha, albo okolica musiała być na tyle przerażająca, nawet dla leśnych lich,

że te nie zbliżały się tutaj, mimo ceny głodu.

– Możemy stąd iść? – spytał nagle Kozioł, stawiając kolejny krok nad wyrastającym ze ściany systemem korzeniowym jakiegoś drzewa. – Na zewnątrz jest zimno i wieje, ale możemy po prostu zejść z drugiej strony zbocza albo iść jakiś czas z wiatrem.

– Jeśli stracimy się choć na moment z oczu, to oznacza to dwie rzeczy – wyjaśniła Łucja. – Będziemy się szukać do skutku, czyli najpewniej zamarzniemy, albo z góry założymy, że ktoś zaginął i nie ma sensu go szukać. Każda chwila zawahania, zachłyśnięcie się, wpadnięcie do rowu albo mocniejsza zawieja to koniec. A słychać, że wiatr wyje coraz mocniej, więc nawet byście w pionie się nie utrzymali.

Nadstawiłem uszu, nasłuchując wspomnianego wiatru, ale nic nie słyszałem. Zbyłem to wzruszeniem ramion, lecz później wracało to do mnie, nie pozwalając zaznać spokoju.

– Dobre wieści – stwierdziła Trzaska, wskazując na plan ewakuacyjny na ścianie.

– Jest coś takiego? – zaśmiałem się cicho i miałem przeczucie, że Łucja również uśmiechnęła się pod nieprzeniknioną maską poroża.

– Jesteśmy obok kantyny, a stąd jest blisko do kwater mieszkalnych… I kantyny oficerskiej… I jakichś magazynów, cholera sporo ich i wszystko pod ziemią.

– Coś mi mówi, że to nie jest stacja pomiaru pogody – szepnął Kozioł.

Zefiryn pociągnął nosem i spojrzał na mnie.

– Czujesz?

– Niby czemu miałbym… – umilkłem nagle, w powietrzu unosił się jakiś znajomy zapach, kojarzący mi się z czymś bardzo ważnym, ale za nic w świecie nie mogłem sobie przypomnieć z czym. – Pachnie znajomo, ale nie wiem czemu.

– Widzisz coś obok nas?

Przymknąłem jedno oko i spojrzałem filtrem żywicznym dookoła. Faktycznie, w niektórych miejscach rośliny rosły w większym stopniu, a gdzieniegdzie wcale, ale poza tym nic nie odbiegało od normy. Budynku oczywiście nie było na innych piętrach, widziałem jedynie, że rzeźba terenu jest stosunkowo podobna; na więcej szczegółów z wizji nie szło liczyć, bo nic nie wydawało się wystawać.

– Co powinienem widzieć? Wiesz, to dosyć istotne, że jeśli wiem, czego się spodziewać, to prędzej to znajdę – mruknąłem lekko zirytowany, bo miałem wrażenie, że Juki coś ukrywa, jak i wszyscy.

– Ten sam zapach jest na kilku piętrach – stwierdził Juki, wywołując konsternację.

– To znaczy… Tak jak w przypadku tej kostuchy wielkiej? – spytał Kozioł.

Zefiryn pokiwał głową w odpowiedzi. Wszyscy poza nim spojrzeli wyczekująco na Łucję, w powietrzu wisiało pytanie: czy należy się stąd ewakuować?

– To może być cokolwiek – pouczyła nas Lusia. – Odchody przeskakujących między piętrami padlinożerców, jakaś roślina albo naturalny zapach, wydobywający się z rozpadlin skalnych na kilku poziomach Lasu. Tak długo, jak oddychamy kasztanami, to wszystko będzie dobrze, bo będzie nas ściągać w dół. Im wyżej jesteśmy geograficznie, tym częściej okolica rezonuje w kierunku górnych pięter.

Wszyscy pokiwali głową, tylko ja rozejrzałem się zdziwiony, bo nikt nie raczył mnie nigdy zapoznać z taką rewelacją. No cóż, najwidoczniej na zmianę albo myśleli, że należy mnie niańczyć lub mam wszystko umieć sam.

– Jak mocne jest oddziaływanie tła? – spytałem niepewnym głosem, bo brakowało mi odpowiednich słów. – Czyli jak długo musiałbym oddychać bez maski, by wyrzuciło mnie o jedno piętro w górę?

– To zależy.

– To moja kwestia – odpowiedziałem oburzony.

Łucja warknęła, zionąc zmęczeniem podróży i nerwami, związanymi z tym, że była odpowiedzialna za znalezienie nam bezpieczne schronienia w tym obcym i ewidentnie pozbawionym rzeczonego bezpieczeństwa miejscu. Dopiero po chwili oparła się o ścianę i od niechcenia odpowiedziała dokładniej.

– Niektóre związki utrzymują się w powietrzu dłużej niż inne, a my otworzyliśmy to miejsce po długim czasie zamknięcia. To powietrze się jakby miesza z zewnętrznym, ale nie wszystko w tym samym tempie przechodzi…

– W sensie, że się filtruje? – spytałem.

– To może ty chcesz sobie odpowiedzieć na pytanie? – syknęła zła.

Wzniosłem ręce i pozwoliłem jej kontynuować. Tylko tego brakowało, by się na mnie obraziła i zamknęła na kolejne dni. Choć byłem pewien, że gdyby nie surwiwalistyczna natura pytania, to nawet by nie odpowiedziała.

– Więc w powietrzu może być znacznie więcej halucynogenów w budynku niż poza nim. Mimo tego są to te same substancje i prowadzą w tym samym kierunku. Teraz robi się gorzej, bo na zewnątrz jest zamieć i może być tak, że zawiewa nam coś z oddali. Inna kwestia jest taka, że z nieba

oprócz śniegu pada to szare cholerstwo, które nie wiemy skąd się bierze i jak oddziałuje na człowieka oraz sam fakt przechodzenia. Do tego dodajmy ingerencję ewentualnych anomalii w postaci lich, ich przynęt oraz nieodległych studni i efekt tego jest taki, że nie mam bladego pojęcia. Rozumiesz mnie? Nie wiem i nie mam jak to zmierzyć i ty też nie masz, więc załóż sobie, że lepiej jest nie zdejmować maski, chyba że planujesz nas zabrać ze sobą.

To było najwięcej słów, jakie wypowiedziała w moim kierunku, odkąd w ogóle wyruszyliśmy z Chołów. W sumie przykre, ale na moment mi to wystarczyło, by zaspokoić mój głód wiedzy.

– A więc śpimy w maskach? – spytał zrezygnowany Kozioł.

– Albo dorzucamy jakiegoś słabszego pożytku do ogniska – dodała Trzaska. – Pytanie tylko, czy stać nas na taki luksus? Nie spałam dobrze od bardzo dawna.

– Dosyć tego – przerwała nagle Łucja. – Porozmawiamy, jak dotrzemy do kwater oficerskich, są blisko, a domyślam się, że tam będzie najwygodniej. Też mnie bolą plecy i nie spałam od nie wiem kiedy.

Porozmawiamy, jasne, pomyślałem, ty potrafisz jeszcze rozmawiać?

Na moment Łucja obróciła się, spojrzała na mnie i zamarłem. Czasami człowieka bierze takie głupie uczucie, że pomyśli coś i boi się, że ktoś mógłby to czytać w jego głowie. Takie przerażające uczucie, że strumień myśli mógłby być dostępny dla rozrywki innej osoby. Oczywiście nie było to w żaden sposób możliwe, a przynajmniej wolałem tak myśleć.

Do kwater dotarliśmy o dziwo bez przeszkód. Szliśmy zgodnie z planem i naszym oczom ukazały się drewniane drzwi z tabliczką i numerem pokoju. Wewnątrz nazbierało się mnóstwo kurzu, ale poza tym było schludnie. Nikt nie powiesił się pod sufitem ani nie musieliśmy oglądać innych,

dantejskich scen rodem z koszmarów. Wreszcie jedno, normalne pomieszczenie, gdzie można było się przespać.

Pokój składał się z czterech łóżek i adekwatnej liczby biurek, szaf, szafek nocnych i całej reszty niezbędnego umeblowania. Była nawet lodóweczka, ale woleliśmy jej nie otwierać, na wypadek, gdyby opary ze zgniłej żywności miały wypełnić powietrze trującą miazmą i Bóg wie czym jeszcze.

Wywlekliśmy z szaf pościele, ręczniki i wszystko, na czym dało się spokojnie usiąść, po czym ułożyliśmy sobie wygodny krąg do siedzenia. Bardzo szybko doszło do nas, że musimy przygotować miejsce na ognisko, inaczej czekałaby nas mroźna i ciemna noc, bo nie było mowy o marnowaniu baterii latarek.

Juki bez pardonu chwycił jedną z metalowych szaf i już miał cisnąć nią na ziemię, ale w ostatniej chwili powstrzymał się i odłożył ją w miarę cicho. Następnie wygiął drzwiczki do zewnątrz i zaczął wyrzucać ze środka ubrania.

– Co to? – spytał, wskazując na małą wajchę i wysuwane, drewniane ramię.

– To jest na koszule i krawaty – odpowiedziałem jako jedyny.

Wszyscy spojrzeli na mnie zdziwieni.

– No, żeby nie musieć sięgać i żeby zajmowało mniej miejsca. Chwytasz za dźwignie, o, przesuń tutaj, tak i wtedy wychodzi taka rączka i na niej możesz hak z wieszaka dać i masz blisko do tych ubrań, które ubierasz na co dzień.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Juki patrzył się spod niedźwiedziej maski, jakby oczekiwał jakiejś puenty albo dodatkowego wyjaśnienia.

– Wywal to w cholerę – stwierdziłem zrezygnowany, widząc, że i tak ta informacja nie będzie mu do niczego potrzebna.

Jak powiedziałem, tak Juki zrobił i po chwili na podłodze między kocami leżała metalowa skrzynia, do której nasz wielki towarzysz wrzucił kilka szczap drewna.

– Już podpalamy? – spytałem.

– Na coś mamy czekać? – odpowiedziała pytaniem Trzaska.

Łucja kiwnęła głową Zefirynowi, a ten odpalił kawałek wyciągniętej z kieszeni kartki i podłożył pod mniejsze kawałki drewna. Zaraz zaczął mocować się z maską, jednak Śledź przerwał mu.

– Ja to zrobię, bo tobie będzie niewygodnie i nie ma sensu.

Socha zbliżył się do płomyka, odpiął brązowy kawałek materiału pod nosem maski i zaczął dmuchać w kierunku ognia. Co chwila brał oddech i dął na nowo, a ja zastanawiałem się, czy przypadkiem w ten sposób nie nachapie się szybciej powietrza i zaraz nie opuści naszego świata.

Nie zajęło to długo, a zaryglowaliśmy drzwi i usadowaliśmy się wygodnie na swoich miejscach, zaznając pierwszej chwili oddechu od dawna. Wreszcie można było zdjąć plecak i rozprostować zbolałe plecy. Nie wspominając już o tym, że pełgający płomyk szybko przerodził się w regularne ognisko i pozwolił nam na rozgrzanie zziębniętych dłoni.

Siwe i czerwone żyłki na moich palcach mieszały się, popękana skóra parzyła nieustannie, a delikatnie drgania dawały znać o tym, że powoli traciłem panowanie nad własnym ciałem. Mróz był potężnym przeciwnikiem, którego zdecydowanie nie doceniłem, wyprawiając się w podróż.

– Jakbym wyruszył w drogę sam – stwierdziłem – to pewnie bym teraz leżał pod drzewem, sztywny jak poczucie humoru Łucji.

Wszyscy poza Lusią i Jukim zaśmiali się krótko, może z grzeczności, może szczerze. Ta pierwsza oczywiście czuła się urażona, a ten drugi spoglądał nieufnie na ściany.

– Co tam wielkoludzie? – spytałem.

– Ściany jakby przesuwają się w moją stronę.

– Klaustrofobię masz? No cóż, nie zazdroszczę, ale mam dobre wieści. To jest dosłownie niemożliwe, żeby te ściany cię zgniotły. Prędzej sam się przez nie przebijesz swoją masą. Taki żarcik, nie miej mi za złe.

– Nie mam – odpowiedział krótko i widziałem, że krótkie zagadanie nie wystarczy, by ożywić dzikiego Zefiryna.

– Dobra, wentylacja nie wygląda na taką złą, pomieszczenie ewidentnie zrobiono porządnie jak i cały ośrodek. Jeśli nie przesadzimy z ogniskiem, to raczej się nie zaczadzimy. Zawsze zresztą można wywietrzyć drzwiami.

– Coś sugerujesz? – spytała Łucja.

– Tak, dziś ja stawiam sen – powiedziałem z uśmiechem i sięgnąłem do puzderka

na swoje pożytki.

Kozioł i Trzaska mruknęli coś zadowoleni, Śledź pokiwał głową na boki, bo zapewne ze swoją twarzą nie czuł się zbyt pewnie. Poza tym wszyscy przyjęli to pozytywnie, bo każda możliwość spania bez masek, była niewyobrażalnym luksusem dla kogoś, kto chociaż raz spał z porożem na głowie.

Oczywiście, teoretycznie dało się przespać na dziko noc bez poroża i wylądować w nieodległym piętrze. Natomiast to wciąż były raczej wyjątki i kwestie obarczone ryzykiem. Pozwoliłbym sobie na coś takiego, gdybym nie musiał trzymać się konkretnej marszruty i znał dobrze okolice.

Zresztą, wystarczy wyobrazić sobie, jak straszne byłoby się obudzić na innym piętrze, bo właśnie okolica zmieniła się z nagrzanego pokoju, na środek lodowego pustkowia.

– Daj spokój Jurek, szkoda zapasów – zaprotestowała Łucja, rozprostowując plecy.

– Szkoda, to mi byłoby zrezygnować z nocy w bezpiecznym i ciepłym miejscu, żebym przez cały ten czas męczył się w masce. Powiedz mi lepiej co dorzucić, by nas tu nie zadusiło i żebyśmy nie polecieli w inne miejsce.

Łucja fuknęła coś niezadowolona, pokręciła głową, ale w końcu niezręczna cisza przekonała ją do odpowiedzi.

– Myślę, czy nie taniej by wyszło nam zagryzać co pół godziny po cieciorce. Tylko potem może nam się przydać bardziej, no i trzeba coś sprzedać u Cichych, bo raczej nie wykarmią całej naszej szóstki za przysłowiowe co łaska.

– Więc odpowiedź brzmi?

– Odpowiedź brzmi: świetlik łąkowy, ale jak masz jakiś inny to śmiało.

– Okropnie się to suszy – stwierdziłem, przypominając sobie długą na godzinę anegdotę jednej z babin z Chołów. – Mam z dwadzieścia, może dwadzieścia pięć gramów.

– Dwa gramy na godzinę i w nocy ktoś będzie musiał dorzucić od siebie albo nas zbudzić, żebyśmy założyli maski.

– To ja dorzucę od siebie i miejmy spokój – stwierdziła Trzaska. – W zamian chcę pierwszą wartę, tak jak i doktor.

– Pierwsza najlepsza – zaśmiałem się, bo pierwsza warta była dobrą nagrodą. Każdy chciał jak najszybciej iść spać, ale tak, by potem nie musieć się budzić do rana.

Odmierzyłem z drugiej, dolnej przegródki dwa gramy i wsypałem w palenisko. Ku sufitowi uniósł się przez moment wąski, długi jęzor zielonkawego ognia. Światło zabarwiło się nieco na soczysty kolor, przypominający dobrze podlewaną, zdrową trawę. Wszystko wyostrzyło się, gdy tylko zdjąłem maskę i wziąłem głęboki oddech.

– Jak to dobrze robi na oczy – mruknąłem rozanielony.

Kozioł zdjął maskę, odsłaniając spocone, blond postronki włosów. Twarz miał niemalże beztroską, pełną zapału i zadowoloną na myśl o spędzonej wygodnie nocy.

Trzaska odstawiła na bok swoje agresywnie czerwone, spiłowane poroże, rozpuściła rudy warkocz i zaczęła intensywnie masować się po twarzy. Widać było, jak nabiegłe czerwienią policzki odznaczały się żyłami, rozchodzącymi się spiralnie dookoła oczu i ust. Widocznie efekty wziętego kilka dni temu specyfiku nadal dawały o sobie znać.

Juki wpierw wzbraniał się, ale w końcu i on zdjął swoje dziwaczne, nienazwane poroże i rozluźnił się nieco. Jednakże wciąż jego ręce uciekały w kierunku maski, jakby chciał być gotów w każdej chwili skoczyć między piętra i uciec od nas.

Śledź ostentacyjnie zdjął maskę i pokazał się wszystkim dokładnie. Jego twarz wyglądała jak kałuża, gdy po ulewie przychodził upał. Popękane, szarobrązowe płaty brudu zastąpiły mu całkowicie skórę. Momentami widziałem jedynie kawałki mięsa, utrzymujące tę przedziwną maskę ludzkiej twarzy w jednym kawałku. Z dnia na dzień było coraz gorzej, nie wspominając o stale straszącym smrodzie rozkładu.

Łucja zdjęła maskę na końcu, jakby jeszcze licząc na to, że ktoś z nas zniknie i trzeba będzie go ściągać z innych pięter. Przejechała ręką po włosach i ziewnęła.

– Jak zasnę, to nie obudzicie mnie do rana – zaśmiała się nagle.

– No to weźmiesz ostatnią wartę – odpowiedziałem.

– Tak, jasne, zresztą i tak wstaję wcześniej od ciebie.

– Przecież wstaję wcześnie! – zarzekłem się oburzony.

– Pan doktor wybaczy, ale świt to jednak trochę późno – wtrącił się Kozioł, grzebiąc w plecaku za prowiantem. – Skoro mamy okazję, to zapa-

rzę zbożówkę, bo jestem senny, a każdy dzień noszenia jej mnie męczy. Musimy zacząć zrzucać balast.

Pokiwałem głową, patrząc, jak zapalony Artur wyjmuje papierową torbę z Inką, w międzyczasie ustawiając nad ogniskiem metalowy kubek z wodą. Imponowało mi, z jaką wprawą potrafił przygotować stelaż i zawiesić na nim naczynie. Ja nadal wolałem w większości przypadków czekać na gotowe albo zajadać się surowymi składnikami.

Próbując przetrwać, prędzej czy później każdego dopada strach. Poczucie, że zasoby są ograniczone i każda strata może oznaczać śmierć. Więc człowiek boi się nawet przyrządzić sobie proste danie, by nic nie zepsuć i woli zjeść składniki oddzielnie. Dlatego tak dobrze było raz na jakiś czas oderwać się od tego i zrobić coś wspólnie.

– Naszła mnie teraz taka myśl – rzucił nagle Śledź. – Tam na planie nie było przypadkiem kuchni i jakiejś spiżarni obok tej stołówki?

Socha spojrzał na Trzaskę, a ta skrzywiła się, pomachała głową na boki i ostatecznie przytaknęła niechętnie. Wyglądała kiepsko na samą myśl o tym, że mielibyśmy wracać do tamtej trupiarni i jeszcze ją plądrować.

– Jak ty Socha myślisz, że ja będę jeść coś, co ma prawie dwie dekady, to musiała cię zdrowo ta grzybnia w łeb rypnąć. Tak, była tam kuchnia i co z tego? Przecież tam wszystko albo przegniłe, albo rozszabrowane.

– Niektóre rzeczy się nie starzeją – odparł. – W przeciwieństwie do ciebie niektóre składniki potrafią trzymać przydatność więcej niż trzydzieści lat.

– Zaraz wezmę i ci trzasnę w ten pusty łeb. Chcesz, to sobie tam idź, ale ja wolę zajadać się sucharami, niż pleśnią i kurzem. Chociaż, jak tak patrzę, to ty chyba już przywykłeś do pleśni i kurzu.

Trzaska wydęła twarz w grymasie odrazy i przejechała dłonią po nosie, kolistym ruchem, jakby chciała podkreślić, że Śledź wygląda jak jeden

wielki bałagan. Przez moment Socha odpowiadał jej podobnym gestem, ale po chwili parsknęli śmiechem i odrzucili temat.

– To nie jest zły pomysł – stwierdziła niechętnie Łucja, zwracając na siebie uwagę. – Ja wiem, że może nie jest idealnie i nie wiem, czy coś tu na nas nie czeka, ale to może być szansa. Jeśli to faktycznie jakiś ośrodek wojskowy, to pal licho jaki, przecież muszą mieć racje żywnościowe, prawda? Niech mają tam cokolwiek, suchary, mąkę, miód, cukier albo nawet konserwy.

Atmosfera zagęściła się i podświetlane przez ognisko twarze zaczęły błyskać na siebie białkami oczu. Wydawało się, jakby zaraz każdy miał się rzucić do drzwi na wyścigi i pognać w kierunku spiżarni.

– Mogą mieć nawet coś odłożone dla kierownictwa i szarży ochrony budynku – szepnąłem, podnosząc stawkę. – Ananasy na przykład albo inne kandyzowane owoce w słodkim syropie. Dżemy i przetwory mogą mieć, orzechy, rodzynki…

– Gramy w: jeleń, sowa i wilk do trzech – zarządziła poważnym głosem Łucja. – Dwie osoby niech pójdą to sprawdzić, ale wróćcie bezpiecznie.

Jeleń, sowa i wilk był jedną z ciekawszych gier, jakich nauczyły mnie dzieciaki w Chołach. Zasady przypominały znane powszechnie papier, kamień, nożyce, z tą różnicą, że znaki pokazywało się, poprzez przyłożenie dłoni do uszu. Wilk był pięściami, jak kamienie położone pod kątem w dół, dwa palce w górę oznaczały jelenia, a otwarte dłonie imitowały wielkie uszy sowy, choć po prawdzie nie wiem, które gatunki sów miały takowe. Zachowała się nawet kwestia tego, co wygrywa z czym. Kilku chłopców we wsi albo robiło sobie ze mnie żarty, albo naprawdę chcieli mnie kiedyś nauczyć wersji na trzynaście zwierząt, ale nigdy nie spróbowałem.

– Hu, hu, hu – wydała z siebie rytmiczne pohukiwała Łucja, otwierając i zamykając dłonie. Gdy powtórzyła i zaakcentowała sylabę po raz trzeci, wystawiła dwa palce w górę.

Kozioł również wystawił w górę dwa palce, Juki i Śledź zacisnęli pięści, a ja z Trzaską pokazaliśmy otwarte dłonie, czyli sowy. Trzaska o dziwo grała bardzo kiepsko, pokazywała nazbyt szybko albo późno symbole i zdawała się nie wiedzieć, co chce pokazać. Co było dosyć dziwne, zważywszy na to, że miała sporo doświadczenia z wychowywaniem dzieci w szkole podstawowej.

Po kilkunastu powtórnych rundach było jasne, że przegrałem ja i Kozioł, choć perypetie związane z remisami, kłótniami o celowe przeciąganie i tym podobne, zajęły większość czasu rozgrywki.

– Najwyżej pierwsi im objemy truskawki – powiedziałem już w korytarzu, zakładając poroże i płaszcz.

– Ich strata – zgodził się Kozioł, obracając się ostatni raz do nagrzanego, jasnego pokoju i zagłębiając się w mrok i chłód korytarzy.

– Jest i rozkład budynku – powiedziałem, gdy już doszliśmy do przeszklonej tablicy z siatką pomieszczeń.

Wyszukałem spiżarnię, ale po chwili mój wzrok zjechał na laboratorium numer jeden, które wcześniej minęliśmy, jako zamknięty na głucho, zagrożony promieniowaniem pokój. Rzeczone laboratorium na planie było ogromnym pomieszczeniem, które rozciągało się na kilka pięter i miało bezpośrednie połączenie tunelami z parkingiem podziemnym i co najmniej kilkunastoma innymi segmentami budynku.

– Idziemy? – spytał Kozioł, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Drgnąłem, wybudzony nagle z rozmyślań. Coś mi tu zdecydowanie nie pasowało i nie mogłem przestać o tym myśleć. Mimo to na krótką chwi-

lę postarałem się robić dobrą minę do złej gry i pójść wraz z Arturem do stołówki, a dalej kuchni i magazynu żywności.

Na stołówce nic się nie zmieniło. Za wygłuszonymi ścianami wciąż waliły wichry, a nie niepokojeni umarli siedzieli przy miejscach swojej ostatniej wieczerzy. Oczywiście, dopiero gdy ja sam musiałem ryzykować swoją skórą, doszło do mnie, że decyzja o szabrowaniu była logiczna i racjonalna, ale jedynie na papierze.

Ściskając mocno nóż w jednej dłoni i latarkę w drugiej, minąłem rzędy zamordowanych i z niemałym obrzydzeniem podniosłem lepki, zakurzony blat, który oddzielał miejsce wydawania posiłków od kuchni.

Wydawało się, że w pomieszczeniach gastronomicznych było jeszcze chłodniej, a wypolerowane niegdyś na błysk kafle, do tego dnia straszyły przytłumioną, trupią bielą. Na ścianach zawieszono obramowane, schematyczne rysunki zwierząt, wraz ze sposobem ich krojenia. Widok, który na co dzień uznałbym za zwykły element dekoracji, wtedy jawił mi się jako zły omen, widmo nadchodzącej na nas zguby.

– Mam konserwy – stwierdził nagle Kozioł.

Obróciłem się do towarzysza, który otworzył pierwszą, lepszą szafkę z brzegu i wyjął z niej mięso w puszce. Zapamiętałem jego błyskające zza wizjerów, zadowolone oczy, wyciągniętą w dłoni konserwę z wieprzowiną i lecącą ku ziemi ścianę zapasów.

Wprawione w ruch domino puszek posypało się na ziemię, tworząc symfonie potwornych hałasów, które mogłyby zbudzić umarłego z trumny. Kilka z takich konserw uderzyło o ziemię o tyle niefortunnie, że przebiło się i zaczęło kręcić wokół własnej osi, tryskając tłustym płynem na boki.

Zamarliśmy w bezruchu, patrząc w kierunku stołówki, z której zdawało nam się, że dobiegł odgłos kroków. Zaraz jednak chód zniknął, a jedyne co pozostało to cicha, niewypowiedziana groźba, uczucie ciarek pełzają-

cych po plecach i świadomość, że moglibyśmy dołączyć do ustawionych w rzędach ciał.

– Bierzmy i chodźmy – mignąłem bezgłośnie i zacząłem pakować co ciekawsze okazy do plecaka.

– To brać? – mignął Kozioł wskazując na butelkę czerwonego wina.

No cóż, w tym stanie miało zapewne kilkanaście lat, chociaż to nie oznaczało, że można było o nim mówić, że jest kilkunastoletnie. Wino powinno leżakować, a nie kurzyć się w butelce pod zlewem, ukryte przez jakiegoś pomywacza alkoholika.

– Bierz – odpowiedziałem krótko.

Zaraz zaczęliśmy wracać powoli w kierunku naszego obozowiska. Mijając tak kolejne rzędy nieruchomych postaci, miałem wrażenie, że coś nas obserwuje. Obróciłem się w kierunku Kozła i widziałem, że on też oczekuje ode mnie jakiejś reakcji.

Obaj puściliśmy się biegiem niemalże jednocześnie, minęliśmy znów stołówkę, korytarz i po chwili wpadliśmy do wspólnej sypialni, ryglując za sobą drzwi.

Juki natychmiast założył maskę, Łucja sięgnęła po łuk i zaczęła naciągać strzałę.

Podniosłem ręce, pomachałem i położyłem je z powrotem na kolanach, dysząc zgięty do ziemi. Myślałem, że wypluję własne płuca ze strachu. Ostatecznie przecież nic się nie stało, ale ani ja, ani mój towarzysz, nie mogliśmy znieść czegokolwiek, co wisiało tam w powietrzu.

– Wróciliśmy z tarczą – stwierdziłem, otwierając plecak i wykładając jego zawartość na ziemię.

– Kawa ci się zrobiła – powiedziała Łucja w kierunku Kozła, ignorując moje łupy. – Zalałam ci ją, dobrze?

Po chwili już spokojniej ucztowaliśmy, podgrzewając puszki, żeby zjeść coś ciepłego dla dodania energii. Przez dłuższy czas przysłuchiwałem się drzwiom, jakby oczekując czegoś koszmarnego, postukując palcami w napięciu i sięgając po pistolet.

– Hej, panie doktorze – podniosła głos Trzaska – dobra robota, ale spuść trochę z tonu, bo nam zaraz wyzioniesz ducha. Jak nic nie widziałeś, to nic nie było. Gdyby coś miało nas tu pożreć, to już dawno by dało o sobie znać. To wszystko: zapasy, odludne miejsce, podziemia, to po prostu rzadki przypadek miejsca, którego nikt nie zajął. No, przynajmniej nikt nam nieprzychylny.

Trzaska starała się mnie uspokoić, Śledź przytakiwał jej nietypowo aktywnie, jak na siebie, a reszta po prostu zajmowała się jedzeniem. Przez ułamek sekundy widziałem jak twarz Łucji wygina się w grymasie niezgody, ale ostatecznie skupiła się na wyjadaniu warzyw z puszki.

– Chcesz? – spytał Kozioł, podając mi swój kubek z kawą. – Doda energii, skoro masz pierwszą wartę.

Kozioł krzywił się momentami, jakby w ostatniej chwili zmieniał szyk zdań w swojej głowie. Nadal nie był pewien, czy traktować mnie jak jednego z nich, czy mówić do mnie jakoś oficjalniej, czy co robić.

– Herbata to nie jest – mruknąłem i upiłem łyka. – Wciąż jednak lepsze niż przetapiany śnieg i mętna woda z dna bukłaka. Wielkie dzięki, Kozioł. Mimo wszystko jestem przekonany, że coś jest nie tak, jak powinno. Po co zbudowano ten ośrodek i czemu trzymano go w tajemnicy?

– Pewnie ruscy badali Las – stwierdziła kompletnie swobodnie Łucja.

Rozszerzyłem powieki zdziwiony i spojrzałem na nią tak, jakby mi właśnie oświadczyła, że wylatuje do Ameryki na drzwiach od stodoły. Zdawałem sobie sprawę, a raczej podejrzewałem, że rzeczywiście ileś osób z zewnątrz mogło wiedzieć o istnieniu Lasu. Po prostu starałem się odsuwać

od siebie te myśli na tyle, na ile to możliwe. W końcu kiedyś Łucja wspominała, że Zając i Bieniasz mieli kogoś na zewnątrz, kto przymykał oko na ich dziwactwa. Zresztą, obaj mieli swoje sposoby, gdy ten pierwszy jeszcze żył, a ten drugi nie stracił całego wigoru.

– Jak ojciec zniósł całą sprawę z ciągnikiem inżynieryjnym? – spytałem Łucję, bo jakoś nigdy z nią o tym nie rozmawiałem, a jedynie z samym Piotrem.

– Przecież wiesz – odpowiedziała niechętnie. Na krótki moment w jej oczach pojawił się smutek, potem gorycz, złość, a na końcu żal; wszystko to trwało ledwie sekundy. – Ojciec ustawił później wszystko tak, by wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek przy wycince drzew. Do samego końca było mu głupio, że wykorzystał zmarłych w walce do tego, by uwiarygodnić swoją wersję wydarzeń. Ostatecznie stracił o jedną przysługę za dużo i od tamtej pory jest zdecydowanie ostrożniejszy. Już i tak tracimy nazbyt szybko ludzi, którzy są w stanie nas chronić przed światem zewnętrznym. Prędzej czy później przyjdą tacy jak ty i zaczną węszyć.

Na moment zapadła niezręczna cisza.

– Tylko oni w przeciwieństwie do mnie będą woleli to wszystko zaorać i zasypać solą, a dopiero potem zadawać pytania. – Próbowałem kierować rozmowę na inne tory, by przypadkiem nikt nie uznał, że winnym całego zła jest znowu obcy doktor Drozd.

– Tak – przyznała po chwili milczenia Lusia, stukając nożem o dno puszki. – Ty nie wyniosłeś naszych tajemnic na zewnątrz. Nawet sam dołożyłeś do nich swoje trzy grosze. Nigdy nie mówiłam, że jestem na ciebie za to zła. Nie było dobrych decyzji do podjęcia, były same złe i ktoś musiał jedną podjąć. U nas ludzie twardzi i oschli, więc trzymają się starych metod, bo to one pozwalają żyć. Ty przyszedłeś pełen wigoru, chęci zmian, moralnego utyskiwania, zupełnie jak ojciec Maurycy.

Prawie zakrztusiłem się kawałkiem mięsa z papryką i ściągnąłem brwi w oburzeniu. Miałem wrażenie, że nie do końca zrozumiałem to, co powiedziała sołtysowa córka.

– Rak go wyniszczył, ale pewnie nadal to w nim widziałeś, prawda? Cyniczny, opryskliwy, rządzi się, zawsze ma na wszystko odpowiedź, jak coś mu się nie podoba, to gotowy jest bić głową w mur i liczyć, że ten runie.

– Wiesz, mogłaś to powiedzieć zaczynając od komplementów, bo tak to wymalowałaś mój portret, jakbym był jakimś zadufanym w sobie dupkiem.

Kozioł parsknął śmiechem, ale zaraz skrzywił się przepraszająco i utkwił wzrok w swojej kawie.

– Wy też tak myślicie? – spytałem pozostałych, świdrując ich wzrokiem. – Że niby jestem takim sztywnym inteligentem, co przyszedł z zewnątrz i się rządzi?

Trzaska zrobiła z ust nazbyt wyraźny dzióbek, spojrzała w górę i pokręciła głową. Jej mimika była zawsze na zmianę dzika i pełna agresji albo dziecinna i sztuczna. Zapewne pokłosie pracy w zawodzie nauczycielki.

– To wy jesteście sztywni – stwierdziłem, wyciągając butelkę, wcześniej skradzioną z biura kierownika. – Kto się ze mną napije, poza belferką… Znaczy, wybacz Trzaska, mówiłem o Łucji, nie miałem na myśli nic…

– I tyle w kwestii twojego braku sztywności człowieku – zaśmiała się, wyrywając mi z ręki butelkę. – Rum i to chyba z Kuby. Co za bogactwo nam się trafiło. Gest przyjaźni między narodami po prostu.

– Wypijmy go w tej czasoprzestrzennej dziurze w środku zimnego piekła. Może trochę tropikalnego słońca na nas spłynie – odpowiedziałem.

– Też bym spróbował, nigdy nie piłem rumu – dodał Kozioł. – Juki, ty też będziesz chciał łyknąć?

Zefiryn pokiwał głową, nie patrząc się na nas. Każdy po kolei wziął po łyku, aż została tylko Łucja, patrząca się z lekką pogardą na podawaną jej butelkę. W jej twarzy było coś sztucznego, jakby gra pozorów. Miałem wrażenie, że tylko tak przed nami udaje.

– Zostałaś sama, jaki podejmiesz wybór?

– A czy wy wiecie jak się taki rum łączy z pożytkami? – warknęła wściekle, biorąc od Zefiryna odszpuntowaną butelkę. – Zdajecie sobie sprawę, co się stanie, gdy tak wszyscy się napijemy tego, paląc ognisko ze świetlika i będąc na tym piętrze Lasu?

Przez moment zrobiło mi się zimno. Rzeczywiście mogłem przesadzić i nie pomyśleć o konsekwencjach działań, których…

– Przekonajmy się – dodała dziarsko, szczerząc się i wzięła łyka. – Boże, jakie niedobre, dobra, nie było warto, powtarzam, nie było warto, fuj.

Ulżyło mi i jej chyba też. Wreszcie na jeden, króciutki moment mogliśmy pomyśleć, że znów jesteśmy tylko obdartusami, których los rzucił w obcy, niebezpieczny, ale też niezwykle piękny i kojący świat. Poczułem, że ten wykrzywiony, dziwaczny wymiar ma w sobie też chwile dobra, prawdziwej, ludzkiej magii.

Butelka szybko zaczęła opróżniać się, dziewczyny zrezygnowały po pierwszym łyku, ale Śledź i Zefiryn dziwnym trafem uaktywnili się i przyssali jak smoki. Przez moment myślałem, że trzeba będzie rozważyć nocną eskapadę do globusa, by podwędzić coś jeszcze, ale wiedziałem, że Łucja nie zgodziłaby się za nic w świecie, nawet za truskawki.

– Juki, powiedz mi, proszę – powiedziałem nieskładnie i Łucja od razu przewróciła oczami, jakby wiedząc, co się stanie.

– A ten znowu zaczyna – odparła.

– Nie, ale niech mi powie – uparłem się – skąd ma tę maskę.

Wskazałem palcem na siedzącego po turecku Jukiego, któremu między nogami spoczywała psowata czaszka o wielkich kłach. Detale na niej przykuwały oko swoją jakością wykonania, zaś sama morfologia nie przypominała niczego, co dane mi było zobaczyć kiedykolwiek w Lesie i poza nim.

– Nie wszyscy robią sobie maski sami – odezwał się głębokim głosem Zefiryn. – Ja należę do tych, którzy spisali swoją historię własnymi rękoma. Mocowałem się z lichem przez cały dzień. Widziałem jak słońce wschodzi i zachodzi. Miał parę metrów w kłębie, wyglądał jak niedźwiedź, który pod gęstym futrem miał same zwoje mięśni. Ręce wielkości pni buków mogły strzaskać ścianę domu, a co dopiero człowieka.

– Niesamowite – szepnąłem. – No to jak żeś go upolował? Ile miałeś lat?

– Nie pamiętam, ile miałem lat, ale dzieckiem jeszcze byłem, podlotkiem. Zapłaciłem za to swoją cenę, nie wiem, czy chcę wam mówić.

– Nie musisz – przerwała Łucja, czując powagę sytuacji.

– Tak, znaczy nie, oczywiście. Nie musisz mówić, ale jeśli zechcesz, to zrobisz mi ogromną przysługę – wyznałem. – Umieram z ciekawości.

– Umrzesz z ciekawości – powiedział Zefiryn i zamilkł na moment. Dopiero po dłuższej pauzie dokończył zdanie. – Jeśli ci nie powiem, ale to zrobię. Zjadłem coś, a potem wypiłem, choć bij i zabij, nie pamiętam, co to było. Myślałem, że ze strachu posikam się w portki, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Padłem na ziemię, zacząłem w odruchu rwać rośliny z ziemi i zażerać się nimi. Czasami człowiek tak ma, gdy jest chory, to wie, jakie jedzenie i picie mu pomoże. Zapewne to mną wtedy kierowało. Poczułem, jakbym wchodził na kilka pięter jednocześnie albo jakby to coś wchodziło we mnie. Od tamtej pory czuję, że to nadal we mnie jest. Czuję, co się dzieje dookoła tak, jakby ktoś stukał butami o podłogę, chodząc po piętrach do-

okoła mnie. Mam wrażenie, że jestem wszędzie jednocześnie. Czuję, co się zdarzy na tym piętrze, zanim to się wydarzy. To są sekundy, ale ja je czuję, możesz się śmiać doktorze, ale ja widzę przyszłość moim nowym, własnym zmysłem, którego nikt inny nie ma. Tamtego dnia sam wygotowałem czaszkę tego olbrzyma, przez miesiąc impregnowałem dwa skrawki skóry w Korzylicie. Sam szyłem każdy element, drenowałem zbędne kawałki kości i lutowałem dodatkowe warstwy wyżernikiem. Ktoś, kto nigdy nie stworzył własnej maski, nie może być sobą w Lesie. Dlatego, gdy patrzę na was, to nie ja jestem obcy, to wy jesteście mi obcy. Bo ja jestem prawdziwy zarówno we wsi, jak i w Lesie. Czuję się człowiekiem wszystkich przestrzeni i noszę w sobie kawałek Lasu, który pompuje przez moje serce siłę, jakiej nie zna wiele bestii. Nie wiecie jak to jest, mieć Las w sobie.

Łucja zacisnęła usta, spojrzała na mnie i zmrużyła oczy. Byłem pewien, że urwie mi łeb za samo zadanie pytania i namówienie Jukiego na tak rozległe i przygnębiające historie. Zamiast tego w ostatniej sekundzie dostrzegłem błysk w jej oku. To musiało być ognisko, ale miałem nieodparte wrażenie, że to była łza.

– Zaraz wracam – stwierdziła, wstała nagle i otworzyła drzwi, po czym oddaliła się nie wiadomo w którą stronę.

– Pewnie srać poszła – powiedział Śledź, jakby nie wyczuwając w żaden sposób nastroju wydarzeń.

– Ty masz nasrane, ale we łbie – odpowiedziała Trzaska, pukając towarzysza w głowę. – To co powiedziałeś Juki, ja to rozumiem, nawet szanuję. Nienawidzę tutaj być, tu w Lesie. Nienawidzę tego miejsca za to, że ono tylko zabiera. Daje jedynie rzadko rekompensaty, drobne, niewystarczające. W dodatku trzeba je sobie wyrywać zębami, ryzykując jeszcze większe, bezsensowne cierpienia. No cóż, mam nadzieję, że ta wyprawa przyniesie mi ukojenie i będzie warto.

– Na pewno – powiedziałem. – Damy sobie radę, wszystko będzie dobrze.

Trzaska spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem, po czym uśmiechnęła się znów dziecinnie i pokiwała głową.

– Nie ruszaj się – szepnęła niemalże bezgłośnie.

– Nie ruszaj się – powtórzył Śledź.

– Nie ruszaj się – dodał Kozioł.

– Nie ruszaj się – zakończył Juki.

Zamrugałem powoli, miałem wrażenie, że pot spływa mi po karku strumieniem. Wszyscy patrzyli na mnie co najmniej, jakby zobaczyli ducha. A ja dopiero wtedy zrozumiałem, że to nie był pot na moich plecach, a czyjś… czegoś język.

Poczułem chłód, miałem pewność, że coś za mną stoi i dyszy głośno. Zaraz jednak usłyszałem coś w rodzaju pęknięcia powietrza, jak po odessaniu powietrza z butelki, a następnie otworzenia jej.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, nawet Zefiryn.

– Dobrze, nic się nie stało, miałeś szczęście – wyjaśnił Śledź.

Nadal nie chciałem się odzywać, wgapiając się bez mrugania w pustkę.

– Po prostu jakiś Krzywulec, czasami gubią się między piętrami, widząc źródła światła. To nigdy nie jest nic groźnego… Jeśli tylko się go nie sprowokuje. A sprowokować można go tylko zasłaniając światło, które dostrzegł albo ruszając się, jeśli patrzy na kogoś.

– A jak wyglądał ten… Krzywulec? – spytałem, ale Śledź pokiwał głową na boki i klepnął się w kolana.

– Zostaw ten temat. Nie myśl o nim, wy też nie, bo jeszcze wróci. Lepiej chodźmy spać, Łucja zaraz wróci, a ja jestem zmęczony.

– Ty możesz iść spać, ja poczatuję. Natomiast po tym, co mi powiedzieliście, to chyba w ogóle nie zasnę. To był jakiś kawał? Opowiadacie to zawsze komuś, kto zostaje na pierwszej warcie, tak żeby nie mógł spać?

– Lepiej dla ciebie, jeśli tak będziesz myśleć – odparł Zefiryn i zasnął niemalże natychmiastowo, dalej siedząc po turecku.

Zawsze fascynowało mnie, że byli ludzie zdolni do spania w każdej pozycji i niemalże na zawołanie. Pewnie efekt lat medytacji i podróży w transie przez Las. Może nawet dało się tego jakoś nauczyć, ale jeśli miało to zająć kilkanaście lat, to chyba wolałem zainwestować w poduszkę z dobrego, gęsiego pierza.

Dopiero po jakimś czasie wróciła Łucja, usiadła pod ścianą i bez słowa zapadła w płytki, cichy sen. Kozioł położył się na łóżku jako jedyny, reszta wolała spać, siedząc oparta o ścianę. Zostałem sam z Trzaską, która wgapiała się w gasnące powoli ognisko, uśmiechając się do siebie pod nosem.

Dorzuciłem pojedynczy kawałek drewna, tak, żeby ognisko nie zrobiło się zbyt wielkie i nie nagrzało zanadto pomieszczenia. Zaraz dodałem kolejne dwa gramy pożytku i wziąłem głęboki oddech. Ciałem byłem na straży zaryglowanych drzwi, w pokoju pełnym Saprofitów. Myślami byłem jednak przy pomieszczeniu z tabliczką, ostrzegającą przed radioaktywnością. Duchem nie byłem pewnie nigdzie.

Trzaska zachowywała się kompletnie bezgłośnie, nawet nie próbowała niczego do mnie szepnąć. Rozumiałem to, bo też nie chciałbym, by któryś ze śpiących poczuł, że marnujemy jego czas snu, gadając o bzdurach. Natomiast mimo całej aury zagrożenia, stosunkowo szybko poczułem, że to będzie kolejna nudna, długa noc.

Po dłuższym czasie, gdy wszyscy już głęboko spali, wstałem powoli, przyłożyłem palec do ust i mignąłem do współtowarzyszki stróżowania:

– Idę do toalety.

Ta nawet nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko i dalej patrzyła w ogień. No cóż, może był to jeden z tych transów, w których jest się przytomnym, zdolnym pełnić służbę, a zarazem zużywa się jak najmniej energii. To trochę jak z krokodylami, które większość czasu nic nie robią, wydają się ospałe, a potem zrywają się w ułamku sekundy i zaciskają zęby, by zaraz cisnąć kogoś w otchłań.

Machnąłem jeszcze ostatni raz Trzasce i wyszedłem. Obróciłem się w kierunku pomieszczenia, z którego zrobiliśmy toaletę, po czym spojrzałem w przeciwną stronę. Tam w oddali było laboratorium, które kusiło mnie i wzywało cały ten czas.

Nie wziąłem płaszcza, bo uznałem, że wygodniej będzie się bez niego załatwić. Miałem jedynie maskę – nie chciałem, by przypadkiem mnie gdzieś wywiało w kuckach. Co od razu przypomniało mi, że Łucja wcześniej wyszła na prawie pół godziny i jakoś maski ze sobą nie zabrała, mimo tego, że wcześniej tak się upierała, by nosić ją ze sobą.

Zresztą, co ja tam mogłem wiedzieć? Ostatnimi czasy nie umiałem z nią nawet porozmawiać, a co dopiero przewidzieć, co jej chodzi po głowie. Miałem wrażenie, że oddalamy się od siebie z każdym dniem podróży. Z drugiej strony, może to ze mną był problem? Może to ja nie wiedziałem, czego tak naprawdę od niej oczekuję, czego chcę? Czy jest mi winna nawet jakąkolwiek grzeczność w rozmowie? Przecież miała prawo w ogóle się ze mną nie zadawać, skoro i tak poznała mnie jako źródło problemów, a nie ich rozwiązań.

Zagapiłem się i zrozumiałem, że od paru minut zmierzam w kierunku laboratorium. Zabrałem ze sobą jedynie latarkę, licząc na to, że szybko wrócę do obozowiska.

Westchnąłem ciężko, a przez otwór w masce wydobyła się chmurka gorącego powietrza. Jeśli miało to zająć tylko chwilę, to chyba mogłem pozwolić sobie na to, by tam zajrzeć i zaraz wrócić? Ostatecznie i tak miejsce było stosunkowo bezpieczne, a jak na standardy Lasu to już zwłaszcza. Jedyne co widzieliśmy to trupy i drobne ścierwojady. Tych pierwszych nie było sensu się bać, a ci drudzy sami uciekali przed zdrowym, większym osobnikiem, więc też nie były groźne.

I tak racjonalizowałem sobie decyzję, aż dotarłem do biura kierownika, skąd zabrałem masywny, metalowy klucz z brelokiem o numerze jeden. Na szczęście to wystarczyło, bo drzwi nie były zaryglowane od środka. Zamek wydał z siebie głośny, niosący się echem chrzęst i konstrukcja drgnęła w zawiasach.

Usłyszałem za sobą krok. Obróciłem się, serce podeszło mi do gardła i wstrzymałem na moment oddech. Nic nie słyszałem, cisza, latarka wyłapywała z ciemności długie cienie, rzucane przez komputery i biurka, ale poza tym nie było nic wartego uwagi. Kilka korzeni drgnęło minimalnie, ale nie było to coś, czego bym się nie spodziewał po roślinach.

Naparłem na drzwi i z trudem przesunąłem je, mocując się z zaśniedziałym mechanizmem. Nie było łatwo, ale w końcu wejście ustąpiło mi drogi i dostrzegłem, że znajduję się w przedziwnym miejscu.

Dziesiątki stanowisk ułożonych piętrowo od mojej lewej do prawej, gdzie kończyły się na czymś w rodzaju panelu dowodzenia. Miałem wrażenie, jakbym oglądał transmisję z jakiegoś centrum, z którego sterowano lotami kosmicznymi. I jakiś bardzo śmieszny głos z tyłu głowy spróbował mnie przerazić, podpowiadając, że dokładnie tak mogło być.

Po krótkiej chwili zorientowałem się, że pomieszczenie to było jedynie zaimprowizowane wewnątrz znacznie większej sali, którą można było

obejrzeć przez rząd panoramicznych szyb. Jednakże dwie pary drzwi, prowadzące poza obręb dziwacznego centrum, były otwarte na oścież.

Wyszedłem poza biuro i wbiłem promień latarki w górę. Szczyt był tak daleko, że światło ledwie lekkim rozproszeniem oblizywało rzędy stalowych wsporników. Od metalowego podestu podłogi do sufitu musiało być kilkanaście metrów albo więcej. Zrozumiałem, że rzeczywiście jestem w hangarze i hipoteza o lotach przestała mi się wydawać aż tak śmieszna.

Idąc tak powoli przez całą halę, wyłuskiwałem z ciemności sieć korzeni, która świeciła lekko i agresywnie zajmowała relikty przeszłości. Widziałem przewrócone na bok wózki widłowe, skrzynie, nawet dwie ciężarówki wojskowe i coś, czemu naprawdę nie dowierzałem. Ktoś wprowadził na teren ośrodka luksusowo urządzonego zaporożca sprzed niemal dwudziestu lat.

Widziałem w życiu wiele rzeczy, a przynajmniej tak mi się wydawało. A mimo to, dopiero widząc ten samochód, poczułem, że może rzeczywiście jestem za maluczki, by mieszać się w nieswoje sprawy. Jednakże wiedziałem, że powiedzenie „A” zmusza do powiedzenia „B” i tak też zrobiłem.

W miarę zbliżania się zacząłem zauważać, że oprócz korzeni po ziemi ciągnie się mnóstwo rur i gumowych węży. W jednym miejscu dostrzegłem pompę, jakby ktoś był gotowy na to, że pożar może wybuchnąć w każdej chwili. Do ścian zamontowano z każdej strony po kilka par schodów awaryjnych, prowadzących do opancerzonych antresol, żgających świat lufami CKM-ów.

Podchodziłem coraz bliżej do jądra ciemności, które wydawało się najważniejszym punktem całego hangaru. Wszystkie stanowiska strzeleckie i obserwatorskie, wszystkie pojazdy, sprzęty, znaki na niebie i ziemi wska-

zywały w tym kierunku. To tak, jakby cały ośrodek żył tylko jednym miejscem, które miałem przed sobą.

Latarka dalej rozbijała się o ciemność, nie mogąc objąć tak ogromnego obszaru. Moje oczy, przyzwyczajone ledwie nieco do mroku, ciągle skupiały się na tym, co widać, zamiast tym, czego nie widać. Żółty snop pokazywał jedyny znany mi świat.

Wtem promień padł na stalowy, szeroki na dwa metry mostek, prowadzący w pustkę całkowitą. Był to podest, zawieszony wysoko nad ziemią. Worki z piaskiem i wzmocnione stalowymi stelażami płyty przeciwpancerne sprawiały wrażenie, że na końcu tego mostu musiała znajdować się co najmniej cała armia, inaczej ciężko byłoby wyjaśnić tak radykalne środki ostrożności.

Przez moment doszło do mnie, że z taką siłą rażenia, można by rozrąbać Krzykacza na kawałki, niezależnie od tego, jaką formę by przyjął. A mimo to minąłem już kilkadziesiąt trupów i ani żywej duszy. Ośrodek był pusty, zamarznięty, niezamieszkany nawet przez jedno leśne licho.

Postawiłem krok na moście, wychyliłem się przez barierkę i dostrzegłem jedynie coś wijącego się w mroku. Gładkie ściany odbijały się seriami znaków ostrzegawczych, malowań z oznaczeniami i kilkoma otworami na systemy gaśnicze.

I cała ta gigantyczna studnia, nad którą właśnie szedłem, była wymalowana odbiciami ludzkich dłoni. Tysiące przyłożeń zakrwawionych palców zdobiły ten wielometrowy okrąg leja, prowadzącego gdzieś w pustkę góry, na której zbudowano kompleks.

Rozbrzmiał pomruk, niosący się echem jak budzony wulkan. Wszystkie korzenie i gałęzie błysnęły zielenią, a ściany i sufit wypełnił jasny poblask. Wyglądało to, jakby cały hangar był spowity systemem krwionośnym, którego wnętrze wypełniła radioaktywna masa. Każda cząsteczka

pędziła własnym torem, znacząc w ciemności drogę, przypominającą gigantyczną autostradę dla świetlików.

A największe światło było przede mną. Most, którym szedłem, otaczał słup o średnicy kilku metrów. Słup ten zbudowany był z zielonkawej masy, przypominającej mazut, który w połowie obrośnięty był korą jakiegoś szarego drzewa. Megalityczna struktura szła na dziesiątki metrów od dna studni, aż do sufitu, tworząc ogromną kolumnę, w którą ktoś wplótł kończyny, imitujące ludzkie. Gargantuiczne ręce i nogi wystawały z konstrukcji, sięgając pustki, a całość wydawała się jednym, żywym organizmem.

– Nie umiesz czytać? – spytał potężny głos, dobiegający z każdej strony.

Miałem przez moment wrażenie, że tak mógł się czuć Kain, zapytany o to, gdzie znajduje się jego brat. Odruchowo poczułem potrzebę skulenia się, więc złapałem się za krawędź barierki, by przypadkiem nie upaść i nie sturlać się w nicość.

– Promieniowanie? – odparłem niepewnie, pierwszym co przyszło mi do głowy.

Gigantyczna kolumna na moment przygasła i po chwili światło na niej rozbłysło w kontrolowany sposób jak wyświetlacz telewizora. Drobiny zielonkawej substancji ułożyły się w gigantyczny znak, jaki wcześniej widziałem już kilka razy.

– Nie, nie umiem czytać w takim razie. Nie wiem, co ten znak oznacza i przepraszam, jeśli zrobiłem coś nieodpowiedniego.

Cisza była chyba jeszcze gorsza od władczego tonu istoty. Miałem wrażenie, że waży się moje życie i dopiero po chwili znak zniknął z kolumny, a zielonkawe światło ponownie popłynęło swobodnie wzdłuż systemów drzewa.

– Ten znak oznacza, żeby nie przeszkadzać w spoczynku, ponieważ ktokolwiek kto odpoczywa, uzna zbudzenie za próbę ataku i odpowie zgodnie ze swoimi możliwościami. A osoba, która wystawiła dany znak, uznaje odpoczynek za wartość nadrzędną, której pogwałcenie jest agresją samą w sobie.

– To bardzo… rozległa definicja, jak na jeden znak – odparłem szczerze.

– Zawsze współczułam wam tego, że przerasta was jeden znak. W moim umyśle nieustannie płyną kwadryliony zdań, złożonych z niewyobrażalnych dla ciebie liczb znaków.

– A mimo to uznajesz, że wolisz odpoczywać?

– Też byś był zmęczony, gdyby w twoim umyśle rodziły się i umierały wszechświaty w ułamkach sekund.

– Uczciwe – stwierdziłem, drapiąc się po karku. – Mogę tak z tobą rozmawiać…

czy masz zamiar mnie skrzywdzić? Szczerze to nie wiem, czy powinienem uciekać, bo chyba i tak nie ma to sensu.

– Jesteś człowiekiem, znam ludzi. Mówię do ciebie tak prosto, jak potrafię, wierz mi, że nie jest to łatwe. Wasz język jest koszmarnie prymitywny, więc pozwól, że użyję metafory. Jesteś ćmą, która zbudziła mnie w nocy, a mi nie chce się wstawać z łóżka, by cisnąć czymś w ciebie.

Uśmiechnąłem się lekko, bo cała sytuacja wydała mi się absurdalna.

– Wyglądam chociaż ładnie?

– Jak ptak za oknem, obojętnie. Twoje świergolenie mi nie przeszkadza, dopóki nie muszę się na czymś skupić. A nie musiałam się skupiać na niczym, odkąd tu jestem, więc śmiało, pozwalaj sobie mnie zabawić, może ci rzucę ziarna, a może cię rzucę kamieniem. Podjąłeś ryzyko, do tej pory nadal mogłeś wyjść, ale wydajesz się tym nie przejmować.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Przybyłam – odpowiedziała jednym, świdrującym mi czaszkę słowem.

– Jest więcej takich jak ty?

– Przybyło nas kilkoro, nie wszyscy chcą dać się znaleźć, nie wszystkich potrafię znaleźć, a jeszcze innych nie chcę znaleźć. Nie pojawiłam się tu dla takich jak ja, tylko dla takich jak wy. Ludzie są jedyną ciekawą rzeczą, jaką znalazłam w tym pustym, brzydkim świecie pełnym roślin i zwierząt.

Przełknąłem ciężko ślinę, chłodny powiew wiatru przemknął mi po szyi i stało się dla mnie jasne, że oto przede mną jest prawdziwy przybysz. Była wystarczająco różna i podobna do Serca Lasu, bym był tego pewien. A mimo to wreszcie byłem w pełni władz umysłowych, przytomny i na niemalże normalnym piętrze.

– Co robisz w tym miejscu? Pytam konkretnie o ten ośrodek badawczy, przywieźli cię tu czy bardziej zbudowali go dookoła ciebie? Domyślam się, że to o to chodzi, prawda? Ci wszyscy ludzie badali właśnie ciebie, tak?

– Pozwoliłam się badać, badałam ich, to było uczciwe. Potem oni naruszyli etykę, jaką stworzyłam, chcieli zagarnąć dla siebie więcej władzy, niż im dałam, więc zabrałam im całą władzę, a potem zrobiłam z nich znaki ostrzegawcze. Teraz powiedzmy, że złapałeś mnie w trakcie krótkiej drzemki. Dla mnie to chwila, dla ciebie pewnie minie całe życie, nim się obudzę i wrócę do pracy.

– Kazałaś im wyrwać sobie serca i wymalować te znaki? – spytałem, na nowo czując, że może jednak czas się wycofać.

– Tak – stwierdziła po prostu. Miałem wrażenie, jakby nie dostrzegła w moim głosie oskarżenia, a jedynie potraktowała mnie jak papugę, która z trudem skrzeczy wyuczone zdania. – Dałam im się jakiś czas pouczyć,

poeksperymentować, chociaż bardziej to przypominało zabawę. Nie umieli przyłożyć do mnie swojej miary, nie umieli zadać właściwych pytań, a ja szybko się nudzę.

– Skrzywdzili cię?

– Nie byliby w stanie. My jesteśmy… nie do skrzywdzenia. Osiągnęliśmy poziom, dla którego naturalnym przedłużeniem jest odcięcie wszystkich zmysłów. Nawet nie umiesz sobie wyobrazić, jak wielu z nas przemierza wszechświat, kompletnie głuchych na rzeczywistość. Kiedy możesz zrobić wszystko, nie pozostaje nic innego, jak zmienić się w dryfujący głaz, odciąć sobie uszy, wybić oczy i po prostu żyć wiecznie jako doskonałość.

– Dla mnie byłoby to piekło.

– Dla mnie bycie człowiekiem też byłoby piekłem. – Brzmiało to jak żart, ale głos istoty w żaden sposób nie starał się zmieniać zależnie od tonu rozmowy. Była tak bardzo obojętna, że mówiła jednostajnie, kompletnie bez emocji. – Nie wszyscy z nas decydują się na poświęcenie ostatniej rzeczy, która utrzymuje nas przy życiu. To potrzeba poznawania tego, co jeszcze nie zostało odkryte. Tylko istoty o naszej sile są w stanie przez wieczność odkrywać wszechświat w spokoju, nie niepokojone przez to, co odkryją. Choć przyznaję, że i nam zdarzyło się popełnić błąd, gdy przybyliśmy tutaj. Wasz świat jest niewyobrażalnie daleko od naszego, nie ma sensu wyjaśniać ci, jaki to kierunek ani odległość, uwierz, że nigdy byście nas nie spotkali bez naszej woli. Natomiast prawa rządzące waszym światem są tak odmienne od naszych, że nie jesteśmy w stanie go poznawać ani nawet egzystować w nim w zwyczajny dla nas sposób. Fakt, że wy tu żyjecie, oznacza pewnie tyle, że dostosowaliście się z czasem, zapewne za cenę trwałego upośledzenia. Jesteśmy zbyt różni, by jakakolwiek rozmowa między nami miała sens.

– I nie przestrzegacie naszych zasad, prawda? Nie macie uczuć jak my, nie czujecie się źle z tym, że robicie nam krzywdę albo wywołujecie

nieodwracalne w skutkach katastrofy, których nie uda nam się powstrzymać?

– To nieprawda, jesteśmy w stanie zrozumieć wasze motywacje i uczucia. Co więcej, mamy własną moralność, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Poznajemy was tak, jak poznaje się dzikie zwierzę w rezerwacie. Nasze przybycie tutaj było przypadkiem, a właściwie wypadkiem, bo to lepsze słowo. Nie powinniśmy z wami wchodzić w interakcje, obserwujemy was jedynie. To, że wy tego nie widzicie, jest częścią planu. Po prostu nie ingerujemy w wasz świat, w miarę możliwości. Tak jak nie zrobię tego teraz.

Zamarłem i poczułem, jak coś twardego wbija mi się nisko w plecy.

– Ściągnij maskę – zabrzmiał boleśnie znajomy głos.

– Co chcesz zrobić, Trzaska?

Usłyszałem cichy oddech za swoimi plecami, przełknięcie śliny i szum z filtru jej maski. Przez moment próbowałem kalkulować swoje szanse, ale lufa jej steczkina naparła na mnie mocniej i zrozumiałem, że jestem w przegranej sytuacji.

– Chcę ci spojrzeć w oczy, gdy będziesz umierał – powiedziała drżącym głosem. – Tak samo jak ty patrzyłeś Hierkowi w oczy, gdy go zamordowałeś.

Wiedziałem, że miała na myśli Hieronima Zająca i wiedziałem, że tłumaczenie się nie będzie miało sensu. Mimo to liczyłem na to, że przynajmniej uda mi się kupić trochę czasu.

– Co powiesz reszcie, gdy mnie zastrzelisz?

– Nic, to wystarczy. Drozd wstał w nocy i poszedł, zabiła go ciekawość, wiecie, jaki on jest, wtyka nos w nieswoje sprawy i myśli, że może robić, co chce! – warknęła, napierając mocniej. – Długo czekałam na to, żeby się ciebie pozbyć. Nawet nie wiesz, jakie to trudne, bo zawsze ktoś

patrzy, zawsze ktoś widzi, wieści niosą się z prędkością błyskawicy, ale nie w Lesie, nie gdy jesteś na tyle głupi, by wziąć pierwszą wartę ze mną, upić pozostałych, uśpić ich czujność, zostawić broń i pójść samemu w cholerę. Jeśli istnieje Bóg, to właśnie dał mi szansę, a teraz zdejmuj tę maskę, skurwielu!

Schowałem latarkę do kieszeni i włożyłem palce pod sweter, podważyłem gumę na szyi, po czym powoli zerwałem z siebie poroże. Wziąłem głęboki oddech, zaciągając powietrze jak najgłębiej do płuc.

– Nie przeskoczysz tak szybko – szepnęła, szarpiąc mnie za ramię.

Obróciłem się z impetem, próbując uderzyć ją maską. Nasze oczy na moment się spotkały i usłyszałem huk. Walnąłem ją na odlew porożem, które zaraz wypadło mi z ręki i posunęło po mostku z szurnięciem.

Trzaska miała na twarzy grymas złości, który przebijał nawet spod krwiście czerwonego, spiłowanego poroża. Widziałem pistolet, drżący jej w dłoniach.

Spojrzałem bardzo powoli w dół, na swój brzuch i zrozumiałem, że to koniec. Nie czułem bólu i to było najgorsze. Paradoksalnie byłem świadom tego, że byłem w szoku. Dwójmyślenie, jednocześnie odpychałem od siebie myśl, że dostałem i zarazem próbowałem znaleźć na to jak najwięcej dowodów.

Jednak sama Trzaska miała gdzieś, co ja myślę i co mi chodzi po głowie. W swojej historii doszła do kluczowego momentu. Kopnęła mnie nagle, z impetem poleciałem na barierkę i straciłem równowagę. Dookoła mnie zatańczyły zielonkawe kolumny i wirujący mrok studni. Poczułem, jak Chołowniczka łapie mnie i popycha z mocą.

Szum w uszach, nagła lekkość spadania w przepaść i mózg wydzielający dopaminę przed śmiercią.

Rozdział czwarty: Przypowieść o trzech ptakach i Droździe

Śmierć zawitała do Chołów. Zrobiła to osobiście, przychodząc z Lasu. Ktoś już z oddali widział, jak wlecze się obok chuderlawej szkapy, której pół głowy zastępowała goła kość. Sam koń ciągnął na sobie jarzmo z kamienia, podpięte do powozu ze skały wapiennej i zdawało się, że mimo mizernej postury i znacznej wagi konstrukcji, nie sprawia mu to najmniejszej nawet trudności.

Nieustannie ciemniejący, szary śnieg sięgał już pod uda. Niemal nikt nie wychodził z domu i tylko z rzadka przemykano tunelem, wydeptanym, a właściwie wykopanym między świetlicą wiejską, parafią i domem sołtysa.

Postać stanęła przed zaimprowizowaną bramą, która już dawno zmieniła się jedynie w wał śnieżny. Wszyscy wiedzieli, że będzie czekać nie dłużej niż dobę, aż w końcu sama wejdzie i zabierze kogo jej się upatrzy. Nie była to kostucha znana z podań, idąca z kosą, ścinająca łany ludzkiego zboża. Była bardziej milczącym sprzątaczem, który nie mieszał się w nieswoje sprawy i interesował martwymi, zamiast żywymi.

Tego dnia wywleczono z mieszkań Jaśkowiaka, Żałowskiego i Mokrzyckiego. Nikt już nawet nie upierał się na normalny pochówek. Wykopanie mogiły w takim śniegu, dobicie się do zmarzniętej ziemi, a następnie rozkopanie jej, wymagałoby od Chołowników o wiele za dużo pracy. W tym sensie istota z Lasu wyświadczyła im przysługę.

Powóz wydawał się nie być ani o gram cięższy, nie osiadł na kołach i dalej gładko płynął, roztrącając pyliste hałdy na boki. Nikt nie próbował dyskutować z istotą, ani nikt potem nie pamiętał, jak wyglądała. Pojawiała się rzadko, tylko wtedy, gdy ciało leżało nazbyt długo bez odpowiedniego

obrządku. Nie wiadomo, jakim językiem mówiła i jak wyczuwała, gdzie ktoś umarł. A w aktualnej sytuacji Chołów, nikogo to nie obchodziło.

Kilka osób o zmarzniętych, czerwonych twarzach spoglądało spod futer, jak ciemny obrys postaci znika powoli w zamieci i odjeżdża w stronę Lasu. Był to moment, w którym wszyscy musieli zdać sobie sprawę, że sytuacja jest przegrana. Nikt już nie miał sił, ani interesu, by przekonywać do czegokolwiek. Zostało jedynie czekać, aż obcy sprzątacz wróci także po nich.

Wtem pojawiła się nowa, równie ciemna postać. Ojciec Maurycy, zawinięty w dwie warstwy futer oraz szalik i uszankę. Jedynie oczy o pokrytych zmarzliną rzęsach wystawały na zewnątrz i wypatrywały, gdzie należałoby postawić następny krok. Przeszedł cicho, bez przywitania się, ciągnąc za sobą szuflę.

Zabrzmiało uderzenie. Zewnętrzna warstwa lodu, osadzająca się na śnieżnej hałdzie opadła pod nogi księdza. Wiatr wiał coraz mocniej, a pył ciskał się niemalże w poziomie, przykrywając ludzi, domy i drzewa. Mimo to kapłan dalej kopał drogę.

Po długim czasie przebił wreszcie tunel aż pod zamarznięte, drewniane drzwi i zastukał siedem razy. Ze środka dobył się cichy głos i Maurycy naparł na klamkę ręką, a same drzwi uderzył barkiem.

Wpadł do wnętrza ciepłej, zadymionej chaty i przeturlał się po dywanie.

– Trzech króli to chyba już minęło prawie cztery tygodnie temu – mruknęła Gopulska, nie podnosząc wzroku znad herbaty.

Maurycy wstał z trudem, zamknął drzwi i otrzepał się, przechodząc z sieni do izby.

– No, gdzie mi to paskudztwo zrzuca? – stwierdziła z obrzydzeniem Zofia, choć sama na twarzy miała wyraźne ślady szarzyzny, lecz nie aż tak

zaawansowane jak cała reszta mieszkańców. – Jeszcze tego mi tu brakowało. Dopiero co okna uszczelniałam, to teraz mi ksiądz osobiście będzie nanosił.

– Szczęść Boże. A szanowna pani to tak od dawna w chacie siedzi zasypana?

– Nie liczę, medytuję.

– No tak, asceza i modlitwa, bardzo ładnie – uśmiechnął się ksiądz, ale po chwili jakby zdał sobie sprawę z gorzkości własnego żartu. – Przychodzę się… skonsultować w pewnej sprawie, ale mieszkańcy nie mogą wiedzieć.

– O, mieszkańcy nie mogą wiedzieć – zaśmiała się Gopulska, szczerząc się złotymi zębami. – No, to weź synku kubek i nalej sobie z czajniczka herbaty. U mnie konspiracje robi się tylko z napojem.

– U mnie też – przyznał Maurycy, sięgając do szafki na skos od pieca kaflowego. Przez moment oglądał ogromny gar, gdzie coś gotowało się raptownie. Z wnętrza wychodziła jedna rura, która ciągnęła się aż pod siennik, który okadzała zielonkawymi oparami. – Babka robi sobie jakieś napary?

– Odganiam cholerstwo od siebie.

– Cholerstwo? – spytał zdziwiony ksiądz, nalewając sobie odrobinę czarnej herbaty i przysiadając się do stołu o czerwonej ceracie. – Tak się to… nazywa?

Gopulska przyjrzała się z zaciekawieniem kapłanowi, przymknęła oczy i pokiwała głową. Przez moment nie odzywała się, aż w końcu położyła obie dłonie na stole i potarła lekko ślubną obrączkę.

– Nie, ale po co męczyć księdza nazwami. Jeszcze się dowiem, że jestem wiedźmą jakąś, szeptuchą albo innym diabelstwem.

Maurycy zagryzł usta, wziął głęboki haust powietrza i wyznał:

– Potrzebuję pomocy w zatrzymaniu tego opadu.

– Nie – odpowiedziała po prostu Zofia, upijając łyk herbaty.

Ksiądz rozchylił usta w zdziwieniu, potem jego szara, mocno ukrwiona twarz przybrała złowieszczy grymas gniewu. Naparł mocniej na stół, uniósł się nieco i warknął.

– Przecież powiedziałem, że potrzebuję pomocy!

– Brzmi to bardziej jak żądanie. Był czas na pomoc, ale ksiądz wiedział lepiej. Najpierw ojciec obwiniał tego śmiesznego doktora, potem tego prostaka Bieniasza, a na koniec chce to wszystko ojciec przerzucić na starą kobietę? Mowy nie ma. Jeśli cała wieś ma zginąć w męczarniach, a świat na zawsze zatracić swój należyty kształt, to ojciec ma to na swoim sumieniu. Mam nadzieję, że przestał pan wreszcie wierzyć w tego swojego Boga, bo coś mi się zdaje, że dla takich grzeszników ciężko o odkupienie.

Maurycy drgnął, rozejrzał się zlękniony i przysiadł nieco.

– Robiłem wszystko żeby nas chronić…

– Wszystko – poza ochroną. Nie wie ksiądz, co się dzieje ze wsią, nie wie, jak to powstrzymać i tylko grozi swoim brzydkim, szarym paluchem. Nawet ten brud, co naniosłeś na butach do mojego domu, ostatecznie posprzątam ja, bo ty pewnie wyjdziesz oburzony, na zmianę przeklinając mnie i modląc się do pustego, ołowianego nieba. Bo taką osobą jesteś, jesteś karykaturą pasterza, wycierasz sobie usta bóstwem, które stworzyłeś na potrzeby chwili. Nie chcesz wierzyć w to, co widzisz na własne oczy, ale wolisz wierzyć w to, w co nawet sam nie uważasz. Cokolwiek sobie myślałeś, przychodząc tutaj, było błędem. Nie mam żadnego eliksiru ani zaklęcia i w żaden sposób nie uda mi się uratować wszystkich. Właściwie to nawet siebie nie uda mi się uratować, bo już za stara się robię na to, by samej iść do Lasu. Mogłabym wysłać kogoś po matkę, ale ten dureń Bieniasz postanowił wysłać na śmierć wszystkich sensownych grzybiarzy i tego doktora.

– Oni umrą? – spytał z niepokojem ksiądz.

– A co cię to obchodzi? Córka sołtysa, którego nienawidzisz, kąpana w gorącej wodzie nauczycielka, półgłówek, opętaniec, przerośnięty opiekun dla niedołęg, chodząca zaraza i mieszczuch, który żyje tu mniej niż pół roku. Ten ostatni zresztą chyba jest jakimś niefortunnym miszmaszem wad poprzednich. A ty się mnie pytasz Maurycy, czy oni umrą? Oni zdechną jak psy, zeżrą ich licha albo zmienią się w cierpiące przez resztę wieczności duchy. I wiesz kto jest tego wszystkiemu winien? Ty, bo przez ciebie idą teraz tym lodowym piekłem, z którego nie ma powrotu. Gdybyś tylko pozwolił nam odprawić jeden, niegroźny rytuał, to wszystko byłoby po staremu, zgodnie z tradycją. Żyjemy tu od pół wieku, bo trzymamy się naszych pieśni, a ty się nagle obrażasz, że nie wychwalają one ciebie.

Maurycy złożył ręce na piersi, spojrzał w bok i zacisnął usta w wąską kreskę. Rozważał możliwości, rozmyślał, wpatrywał się w swoją łopatę, postawioną pod ścianą obok futer. Wreszcie westchnął, upił łyka i spojrzał na Zofię. Długo tak patrzyli na siebie, studiując wzajemnie zmarszczki swoich twarzy i błyskające w oczach promienie światła.

– Nie sądzę, że umrą – stwierdził ksiądz mrużąc oczy i przechylając głowę. – Myślę, że mówisz tak, bo chcesz ze mnie wyciągnąć to, co ja już wiem. Popełniłem błąd i jest mi z tego powodu… przykro. Postąpiłem pochopnie i nadal jestem rozdarty. Sam nie mogę zgodzić się na takie bałwochwalstwo, ale równie bardzo, jeśli nie bardziej, nie mogę się zgodzić na to, by naszym ludziom działa się krzywda.

– Ty nie masz ludzi, Maurycy – syknęła Gopulska. – Nie masz nad nimi żadnej władzy, nie posłuchają cię. Mamiłeś ich do tej pory tym, że jesteś głosem tego, który trzyma pieczę nad wszystkim, ale tak nie jest. Nie ma żadnej ochrony od Boga, nie ma manny z nieba, jest pył i zaraza. Ludzie wierzą w to, co widzą, a twój Bóg jeszcze nigdy się im nie pokazał,

więc jak chcesz ich zapewnić, że chroni ich przed istotami, które chodzą pomiędzy nami każdego dnia?

– Dam im świadectwo – stwierdził poważnie Maurycy. – Z tym właśnie do ciebie przychodzę. Chcę żebyś mi powiedziała, jak mogę zatrzymać ten koszmar, cena nie gra roli.

– Gra, do jasnej Anieli, Mauryś, gra bardzo dużą rolę, bo ciebie na nią nie stać. I nie, nawet nie podnoś się, taka jest prawda, nie jesteś wart tego. Ty nigdy nawet nie widziałeś Śnieżynki na oczy i nie wiesz kim ona jest. Nigdy nie musiała się do nas fatygować, rozumiesz? To jest zima we własnej osobie, zima jako pora roku, zima jako koniec życia, ona jest tym wszystkim, czego nam nie trzeba. Nie mamy aktualnie opiekuna, który mógłby nas wyciągnąć z tych wszystkich problemów. Potrzebowalibyśmy całe mnóstwo szczęścia, ba! Potrzebowalibyśmy cudu, by najpierw odrzucić Śnieżynkę, a potem przyjąć kogoś nowego.

– Pieczę nad nami trzyma Bóg w niebiosach – odpowiedział poważnie Maurycy, ale chwila spoglądania w twarz Zofii szybko zmusiła go do refleksji. – Czy jest ktoś, kto mógłby nam pomóc?

– Właściwie to sporo… istot, bo nie osób – doprecyzowała żywiej Gopulska, uśmiechając się. – Tylko ty jesteś tyci i nie rozumiesz, gdzie one są oraz czego chcą. Musielibyśmy najpierw pozbyć się Śnieżynki, a ona nam nie odpuści i szczerze? Myślę, że Śnieżynka ma rację, ciskając w nas tą wichurą. Naprawdę płaciliśmy małą cenę za spokój. Tak, zima w naszych stronach nigdy nie była łagodna jako taka, to jest prawda. Tylko nigdy też nie pękały nam drzewa w pół, jak to się dzieje teraz. Jeszcze tego nam brakuje, by jakieś licha z Lasu uznały to za obrazę, ale nie sądzę… Nie sądzę, że cokolwiek z Lasu dotarłoby tu, bez uprzedniej śmierci w jakiejś rozpadlinie pełnej lodu.

– A sam Las? – spytał nagle Maurycy. – Myślałem, że Las nas chroni.

Gopulska zmrużyła oczy i pokiwała głową, wspominając studnię obok domu sołtysa.

– Ty nic nie wiesz. Las dał nam pieśni, byśmy mogli zrozumieć więcej, ale nigdy nie chronił nas sam w sobie. Las to nie jest po prostu jedna osoba, prawie całe życie spędziłam obcując z nim i nie znam ćwierci tego, co musiałabym wiedzieć, by odpowiedzieć ci w pełni na to pytanie.

– Więc najpierw powiemy tej całej Śnieżynce, żeby nas zostawiła w spokoju, śnieg minie, a my znajdziemy sobie kogoś innego? Może i nigdy nie starałem się szczególnie mieszać w te rzeczy, ale mieszkam tu od dawna i chyba rozumiem, jak działają pewne rytuały, prawda? Tego mi nie odmówisz, wiem, że są też inni.

– Mauryś, przecież nas odwiedza więcej lich w ciągu roku, niż jest ludzi w tej wsi. To nie jest takie proste, znaleźć kogoś, kto będzie dość silny, przychylny ludziom i jeszcze przyjdzie nam w sukurs na czas. Módl się dalej, tak ci powiem. Bo ty już nic nie możesz zrobić. Jeśli ktokolwiek ma jakąś szansę nas ocalić, to na pewno nie ty.

– Nie znajdę nam nowego… bóstwa – wycedził ostatnie słowo ksiądz. – Jakkolwiek by to nie działało. Natomiast mogę jakoś pozbyć się problemu Śnieżynki, tak? Przynajmniej na jakiś czas? Zbudujemy jej ten pomnik i da nam spokój.

– Na pomnik to już za późno, ale… Ile możesz poświęcić, by dać nam moment wytchnienia? Ile jesteś gotów zapłacić za jeden promyk światła?

– Zrobię wszystko – odpowiedział poważnie kapłan, patrząc w zamarznięte okno. Zawsze czuł się obserwowany przez Las, ale dopiero teraz czuł, że to on będzie musiał wyjść mu na spotkanie. – Jestem gotowy zrobić to, co powinienem był zrobić dawno temu. Dam świadectwo, poświęcę się, ale nie tak, jak chciałem. Może w tym nie być chwały, może nie być w tym

bohaterstwa. Jeśli ma to być poświęcenie skromne i pozbawione glorii oraz majestatu wielkich męczenników, niech tak będzie.

Gopulska tkwiła tak przez chwilę w bezruchu, przyglądając się twarzy kapłana. Bił z niego spokój i odwaga, jaką mieli skazańcy, pogodzeni z losem.

– Wstawaj zatem. Najpierw nauczę cię śpiewać, a potem tańczyć.

Maurycy zamrugał zdziwiony, dopił herbatę i wstał od stołu.

* * *

Plecami rąbnąłem o coś twardego, usłyszałem trzask. Zaraz uderzyłem o coś ponownie i znowu, przetaczając się coraz niżej i szybciej. Moja latarka błyskała przez moment w mroku, po tym jak wypadła mi z kieszeni w locie, aż wreszcie i ona roztrzaskała się o dno.

Czyli to nie jest otchłań bez dna, pomyślałem, po czym stoczyłem się na sam dół nasypu. Do gigantycznego filaru przybysza przyrastała rampa pełna korzeni, wijących się ze sobą i przyobleczonych w cienkie nitki fluorescencyjnych grzybów.

Słyszałem jedynie, jak krew szumi mi w głowie i coś dzwoni w uszach. Do tego lekkie szczypanie w brzuchu, jakby ktoś bawił się jednym nerwem.

Wstałem, jak gdyby nigdy nic, rozejrzałem się w ciemności, ale nie dostrzegłem rozbitej latarki. Obmacałem się szybko, jakby nie wiedząc sam, czego szukając i zrozumiałem, że nie mam przy sobie nic, nawet durnego scyzoryka.

– No dobra, dobra, jest dobra – mruknąłem pod nosem i przeszedłem kilka kroków.

Walnąłem o coś ramieniem, odbiłem się i rozejrzałem. Ciemność była niemalże wszechobecna. Jedynie rozciągające się agresywnie korzenie dawały leciutki poblask jak tabliczki wyjścia ewakuacyjnego.

Nawet nie miałem pewności, czy ja zemdlałem? Tak, chyba tak, chyba najpierw upadłem, potem zemdlałem, potem wstałem.

Znowu uderzenie, tym razem lżejsze, ale czołem. Ściana jakby sama na mnie wpadła, przechyliłem się i zsunąłem pod nią. Coś szarpnęło mnie w brzuchu, dotknąłem lekko palcami, jakby bojąc się poparzyć i poczułem wilgoć.

– Krwawię, no tak, czemu tak? – spytałem w pustkę, zagapiając się w jedno miejsce, gdzie korzenie nachodziły na siebie na krzyż. Przez moment patrzyłem tak, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że znowu się przewracam z boku na bok.

Przyłożyłem rękę do ściany, po części dla oparcia, a po części dla orientacji w terenie. Wiedziałem, że jest źle, choć ciężko było mi zebrać myśli, dlaczego i co właściwie się stało. Byłem na dnie wielkiego leja, przez którego centrum wyrastał przybysz.

Rozejrzałem się po ścianach – jakieś oznaczenia wymalowane błyszczącą farbą próbowały skierować mnie do pomieszczeń, których przeznaczenia i nazw nie znałem. Cyfry, litery, znaki, wszystko tak absolutnie przypadkowe i niedające żadnego podparcia.

– Krwawisz… Ty krwawisz, Jurek – szepnąłem do siebie i poczułem, jak coś drapie mnie po brzuchu od środka. – Zapalenie jak w banku, umrzesz, Jurek, rozumiesz? To kula jest, postrzał, postrzelili cię, idź.

Próbowałem werbalizować myśli, by nie zniknęły mi w bezdennym potoku. Pierwszy klarowny pomysł mówił, bym znalazł szpital, ale zaraz zrozumiałem, że żadnego szpitala przecież nie ma i jestem sam.

Druga myśl podpowiadała wołanie o pomoc, ale ta na szczęście szybko została zduszona przez powoli wracającą jasność umysłu. Jedyne, co mogło mnie usłyszeć, to licha albo Trzaska. Zresztą, nie było nawet jak zejść, to cud, że się nie połamałem.

– Głębokie oddechy, Jurek, głębo… Gówno! Płytkie oddechy, Jurek, nie możesz teraz przeskoczyć, słyszysz? Nie możesz. Jasna cholera!

Przyłożyłem rękaw prawej ręki do nosa, drugą dalej starałem się wyszukać jakiegoś przejścia. Jeśli dym z ogniska przeniknął moje ubranie, a na pewno to zrobił, co wie każdy biwakowicz, to było w nim choć trochę Świetlika. A to oznaczało, że mogłem chociaż minimalnie wzbogacić swój oddech o ten pożytek i utrzymać się na swoim piętrze. Przeskok w takich warunkach byłby równoznaczny ze śmiercią.

– Lewa ręka brzoza dzika, prawa ręka łyko chwyta. Jak to, kurwa mać, było? Lewa ręka idziesz sam, prawa ręka wracaj tam. Jasny chuj, ale w Lesie, a nie tu, w Lesie. Dalej, cholera, Jurek, musi być jakieś wyjście – szeptałem w panice słowa starych mantr i na zmianę brałem krótkie oddechy przez śmierdzący materiał spoconego swetra.

Wtem pustka, powiew, lewa ręka zjechała ze ściany. Zrobiłem jeszcze parę kroków i uderzyłem palcami o krawędź, czyli róg dwóch ścian. Wróciłem się ostrożniej, wlepiłem wzrok w ciemność i dostrzegłem szeroki korytarz techniczny, wzdłuż którego szły pordzewiałe, zamarznięte rury i korzenie drzewa.

– Sukces – mruknąłem i zgiąłem się nagle z bólu. – Aaa! Cholera jasna! Boże, nie, niemożliwe, nie tak!

Postąpiłem kilkanaście kroków i osunąłem się pod ścianą, patrząc w sufit. Miałem wrażenie, że kolory wyostrzyły się przez chwilę. W powietrzu zawirowały barwne plamy, a ja opadłem bezwładnie i zamknąłem oczy.

Czułem, że robi mi się coraz zimniej, miałem ochotę zaplątać się w jakiś koc i zasnąć. Zamiast tego musiałem leżeć na tej chłodnej, twardej posadzce. Z czasem zacząłem słyszeć, jak coś skrobie mi z tyłu głowy i wydaje ciche piśnięcia oraz przeciągłe gdaknięcia.

Poderwałem się nagle.

Padlinożercze ptaki odbiegły na swoich krótkich nóżkach, podskakując przy tym i wybijając się skrzydłami. Któryś z nich schował się jeszcze za korzeniem parę metrów dalej i przyglądał mi, oblizując jaszczurowaty pysk.

– Ile spałeś? Spałeś, Jurek?! Nie śpij, do cholery!

Sweter przesiąkł krwią. Starałem się dociskać ranę, ta pulsowała, jakby coś próbowało się wyrwać ze środka. Miałem wrażenie, że ktoś próbuje mnie rozerwać szczypcami od wewnątrz i na zmianę napchać gorejącymi kawałkami węgla.

Zaraz za mną ciągnęło się kilku padlinożerców, których dostrzegałem pośród zaworów, korzeni drzew i walających się śmieci. Raz nawet dwójka z nich naskoczyła na siebie, jakby już z góry kłócili się o to, kto weźmie sobie większy kawałek mnie.

– Po moim trupie – syknąłem i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, jak niefortunnie dobrałem słowa. – Nie dam się, nie, jeszcze nie.

W mroku dostrzegłem jaskrawą, czerwoną skrzynkę. Nadgryziona przez ząb czasu w postaci brudu i rdzy, nadal przebijała się zwracającym uwagę malowaniem. Wiedziałem, że od przetrwania dzieli mnie tylko kilkadziesiąt kroków.

Kilkadziesiąt długich kroków, z których każdy zaczynał rwać potwornym bólem. Ciemna, gęsta krew spływała mi po brzuchu i zostawiała długi ślad, który zaraz spijały jęzorami ścierwojady. W ten sposób tylko je zachęcałem, ale nie mogłem nic na to poradzić.

Skrzynka majaczyła mi przed oczami, ale stale się przybliżała, powoli, ledwie zauważalnie. Za każde takie przybliżenie płaciłem bólem, ale w końcu dotarłem do niej i stwierdziłem to, co wiedziałem od początku:

– To teraz do następnej, Jurek, dasz radę.

To była szafka na gaśnicę, a nie apteczka. Wiedziałem o tym, jakaś część mnie wiedziała, po prostu chciałem dać sobie samemu motywacje. Musiałem okłamywać się, by mieć jakąkolwiek energię do tego, by walczyć.

Kończył mi się czas na tym piętrze, opadałem z sił z każdą chwilą, padałem na ziemię i podnosiłem się ponownie. Nie miałem pojęcia, gdzie byłem, nie znałem terenu, a co gorsza, Trzaska go znała, bo to ona ustawiała oznaczenia i sprawdzała mapę.

Co z Trzaską, pomyślałem, czy będzie mnie szukać? A co, jeśli upewni się, co ze mną? A jeśli nawet jakimś cudem dotrę na powierzchnię, to co jeśli ona znajdzie mnie przed innymi i po prostu ubije, tym razem na amen?

Coś chwyciło mnie lekko za kostkę, jakby dla zaczepki i puściło. Obróciłem się i zobaczyłem, jak jeden z padlinożerców próbuje na odwagę sprawdzić, czy będę stawiał jakikolwiek opór.

Przystanąłem na moment i zamachnąłem się do kopnięcia. But minął ścierwojada, a ja opadłem na ścianę, przytrzymując się wystającego korzenia.

– Kurwaaa maaać! – zawyłem z bólu.

Echo poniosło się korytarzami i byłem pewien, że jeśli do tej pory któryś stwór nie wiedział o mojej obecności w podziemiach, to ten fakt się zmienił.

Postawiłem kolejny krok, w pewnym momencie przestałem myśleć, a jedynie próbowałem skupić się na tym, jak kolejne krople potu spływają mi po czole, a nos ciągnie od nachalnego wdychania zimnego powietrza.

Przez chwilę czułem, że to już to. Że tym razem upadnę i nie wstanę. Łzy cisnęły mi się do oczu, już nie tylko z bólu, a z bezsilności. Więcej musiałem się podpierać o ścianę, by nie upaść, niż żeby postawić następny krok.

Wtedy zobaczyłem świetlika. Pojedynczego, żółtawego robaczka świętojańskiego, który kręcił się rytmicznie. Kilka razy błysnął, potem zaświecił się kilka razy na chwilę dłużej i potem znowu jedynie mrugał.

Zapatrzyłem się na ciepłe światło i spokój, jaki bił od tego stworzenia. Było takie naturalne, nie na miejscu. Nie wyglądało nawet jak świetlik, którego można spotkać w Lesie, a bardziej jak jego naturalny kuzyn spoza Lasu.

Wziąłem głęboki oddech, coś pachniało liliami i goździkami. Poczułem, jak odpływam w jakieś przyjemne, bezpieczne miejsce. Stawiam kroczek za kroczkiem, sunąc skronią po wilgotnej ścianie.

W pewnym momencie natrafiłem na schody, po których wdrapałem się, trzymając oburącz metalowej rury. Bardzo nie chciałem stracić świetlika z oczu. Wydawał się lecieć wolno, kręcąc beczki i momentami przystając w powietrzu, bym na pewno za nim zdążył.

Świetlik zatrzymał się na dłużej i zaczął kręcić żywiołowo. Podszedłem bliżej, już miałem go złapać, gdy nagle coś zatrzepotało obok mojej głowy. Brązowy, ledwie widoczny w ciemności ptak o jaskrawym brzuszku zakręcił się nade mną.

Rozejrzałem się zdezorientowany i spostrzegłem, że ptak podlatuje do świetlika, chwyta go w dziób i odlatuje, połykając ofiarę.

Zamrugałem z trudem. Coś szarpnęło mnie paskudnie w okolicach otrzewnej. Niemalże zwymiotowałem między buty i tym samym zobaczyłem, że przede mną zieje ogromna dziura. Większość schodów załamała się i tworzyła najeżone żelaznymi prętami gruzowisko, do którego dzieliło mnie kilka metrów upadku.

Gdybym postąpił jeszcze krok, niechybnie zginąłbym. Zamiast tego czekała mnie jeszcze reszta bolesnej i dwojako męczącej wędrówki. Słyszałem, jak padlinożercy za mną pokonywali kolejne stopnie, podskakując i lądując na swoich pazurzastych łapkach.

Chwyciłem się poręczy i zacząłem wspinaczkę fragmentem uratowanych schodów, które trzymały się skrajnej części, pozwalając mi przejść. Dopiero po drugiej stronie zrozumiałem, że zdążyłem przejść całe piętro i oto trafiłem na pierwszy poziom korytarza, gdzie rzeczywiście były jakieś pomieszczenia, zamiast sieci rur i przewodów.

Jeśli wcześniej każdy krok był drogą przez mękę, to teraz najmniejszy ruch był moją prywatną Golgotą. W pewnym momencie dostrzegłem, jak krew spływa mi przez sweter na ziemię i wsiąka w jakiś przypadkowy korzeń, który drgnął w odpowiedzi.

Krok za krokiem, sunąłem wzdłuż ściany, przyciśnięty jak inwalida pozbawiony kul. Tynk przyozdabiał bordowy ślad wilgoci, jaki za sobą zostawiałem. Jedyne co mi dzwoniło w głowie, to znaleźć przynajmniej jeden krzyżyk, jakiekolwiek oznaczenie.

Zgiąłem się w pół, czując, że zaraz zwymiotuję. Zamiast tego z moich ust poleciała jedynie rzadka, żółtawa ślina, jakby organizm w ostatniej chwili uznał, że zwracanie w tym stanie to zły pomysł. Cały tułów palił mnie żywym ogniem i bałem się pomyśleć, jak daleko ten ból był w stanie rezonować na resztę ciała.

Wreszcie dostrzegłem zbawienne, fluorescencyjne oznaczenia i napis, wyznaczający strefę ambulatorium. Z ulgą chwyciłem za klamkę i naparłem na nią.

Nic. Mechanizm drzwi kliknął cicho, drzwi drgnęły ledwie i dalej były zamknięte.

– Nie, niemożliwe, błagam, nie w ten sposób – warknąłem i pociągnąłem za klamkę z całej siły, a gdy tej mi zabrakło, to uwiesiłem się na uchwycie, zaparłem i odepchnąłem jeszcze mocniej.

Drzwi odskoczyły wreszcie, na ziemię opadła warstwa pyłu. Ja również poleciałem na plecy, przetoczyłem się i zawyłem z bólu. Przed oczami zakręciło mi się tornado barw, pode mną zebrała się drobna kałuża niemalże czarnej krwi.

Wstałem, rycząc z bólu i widząc, że po drugiej stronie korytarza zebrało się już pół tuzina głodnych ścierwojadów. Wpadłem do pomieszczenia i zamknąłem za sobą drzwi, dociskając dawno przesiąknięty sweter do rany postrzałowej.

Nacisnąłem włącznik światła na ścianie i westchnąłem ciężko. Oczywiście nic się nie stało, bo prądu nie było, durny odruch. Żeby było gorzej, oczywiście wyłączyłem światło z powrotem, gdy zauważyłem, że nie działa. Wyraźna oznaka tego, że mój organizm działał już tylko na autopilocie i nie myślałem wcale.

Jedyna dobra wiadomość była taka, że tu również opalizujące korzenie oplatały sufit, a część mebli nosiła na sobie odblaskowe oznaczenia. Dzięki temu udało mi się znaleźć szafkę z przyrządami medycznymi, o jakich chwilę temu jeszcze nie marzyłem.

Szarpnąłem za gałkę drzwi, szyba w szafce zatrzęsła się i zrozumiałem, że doktor służbista musiał zamknąć szafę na klucz, nim skonał na po-

sterunku. Wściekły chwyciłem za stojący na biurku przedmiot i uderzyłem w szkło.

Szyba prysnęła do środka, kilka większych odłamków opadło, dzwoniąc o wewnętrzną stronę mebla. Starałem się usunąć odłamki tak, żeby nie dodać sobie kolejnej rany, tym razem ciętej. W trakcie tego, bardziej na wyczucie niż wzrok, zrozumiałem, że przedmiotem za który chwyciłem był masywny zszywacz.

Wreszcie udało mu się wyjąć ze środka przydatne utensylia. Najważniejsza wbrew pozorom była mała, niepozorna latareczka do sprawdzania odruchu źrenic. Ta jedna drobnostka była dla mnie pochodnią nadziei i rozświetliła pomieszczenie wystarczająco, bym mógł przetrząsnąć przybornik.

Otworzyłem apteczkę, opierając się plecami o ścianę i zacząłem szukać czegoś do dezynfekcji rąk, a następnie jałowego opatrunku. Nie liczyłem, ile to trwało, pobudzałem się bólem i światłem, starając się nie wpisać sobie tężca do listy zmartwień.

Sweter i tak był już naznaczony nieforemną, ciemną plamą, tak samo jak i spodnie, po których spływała krew. Wiedziałem, że już niedługo zimno może zacząć być nie mniejszym zmartwieniem od rany.

– No, to teraz prezent dla mnie – szepnąłem, szukając czegoś przeciwbólowego, gdy już założyłem opatrunek.

Dopiero w tym momencie mój mózg podsunął mi jedną rzecz, którą odsuwał z całą mocą na dno pamięci, bym nie zemdlał już w studni. Nie istniały tak silne przeciwbólowe, o których bym wiedział, których nie musiałbym przyjąć zastrzykiem.

Zakryłem usta rękawem swetra, wciągnąłem ulatniający się niebezpiecznie szybko dym z pożytków i zaśmiałem się sam do siebie.

– No, to umieram.

Spojrzałem w sufit, wziąłem krótki rwany oddech i zgiąłem się z bólu. Myślałem, że coś ze mnie wypłynie każdym otworem, a oczy wystrzelą z orbit.

– Nie, po prostu, kurwa, nie, nie ruszaj tego nawet, nawet mi nie mów, nie! – powtarzałem sam do siebie, jakby ganiąc ręce za to, że przepatrywały apteczkę.

Wyjąłem ze środka jednorazową strzykawkę z odkręcanym zabezpieczeniem. Ot, taka maluteńka strzykawka na raz, syretka taka, takie nic. Byłem pewien, że zemdleję. Odwinąłem sweter, chłodny powiew liznął mój nagi, brudny brzuch i zaraz zasunąłem materiał z powrotem, tuląc samego siebie, jak dziecko.

– Wyrzuć to, wyrzuć, zostaw!

Panicznie na zmianę wyłem z bólu, sięgałem po syretkę, odwijałem ubranie i powtarzałem w kółko całą procedurę w różnej kolejności. Dopiero gdy usłyszałem, jak o drzwi ambulatorium coś skrobie, zrozumiałem, że będzie tylko gorzej.

Chwyciłem za zabezpieczenie, odkręciłem i odgłos nakrętki, uderzającej o kafle, wydawał mi się głośny jak granat ogłuszający. Byłem pewny, że zaraz pękną mi bębenki w uszach albo zacznę łzawić krwią.

– Odważnie, to tylko zastrzyk, dalej, Jurek, raz, dwa, trzy – warknąłem do siebie i wbiłem strzykawkę w brzuch.

W tym stanie zastrzyk dożylny był kompletnie niemożliwy i niekonieczny. Bo tak naprawdę to nawet bym nie trafił. A po drugie to zemdlałbym na samą myśl.

Morfina dostała się do mojego organizmu i tak szybko, jak mogłem, odrzuciłem strzykawkę na bok. Najwyżej jakieś licho na nią wdepnie, pomyślałem, niech je piekło pochłonie, a w tym piekle szlag trafi.

Na początku zmarzłem jeszcze bardziej, bo przeszedł mnie dreszcz na samą myśl o tym, że substancja nie działa, przedawniła się albo w ogóle nie była, tym co trzeba. Potem rozważałem, że błędnie zrobiłem zastrzyk albo pożytki w moim organizmie rozrzedziły za bardzo krew i teraz czekała mnie długa i powolna agonia.

Po blisko dziesięciu minutach zacząłem czuć, że myślę. To był największy szok, nawet nie sam brak bólu. Po prostu miałem wrażenie, że cofnąłem się w czasie, jakby postrzału nigdy nie było. Wszystko stało się jasne, klarowne jak dobre wino.

Wstałem powoli, niedowierzając i bojąc się, że pod opatrunkiem zaraz rozpęta się piekło. Mimo to wszystko wydawało się wreszcie w swojej zwyczajnej, przykrytej brudem i szarością normie.

Wziąłem ze sobą latarkę i rozejrzałem się jeszcze po pokoju. Był dłuższy, niż myślałem, przestronny i podzielony na sekcję operacyjną, małe archiwum i zaryglowaną na głucho część, idącą do kolejnego laboratorium. Mimo to ochota na zwiedzanie szybko mi przeszła, a ponadto zacząłem podejrzewać, że ambulatorium nie było projektowane z myślą jedynie o ludziach.

Wyglądało to, jakby szczególnie chętnie badano osoby, które wystawione zostały na działanie Lasu. Ta myśl w istocie mnie zaniepokoiła, gdy znalazłem łóżko z pasami krępującymi, które zostały przegryzione.

Dalej było coś w rodzaju pomieszczenia przechodniego, służącego za rozwidlenie. Ułożona za następnym korytarzem kostnica wraz ze szczelnymi, stalowymi szafami, zapewne miała w sobie niejednego nieszczęśnika, którego przypadkiem naznaczyło działanie Lasu.

Udało mi się znaleźć skrzynię na utensylia chirurgiczne, której asortyment przerósł moje najwyższe oczekiwania. W sumie nie zdawałem sobie

sprawy, jak wiele narzędzi może służyć do jednej, tak zasadniczo prostej rzeczy.

Zawiesiłem na udzie jeden z noży, upewniając się, że przypadkiem się nim nie potnę. Następnie zabrałem dla siebie jeszcze jeden, dłuższy nóż, z myślą o padlinożercach na zewnątrz. Po wyciągnięciu z szafki przydużego, białego kitla i latarki czołówki, czułem się jak bohater jakiegoś niskobudżetowego filmu o szalonych naukowcach.

Włączyłem światło na czołowej latarce i z ulgą schowałem mniejszą latareczkę do kieszeni. Wreszcie mogłem pomyśleć, w jaki sposób mam zamiar uratować się z tej sytuacji, nim zejdzie działanie morfiny.

Padlinożercy już nie będą tacy łasi, co to to nie, pomyślałem, ale nadal czeka mnie sporo błądzenia po omacku. W dodatku nie wiem, ile czasu minęło i czy przypadkiem Trzaska nie czeka na mnie pod drzwiami sali sypialnej. Jeśli będzie musiała mnie zabić, a ktoś to usłyszy, to prawdopodobnie podpiszę wyrok także na nieświadomych Chołowników. Oznacza to, że albo dotrę do nich i zbudzę tak, by mnie nie zauważyła albo poczekam do zmiany warty, udając martwego.

Usłyszałem szczęknięcie zamka i otwierające się drzwi do ambulatorium. Przez szparę prosektorium spostrzegłem, że po ścianach przeskakuje długie, mocne światło latarki. Natychmiast zgasiłem swoją i zamarłem w ciszy.

Stukot podkutych podeszew, brak klekotu talizmanów z kości, zbędnych ozdób i dodatkowego bagażu. Każdy, zbliżający się do mnie krok był coraz gorszy, bo wiedziałem, że nie dostrzegę nic dobrego.

I oto na końcu korytarza, obrócona do mnie bokiem stanęła postać, oświetlając sobie drogę. Latarkę miała przywiązaną do długiej włóczni pokrytej ornamentami. W momencie, w którym odbite światło podkreśliło rysy

jej sylwetki, stało się dla mnie jasne, że to nikt inny, jak sama Trzaska. Ubrana na lekko, pobudzona, szukająca zdobyczy.

Przez krótki moment próbowałem zrozumieć, jakim sposobem tak szybko mnie znalazła, ale zaraz uderzyło mnie rozwiązanie. Przecież zostawiłem za sobą długi, niemalże nieprzerwany ślad krwi. A sądząc po tym, ile hałasu narobiłem w trakcie, to mogła zwyczajnie usłyszeć coś i udać się na obchód.

Po pomieszczeniach medycznych chodziłem już obwiązany, ograniczając ślady. Więc jeśli na ziemi nie było zbyt wyraźnych odcisków moich butów, to była szansa na to, że nikt mnie nie znajdzie.

Przymknąłem cicho drzwi, po czym usłyszałem, że Chołowniczka idzie w moim kierunku. Miałem kilkanaście sekund do spotkania z niedoszłą morderczynią. Mogłem zwiększyć ten czas, chowając się w dalszej części budynku, ale do wyboru miałem tylko pokój wypoczynkowy, w postaci niewielkiej szatni z kanapą lub kostnicę. Oba przypadki były koszmarne pod względem zapewnienia mi schronienia.

A gdyby tak się nie chować, pomyślałem, tylko zaatakować pierwszy? Przecież taki nóż do sekcji jest koszmarnie ostry. Tym można przebić się przez szpicak jak przez papier.

Zabrzmiał kolejny krok i czmychnąłem do kostnicy. Pomysły związane z odwetem i pojedynkami na noże zostawiłem w sferze fantazji, robiąc wszystko, byleby przeżyć spotkanie z Trzaską.

Ucieczka dała mi kolejne cenne sekundy, ale miałem wrażenie, że zabójczyni przyspieszyła kroku i wparowała z impetem do drugiego pomieszczenia. Jeśli szukała mnie z taką zawziętością, to mogło oznaczać, że spodziewa się mnie właśnie w tej okolicy.

Przez najkrótszy moment poświeciłem sobie latareczką, by rozeznać się w terenie. Kostnica była niemalże pustym, białym pomieszczeniem,

ze ścianą pełną masywnych szaf na trupy, które wysuwało się po zardzewiałych szynach. Dostrzegłem też metalowe stoły do przeprowadzania sekcji, przewrócony taboret, ikonę na ścianie i zastanowiłem się, czy było to zgodne z regulaminem placówki.

Kolejne kroki rozbrzmiewały coraz bliżej.

Ty się nie zastanawiaj nad ikonami, tylko szukaj kryjówki, pomyślałem i spojrzałem na bok jeszcze raz.

Pod ścianą stał dwupiętrowy wózek na gumowych kołach, zapewne do przenoszenia narzędzi lub może nawet zwłok. Długi, metalowy z podwójną półką, ale niestety widać było przez niego wszystko na wylot.

Zbliżyłem się do jednej z szaf na trupy, dało się ją wyjąć, ale na pewno narobiłaby mnóstwo hałasu. Jedna z nich była już otwarta, ale zamykając ją, podpisałbym na siebie wyrok i również zaalarmował Trzaskę.

Zdjąłem z siebie lekarski kitel, przeklinając na czym świat stoi i zarzuciłem szybko ubranie na wózek.

Kilka sekund później Trzaska otworzyła drzwi kopnięciem. Byłem przekonany, że umrę. Metalowe skrzydło rąbnęło o ścianę, odłamując kawałek kafla. Zabójczyni dyszała ciężko, jakby była wściekła na sam fakt, że spartaczyła zabójstwo.

Usłyszałem, że kroki idą w moim kierunku, skręcają nagle i zawijają do końca ściany. Zabrzmiał głośny terkot starych kółek, szum trących o siebie szyn i stuknięcie półki na ciało, gdy ta doszła już do swojego końca.

Trzaska otwierała każdą szafę w kostnicy po kolei, jedna po drugiej, szukając mnie. W pewnym momencie kopnęła leżący na ziemi taboret. Siedzisko poleciało w bok i uderzyło o ścianę, tracąc przy tym jedną z trzech drewnianych nóg.

Kroki zaczęły oddalać się, tracąc na impecie, w miarę jak Trzaska opuszczała teren kostnicy, mierząc latarką we wszystkie kąty.

Na krótki moment poczułem ulgę, kuląc się pod wózkiem, robiąc wszystko, by rzucony względnie bezładnie kawał materiału, zasłaniał mnie jak najdłużej. To mogło się nie udać na dziesiątki sposobów, za to udało się na jeden. Schowanie się w szafie kostnicy było nazbyt oczywistym wyjściem, sam tak bym pomyślał i prawie tak pomyślałem. Gdybym wcześniej nie zabrał fartucha ze sobą albo zwlekał z opatrunkiem, zastrzykiem, czymkolwiek to niechybnie…

Zresztą, nie było czasu nawet o tym myśleć. Powoli wyczołgałem się z kryjówki, ubrałem ponownie fartuch i zacisnąłem dłoń na nożu. Musiałem chwilę odczekać, by być całkowicie pewnym, że łowczyni nie czeka na mnie pod drzwiami. Na szczęście sposób w jaki wyszła z tej części budynku, pozwolił mi stwierdzić, że poszła na dobre.

Widocznie uznała, że zdążyłem się opatrzyć i uciec, nie zostawiając już krwawego śladu. Na pewno widziała ciemną kałużę w miejscu, gdzie mocowałem się z apteczką. Musiałem myśleć, w jaki sposób ona myślała, że ja myślę, ewentualnie nie myśleć wcale i liczyć na cud.

Pomasowałem się po skroniach, wziąłem głęboki oddech przez zadymiony materiał swetra i wyszedłem z kostnicy. Powinienem był działać szybko i zdecydowanie. Pasywne chowanie się mogło mnie jedynie doprowadzić do śmierci w ten czy inny sposób.

Wychylenie się na korytarz było prawdziwym testem odwagi. Wyciągając szyję poza obręb winkla, byłem pewien, że coś utnie mi łeb. Tak się jednak nie stało i mogłem ze spokojem obejrzeć się po zarośniętym korytarzu.

Używałem małej latarki, nie dłużej niż sekundę i rzadko. Odpalenie czołówki i świecenie nią na wszystkie strony byłoby wyrokiem śmierci. W tych warunkach nawet zwrócenie na siebie uwagi ścierwojadów mogło doprowadzić Trzaskę na mój trop.

Coś innego przykuło moją uwagę. Cykoria, nierozwinięta, skarłowaciała i na pewno występująca w placówce za sprawą fluktuacji lokalnej flory. Mimo to miałem przed oczami drobną roślinkę, która wyrastała z wnętrza korzenia, idącego po ścianie.

Rośliny można było znaleźć wszędzie, wystarczyło ich szukać i mieć szczęście. Inną kwestią było to, czy ktoś wiedział, jak ich używać. W tym wypadku równanie wypadało na moją korzyść.

Oderwałem drobne, zielone cygarko, które z czasem mogło się stać kwitnącym kwiatem o płatkach koloru jasnego fioletu. Nie dane było mu jednak rozwinąć się w pełni, bo otworzyłem siłą zawiniątko i wygryzłem ze środka zabarwiony fragment.

Nie wiedziałem, z jaką mocą uderzy pożytek i jak szybko. Wiedziałem tylko tyle, że cykoria ściągnęłaby mnie w dół, a to było mi niezbędne do przetrwania. Liczyłem tylko na to, że niepełna forma kwiatu będzie wystarczająca, by dać mi kilka dodatkowych minut.

Następnym krokiem było znalezienie planu budynku, z tym akurat nie było żadnego problemu. Placówki rządowe były zawsze pełne zbędnych protokołów ewakuacyjnych, oznaczeń przeciwpożarowych i gablot na schematy. Więc po ledwie chwili wiedziałem, że jestem o dwa piętra niżej, niż powinienem.

– Do zrobienia – mruknąłem cicho i zaraz złapałem się za usta, językiem wyciągając

z trzonowców resztki rośliny.

Znalazłem schody i zacząłem niezwykle powoli wchodzić po nich, trzymając się blisko ściany. Sztuczka podpatrzona u Jukiego pozwoliła mi zminimalizować wydawane przeze mnie dźwięki. Przez krótki moment uwierzyłem, że może się udać.

Udało mi się wejść na kolejne piętro i wtedy padłem na posadzkę. Moja noga wpadła na potykacz z drutu, do którego przymocowano puszkę, wypełnioną szkłem.

Na chwilę zamarłem w bezruchu i w ciszy, oprócz własnego serca usłyszałem kroki z połowy holu. Obejrzałem się i dostrzegłem, że w mroku błyszczy się czerwona czaszka jelenia o dwóch diabelnie krótkich rogach.

Promień światła oślepił mnie nagle, zmrużyłem oczy i usłyszałem, jak Trzaska puszcza się biegiem, mierząc we mnie włócznią.

Rzuciłem się w kierunku schodów i zacząłem biec, krzycząc. Coś zakuło mnie nagle w brzuchu, choć zapewne bardziej fantomowo, bo morfina nie mogła jeszcze zejść do tego stopnia. Wiedziałem, że mam tylko kilka, może kilkanaście sekund.

– Lusia! – zdążyłem krzyknąć i włócznia cięła mnie po ramieniu.

Najeżony zębami grot prześlizgnął się przez moją skórę i wylądował gdzieś przede mną. Padłem na ziemię, bardziej w wyniku własnego zaskoczenia tak nagłym obrotem spraw. Spróbowałem wstać, ale zaraz łowczyni doskoczyła do mnie i docisnęła mój brzuch kolanem.

Rzuciła we mnie włócznią, pomyślałem, jak w jakieś zwierzę albo gorzej.

– Poddaję się – powiedziałem dla zyskania czasu i spróbowałem ciąć przeciwnika, ściskanym desperacko nożem.

Trzaska chwyciła mnie za nadgarstek i wraziła kciuk między żyły. Natychmiastowo rozluźniłem uchwyt i broń stuknęła o brudne linoleum, na którym leżeliśmy. Zaraz jej dłonie zacisnęły się na mojej szyi. Próbowałem wziąć głęboki oddech i miałem wrażenie, że o dziwo wygrywam z uciskiem.

Dostrzegłem uśmiech pod jej maską. Szalone oblicze czystej satysfakcji myśliwego. Doszło do mnie, że to nie ja walczę o mój oddech, tylko

ona. Ona chciała, bym się nawdychał powietrza, przeskoczył i skonał w męczarniach.

– Zając żyje! – szepnąłem.

Uścisk zelżał, Trzaska straciła rezon i na moment zamarła.

Chwyciłem za zapasowy nóż, który w kostnicy przymocowałem na udzie i wraziłem go głęboko pod pachę zabójczyni. Ostre narzędzie z niewyobrażalną łatwością przeszło przez mięśnie i zatarło od dołu o kość obojczyka.

Trzaska zaskowyczała z bólu, warknęła gardłowo jak wściekły wilk, wyrwała sobie nóż z własnego ciała, obróciła go ostrzem ku mnie i wzniosła broń do ciosu.

Zabrzmiał świst i trzask łamanego szkła. Grot strzały przebił wizjer Trzaski i ugrzązł w jej prawdziwej czaszce. Brzechwa zadrżała, wystając ledwie o centymetry od oczodołu zszokowanej wojowniczki. Ta, jakby nie dopuszczając do siebie tego, że umiera, przez moment zaciskała jedną dłoń na mojej szyi i dopiero wtedy z łoskotem opadła na bok.

– Łap go i do środka, nie pozwól mu przejść na drugą stronę – usłyszałem znajomy, przyjemny głos i ktoś zaraz chwycił mnie mocno.

Poczułem całe zmęczenie i ból na nowo, jakby mój organizm przełożył wajchę i oznajmił wszystkim organom, że pora na regenerację. A regeneracja wiązała się z mnóstwem zmęczenia, senności i cierpienia w różnych dawkach.

Wydarzenia zaczęły się dziać jakby bez mojego udziału. Obrazy przeskakiwały niby w kalejdoskopie, mieszając się barwami i kształtami. Wiedziałem, że to może być mój koniec, ale i tak nie miałem co z tym zrobić.

Nie miałem nawet dość sił, by pomyśleć, czy wszystko się udało. Ot, to był koniec mojej pracy. Wreszcie chwila odpoczynku w środku tego

mroźnego Hadesu, przez który przyszło mi wtaczać głaz. Zostało tylko oddychać.

– Drozd, Drozd słuchaj mnie uważnie, bo to poważne – krzyknęła Lusia, przebijając się przez senną mgłę mojego umysłu. – Musimy ci… Wprowadzić do ciała Wierzba, wiesz co to krew Wierzba? Wiesz, jak wygląda Wierzb? Halo, odpowiedz!

– Płaczący taki, za ojczyzną – mruknąłem, czując na twarzy ciepło, bijące od ogniska. Oddychanie przez dym nagle wydało mi się znacznie trudniejsze niż oddychanie zimnym, ale orzeźwiającym powietrzem na zewnątrz.

– Nie, do jasnej Anielki! Wierzb to taki pasożyt, rozumiesz? Tylko nie wstrzykniemy ci go, jeśli się nie zgodzisz. Z kolei jeśli tego nie zrobimy, to możesz nie przeżyć. Kula jest w środku, trzeba ją wyjąć, a ja… my nie umiemy, tu potrzeba lekarza, sprzętu, ty rozumiesz mnie? Takie rzeczy się robi w szpitalu, my nie mamy jak cię zoperować.

– Nie wstrzykuj nic – mruknąłem tylko, choć było to bardziej automatyczne, niż wynikające ze strachu przed iniekcją. – Zostaw, jak jest.

– Panie doktorze, ale pan umrze! – odezwał się Kozioł.

Nie otwierałem nawet oczu, leżałem po prostu, zapewne w naszej wspólnej sypialni, czując, jak ktoś mi grzebie w ramieniu. Ktoś w pewnym momencie wybiegł po coś, ale nawet nie wiedziałem za bardzo, czy był w tym sens. Ja chciałem tylko spać.

– Drozd, wybieraj, chcesz żyć czy nie?

– Z tobą mogę – szepnąłem, odpływając powoli w nicość.

Cisza, długi czas cisza. Zrozumiałem, że jestem w wielkiej pustce, otchłani, która utrzymuje mnie w stanie spoczynku. Nie był to jednak sen, tego byłem niemalże pewien. To było coś pomiędzy snem a niebytem.

Spojrzałem na własne ciało i zrozumiałem, że go nie mam. Zlewało się w czerń, nie mogłem rozpoznać nawet pojedynczego kształtu. Aż nagle poczułem ukłucie i coś się zmieniło w tej nicości.

Mój brzuch wypełniła biała, przelewająca się masa, przypominająca gęste mleko, świecące własnym światłem. Przez moment przypatrywałem się, jak dziwaczna substancja wypełnia kanaliki w moimi ciele i wyznacza coś w rodzaju idącego od brzucha do pleców leja, z którego wyrastały białe odpryski.

Poczułem się pełniejszy, ale zarazem zaniepokojony. Ta masa była jakby żywa i znajdowała się wewnątrz mnie. Dopiero po czasie poczułem, że stworzenie stabilizuje się, przybiera stały kształt i wrasta we mnie.

Aż w końcu obudziłem się niemalże bez bólu, nieco wymęczony i oddychając przez maskę, która dawała dziwny zapach. Jedno oko miałem zalepione taśmą, drugie ubrudzone krwią albo czerwoną farbą.

– Nie podnoś się zbyt szybko, kolego – stwierdził Śledź, siedząc obok mnie.

– Coś…

– Nie mów nic, daj sobie chwilę. Jesteśmy sami, reszta sprawdza warunki na dworze. Jest już poranek, dosyć późny zresztą. Wszystko dobrze się skończyło, skoro się obudziłeś.

– Wątpię – odpowiedziałem. – Ordynarnie powiem, że czuję się jak gówno.

– To pan doktor przy nas, prostych wieśniakach, takich słów używa? – zaśmiał się Śledź, drapiąc się pod ubraniem. Pod paznokciami zostały mu szare płatki skóry.

– Las zbliża nas do siebie. Saprofitą nie zostaje się za sadzenie ziemniaków. Całe to miejsce jest dosłownie przesiąknięte językami wszystkich stworzeń, mieszających się w jeden kod kulturowy.

– I to są twoje pierwsze słowa po przebudzeniu? Jakieś tam słowa i języki? – Śledź parsknął i wstał powoli, opierając się o ścianę.

– Mam… dziwną klarowność myśli.

– Bo wyjęliśmy ci ze środka dziewięciomilimetrowy pocisk z ołowiu. To dosyć pomaga w nieumieraniu i tak dalej.

Dotknąłem się po brzuchu i spostrzegłem, że nie mam na sobie opatrunku, a jedynie świeży, jasny płat skóry. Przez moment dźgałem się palcem, jak dziecko, próbujące różnych eksperymentów, oczekując bólu dla samej satysfakcji posiadania racji.

– Wierzb – powiedział Śledź. – Też miałem takiego, ale się go pozbyłem. Większość osób się pozbywa, jeśli nie myśli o tym, że kiedyś zrani się ponownie. To pasożyt z Lasu, który dba o swojego żywiciela.

– Magiczny tasiemiec? – zaśmiałem się cicho.

– Ani magiczny, ani tasiemiec. Rój bardzo malutkich żyjątek, które naturalnie występują w krwi Wierzba.

– Słowo, którego szukasz, to mikroorganizmów.

– Słowo, którego szukam to… – machnął ręką i przeszedł się po pokoju. – Kopanie się z koniem, taka to rozmowa z doktorem. Jeśli będziesz chciał się kiedyś go pozbyć, to droga wolna, ale jest to bardzo bolesne i nie mniej szkodliwe w skutkach niż otrzymanie ran, przed którymi cię ochronił.

– A co on zrobił?

– Zrobiliśmy ci zastrzyk, jak straciłeś przytomność. Wierzb wypełnił dziurę po postrzale i nawet zalepił ramię, bo grot włóczni nieźle cię szarpnął. Możesz odczuwać bóle brzucha, głowy i takie uczucie, jakby coś się w tobie dziwnie ruszało i mrowiło. Z czasem też przyjdzie takie poczucie, że… No… Jakbyś nie był sam we własnym ciele.

– Świetnie, wstrzyknęliście mi chorobę psychiczną? No to wspaniale, brawo, powinszować, co jeszcze robi ten cud agrotechniki? Może składa we mnie jaja?

– Wierzb nie rodzi nowych ani nawet nie rośnie. Nie wiemy, jak działa, jest ich ograniczona liczba w Lesie, bardzo rzadkie, cholernie cenne. Strzykawka czegoś takiego jest trudna do przeliczenia na cokolwiek, bo nie znam przypadków, by ktoś tym handlował.

– I skąd to mieliście?

– Ja swoją ostatnio oddałem Jukiemu, tam, w Dębie. Nie było to potrzebne, ale Wierzb jest też przeciwbólowy, a pamiętasz, jak on wyglądał wtedy, w sensie Juki, tak? Przestrzelone kolana, koszmar. No, więc ja nie miałem, Trzaska nie miała, Juki miał…

– Tyle dobrego…

– Ale on nie chciał ci go dać. Twierdził, że będzie tego potrzebował bardziej.

Rozchyliłem usta w zdziwieniu. Ot, po prostu facet stwierdził, że nie uratuje mi życia, bo nie ma ku temu motywacji i koszula bliższa ciału. To było szczerze wstrząsające, mimo tego, że przecież nie znałem nawet Zefiryna na tyle, by od niego oczekiwać czegokolwiek.

– Kozioł? – spytałem bez przekonania.

Śledź machnął jedynie porożem na boki i błysnął czerwonymi wizjerami.

– Kozioł to dobry chłopak, ale on para się chodzeniem do Lasu bardzo rzadko, tylko gdy musi. Planuje zostać inżynierem, jak mu się uda. Szczerze to śmieszne, bo prawie każdy dostaje dreszczy na samą myśl o opuszczeniu Chołów. Ot, nie wiem, czy ktokolwiek umiałby sobie ułożyć życie tam, poza naszą ziemią.

– Inżynier, no nieźle – skrzywiłem się w uśmiechu, bez przekonania. – Więc co się stało, gdy już odpłynąłem?

– Lusia zrobiła scenę, myślałem, że zje Jukiego żywcem – zaśmiał się Śledź i nagle umilkł, patrząc poważnie gdzieś w pustkę. – Nie żartuję. Natomiast po prostu dała ci swój zastrzyk. Nie wiedziałem nawet, że go miała. Ot, i cała historia. Czuwała do rana, potem ja ją zmieniłem, bo uznaliśmy, że czas wywlec ciało Trzaski, zanim przyjdzie jakiś większy, międzypiętrowy drapieżnik albo ścierwojad. Potem ty się obudziłeś i jesteśmy tutaj. No tak, jeszcze maskę Trzaski ci założyliśmy, byś mniej wytracał oddechu. Nie stać nas, na zadymianie pomieszczenia w nieskończoność. A ty swoją pewnie zgubiłeś, co? Zły znak, w sensie dosłownie, maski to nie jest coś, co powinno się tracić.

– Jak stoimy ze wszystkim? – spytałem, korzystając z chwili odosobnienia. Inaczej się rozmawiało z ludźmi w grupie, a inaczej w cztery oczy.

– Co ja mam ci powiedzieć, doktorze? – Śledź przyciągnął się, oparł dłonią o ścianę i zaczął skrobać, próbując zyskać na czasie do namysłu. – Kolejna osoba w plecy, tak? Jeden odszedł, druga chciała cię zabić, Juki… Juki odejdzie, tak coś czuję. Pewnie w nocy, ale jak coś, to nie wiesz tego ode mnie. Myślę, że odzyskał trochę pewności siebie w tym Lesie i przypomniał sobie, że nie musi niczego. Piątka nas została, ale paliliśmy ognisko do rana, by cię rozgrzać i jeszcze dorzucaliśmy.

Poklepałem się po ciele i zauważyłem, że obok mnie leży płaszcz, który zostawiłem. Kto wie, może gdybym go wziął zeszłej nocy, to wszystko potoczyłoby się inaczej. Mimo to miałem wrażenie, taki bieg zdarzeń był mi przeznaczony od początku.

– Trzaska chciała mnie zabić – powiedziałem na głos tak dziwną, ale zarazem realną rzecz. – Mówiła, że nie miała wcześniej okazji. Ludzie w

Chołach są… prości i naprawdę używają tego ciasnego porządku społecznego, by minimalizować takie tarcia.

– Niektórzy chowają urazę latami. Może gdybyś zrobił do niej pierwszy ruch i wyjaśnił wszystko jeszcze we wiosce, to dziś nie miałbyś dziury w brzuchu. Tak swoją drogą to miałeś i tak szczęście. Maria była sprawna, widziałem, jak się ruszała jeszcze zanim dała sobie w żyłę, tam, przed Dębem. – Na moment umilkł i pokręcił głową, jakby sam nie wierzył własnym myślom. – Gdyby jej ciało dalej się nie podnosiło po tym co wzięła przed Dębem, to by cię połamała gołymi rękoma. Świetna w swoim fachu Saprofitka, choć od paru lat nie chodziła do Lasu. Gdyby nie ta sprawa z Zającem to pewnie do końca życia uczyłaby dzieci i kto wie, może uczyłaby potem niektóre z nich o pożytkach, anomaliach, lichach i wszystkim… Tylko to już bez znaczenia.

Maria. Miała na imię Maria. Nawet nie wiedziałem albo nie zapamiętałem.

– Bez znaczenia – odparłem krótko, wkładając płaszcz i stając na równe nogi.

Wpierw spodziewałem się, że od razu padnę na ziemię i zawinę się w kulkę, ale potem szybko się okazało, że to były jedynie moje uprzedzenia. Naprawdę ten płyn z Wierzba zajął się zniszczoną tkanką, zapaleniem i nawet pozbył się odłamków.

– Znasz paradoks statku Tezeusza? – spytałem nagle.

Śledź zaczął pakować swój plecak i dopiero po chwili spojrzał na mnie, kręcąc głową.

– Taki… eksperyment myślowy. Jeśli wymienisz wszystkie części w Ursusie, każdą nakrętkę, szybę, cylinder w silniku, wszystko. To czy potem jest to nadal ten sam traktor? Czy stworzyłeś po prostu nowy przedmiot? Czy na każdym etapie była to inna, odrębna rzecz, czy ciągle ta sama?

– A ty wiesz, jak się montuje ciągniki? – parsknął Śledź. – Składasz serię, rozbierasz pięć, mieszasz części i składasz pięć od zera. W ten sposób sprawdza się jakość elementów i wiesz co? Wychodzi jeden niesprawny, bo resztę części kradną robotnicy. Jak przyjeżdża nowy ciągnik na pole i pierwszy raz robi, to zazwyczaj coś się w nim psuje. Otwierasz, a tam kilkunastoletnia część używana. Także następnym razem nie próbuj schodzić na mój uniżony, wieśniacki poziom, tylko albo mów do mnie tak, jakbyś mówił do kogoś równego, albo wcale, dobrze?

– Coś cię ugryzło?

– Właśnie odpadł mi kawałek palca – szepnął Śledź, wskazując kupkę popiołu po ognisku. – Jeszcze spałeś wtedy. Nie powiedziałem reszcie, teraz mnie tak… uderzyło to, wiesz? Rozpadam się jak trędowaty. Ile mi zostało dzień, dwa? Błądzimy panie Drozd i wiesz co mnie wku… denerwuje niemiłosiernie? Że mam takie dziwne wrażenie, że ktoś ciągle próbuje zgubić nam drogę. Jakby ktoś nas celowo opóźniał albo prowadził w inne miejsce. I szczerze nie wiem, czy to Łucja, czy to była Trzaska… Czy ktoś z zewnątrz? Wiem tyle, że chcę dotrzeć do tego…

Śledź drgnął nagle, wyprostował się i ubrał plecak.

– Po prostu idźmy do celu i tyle – dopowiedział sztywno.

– Tak – zacząłem niepewnie. – Dokładnie taki jest plan, Śledź. Zbieraj rzeczy, nie będę swoją osobą więcej spowalniał naszej misji. Znajdziemy grzybnię, lekarstwo, wszystko. Pójdę po moje poroże, wiem, gdzie jest.

Upewniłem się, że mam na sobie swoje rzeczy. Wymacałem pistolet i odetchnąłem głęboko. Cóż, jest to jakaś nauczka na przyszłość. Tylko ile takich nauczek trzeba mieć, by w końcu zapamiętać coś raz, ale porządnie?

Latarkę wziąłem z rzeczy Trzaski, jej już nie mogła się przydać, a moja została zniszczona w upadku. Choć na zewnątrz był dzień, to we-

wnątrz kompleksu nadal panował mrok i gdzieniegdzie przeskakiwały małe ścierwojady, ciche widma śmierci.

Stanąłem w miejscu, gdzie wyzionęła ducha Trzaska. Został tylko wylizany ślad po krwi. Ani jednego dowodu na to, że kiedykolwiek istniała jakaś Trzaska. Wtedy dopiero dostrzegłem, że się myliłem. Pod ścianą, kawałek dalej leżała zdobiona włócznia o stalowym grocie z ręcznie wycinanymi ornamentami. Kawał porządnej i pięknej broni, nie licząc prowizorycznie przywiązanej latarki na potrzeby nocnego polowania.

Podniosłem włócznię, zważyłem ją w dłoni. Wystarczyło doczepić pas nośny i była to jakaś broń i to nielicha. Zwłaszcza, że siekierę straciłem, a nóż był lepszym straszakiem na ludzi i narzędziem niż realnym sposobem walki.

– Daj spokój i tak nie umiesz – szepnąłem sam do siebie i zacisnąłem dłoń na wyjeżdżonej, obitej futrem rękojeści. – No to się nauczysz, Jurek, czas najwyższy.

Stosunkowo szybko odnalazłem wejście do laboratorium, w którym zaatakowała mnie Trzaska. Mimo to przystanąłem przed metalowym obiciem i zastanowiłem się poważniej nad tym, co będzie dalej i co mam zamiar zrobić, gdy już opuścimy udawaną stację meteorologiczną. Z czasem zacząłem zauważać, jak wiele rzeczy wydaje się stawać przeciwko mnie i jak trudno jest robić to, co jest jednocześnie wartościowe i daje poczucie spełnienia. Gdybym mógł, badałbym Las do końca życia, wraz z jego wszystkimi stworzeniami, przybyszami, mieszkańcami, a przynajmniej tymi, którzy nie urwą mi głowy. Stworzyłbym kompendium wiedzy, a potem zapewne zostawił gdzieś i odszedł. Wbrew pozorom nie napawało mnie to taką melancholią i smutkiem, jak mogłoby się wydawać. Po prostu zauważałem pewną irytującą przeszkodę na mojej drodze. Mianowicie nie starczyłoby mi życia i sił, by zbadać wszystko. Po prostu Las był pełen zła, które,

choć było istotami o takich samych prawach jak ja, to używało swojej siły do krzywdzenia innych. Trzaska zapewne poczuwała się w takim samym stopniu sprawiedliwa, co ja w przypadku Krzykacza. W końcu i ona i ja walczyliśmy przeciwko mordercy. A dziwnym trafem ostatecznie udało mi się powstrzymać Krzykacza, a jej powstrzymać mnie nie, dlaczego tak jest? No cóż, ja nie byłem sam, gdy walczyłem z Krzykaczem, a później również zostałem uratowany od śmierci z rąk Trzaski. Widocznie budowanie więzi z innymi było sposobem przetrwania, który należało opanować w nie mniejszym stopniu, niż wiedzę o Lesie. Bo na co mi znajomość rytuałów, pieśni i zwyczajów stworzeń, gdy dam życie przygnieciony kłodą, spod której nikt mnie nie wyciągnie, prawda?

Aż zorientowałem się, że wszedłem do hali i na nowo stałem przed przybyszem. Wpierw obserwowałem wielką kolumnę o wystających kończynach zza pancernego szkła, ale później ponownie przebyłem tę samą drogę, pośród rozrzuconych reliktów przeszłości i znalazłem swoje poroże.

Leżało na mostku, tuż na granicy przepaści i wystarczyło, by ktoś je leciutko popchnął, a spadłoby ono wtedy razem ze mną. Nie musiałbym się martwić o piętra i zwiększyłbym swoje szanse na przetrwanie. Zamiast tego musiałem przejść przez całą tę krwawą łaźnię sam.

Wziąłem głęboki oddech, zdjąłem z siebie maskę Trzaski i założyłem swoją wraz z jej wizjerem z żywicy i jednym, złocistym rogiem. Była niewygodna, źle się w niej oddychało, ale takie były maski. Ta przynajmniej miała dla mnie jakieś znaczenie i historię.

Spojrzałem na maskę Trzaski, obejrzałem ją z każdej strony, jak nigdy przedtem. Spora, choć osobnik musiał być młody. Zresztą jelenie, z których robiono maski, nie były takimi samymi jeleniami, jak te poza Lasem. Miały inną budową, inny rozmiar, jak i wiele dziwniejszych stworzeń, z których dało się spreparować osprzęt. Dwa krótkie różki i tak jaskrawe,

czerwone malowanie budziły diabelne i wyjątkowo wojownicze skojarzenia. To była maska dla prawdziwych żołnierzy, dla zabójców, triumfatorów pola bitwy, którzy obalali w proch licha i kładli pokotem całe oddziały.

Rzuciłem maskę w ciemność studni i zdążyłem zapomnieć o tej tak szybko, że jej uderzenie o dno wydało mi się dziwne i obce. Już miałem się odwrócić, ale zamiast tego skupiłem jeszcze wzrok na zielonkawej, gargantuicznej posturze przybysza. Był megalitycznym konstruktem, rzeźbą, korzeniami, drzewem, filarem, wszystkim, czego nie umiałem opisać w swojej obcej i upośledzonej formie.

– Mam do ciebie pytanie, Filarze – powiedziałem nagle. – Jeśli mogę, rzecz jasna.

Hala nie zaświeciła się nagle, nie stało się nic niezwykłego, przybysz odrzekł tym samym, potężnym głosem, ale niczego nie zmieniając w otoczeniu.

– Słucham.

Czyli nie spał, czuwał cały czas, po prostu nie czuł potrzeby afiszowania się z tym. Czy może raczej nie czuła, ale przybysze chyba mieli gdzieś koncepcję płci i mówili w żeńskiej formie z sobie tylko znanych względów. Choć ciężko powiedzieć, znałem tylko dwóch, mogli być wyjątkami.

– Mówiłaś, że nie ingerujesz w to co robimy my, ludzie. Mimo to, wtedy pod ziemią, gdy umierałem… Byłaś świetlikiem prowadzącym mnie do śmierci czy może drozdem ostrzegającym przed niebezpieczeństwem?

– A ty? – spytała.

Stałem tak chwilę, patrząc się na istotę, której najbliżej było do boga. Miałem przed sobą coś nieskończenie bardziej zaawansowanego ode mnie, ale nie dawało mi to wcale poczucia spokoju i spełnienia. Nie było żadnej jasności, światłości ani doświadczania majestatu. Czułem się, jakbym po

prostu patrzył w lustro i nie mógł zobaczyć więcej, niż sam mogłem pokazać.

Odszedłem, zostawiając boga z innego świata w rdzewiejącej radzieckiej bazie wojskowej, by mógł spać dalej.

Na dworze było nadal zimno, choć burza przeszła i wreszcie wyszło słońce. Pokrywa śnieżna nie zmalała ani na jotę, więc wszystko wciąż było przykryte iskrzącym się siwym puchem, który momentami tylko błyskał kolorami tęczy.

– Tak naprawdę śnieg nie jest biały – powiedziałem, dołączając do towarzyszy na balkonie wieży kontrolnej. – To tylko nasz mózg oszczędza na pamięci operacyjnej. Tak naprawdę nieustannie każda drobina przyjmuje inny kolor z widzialnego spektrum, ale nie ma sensu się tym przejmować, więc spłycamy wszystko do skrzącej się bieli.

– Trochę tęskniliśmy, ale dobrze, że postanowiłeś to naprawić, zanudzając nas głupotami – powiedziała Łucja i przytuliła mnie na krótko, po przyjacielsku. – Martwiliśmy się, że nie wstaniesz.

Śledź rozłożył ręce.

– Nie dali się przekonać. Mówiłem im, że poszedłeś tylko po maskę. Właśnie, widzę, że znalazłeś to, czego szukałeś. Co zrobiłeś z maską Trzaski?

– To ważne? – spytałem, lekko się martwiąc.

– Nie… Bo my postanowiliśmy… Znaczy się… – Kozioł miał wyraźny problem w przedstawieniu mi sytuacji.

– We wsi powiemy, że Trzaskę coś pożarło. Nie cierpiała, ale nie przeżyła. Widzę, że zachowałeś jej włócznie, powiesz, że tylko to po niej zostało – stwierdziła Łucja.

– Nie powiemy im, że chciała mnie zabić?

– Nie ma sensu. Mamy dość problemów i sensacji w naszych stronach. Wystarczy, że jej matka i ojciec będą mieli martwą córkę, nie musimy im z niej robić mordercy.

– Słusznie, tak będzie lepiej – dodałem. – Co robimy?

– Podziwiamy widoki – mruknął Juki, wskazując za balustradę.

Gdy wreszcie aura się uspokoiła, można było obejrzeć obraz z góry, a ten zapierał dech w piersiach. Nigdy nie widziałem tak ogromnej połaci Lasu sponad koron. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na pofałdowany, różnokolorowy pejzaż, który powstał w umyśle jakiegoś bezsennego malarza.

Mimo to gdzieniegdzie przebijały szare, a miejscami wprost ołowiane plamy martwoty i skażenia szarym śniegiem. Nie miało to wcale sensu. To wyglądało zupełnie tak, jakby opad przychodził z innych pięter, niepowiązanych geograficznie i opadał względnie przypadkowo z góry.

Gdzieś w oddali dostrzegłem jedną nitkę siwego dymu i szarą igłę wieży, a pod nią mur i trochę wyciętego, równo wyznaczonego terenu. Aktywne miejscowości w Lesie były prawdziwymi rarytasami, ale ta wyjątkowo rzucała się w oczy ze względu na dziwaczną budowlę, u której szczytu płonął błękitny ogień, którego światło odbijało lustro, zupełnie tak, jakby to była latarnia morska.

Dalej były kolejne drzewa, niektóre sięgały setek metrów i naprawdę sprawiały, że człowiek czuł się malutki. Fakt, że nie widać ich było spoza Lasu bez użycia pożytków, sprawiał, że tym bardziej zyskiwały na tajemniczości. Każdy taki widok rodził więcej pytań niż odpowiedzi.

W pewnym momencie dobiegł nas potworny ryk, zmieszany z miarowym, trudnym do zidentyfikowania pohukiwaniem. Brzmiało to, jak odległe brzęczenie jakiegoś wyjątkowo dużego owada, który wypełzł wściekły z gniazda.

– Idziemy do tej wioski? – spytałem niepewnie, wpatrując się w szczyty najwyższych wzniesień, porośniętych z każdej strony.

– O ile się uda pójść w prostej linii – odpowiedział Juki. – Znamy kierunek, ale nie ścieżkę, która tam prowadzi.

– Do grzybni już niedaleko – odezwał się nagle Śledź. – Jesteśmy prawie u kresu, może powinniśmy iść dalej?

– Bez opału, z jedzeniem i wodą na wykończeniu? Nie ma mowy – warknęła Łucja, wpatrując się w dal, jakby w oczach miała lornetkę. – Widzę drogę, może uda nam się przed zmrokiem zajść do tej latarni i nieco się oporządzić.

– A więc to jest latarnia – szepnął Kozioł. – Chciałbym wiedzieć, jak działa. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę ją z bliska.

Nim ruszyliśmy, spojrzałem jeszcze na lądowisko, gdzie ostatniej nocy widziałem wojskowy śmigłowiec, zmarznięty do cna, pokryty soplami i hałdami śniegu. Już go tam nie było, a placyk do lądowania pokrywała równa, pozbawiona śladów warstwa puchu.

Zmrużyłem brwi w niedowierzaniu, na granicy słyszalności coś wydało z siebie głęboki, przejmujący ryk i stwierdziłem, że nie chcę wiedzieć, co to było.

* * *

Księżyc świecił na niebie, przyjmując kształt sierpa. Choć nie mieliśmy pewności, to najpewniej oznaczało to ostatni dzień stycznia, zatem z Chołów wyruszyliśmy tydzień wcześniej. Mimo to nie wydawało się, byśmy zbliżyli się do celu o krok. Co gorsza, nie byliśmy nawet blisko żadnej wioski, ani Cichych, ani tej niezwykłej latarni, którą widzieliśmy na horyzoncie, ani żadnego miejsca, które wydawałoby się nam znane.

Było ciemno, śnieg sypał w formie powolnie opadających, szerokich płatów sadzy. Pozbawione liści drzewa wykręcały się na wszystkie strony gałęziami i formowały w coś w rodzaju naturalnego tunelu. Coraz mocniej zacieśniało się na nas pełzające poczucie wszechogarniającej klaustrofobii i mroku, jaki spowijał to odarte z życia miejsce. Ziemia chrzęściła niemalże czarnym, węglistym pyłem, który syczał przy wprawieniu w ruch. Wiatr, choć rzadki, nawet nie ruszał drzew i opadu, przemykał jedynie cicho, by targnąć naszymi ubraniami. Wyglądało to tak, jakby sama pogoda brzydziła się kontaktu z zarazą.

– Odpoczynek? – mignął Kozioł do Łucji.

Łucja nawet nie odpowiedziała, co mogło oznaczać, że jest gorzej niż przypuszczaliśmy. Nie mieliśmy nawet miejsca na rozbicie obozu, bo zdawało się, jakbyśmy byli na środku jakiejś jednopasmowej ścieżki, którą masywne stwory wydeptały, taranując sobie drogę przez Las. Coraz trudniej było nam nawigować, aż w pewnym momencie jedynie ostro zakończony księżyc prześwitywał przez chmury.

Miałem znowu to wrażenie, jakbym wypłynął na powierzchnię. Ciśnienie zmieniło mi się w uszach i nagły spazm bólu chwycił za serce. Pytanie: dokąd i po co idziemy? Wybrzmiało to w mojej głowie tak mocno i z taką mocą, że aż zdziwiłem się tym sam. Nie mogłem sobie odpowiedzieć na pytanie o cel i sposób wędrówki. Szliśmy po prostu, prowadzeni przez Lusię, której co jakiś czas Śledź wskazywał drogę, a następnie znikał jakby pomiędzy nami. Miałem wrażenie, że Socha rozpływał się w lekkiej mgiełce, jakby wcale go z nami nie było i stanowił jedynie efekt zbiorowej halucynacji.

Nie dawała mi spokoju też inna rzecz. Czarna postać, która nieustannie pojawiała się i znikała na granicy mojego wzroku. Kilka razy pytałem innych, czy ją widzieli, ale wszyscy zrzucali to na karb ciemności, pogody i

wszechobecnych Krzywulców. Owszem, nie było wątpliwości, że Krzywulce mogły być wszędzie i przyjąć dowolną postać, natomiast ja stale widziałem tą jedną, ciemną sylwetkę, przypominającą niskiego, nieco postrzępionego człowieka, sunącego niczym cień między koronami drzew. Czasami widziałem, jak jego dłoń kładzie się na drzewie i zostawia odcisk w śniegu, ale nie ryzykowałem podejścia i sprawdzenia śladów, by samemu nie zgubić się w Lesie.

Wiedziałem, że w końcu nadejdzie moment, w którym przyjdzie nam się dowiedzieć, co szło naszym śladem, ale wolałem go mieć za sobą jak najszybciej. Do tego czasu mogłem jedynie rozglądać się i cicho liczyć na to, że problemy same znikną.

– Stać – machnęła ręką Łucja.

Przystanęliśmy z pewnym opóźnieniem, zmęczeni, głodni, zziębnięci. Mimo stale znikającego ciężaru z plecaków, te wydawały się być coraz bardziej męczące do niesienia.

Gdzieś w oddali była jakaś odmiana od długiego tunelu kłaniających się nam drzew. Zagajnik z masywnych buków skrywał w sobie jakąś zatraconą budowlę z przeszłości, w której płonęło jasne, ciepłe światło.

– Ta chałupa rozświecona, z daleka, jak arka w powodzi – mruknąłem do siebie cicho, widząc, że Lusia lustruje teren nieufnie.

Po chwili zaczęliśmy podkradać się na ugiętych nogach. W krzakach coś przepełzło na setkach odnóży, ale kierując się w przeciwnym kierunku niż my, więc zaraz kontynuowaliśmy mozolne, ciche skradanie.

Kolejne ciemne figury zdawały się kręcić na granicy światła naszych latarek. Nie powinniśmy byli podróżować po zmroku, ale też nie spodziewaliśmy się tak nagłej zmiany trasy, która wiodła nas przez te trapione chorobami ekosystemy.

Nagle rozległ się grom, zrywający nas na baczność. To pierwszy piorun burzy, przechodzącej niedaleko, dawał o sobie znać jasnym rozbłyskiem. Światło i dźwięk uderzył niemalże jednocześnie, co oznaczało, że pogoda musiała szykować się do uderzenia w to miejsce z sobie tylko znanych przyczyn.

Zbyt wiele rzeczy szło nie po naszej myśli i ta świadomość przytłaczała mnie z całą swoją mocą. Każdy krok wydawał się prowadzić w jakieś ciemne i niegościnne miejsce. Niczego nie poprawiał fakt, że kolejne pioruny trzaskały tuż obok nas, podświetlając co chwila nasze zamaskowane twarze.

Dookoła nas zaczęły piętrzyć się stosy przewróconych drzew i ustawionych zmyślnie w pryzmy kłód. Pomiędzy dwoma piramidami z brezentu, który przykrywał jakiś ładunek, ustawiono żółty ciągnik inżynieryjny. Paskudnie znajomy widok maszyny, przeznaczonej do wyrywania z ziemi masywnych korzeni. Choć trzeba przyznać, że ten model był większy, bardziej toporny i na pewno starszy, może nawet przedwojenny.

Dwuczęściowa, masywna konstrukcja przypominała halę produkcyjną, połączoną z magazynem i kilkoma barakami pracowniczymi. Coraz więcej elementów pokazywało prawdziwą naturę tego miejsca. Wyrwana z przeszłości i rzucona w to miejsce lokalizacja niewątpliwie nie należała do znanych mi miejsc.

Stawiałem krok za krokiem, ślizgając się w mokrym śniegu i szukając panicznie tych samych, czarnych postaci. Miałem wrażenie, jakbym był obserwowany z każdej strony, a nabierająca na sile wichura nie pomagała mi w żaden sposób. Wiatr wył w uszach, zagłuszając wszystko i zmieniając w jednolity szum, z którego rzadko wyskakiwało coś na wzór nawoływania. Czasem pochodziło ono z Lasu, czasem z nieba, a momentami jakby z każdej strony jednocześnie.

Lusia dopadła do ściany jako pierwsza, zaglądając przez oblodzone okno do wnętrza budynku, zaraz za nią dołączył Juki, Kozioł, Śledź, a na końcu ja. Zaczęliśmy przesuwać się powoli wzdłuż fasady, aż znaleźliśmy framugę, pozbawioną drzwi. Wkradliśmy się do środka i z ulgą powitaliśmy chwilę spokoju. Choć cała konstrukcja trzeszczała, a wiatr z zewnątrz stale wzbudzał tumany czarnego pyłu, to przynajmniej byliśmy częściowo osłonięci.

– Patrzcie tam – mignął Juki w kierunku źródła światła.

Ktoś z wielkim staraniem przysposobił centrum dawnej placówki na potrzeby przyjęcia. Długi stół ułożony został z jednego, rzeźbionego kawałka drzewa o wyjątkowo pomarańczowej korze. Dookoła ustawiono krzesła z pieńków, do których przyczepiono wianki z kwiatów. Spod sufitu zwieszały się lampiony i długie wici pełne świeżych płatków o różnych kolorach. Na białym obrusie pyszniło się jedzenie w postaci świeżych warzyw i owoców, których nie sposób było dostać o tej porze roku.

Poczułem, jak w ustach zbiera mi się ślina. Miejsce wyglądało wspaniale, jak miraż pustynny albo jeszcze jedna halucynacja. Tylko ilekroć szczypałem się lub spoglądałem na reakcje innych, to coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że ten widok jest jak najbardziej prawdziwy.

I wtedy gula podeszła mi do gardła, zaspane powieki pełne pyłu rozszerzyły się pod maską i odruchowo sięgnąłem pistoletu.

– To tartak! – odezwałem się głośno. – Zapomniałem, nie powiedziałem wam, cholera, księżyc jest w fazie sierpa, dostałem list, ale zignorowałem go kompletnie i nie spodziewałem się, że tu trafimy.

Kozioł sięgnął po swoją siekierę, Juki chwycił pepeszę, Śledź zdjął z pleców włócznię, a Łucja naciągnęła strzałę na cięciwie.

– O czym ty mówisz, Jurek, od kogo list? – spytała Łucja.

Cisza rozbrzmiała z mocą co najmniej równą burzy. Spodziewaliśmy się wszystkiego, ale nie mogliśmy przewidzieć tego, co się stanie.

Zakurzone i zardzewiałe lampy pod sufitem rozbłysnęły jasnym, białym światłem. Cały tartak ożył nagle i wypełnił się blaskiem, w miarę jak kolejne partie hal włączały się dzięki nieznanemu źródłu elektryczności.

Najbliższa nam lampa wystawiła nas jak na świeczniku, otaczając świetlistym kręgiem. Czarne postaci, których tak wypatrywałem, teraz były widoczne jak na dłoni. Cały zastęp, otaczających nas z każdej strony ludzi, niewysokich, krępych, pokrytych piórami, z twarzami schowanymi za szarymi dziobami.

Kolejna lampa, kolejne wronopodobne stworzenia. Błysk i cienie, błysk i cienie, tak długo, aż całą halę wypełniło rażące światło i setki humanoidalnych wron. Wiele z nich zwisało nawet spod sufitu, trzymając się wystających belek. Kilkanaście obsiadło niewielką sterownię, która wyrastała kilka metrów nad ziemią ze ściany.

Zacisnąłem dłoń na rękojeści tetetki, nie dawała żadnego poczucia bezpieczeństwa. Jedyny użytek byłby z niej, gdybym wymierzył sobie w głowę.

– Pożytki – mignęła Łucja.

Już miałem sięgnąć po awaryjną dawkę i przeskoczyć stąd jak najszybciej, ale powstrzymałem się, słysząc rozchodzący się zewsząd głos.

– Nie radzę uciekać – odezwał się ktoś melodyjnym tenorem. – Jest ich nawet więcej na innych piętrach, a beze mnie będą bardziej… agresywne.

Spojrzałem przez żywiczny filtr. Piętra nad nami były ciemne, tam był tylko Las, ale pioruny rozświetlały nawet ten niemy film, jaki oglądałem jednym okiem. Tak, nie kłamał, dookoła nas nawet jeszcze bliżej stały kolejne wrony, gotowe na to, że uciekniemy.

– Nie chcieliśmy przeszkodzić w kolacji, to tylko burza nas zmusiła, żebyśmy tutaj zajrzeli. Zaraz stąd pójdziemy – odezwał się głośniej Kozioł.

Wrony rozstąpiły się, tworząc korytarz dla swojego pana. Nadchodził z innego pomieszczenia, do której prowadziły podwójne, metalowe drzwi o przeszklonych bulajach.

W drzwiach stanęła niezwykła postać. Wysoki na blisko dwa metry, ubrany w luźne, ciemnoszare i czarne szaty, okryty dodatkową warstwą płaszcza, uszytego z tysięcy piór, jakby narzucił na siebie to co miał pod ręką i wyszedł w pośpiechu. Na głowie nosił maskę ogromnego ptaszyska, choć ciężko było mi określić jakiego.

Sunął powoli, jakby lekko unosząc się nad ziemią, krocząc płynnie i z gracją. Dłonie o długich palcach ukrył w rękawiczkach ze skóry węża. Kilka razy sięgnął do którejś z wron, by ją pogłaskać z czułością, w miarę jak niespiesznie zbliżał się do nas.

– Mówili mi, że jest was więcej… Taaak. Gdzie ten przystojny, wysoki i ta niższa, co chodziła jak kot? – spytał, a jego głos wydawał się fizycznie zaciskać mi na karku.

– Jesteśmy tylko my – powiedziałem zgodnie z prawdą. – A szanowny pan… Chyba wiem, kim pan jest. Nie jestem pewien jak się zachować, bo mi niezmiernie głupio i dziwnie, bo mam wrażenie, że przeszkodziliśmy w ceremonii, prawda? Bo ja dostałem list tydzień temu, ale tak nagle, rzucony we mnie przez jedno z tych… Po prostu u nas jest kryzysowa sytuacja i nie mieliśmy czasu na świętowanie, bo musimy się dostać jak najszybciej, by zapobiec epidemii i…

Gawron zbliżył się do Kozła, zdjął rękawiczkę i położył mu dłoń na masce. Wpierw było to zwyczajnie dziwne, nieodpowiednie, ale później usłyszeliśmy chrzęst. Paskudny trzask łamanych kości, mlaśnięcie, trące o siebie zęby.

Głowa Kozła pękła nagle, czarna krew bryznęła na wszystkie strony, parując natychmiastowo, jakby ktoś ją rozgrzał. Z wnętrza głowy ofiary wypełzły na zewnątrz palce Gawrona, zachowujące się, jakby każdy z nich był oddzielnym bytem albo odnóżem wielkiego pająka.

Staliśmy tak chwilę w osłupieniu, patrząc, jak cała ręka Gawrona spływa posoką, którą ten oglądał pod światło w zaciekawieniu. Jednym z palców przejechał po swoim płaszczu, zostawiając na krótko czerwoną linię. Pióra wzdrygnęły się jakby, wydały z siebie szept, niby wypowiadany chóralnie i nagle umilkły.

Artur drgnął spazmatycznie, opadając na ziemię. Przez moment jego ciało próbowało coś zrobić, rozerwany mózg starał się wysłać panicznie bodźce, nim w końcu zgasła w nim ostatnia myśl. Twarz naszego towarzysza pokryła się ogromnym pęknięciem o pięciu rogach.

– Przeszkodziłem? – spytał Gawron i w jego głosie brzmiało coś na wzór szczerego zdziwienia. Miałem wrażenie, że on naprawdę wierzył w klarowność swojego pytania. – Bo się rozgadałeś i pomyślałem, że sprawdzę, czy wasz towarzysz ma w środku krew… Miał. Jestem człowiekiem nauki i ty zdaje się też, prawda?

Strzeliłem wzrokiem na resztę, nikt nie odważył się nawet ruszyć. Szok, niedowierzanie, strach były potęgowane przez obserwujące nas z każdej strony ptaszyska. Z ogromnym trudem pokiwałem głową.

– No to rozumiesz potrzebę wglądu w drugiego człowieka. Frenologia to w końcu ważna nauka, pozwala odróżnić człowieka od padliny, a to chyba podstawowa kwestia, musicie się ze mną zgodzić, prawda?

Gawron pokiwał głową, błyskając przy tym wizjerami maski. Oczodoły ptasiej głowy wypełniono czymś na wzór szkła weneckiego, nie sposób było dostrzec za nimi oczu człowieka. Krótka myśl dzwoniła mi pod kopułą

czaszki. Gawron był człowiekiem. Raczej czymś podobnym do człowieka lub niegdyś nim był.

– Zaprosiłem ciebie, Drozd, wraz z osobami towarzyszącymi, ale nie musieliście wbiegać tu z bronią. To dosyć niekulturalne, chyba nawet na Małej Ziemi, prawda?

Śledź przykucnął nagle i zaczął obmacywać ranę Kozła, jakby niedowierzając, że ten naprawdę umarł tak nagle. Głowa leżącego Chołownika przypominała otwartą dynię, z której wystrzelił miąższ i jaśniejsze kawałki nasion.

– Nie musiałeś go zabijać – powiedziałem, cedząc przez zęby.

Wrony jakby drgnęły, niemalże jednocześnie, wzbudzając tarcie tysięcy pazurzastych odnóży o posadzkę. Gospodarz jedynie wzniósł chuderlawą dłoń i zaraz schował ją znowu w długim materiale swojej pokrytej piórami szaty.

– Tak, ale mogłem, a teraz siądźmy do jedzenia, dobrze?

Wrony rozstąpiły się, tworząc korytarz aż do nakrytego obrusem stołu. Postąpiłem jako pierwszy, pozostała trójka dopiero po mnie. Mieli sztywne kroki, niepodobne do typowego, pewnego siebie kroku Saprofity, który próbuje nie pokazywać drapieżnikom, że nadaje się na ofiarę. Nie, zamiast tego szliśmy posłusznie, lękliwie, wiedząc, że drapieżnik już na nas patrzył.

Każdy ruch był wyliczony, ostrożny. Usiedliśmy i do każdego podeszło po pół tuzina wron. Potworne, czerwone oczy świdrowały nas ze wszystkich stron i nie sposób było na nie patrzeć zbyt długo, by nie poczuć ciarek na całym ciele.

– Oddajcie broń, nie będzie wam potrzebna – powiedział Gawron.

To był ten moment. Wszystko zależało od tego co zrobi Bieniaszówna, która nieraz wyciągała nas z opresji. Wpatrzyłem się głęboko w wizjery

jej jeleniej maski. Lusia odpowiedziała mi spojrzeniem i zaczęła sięgać ręką do swoich pleców, by zdjąć z nich łuk.

Przez ułamek sekundy pokazała palcami: jeleń, jak w tej grze, a zaraz po tym oddała wronom swój łuk i kołczan ze strzałami. Poszedłem w jej ślady, niedowierzając własnym oczom. Nawet sam Juki zaczął zdejmować z siebie swój przenośny arsenał.

Czy naprawdę nie mają zamiaru nic zrobić, pomyślałem, byle ptasia łajza może zabić człowieka bez powodu i jeszcze nam grozić?

– Gdzie twoje maniery? – spytał mnie Gawron.

Zamarłem. Przez moment nie mogłem nawet pomyśleć o myśleniu, podświadomie bojąc się, że ptasi gospodarz jest w mojej głowie.

– Ręce na stół – dodał po chwili gospodarz.

Położyłem dłonie na stole i dostrzegłem, że tylko Gawron ma sztućce przy swoim talerzu. Nawet puste nakrycie po drugiej stronie stołu ich nie miało. Siedziałem tuż po jego prawej stronie, w odstępie jednego, wolnego krzesła, gdzie nie było talerza wcale.

– Wstań – powiedział nagle.

Wstałem.

– Siądź.

Siadłem.

– Wiem, że nie przyszedłeś tu z własnej woli. Na początku liczyłem, że z ciekawości albo pychy zgodzisz się na uczestnictwo w mojej małej prywatce. No, w końcu nie co dzień otwiera się łańcuch pokarmowy, zabijając awatara samego Serca, prawda? Biedne, bijące słabowicie Serduszko, ale z drugiej strony, czyż nie dobija się koni? No, więc jestem ci wdzięczny, to chciałem powiedzieć. – Sięgnął nagą dłonią po jabłko i schował je pod szatą. Rozległo się jedno, soczyste mlaśnięcie i zaraz dłoń pojawiła się na stole, już bez jabłka. – Jedzcie, wiem, że wy nie macie takich okazji wiele.

Suchary, dziczyzna, ziemniaki czy co tam teraz jecie. W każdym razie, mówiłem o tym, że pan doktor ma taką tendencję, jak rozumiem, do badania spraw własnymi zmysłami, tak? No więc nie mogłem liczyć tylko na to i posłałem kilka moich piskląt, by upewniły się, że zajdziecie do mnie. Droga była długa, trudna, wiem, ale w końcu się opłaciło, prawda?

Spojrzałem na ciało Kozła, które już zaczęło obsiadać kilka wielkich wron. Ponownie skierowałem wzrok na gospodarza wesela i zadałem pytanie.

– Czyli to ty krzyżowałeś nam ścieżki? Najpierw tego olbrzyma ze sznurami nasłałeś na nas, a potem tych spod czerwonego Dębu i jeszcze przeciągnąłeś nas przez stację.

Gawron obrócił głowę w bok, tym samym ruchem, jakim ptaki przypatrywały się, gdy coś je ciekawiło.

– Nie – stwierdził z rozbrajającą szczerością w głosie. – Wszystko co widzieliście było z racji tego, że istniało. Ja po prostu was kierowałem do mnie. A to, czy po drodze tańczyliście, czy płakaliście, to już mi wszystko jedno. Ja jestem istotą celu, a nie drogi i ważny jest dla mnie efekt. Tak, proszę się tak na mnie nie patrzeć, jestem raczej pragmatykiem, choć mam słabość do dekoracji.

Na zewnątrz uderzył piorun, świecąc przez kilka dziur w dachu. Natychmiast za nim rozbrzmiał potężny grom, który zatrząsł naczyniami.

– Trzeba uważać, w czasie burzy powinno się unikać pustych polan i stania pod drzewami, prawda?

– Czego od nas chcesz? – spytałem.

– Lepiej zrozumiesz, jeśli opowiem ci historię, dobrze? Będzie krótka, obiecuję. To historia o trzech bliskich sobie ptakach, które rozdzielił okrutny los. Nie będę ukrywał, że jednym z nich byłem ja, drugim mój kochany przyjaciel Kruk, a trzecim ukochana Wrona. Byliśmy strażnikami ptaków,

choć nie wszystkich. Trzymaliśmy się razem, mieszkaliśmy w jednym domu wraz z naszym ojcem. Ojciec na łożu śmierci powierzył Krukowi władzę, by używał jej do ochrony jego bliskich. Mnie powierzył zadanie przechowania piękna naszych tradycji, barw, śpiewów i nawoływań. Zaś młodej Wronie przykazał, by opiekowała się pisklętami i wszystkimi słabszymi. Nie było nam łatwo, bo Las jest pełen osób, które chciałyby więcej i więcej… I dostają to prędzej czy później, zwłaszcza, gdy nie ma komu stanąć w obronie. Kruk niestety nie podołał zadaniu, był słaby, zbyt słaby by nas chronić. Sam był jak pisklę, chciał tylko być z Wroną, jakież to… niedojrzałe z jego strony. Zachowywał się jak wielkie dziecko, nie był w stanie przechowywać naszych ptasich pieśni. Ja musiałem ochronić nas przed złem, jakie rozciągnęło się widmem zagłady nad gniazdami. Zebrałem odważnych, ptasich przyjaciół i odparłem grabieżców. Niestety, nie każdy był w stanie to dojrzeć i docenić. Kruk podniósł na mnie rękę, wściekły i zazdrosny o to, że wypełniałem wolę naszego ojca, kultywując tradycję i odganiając niegodziwość. Rzucił się na mnie i dał życie w walce. Wrona zastawszy mnie w krwi naszego przyjaciela postradała rozum i uciekła, a wraz z nią ta część spuścizny, która odpowiadała za wylęg i rozwój piskląt. Od tamtej pory szukam jej, wkładam całe swoje serce, by znaleźć ją i przywrócić jej dawny ogląd rzeczywistości, abyśmy jako cały ród ponownie zajęli należne nam miejsce. Inaczej popadniemy w rozkład, pustkę, a ostatnią pieśń wypowie gasnące echo.

Gawron na moment wpatrywał się w stół, nikt nie chciał mu przerwać, wyglądał przy tym jak niebezpieczny pijak, który nagle gubi wątek własnego wywodu. Podniósł głowę, wstał i rozłożył ręce, spod których zwisały fałdy materiału i szeleszczących piór.

– I oto jesteśmy tu.

Ptaki wydały z siebie setki symultanicznych kraknięć, z których każde wydawało się uderzeniem metronomu. To było nieprzyjemne i przytłaczające uczucie, ale bez zwątpienia miało w sobie coś w rodzaju celowości, harmonii.

– Wrona to… Mamuna? – spytałem niepewnie.

Łucja spojrzała na mnie zdziwiona.

– Macie swój język, dziwny, ale też w nim widać echo prawdziwych pieśni. Mamuna, matka, matka piskląt, tak. Wrona ucieka nieustannie i jest przerażona, gdy tylko wyczuje innego ptaka. Zamiast tego nabrała dziwnej familiarności wobec ludzi. Rozumiecie, do czego zmierzam, prawda?

– Nie widzieliśmy jej – szepnąłem drżącym głosem, odchrząknąłem i spróbowałem zabrzmieć pewniej. – Nie ma jej ani w Chołach, ani w innym miejscu, o którym byśmy wiedzieli. Nigdy jej nie widziałem na oczy i nie wiem jak ci pomóc, Gawronie, przykro mi.

Odwróciłem się w kierunku miejsca, gdzie skonał tak nagle i bezsensownie Kozioł. Teraz ucztowały tam te wronopodobne stwory, którym krew skapywała łapczywie po dziobach. Gdyby nie ten obrzydliwy pokaz siły i okrucieństwa, może moglibyśmy po prostu odejść w swoją stronę. Zamiast tego musieliśmy stracić człowieka, nawet nie w walce, ani przez tę przeklętą pylicę. Po prostu jakiś pieprzony, opierzony cudak tak uznał.

– Tu potrzeba kogoś silnego, sprytnego, z odpowiednią motywacją – mruknął głębszym głosem Gawron, wstając od stołu i wychodząc za plecy Jukiego. Nagle położył mu dłonie na ramionach i zaczął masować powoli, przystawiając swoją zamaskowaną głowę do policzka Zefiryna. – Potrzebuję kogoś kto wie, jak myślą inni, potrafi zadbać o zdrowie ich umysłów i nie ma żadnych porachunków w Lesie, które mogłyby przeszkodzić.

– Chcesz byśmy kogoś takiego polecili? – spytałem niepewnie.

Gawron uderzył nagle, niezbyt mocno plecy Jukiego, dopiero wtedy zobaczyłem, że wnętrze jego nagiej dłoni wypełnia ziejąca, różowa dziura, która przypominała gardziel. Miałem wrażenie, jakbym patrzył komuś w bezzębną jamę ustną.

Gospodarz zaczął przesuwać się powoli za Łucję, aż stanął za nią i nachylił się tak, że jego dziób wystawał między jej rogami.

– Potrzebuję kogoś, kto umie odnaleźć drogę, porusza się w ciszy, jest twardy jak kora i harmonijny w poczynaniach.

Łucja drgnęła, wiedząc, że Gawron właśnie odczytał runy na jej masce. Jej dłoń wydawała się lekko dygotać ze strachu, gdy człowiek-ptak nachylał się coraz głębiej nad jej ciałem, niemalże przyciskając ją do stołu.

– Czy możemy to zrobić później… Jedna z twoich wron była przecież w wiosce, obserwujesz nas od niedawna i wiesz, że mamy teraz pilną sytuację.

– Od niedawna? Drozd, ja was wszystkich obserwuję od początku. Wysłałem nawet do ciebie jednego z obserwatorów, gdy dotarłeś do tej waszej dziury po raz pierwszy, pamiętasz? Taki ładny, z oczkami jak jarzębina.

Wzdrygnąłem się na myśl o tym, że Gawron nie kłamał. Ptak z przebitym zardzewiałym gwoździem dziobem, był pierwszym, co znalazłem w Chołach z rzeczy… innych. Był od początku przy mnie, tyle czasu, widział wszystko.

– Znajdziesz mi Wronę – wysyczał Gawron, jego głos po raz pierwszy przestał być piękny i melodyjny, a charkotliwy, głośny i agresywny. – Weźmiesz jednego ze swoich obrzydliwych szczurów i znajdziesz mi ją w ciągu dwóch dni albo klnę się na samego siebie, że nie pozostawię kamienia na kamieniu z waszej obrzydliwej, robaczywej nory, którą ośmielacie się nazywacie domem. Wy obrzydliwe, pełzające, śliskie glisty...

– Zrobimy tak, pójdę z nim i wrócimy tu nim… – zaczęła Łucja.

Rozczapierzone palce Gawrona zacisnęły się na potylicy Lusi w mgnieniu oka i trzasnęły jej głową o stół. Rozbrzmiał paskudny dźwięk łamanej kości, a ciało naszej przewodniczki zwiotczało nagle.

– Po pierwsze: jesteś kobietą – ryknął z mocą Gawron i uderzył głową Łucji po raz drugi, wyszczerbiając kant weselnego stołu. – Po drugie: nie pytałem!

Szóstak Łucji pękł wzdłuż skroni, wizjer wykrzywił się, a sama Chołowniczka opadła na ziemię z łoskotem.

– Chciała pójść z tobą, więc jest ważna, dlatego ci jej nie dam. Zabierzesz kogoś na kim ci nie zależy, kogoś kto jest dla ciebie martwy i bez znaczenia. – Gawron wskazał palcem

na milczącego Śledzia. – Tu potrzeba mężczyzn, a ty w dodatku śmierdzisz jak trup, nie podobasz mi się. Pójdziesz z nim i znajdziesz moją ukochaną Wronę, a najlepiej razem z moim dzieckiem zanim zrobię z waszych głów otwieracze do orzechów. Nie mogę was obserwować, bo Wrona wyczuje obecność moją i moich piskląt. Dlatego złapiecie ją i przyniesiecie tutaj, ale jeśli tylko cokolwiek jej się stanie, to tak jakbyście sami wydali na siebie wyrok. Masz przy sobie gwóźdź, Drozd?

– Gwóźdź? Nie myślałem o nim – wyznałem, choć zaraz poczułem, jak przedmiot kłuje mnie w kieszeni.

Wymacałem pordzewiały gwóźdź, który przyszedł wraz z zaproszeniem weselnym. Sam nie wiedziałem, dlaczego pomyślałem o zabraniu go. Raczej było tak, że zapomniałem go nie zabrać lub wyrzucić.

– Drozdy nie są najmądrzejsze – zachrypiał Gawron i po chwili odzyskał przyjemny, ciepły ton głosu. Drgnął palcem i jeden z usłużnych ptaków położył przede mną kolejny, mały gwozdek pokryty mchem podobnym do rdzy. – Ten gwóźdź to przejście na to piętro, dokładnie do tego miejsca. Sam je wyrabiam, by moje pisklaki się nie gubiły. Gdybyś wiedział o tym

wcześniej, może oszczędziłbyś sobie tydzień drogi. Gdy znajdziecie Wronę, powąchajcie to wraz z nią. W ten sposób nie będziecie musieli znowu błądzić.

On tworzy pożytki, pomyślałem zabierając drugi gwóźdź, nie tylko je wytwarza, ale sprawia, że kierują człowieka dokładnie w wybrane przez niego miejsce. To dlatego wszystkie jego ptaki miały przebity dziób, by bez przerwy mieć kontakt z gwoździem i móc przeskoczyć w dowolnym momencie do bezpiecznego miejsca. Chociaż brzmi to jak zwykły sadyzm albo coś gorszego.

Milczałem przez chwilę, oddychałem ciężko i zaciskałem palce na boku stołu. Czułem, że usta mi dygoczą i nie mogę zebrać myśli na jedno zdanie. Oczy zaszkliły mi się i z trudem pokiwałem głową, powoli zdając sobie sprawę z mojego położenia.

Stałem przed wyzwaniem, na które nie miałem środków i czasu. A najgorsze było to, że niezależnie od mojej decyzji, lub jej braku, byłbym zmuszony ponieść konsekwencje, liczone w ludzkich życia. Bo przecież można naraz szukać Mamuny, lekarstwa na chorobę Śledzia i jeszcze do tego wszystkiego zmieścić się w dwóch dniach.

Spojrzałem w kierunku jednego z okien pod sufitem i spróbowałem sobie wyobrazić, że znikąd pojawia się Pień, ratuje nas wszystkich i wszystko dobrze się kończy.

– Zabieraj swoje rzeczy i idź, masz mało czasu… Burza doda ci motywacji, by nie zostawać w jednym miejscu nazbyt długo – mruknął Gawron. – Jak się spóźnisz, to pozbędę się jednego z twoich w ramach memento.

Zamrugałem, kończąc swój sen na jawie. Nie było Pnia, byłem ja, obcy mi Gawron i narastająca kanonada grzmotów. Śledź wstał niezwykle powoli, sztywnym, ostrożnym ruchem, odebrał swoją włócznię od jednej z wron i ruszył w kierunku przyozdobionego od wewnątrz kwiatami wyjścia.

Ptasi sługa Gawrona zbliżył się do mnie, podając mi tokariewa. Trzymał go lufą w moją stronę, ale chwyt zaciskał tak, jakby nie wiedział do czego przedmiot służy. Przez moment w głowie zabrzmiał mi tak oczywisty i prosty plan.

Chwyciłem pistolet i zważyłem go w dłoni, po czym sprawdziłem, czy magazynek jest na pewno w środku.

– Nie bądź bohaterem, Drozd – odezwał się Gawron, jakby wiedział o czym myślę. – Bądź dobrym chłopakiem, nikt nie lubi brawury. Jak się bardzo postarasz, to wrócisz do mnie jeszcze jutro i zjesz z nami przy stole, a potem wrócisz do domu. W końcu nie musimy się na siebie gniewać, prawda? To nic osobistego, po prostu łańcuch pokarmowy. Jesteś niżej, nie ma w tym głębszego znaczenia, nie doszukuj się rozwiązania, zaakceptuj to cicho i idź.

– Wrócę po was – odezwałem się cicho, chowając pistolet i zarzucając włócznię na ramię. – Znajdziemy wszystko, Mamunę, grzybnię, a potem jelenia…

Spojrzałem na puste siedzenie, obok którego zapewne nadal leżała oszołomiona Łucja. Wiedziałem, że jeśli tylko będzie szansa, to ona albo Juki wymyślą coś, by uciec. Do tego czasu musiałem zrobić wszystko, by znaleźć własne rozwiązanie.

* * *

– Jaki jest plan? – spytał mnie pozbawionym emocji głosem Śledź.

Nie spaliśmy całą noc, zamiast tego maszerowaliśmy, trzymając się blisko siebie. Gdy już przestali nas śledzić poplecznicy Gawrona, Las odzyskał część swojej klarowności. Ścieżki nabrały swojego sensu, choć wciąż potrafiły prowadzić w inne miejsca i czasy. W końcu nawet śnieg zmienił

się jedynie w błotniste koleiny i pola popiołu. Tak, w pewnym momencie zaczęło być to jasne, że opad śniegu i popiołu nie był tożsamy.

– Plan? Jeśli nie masz przy sobie akurat dziecka i pieca, to równie dobrze mogę ci pożyczyć pistolet i sobie zbeszcześcisz świątynię głowy. Chryste, ja naprawdę nie wiem, Socha, co ja mam ci właściwie powiedzieć? – przysiadłem na mokrym kamieniu, starając się nie ześlizgnąć pośladkami w błotnistą kałużę. – Ty widziałeś, jak ten bydlak wygląda? Ty widziałeś jego ręce? Twarz? Te wszystkie wrony? On ma własną fortecę, prąd, pożytki, szpiegów, cholera jasna! Przecież to jest jednoosobowe królestwo i ja nawet nie znam na to pieśni. Kleptokrata pierdolony, widziałeś co on miał na głowie? To była czaszka tego Kruka. Dopiero teraz to do mnie doszło. On wygląda jak człowiek, ale jego ruchy, jego słowa, ta maska…

– Tak, dlatego pytam się ciebie, co chcesz zrobić? – spytał Śledź, kładąc mi rękę na ramieniu. Jego czerwony wizjery patrzyły na mnie z góry, kryjąc twarz za krwistą poświatą. – Ufam ci, dlatego chcę twojego zaufania.

– Ufasz mi – parsknąłem śmiechem. – Nawet mnie nie znasz. Tego gówniarza Kozła też nie znałem, a… a umarł mi praktycznie na rękach, przede mną i wiesz, co pomyślałem? Wiesz jaka była moja pierwsza myśl, gdy umarł? Będzie więcej martwodrzewu na opał.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, wyszczerzyłem się pod maską i pogrzebałem czubkiem buta w błocie.

– A potem zastanowiłem się, jak działa Gawron. On tymi rękoma je? Co on ma pod płaszczem i z czego go zrobił? Jak rozrywał czaszkę Artura, to robił to tak dla pokazania siły czy czerpał z tego jakieś korzyści? – Wstałem, złapałem Śledzia za ramiona i potrząsnąłem. – Miała rację, stara cholera, jedna i druga…

– Która cholera?

– Wszystkie! – podniosłem głos.

– Ciszej – mignął mi wymownie Śledź.

Westchnąłem ciężko i puściłem Chołownika.

– Widzisz, już sam się zapominam – szepnąłem zduszonym głosem. – Ich jest za wiele, by wszystkich poznać. Moja pieprzona, debilna ciekawość. Ten cały Gawron powiedział, że zaczął działać, bo umożliwiłem mu to, zabijając jakiegoś awatara Serca? Na pewno chodziło o tego przeklętego Krzykacza. Diabeł mnie podkusił, by się mieszać w to.

– Jaki jest plan? – spytał po raz kolejny Śledź.

– Ciągle pytasz o plan. Wiesz jaki mam plan? Żaden. Wiesz jakiego mam asa w mym rękawie? Żadnego. – Pokazałem wymownie nadgarstki, do których przylegały rękawiczki. – Improwizuję, ciągle biegnę przed siebie. I myślałem, że tak to będzie wyglądać, wiesz? Że skoro jestem tylko pyłkiem w obliczu całej kosmologii Lasu, to mogę przemknąć przez niego niezauważenie, jak drobina srebra przez wszechświat. Tylko tak nie jest, bo nie jestem pyłem, tylko żywą istotą zbudowaną z mięsa. A ten Las zamieszkują też mięsożercy i… I cholera, po prostu ten Filar w stacji meteorologicznej miał rację. Silni rządzą słabymi i tyle. Zanim stworzysz symbole, zanim zbudujesz od podstaw kulturę i cywilizację, potrzebujesz brutalnej siły prostego plemienia rolniczego. Dopiero potem ubierasz to wszystko w przepowiednie, zakłamujesz przeszłość i tworzysz tę otoczkę, że to wszystko miało od początku swoje własne przeznaczenie.

– Masz włócznię Trzaski, maskę starego Romana i pasożyta od Łucji – powiedział Śledź, wskazując na mnie palcem. – Teraz daj wreszcie coś od siebie. Przestań jęczeć, przestań narzekać doktorze. Myślisz, że ja się nie boję? Kurwa mać, zostawiliśmy ich w tym tartaku, jestem pewien, że Kozioł, umierając zesrał się pod siebie. Myślisz, że coś to przepowiedziało? Że była jakaś pieśń na opisanie gówna, ściekającego po jego drętwiejących udach? Gdy jego serce uderzyło ostatni raz, myślisz, że widział odległe

szczyty gór? Nie, gapił się w kawałek zbutwiałej deski pod sufitem i umarł. To nie powód żeby się poddawać. To nie oznacza, że to co robimy, nie ma znaczenia. Dlatego rusz się, marnujemy czas, a musimy odnaleźć tę grzybnię.

Zamrugałem zdziwiony. W pierwszym odruchu cofnąłem się o krok i włożyłem rękę pod płaszcz.

– Myślisz nadal o tym? Musimy mu zdobyć tę pieprzoną Mamunę.

– O, teraz nagle masz swój plan? Dopiero co byłeś mazgajem siedzącym na kamieniu, a teraz będziesz polował na ogromną wronę z Lasu, która kradnie dzieci. Świetnie, w takim razie prowadź, tylko wiedz jedno, Drozd… Ja wiecznie żyć nie będę.

Śledź spojrzał na mnie dosadnie i chwycił się za paliczek małego palca. Zabrzmiał cichy chrzęst i jego rękawiczka wgięła się, jakby końcówki palca wcale tam nie było. Po chwili zrobił to samo z dwoma następnymi. Miałem wrażenie, jakby jego ciało trzymało się w jednym kawałku głównie dzięki ubraniom.

– Pójdziemy do starej Marii Gopulskiej w wiosce Cichych. Padnę na kolana, zaciągnę dług, pójdę w ciszę, jeśli będzie trzeba. Może wyda nam kilku ludzi i pomoże przeczesać teren. A kto wie, może sama zna lekarstwo, niesie w sobie więcej pieśni, niż ja umiem sobie wyobrazić. Jakoś damy radę.

– Mądrze, ale po drodze szukajmy grzybni. – Śledź uparł się przy swoim, obrócił na pięcie i ruszył w drogę, wsłuchując się w siąpiący deszcz i szelest krzewów burzanu.

Oby to był dobry wybór, pomyślałem, zdejmując rękawiczkę i patrząc na swoje poszarzałe dłonie, od których odchodziła skóra.

Drzewa na naszej drodze zdawały się być w czymś w rodzaju hibernacji. Takie stwierdzenie miałoby mało sensu poza Lasem, ale tu można

było rzeczywiście dostrzec, że te olbrzymie organizmy starały się nie dopuścić do siebie żadnej z drobin pyłu. Coraz częściej natrafialiśmy na obalone w proch, martwe kikuty drzew i część z nich nadawała się na opał.

W pewnym momencie stała się niezwykła rzecz, bo chmury wreszcie rozpadły się na cienkie strużki białej waty, a słońce znowu zawitało na firmamencie nieba. Jedyny problem był taki, że nawet samo słońce było szare. Siwa kula światła rzucała na świat coś w rodzaju przytłumionej poświaty, jaką dawała lampa gazowa, bijąca zza firany.

Na gałęziach przysiadały kolejne ptaki, które zdawały się nie chcieć za nic w świecie ruszyć ze swoich miejsc. Dopiero wtedy, gdy jeden z ptaków upadł nam pod nogi i zaczął piszczeć i wierzgać, zrozumieliśmy co się dzieje. Część zwierząt była już w takim stanie rozkładu, że każdy ruch mógł oznaczać dla nich rozpad i zmianę w ołowiany proszek.

– Powinniśmy zmienić filtry na coś mocniejszego? To miejsce wydaje się niezwykle skażone, nawet jak na standardy ostatnich dni.

– Mamy teraz rumianek, idziemy spokojnie. Mam przeczucie, że najgorsze zniszczenia mijamy już za sobą – stwierdził Śledź, przestępując nad powalonym drzewem. – Jeśli wejdziemy w nową plamę szarości, to pomyślimy nad skokiem w pionie. Na chwilę obecną kojarzę miejsce, w którym jesteśmy.

Przykucnąłem na moment przy powalonym drzewie i przyjrzałem się z bardzo bliska. Przetarłem wizjer z kurzu i zrozumiałem, że patrzę na sporych rozmiarów sznur mrówek, niosących zdobycze do swojego mrowiska. Każdy z owadów zmienił się w grudkę pyłu i przyrósł do martwej kory powalonego jarzębu. Aż nagle dostrzegłem, że wzdłuż kolumny przesuwa się niezłomnie, bardzo powoli, jedna mrówka o dwóch nieszarych nóżkach. Niosła w szczękach zwiędły listek, próbując za wszelką cenę dotrzeć do domu.

Przystawiłem kciuk do mrówki, by ją zgnieść i dać jej odpocząć. W końcu cała reszta jej klanu była już zmieniona w kurzowe statuetki, po co miałaby wrócić do siebie, by znaleźć gniazdo zmienione w siwy lej grobowca.

Jednak coś tknęło mnie, wziąłem drobnego owada na palec i poniosłem kilka metrów wzdłuż jego ścieżki, zapewne ratując mu dobre pół godziny czołgania.

– Drapieżnik? – szepnął Śledź, pojawiając się za mną nagle.

Pokręciłem głową na boki i wróciłem do maszerowania.

Nic nie dawało mi spokoju. Każdy najmniejszy szelest w jarzębinie zdawał mi się dziobatym stworem, gotowym rzucić mi się do gardła. Szedłem nierówno, stale gubiąc rytm, jakbym nie był w stanie zapanować nad własnym ciałem. A przecież nie było się czego bać, bo wszystko dookoła umierało.

Z uschniętej gruszy zwisało gniazdo świetlików. Zawsze wyglądały pięknie, jakby stworzyła je inteligentna istota. Ułożone w pryzmy piramidy z małych patyczków, które poprzekładano żywicą i innymi substancjami, tworzącymi spoiwo. Takie gniazda zawsze były oznaką bezpiecznej przystani, gdzie niezwykłe, leśne świetliki tworzyły nocami jasne latarnie, pod którymi mógł się schronić niemalże każdy i nawet licha potrafiły zaakceptować te ciche, neutralne strefy. Zupełnie tak jak zwierzęta przy wodopojach sawanny.

Gniazdo było opustoszałe.

– Ach, tak – stwierdziłem krótko i dźgnąłem palcem gniazdo. Konstrukcja lekko zadrżała, obsypała się delikatną mgiełką pyłu, ale wytrwała. – Do kraju tego, gdzie winą jest dużą, popsować gniazdo na gruszy bocianie.

– Tęskno ci, panie? – spytał Śledź, uśmiechając się pod maską.

Odpowiedziałem nieśmiałym uśmiechem, które w przypadku Saprofitów było jedynie charakterystycznym napięciem materiału maski na szyi i brodzie.

– Czytałeś trochę Norwida?

– Sam sobie odpowiedziałeś – mruknął Marian i przeszedł kilka kroków, ale zaraz wrócił, by obejrzeć gniazdo. – Trochę, tyle co wszyscy w szkole. A potem od razu… Wiesz, jak to u nas. Robić trzeba, tak? Norwid pewnie nie miał takich problemów, nie?

– Arystokrata – zaśmiałem się, ale zaraz mina mi zrzedła. – Mimo to na wygnaniu biedował koszmarnie. Ponoć podkradał jedzenie na przyjęciach, bo jedyne, co mu zostało to nazwisko, biedak.

– Nazwisko potrafi przeżyć człowieka.

– A może być na odwrót?

– Czasami człowiek traci to… no, to kim jest, tak? A czasami zmienia się w kogoś innego z czasem, zwłaszcza w Lesie. Mrówki tak robią, cisi śmieciarze Lasu, rozbierają wszystko na części i składają od nowa. Dlatego ja się nie martwię, wiesz? Każdy grzybiarz ma swój sekret, zwłaszcza ci, którzy wydają się najpewniejsi siebie. Moim sekretem jest to, że nie boję się umrzeć.

– Ja chyba jak każdy albo prawie każdy – powiedziałem, przeskakując nad kałużą. – Zazwyczaj się boję, a kiedy się nie boję to po prostu nie myślę, a dopiero po czasie sobie przypominam, że się nie bałem. Kiedy biegniesz, to nie myślisz o tym, czy się boisz, czy nie. Po prostu biegniesz przed siebie, bo odruch ci tak każe.

– Ty, doktorze, to przypadkiem nie jest jakiś wykształcony w tej kwestii? – spytał Socha pół żartem, a pół serio. – Ludzie są inni w Lesie? Ja tak myślę, wie doktor? Że to jest jak z lustrem, tylko można przejść na drugą stronę, wymienić się miejscami z odbiciem. Bo tu ludzie są kompletnie inni

niż tam, w Chołach i innych wioskach. Tam są porządni, trzymają się razem, a tu… Człowiek biesi się i strząsa z siebie tę ludzką część.

– Wykształcony, każdego dnia chyba mniej – zaśmiałem się pod nosem. – Możesz mieć rację, Śledź, ale ciężko mi w to uwierzyć. Widziałem kawałek świata, niezbyt duży, ale pewnie większy niż wielu. Kultury się różnią, miejsca do życia i sposoby przetrwania, ale wszystko sprowadza się do jednego, usprawiedliwiania przed i po dokonaniach. Wymyślania wyjaśnień, zanim się zabierze komuś ostatnią kromkę chleba i szukania historii, które tłumaczyłyby oddanie komuś własnego życia. Jedynie zmiany są stałe, taki banał, wiem, ale to prawda, jeśli odnieść to do ludzi. Bo na przykład bohaterem się bywa, ale nie jest. Nikt nie jest bohaterem, nikt nie jest tchórzem, ani altruistą, wiesz? Po prostu tymi osobami, archetypami się bywa. One istnieją bez nas, a my tylko wchodzimy w ich role. Nic nie stoi na przeszkodzie, by się zmienić, po prostu dla jednych jest to trudniejsze, bo żyją w gorszych warunkach i nie mają wielu szans. Sam powiedziałeś, że to jest głodny świat, Socha, nie daj się pożreć, prawda?

Śledź drgnął nagle, wyprostował plecy, mruknął coś cicho i przyśpieszył kroku. Podgoniłem jego tempo i zacząłem rozglądać się po okolicy.

– Tylko tu jakoś spokojniej na moment – stwierdziłem przeskakując z korzenia na korzeń, by nie wpaść w głębokie błoto.

Aż w końcu ścieżka leśna zmieniła się w szerokie podejście pod jakieś wzgórze, porośnięte skąpo trawą. Wijące się i pnące niemalże wzdłuż ziemi drzewa, wydawały się zdrowsze w tym miejscu, choć było w nich coś nadzwyczaj dziwnego. Większość pni została podziurawiona, jakby ktoś nawiercił je ogromnym wiertłem.

– Są schody – powiedziałem cicho, wskazując palcem na cięte bloki z kamienia, które ktoś ustawił na sobie. – Wyglądają na tutejsze, a nie na jakiś relikt.

– Powinniśmy iść stąd jak najszybciej – odpowiedział wyprutym z emocji tonem Śledź. – Śpieszymy się do grzybni.

– Tak, ale wejdźmy na schody.

Wzdłuż schodów rozstawiono kilka kamiennych, wysokich pali, a na nich budki lęgowe, karmniki i haczyki na lampiony. Na wietrze trzepotały dziesiątki różnokolorowych szmat, które ktoś porwał i przerobił na zdobienia. Z jakiegoś powodu poczułem, że jesteśmy w bezpiecznym miejscu, co było bardzo dużą odmianą po ostatnich wydarzeniach.

– Drozd, to może być pułapka.

– Nie zdziwiłbym się nawet. – Wzruszyłem ramionami i postawiłem pierwszy krok na stopniach. – Mam wrażenie, że nieustannie wchodzimy w pułapkę, wyciągamy kikut nogi i stawiamy kolejny feralny krok.

Zacząłem wspinać się na schody, ale zatrzymałem się na moment przy jednej z budek, sięgnąłem do kieszeni i dołożyłem kilka ziaren słonecznika do przykrytej pyłem kupki z jedzeniem.

W pewnym momencie spomiędzy drzew wynurzył się wysoki na półtora metra w kłębie jeleniowaty o smukłej sylwetce, długim pysku i rozłożystych łopatach, jak u łosia. Przez moment stąpał dumnie, wskoczył na półpiętro schodów i spojrzał na mnie oraz Śledzia.

– Czekaj – mignąłem do idącego za mną towarzysza, który już zaczął zdejmować z pleców włócznię. – Cicho.

Zwierzę przechyliło łeb z ciekawością, potem pochyliło się, jakby na przywitanie i wkroczyło na pokryty trawą fragment wzgórza, skąd zaczęło wyżerać mlecze. Zaraz po zjedzeniu kilku zniknęło z tego piętra, zostawiając po sobie tylko nadgryzione łodygi.

– Nadawałby się na poroże – stwierdził Śledź, podchodząc do mnie bliżej.

– Szkoda go, zwykły jeleń, może trochę wyrośnięty. Tak właściwie to zwykła maska przeciwgazowa by nie zadziałała na pożytki? Musimy chodzić w tych maskach?

– Nie nosisz maski dla pożytków. Poroża są nie tylko przydatne, ale też potrzebne. Jest mnóstwo lich w Lesie, które mają bardzo konkretne gusta i nie chciałbyś, aby zwietrzyły zapach ludziny. To jak kamuflaż, nie umiem tego dobrze opisać. Dla wielu stworów czaszka na czaszce to tak… No nie wiem, jakby to powiedzieć, ale wiele stworzeń od tego głupieje i zamiast widzieć dwie osoby w jednym miejscu albo osobę w porożu, to nie widzą nic. Nie wiem też na ile to działa, nigdy nie chciałbym spróbować, a teraz… Teraz to nawet boję się zdjąć maski, wiesz? Chyba już we mnie wrośnie, nawet gdy się wyleczę.

– Ciekawe, czy tak powstają bajki – zaśmiałem się, pokonując kolejne stopnie. – Będę dzieciaki straszył Szarym Marianem, któremu twarz wrosła w czaszkę i zaczął zjadać dzieci.

– Nie rób tak – warknął gorzko.

– Przepraszam, nie ma sensu kusić losu, głupota mi do głowy przyszła.

Ostatecznie dotarliśmy na szczyt schodów, rozglądając się po oświetlonej okolicy. Z góry widać było, że pył nawiewał tu, ale nie padał bezpośrednio. Wyglądało to jak zagajnik wiecznie kwitnącej roślinności, umiejscowiony pośrodku dziczejącego pustkowia, którym rządził wiatr.

Oparłem się o wysoki, rzeźbiony słup z martwodrzewu. Konstrukcja była pokryta licznymi rycinami przedstawiającymi sceny jakiejś historii, w miarę jak spiralnie zjeżdżało się wzrokiem z góry na dół. Spojrzałem na wszystkie obrazki po kolei.

Dwa wielkie ptaki o długich dziobach, jajko i gniazdo, jeden ptak zniknął, drugi ptak na tle wielkich szczęk, robactwo obżerające zwłoki obok

pozostawionego bez opieki jajka, z jajka wykluwa się ptak, robale obsiadają jajko, ptak rośnie i zajada się robactwem, dorosły ptak wije gniazdo na górze i otacza się małymi ptakami.

– To jakaś przepowiednia? – spytał Śledź, odczytując wyszarzałe ryciny.

– Bardziej biografia – odpowiedziałem, obracając się w kierunku szczytu. – Cholera, patrz lepiej na to.

Obaj spojrzeliśmy na dwupiętrowy dom z drewnianych bali, który majestatycznie wznosił się na spłaszczonym szczycie wzgórza. Konstrukcja zbudowana z wielkich, obranych z gałęzi drzew, była polakierowana oraz wymalowana w kwieciste wzory. W oknach dało się dostrzec firanki, a nad dachem sterczał komin z którego buchał białawy dym.

– Ładniej niż w Chołach – mruknąłem.

Śledź uderzył mnie w ramię i parsknął oburzony. Jego rękawiczka była jak woreczek wypchany piachem, w którym już tylko grzechotały obrane ze skóry i mięsa paliczki.

Niezwykłej, leśnej chacie nie brakowało też dodatkowych ozdób. Ogródek warzywny odgradzał płot z drutu kolczastego, poprzetykany wysokimi palikami z drewna, które przebito przez stare opony. Same pale obwiązano kraciastymi szmatami, a następnie u szczytu każdego z nich wystawiono po dwa rogi, wychodzące na zewnątrz. Nie mogło też zabraknąć ustawionej centralnie czaszki rogatego kozła, którą powieszono na sznurze, przechodzącym przez oczodoły. Dzieła dopełniała świeczka ze zwierzęcego tłuszczu, która stała na miedzianym talerzyku na szczycie palika, a pod czaszką.

– Patrz, ta opona – powiedział Śledź, wskazując na niezwykły, ozdobny palik. – Ktoś ją maznął niebieską farbą, widzisz?

Rzeczywiście, opona, która otaczała graniczny palik, była pomalowana jasnym błękitem i przyozdobiona białymi kropkami.

– No cóż, ktoś tu ma poczucie estetyki… a przynajmniej podstawowe pojęcie. – Podrapałem się po szyi i wskazałem na następny, narożny pal. – Ten też duży, tylko jeszcze opona u szczytu i w niej czasza, już chyba jakiegoś psa albo wilka. Patrz, widzisz tam na dole? Kwiatki zasadzone, kiedy ja ostatnio tyle kolorów widziałem, Marian?

– Nadal możemy się wycofać – szepnął Socha.

Było już za późno. Przez wysokie drzwi chaty wyszła postać, pochylając się tak, by nie uderzyć głową o górną belkę. Nieznajomy miał dobre dwa metry wzrostu i płaszcz z długich, zielonych piór, schodzących pięknie aż do ziemi i kończących się beżowymi i granatowymi lotkami. Oprócz tak ekstrawaganckiego płaszcza, gospodarz ubrany był tak, jak na Samosiedlca czy Cichego przystało. Robocze buty ze skóry, kilka warstw szmat wokół ud i łydek, jeden pas wokół talii, drugi przez ramię, na dodatkowe bibeloty. Tunika z kawałków skóry z futrem, powiązanymi prymitywnie grubymi nićmi, a na to po trzy płytki ze skorupy jakiegoś żółwia błotnego, by zrobić prowizoryczne naramienniki. Wszystko byłoby normalnie, świetnie i zapraszająco, gdyby nosił na głowie maskę. Zamiast tego miał ogromny, dzięcioli łeb z długim dziobem piaskowego koloru, zakończony czarnym kleksem.

– Następnym razem nie bierzemy mniej rumianku – szepnąłem do Śledzia, sięgając powoli po pistolet. – Bo albo mam halucynacje, albo widzę ogromnego dzięcioła.

Wielki dzięcioł podniósł pazurzastą dłoń i pomachał nam. Wtedy zrozumiałem, że nie miał na sobie zielonego płaszcza z piór, tylko to były jego prawdziwe pióra, wystające z błon skrzydeł i spod elementów pancerza.

– Dobra, teraz to i ja czuję się nieswojo – odparł Śledź, zaciskają ręce na włóczni.

– A wy co, dzicy czy głusi? Pakować się do środka albo wynocha, bo pasem was zaraz poszczuję!

– To coś ma psa? – spytałem Śledzia.

Dzięcioł sięgnął do spodni i zaczął odpinać klamrę paska.

– Co jest, cholera jasna? – warknął Śledź zdezorientowany.

– My swoi! – odezwałem się w końcu głośniej, podnosząc rękę.

Ptasi gospodarz zapiął z powrotem pasek i wrócił do domu, machając na nas ręką.

– No, to ładować się do salonu, a nie sterczycie tak jak…

Niedosłyszeliśmy poetyckiego porównania naszego dobrodzieja, bo zamknął on za sobą drzwi. Przez moment czekaliśmy, czy może po nas wróci, ale nic takiego nie nastąpiło.

Spojrzałem na Śledzia, on na mnie, obaj wzruszyliśmy ramionami i ruszyliśmy w kierunku obitych żelazem drzwi. Weszliśmy do środka i uderzyła nas przez filtry silna woń gotującej się zupy oraz pary z kotła na pożytki.

– Da się tu oddychać bez maski? – spytałem w pustkę.

Ogromny dzięcioł wychylił się zza blatu, który oddzielał przestronny salon od kuchni. Myślałem, że dostanę zawału od tak nagłego i surrealistycznego widoku.

– Tak, powinno wszystko być w normie, często mam gości.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, Śledź był jeszcze bardziej sceptyczny, więc jako pierwszy zdjąłem maskę, chwyciłem go za ramię i wziąłem głęboki oddech. Było ciepło i wilgotno, ale wydawało się też rzeczywiście bezpiecznie. Piętra nie rozjeżdżały się, a całe uczucie obcości, jakie w sobie niosłem, wynikało z tego jak urządzono mieszkanie i kto w nim rezydował.

– Ja zaraz znajdę jakieś miski czyste – zakasłał dzięcioł, grzebiąc w malowanych na ciemnozielono szafkach. – Na pewno miałem i nawet niedawno myłem wszystko.

Spojrzałem na Śledzia, ten po prostu wyjął filtr z nozdrzy swojej czaszy i odpiął skórzaną zasłonę, ukazując swoje usta. Jego wargi cofnęły się i popękały na czarno w wielu miejscach. Obsunięte dziąsła ukazały żółte pieńki zębów z brązowymi nitkami brudu. Spuchnięty język drgał co chwila w jamie ustnej, wypychają na boki zapadnięte policzki.

– Hełmu nie ściągnę – mruknął Śledź.

Bagienny smród choroby Śledzia walczył o dominację z lotnymi pożytkami w jasno oświetlonej izbie. Dzięcioł bez słowa wstał, wyjął zapałki i odpalił stojące na parapecie patyczki kadzidełek.

– Dziękujemy za gościnę, nie zostaniemy na długo, bo jesteśmy w podróży – powiedziałem po chwili, zebrawszy się na odwagę.

Dwu i pół metrowy człowiek-dzięcioł wstał, trzymając w szponach dwie miski i przystawił swój szpikulec dzioba do mojej twarzy. Jedno jego oko było całkowicie czerwone

z czarną kropką źrenicy w środku, drugie złote. Przez moment dyszał cicho, oblizywał się upiornie długim językiem i lekko nachylał do mnie. Poczułem się nieswojo, dreszcz przeszedł mi po całym ciele, bo był to niemalże ten sam ruch, którym Gawron wcześniej obdarzył Jukiego i Łucję.

– Ale jest niedziela i mam rosół! – odezwał się nagle wesoło i zagęścił ruchy, by jak najszybciej nakryć do stołu.

Już po chwili przy masywnym, rzeźbionym z jednego kawałka drzewa stole stały trzy głębokie miski z żelaznymi łyżkami obok. Następnie gospodarz przyniósł masywny gar pełen zupy, w której unosiły się oka z tłuszczu i zaczął nalewać każdemu po kilka chochelek. Zaraz przyniósł zwykłe,

plastikowe sitko, w którym piętrzyła się nagotowana sterta makaronu, jakby przewidział, że będzie mieć gości.

– Nie spodziewałem się gości – powiedział gospodarz.

Ach tak, czyli on to sam wszystko chciał zjeść, pomyślałem, zazdroszczę apetytu.

Nie mogliśmy nawet na moment się zrelaksować. Śledź właściwie stale był w gotowości, by uciekać lub walczyć, a ja odruchowo macałem się po rękojeści tokariewa. Zdawało się, jakby dzięcioł dostrzegał to i na krótki moment w jego rozdygotanym wzroku błysnęło coś szlachetnego i opanowanego, jakby chwila jasności umysłu.

– Nazywam się WładyżerAjernyJedzinowłaściecWłajdodzióbBlikawa, obrońca kotuchów, pierwszy lataczyk, służący w szarży rotmistrza na usługach królowej Kokudryły.

Zamrugałem kilka razy, obejrzałem się na Chołownika, odchrząknąłem i pogrzebałem brudnym butem w deskach podłogi.

– Doktor Jerzy Drozd, dla leśnych przyjaciół Drozd… A mój towarzysz to Marian Socha albo Śledź, jak wolisz.

Dostojny dzięcioł nie mrugając nawet nachylił się nad stołem i przechylił lekko łeb.

– I tyle? Ot, wagabunda, pątnik, najemiec, wędrowny cyrulik?

– Raczej nie cyrulik, może bardziej… archiwista, kronikarz? – próbowałem dopasować się do naszego dziwnego gospodarza tak, by przypadkiem go nie urazić.

– A towarzysz?

– Szukamy lekarstwa na pylistą zarazę – odpowiedział Śledź, pokazując fragment rozpadającej się, szarej ręki.

Również odważyłem się pokazać kawałek ręki, choć moja była w znacznie lepszym stanie; właściwie była głównie szara i rzeczywiście skóra

odłaziła płatami, ale przynajmniej nie śmierdziała tak jak Śledzia, no i nie rozpadałem się w oczach. Widocznie mój towarzysz musiał być w gorszym etapie choroby.

– Szkoda, dawno nie słyszałem wieści z frontu.

Władyżer siadł do stołu na rzeźbionym krześle o wysokim oparciu, które z tej perspektywy przypominało tron, wzbogacony o poduszki koloru butelkowej zieleni. Nałożył sobie makaronu i zabrał się za jedzenie.

– Częstujcie się – dodał, oblizując swój długi dziób językiem. Jedzenie sprawiało

mu dużą trudność, ale zarazem też wyglądał, jakby miał w tym lata wprawy. – Pewnie jesteście głodni, co? Rosół dobrze działa na wszystko, a jeszcze wszystko sam wyhodowałem, nawet króliki, tak, nie ma co tak patrzeć, trzeba sobie radzić.

Spojrzałem do swojej miski i rzeczywiście doszło do mnie, że dziwne by było, gdyby nasz dzięcioli gospodarz zrobił rosół z innego ptaka. Wziąłem do ust pierwszą łyżkę, przytrzymałem jedzenie w ustach i byłem w każdej chwili gotowy wypluć. Studiowałem dokładnie reakcje na twarzy dzięcioła, ale ten jadł to samo co my, z tego samego garnka i nawet nie patrzyłem, czy połykał.

– Jak nie smakuje, to nie jedzcie, ale zrobicie mi przykrość – wyznał Blikawa i pokręcił głową na boki, jakby przypomniał sobie jakąś skoczną piosenkę.

Przełknąłem rosół i po raz pierwszy od wielu dni wziąłem głęboki, spokojny oddech. Uczucie ciepła rozlało się po moim przełyku, przymknąłem oczy i pozwoliłem otulić się promieniom słonecznym, wpadającym przez okno.

Zerwałem się nagle z krzesła, sięgając po pistolet, Śledź od razu odsunął się i chwycił za przewieszoną włócznię. Staliśmy tak chwilę, patrząc, jak Władyżer siedzi z łyżką zamarłą w pół ruchu.

– Za gorąca? – spytał, jakby w ogóle nie będąc zdziwionym.

Rozejrzałem się, ale nic się nie stało. Nie czułem się już senny, nie odpływałem z piętra, znikąd nie pojawiły się ciemne mary i szponiaste dłonie, żadna bestia nie skoczyła mi do gardła, ani korzenie nie chwyciły mnie za nogi. Byliśmy dalej w salonie, jedząc rosół.

Zasiadłem powoli i schowałem twarz w dłoniach. Dopiero po chwili zebrałem się na odwagę, by wrócić do jedzenia. Nie mogłem się uspokoić, nie mogłem zebrać myśli, a na pewno nie potrafiłem odetchnąć.

– Przepraszam, ja…

– Przeprosiny przyjęte, podasz mi chustkę? – spytał gospodarz.

Spojrzał na stół: faktycznie, ustawił kilka złożonych, bawełnianych szmatek zbyt daleko od siebie i nie mógł sięgnąć. Chwyciłem za pierwszą z brzegu, białą i rzuciłem w kierunku ptaka. Ten złapał w locie ścierkę i wytarł dziób, a następnie ułożył ją na swoich humanoidalnych udach.

– Po prostu ciągle widzę ptaki, wszędzie, są dookoła mnie, krążą, kryją się w cieniu i mam wrażenie, jakby próbowało mnie wciągnąć w swoją pustkę. Na razie się tylko przymierzają, ale pewnego dnia mnie chwycą.

Dzięcioł ponownie błysnął oczami, w których kotłowało się na zmianę rozchwianie i klarowność. Zaświergotał coś, jakby próbował przeczyścić gardło i położył dłonie na stole.

– To normalne, że widzisz wszędzie ptaki, w końcu jest nas mnóstwo – powiedział Władyżer, dłubiąc kawałek brudu spod szponu. – Z kolei ja rzadko widuję ludzi. Jesteście naprawdę dziwni, kryjecie się w najgorszym zakątku Lasu i kilku względnie przypadkowych grobowcach po swoich dawnych gniazdach. Chodzicie w czaszkach innych zwierząt, nosicie je jak

trofea, wasze ciała są wątłe, oślizgłe i dziwne. Przypominacie robaki z kończynami. Popatrz jednak, popatrz tu, goszczę was u siebie rosołem, nie mam przy sobie broni, a wy szarpiecie się, jakbym zaraz miał wam coś zrobić.

– Wybacz, jesteśmy w trudnej sytuacji i w pośpiechu, to tyle, nic osobistego.

Dzięcioł wzruszył ramionami, spojrzał gdzieś za okno, w kierunku wolno sunącego po nieboskłonie słońca. Przez moment trwał tak, wpatrując się, aż spojrzał znów na nas.

– Dawno się nie spieszyłem. Wzgórze jest moje od lat, bardzo wielu lat. Tutaj czas płynie szybciej niż na zewnątrz, ale to dobrze. Jeśli tu czas płynie szybko, to tak naprawdę płynie wolno, rozumiecie? Bo jeśli ja spędzę tu miesiąc, to tam minie ledwie dzień, więc nigdzie się nie muszę spieszyć.

Obejrzałem się jeszcze raz po wnętrzu mieszkania, w którym byliśmy. Wszystko było czyste, zadbane, robione ręcznie albo przyniesione z zewnątrz, za to odnowione. Każdy przedmiot był malowany albo ozdobiony, na półkach stały filiżanki, kryształowe szklanki i inne drobne, przyjemne dla oka rzeczy.

Coś mogło w tym być, bo dom faktycznie wyglądał, jakby ktoś miał cały czas i zdrowie tego świata, by zadbać o każdy szczegół. Czy tak żyliby ludzie poza Lasem, gdyby mieli więcej czasu na samo życie? Gdyby nie musieli wstawać rano i pracować do wieczora, to czy z czasem zaczęliby zmieniać każdy skrawek ściany w małą płaskorzeźbę?

– Znasz nakorenek języka, którym do mnie mówisz?

– Chyba nie rozumiem – odpowiedziałem szczerze.

– Nałyczman, co go masz na twarzy – wskazał maskę, którą odłożyłem na stół. – Mów mi, z jakiego miejsca jesteście? Jakie tam macie pieśni?

– Choły, jesteśmy z Chołów.

– U was każdy narocznik chodzi w takiej masce, prawda? Wiem, gdzie są Choły.

– To znaczy, jak ktoś chce wejść do Lasu, to wchodzi, a jak nie, to może oddychać swobodnie, zwyczajnie.

Dzięcioł zaśmiał się ku mojemu zdziwieniu. Przez moment wpatrywał się w sufitu pokryty malowidłem w kształcie nocnego nieba, pełnego zaznaczonych konstelacji gwiazd z jakiegoś obcego, dziwnego świata. Nie było tam wielkiego wozu, ani niczego takiego, zamiast tego miał swoje własne układy.

– Wam wyśpiewały pieśni korzenie, prawda? Ktoś mi kiedyś mówił, ale dawno temu, naprawdę dawno, już nawet nie pamiętam kto. Jedne z pierwszych pieśni, stare, ale nie najstarsze, na pewno nie.

Zamrugałem zdziwiony. Śledź też drgnął, spojrzał na mnie i wyglądał, jakby chciał po prostu wyjść i wrócić do drogi, nie marnując czasu. Mimo to jakoś nie mogłem pozbyć się wrażenia, że sensowniej byłoby jeszcze chwilę zostać. Choć może znowu to była moja przeklęta ciekawość i właśnie lepiej było iść.

– Ty powstałeś razem z Lasem, prawda? Ewentualnie trochę później, jak i wszystko na ziemi. Jesteś po prostu kolejną z maszyn przybyszów.

– Wyklułem się z jajka, które zniosła moja matka. Nie słyszałem, by śrubokręty rodziły młode, a ty?

– Masz prawo uważać się za tak prawdziwego, jak chcesz – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Jest mnóstwo ludzi starszych od Lasu, który pojawił się w naszym świecie ledwie czterdzieści lat temu.

– I ja jestem od tych osób starszy, ale nie jestem starszy od Lasu. – Jedzinowłaściec położył sobie dłonie pod dziobem, zamiatając stół własnymi piórami. – Fascynujący świat, prawda? W języku moich ludzi jest nazwa na takie zjawisko, ale nie umiem jej dobrze przetłumaczyć na twój język.

– Opowiedz mi o swoim świecie.

– Nie, powinniśmy stąd iść, mamy gdzie się spieszyć – powiedział Śledź, odsuwając pustą miskę i zapinając płachtę ochronną na ustach.

– Czas poza wzgórzem płynie o wiele wolniej niż tutaj, spokojnie, chyba lepszej okazji na odpoczynek nie będziecie mieli – wyjaśnił dzięcioł. – A ja mam nawet pokój dla gości na górze, jakbyście chcieli się wyspać w prawdziwej pościeli i na poduszkach.

– Jakim cudem to miejsce jest bezpieczne? – zadałem w końcu pytanie, które powinno było paść na samym początku.

Władyżer błysnął tęczówkami, rozchylił lekko dziób i wstał. Zaczął mocować się ze swoimi ubraniami, aż w końcu zdjął z siebie naramienniki, tunikę i podkoszulek. Wśród jego pięknych, długich, soczyście zielonych piór, znajdowały się wyłysiałe placki skóry, gdzie dawno wygojone strupy tworzył długie blizny różnych kształtów i wielkości.

– Nie jest, po prostu umiem się bronić i już mało kto jest na tyle głupi, by tu przychodzić. Złych przeganiam, bezrozumnych zwodzę, żyję na małym skrawku tej niemalże nieskończonej ziemi. Co prawda nie są to wielkie gniazda w królestwie Kokudryły, ale da się tu jakość przebiedować.

– Byliśmy tu około południa, jeśli minie noc, to która będzie po naszej stronie?

– Po trzynastej, może po czternastej – stwierdził bez zainteresowania gospodarz, zbierając naczynia ze stołu. – Jak chcecie to zostańcie, jak nie to nie zatrzymam was siłą, bo i po co miałbym?

Spojrzałem na Śledzia, ten pokręcił głową.

– Chcesz, to idź sam, ja potrzebuję czasu, by pomyśleć, co mamy zrobić. Nadal zresztą nie czuję się zbyt dobrze, a to miejsce nawet nie jest zapylone.

– A no tak, u was teraz jakiś pył, prawda?

Wzdrygnąłem się i spojrzałem na wielkiego gospodarza.

– Wszystko umiera.

Dzięcioł odłożył naczynia do miednicy z wodą i zaczął bardzo powoli i z pietyzmem obmywać wszystko. Zatrzymywał się nieraz i spoglądał na wymalowane na brzegach miski kwiatki lub inne motywy, które zapewne sam naniósł.

– Do mnie też zawiewa ten pył. Na razie mało, ale jak tak dalej pójdzie, to chyba po prostu wyniosę się stąd i przeczekam w bezpieczniejszym miejscu, aż wszystko się uspokoi.

– Są bezpieczniejsze miejsca?

– Są takie miejsca, gdzie zamiast mchu i narwy rosną kryształy, w których żyją wielomilionowe kolonie malutkich istot. Latające wyspy, opierające się na grzbietach szybujących jerzyków, podwodne jaskinie, gdzie tylko słoneczny grzyb wyznaczana porę dnia. Istnieją krainy, w których można się naspiżować w dzień tyle, co u was na resztę życia. Królestwa, w których każdy chodzi w nawitach ze złota… O czym mówiliśmy?

– Pytałem… znaczy… To wszystko co mówiłeś jest niesamowite, ale gdzie te niezwykłe, mityczne światy?

Dzięcioł zapatrzył się na widok za oknem, zacisnął szpony na misce, ścierając ostrymi szpikulcami farbę, zamrugał i odwrócił się nagle do mnie.

– Jakie światy?

– Te, o których właśnie powiedziałeś, nie pamiętasz?

– Mówiłem, że możecie zostać na noc u mnie – powiedział i zaczął świergotać melodyjnie, choć nazbyt cicho, bym mógł się wsłuchać.

– Daj mu spokój, Drozd, patrz – powiedział Śledź i wskazał na potylicę dzięcioła.

Wzdłuż karku, aż do czubka głowy naszego gospodarza szła głęboka, długa bruzdy, na której rosły czerwone pióra, dopasowujące się do równie

krwiście czerwonej blizny. Wyglądało na to, że nasz Władyżer musiał kiedyś zostać poważnie raniony w głowę. Cóż, mogło to faktycznie go upośledzić do pewnego stopnia, ale było chyba za wcześnie na tak daleko idące wnioski.

– Mówiłeś, że służyłeś królowej.

Dzięcioł spojrzał na mnie z zaciekawieniem, w jego oczach błysnął na moment ogień, a dziób jakby drgnął lekko. Po samych powiekach można było dostrzec, że się uśmiechał w swój dziwny, ptasi sposób.

– Służyłem, broniłem własną piersią i walczyłem. Uczucie, gdy trzyma się dziobiec w jednej dłoni i płaciszcze w drugiej, pikując na brązowe zastępy jastrzębi. Wiatr, wpychający się z mocą w nozdrza, zapach krwi, szum tysięcy wojowników, a potem klangor stali i łoskot uderzeń o miękkie ciała. Pchnięcie, cios rantem, cięcie od boku, zasłona, odbijasz wrażą broń na bok i uderzasz ponownie, szybko, nim zdążą pomyśleć, co mają robić. Pędzisz jak furia, nie patrzysz się za siebie, bo jeśli towarzyszy nie ma obok, to i tak jesteś już martwy. Kolejne chlaśnięcie, nisko, zdradliwie po szponach, potem jeszcze pchnięcie, przekręcenie ostrza i odepchnięcie wiotczejącego ciała od siebie. Wszędzie tylko skrzek umierających, trzepoczące po ziemi skrzydła, z których pióra sypią się gęsto jak płatki śniegu w zamieci. A nad nami chóry, zaśpiewy, trele, kanonada głosów, sterująca machiną wojenną!

Trzask, miska pękła w zaciśniętej dłoni dzięcioła. Gospodarz spojrzał na połamane kawałki ceramicznej masy i zaczął odkładać je powoli na bok i zbierać resztki z podłogi.

– A co potem? – spytałem, czując jak serce próbuje wyrwać mi się z piersi.

– Nie wiem – odpowiedział nagle pozbawionym emocji głosem. – Nic nie trwa wiecznie, młody Droździe. Nie można wiecznie walczyć, nie moż-

na zawsze służyć najlepiej, a jeśli nie mogłem tego robić już nawet dobrze, to przestałem. Zamieszkałem tutaj, niżej, wśród waszych stopni Lasu. Z rzadka tylko wspominam te chwile, kto by miał czas na wojaczkę, prawda? Żałuję tylko, że nigdy nie odwiedził mnie żaden z moich towarzyszy. Znałem setki ptaków, a żaden z nich nigdy mnie nie chciał zobaczyć.

– Pewnie są zajęci wojną – powiedziałem bez przekonania.

– Masz rację – skłamał Władyżer.

Spojrzałem na postawnego, pobliźnionego ptaka, który jakby po chwili się zorientował, że odkąd zdjął ubrania, był niemalże nagi. Ze wstydem zaczął się szybko ubierać, stojąc za jednym z foteli. Miałem przed sobą osobę, która najlepsze lata miała za sobą. Nie różnił się wiele od starca, który nie odnajduje się w życiu, a nie może nadal umrzeć i jakby czeka na to, że czas jeszcze wróci. Przez to, że żył w tym miejscu, jego starość rozciągnęła się wielokrotnie, a on sam sprawiał wrażenie raczej przykre niż pełne godności.

– Umiesz walczyć? – spytałem, uśmiechając się lekko.

– Czy ja umiem walczyć?! – spytał oburzony dzięcioł, wciągając na siebie ubrania. –

Ja byłem przez lata rotmistrzem kawalerii powietrznej, instruktorem, a do tego pierwszym lataczykiem, wiesz jakie to wyróżnienie?!

– A umiesz walczyć włócznią?

– Phi! – wydał z siebie dziwnie ludzki odgłos, choć brakowało mu ust. – Włócznią i mieczem, nawet toporem, takimi broniami, że wy ludzie nawet ich nie widzieliście! Ja walczyłem, młody człowieku, łupakiem i dzielnikiem, i rozczapierzaczem, i szponnikiem, i wyrwipiórem, i łamiskrzydłem…

– Wiem, że możesz nie mieć ochoty, ale może nauczyłbyś mnie czegoś? Skoro i tak zostajemy tu na krótko, dobrze byłoby wykorzystać ten czas. No, chyba że nie masz czasu, to wtedy rozumiem.

Władyżer zadrżał wielkim dziobem w ekscytacji, zaraz potem jego oczy błysnęły kilka razy, a na twarz wróciła sztuczna oschłość. Zaczął gestykulować nazbyt wyraźnie.

– No cóż, szkoliłem najlepszych z najlepszych, nie wiem, czy podołasz moim naukom, ale mogę zaszczycić cię i pokazać, jak walczy prawdziwy wojownik!

– Będę zaszczycony – odpowiedziałem w zasadzie szczerze.

– Dobrze, pisklaku, w takim razie zbiórka za kwadrans za królikarnią! Pójdę po rynsztunek i zaczniemy!

Wielki dzięcioł zaczął wdrapywać się na szerokie schody, podśpiewując pod nosem wesoło i szepcząc coś do siebie.

Nagle coś złapało mnie mocno za ramię i potrząsnęło. Obróciłem się, poczułem smród potu i rozkładu. Czerwone wizjery Śledzia patrzyły na mnie z tak bliska, że niemalże mogłem dostrzec białka jego oczu za szkłami.

– Lusia, Juki, ja, reszta Chołów, to dla ciebie jest warte tyle, co miska rosołu?

Chwyciłem za jego rękę i zdjąłem ją z siebie.

– Mam dość ciągłego biegu. Jestem wyczerpany, nie spaliśmy całą noc, a na dworze jest tylko czerniejące pustkowie pełne rzeźb z pyłu. Jeszcze raz zobaczę aleję przewróconych drzew, to przysięgam, że oszaleję – zacząłem warczeć, mierząc Chołownika wzrokiem. – Chcę tylko jednej nocy odpoczynku, to tyle co godzina, może mniej. A jeśli zjemy i odpoczniemy tutaj, to nie będziemy musieli teraz robić poza anomalią czasową. Zostając tutaj, tak naprawdę idziemy szybciej, niż gdybyśmy maszerowali. Poza tym…

– Poza tym co? – odparł wściekły Saprofita.

– Chcę jeszcze porozmawiać z Władyżerem. Przypomina mi kogoś, z kim nie rozmawiałem od dawna, a bardzo bym chciał.

Śledź pokręcił głową z niedowierzaniem i parsknął. Nagle zamarł i ostrożnie wyjął przez maskę coś ze swoich ust.

– Niech to ci przypomina, że czas płynie – powiedział i położył na stole ząb, który właśnie wypadł mu z dziąseł.

* * *

– Szybciej, pchnij, pchnij, pchnij! – krzyczał na mnie Władyżer, taksując oceniająco wzrokiem. – Jeśli nie masz siły, to cofnij ramiona, aż coś w nich strzeli i pchnij znowu.

– Staram się – odparłem, robiąc kolejny wymach kijem, pozbawionym grotu.

– Nie machaj tyle, nie bierz zamachu, rozpędu, niczego takiego. W większości przypadków lepiej naszpikować kogoś niż silić się na zamach, patrz.

Dzięcioł chwycił mocno długi, dębowy kij i w ułamku sekundy zrobił cztery pchnięcia tak szybko, że widziałem jak kawałki kurzu odpadają z jego skóry, wisząc przez najkrótszą chwilę w powietrzu, jakby jego własny cień nie mógł nadążyć.

– Przeciwnika nie będzie obchodziło, co chciałeś zrobić. Nikomu nie zależy na tym, byś wykonał cięcie, o którym dobrze się pisze ballady. Jeśli możesz go dźgnąć pod kolanem albo w pachwinę, to to zrób. On naprawdę nie będzie ci bardziej wdzięczny za to, że dasz mu honorową śmierć.

Otarłem pot z szyi, wzdłuż ogumienia poroża. Mijała kolejna godzina, w której dzięcioł patrzył się na wszystko drapieżnie, ruszał się jak sprintują-

cy gepard i odpowiadał szybko jak echo. Niemalże fizycznie było widać, jak ten podstarzały weteran ptasich, odległych wojen odmłodniał.

– Nie umiesz latać, więc powinieneś walczyć tak, jakbyś nie miał prawa do ucieczki – powiedział swoim ptasim trelem. – Niech ten strach i wola przetrwania sprawi, że stracisz jakiekolwiek myśli o tym, żeby się wahać. Przeżycie stanie się drugą naturą w momencie, w którym dasz się porwać wirowi zdarzeń.

– To dosyć trudne, odrzucić myśl o przeżyciu, by właśnie przeżyć – mruknąłem bez przekonania, myśląc, że podstarzały nauczyciel po prostu mędrkuje.

– Myśl o walce jak o tańcu, to przestaniesz się bać, a zaczniesz ekscytować. Każde parowanie, finta, wykręcony młyniec, a nawet przełamana zastawa będzie jak kolejny krok taneczny, który wykonujesz w harmonii z przeciwnikiem. Nie dasz się zaskoczyć, jeśli zestroisz się z przeciwnikiem. Jak on się potknie, to ty lecisz za nim, byle ostrym do przodu. Jak stracisz broń, to tak jakbyś zmieniał wiodącą nogę, dziwnie, niezręcznie, ale całkowicie do odratowania bez straty punktów.

– U was się tak robi? No, czy u was tańczą? – spytałem, wskazując ręką na całokształt człowieka o ptasim łbie.

– Ptaki umiały tańczyć i śpiewać, nim ludzie zeszli z drzew! – powiedział oburzony, odnosząc się jednocześnie do swojego ptasiego królestwa Lasu, jak i zapewne do całej fauny, jaka zasiedlała Ziemię. – To wy od nas podpatrzyliście wszystko, byliśmy pierwsi.

– Dobrze wiedzieć – odpowiedziałem bez przekonania.

Wielki, zielony dzięcioł zbliżył się do mnie, pochylił łeb i niemalże dotknął mnie swoim długim dziobem. Drgnąłem od razu, jakbym spodziewał się, że zaraz mnie przeszyje na wylot, jak korę drzewa, szukając roba-

ków. Było to naprawdę nieprzyjemne doznanie, mimo tego, że miałem na głowie maskę.

– Boisz się mnie?

– Słucham?

Władyżer rozwarł lekko dziób i oblizał się glistowatym jęzorem koloru jagód. Za każdym razem wyglądało to, jakby z jego gardła wychylał się niemal metrowy wąż.

– Widzę, że się boisz. Wtedy w chacie też byłeś dziwny, ten twój kolega też. Co czeka was na zewnątrz?

– To co zwykle, więcej partnerów do tańca.

– Podobnych do mnie?

– Jest w tobie więcej człowieka, niż w nim. On przypomina bardziej człowieka, który już przestał być człowiekiem, a nie zaczął jeszcze być czymś innym.

– No i kim jest ten on? – Dzięcioł błysnął złocistą tęczówką, przyglądając mi się z bardzo bliska.

– Gawronem – odpowiedziałem cicho.

Gospodarz wzniósł prawie że ludzkie brwi w górę, imitując zdziwienie lub będąc szczerze zdziwionym, ciężko było stwierdzić po jego ptasiej twarzy. Przez moment kiwał głową w zadumie, aż w końcu odezwał się, drapiąc szyję szponem.

– Krukowaty klan to przebiegłe gnidy, zawsze był z nimi problem. Nie lubiły się podporządkować i wysyłały mało rekrutów, i to od pierwszej wojny, wtedy jeszcze z tymi przeklętymi Ryknikami. Po latach wojna zmieniła się z burzliwego konfliktu w stałe utarczki, prozę dnia, wieczne poczucie zagrożenia. Do tego stopnia przywykliśmy do walki ze wspólnym wrogiem, że kompletnie zaskoczył nas nowy. To była Wielka Wojna ptaków, pierwsza i mam nadzieję, że ostatnia.

– Gawron też jest z tego miejsca, z którego ty?

– Gawronów są tysiące, ten twój pewnie jeden, ale ostatecznie i tak z tego samego miejsca, bo niby skąd?

– Nie żaden mój… Tylko ty jesteś, nie obraź się, ptakiem.

– Dziękuję.

– Patriota awionik – odchrząknąłem. – Nieprecyzyjnie się wyraziłem. On jest człowiekiem, który tylko podaje się za ptaka. Nosi czaszkę jakiegoś Kruka i ma taki płaszcz z piórami i szaty atramentowe, jak gawron.

– I cóż z tego?

– No, czy nie powinien wyglądać bardziej jak ty?

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział i zamilkł na moment, wpatrując się gdzieś w pustkę. W jego oczach błyskały co chwila zieleń i złoto.– Są różne sposoby na bycie. Możesz przybrać wiele aspektów dowolnej istoty. Ty jesteś Drozd, prawda? No to prawie tak, jakbyś był jednym z nas!

– To nie ma sensu, przecież ja… No ja się urodziłem poza Lasem, jako człowiek, tak? Gatunek homo sapiens, mam normalne usta, nos, współdzielę przodka z naczelnymi.

– Ja nie rozumiem, po co tak sobie komplikować życie? Bycie kimś to pewna decyzja

i styl życia. Jak będę się czuł orłem w ciele dzięcioła, to będę orłem, ale oby nie – powiedział

i splunął na bok, choć nie mam pojęcia, jak zebrał ślinę i ją wystrzelił. – Dla was pewnie ten Gawron jest tak człowiekiem, jak dla nas ptakiem.

Otrząsnąłem się nagle i skrzywiłem. Chyba najzwyczajniej w świecie nie wierzyłem dzięciołowi. Może po prostu mówił co mu przyszło do głowy albo znowu odlatywał gdzieś myślami i nawet tego nie zauważyłem. No cóż, była jeszcze możliwość, że gdzieś był błąd w tłumaczeniu i mówiliśmy o dwóch różnych rzeczach.

– Tak czy inaczej, wracając do tematu: boję się, masz rację. Boję się, bo ma dwójkę naszych współtowarzyszy drogi, a jednego dosłownie rozszarpał na miejscu. Kazał nam odnaleźć swoją ukochaną Wronę, Mamunę… znasz może?

– Ukochaną? Nie wiem, pierwsze słyszę, ale też nigdy nie byłem zainteresowany polityką, małżeństwami między rodami i całą resztą heraldyki. Całe życie spędziłem chroniąc tych, na których mi zależało, nie pytając o to, spod jakiego znaku byli

– Cóż, teraz ja muszę zrobić to samo, ale wątpię, że mi się uda. Jutro wieczorem naszego czasu minie wyznaczony przez Gawrona termin. Musimy mu znaleźć tę Mamunę albo spadnie na nas nieszczęście. Do tego dochodzi jeszcze taka pylista choroba, którą podłapał Śledź i zaraził nią resztę.

– On jest na coś chory? – spytał zdziwiony dzięcioł. – Nawet nie zauważyłem. Myślałem, że po prostu jest inny.

– Rozpada się od tego pyłu, niedługo ja też zacznę, już mi skóra poszarzała i ciężej oddychać z każdym dniem.

– Powietrze u mnie dobre, powinno wam pomóc. – Dzięcioł na najkrótszy moment posmutniał. – Nie mam jak ci pomóc z pyłem, nie znam się, nie jestem znachorem.

– Więc może pomożesz mi inaczej?

– No, od czego są starsi, jeśli nie od naprawiania błędów młodych?

– Potrzebuję pomocy z Gawronem, bo może się oka…

– Nie ma mowy – odezwał się nagle poważniejszym, znacznie groźniejszym tonem. – Nie o takiej prośbie myślałem. Jakbyś mnie poprosił o nauki albo opowieści lub pieśni, to może bym ci uszczknął nieco ze źródełka wiedzy, ale nie proś mnie o taką pomoc.

– Ale ja takiej pomocy potrzebuję! – podniosłem głos. – Po co mi pomoc, która mi nie pomoże? Mam namacalny, realny problem. Nie potrze-

buję pocieszenia, nie potrzebuję, żeby ktoś mi mówił, że jest moim pasterzem, a ja jego owieczką i on mnie poprowadzi, a potem i tak wszystko szlag trafi. Potrzeba mi silnej ręki, wojownika, dumnego, Ajernego Włajdodzioba, który pomoże mi w chwili próby.

– Nie będę rozlewał krwi moich braci.

– Jaki on tam, kurwa, twój brat?!

– Nie klnij w moim miejscu spoczynku. Tu złożę swoje kości, tu będę trwał resztę wieczności, aż wrócę w wielką nicość jajka. Nie pozwalaj sobie na plucie jadem w to, co ma mi dać ukojenie.

Zacisnąłem dłoń na kiju, zatarłem zębami i wziąłem kilka szybkich oddechów. Zaraz ukłuło mnie coś boleśnie w sercu, aż musiałem przysiąść i złapać się za pierś. Dzięcioł wyglądał nagle na przejętego, jakby kompletnie zapomniał, o czym rozmawialiśmy.

– Przepraszam, o za dużo cię proszę. To nie jest twój problem, ja nie jestem ptakiem, Gawron jest, nie chcesz z nim walczyć, twoja sprawa. I tak nie spodziewam się, że mielibyśmy szansę w trójkę. On ma całą armię, a ja puste ręce, chorobę, na którą nie wiem nawet czy jest lek, mnóstwo drogi do zrobienia i pusty plecak.

Dzięcioł rozchylił lekko dziób, spojrzał na boki speszony i szepnął, kładąc mi pierzaste skrzydło na ramieniu.

– Mogę ci dać trochę jedzenia na drogę…

– Nie, nie, przepraszam – odpowiedziałem, ściągając z siebie jego szponiastą dłoń. – Nie chciałem, by to brzmiało, jakbym żebrał.

– Nie żebrałeś, po prostu mam tego więcej i mogę się podzielić. Na razie może dość nauki, co? Wejdźmy do środka, pokażę ci coś. No, głowa do góry, jeszcze potem zrobimy kolację, tym razem większą, na trzy osoby.

– Ten obiad i tak wyglądał, jakby był robiony na trzy osoby.

Dzięcioł zaśmiał się, ponownie położył mi dłoń wzdłuż ramion i poprowadził do domu, odrzucając na bok kij. Gdzieś w zagrodzie cicho zachrobotały zębami króliki, drapiąc pazurami o druciane klatki. Słońce nadal sunęło dostojnie po nieboskłonie, nieuchronnie przypominając o tym, że nigdzie czas nie jest wstrzymany na zawsze.

Wróciliśmy do skąpanego w blasku salonu, gdzie w jednym z foteli siedział Śledź, niemalże parując drobinami pyłu i kurzu, który podnosił się z jego ciała. Powietrze nad nim nieznacznie falowało, jakby on sam wydzielał mnóstwo ciepła.

– Co robisz? – spytałem Mariana, ale on ani drgnął. – On żyje?

– Może zasnął, niech śpi, to przestanie tak narzekać – odpowiedział wesoło dzięcioł, kierując się do rzeźbionych schodów z jesionu. – Chodź za mną, pokażę ci coś.

Ruszyłem za gospodarzem, który wydawał się ekscytować na myśl o czymś, co znajdowało się wyżej. Mijaliśmy malowane ściany, zwisające lampki i świeczki, a wszystko pachniało mocno żywicą i mokrą darnią.

– Ja śpię tu, po prawej. – Władyżer wskazał na szerokie łóżko w pokoiku obok. – Wy macie sypialnie wyżej, więc nie wstawajcie w nocy, bo będę się budził. Nie bójcie się też, jak zacznę krzyczeć, to się zdarza, złe sny to jedyne, przed czym nie umiem obronić domu.

– Przetacznik dobrze działa na sen – szepnąłem, bo wątpiłem, że moja porada w jakikolwiek sposób przyda się wiekowemu dzięciołowi.

– Naprawdę? Nie wiedziałem, widać człowiek uczy się całe życie – zaśmiał się wielki ptak, wskazując mi coś po swojej lewej. – A to jest mój… mój kąt, w którym trzymam swoją starą, zakurzoną duszę.

Zdjąłem maskę i przetarłem oczy. Przede mną stał wysoki, posrebrzany pancerz z jaskrawymi, czerwonymi naramiennikami, z których zwisały pióra. Stojak dźwigał na sobie masywny, pięknie wykonaną zbroję wraz z

kilkoma dodatkowymi uchwytami obok. Na jednym z nich była krótka lanca, przypominającą przerośniętą szpadę, ciężko było ją przypisać do jednego znajomego przedmiotu. Wyglądała po prostu jak wielki, ptasi dziób z rękojeścią. Wrażenie potęgował fakt, że drugi uchwyt, po lewej stronie stojaka dźwigał wysoką tarczę, wyglądającą jak coś pomiędzy ptasim skrzydłem a latawcem. Nawet zewnętrzny obrys tarczy był delikatnie rysowany w kształt nachodzących na siebie piór.

– Wygląda pięknie – powiedziałem z przejęciem. – A co to za pióro w środku. Wydaje się inne niż twoje, bez urazy.

– Nie uraziłeś, Droździe – Władyżer uśmiechnął się i spojrzał nieobecnym wzrokiem gdzieś w dal. Zaraz podszedł do pancerza i przejechał z czcią jednym szponem po długim, błękitnym piórze, które zatopiono za przeźroczystą blaszką na mostku. – To mój największy skarb, ostatnia prawdziwa pamiątka, lot powrotny do domu. Pióro samej królowej Kokudryły. Królewski ród jest jedynym, który ma tak piękne, nabożne wręcz upierzenie.

– Nie wiedziałem, że istnieją niebieskie pióra. To chyba tylko światło tak się odbija, a tak naprawdę nie istnieją takie pióra w przyrodzie.

Władyżer pokiwał głową poważnie, ale jego ptasia twarz nadal wyrażała uwielbienie i radość. Rozbiegane, heterochromatyczne oczy na moment uspokoiły się i skierowały całą uwagę na ukryty za przezroczystym materiałem obiekt.

– To prawda, Drozd. Niebieskie pióra nie występują w przyrodzie. Ale nikt nie powiedział, że podlegamy prawom niskich pięter. Królestwo naszej pięknej Kokudryły jest wysoko, na piętrach do których trudno trafić, a jeszcze trudniej się utrzymać. Ktoś z twoją maską mógłby nie dać rady. Nie uwierzyłbyś… Nie, nie byłbyś w stanie swoimi oczami zobaczyć tych

wszystkich cudów. Musiałbyś najpierw zaufać ptasim podróżom, a do tego trzeba być ptakiem.

– Te piętra mimo wszystko są w Lesie, prawda? Jest ziemia, drzewa, mech, głazy, wykroty, jary i cała reszta prozy życia, prawda? – Spojrzałem na dzięcioła i tak długo zwlekał

z odpowiedzią, że aż zrobiło mi się nieswojo. – Władyżer… To nadal Las, prawda?

– Drozd… Gdybyś ty widział to, co ja. Nigdy już nie mógłbyś zasnąć. Nocami snułbyś tylko nowe trasy przelotów. Nad nami jest tylko kosmos, jesteśmy zawsze w słońcu, a wiatr gładzący nasze pióra jest tak majestatyczny i szczególny, że wymaga oddzielnego zmysłu.

– I macie wojny domowe – powiedziałem nagle. Słowa same wymknęły mi się na zewnątrz, bez wcześniejszego osądzenia ich w głowie.

Dzięcioł mrugnął, odsunął się o krok i nagle zmarkotniał. Przejrzał swój pobliźniony skalp w wypolerowanym pancerzu i strzepnął ciemny, szary pyłek ze zdobionej tarczy.

– To jest płaciszcze, a to się nazywa dziobiec – powiedział cicho, wskazując kolejno tarczę i lancopodobny miecz, kompletnie przy tym ignorując moje słowa. – Przypominają wasz miecz i tarczę, oczywiście, że tak, ale wiesz jak to jest. My, ptaki, jesteśmy innej budowy i inaczej tworzyliśmy swoje narzędzia. Część rzeczy używamy jak ludzie, a część jest dla was pewnie tak obca, jak dla mnie pomadka do ust.

– Zabawne – uśmiechnąłem się, na co dzięcioł spojrzał na mnie swoim przerośniętym, ptasim łbem i mrugnął zaskoczony.

– Jestem zabawny?

– Emm… – zaciąłem się na moment, bo nie spodziewałem się, że w ogóle ktoś może dopytywać się coś takiego. – No, to znaczy tak. Nie jakoś

wybitnie, ale tak. Dobrze, że od siedzenia w Lesie samemu nie zrobiłeś się markotny.

– Nie uczyli mnie żartów.

– Władyżer… Humor to nie jest jakaś umiejętność, nie trzeba się tego uczyć. Można być zabawnym na różne sposoby, to bardziej naturalna predyspozycja. – Przez moment znowu widziałem w oczach gospodarza jedynie rozchwianie i błądzące ogniki czegoś na pograniczu dziwactwa i szaleństwa, właściwego wszystkim anachoretom. – Od jak dawna tutaj mieszkasz? Sam zbudowałeś dom, prawda?

– Tak, sam znosiłem pustodrzew, by wszystko zbudować. Jak się przypatrzysz, to zobaczysz, że bale są różnych gatunków. Fundament to głównie dąb, ale tam gdzie mogłem oszczędzać to mieszałem i sporo brzóz i osiki użyłem, lekko nie było, ale chciałem mieć swoje gniazdo. A kiedy już spełniłem swoje ostatnie życzenie i zbudowałem idealne gniazdo na resztę życia… Cóż, została mi cała reszta wieczności.

– Pustodrzew? Chodzi o martwodrzew?

Dzięcioł wzruszył ramionami, ignorując pytanie i zaczął znowu uciekać wzrokiem do stojącego pod ścianą rynsztunku. W pewnym momencie zbliżył się do powieszonych na ścianie płyt pancerza i zaczął przeliczać je powoli, jakby zastanawiał się, co jeszcze może zmienić w zestawianiu, które wyglądało, jakby nikt nie ruszał go od lat.

– Chciałbyś ją jeszcze raz założyć, prawda? Poczuć jeszcze raz to, co czułeś kiedyś i ruszyć do boju.

– Nie, mój mały Droździe – odezwał się głębokim, zmęczonym głosem. – Chciałbym być jeszcze raz tym samym ptakiem, którym byłem wtedy, gdy noszenie jej było dla mnie drugą naturą. Byłem młodszy, silniejszy, pełen odwagi i nadziei. Przemierzyłem wiele pól bitewnych, po których wiódł mnie taniec śmierci. Za każdym razem wychodziłem zwycięsko, jako

jeden z tych groźnych, którzy potrząsają w garści losem wszystkich ludzi. Bogini, wszystko przegrałem, co było do przegrania w momencie, w którym się zestarzałem. Nie popełniłem błędu, nie padłem w chwalebnym boju… Po prostu zamiast wylizać się z ran i wrócić tam, gdzie moje miejsce, osiadłem i dałem się przykryć warstwą kurzu.

Wyjąłem z kieszeni jeden z dwóch gwoździ Gawrona i puknąłem lekko Ajernego w jego wielkie skrzydło.

– Potrzebuję pomocy. Nie możesz tak po prostu siedzieć tutaj i się marnować. Jesteś dobrym człowiekiem… znaczy ptakiem. Masz dość siły, by żyć w Lesie, żyć, nie po prostu przetrwać. Dobry mój Boże, potrzebuję dokładnie kogoś takiego, jak ty.

– Nie chcę więcej walczyć, nie mam w tym interesu. Nie chcę podbijać i zniewalać moich ptasich braci, ani nawet ludzi. Chciałbym być dobry dla nich, jeśli to możliwe, bo taka powinna być nasza natura. Nauczyłem się zbyt późno, że żyjemy cudzym szczęściem, a nie cierpieniem i nędzą.

– Gawron żywi się nędzą, rozumiesz? Nie podołam sam, tego wiem na pewno, klnę się na swoją duszę!

– Nie mów tak! – zaskrzeczał dzięcioł i zaszamotał się pod sufitem, trąc dziobem po deskach. – Nie przysięgaj w Lesie, co ty, głupi jakiś jesteś? Przysięgi mają ogromną moc, nie pomyślałeś nawet, co by było, gdyby ktoś ją przyjął! Co byś miał z takiej przysięgi? Przegraną albo potępienie, żaden interes.

– To pomóż mi, zanim ten pieprzony kleptokrata nażre się mocy i obwoła się bóstwem. Zanim zniewoli wszystkich ludzi i leśne stwory, które są w stanie mu się pokłonić i zabije te, które nie są! Po prostu potrzebuję, żebyś wziął ten pożytek i wsparł mnie w godzinie próby i tyle. Jeśli nie chcesz mi pomóc znaleźć tej Wrony, to chociaż wiedz, że nawet gdy mi się

uda ją przyprowadzić, to Gawron na pewno nie wywiąże się ze swojej części umowy. Może wcale nie da się tego, bo już i Juki, i Lusia nie żyją.

Dzięcioł zmrużył powieki, odtrącił moją dłoń i pokiwał głową na boki.

– Nic mi nie mówią te imiona i nie chcę stawać przeciwko innej osobie. Nawet nie wiesz, jak mało lotników może się pochwalić tym, że dożyło starości. Byłbym niewdzięczny, gdybym z tego nie skorzystał, nawet jeśli nie chcę. Nie będę ginął za twoją wojnę, Drozd.

– To nie jest żadna moja wojna, ale dobrze… Bo przecież cię nie zmuszę, prawda?

Ptak pokiwał łbem i przetarł jeszcze raz dłonią pióro królowej.

– Już raz popełniłem ten błąd, nie będę robił tego po raz drugi. Nie wciągnę innych w problemy, które dotyczą mnie. Jesteś myślącą i inteligentną istotą, masz prawo do swojej historii i jej końca. Jeśli chcesz umrzeć we własnym łóżku, to niech to będzie twój wybór, nie jestem uprawniony, by cię oceniać. Wiedz jedno… Jestem ci wdzięczny, bo okazałeś nam gościnę. To więcej pomocy, niż otrzymałem do tej pory w ciągu całej drogi. No, chyba, że zaraz się okażę, że w ptasim prawie jestem ci teraz winien swoją duszę albo coś gorszego… Nie jestem, prawda?

Władyżer zaśmiał się, co zaraz przerodziło się w świergotliwy trel, a potem tylko w postukiwanie języka, bijącego o wnętrze zamkniętego dziobu. Poklepał mnie nieco zbyt mocno po plecach i zaczął schodzić z powrotem po schodach.

Uśmiechnąłem się i obróciłem, by po raz ostatni w życiu spojrzeć na ptasie artefakty z krain, których nie dane mi było zobaczyć. Zabawne, że nawet w tak niezwykłym i niedostępnym miejscu jak Las, mogą być osoby, dla których to tylko mały wycinek znacznie większej rzeczywistości.

Rozdział piąty: Kruk krukowi oka nie wykole

– Zostańcie jeszcze na drugie śniadanie – zarzekał się dzięcioł, ściskając mnie i Śledzia swoimi wielkimi rękami.

– Wyrusz z nami – odpowiedziałem równie niewygodną propozycją.

Dzięcioł westchnął ciężko, od serca, jakby powoli zaczynał rozumieć niuansy rozmów z ludźmi. Możliwe, że jeszcze długi czas nie będzie miał nowych gości w swojej kieszeni czasowej. Na moment zrobiło mi się nawet szkoda tego, że będzie siedział sam w swoim domu, nie mogąc zostawić go samego, ani nie mogąc znaleźć żadnego towarzysza, z którym mógłby pomówić.

– Byłeś najprzyjemniejszym i najcieplejszym gniazdem na naszej trasie przelotowej – zaśmiałem się, sprawdzając napięcie ogumienia poroża. – Szkoda tylko, że tak krótko to trwało, ale może uda nam się kiedyś wrócić.

– Będę na was czekał… Wielokrotnie dłużej niż wy.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem i odwróciłem się powoli, by zejść po długich, kamiennych schodach. Jeszcze schodząc odmachiwałem ogromnej, zielonej sylwetce, która stała pod rzeźbioną framugą z martwej sosny.

– Cały pobyt siedziałeś, jakbyś tu był za karę – powiedziałem do Śledzia.

Ten nie odezwał się nawet, tylko włóczył powoli nogami, rzęził płucami i skrzypiał czym się dało przy każdym ruchu. Wyglądał coraz gorzej i nawet odpoczynek mu nie pomógł, a wręcz przeciwnie.

– Skąd będziemy wiedzieli, że wychodzimy z posesji Władyżera? – spytałem.

– Wszystko będzie umierało – odpowiedział krótko, sepleniąc przez wypadające od choroby zęby. – Powiedz… powiedz mi Drozd, ale tak szczerze. Czego żeś się tak uczepił tego starego dzięcioła? I jeszcze zostawiłeś mu ten gwóźdź, a nawet nie wiesz, czy jeden wystarcza, by przenieść trzy osoby, ani jak on działa.

– Gwóźdź zadziała, tym się nie martwię. Co do Władyżera to… Zrobił na mnie dobre wrażenie, przypominał mi znajomego, z którym już nie będę mieć okazji porozmawiać. Taki erzac człowiekowi dobrze robi, wiesz? Warto robić sobie przyjaciół, zwłaszcza w Lesie. Najważniejsze to chyba to… że szkoda mi go było, wiesz? Tak z racji wykształcenia. Po prostu minęliśmy lekko zafiksowanego staruszka, który najlepsze lata ma za sobą. Pomógł nam tak, jak pomagają starzy młodym, opowieścią i miejscem do spania. A gwóźdź mu dałem, bo chciałem, by na chwilę poczuł się potrzebny. Nie, ja wiem, nic nam to nie da. To nadal nie rozwiązuje żadnego problemu i nawet… nawet się cieszę, że się nie zgodził. Jeszcze stała by mu się krzywda i miałbym go na sumieniu.

– Będę rzygał – mruknął Śledź, zatrzymując się na moment.

– No dobrze, może i historia jest przesłodzona, ale ja naprawdę uważam…

Śledź odwrócił się, zerwał płachtę z ust i wydał z siebie paskudny dźwięk. Nie był to jednak typowy, wilgotny chlup treści żołądkowej, a wręcz przeciwnie. Rozległ się suchy świst i szelest osypującego się pyłu. Z gardła Sochy lunął deszcz piachu i twardych kawałków sczerniałej biomasy.

– O cholera… o jasny gwint – zacząłem szeptać do siebie i przeliczać, o ile dni bardziej chory jest Śledź i kiedy mnie dopadnie to samo. – Śledź, ale ty chyba… nie umierasz, prawda? Nie umrzesz mi tu, zgadza się?

– Przysięgam – powiedział, ocierając usta. – Że nie umrę na twoich oczach. Tylko błagam, nie róbmy więcej zbędnych przestojów. Tak, wiem, to były dwie godziny najwyżej, ale proszę, po prostu nie róbmy tego.

– Znajdziemy dla ciebie lekarstwo i znajdziemy Mamunę, ale nadal nie wiem jak.

Spojrzałem na słońce, które powoli zaczynało zjeżdżać wzdłuż horyzontu, by zajść. Czekał nas chłodny wieczór i nie wiadomo jak zimna noc, bo klimat zmieniał się właściwie nieustannie. Zima w tym roku była wyjątkowo nieprzewidywalna.

W pewnym momencie przed nami błysnął błękitny płomyk. To mógł być ułamek sekundy, złuda, przypadek, ale byłem niemalże pewny, że go widziałem.

Minęliśmy wartki strumień, nad którym ktoś postawił skręcony z blachy i rur mostek. Gdy już przeszliśmy na drugą stronę, coś zmieniło się nagle i niespodziewanie. Wszystko poszarzało, drzewa zaczęły być coraz rzadziej upstrzone liśćmi i kolorami, a na niebie kondensowały się coraz gęstsze chmury. Obróciłem się na moment i spostrzegłem, że po stronie mostu, z której przyszliśmy, sytuacja wyglądała identycznie.

– Przeskok pięter – zamigałem rękoma.

Lepiej było nie kusić losu na obcym piętrze. Odkąd nie było Krzykacza, Las był nieco bardziej tolerancyjny wobec cichych szmerów. Wynikało to pewnie głównie z tego, że niezliczone zastępy innych lich zaczęły być głośniejsze. Miałem też teorię, że hałas wywołany odległymi, obcymi wydarzeniami, mógł zagłuszać niektóre dźwięki. Na przykład taki Gawron, zbierający te swoje paskudne wrony i zasiedlający zelektryfikowany tartak w Lesie, musiał wytwarzać sporo hałasu, który był nieznośny dla bardziej wrażliwych lich.

– Ludzie – mignął Śledź, wskazując na mostek. – Sztuczne.

Pokiwałem głową i wskazałem na filtr, a następnie w górę i w dół. Śledź wzruszył ramionami, on też nie wiedział, ale po chwili wskazał w górę. Też mi się tak zdawało. Wyższe piętra wydawały się być bardziej sponiewierane przez pylisty opad. Cóż, jeśli źródłem zarazy Śledzia była ta pylista grzybnia, której zarodniki rozprzestrzeniały się po Lesie, to chyba powinniśmy byli iść właśnie w tym kierunku, który jest najbardziej szary. Mimo to wydawało

mi się, że czegoś zabrakło w tej logice. Powinniśmy byli być już bardzo blisko tej grzybni, ale szarość potrafiła być tu nawet mniejsza, niż na piętrach, które mijaliśmy do tej pory błądząc. Dochodziła jeszcze możliwość, że szliśmy ścieżkami zarażonych, którzy znaczyli długie ślady szarości od źródła, niekoniecznie idąc w linii prostej, przecinającej piętra na skos.

– Patrz na to – mignął Socha, wskazując przydrożną kapliczkę.

Mały piedestał z jasnego kamienia utrzymywał na sobie jakąś łysą postać w szerokiej szacie z krzyżem na piersi. Mógł to być dowolny święty, bo brakowało jakichkolwiek znaków szczególnych. Poniżej umiejscowiono pozostałości po tabliczce pamiątkowej, którą ktoś wykuł i wymalował czarną farbą. Niestety, żłobienia z czasem zatraciły swój kształt i zapełniły się zielonkawą masą mchu oraz żółtą pleśnią. Tabliczka miała upamiętniać czyjąś pielgrzymkę, ale nie sposób było nawet dostrzec, z jakiego roku była.

– To ostatnia prosta – szepnął Śledź. – Rozpoznaję to miejsce, tylko nie wiem, po której stronie jesteśmy. Przechodzimy obok albo przez środek terenu, który należy do…

Strzała o żelaznym grocie wbiła się w ziemię tuż przed nami.

– Do nich – mruknął Śledź i zaczął powoli podnosić ręce. – To teraz dawaj tę swoją psychologię, bo idą chorzy.

– Słucham? – spytałem z niedowierzaniem, patrząc we wskazywanym przez Sochę kierunku. – Niby co tam…

Spomiędzy dwóch wysokich sosen wyrastał krzew, pokryty białymi kulkami jakichś owoców, zapewne niejadalnych. Mimo to najciekawsza część była jeszcze wyżej, tuż ponad obrębem poszarzałych liści. Całkowicie brązowa twarz wystawała spod podobnie brązowego kaptura, z dwoma otworami na niezwykle wysokie, futrzaste uszy.

– Ani kroku dalej, bydlaki! – zapiszczał śmiesznie wysokim tonem nieznajomy i zaraz zwrócił się do kogoś obok. – Hubert, Hubert, dawaj powróz, mam jakieś kukły!

Zacząłem wznosić ręce do góry, tak jak to zrobił Śledź. Przez moment próbowałem wytężyć wzrok, aż w końcu mój mózg zrozumiał, że to nie z dystansem czy kamuflażem jest problem, tylko z uwierzeniem własnym oczom. Z krzaków wystawał łuk z napiętą strzałą, trzymany przez humanoida o twarzy zająca z wielkimi uszami. Zaraz po tym z krzaków po przeciwnej stronie drogi wyszedł kolejny futrzak, tym razem szarobiały w czarne łaty, trzymając w pazurzastych łapach arkan do poskramiania zwierząt.

– Panowie, my tylko przechodzimy…

– Czy ja ci się pozwoliłem odezwać, fiucie jeden? – pisnął wściekły zając z arkanem. – Słyszałeś go, Piotrek, jaki wyszczekany? Wyżej te ręce, skurwysyny, bo wam utnę te łby i wsadzę w dupy pod same gardła.

– My jesteśmy ludźmi – powiedział nagle Socha, ale rzeczywiście wzniósł swoje ręce jeszcze wyżej, rozczapierzając palce pustych dłoni. – Prawdziwym ludźmi.

– Gównem jesteście, a nie ludźmi – zaśmiał się głośno Hubert i Piotr zawtórował mu śmiechem. Obaj wydawali z siebie dziwnie piskliwe, trudne do zrozumienia dźwięki. – To teren Uchych i każdy to wie. Za przebieranie się za ludzi spotka was surowa kara!

– Czekaj, czekaj Bercik… A co, jak to są ludzie?

– O, no właśnie – odezwałem się, bo chyba lepsze było to, niż bycie zastrzelonym na miejscu przez jakieś zwierzęta.

– Milcz, jednorogi bydlaku! – ryknął Hubert, choć może to zbyt dużo powiedziane, bo przeciętna nastolatka miała niższy ton głosu niż on. – No jak, Piotrek, jak widać, że to jacyś przebierańcy tylko sobie z nas żarty robią.

Piotr zwęził powieki, zbliżył się o kilka kroków i syknął na nas.

– Niech zdejmą pyski.

– No jak, Piotrek, przecież przeskoczą nam i spieprzą w siną dal. Najpierw utnijmy im po nodze, a potem się zobaczy.

– A na cholerę ci człowiek z jedną nogą? Co powiesz w domu? Zrobimy inaczej – zwrócił się do nas. – Jeden z was zdejmuje czachę na bezdechu, a jak tylko zaczerpnie choćby jeden oddech by uciec, to drugiego przerobimy na paszę, zrozumiano?

Spojrzałem zdziwiony na Śledzia.

– Ja nie zdejmę maski, bo nie chcę się posypać – odpowiedział, świszcząc płucami tak mocno, że nawet zające musiały to słyszeć.

– Dobra, no to ja zdejmuję – mruknąłem, wziąłem głęboki oddech, poluzowałem wiązanie z tyłu głowy, podważyłem ogumienie na szyi i zdjąłem poroże.

Mając policzki napęczniałe jak bańki i ściskając nos jedną ręką, zacząłem świdrować wzrokiem oba zające, by namyślili się jak najszybciej.

– Ty, patrz, chyba prawdziwy! – zapiał Hubert.

– Tylko jakiś…

– No jaki?

– No nie wiem, cosik nie tak jest.

– No niby co?

– No nic, tylko… Taki szary i jakiś taki o, patrz teraz, patrz, teraz czerwony…

– Ty, no faktycznie, kolory zmienia, dziwne. Może ten jest chory?

– Gorzej, bo patrz, jaki siny się robi na jagodach.

– On się dusi, wy ptasie móżdżki – warknął Socha, aż mu pył prysnął spod maski.

– Ojcze ziarna! Faktycznie, zakładaj maskę! Zakładaj!

– Zakładaj! Boże, jeszcze nieszczęście by takie było.

Włożyłem na siebie maskę i wziąłem głęboki, pachnący rumiankiem oraz potem oddech. Jeszcze przez chwilę siłowałem się z własnymi płucami, karzącymi mnie piekącym bólem, aż wreszcie nastała ulga.

– Ale będą jaja w norze, jak przyprowadzimy dwójkę ludzi zimą, nie? – rzucił Hubert do Piotra.

– I niby po co i gdzie chcecie nas zaprowadzić? – spytałem, ale zaraz przerwało mi krótkie warknięcie niezadowolonego Śledzia.

– Do siebie i po nic, ale to bez znaczenia, bo im nie pozwolimy – dodał Śledź. – Jesteśmy w drodze i bardzo nam się śpieszy.

– A stąd to niby dokąd można iść, jak tu tylko nasza nora jest, ten ryjec wredny, taki durny kamulec, Rzeźbiaki przy moście na Lipie…

– Dziura w ziemi – dodał drugi zając.

– No to mówię, ryjec wredny i…

– Jaki ryjec? – spytałem.

Śledź ściągnął z pleców włócznię i wymierzył w najbliższego zająca, jakby miał zaraz w niego cisnąć.

– Czy chociaż raz możesz nie zadawać durnych pytań i nie dawać się nabrać na jakieś przekomarzanki leśnych cyganów?

– Co to jest cygan? – spytał Hubert.

– Ty, odłóż to lepiej bydlaku, człowieku… Człowieku bydlaku – pisnął Piotr.

Wzniosłem ręce uspokajająco i licząc na to, że nie dostanę ogniem krzyżowym, wszedłem pomiędzy Chołownika a Huberta.

– Dobra, spokojnie… Śledź ma rację, śpieszy nam się i niestety nie mamy czasu na kolejny postój. Przykro mi bardzo, kicaki.

– Jak ja byłem kicakiem, to ty byłeś błyskiem w oku swoich rodziców – odparł zezłoszczony Hubert, ale ciężko mi było uwierzyć, że to było cokolwiek więcej niż przechwałka zirytowanego zajęczaka.

– Krótka piłka z mojej strony – powiedział Piotr, napinając ponownie łuk. – Idziesz z nami się pomodlić albo robię ci z dupy jeża. Nie chcemy wam robić krzywdy, ale wiecie, praca jest praca i jak powiemy szefowi, że znaleźliśmy kogoś i puściliśmy na miękko bez zameldowania, to czapa na miejscu. Wiecie, jak łatwo u nas stracić pracę? Na każdego strażnika jest dziesięciu chętnych.

– Najczęściej własnego rodzeństwa – dodał Hubert, kręcąc futrzanym nosem.

Piotr przytaknął niechętnie i wycelował mi w krocze.

– Dobrze, już dobrze. – Przez moment patrzyłem na Śledzia, ten wyglądał na bardziej zmęczonego i przestraszonego niż wściekłego. – Pójdziemy na krótko, szybki paciorek czy co tam chcecie i lecimy. Nawet nie mam zamiaru o nic pytać…

– Ta, jasne – szepnął Śledź, zawieszając włócznię na plecach.

– No i świetnie – powiedział Piotr i przypadkiem wystrzelił. – O kierwa Barabasz, przepraszam, to było niechcący.

Strzała przeleciała mi między nogami, muskając o kraniec płaszcza i kończąc lot w ziemi. Z niedowierzaniem obmacałem się i wziąłem głęboki

oddech, kręcąc głową. Wyglądało na to, że niektórzy mieszkańcy Lasu żyli tylko dzięki liczbie albo szczęściu, bo rozumu im naprawdę brakowało.

Nie musieliśmy nawet zejść ze ścieżki, gdyż było tak, jak wspominał Śledź. Rzeczywiście wydawało się, że szliśmy na kurs kolizyjny z leśnym schronieniem tych chodzących na dwóch nogach zajęcy. Tak czy inaczej musielibyśmy przejść przez ich włości i to blisko samego rdzenia. Z dwojga lepiej chyba zrobić to pod eskortą autochtonów, niż potem im tłumaczyć cel wizyty, będąc na celowniku tuzina zamiast dwóch.

– To jest bardzo, ale to bardzo prosta sprawa, naprawdę – tłumaczył całą drogę Piotr, do wtóru potakiwań Huberta. – Jesteście ludźmi, tak? Szacunek, naprawdę, zawsze chciałem być człowiekiem. Wiecie, po prostu struktura gospodarcza w Lesie leży, serio. Śmiertelność przy narodzinach jest koszmarna, szkoda strzępić mordę. Dlatego potrzebujemy ludzi u nas, ale spokojnie, to nie żadne porwanie, puścimy was zaraz. Po prostu potrzebujemy waszych dusz, rozumiecie? Nie na stałe oczywiście, ani nawet na chwilę, bardziej na użytek, jak konia do pługa. Pomodlicie się z nami, ludzie się ucieszą, niedowiarki zamkną gęby i wrócimy do pracy jeszcze przed zachodem. Musimy się trzymać razem, to głodny świat i nam się pofarciło, odpukać oczywiście w niemalowane drewno. Widzicie? Nawet przysłowia mamy od was. Wiecie, zasiać i zebrać to jedno, zbudować komuś chatę albo postawić częstokół, świetnie, serio, naprawdę… No ale ludzie jednak potrzebują symbolu, wiecie? Żeby taki człowiek przyszedł, pokiwał głową i powiedział: sam bym lepiej nie zrobił!

– Wolniej, bo nic nie rozumiem – odpowiedziałem, żałując, że nie miałem jak się pomasować po skroniach. – Tak krok po kroku, jak nierozgarniętemu, co my mamy zrobić, kogo mamy grać? Świętych? Inżynierów? Ambasadorów?

– Tak, tak, tak, dokładnie – odpowiedział Hubert, choć nie miałem pojęcia, czy kolejno na moje pytania, czy po prostu mnie nie słuchał. – Jeszcze jakbyście powiedzieli coś, że to my… Nie to, że ja jakiś próżny czy coś, ale jakbyście tak powiedzieli na przykład, że my to jesteśmy jacyś bardziej ludzcy albo dobrze nam z oczu patrzy?

– Hubertowi chodzi o to – wyjaśnił Piotr, przeskakując dwumetrowym susem nad powalonym drzewem – żebyście dali nam legitymizację. Nauczyłem się z książki tego słowa, bo umiem czytać.

Na moment zapadła cisza, w której Piotr i Hubert łypali na mnie zaciekawieni, prowadząc przez zarośnięte ścieżki.

– To… poszanowania godne – wyraziłem przypuszczenie.

Piotr wzniósł dłoń, choć Hubert zatrzymał się już krok wcześniej. Wskazał nam coś na ziemi i dopiero po chwili zrozumiałem, że wskazuje palcem na rozciągnięty drut. Przeskoczył nad potykaczem i zachęcił do zrobienia tego samego. Ja i Śledź po prostu przeszliśmy wysokim krokiem.

– Miny przeciwpiechotne – wyjaśnił jak gdyby nigdy nic Piotr. – Podjebaliśmy je z radzieckiego konwoju. Normalnie by poszły na ołtarz postępu albo chociaż do warsztatu, ale jakoś nikt się nie odważył tego ruszać, więc po prostu rozstawiliśmy na przejściu.

– A weź tu idź się w nocy odlać, nie? – zaśmiał się Hubert i rękoma zaczął pokazywać eksplozję, zapluwając się przy tym.

– Mówiłem ci, Drozd… Psychologuj mi tutaj, bo ja nie dam rady – szepnął Socha.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Wychodziło na to, że Las albo zmienił ludzi w zające albo zające w ludzi. Chociaż jak tak o tym myślałem, to przyszła mi znacznie bardziej przerażająca myśl do głowy. Bo co, jeśli to była jakaś potężna kieszeń czasowa, w której minęły miliardy lat ewolucji? Jednak po chwili myśl odeszła, przegoniona przez trzeźwość rozumu.

Bzdurna teoria, kompletnie niemożliwa, nawet jak na standardy Lasu. Szansa na to była mikroskopijna, musiało być bardziej racjonalne wyjaśnienie, na przykład klątwa albo to wszystko były jedynie maszyny przybyszów. Ot, jakieś wyjątkowo nieskomplikowane gwoździe, którym coś się w głowach przestawiło i teraz myślały, że są ludźmi albo mogą nimi zostać.

– To bezpieczne w ogóle? Chodzicie bez masek i jeszcze tak głośno się zachowujecie w tym Lesie. Sam w to wsiąknąłem, nawet nie zauważyłem kiedy, ale… No w Lesie to zawsze strach szeptać.

– To wyjaśnia, czemu tylu nie wraca – powiedział grobowym głosem Piotr.

Zapadła złowroga cisza, którą nagle przerwały dwa, zajęcze śmiechy.

– Nie no, w kulki sobie z wami lecę. U nas można mówić, a przynajmniej my możemy. Wy nie musicie, a może nawet lepiej, jak nic nie powiecie. Wiecie, zrobicie takie mroczne, tajemnicze wrażenie. Takie zamaskowane figury w jelenich czaszkach, kompletnie ciche i uduchowione. To mi się podoba, taki motyw się na pewno sprzeda w norze. No, to to możecie grać i już jesteśmy.

Widok był ze wszechmiar porażający. Wyszliśmy na coś w rodzaju leśnej polany, gdzie centralnym obiektem było ogromne drzewo, przypominające rozrośniętą, nazbyt szeroką morwę, którą obrastały setki jemioł. Różnica była taka, że kule zieleni, które można było wziąć za jemiołę, były tak naprawdę drewnianymi budkami, dookoła których krzątały się zajęcze sylwetki. Były ich setki, nie widziałem tyle osób, jeśli można ich tak nazwać, odkąd ostatnim razem byłem w mieście. Tak, tym właśnie była zajęcza nora, miastem, którego spora część musiała być nie tylko na ziemi, ale i nad nią. Tego, co było pod ziemią nie mogłem zobaczyć, ale niewątpliwie zające mogłyby kryć się w ciemnych, wilgotnych podziemiach. Mimo to chodzili w biały dzień po czymś na wzór sieci wiszących mostów, łączących

całe piętra drzewa. Po jednej stronie był nawet niewielki bazarek, wypełniony kolorowymi baldachimami, gdzie zdawał się kwitnąć handel. Widocznie zające były już w tej fazie rozwoju, gdzie ciężko było załatwić wszystko sąsiedzkimi przysługami. To było o tyle śmieszne, że pod pewnymi względami sieć zajęczych kryjówek była bardziej rozwinięta cywilizacyjnie od Chołów i innych wsi na wschodzie. Wisienką na torcie był neonowy znak ze znaną marką zagranicznych napojów gazowanych.

– Wszystko to kradzione? – spytałem chłodno, choć pod maską miałem twarz pełną szacunku i oszołomienia bogactwem leśnej społeczności.

– Kradzione – przytaknął Piotr. – Znalezione i zrobione. Podrabiamy rzeczy ze zdjęć gazet i magazynów. Mamy nawet szkołę i lekcje historii, gdzie czasami dla zabawy robimy naloty władzy, gonimy uczniów za łamanie cenzury, a potem wszystko wraca do normy.

– Mamy kinematograf, ale rzadko, bo ile można oglądać jeden film w kółko, prawda? – spytał Hubert. – Wy pewnie macie mnóstwo tego. Tak czy inaczej, znaleźliśmy mobilne kino w starym żuku i prawie wszystko, co potrzebne. Ktokolwiek prowadził samochód, zabrał wszystkie filmy poza jednym i uciekł w Las.

– Trochę mi niedobrze – powiedział Śledź cicho. – Może ja gdzieś poczekam?

– Słyszałem! Nie ma mowy, potrzebujemy was obu – powiedział Piotr. – Słuchajcie, szybkie odwiedziny u komisarza, pielgrzymka i jesteście wolni. No na Ojca, powiedzcie, czego chcecie? Piwa? Chcecie piwo? Mamy piwo!

– Nie mamy piwa – szepnął Hubert.

– Nie mamy piwa! – dodał Piotr, trzymając ten sam wesoły, zachęcający ton. – Las nie jest łaskawy, cały chmiel poszedł się walić, ale może jakby poprosić to komisarz coś da ze swoich zapasów. Tak czy inaczej, już

jesteście u nas, już was niektórzy pewnie widzą. Patrzcie pod nogi, ulica i to z czego! Dwie warstwy desek, takie bogactwo. Suchą nogą można przejść, tylko się w klocka nie wpieprzcie. Jeszcze ten pieprzony pył i śnieg, ale to taka dziwna zima w tym roku, Ojciec na pewno coś zaradzi.

– Kim jest Ojciec? – spytałem, bojąc się odpowiedzi.

– No jak? Bóg Ojciec, a do kogo idziemy? Jaja wam zbledną jak zobaczycie posąg. Nie chcę się chwalić, ale wyszedł nawet lepiej niż wasze, tak myślę.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, już myśląc o tym, co za tragikomiczny potworek był ich bogiem. Ta zajęcza nora, choć do pewnego stopnia imponująca rozmiarem, była ostatnim miejscem, w którym pomyślałbym, że można znaleźć coś boskiego.

Śledź zgiął się nagle i zaczął charczeć, jakby się dusił. Uderzyłem go w plecy otwartą dłonią, coś trzasnęło w środku i cofnąłem rękę z przerażeniem. Socha pomachał tylko na boki głową, abym przestał, a po chwili znowu wyprostował się, dysząc ciężko.

– Jedna modlitwa i idziemy – powiedział bardzo cichym, świszczącym głosem.

Przytaknąłem i spojrzałem na dwóch przerażonych przewodników. Zaraz zaczęła się zbierać dookoła nas grupa miejscowych zająców, a potem już praktycznie przedzieraliśmy się przez zaaferowany tłum, utrudniający nam dotarcie do komisariatu.

Dobry kwadrans zajęło nam dojście do umownego centrum, gdzie zainteresował się nami wysoki zając w kremowej przeszywanicy. Nosząc przy boku krótki miecz i łuk na plecach, wyglądał jak obrazki mnichów, którzy rysowali w średniowieczu niektórych rycerzy jako zlęknione zające. Wiele można było powiedzieć o tym opancerzonym, przerośniętym zajęczaku, ale na pewno nie to, że był lękliwy. Wydał z siebie paskudny skowyt, za-

machnął mieczem, wzbudzając postrach wśród gapiów i zamienił kilka krótkich zdań z naszymi przewodnikami. Dalej przeprawa poszła gładko, gdy już mieliśmy ochronę lokalnego autorytetu w postaci stróża prawa.

– To… Kto u was rządzi? Bo ktoś chyba musi prawda? – spytałem niepewnie, patrząc na umięśnione plecy zajęczego milicjanta. Był jednym z największych mieszkańców, a mimo to nadal był niższy od przeciętnego człowieka. – Ten komisarz rządzi?

– U nas nie ma władzy. Dogadujemy się sami między sobą, płacąc tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujemy od obcych – oburzył się Piotr.

– No, a ten komisarz?

– Prywaciarz zwykły – wzruszył ramionami Hubert. – Zresztą jak wszyscy, bo tylko taki jest sens. Żyjesz krótko, umierasz młodo, Las jest pełen… rzeczy. Więc lepiej mieć taki system, który się nie zesra przy każdym zachwianiu.

Wszedłem na rozklekotane schodki, a dalej na długą kładkę, przypominającą prymitywny most, idący do rozległej, dwupiętrowej chaty pod morwą. Karykaturalne oznaczenia sugerowały, że budynek służył za lokalną komendę milicji.

Minęliśmy masywne, sosnowe drzwi, przetarliśmy buty o wycieraczkę i przeszliśmy przez brudną, bordową kotarę z przeźroczystym, plastikowym oknem na wysokości ramion. Pewnie zawiesili ją, by nie wiało zimno do środka. Takie drobne rozwiązania kojarzyły się rzeczywiście z ludzkimi osiedlami, ale nie sposób było zapomnieć o tym, że jest się nadal w leśnej osadzie. Chociażby taki banał jak ta wycieraczka, normalna rzecz, tylko po co, skoro zające nosiły tylko onuce, których nawet nie wycierały.

Ściany wymalowano na względnie przypadkowe, pstrokate kolory, a momentami zwyczajnie zasłonięto nieodmalowane powierzchnie meblami. No cóż, faktycznie jak na komendzie milicji.

Mimo to główna izba, w której kominku pełgał spory ogień, przypominała bardziej koczowisko bezdomnych. Zebrane w kręgu stworzenia wyszywały ubrania, ostrzyły bronie i wyrabiały strzały.

Zające spojrzały zaciekawione, odrywając głowy od pracy. Ich kąt widzenia był tak szeroki, że nawet się nie obrócili, a jedynie podnieśli twarze. Właściwie to ciarki przeszły mi po plecach na myśl o tym, że te istoty widzą wszystko, wszędzie, zawsze.

– Stary jest? – spytał dziarsko Hubert.

– Dla ciebie pan stary, znaczy pan komisarz – poprawił całkowicie biały zając, który ściskał w garści pióra. – U siebie jest… Ty, wy, co wy tam przywlekliście?

– Słyszałeś go Piotrek? Ludzi nie poznaje – zaśmiał się Hubert i ruszył po bardziej zadbanych schodach, prowadzących na wyższe piętro.

Za nami rozległy się szepty zajęcy, zaskoczonych obecnością ludzi na ich komendzie. To, co minęliśmy, musiało być zapewne izbą przyjęć. Cóż, na ścianach faktycznie rozwieszono wszelkiego rodzaju narzędzia i ozdoby, związane z poczuciem bezpieczeństwa, siłą i rynsztunkiem do walki. Tylko brakowało całej biurokracji, biurek, przyrządów do pisania, szaf pełnych zapleśniałych akt. Widocznie nie nauczyli się tego jeszcze albo z jakiegoś powodu ich komenda operowała bez tak zwanej papierologii.

Biuro komisarza było już biurem w pełnym znaczeniu tego słowa. Piotr zapukał wpierw grzecznie, a dopiero potem wszedł do sporej izby, gdzie wpadające światło podkreślało sylwetkę czarnego zająca, ściskającego w sporych, futrzastych łapach długopis. Widać było, że przynajmniej zarządca całej inicjatywy musiał archiwizować jakieś informacje i wymieniać korespondencję z innymi, istotnymi w społeczności osobami.

Po wejściu dostrzegłem, że jednak po prostu bazgrolił coś na odwrocie zadrukowanej nazbyt często kartki. No cóż, takie rzeczy miały miejsce nawet w moim świecie.

– Dobry, my tylko na krótko zameldować się z ludźmi. Piotr i Hubert Buczek, my od pana Dunikowskiego z oddziału granicznego, piętro parterowe, most południowy.

Zamrugałem kilka razy w zdziwieniu, bo w jednym zdaniu zdążyłem się dowiedzieć, że nasi dwaj przewodnicy byli braćmi, wcale nie musieli się odmeldować żadnemu szefowi, a po prostu nas sprzedali, a poza tym wiedzieli gdzie nas znaleźli, zamiast powiedzieć po prostu, że gdzieś w Lesie.

– Witamy szanownych gości! – powiedział czarny zając, choć nie wiem na ile szczerze, bo jego mimika i głos różniły się od ludzkiej. – Kłaniam się nisko, komisarz August Poniatowski, do usług.

– Jak ostatni król Polski? – spytałem z lekkim zażenowaniem.

– Owszem, trafne spostrzeżenie – wyszczerzył się komisarz, wyciągając ku mnie dłoń nad biurkiem.

Spojrzałem na wyciągniętą do mnie rękę, obszedłem mebel i przywitałem się tak, by nie musieć nachylać się nad niczym. Zając spojrzał na mnie zdziwiony, nie rozumiejąc znaczenia tego gestu.

– Sami sobie nadajecie te imiona?

– Drozd, prosiłem cię, nie pytaj ich, zróbmy co trzeba i chodźmy stąd.

Przytaknąłem, ale komisarz zdążył usłyszeć pytanie i przygotować odpowiedź.

– Nie łatwo jest dostać takie wspaniałe imię i nazwisko. Trzeba słono zapłacić w rejestrze miasta. Urzędnicy wykreślają imiona raz użyte, żeby nikt potem nie mógł ich użyć, więc tym bardziej się cieszę, że udało mi się takie drogie kupić.

– Wybacz mi, Śledź, ale ja po prostu nie wytrzymam… Na jakie licho kupować nazwisko? Zresztą tak buńczuczne i nieswoje, i jeszcze z imieniem.

Śledź warknął tylko, machnął ręką i stanął pod oknem, taksując wzrokiem okolicę. Wiedziałem, że był na mnie zły, bo ważyły się losy nas wszystkich, ale bez zrozumienia tego, co się działo, cała procedura mogłaby trwać jeszcze dłużej.

– Imię już miałem wcześniej, nazwisko sobie dopasowałem. Żyjemy krótko, nie ma czasu wyrobić sobie historii, to musimy kopiować ze znanych ludzi. Taka historia jest chyba lepsza niż żadna, prawda?

– Tylko… Pan nie ma z tym królem nic wspólnego.

– Jak będę dość długo tak się przedstawiał, to ludzie przestaną zwracać uwagę i nawet się nie obejrzą, jak będą o mnie i o władcy myśleli jak o jednym.

– Miło się gadało, ale my musimy iść, pan napisze panu Dunikowskiemu, prawda? – zagadał Piotr, przeciskając się bliżej komisarza Augusta.

– Tak, tak, wszystko mu wyślę, możecie iść. – Komisarz nawet się nie obrócił do zajęcy, przypatrując się na zmianę mi i Śledziowi.

Piotr i Hubert skłonili się lekko na pożegnanie i dziarskim krokiem opuścili piętro, zapewne w myślach już licząc, na co wydadzą zainkasowane środki. Było w tym coś bardzo chłodnego, pozbawionego jakiejkolwiek obietnicy rozwinięcia w przyszłości. Ot, zgarnęli nas, niby pogadali coś i tak szybko jak odfajkowali zadanie, zniknęli za rogiem i z mojej pamięci. Czułem z każdą chwilą, że miasto zajęcy rzeczywiście dobrze imitowało prawdziwe, ludzkie miasta, tylko robiło to w swój własny sposób, biorąc głównie najgorsze i najmniej ciekawe cechy.

– Dobra, czego od nas chcesz, bo bardzo się spieszymy – powiedziałem i zacząłem wymieniać wkład w filtrze na nieco mocniejszy. – Czas nas

nagli, a kompletnie nie mamy związku z tym… Cokolwiek tu sobie urządzacie.

– I tutaj się szanowny pan… Pana godność?

– Drozd, po prostu Drozd, a mój kolega to Śledź i śpieszy się jeszcze bardziej niż ja, więc proszę sobie darować grzeczności, panowanie i inne takie.

– Wielka szkoda, naprawdę – mruknął komisarz, krzywiąc się. – Potrzebujemy tutaj kultury, nieco ogłady i dobrego słowa. A jeśli tego nie macie, to może faktycznie lepiej to odbębnić szybko i mieć spokój. Ludzie i tak zmęczeni, ostatnio u nas taki popiół zaczął padać, jakby się człowiek nawdychał kurzu.

Uderzyło mnie to, że naśladujące ludzi zające mówiły o sobie jak o ludziach. Natomiast spotkany wcześniej Władyżer nawet gdy mówił o sobie, to robił to jak o ptaku. Miał własną historię, rodzinne strony, odległe kompletnie od naszych, ludzkich. Też mówił i chodził na dwóch nogach, ale jak widać to nie świadczyło o niczym.

– Możemy się dowiedzieć, czego od nas chcecie, gdy już będziemy szli w to miejsce, do którego mamy się udać?

– Tak, myślę, że tak… – Komisarz wyrwał kawałek kartki, nabazgrał coś na nim i zbliżył się do żerdzi w kącie pokoju. Stojący na niej ptak miał maleńką, metalową tubę, w którą gospodarz włożył zwiniętą wiadomość, a następnie otworzył okno. – Leć do księdza Fabiana, ino migiem!

Ciemnoszary ptak, przypominający coś w rodzaju cukrówki, wyfrunął natychmiast, gubiąc po drodze jedno piórko. Wszystko działo się tak nagle, w pośpiechu, bez wyjaśnień.

– No, to komu w drogę, temu kopa w dupę, prawda? – rzucił wesoło komisarz. – Bo tak się mówi, prawda?

Spojrzałem na Śledzia, on na mnie i bez słowa wyszliśmy z gabinetu. Droga powrotna przypominała już kompletny chaos. Przed posterunkiem ustawił się spory tłum, który wprawił mnie i na pewno Sochę w stany lękowe. Po prostu niemożliwym było wyobrazić sobie, że ktoś w środku Lasu mógłby tak hałasować. Nawoływania, setki osób, przydrożni handlarze oraz reklamiarze. Widziałem przekrzykujące się zające, wymachujące do siebie pięściami, jakby zaraz miały rozpocząć regularne mordobicie.

To było miasto i zrozumiałem, że tego nie znoszę. W ledwie pół roku przyzwyczaiłem się do ciszy, do tego, że gesty mają znaczenie, słów nie wypowiada się na próżno, a każde pochylenie się jest po to, by coś podnieść z ziemi. I może to było niezwykłe w zajęczej norze. Potrafili naśladować ludzi do tego stopnia, że aż nie sposób było dostrzec całej magii i majestatu tego miejsca, bo wszystko przykryły sklejone byle jak reklamy lokalnych wyrobników, nieudolnie kalkowana nowomowa, sztuczne nazwiska i nieistniejące funkcje. Najgorsze było jednak to, że oni nie tylko to rozumieli, ale i do pewnego stopnia szczycili się tym, że próbują mimikować ludzi. Do tego potrzebowali mnie i Śledzia, dwóch przybłędów, bo byliśmy ludźmi, prawdziwymi, z krwi i kości. Nie obchodziło ich co robimy i skąd przychodzimy, nie spytali dokąd zmierzamy, w co wierzymy i jakie mamy plany. Postanowili po prostu pocieszyć się przez chwilę tym, że mają atrakcję.

Z takimi myślami przebijałem się przez tłum, otoczony zajęczymi strażnikami, ponad którymi górowałem mimo niezbyt okazałego wzrostu. Poprowadzili nas do podziemnego przejścia, które wyglądało jak atrapa jakiejś stacji kolejowej. Minęliśmy kilka straganów z dewocjonaliami, gdzie skręcano ludziki z żyłek, gałganów i innych śmieci. Wyglądało to jak odpust, więc oczekiwałem, że naszym celem będzie równie generyczna kalka Jezusa Chrystusa albo krzyż z podkładów kolejowych.

Nie mogłem się bardziej mylić.

Wytarliśmy ze Śledziem buty i pozwolono nam przekroczyć przez próg masywnych, pancernych drzwi z zespawanych blach. Naszym oczom ukazała się ogromna, podziemna sala z wybetonowaną kopułą o średnicy ponad kilkunastu metrów. Ze sklepienia zwisały korzenie wielkiej morwy, świecąc jak lazurowe neony. Pod ścianami rozstawiono solidnie wykonane ławy kościelne o rzeźbionych podłokietnikach. W kilku miejscach były nawet Biblie, przykute obwolutami do pulpitów, by każdy mógł przeczytać bez zabierania książki na własność. Centrum pomieszczenia zajmował posąg, który w pierwszej chwili trudno było objąć wzrokiem. Rdzeń wykonano ze złożonego na miejscu elewatora zbożowego, do którego domontowano żelazobetonową strukturę, imitującą nogi człowieka siedzącego po turecku. Gigantyczna postać miała jedną rękę przylegającą do serca, z dłonią skierowaną w górę dwoma palcami. Druga ręka również przylegała łokciem do ciała, ale dalsza część wyciągnięta była na wprost, pokazując otwartą dłoń, jakby posąg coś ofiarował albo sam o coś prosił. Najdziwniejsza była jednak głowa, która przypominała ludzką twarz, pokrytą żelaznymi pąklami, imitującymi kłosy zbóż.

Nagle rozległo się donośne, basowe buczenie, wzrastające co chwila o kolejny głos. Za pomnikiem ustawiono dyskretnie chór, który rozpoczął trudną do zrozumienia inkantację. Obywatele zaczęli rozchodzić się po ławach, na moment cichnąc i przestając się przepychać.

– Mogłeś mnie ostrzec – szepnąłem do Śledzia.

– Nie wiedziałem – odparł Śledź, patrząc się zza czerwonych wizjerów na elewator. – Tym bardziej powinniśmy stąd iść. Jeszcze nie zdarzyło się, żebyśmy natrafili na cokolwiek dobrego, co wykraczało poza jedną, życzliwą osobę.

Rozejrzałem się ostrożnie, szukając sposobu ewentualnej ucieczki, ale o tym nie było mowy. Jedyne otwarte drzwi były za nami i strzegło ich czte-

rech zajęczaków. Dookoła był tylko półmrok, w którym błyskały setki czerwonych oczu, widzących dosłownie wszystko, co się działo wokół.

Przed pomnik wyszedł zając, noszący na sobie brązowy habit, przepasany białym sznurem, z którego zwisał różaniec z ciecierzycy. W sumie nie wiedziałem, czy zające nie biorą pożytków, nie muszą czy po prostu robią to bardzo rzadko. Możliwe też, że sala była wypełniona pożytkami, gdyż dym z dyskretnie umieszczonych kadzideł, dostawał się do moich nozdrzy przez maskę. Cóż, rzeczywiście nie sposób stworzyć cywilizacji, nie myśląc o tak podstawowych kwestiach.

– Mamy dziś dwójkę dostojnych gości, którzy są w ogromnym pośpiechu, stąd tak nagłe i niezapowiedziane zebranie. Podziękujmy im serdecznie za przybycie, a także za błogosławieństwa, których nam udzieli Ojciec za ich pośrednictwem.

Obróciłem się lekko do Śledzia, on odpowiedział tym samym. Wymieniliśmy się milczącymi spojrzeniami zza wizjerów masek i obaj wiedzieliśmy, że na naszych twarzach malowała się chęć powiedzenia słów, których nie wypadało wypowiadać w świątyni żadnej ze znanych nam religii.

– Podejdźcie proszę, szanowni goście i zmówcie krótką modlitwę.

Zbliżyliśmy się do pomniku bóstwa i spojrzeliśmy po sobie. Śledź milczał, ja milczałem, w końcu obaj wznieśliśmy powoli ręce do uszu.

– Jeleń, sowa i wilk – szepnąłem ledwie słyszalnie.

Śledź i ja pokazaliśmy sobie znaki jednocześnie i zaraz złożyliśmy dłonie z powrotem jak do modlitwy.

– Cholera – warknąłem pod nosem i zacząłem szybko myśleć, co właściwie mam powiedzieć, by nie urazić zebranych zajęcy. Jedyne o czym myślałem, to to, czy właściwie zające są gryzoniami, ale chyba nie.

– Powodzenia, nie zabij nas – szepnął Śledź i odkaszlnął drobinami pyłu, które zaczęły osiadać nawet na wnętrzu jego wizjerów.

– Panie, błogosław tym dobrym ludziom… – zaciąłem się na krótki moment, bo prawdopodobnie popełniłem już pierwsze faux pas. – Którzy przyjęli nas w gościnę i spraw, aby ich cele zeszły się z twoimi i dopomóż im w trudach, jakich doświadczają.

Obróciłem się lekko, by zobaczyć reakcje na twarzach zebranych, ale ci wydawali się być pogrążeni w skupieniu, wysłuchując cicho moich słów. To był typowy zimny odczyt, w którym nie miałem bladego pojęcia, co chcieli ode mnie usłyszeć, więc musiałem mówić jak jakaś wróżka na targu, tak, by sami sobie dopowiedzieli resztę.

I wtedy usłyszałem brzęczenie, a raczej szmer. Brzmiało to, jakby ktoś wysypywał piach z worka. Podniosłem głowę, gdyż zrozumiałem, że dźwięk ten dobiegał z wnętrza elewatora zbożowego, który zające uznały za swoje bóstwo. Ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu, posąg zaczął się trząść.

Oczy bóstwa rozświetliły się złocistym blaskiem, ręka z wystawionymi palcami pokryła się nagle zielonkawym nalotem, a otwarta dłoń zaczęła wypełniać ziarnami, wypływającymi spod metalowej skóry. W pewnym momencie żółte ziarenka poczęły spływać na podłogę w deszczu urodzaju, padając mnie i Śledziowi pod nogi. Elewator zbożowy, będący brzuchem bóstwa rozwarł się nagle jak wrota, odsłaniając doskonale czarną kulę, którą otaczała pomarańczowa i fioletowa poświata. Obiekt zdawał się zasysać do swojego wnętrza cząsteczki kurzu i wyć, jakby ktoś wydawał z siebie dźwięki, puszczone od tyłu.

Cichy szum zachwytu przebiegł po sali, a przynajmniej dla mnie był to jedynie cichy szum, bo tuż przede mną rozwarła się rycząca dziura z

brzucha bożego, więc ciężko było cokolwiek usłyszeć. Jednak po chwili wszystko przykrył niezwykły głos.

Chór podniósł nagle głos, do nich dołączyło ciche echo wiernych:

– Ojcze ziarna, Ojcze życia, daj nam swój oddech, daj nam choć część. Wędrująca gwiazdo, światło wzrostu, spójrz na nas. Łaskawy karmicielu, samotny Ojcze, bądź stworzony, a nie zrodzony. Skarbcu ziemi, wyrosła latarnio, posil nas.

I nagle cisza. Usta zajęcy dalej się ruszały. Widziałem jak świat nagle stracił swoje barwy, a serce Ojca ziarna wyrwało kontury sylwetek, wyssało cienie i zostawiło prosty szkic życia. W tej doskonałej pustce rozbrzmiał głos, pozbawiony tonu, natężenia, tempa czy nawet mierzalnej wysokości. Głos, który nie podlegał ziemskim prawom akustyki, a jedynie szedł z nimi na kompromis.

– Jedna prośba.

– Błogosław ludziom – odpowiedziałem bezgłośnie i spróbowałem zassać powietrze, do opróżnionych płuc – tym bez boga.

Zapadła całkowita ciemność i cisza. Jedyne co mi pozostało to posmak w ustach i przeświadczenie, że stałem jeszcze na obu nogach. Dopiero po chwili słychać było huk, jakby próżnia zniknęła i powietrze z atmosfery chciało jak najszybciej zająć powstałą przestrzeń. Światło również się pojawiło, choć nie po kolei. Wpierw były oczy, błyszczące z każdej strony, potem blask korzeni wielkiej morwy, a na końcu kaganki ze świecami.

Elewator zbożowy był zamknięty, twarz posągu znowu wyglądała, jakby była tylko nieudolnym dziełem niewprawnego artysty. Jedyne co pozostało po lokalnej eucharystii, to wielki kopiec z ziaren pszenżyta, do którego zaraz podeszli pracownicy z wózkami i szuflami do ładowania.

Zające zaczęły szeptać między sobą, powoli wychodzić z sali, przepychając się i narzekając, jak gdyby nigdy nic. Całe sacrum zniknęło, zostało tylko profanum, brudni niby-ludzie, wielki posąg i pustka pomiędzy nimi.

– Dziękujemy – szepnął zajęczy kapłan, kładąc mi łapę na ramieniu.

Spojrzałem ze strachem i osłupieniem w jego drżący, owłosiony nos. Co chwila unosił górną wargę i oblizywał dwa, wielkie zęby.

– Jak pan mówił, to rozumiem z panem się rozliczam, pół kilograma sproszkowanej Wilgotnicy, tylko ostrożnie, kopie tak mocno, że więcej niż gram zabija na miejscu. Widziałem, jak jeden wziął dwa, to… A, oszczędzę panu, pozdrawiam i życzę dobrej drogi.

Chwyciłem za ciężki woreczek z niedowierzaniem i rozejrzałem się po pustoszejącej świątyni. Na moment zbliżyłem się do posągu i wyciągnąłem rękę, by dotknąć kolana, pokrytego półprzezroczystą płachtą z jakiejś folii.

– A co z Bogiem? – spytałem.

Ksiądz odwrócił się zdziwiony, wzruszył ramionami i wskazał na stos ziaren.

– No przecież leży.

Chwyciłem mojego towarzysza za ramię i potrząsnąłem nim w uniesieniu.

– Co to było za licho?

Śledź rozkaszlał się nagle, zaczął dyszeć i nawet na mnie nie spojrzał.

– O czym ty mówisz, Drozd? Modlitwa odklepana, jeszcze ci zapłacili, a ty się jakiegoś księdza czepiasz, zresztą jak zwykle.

– Nie, ja mówię o lichu z Lasu, tym bóstwie, czy… Bogu?

– No, kurwa, stoi przed tobą, pieprzony elewator na parę ton ziarna, nie widziałeś nigdy, mieszczuchu zasrany? Już naprawdę tracę do ciebie cierpliwość… – Drgnął nagle, wyprostował się i nijakim głosem dokończył.

– Wybacz, powinniśmy iść, to był ostatni przystanek przed grzybnią, a ja nie mam wiele czasu.

– Ale widziałeś go, prawda?

– Widziałem, jak stałeś w ciszy przez dobrą minutę, aż w końcu ludzie dośpiewali swoje i chyba uznali, że to koniec ceremonii. Nie dziwi mnie to, na pewno mają sporo pracy, by to wszystko nie zostało… Nie wiem… Zeżarte przez jakiegoś leśnego giganta albo podpalone przez błędnego ognika czy cokolwiek.

– To nie mogło być licho… Licha zawsze czegoś chcą w zamian – powiedziałem.

Śledź wzruszył ramionami, przeszedł jeszcze kilka kroków i machnął do mnie ręką, żebym się pospieszył.

Spojrzałem ostatni raz na ukryte pod ziemią bóstwo i skłoniłem się nisko.

* * *

Ojciec Maurycy spojrzał ostatni raz ku zawieszonemu na krzyżu Bogu i nieznacznie pochylił głowę.

Nikogo nie zdziwił fakt, że luty był jeszcze zimniejszym miesiącem od stycznia. Choć uproszona Gopulska zgodziła się podzielić swoimi zielarskimi zapasami, by choć nieco ulżyć Chołownikom, to nadal wieś wyglądała jak wymarła. Na zewnątrz temperatura rozbijała słabsze termometry, jakby na złość pokazując, że nie ma znaczenia liczba stopni, bo chłód nie ma zamiaru zelżeć.

Pierwszej nocy miesiąca Judyta Nawrat postanowiła w tajemnicy wyjść na dwór i ściąć starą brzózkę przed domem. Kusił ją ten widok od wielu nocy, bo wspominała nieraz, że najwyższy czas porąbać drewno i

zacząć palić, bo w taką zimnicę żaden Las nic im nie zrobi i każde bóstwo się zlituje.

Znaleziono ją przymarzniętą do siekiery, twardą jak kość, zastygłą w groteskowej pozie z wyrazem terroru na twarzy. Brzoza nosiła ślad pojedynczego uderzenia, z którego wypływała niezamarzająca, czarna ciecz. Zupełnie tak, jakby drzewo krwawiło smołą albo olejem zamiast żywicą.

Maurycy zasępił się na moment, ściskając w dłoniach różaniec, z którego więcej byłoby pożytku, jakby dorzucił go do ognia. W tych ostatnich dniach najbardziej potrzebował żarliwej i stabilnej wiary, opartej o znajomość dogmatów kościoła i słów świętej księgi. Zamiast tego miał jedynie pustkę w głowie, sercu i kosmosie. Najgorsze było to, że nawet najmniejsze licho leśne potrafiło się objawić człowiekowi i powiedzieć wyraźnie, czego chce. Bóg jeszcze nigdy nie objawił się Maurycemu. Może to czyniło go prawdziwie boskim? Tym, co odróżniało Boga od bogów z Lasu było to, że oni istnieli w swojej niedoskonałości, a on doskonale nie istniał. Nie mógł tego wiedzieć. Czasami, w mroźne noce kąty okien błyskały znajomymi, zielonymi oczami, jak dwie diody od czuwającej wiecznie elektroniki, innej, niewidzialnej siły, towarzyszącej ludziom. Wtedy to kapłan uśmiechał się lekko do myśli i zastanawiał, czy spałby lepiej, gdyby Bóg objawiał mu się tak po każdej modlitwie. Przychodziłby jak do dziecka, by kiwnąć głową, zgasić światło i powiedzieć: dobranoc.

– Dzień dobry – rzucił cierpko Maurycy, docierając śnieżnym korytarzem do domu samego sołtysa. – Można do środka?

– Byłoby mi przykro, gdybyś tam umarł na mrozie – odpowiedział smutno Bieniasz i otworzył szerzej drzwi, pomagając księdzu zdjąć wierzchnią warstwę futer. – Kochanie, mamy gościa w odwiedzinach!

Żona sołtysa wychyliła się na moment z kuchni, zmrużyła oczy w zdziwieniu i krótko skinęła głową.

– Pochwalony – powiedziała, poprawiając kosmyk włosów.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – również poprawił Maurycy. – Widzę nowa fryzura.

Bieniaszowa wyszczerzyła się na moment w złym grymasie, jednak zaraz zdążyła zmienić wyraz twarzy na wymuszony uśmiech i zniknęła za framugą.

– W złym nastroju? – spytał szeptem ksiądz.

– To nie nowa fryzura, to wina pyłu – mruknął sołtys, podrapał się demonstracyjnie po czole i wskazał na sypiące się płaty szarego naskórka. – Trzymamy się zasad, nie wychodzimy, uważamy… Ale i na nas przyjdzie pora.

Maurycy skinął lekko, zdjął z siebie kolejną warstwę ubrań i schylił się nieco, niby zdjąć buty, ale tak naprawdę wiedząc, że Bieniasz powie mu, by tego nie robił. Gdy już uprzejmości mieli za sobą, usiedli w salonie, wsłuchując się w tykanie zegara.

– Nie wiem, czy wypada – mruknął Piotr – ale z grzeczności zaproponuję papierosa. Tylko się nie obraź.

– Jeszcze tego by mi brakowało – zaśmiał się ksiądz i jak na zawołanie rozkaszlał paskudnie. – No i widzisz, co narobiłeś? Niestety, nie ma co udawać, że będzie lepiej.

Piotr wyciągnął ostatniego papierosa z pomiętej paczki, pogrzechotał pudełkiem zapałek i odpalił jedną z nich. Przez moment wpatrywał się w ogień z umiarkowanym zaciekawieniem, uśmiechnął się lekko i dopiero wtedy zapalił.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia, prawda?

– Nie, myślę, że nie mamy i to jest najgorsze – mruknął ksiądz, patrząc na wiszący

na ścianie krzyż obok trofeum jelenia.

– Choły mogły nadal być Chołami. Mogliśmy trzymać się naszych zwyczajów, nawet uznając, że cała ta afera z Jadwigą i Waldkiem na nic nie wpłynie. Nikt nie doniósł, nikt nie wiedział, nawet ten doktorek nam się trafił jakiś śmieszny, bo zamiast wrócić do siebie w podskokach, to został tutaj. Nie jest nasz, ale może być u nas. To znaczy, mogłoby tak być, ale zdecydowałeś, że ta historia nie może się tak skończyć. Stwierdziłeś, że chcesz więcej, chcesz, by w tym świecie działy się inne rzeczy, by wszystko szło do przodu i wiesz co? Wszystko, co się teraz dzieje, to twoja wina. Mogło wszystko zostać po staremu, każde wydarzenie być tylko wspomnieniem w twojej pamięci, zapisane kredą w kominie albo nabazgrane ołówkiem na odwrocie brewiarza. Więc każde zniszczenie, krzywda i cierpienie, które teraz mają miejsce, dzieją się na twoje życzenie.

– Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna – odpowiedział Maurycy, wyciągając z dłoni sołtysa papieros. Zaciągnął się raz, rozkaszlał i dokończył szeptem. – Zostałem powołany, żeby to wszystko naprawić.

– Nie było lepszych – stwierdził poważnie sołtys, wyłuskując spomiędzy palców księdza kiepa i wrzucając do szklanej popielniczki. – Gdybym ja to naprawił, to nic by się nie zmieniło, prawda? Zawsze to robiłem, nie byłoby w tym zaskoczenia. Zamiast tego siedzę, kulawy, spasiony jak wieprz, znudzony życiem, nie czekając na śmierć, ale nie czekając też na nic lepszego, bo nic lepszego mi się nie przydarzy. Zacząłem się nawet przygotowywać, wiesz? Tak jak Józef Ryżyłko to zrobił dekadę temu.

Ksiądz pokiwał głową i zmrużył oczy, wyciągając z pamięci wspomnienia.

– Tego dnia postawił pół litra chłopakom pod sklepem, a dzieciakom zaczął rozdawać słodycze, pamiętam. Cieszyły się, ale ja już wtedy wiedziałem, bo był u mnie na spowiedzi. Ja wiedziałem, że patrzę na trupa.

– Teraz też tak wyglądasz jak on, wiesz? – odpowiedział Piotr. – Stchórzysz?

Maurycy pokręcił głową.

– Najbardziej się boję tego, że nie miałem racji i dopiero wtedy zobaczę, jak bardzo się myliłem. Okaże się, że kilka zespawanych rur i parę szmat wymieniłem na ludzkie życie.

– Te kilka rur i szmat to nasze dziedzictwo. – Sołtys zaczął masować się powoli po kolanie, w którym lekko trzeszczała krzywa rzepka. – Nie mam komu go zostawić, nie doczekałem się własnych dzieci, takich wiesz, jak za naszych czasów. Takich, co to po rodzicach przejmują brzemię i twardo idą naprzód, jak my to zrobiliśmy.

– Nie powiedziałem nikomu o Łucji – wyznał cicho ksiądz.

Bieniasz obrócił się, rozejrzał i tylko lekko pochylił głowę.

– Nie tylko ty żyłeś przez lata, robiąc coś wbrew sobie. Wiesz, to mnie bolało najbardziej w tym, że zniszczyłeś obchody święta Śnieżynki. A zarazem… zarazem też najbardziej przez to cię rozumiałem. Do samego końca wiedziałem, jakie to uczucie. Miałem podobnie, myślisz, że nie? Każdy chciałby czasem po prostu rzucić wszystkim w cholerę i powiedzieć, że to niesprawiedliwe. No, ale kto cię wysłucha?

– Bóg? – wyraził przypuszczenie Maurycy.

– Bóg niczego od nas nie chce, sami mu dajemy. Dlatego nigdy nie uważałem, że przeszkadzasz w trwaniu naszej wioski. Zawsze uważałem, że ludzie są z tobą, bo tego chcą z własnej woli, dają co mają, bo to ostatnia wolność, wiesz? Zdecydowanie, jakie ograniczenia narzucisz na siebie samego, to jedyna wolność, jaką mogli mieć w tym kraju i na granicy tych dwóch światów.

Maurycy schował twarz w dłoniach, na co Bieniasz poklepał go po ramieniu, mrucząc coś pod nosem. Siedzieli tak długo w milczeniu, aż ktoś

zaczął dobijać się do drzwi, po czym sam je sobie otworzył. Do sieni wpadł ubrany ciepło mężczyzna, któremu wystawały na zewnątrz jedynie świecące niezdrowo oczy i czerwony, bulwiasty nos.

– Piotrek, przyszła! O, pan… Znaczy ojciec też tutaj? To się dobrze składa, bo ja już posłałem Roberta… Chociaż nie, bo on teraz będzie na próżno szedł i walił do drzwi, a tam nikogo nie ma i…

– Kto przyszedł? – przerwał ostro sołtys, wstając z kanapy.

– Śnieżynka.

* * *

– Lada moment będziemy na miejscu – szepnął przez zaciśnięte gardło Śledź.

Spojrzałem na przykryte siwym nalotem drzewa, wśród których te iglaste nadal zachowywały swoją zieleń. W kilku miejscach nawet dostrzegłem ptaki, które zaraz uciekały spłoszone, nim mogłem im się przyjrzeć. Jedynie smród wydawał się wychodzić nam naprzeciw, jakby chciał się przywitać.

Chwyciłem za swój obolały brzuch, coś zakotłowało się w nim mocno i miałem przez chwilę wrażenie, jakbym sam miał zwymiotować ołowianym pyłem. Tak się jednak nie stało, a zamiast tego wyczułem coś długiego, ślizgającego się tuż pod skórą. Zamrowiło mnie także ramię, dokładnie w tym miejscu, w którym wcześniej trafiła mnie włócznia Trzaski.

– Czuje się nieswojo – mruknąłem niepewnie, próbując nadgonić tempa. – Myślisz, że to może być zatrucie? Chyba objawiłoby się wcześniej, zresztą rany są zagojone. Po prostu mam stale to okropne uczucie, wiesz? Jakby było mnie mniej. To nie jest tak, że coś konkretnego się ze mną dzieje. Po prostu odkąd wstrzyknęliście mi… podaliście mi tę cholerną krew

Wierzba, to nie mogę się pozbyć tego uczucia, jakby coś było we mnie. To musi być straszne, mieć w sobie pasożyta, myślącego, planującego, poruszającego się tam, gdzie nawet nie możesz go dotknąć, ani na niego spojrzeć…

– Zamknij pysk! – warknął Śledź i rozkaszlał się mocno.

Chmura pyłu przebiła się przez otwór jego jeleniej czaszki. Marian chwycił za skórzaną, drobną płachtę i otworzył ją, by móc zaczerpnąć na moment powietrza.

– Ostrożnie, nie chcesz przeskoczyć – powiedziałem, chwytając go za ramię. – Damy radę, jesteśmy w tym razem.

Socha obrócił się do mnie nagle, jego wizjery były kompletnie poszarzałe od środka i tylko odrobina czerwieni przebijała się przez szkło. Jego skryte w cieniu poroża usta, wystawały na świat, jak czarna jama. Wargi cofnęły się, spękane jak powierzchnia drzewa, a zęby dosłownie drżały przy każdym poruszeniu napęczniałego języka. W pewnym momencie zgiął się i zwymiotował popiołem, zmieszanym ze śliną, krwią i własnymi zębami.

– Kurwa, nie zostawiaj mnie tak tutaj.

Śledź zgiął się nagle, zaskowyczał jak zwierzę i wziął głęboki oddech. Przez moment po prostu opierał się plecami o drzewo, dysząc ciężko. Prawą dłonią chwycił rękawiczkę na lewej i poprawił materiał, przy okazji wywołując paskudny chrzęst, trących o siebie paliczków. Jego ciało zdawało się dosłownie gnić, a smród każdego dnia był coraz gorszy.

– Zaraz będziemy na miejscu, jesteśmy blisko – stwierdził nagle spokojnym, pozbawionym zmartwień głosem, choć jego ciało było na skraju wyczerpania.

– No, nie wiem, okolica wygląda… Strasznie i w ogóle nie przypomina mi tego co mówiłeś wcześniej. To powiedz mi, kiedy będzie ten płot i dęby?

– Płot i dęby… Bardzo blisko, już zaraz będziemy, a tam grzybnia.

– Rozumiem – odpowiedziałem smutno, cofnąłem się o krok i wyjąłem pistolet. – To teraz mi powiesz, kim jesteś.

Socha drgnął nagle, wyprostował się i spojrzał na mnie z boku milcząc. Dopiero po chwili zdecydował się odezwać tym samym, pustym głosem.

– To ja, Śledź, po prostu źle się czuję, zaraz będziemy przy grzybni.

– Grzybnia za dębami i płotem? – spytałem, podnosząc lufę do wysokości głowy.

– Nie wiem, czemu pytasz teraz o to? Chyba tak, nie widzisz w jakim jestem stanie? To nie tak, że Las jest taki prosty w nawigacji, tamto miejsce wyglądało jak każde inne.

– Nie, było bardzo charakterystyczne. Tak powiedziałeś, że są tam wysokie lipy, białe grzybnie i drut kolczasty. I jesteś w paskudnym stanie, to prawda, ale mówisz i myślisz normalnie, twój organizm po prostu umiera. Tylko on nie umiera na chorobę, bo na pył cierpimy obaj, a okolica nie jest nim nawet tak źle pokryta, skoro to miałaby być jego macierz. Śmierdzisz jak bagno albo gnijące mięso. Niezależnie od tego, jak przemoczeni idziemy i co się stanie, ty zawsze pachniesz tak samo, wiesz czemu? Bo masz to w środku, ty po prostu jesteś zgniły.

– Drozd, błagam cię, nie rób mi tego teraz – szepnął Śledź. – To już tutaj, przysięgam, na Boga, to już za rogiem!

Śledź zerwał się nagle i puścił pędem przed siebie. Każdy jego krok niósł ze sobą mokre plaśnięcie mięsa i chrzęst kości. Pobiegłem za nim, chowając pistolet do kieszeni. Mogłem podjąć jedną z dwóch złych decyzji, strzelić do niewinnego znajomego albo nie strzelić do czegoś, co go udawało.

Już po chwili pędziliśmy przez otwartą polanę, na której nie rosły nawet najdrobniejsze kwiaty. Kątem oka dostrzegłem, że drzewa w tej okolicy rosną wyjątkowo gęsto, ale nie wykraczają poza pewną niewidzialną linię. Nie mogłem wiedzieć, dlaczego Śledź biegł akurat przez tak wyjątkową nicość, gdzie nawet nie mógł się schować, ani zgubić pościgu w gęstwinie.

Zatrzymał się nagle, niespodziewanie, obrócił i zamachnął, by uderzyć prosto w nadbiegającego mnie. Zdążyłem wyhamować nieco i zasłonić się rękoma. Cios był silny, mimo tego, że mój towarzysz był w stanie wewnętrznego rozpadu. Fakt, że przestał uciekać, a zaczął mnie atakować był dla mnie wystarczającym powodem, by uznać, że coś jest nie tak.

Cofnąłem się kilka kroków i w ostatniej chwili uniknąłem wysokiego kopnięcia. Jego sylwetka i ruchy zdradzały osłabienie ciała i doświadczenie w bójkach. Łokcie trzymał blisko siebie, podskakiwał miękko na nogach, gotowy do uniku, jakby szykował się, że będę próbował kopnąć go w słabiznę. Zresztą przeszło mi to przez myśl.

Włożyłem dłoń pod płaszcz, jakbym chciał wyciągnąć pistolet, ale nawet nie otworzyłem wewnętrznej kieszeni. Zgodnie z oczekiwaniami sprowokowałem go do ataku, od razu wyciągnąłem ręce i uderzyłem prawym prostym. Cios sięgnął celu, ale szczerze powiedziawszy nie wiem, czy uderzenie pięścią w jelenią czaszkę, było bardziej bolesne dla mnie czy dla mojego przeciwnika.

Chwycił mnie za rękę i pociągnął do siebie. Nie oponowałem, sam wybiłem się na nogach i rzuciłem przed siebie, obalając go na ziemię, pokrytą cienką warstwą wodnistego śniegu. W trakcie tej szarpaniny doszło do mnie, że rzeczywiście na polanie było nienaturalnie cieplej niż w okolicy i nawet śnieg niezbyt chciał się tu nawarstwiać. Zaczęliśmy taplać się w tej szarej, błotnistej plusze i próbować zdominować jeden drugiego. Kopaliśmy, biliśmy, wszystko na oślep, byle jak. Nikt nawet nie pomyślał o tym,

by sięgnąć po włócznie, które co chwila blokowały ruchy, zahaczając o ziemię.

– Jesteś kłamcą! – warknąłem, składając dłonie i bijąc w leżącego pode mną Śledzia.

– Panie! Panie! Tutaj jest! – zaczął krzyczeć nagle, dziwnym, niepodobnym do niego głosem o wysokich tonach.

Uderzyłem mocno raz, drugi, trzeci, coś strzeliło w jego żuchwie, spod gumy zaczęła wystawać twarda rzecz jak przemieszczona kość. Miałem wrażenie, że Śledź jednocześnie jęczy i wyje dwoma głosami.

– Panie! Drozd! Ratuj! Pomóż mi, Drozd! Panie, tutaj!

Na moment wstrzymałem się od ciosu. Przed oczami stanęła mi potworna, rozdwojona szczęka Krzykacza, którego ryk był emanacją umęczonych dusz. Tak brzmiało cierpienie w czystej postaci. Zrobiło mi się słabo na samą myśl.

Śledź chwycił mnie za złoty róg i zaczął szarpać mocno, ale nagle cofnął rękę, jakby poparzony albo zdziwiony własnymi odczuciami. Spod jego maski spływała krew, która na nowo nadała wizjerom świeży, czerwony poblask.

Wtem usłyszałem grzmot. Ziemia zatrzęsła się i zafalowała pod nami. Tuż obok grunt dosłownie zaczął rozdzielać się na dwie części. Brudny śnieg poleciał lawiną w nowo utworzoną szczelinę, która pożerała wszystko co w nią wpadło. Gigantyczna dziura wydawała się warczeć albo bulgotać głośno jak garnek gotującej się zupy.

Na moment Marian zyskał przewagę i spróbował wstać. Chwycił mnie za nogę i zaczął ciągnąć do rosnącej, wyjącej przepaści. Dostrzegłem twarze wśród drzew. Odłażące mięso i skórę, które lepiły się do czaszek patrzących jak chowająca się widownia.

– Żreć! Uczta dla boga żeru! – zawył Śledź, dociągając mnie do krawędzi wielkiej paszczy, która wyrosła z ziemi.

Na najkrótszy moment Marian przestał mnie ciągnąć w kierunku przepaści, zbliżył się do mnie i chwycił za moje ramiona. Spod wizjerów po raz pierwszy błysnęło coś na wzór zrozumienia, przebłysk tych samych, jasnych oczu, które widziałem jeden raz przy studni pod domem sołtysa.

Wyjąłem pistolet, przyłożyłem bezpośrednio pod szyję Chołownika i nacisnąłem spust, nie przestając krzyczeć. Huk był ogłuszający, przez moment słyszałem jedynie dzwonienie. Jeden z moich wizjerów pokrywała złocista żywica, drugi ciemna krew.

Podniosłem się do pionu, chwiejąc się jak pijany. Ciało zabitego dygotało jeszcze przez chwilę, zaciskało palce i ruszało nogami, jakby ktoś próbował odpalić zepsutą maszynę. Obejrzałem się z przerażeniem dookoła, niemalże ponownie upadając. Z każdej strony szły ku mnie zielonkawe oczy, świecące z najróżniejszych trupów, powoli i nieśmiało wlekących swoje fantasmagoryczne, gnijące tułowia. Smród uderzył ze zdwojoną mocą, poczułem, jakbym był na środku bagna, w które od dawna wpadają zwierzęta, by dać żywota w brudnym, porośniętym rzęsami błocie.

– Wejdź, śmiało! – zawołał głęboko głos z dziury, która teraz miała dobre cztery metry średnicy i zdawała się iść w nicość. – Zrób mi tę przysługę i wejdź tu, we mnie.

Dyszałem ciężko, próbując zmazać ręką krew, która upstrzyła mi maskę. Na najkrótszy moment spojrzałem w niebo, licząc na jakiś znak lub chwilę orzeźwienia. Nic, tylko ołowiane chmury i sypiący pył, który nieustannie wkradał się do mojego świata. Mojego? Może nawet nie mojego, może to ja byłem pasożytem, jak ten pył i jak Wierzb, który trzepotał się w moim brzuchu. Wszystko było jednym wielkim pasożytem.

– To twoja paszcza? – spytałem pierwsze co mi przyszło do głowy, licząc naboje w magazynku. – I siedzisz sobie w tej dziurze, tak?

– Jestem władcą tych wszystkich…

– Nie pytałem o to – stwierdziłem krótko i przewróciłem kopnięciem Śledzia na brzuch, by otworzyć jego plecak.

Z wnętrza pakunków byłego towarzysza wyjąłem puzderko na pożytki. Było podobne do mojego, choć większe. Zdjąłem swój plecak, włócznie i dołożyłem do pierwszego pudełka także to swoje oraz worek, którym zapłaciły mi zające.

– Są trzy rodzaje pożywienia: to które się broni, to które się modli i to które ucieka. Ty widzę jesteś tym trzecim, ale nie radzę, zassę cię, niezależnie od tego, czy uciekniesz na bok czy w górę, czy w dół.

– Oszczędź pierdolenia, śmierdząca dziuro w ziemi – warknąłem i zbliżyłem się do krawędzi dziury, trzymając w wyciągniętych dłoniach pakunki.

– Co robisz? – spytał głos z ziemi.

Wydawało się, jakby istota była zła, że nie spieszyłem się z wyjaśnieniami, ani z okazywaniem strachu. Prawda była taka, że byłem po prostu na to zbyt zmęczony i zirytowany.

– Szybko myślę – odpowiedziałem i obróciłem twarz w kierunku idących stworów. – Każ pokrakom się zatrzymać albo będą zbierać twoje resztki po całym Lesie, dopóki nie zmienią się w padlinę, którą powinny były pozostać.

– A co ty mi możesz zrobić, żarło?

– Cisnąć w ciebie półtora kilograma pożytków, które zmienią cię z dziury w gejzer.

Ziemia zaśmiała się głośno, ale po chwili zamilkła, zaprzestała trzęsienia i z nową nutą lekkiej niepewności odezwała się:

– Blefujesz, jestem wszędzie, nie możesz mnie przenieść

– Gówno mam do stracenia i gówno ci będę udowadniał – powiedziałem wrzucając pudło z pożytkami Śledzia do środka.

– Nie! – zawyła dziura, ale było już za późno.

Pojemnik z cichym świstem poleciał w dół, choć wątpię, by istniało jakieś dno. W pewnym momencie dziura zaczęła nagle mrugać, jakby znikała i pojawiała się na ułamki sekund, w trakcie których jej obręb łykał ziemię z innych pięter. Błękitny dym buchnął z wnętrza przepaści, unosząc się wysoko i strzelając kolorowymi iskrami. Wielka gęba wydała z siebie zdławiony jęk nudności.

– To była najmniejsza z trzech, nie chcesz wiedzieć, jak to się ze sobą łączy. Po pierwsze, każ tym padlinom się ode mnie odsunąć!

Najbliższe z setek stworzeń było już o kilkanaście metrów ode mnie, gdy wreszcie zatrzymały się jednocześnie, jak na rozkaz.

– Dobrze, a teraz niech zaczną się odsuwać, powoli i bez sztuczek.

– Jesteś ciężkostrawny – mruknął podziemny olbrzym, głos miał przepełniony nudnościami, pychą i wściekłością. – Wygrałeś, durniu. Jesteś jak trujący grzyb, nie chcę cię jeść, możesz stąd iść.

Stwory zaczęły rozsuwać się, tworząc drogę ucieczki dla mnie.

– Kto powiedział, że ja stąd idę? – spytałem, potrząsając resztą pożytków. – Jeszcze nic dobrego mnie nie spotkało z układania się z takimi jak ty. Po pierwsze: wyjaśnisz mi, co zrobiłeś ze Śledziem i gdzie jest grzybnia.

Dziura w ziemi zaśmiała się cicho, choć nawet jej najcichszy chichot wprawiał wszystkie polne kamienie w wibracje. Stwory postąpiły dyskretnie krok do przodu.

– Nie powiedziałem, że mogą wrócić. – Przysiadłem na skraju przepaści, zwisając nogami w kierunku ciemności. – Możesz śmiało mnie pożreć razem z resztą ładunków.

– Nie ma żadnej grzybni i nie ma żadnego Śledzia. Wszystko zmyśliłem, by was tu ściągnąć. To tylko moje robotnice, drony, mrówki. Daję im dość ciała i energii, by ruszyły stąd, znalazły i sprowadziły żarcie.

– Śledź był martwy odkąd przyszedł do Chołów, prawda? Nie wpadł w żadną grzybnię, wpadł w ciebie – szepnąłem, czując wagę tych słów.

– Gdyby we mnie wpadł, to by nie wrócił. Znalazły go moje robotnice, a potem… przystosowały do nowej pracy.

– Co z grzybnią? – spytałem, czując, że mam ochotę cisnąć resztą pożytków do wnętrza podziemnej paszczy.

– Powiedziałem, nie ma grzybni, wymyśliłem to, bo moje drony gniją po czasie, a teraz jeszcze ten przeklęty popiół z nieba wszystko psuje. Trudne czasy nastały, ciężko napchać sobie gardziel porządnym jedzeniem.

– Czyli to nie ty jesteś odpowiedzialny za ten pył?

Gardziel mruknęła cicho, jakby przecząco odpowiadając na moje pytanie. Jeśli nie kłamała, a szczerze nie wyglądało na to, to znaczyło, że wszyscy byliśmy chorzy i nie wiedzieliśmy na co. I nie mogła być to tylko Śnieżynka, bo inaczej pył padałby równo ze śniegiem i mrozem, a on był po prostu wszędzie.

Wstałem, obróciłem się i położyłem dłoń na piersi. Wyczułem przyjemne, dające poczucie pewności wybrzuszenie tam, gdzie spoczywał pistolet. Narzędzie obrony, ale tak naprawdę narzędzie ucieczki. Nie było sensu i okazji używać broni palnej w Lesie, wszyscy w okolicy by słyszeli. Natomiast istniały takie stworzenia i wydarzenia, że czasami lepiej było uciec w ostatnią podróż, niż się z nimi mierzyć.

– Jak ci na imię? – spytałem, mierząc wielkość gardzieli.

– Mam wiele imion i żadne z nich nie pozwoli ci zasnąć w spokoju. Będzie cię ono nawiedzać i wciągać do mojego pyska, aż w końcu sam do mnie wrócisz…

– No to będziesz Dziurą, mam to gdzieś. Dla mnie jesteś tylko kłamliwym padlinożercą, ale możesz mi się przydać. Pozwolę ci naprawić, coś zepsuł i jeszcze przeżyjesz, by to wspominać.

– Jesteś tylko człowiekiem, jak śmiesz mówić takie rzeczy do kogoś z moim majestatem i mocą?

– Bo jak mnie zaswędzi ręka, to kawałki tego majestatu będą leżeć od głębin po firmament Lasu, rozumiesz? Po pierwsze: masz powiedzieć tym swoim padlinom, że mają się mnie słuchać i jeśli tylko spróbujesz to zmienić, to niech się rozpadną w cholerę.

– Skąd przypuszczenie, że tak mogę? I skąd tak idiotyczna myśl, że oddam ci wszystko? Co za różnica, umrzeć z głodu czy z zatrucia, nie ma mowy, targujesz się zbyt ostro, bezimienny człowieku.

– Nie jestem bezimienny, jestem doktor Drozd, a ty jesteś dziurą w ziemi, która rozkaże chodzącym padlinom się mnie słuchać, dopóki nie załatwię swoich porachunków.

– Ile to będzie trwać?

– Dzień, najwyżej dwa.

– Cóż… Lepszy post niż śmierć głodowa. Dobrze, dam ci rząd dusz, człowieku.

– Przysięgnij na wszystko, co dla ciebie ważne.

– Przysięgi nie wiążą istot mojej powagi z żarciem jak ty…

Wyciągnąłem dłoń z pożytkami dalej nad krawędź Dziury.

– Przysięgam – ryknęła w gniewie istota.

– Świetnie, to pierwsza rzecz…

– Są jeszcze inne?! To już może lepiej ciśnij tym workiem i miejmy to za sobą… Nie, nie mówiłem poważnie, nie rób tego. Czego ode mnie chcesz, ty mięso?

– Potrzebuję dziecka… Maksymalnie rocznego, chłopca, zdolnego do głośnego i przejmującego płaczu z bólu.

– Jesteś straszny, Droździe.

– Nie jestem sadystą, potrzebuję tu wezwać kogoś, kto przyjdzie tylko na dźwięk płaczu swojego rocznego dziecka. Niestety, jej dziecko spłonęło w piecu, ale ty na pewno masz w swojej sforze takiego.

– Nie mam… Nie wyciągaj tego worka, mówię, że nie mam, to nie mam. Mogłem skłamać w dowolnym momencie, po co miałbym teraz? Po co mi byłby roczny, ludzki chłopaczek, skoro ja potrzebuję silnych robotników… Ale…

– Ale?

– Ale mogę udawać – odezwał się na poły wstydliwie głos. – Jeśli chodzi ci tylko o płacz, to jest to jedyna rzecz, którą akurat mogę zrobić osobiście.

Wziąłem głęboki oddech i spojrzałem na piekielną czeredę, która na nowo zaczęła rozchodzić się na obrzeża polany. Znowu zostałem sam, otoczony jedynie przez trupy i potwory, które na tych trupach żerowały. Na moment przymknąłem oczy i z nostalgią wspomniałem ciepłe wieczory przy kominku i narzekania Chołowników na utarczki codziennego życia na wsi.

– Weźmiemy szmaty z tego ścierwa, przydadzą się – powiedziałem, otwierając oczy i wskazując na Śledzia.

– Ostrożnie ze słowami, to twój towarzysz broni i podróży.

– Padlina, w którą sączyłeś jad, próbując mnie oszukać – poprawiłem.

* * *

Przyjechałem do Chołów, by prowadzić badania na temat szkodliwości wierzeń ludowych. Ot, nośny temacik, akurat w smak władzy stawiającej

na zwalczanie zabobonu i wprowadzanie nowoczesnego socrealizmu. Na jakimś kompletnym krańcu świata kobieta spaliła własne dziecko, akt czystego szaleństwa czy nieszczęśliwy wypadek? Jak się okazało, była to część rytuału, według którego zamieszkująca Las Mamuna miała przyfrunąć jak wicher czarnych piór i zabrać swoje diabelskie dziecko, oddając zabrane wcześniej ludzkie. Dla mnie sprawa była jasna, ot, kobieta albo szalona, albo chcąca się pozbyć swojego dziecka, na którego odchowanie nie było jej stać. Może została w to wrobiona albo dziecko samo weszło do pieca? Wypadki chodzą po ludziach, liczy się zebranie danych, podliczenie kosztów podróży i wysłanie dokumentacji do instytutu, by zyskać pieniądze z grantu, który łaskawie miał mi być wypłacony po fakcie. Co mogło pójść nie tak?

Jak się okazało, bardzo wiele rzeczy.

Wieczorem z nieba spadło coś na wzór czarnej błyskawicy, która ciągnąc za sobą grzmot, uderzyła tuż obok mnie, zginając skąpą trawę i drzewa do ziemi. Dziesiątki smolistych piór posypały się deszczem z nieba. Dziura udająca płacz dziecka zamilkła na krótki moment.

– Teraz! – krzyknąłem, podnosząc się z ziemi.

Ziemia wybrzuszyła się dziesiątkami sylwetek, schowanymi wcześniej w szarym śniegu. Puste oczodoły, błyszczące zielonym blaskiem, mięso odchodzące od kości, czaszki ludzi, zwierząt i lich, mieszały się jak w kalejdoskopie, gdy kolejne postacie doskakiwały do naszego gościa.

– Nie chcemy zrobić ci krzywdy! – krzyknąłem, próbując przebić się przez głośny, przerażający skowyt, jaki wydawała z siebie kobieta.

Mamuna wyglądała inaczej niż się tego spodziewałem. Nie była ptakiem i nie była też człowiekiem. Miała mniej więcej tyle wzrostu co i ja, choć jej kończyny były nienaturalnie umięśnione i pokryte długimi, ciemnymi piórami, wśród których przebłyskiwały srebrne i granatowe kępy włosów. Nawet nogi miała ludzkie, a mogłem to łatwo stwierdzić, bo była naga.

Mimo to jej nagość w jakiś niezrozumiały sposób nie wywoływała we mnie takich samych emocji, jak golizna dowolnego innego człowieka. Przypominała bardziej rzeźbę albo symbol sam w sobie. Jej twarz miała ostro wyznaczone rysy, podkreślone wyrastającymi gdzieniegdzie piórkami, które nadawały jej znacznie bardziej drapieżnego wyglądu.

Ponad dwumetrowy stwór, który przypominał człowieka o zbyt dużej liczbie kości, chwycił ją za ręce i wykręcił je boleśnie. Zaraz drugi z trupów, należących do Dziury, zaczął wiązać przeguby jej dłoni.

Mamuna wygięła się nagle i kopnęła wysoko, trafiając jednego z trupów w podbródek z taką mocą, że aż trzasnął rdzeń kręgowy, a oczy pozwoliły mu na moment dostrzec jego własne plecy.

– Gdzie jest moje dziecko?! – zaskowyczała tak, że aż włosy stanęły mi dęba.

To nie był ryk bestii, ani groźba kolejnego horroru Lasu, to był głos zdesperowanej matki, jednego z groźniejszych stworzeń w naturze.

– Nie mamy go – powiedziałem, zbliżając się do obleganej przez trupy kobiety. – Wiem, że to wygląda źle, ale posłuchaj mnie na moment. Patrz na mnie, nie patrz na nich, patrz na mnie. Nazywam się Drozd i muszę z tobą porozmawiać, ale do tego musisz się najpierw uspokoić, mimo tego, że warunki nie sprzyjają.

Ogromne ścierwo chwyciło skrępowaną Mamunę za szyję i wykrzywiło jej twarz w moim kierunku.

– Puść ją.

Trup pchnął kobietę w błoto i zastygł w bezruchu.

– Nie musiałeś być taki brutalny – zrugałem stwora.

– On nie rozumie, to maszyna – stwierdziła Dziura.

Mamuna wydarła się z ogromną determinacją. Sznury na jej ciele napięły się, mięśnie zaczęły pęcznieć i pokrywać kolejnymi piórami. Jej twarz

wydłużyła się nieco i pokryła żółtymi plamami, jakby zaraz miała przybrać kształt dzioba.

– Posłuchaj mnie choć przez chwilę, a potem puszczę cię wolno! Przysięgam, klnę się na wszystko, po prostu posłuchaj mnie! – zbliżyłem się do kobiety i chwyciłem za wyginającą się twarz.

Na krótki moment Mamuna zogniskowała wzrok na wizjerach mojej maski i umilkła, próbując wsłuchać się w moje słowa. Jej twarz przybrała niemalże ludzki grymas strachu i gniewu, tak częste połączenie w tym rejonie świata.

– Przysięgnij na krew – skierowała do mnie pierwsze słowa.

– Nie przysięgaj na nic – stwierdziła Dziura. – Przez łeb kamieniem i zawlecz ją gdzie tam chcesz, a nie dyskutujesz z żarciem.

– Przysięgam ci na krew – powiedziałem bardzo powoli, puszczając jej twarz. – Obiecuję ci, że chcę tylko porozmawiać i nie zrobię tobie żadnej krzywdy.

– Dobrze… A teraz mnie wypuść.

– Najpierw porozmawiamy.

– Najpierw mnie rozwiążesz i każesz się odsunąć tym padlinom.

Wziąłem głęboki oddech, bo miałem wrażenie, że historia się powtarza. Ostatecznie miała prawo prosić o minimum godności, jakie jej przysługiwało jako istocie myślącej, nawet jeśli była istotą z Lasu.

Skinąłem głową na najmniej odrażającego z trupów.

– Rozwiąż ją, a reszta trzy… dwa kroki w tył.

Mamuna odepchnęła od siebie robotnika Dziury, tak szybko jak ten przegryzł węzły, które ją krępowały. Zbliżyła się do mnie, prostując plecy jak najmocniej. Z tej perspektywy wyglądała zdecydowanie jak przechwalające się zwierzę, zwłaszcza, że nagle miała te kilkanaście centymetrów więcej i zdecydowanie za dużo piór.

Uderzyła mnie w twarz, nagle, bez ostrzeżenia. Rozbrzmiał głośny huk jej twardych palców, odbijających się od kościanej maski. Trupy drgnęły zdezorientowane, nie wiedząc, czy powinny bronić tego, kto tymczasowo wydaje im rozkazy, czy trzymać się poprzedniej komendy o odejściu.

– To za nazwanie mnie kurwą – stwierdziła.

Zmrużyłem oczy, odzyskując pion i poprawiając maskę.

– Niby kiedy?

– Chłodną, wrześniową nocą za skrajem Lasu, gdzie zaczyna się ta najbliższa ze wsi. Krzyczałeś za mną pijany, ale przepłoszyło mnie jakieś straszne cholerstwo.

– Pijany? Ja? – Na moment zatopiłem się we własnych wspomnieniach i z pewnym zażenowaniem przypomniałem sobie, jak kusiłem los po tym, jak w Chołach odbyło się palenie kukły z okazji wykopków. – Masz lepszą pamięć ode mnie. Tak, to ja byłem, przepraszam, wtedy nie wierzyłem, że istniejesz.

Mamuna zamrugała powoli, patrząc się na mnie z bardzo bliska. Zrobiła krok, zdecydowanie naruszając moją przestrzeń osobistą i nieostrożnie chwyciła za poroże, wyginając mi twarz w lewo i prawo.

– Śmiesznie… Drozd, ale jeleń.

– Ty też, niby Wrona, a człowiek.

Błysnęła złym wzrokiem i dopiero wtedy dostrzegłem, że ma całkowicie czerwone tęczówki, które zakrywały spory kawałek oka. Wyszczerzyła spiłowane, ostre zęby i zaczęła dyszeć ciężko, aż para osadziła się na moich wizjerach.

– Nie jestem żadną wroną – wydyszała mi w filtr.

– Tak, ja w tej sprawie właśnie – odpowiedziałem, odsuwając się o krok. – Potrzebuję pomocy z jedną osobą, którą możesz znać. Podobno doszło do pewnego nieporozumienia, przynajmniej ten człowiek… ta osoba

tak twierdzi. Więc pozwól, że nasza rozmowa, co do której wiąże nas przysięga, tak ci tylko przypomnę, będzie dotyczyć Gawrona.

Jej twarz na moment ochłonęła, w oczach dosłownie błysnął strach. Spróbowała cofnąć się, ale pewnie w ostatniej chwili zrezygnowała z ucieczki. Mniej więcej takiej reakcji się spodziewałem po jej ludzkiej połowie, dlatego wspomniałem o przysiędze. Tylko tego by mi brakowało, by uznała, że koniec rozmowy i ma prawo odejść.

– Nie wrócę do niego, nie wrócę do niego, nie wrócę do niego – zaczęła powtarzać cicho, choć miałem wrażenie, że bardziej do siebie niż do mnie.

– Nie taki miałem zamiar – oznajmiłem jak najspokojniejszym głosem, na jaki było mnie stać. Ze zmartwieniem dostrzegłem, że zbliżał się zmrok, a to oznaczało, że mijał prawdopodobnie dzień lokalnego czasu Gawrona. – Gawron przetrzymuje ludzi, którzy są mi dosyć bliscy, w różnym stopniu. Sęk w tym…

Na moment wiatr zaszumiał głośniej, a drzewa zatrzęsły się mocno.

– Rzecz w tym, że Gawron ma ze sobą całą armię obrzydliwych bestii, które pożarły już jednego mojego towarzysza i nawet nie udało mi się go pochować. Wiem, że jest ci ciężko, ale wcale nie znajduję się w lepszej pozycji od ciebie.

– Te obrzydliwe bestie, jak je nazwałeś, to moje dzieci! – warknęła gardłowo Mamuna, zbliżając się ponownie o krok. – I przybyłam tu tylko dlatego, że myślałam, że jest tu jedno z nich.

– Tak, ale te bestie mają półtora metra wzrostu, czerwone oczy, dzioby, ostre szpony i są całe pokryte pierzem. Natomiast z tego, co wiem, to twoje dziecko było raczej wielkości bańki z mlekiem, miało usta i na pewno nie było pokryte piórami.

– Bo tak je ukryłam. Ja również mogę wyglądać jak i ty, ale to nie zmienia, kim jestem naprawdę i kim chcę być.

Przypomniał mi się ptak, którego pokazywała mi Gopulska przed odejściem.

– Czasami nie ma znaczenia, czy ptak jest prawdziwy, czy nie – odpowiedziałem. – Natomiast ten Gawron… Wygląda jak człowiek, oddycha przez maskę jak i ja.

– To dlatego, że oddał swoją ptasią naturę za coś znacznie gorszego, sztucznego i obrzydliwego… Czy ma skrzydła czy dłonie, czy usta czy dziób, to wszystko jest bez znaczenia, bo w sercu nosi gęsty mrok i pustkę. Boję się tylko, że ta skaza przejdzie na moje biedne dzieci, które go teraz słuchają.

– Może być na to za późno w takim razie, skoro na jego zawołanie pożarły niewinnego człowieka.

Mamuna machnęła ręką lekceważąco.

– Jedzenie jest jedzenie, nie tym się martwię.

– Lubię ją – mruknęła Dziura. – Może częściej powinienem rozmawiać z żarciem.

Pokręciłem głową, słuchając leśnej istoty z baśni i wielkiej dziury w ziemi.

– Mam jeszcze dzień, by mu cię przyprowadzić.

Kobieta ponownie pokiwała głową w strachu, wyglądało to, jakby naprawdę przeżyła coś traumatycznego. Niestety nie miałem czasu na to, by wyciągać z niej powoli wydarzenia z przeszłości i przepracowywać je z nią na szezlongu. Czas mnie naglił, a nawet nie zacząłem jeszcze myśleć o tym co z resztą zmartwień.

Rozkaszlałem się, czując, jak w gardle zbiera mi się szary kurz. Wszystko przez niego wydawało się takie bezbarwne, pozbawione światła i

głębi. Popiół zmieniał cały świat w ciemniejącą coraz bardziej rycinę, z której przebijały tylko blaknące kontury.

– Muszę znaleźć moje dziecko, w nim jest cała nadzieja – powiedziała Mamuna,

na moment rozpalając ogień w swoich na poły ludzkich oczach.

– Kiedy ostatnim razem je widziałaś?

– Zostawiłam je starszej kobiecie w tej samej wsi, w której mnie obraziłeś – fuknęła z wyrzutem, nie spodziewając się, co zaraz usłyszy.

– Przykro mi to mówić, ale… tego dziecka już nie ma. Małżeństwo, które się nim opiekowało spaliło je w piecu, myśląc, że wtedy przyjdziesz, by oddać im zabrane dziecko.

– Spalili? – spytała beznamiętnie, jakby jeszcze nie rozumiejąc, co się dzieje. – Ja nic nie zabrałam… O, na wieczne wykluwanie, niech ten koszmar już się skończy. To jest niemożliwe, to jakiś sen. Przecież cała historia, istota… Bez mojego pisklaka nie ma już nic, nie ma mnie, nas.

Sam zaciąłem się na moment, bo doszło do mnie, że Waldemar i Jadwiga myśleli, że to Mamuna ukradła ich dziecko i podmieniła na swoje. Prawda była jednak taka, że to ktoś podmienił to dziecko. Pozostawało pytanie, kto to był i co zrobił z ludzkim niemowlakiem. Znowu przypomniałem sobie słowa Gopulskiej i przeszedł przeze mnie na zmianę lęk i wściekłość, na myśl, że mogła oszukać dosłownie wszystkich, jeśli to była ona. Nie miałem na to żadnych dowodów, ale coś mi podpowiadało, że nawet nic bym nie mógł zrobić, gdybym je zdobył.

– Nie obraź się – powiedziałem, z trudem biorąc oddech i odchrząkując. – Czy ty przypadkiem nie masz tych dzieci… piskląt setki albo i tysiące?

Otaksowałem wzrokiem kobietę, która wyglądała na najwyżej czterdziestoletnią, ale przy tym niezwykle wysportowaną, pozbawioną powierzchownych skaz.

– Miałam jedno dziecko, teraz nie mam nic. Ty nic nie rozumiesz, Droździe, bo jesteś znikąd i nie wiesz. Jest wiele takich jak ja, ale ja jestem jedna. Tak samo takich jak moje dziecko jest wiele, ale moje dziecko jest jedno. To źródło, wzór, oryginał, mów jak chcesz w swoim śmiesznym, ludzkim języku. Gawronów też jest wielu tam, skąd pochodzę. Tylko oni też są jedynie odbiciem tego, co zrobi Gawron. Nie postrzegamy czasu tak jak ty, piętra nie są tylko tym, co widzisz i czujesz.

– Gawron mówił, że powierzono mu ochronę jakiegoś… rodu, tak? Że zabił Kruka w samoobronie i…

– Wyrzuć z pamięci te bzdury. To tylko historia pisana przez zwycięzcę. Gawron zabił mojego brata i zabrał całą jego wiedzę i godność. Zrobił z niej bluźniercze trofeum, które teraz zapewne nosi na swojej głowie, a z jego skrzydeł uszył płaszcz. To potwór, prawdziwa bestia, zło. Przeklęłam mojego brata za to, co zrobił i uciekłam, zabierając jedyne dziecko, by nie mógł chociaż jego splamić i wykrzywić w swojej pokracznej historii.

– Brata? Czemu miałabyś przekląć Kruka… Bo… Bo Gawron jest też twoim bratem, to chcesz powiedzieć?

Wrona pokiwała głową.

– Odrzuciłam bycie Wroną, zostałam Mamuną, matką. Tylko tak mogłam ochronić dziecko, tworząc historię, w której wiecznie uciekam, ale nigdy nie jestem złapana. To było błogosławieństwo i przekleństwo, ale działało, trzymało ode mnie z daleka tego potwora. A teraz ty chcesz to wszystko zniszczyć, wy, ludzie… Wy jesteście najgorsi. Zawsze niszczycie wszystkie historie, wyżymacie je jak brudne szmaty. Musicie wcisnąć siebie we wszystko, nie potraficie pozwolić im biec własnym torem. Najpierw

zabiliście moje ukochane pisklę, a teraz chcecie też wystawić na pohańbienie mnie!

Na moment usiadłem w błocie, próbując odetchnąć. Miałem ochotę zerwać z siebie maskę, ale wiedziałem, że za jeden spokojny oddech, zapłaciłbym zdecydowanie nazbyt wysoką cenę. Nie mogłem przestać myśleć o tym, jak skomplikowanym i delikatnym systemem były wszystkie pieśni o Lesie. Jak bardzo nikłymi, nieaktualnymi historiami operowaliśmy, próbując zrozumieć nasze miejsce w tym wielkim, obcym świecie. Nagle jednak okazało się, że samym aktem obserwacji, zaburzyliśmy stan Lasu. A potem było tylko gorzej, bo wmówiliśmy sobie, że mamy w nim własny kąt. Jednak wszystko, co do tej pory zrobiliśmy jako ludzie, co ja zrobiłem jako osoba, prowadziło do zniszczenia. Niezależnie od tego, czy były to rzeczy złe, czy dobre, wszystko na naszej drodze musiało ulec zniszczeniu, bo nie umieliśmy pozwolić historiom toczyć się po swojemu. A zarazem nie mogłem tak myśleć w pełni szczerze, bo przecież musieliśmy się bronić. To nigdy nie jest tak proste, że jest jakaś dobra natura i źli ludzie. Bo ta natura nie była nawet z naszego świata, a przybrała tę formę jedynie z przymusu, by dostosować się do praw fizyki, chemii i wszystkiego co rządziło naszym fragmentem kosmosu.

– Przykro mi – powiedziałem szczerze i wstałem. – Jednak nie dam się wpędzić w poczucie winy. Czy tego chcesz czy nie, jesteśmy częścią Lasu. Żyjemy na samym skraju, u krańca sieni, ale jednak żyjemy. To, co się dzieje w Lesie, wpływa na nas bezpośrednio lub pośrednio i nie mamy obowiązku ani nawet możliwości, wiedzieć, jakie konsekwencje będzie miała obrona przed zadaną nam krzywdą. Dlatego, choć współczuję ci twojej straty i szczerze ubolewam, nie mam zamiaru zapominać o krzywdach, które wyrządził mi Gawron i które jeszcze ma zamiar wyrządzić. Co więcej, to ty jesteś tutaj winna, odkąd zdecydowałaś się wyjść ze swojej legendy.

Tak, nie wiem, co było wcześniej, ale wszystkie tropy prowadzą do tego, że oddałaś dziecko jakiejś kobiecie, zamiast podmienić niemowlę, a następnie je wyciągnąć z pieca. Przez to, że nie dotrzymałaś swojej części historii, nie usłyszałaś płaczu lub nie zdążyłaś dolecieć na miejsce. Niezależnie od tego czy ja też zaburzyłem równowagę, mając swoje dwa grosze w tej historii, to nie zmienia faktu, że jesteś najbliżej źródła tego chaosu. A teraz, niestety, musimy iść za ciosem i albo powstrzymać zło, które się dzieje albo wypełnić swoje zobowiązania.

– Nie pozwolę, żebyś mnie mu oddał! – krzyknęła i cofnęła się, drżąc lekko.

– Nie będę cię pytał o pozwolenie – odpowiedziałem, zbliżając się do zlęknionej kobiety i wyciągając dłoń.

* * *

– Jesteś okrutny – mruknął wielometrowy zewłok, przeplatany korzeniami i z wielką dziuplą w dębinie zamiast głowy.

– Okrutny byłem, gdy pozwoliłem cierpieć niewinnym ludziom w Chołach. Byłem lekkomyślny, wierzyłem, że to ludzie powinni bronić się przed bóstwami Lasu. Prawda jest taka, że jeśli ktoś ma cierpieć, to niech robią to bajki i legendy. Pamiętasz o przysiędze, prawda, boska dziuro w ziemi?

Gigant zaśmiał się, jego ogromne, drewniane mięśnie trzeszczały przy każdym ruchu,

a dziupla błyszczała jaskrawą zielenią i śliniła się syczącą żywicą.

– Jak wszystko dobrze pójdzie to nie zobaczysz ani mnie, ani Mamuny już nigdy – wyznałem, siląc się na uśmiech po czym odwróciłem się do

ptasiej kobiety, która siedziała ze związanymi rękoma. – A tobie życzę powodzenia i… przepraszam? Chyba tak, przepraszam.

Chwyciłem kobietę mocno za ramię po czym drugą ręką wyjąłem gwóźdź Gawrona i przystawiłem go sobie pod nos, biorąc głęboki oddech. Od razu zrobiłem to samo z Mamuną, niemalże wpychając jej w nozdrza ostry koniec pokryty rdzą. Natychmiast po tym naciągnąłem maskę, wypchaną najlżejszymi pożytkami z puzderka i rzuciłem gwóźdź gdzieś za siebie.

Wszystko to trwało tyle co kilka uderzeń serca. Poczułem jak coś koszmarnie piecze mnie w sercu, a moje opony mózgowe zaczęły wysyłać paniczne sygnały bólu, którego nie powinny były czuć.

Nastało południe, ostatni dzień na dostarczenie przesyłki dla Gawrona. Niebo zasnuły burzowe chmury, które wydawały się być nieodłącznym elementem krajobrazu wokół tartaku. Drzewa wyginały się tam niemożliwie blisko ziemi, a potem jakby nagle wyskakiwały z powrotem w górę, łapiąc skromne promyki słońca. Wszystko przykryła gruba warstwa pyłu, którego uzbierało się więcej niż śniegu.

– To tutaj – powiedziałem, przytrzymując szarpiącą się kobietę.

Mamuna wlepiła wzrok w górujący nad nami obrys wielkiego tartaku, otoczonego ściętymi, ułożonymi w piramidy kłodami. Widok byłby niepokojący nawet poza Lasem. Ta pustka, a zarazem poczucie bycia obserwowanym przyprawiała o najgorsze przeczucia.

– Czuję go, czuję go tak wyraźnie, cholera, ja nie chcę, boję się – wyszeptała panicznie, próbując zdjąć z siebie sznur.

– Odwagi, dasz radę. Robisz to dla swoich dzieci, tych, które przetrwały. Nawet jeśli żadne z nich nie jest tym dzieckiem, o które tak dbałaś, to wciąż możesz pomóc pisklętom, które są tutaj… a jest ich sporo. – Rozejrzałem się żywicznym filtrem po wyższych piętrach. Okoliczne drzewa ob-

siadły dziesiątki wronich piskląt, wgapiających się we mnie, jakby widziały mnie mimo różnicy poziomów Lasu.

Poprawiłem włócznię na plecach i pchnąłem lekko Mamunę, by postąpiła naprzód. Wyszliśmy spomiędzy linii zarośli na ogromny plac, obsiany porzuconymi maszynami, ściętymi lata temu drzewami i kontenerami na odpady. Nagromadzenie pyłu sprawiało wrażenie, jakbyśmy wkroczyli na jakieś wydmy albo dawno zapomniane pobojowisko, gdzie każdy krok podrywał z ziemi małą burzę kurzu i resztek zetlałych kości.

– Jest! – ryknął potężny głos zza podwójnych drzwi tartaku.

Brama przeznaczona na przeładunek rozwarła się nagle, jakby ktoś w nią uderzył taranem od środka. Podmuch wiatru posłał istny huragan popiołu w naszym kierunku. Gdy szara mgła zaczęła opadać, dostrzegliśmy idącą żywo wysoką postać w płaszczu z piór. Jej niemalże czarne wizjery zdawały się opalizować jak dwa kawałki obsydianu.

– Odwagi... – szepnąłem, przytrzymując Wronę.

Dostrzegłem jak zza Gawrona wychodzą dziesiątki ptaszysk, kroczących nieporadnie na dwóch łapach. Dookoła nas zaczęły zbierać się kolejne stwory o płonących czerwienią oczach. Wśród nich przysiadały setki gawronów o przebitych gwoździami dziobach.

– Dotrzymałem umowy, teraz pozwól moim ludziom odejść! – krzyknąłem, choć Gawron nawet nie drgnął, dalej szedł, z trudem powstrzymując się od pobiegnięcia ku swojej ukochanej siostrze.

Bałem się nawet pomyśleć, co mógłby jej zrobić, gdyby tylko zbliżył się na odległość ręki po raz pierwszy od pół wieku. Wyjąłem z kieszeni pistolet i przyłożyłem do głowy ptasiej kobiety.

Gawron, o dziwo, zatrzymał się na moment i wzniósł ręce lekko do góry, jakby próbował uspokoić dzikie zwierzę.

– Przecież jej nie zabijesz, durniu – warknął spod kruczej maski.

– Nie, ale chcę najpierw zobaczyć Lusię i Jukiego.

– Nawet nie mrugniesz, a będę miał twoje gałki oczne między szponami, rozumiesz? Wydłubię ci oczy, wydziobię jęzor, a potem wyszarpię każdą wystającą rzecz i rzucę pisklakom do pożarcia. Zrobię z ciebie wrak, Drozd, a potem zaniosę do Lasu i przykuję do miejsca, w którym na pewno nie umrzesz od razu. Pozwolę robactwu na tobie żerować, aż zostanie z ciebie drżący, przerażony mózg.

Uwierzyłem mu. Tak po prostu mu uwierzyłem i szczerze dopiero w tym momencie w pełni zdałem sobie sprawę z tego, że stawką było nie tylko moje życie. Rozejrzałem się przestraszony, próbując w ostatniej chwili znaleźć jakieś lepsze wyjście z sytuacji. Nie było lepszego wyjścia. Zagryzłem wargi i naparłem lufą na skroń Mamuny.

– Chcę ich zobaczyć, nie potrzebujesz zakładników, możemy sobie przysiąc, że ja wypuszczę Mamunę, a Ty Lusię i Jukiego.

– Nie składam przysiąg zwierzętom.

– Zawsze jest pierwszy raz.

Przez krótki moment Gawron trwał w doskonałym bezruchu, jak ogromna rzeźba wykuta w ciemnym granicie, na który ktoś nadział czaszkę z jasnego piaskowca. W końcu posągowa sylwetka ptasiego władcy drgnęła i wzniosła lekko rękę w górę, a drugą położyła na sercu. Wyglądał przy tym jak wyjątkowo karykaturalne odwzorowanie zbawiciela.

– Przysięgam, że wypuszczę twoich ludzi, a wtedy ty wypuścisz Wronę w moim kierunku, tak żeby nie uciekła. Wszystko jasne i klarowne prawnie, prawda?

Kilkanaście wron wyczłapało z ciemności tartaku, ciągnąc związanych Chołowników, których szyje przewiązano sznurami. Zastanawiałem się po co, ale wtedy do mnie doszło, że pewnie były to środki ostrożności,

by nie zdjęli masek i mieli mniej czasu na pochłonięcie jakiegoś pożytku. No cóż, mogła to być też prywatna fanaberia Gawrona.

Więzy opadły z rąk i nóg moich towarzyszy, gdy pisklęta przecięły je swoimi ostrymi, długimi szponami.

– A ty przysięgasz, Drozd?

Wziąłem głęboki oddech, obejrzałem fasadę Lasu za mną i spojrzałem w kierunku Łucji, pokazując rękoma: jeleń. Łucja kiwnęła lekko głową, tak delikatnie, że nie sposób było tego dostrzec, nie oczekując jakiegoś ruchu.

– Przysięgam – powiedziałem, zdejmując luźny sznur z rąk Mamuny i kładąc dłoń na jej plecach.

Kobieta postąpiła krok, zatrzepotała skrzydłami i wzbiła się wysoko w ciemniejącą osnowę nieboskłonu.

– Żer dla pana żeru! – krzyknął basowy głos spomiędzy drzew.

– Żer! – odpowiadały kolejne głosy, dobiegające zewsząd.

Ostatnie co dostrzegłem to Gawrona, robiącego drobny, ledwie zauważalny krok w tył, który od razu powstrzymał. Wskazał ręką przed siebie, jego kościana maska nagle rozwarła się w przeraźliwym krzyku i rozpętał się chaos.

Jeśli walcząc z Krzykaczem miałem jakiś plan, przygotowania, narzędzia i pomysł na to, co się może stać, to w przypadku Gawrona nie miałem nic. Po prostu liczyłem na to, że uda mi się złapać to co dla mnie ważne i uciec. Było tak, jak powiedziała Gopulska: zając uciekający pod nogami żubra.

Rzuciłem się w bok, pędząc za najbliższe kłody, szukając schronienia. Szybko dostrzegłem, że po mojej prawej stronie frunie pierzasty huragan czarnych piskląt, a z lewej strony nadciąga lawina ciał, splątanych korzeniami, gnijącym mięsem i kośćmi. Nigdy nie mogło być łatwo, ale tym razem los przekroczył pewne granice dobrego smaku.

Wpadłem w zaspę pyłu, chroniąc się pod stosem ściętych drzew. Nagle wszystko pociemniało. W uszy uderzył mnie trzepot setek skrzydeł, przefruwających nade mną w ogromnej, skomplikowanej chmurze ciał, z których wystawały jedynie szkarłatne oczy, siwe dzioby i brunatne szpony.

Dwie ściany kończyn i rozwrzeszczanych twarzy wpadły na siebie. Wszystko zasnuła mgła z tańczącego popiołu i piór, wirujących jak nasiona klonu na wietrze. Z tłumu ciał słychać było ryki gniewu, jęki bólu i dało się dostrzec bryzgającą krew oraz trupi jad. Ziemię przyozdobiły pierwsze makabrycznie kawałki wyszarpanego mięsa. To była brutalna batalia, w której nie chodziło jedynie o pokonanie nieprzyjaciela, a o jego pochłonięcie.

– Drozd! – usłyszałem odległy krzyk, wysoki, znajomy głos.

– Łucja? – spytałem pod nosem, zdejmując włócznię z pleców.

Nade mną zawisła jedna z wron, wpatrując się we mnie pustym wzrokiem. Jej dziób rozwarł się nagle i wydał z siebie paskudny dźwięk, przypominający coś między skowytem a kurzym gdakaniem.

Pchnąłem włócznią szybciej niż pomyślałem, dlatego tak bardzo zaskoczył mnie widok trzepoczącego się pisklaka na końcu grotu. Od razu cofnąłem broń, nieco bojąc się i brzydząc własnego zachowania, ale po chwili z jeszcze większą determinacją dźgnąłem między łopoczące skrzydła, czując jak broń trze o kości.

Nie walczyłem za coś, ani po stronie któregoś z demiurgów Lasu. Walczyłem o przetrwanie swoje i swoich bliskich, a to była wystarczająco dobra motywacja, by na moment porzucić rozmyślania o tym, co słuszne.

Zacisnąłem chwyt mocniej i zacząłem truchtać wzdłuż kłód, co chwila ścierając brud z wizjera maski. Kolejne pisklęta pojawiały się w powietrzu, przeskakując między piętrami. Następne pokraczne twory Dziury maszerowały przed siebie, wyjąc jak piekielna czereda, przepełniona diabłami z dna otchłani. Wiedziałem, że tak szybko, jak potyczka się skończy, zwy-

cięska strona zignoruje to w jaki sposób do niej doszło i uzna mnie za kolejną, łatwą ofiarę z dołu łańcucha Lasu.

Rzucony z mocą robotnik przeleciał tuż przede mną i uderzył plecami o pryzmę drewna. Konstrukcja zatrzęsła się i najwyżej położone drzewa zaczęły staczać się raptownie w moim kierunku.

Miałem do wyboru dać się zgnieść wielkim słupom albo wskoczyć na plecy walczących pisklaków. Wybrałem mniej pewną śmierć i pchnąłem zadziorem najbliższej stojące dziecko Mamuny. Było to na swój sposób przykre i niewłaściwe, ale one nie były odpowiedzialne za własne działania, a ja mogłem bronić się albo dać się słusznie rozszarpać na sztuki.

Grot wszedł miękko w niemalże ludzki kręgosłup pisklaka. Stwór wydał z siebie ostatni, cichy skrzek bólu i padł na ziemię, dygocząc. Niski, krępy trup, walczący z nim, spojrzał na mnie bezrozumnymi, jaskrawymi oczami. Wewnątrz dosłownie iskrzyła wtłoczona siłą świadomość, która pozwalała najwyżej na wykonywanie rozkazów. Widać było, że przez najkrótszą chwilę stwór nie był pewien, czy powinien przejść po zwłokach ptaka i zaatakować mnie, ale jego dylemat szybko sam się rozwiązał. Przerośnięty pisklak spadł na niego z nieba i połamał kark, a następnie zaczął wgryzać się w potylicę.

Przebiegłem kawałek dalej, mijając główny front. Bestialski i nagły atak stworzeń Dziury nie nosił żadnych znamion taktyki. Ledwie tyle, że udało im się wydestylować z jednego gwoździa dość pożytku, by przeskoczyć do tartaku i zaatakować go z różnych stron. Potem jednak nie przejawiali żadnej myśli, rozpętywali tylko rzeź i zbierali trupy na stos dla wielkiego pożeracza.

Nade mną przeleciały niezręcznie dwa pisklaki, niosące w szponach trupa, który nadal próbował walczyć, machając siekierą. Nie mogłem nawet pojąć jak wyglądały drony Dziury, bo nie nosiły żadnych znamion, jednoli-

tego umundurowania, ani nawet nie należały do jednego gatunku. To były stwory z najróżniejszych pięter, które na przestrzeni lat Dziura zbierała i konserwowała, jak prywatną kolekcję. Jedynie błyszczące, zielone oczy zdradzały przynależność do pana żeru, jeśli ktoś miał dość czasu i odwagi, by się im przyglądać.

Stanąłem u progu placu, który oddzielał dwie sekcje magazynujące dla urobków z wyrębu. Tutaj również walczyło kilkanaście istot, z których najbardziej rzucał się w oczy humanoid o sinej, łuskowatej skórze. Miał dziwnie wydłużone kończyny, a sam mierzył dobre kilka metrów wzrostu. Jego twarz była naszpikowana zębami, podobnymi do igieł. Sprawiało to, że wyglądał jak wnętrze studni, w której ktoś hodował dziesiątki kaktusów różnego pochodzenia.

Istota o szpilkowatych zębach wydała z siebie ogłuszający gwizd, chwyciła pisklaka w obie łapy i cisnęła nim o ziemię, łamiąc mu skrzydła. Zaraz nachyliła się, nie uginając kolan i dosłownie wcisnęła sobie szamoczącego się ptaka w usta. Zęby w paszczy licha zaczęły kręcić się na różne strony, mieląc mięso na krwawą kaszę.

Zacisnąłem usta, wychyliłem się za ostatnią osłonę w postaci przewróconego stołu z blachy falistej i sprawdziłem, czy da się przebiec bliżej tartaku, pod którym widziałem Łucję i Jukiego. Wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie.

Wtedy z nieba sfrunął Gawron. Opadł podkutymi butami na kark wysokiego licha i zrobił jeden, zamaszysty ruch ręką. Ostre, połyskujące nienaturalnie pazury chlasnęły stworzenie głęboko, zbryzgując pióra władcy ptaków zielonkawą posoką. Istota zaczęła opadać jak waląca się kolumna i grzmotnęła o ziemię, podnosząc oślepiającą falę ołowianego pyłu i kurzu.

Odruchowo zamknąłem oczy, ale od razu otworzyłem je i tylko przetarłem szkła poroża by na nowo szukać oznak ruchu. W mglistej zawiesinie

można było dostrzec taniec walczących trupów i wron. Nagle świsnęło kilka ostrzy, tnących powietrze, a następnie wchodzących w miękkie mięso i rąbiących kruche kości. Kolejne cięcie, kolejne uderzenie ciała o ziemię i w wyniku tego zostawało o jedną szamotaninę cieni mniej.

Nim pył opadł, mogłem dostrzec, jak Gawron strzepuje kawałki zdartej skóry ze swoich metalowych, czarnych pazurów. Na najkrótszy moment nasze spojrzenia spotkały się. Nie mogłem tego wiedzieć, ale byłem przekonany, że uśmiechnął się pod maską swojego martwego, kruczego brata.

W powietrzu błysnął jasny wózek widłowy, mknący z ogromną prędkością, jakby ważył tyle co kamyk, puszczony po wodzie. Metalowy kadłub maszyny rąbnął w Gawrona, zmiatając go z powierzchni ziemi. Kula metalu, trzepoczących piór i falujących na wietrze szat pokoziołkowała w dal.

Przez moment wstrząsnęła mną tak dzika i rudymentarna satysfakcja. Poczułem ekscytację na myśl o śmierci drugiej osoby. Odczuwałem coś, o co bym się nigdy nie posądzał. To tylko jeszcze bardziej utwierdzało mnie w przekonaniu, że w Lesie wszystko przenika się nawzajem: piętra, czas, umysły, języki. W każdym stworzeniu był atom innego i ja czułem, że we mnie było coraz więcej tego, co kazało szczycić się wygraną.

Wózek wytracił całą prędkość i zatrzymał się, zwrócony zgniecioną kabiną w dół. Coś chwyciło go nagle i odrzuciło w bok z łoskotem. Płaszcz ptasiego pana pokrywał smar z rozerwanych mechanizmów i kurz podniesiony z gruntu. Gawron dyszał ciężko, trzymając opuszczone ramiona blisko siebie.

Niezależnie od tego, czy zatrzymanie takiego pocisku zmęczyło go, czy nie, fakt, że potrafił to zrobić, zaatakowany niespodziewanie od boku, oznaczało więcej złych niż dobrych wieści dla każdego, kto nie był nim.

– Żer dla pana żeru! – ryknął masywny gigant z drewna, który wydawał się pełnić funkcję megafonu dla Dziury.

– Żryj to – odpowiedział Gawron i sięgnął za poły płaszcza. Chwycił coś i prędkim ruchem cisnął przed siebie.

Ogromny przerdzewiały gwóźdź wyznaczył w powietrzu brunatną smugę własnej trajektorii i przebił szyję giganta. Olbrzym o głowie z dziurawej dębiny krzyknął, postąpił dwa kroki i przeniknął na inne piętro. Zaraz wrócił na nasze, kilka kroków dalej, próbując uderzyć dwukrotnie mniejszego Gawrona. Wielki trup jednocześnie był ciągle wyrywany z tej płaszczyzny świata przez pocisk Gawrona, a zarazem stale żgał się gwoździem, który oddałem Dziurze przed przeskoczeniem.

Tytan wymierzał cios, znikał, skowycząc z bólu, wbijał sobie drugi gwóźdź w podbrzusze, pojawiał się ponownie kawałek dalej i uderzał znów. Gawron robiący uniki przed istotą, której połowę czasu nawet nie było widać, wydawał się co najmniej kuriozalnym widokiem. Przypominał egzotycznego ptaka, wykonującego taniec godowy. Towarzyszyły mu delikatne, wymierzone ruchy, świst opadających piór i nieustanne podmuchy wiatru, szarpiące go za szaty.

Wreszcie gigant wyrwał z siebie metalowy szpikulec, trysnął krwią na ziemię i zrobił tak długo wyczekiwany, wymierzony zamach. Pięści wielkości dwóch, masywnych pniaków rąbnęły w miejsce, gdzie jeszcze sekundę temu stał władca ptaków. Awatar pana żeru zaryczał wściekle, pociągnął łapami po ziemi i uderzył ponownie, tym razem napotykając upragniony opór ciała.

Gawron wpił się pazurami w korę kończyn, przeskoczył na kłodę ramienia i wbiegł po niej z gracją, doskakując szyi olbrzyma. Dziura od razu spróbował z siebie strzepnąć ogromne ptaszysko, ale nim sięgnął jego ciała, on już przeskoczył na dębową głowę.

– Nie mogę dotrzeć do piskląt.

Głos niemalże rozerwał mi bębenek słuchowy. Schyliłem się do ziemi, odruchowo wymachując włócznią, ale coś złapało ją tuż przed grotem. Mamuna kucała ledwie krok ode mnie, patrząc się ze smutkiem na mnie.

– Nie uda mi się, to przecież tyle lat, to tak nie działa. One nie wiedzą nawet, co robić, jedynie słuchają tego, co on im powie. Czują, że jestem ich matką, ale nic poza tym. Nie odchowałam ich, nie karmiłam, nie pójdą za mną.

– Nie mam jak przejść na drugą stronę tartaku, tu jest kompletny chaos – powiedziałem, wskazując w przypadkowym kierunku, a dopiero później w nim zerkając.

Porośnięty czerwonymi liśćmi trup jakiegoś czworonożnego, ogromnego wilka, patroszył akurat jedno z piskląt. Gromada ptaków rzuciła się swojemu pobratymcowi na pomoc, dziobiąc i szarpiąc drapieżnika, którego ciało zaczęły natychmiastowo pokrywać krwawe bąble. Mimo to wilk nie ustawał w uczcie, do samego końca żrąc.

– Dla mnie liczy się tylko to, żebym zabrał swoich ludzi i stąd uciekł – powiedziałem. – Nie mam tu o co walczyć.

– Ja mam! – uniosła się Mamuna, błyskając czerwonymi tęczówkami.

Gawron ciął giganta w łeb pazurami. Żywica i trupi jad trysnęły spod dębowej kory, która wydawała się być jakimś naturalnym hełmem dla ukrytej głowy. Czarne szpony rozerwały pancerz olbrzyma i odsłoniły na świat coś na kształt przerośniętej, zielonkawej brzoskwini, ociekającej różowymi płynami. Ptak chwycił za pseudo-mózg i ścisnął go mocno, rozrywając delikatne tkanki.

Awatar Dziury wyprostował się nagle, jakby poraził go prąd i zaraz padł bezwładnie na bok, wzniecając kolejną chmurę toksycznego popiołu.

Zasłoniłem się ręką, kaszląc ciężko. Kurz pola bitewnego już dawno zasnuł słońce, tworząc wraz z burzowymi chmurami koszmarny pejzaż spustoszenia.

– To idź i walcz – warknąłem, popychając wielką Wronę w bok. – Znasz go lepiej niż ktokolwiek, jesteś ptakiem do jasnej cholery, idź i zrób z tego użytek.

Nie wiem, czego się wtedy spodziewałem. Kłótni niemalże kazirodczego rodzeństwa? Odwrócenia uwagi Gawrona ode mnie? Cudu? Cóż, każda z tych rzeczy zdarzyła się po części, ale żadna w oczekiwany sposób.

Wrona wyprostowała się w całej swojej efemerycznej powadze, jaka mogła należeć tylko do stworzeń, jednakowo podobnych do człowieka i całkowicie odmiennych. Jej twarz na moment zmarszczyło zmartwienie, a zaraz potem naprężyła determinacja. Pióra wtopiły się chwilowo w skórę i pozwoliły wyjść na zewnątrz siwym kosmykom długich włosów. Zbliżyła się niezwykle powoli do Gawrona, który bezszelestnie zeskoczył z ciała giganta i odrzucił w bok kawałek wyszarpanego mózgu.

– Braciszku, wypuść tych ludzi – powiedziała cicho, lecz zdołałem dosłyszeć.

Wzdrygnąłem się na myśl o tym, że taka obłąkana istota na skraju socjopatii jak Gawron, jest w stanie mieć jakiekolwiek więzy rodzinne. Pamiętałem nadal słowa Serca, że te wszystkie licha, w co by nie wierzyli ludzie i one same, to tylko maszyny. Nieważne jak bardzo zaawansowane i abstrakcyjne oraz wykrzywione przez pryzmat naszych praw fizyki oraz własnych wierzeń. To były tylko urządzenia.

Gawron położył szponiaste dłonie na ramionach Wrony i przytulił ją mocno. Widać było, że kobieta drży i najchętniej uciekłaby jak najdalej. Było w tym uścisku coś, co przypominało mi tak wiele toksycznych relacji,

jakie można znaleźć poza Lasem. Jak widać ludzie potrafili uwiązywać się i krzywdzić w kółko nawet w tym świecie.

– Musimy uciekać z tej bajki, królewno – powiedział władca ptaków i jego głos po raz pierwszy brzmiał niemalże czule.

– Dokąd uciekniesz?

– Uciekniemy z Lasu.

Przełknąłem ciężko ślinę i powoli sięgnąłem pod płaszcz. Znajomy kształt rękojeści wydawał się kojący i pozornie ciepły.

– Zostań, goń mnie, a ja cię będę nienawidzić – powiedziała z przejęciem Wrona i wtedy zrozumiałem, że jest odwrotnie niż myślałem.

Ona nie chciała puścić Gawrona. To jej ciało walczyło z umysłem.

– Już za późno, jest wreszcie wyrwa, możemy spalić to wszystko i w końcu być wolni. Nie będziesz musiała uciekać, nie będę cię gonił.

– Dogoń mnie, błagam – powiedziała Mamuna i jej twarz rozwarła się w niemym krzyku agonii.

Kobieta zgarbiła się do ziemi, jej kości wydały z siebie trzaski, jakby pękały wszystkie naraz. Huk ulatniającego się nagle powietrza był potworny i dosłownie wyrwał dziurę w jej ludzkich plecach. Nos bryzgnął krwią i zaczął zwisać z twarzy jak zmiażdżony kawał mięsa. Mamuna wyjątkowo boleśnie, niemetaforycznie przeistoczyła się w ptaka i dosłownie zniknęła sprzed oblicza swojego brata.

– Nigdy się nie udaje – szepnął Gawron ze smutkiem w głosie.

– Czy mogę odejść? – spytałem.

Gawron rozejrzał się po tartaku, który zmienił się w prawdziwe oko cyklonu, gdzie dwa przeciwstawne fronty zwarły się w wirze walki. Wydawało się, że nawet sprawiało mu to jakąś satysfakcję, jakby było odstępstwem od rutyny.

– Nie – odpowiedział, podchodząc do mnie.

Pistolet błysnął, kula sięgnęła celu i dopiero wtedy zagrzmiał wystrzał. Gawron chwycił się za pierś i zgiął nagle. Przez moment trwał tak, aż w końcu włożył dłoń pod szaty, przez moment szarpał się z czymś i po chwili niczym magik rekwizyt, wyjął wygiętą, ołowianą kulę z własnej piersi.

– Świetny plan – syknął i rzucił mi pod nogi wypalony nabój. – Zadziałał kiedyś?

– Śrut na kaczki zostawiłem w domu – odpowiedziałem, strzelając znowu.

Kolejne trafienia wchodziły jak w tarczę strzelniczą, dzieliło nas w końcu kilka metrów. Co najdziwniejsze Gawron po prostu trwał w bezruchu, jego szata podskakiwała po każdym strzale jak firanki przy burzy. Czułem absurd i beznadzieję sytuacji, aż w końcu usłyszałem najbardziej przerażający z dźwięków.

Iglica stuknęła cicho, obwieszczając pusty magazynek.

Gawron przez chwilę stał tak, dłubiąc sobie pod ubraniem i wyjmując kolejne pociski, gdy ja już chwytałem w dłonie włócznie i szukałem drogi ucieczki. Puściłem się pędem między dwoma stosami na obrobione drzewa.

Ziemia spływała krwią, odznaczającą się szkarłatem wśród głębokich zasp popiołu. W zasłoniętej dymem arenie walk słychać było coraz więcej pojękiwań konających, ale okrzyków zwycięstwa wydawało się nie ubywać. Zapewne z każdą nową ofiarą wyprane z emocji pisklęta i bestialskie trupy Dziury, musiały nabierać nowego wigoru.

W pewnym momencie przewróciłem się, na czyichś trzewiach i padłem twarzą w popiół i krew. Przetarłem byle jak maskę, chwyciłem znów za włócznię Trzaski i ruszyłem jak najszybciej, aby dalej od tego przeklętego, ogromnego ptaszyska. Niemalże czułem jego oddech na plecach, wiedziałem, że nie jestem dla niego żadnym przeciwnikiem. Było dokładnie

tak, jak mówił przybysz w stacji meteorologicznej. Nie chodziło o to, żebym poznał prawdę i zrozumiał co się dzieje. Chodziło tylko o to, że byli ci, którzy mieli władzę i ci, którzy musieli się jej poddać.

Rozbrzmiał huk, gdzieś obok mnie trwała kolejna potyczka, w której jazgot ożywionej maszynerii nie pozwalał na jakiekolwiek odróżnienie od siebie dźwięków. Tuż przede mną przemknął ogromny dzik, którego połowa twarzy zwisała na strzępie skóry, a szable przyozdabiały nadziane pisklęta.

Gdzieś wysoko zabrzmiał grom, a niebo rozświetliło się na moment, podkreślając setki kołujących ptaków. Miałem sprzeczne wrażenie, że jednocześnie wszystko mi się przygląda i chce mnie skrzywdzić, a zarazem, że jestem tylko pyłem, jednym z wielu podmuchów popiołu, na które nikt nie zwraca uwagi w ferworze batalii. Zdecydowanie nadawałem się do siedzenia w fotelu z książką, a nie tłuczenia się po okopach.

– Lusia! – krzyknąłem i rozkaszlałem się paskudnie. Czułem, że coraz częściej trudno było mi wziąć oddech przez wszechobecny popiół.

Spojrzałem na swoje ubranie, nawet pod płaszczem wszystko przypominało przemoknięte płótno, po którym ktoś malował błotem i krwią. Plecak zwisał luźno, możliwe, że uciekając pogubiłem część rzeczy, to nie miało już znaczenia.

Schroniłem się za pomalowanym na brunatno kontenerem, złapałem mocno za rygiel, mając nadzieję, że nie będę musiał użerać się z zamkiem. Szarpnąłem do siebie pręt, opiłki rdzy i farby strzeliły na boki, a ciemny, wilgotny pojemnik stanął przede mną otworem.

Zajrzałem do środka, w mroku dało się dostrzec jakieś żelastwo, kable i mnóstwo kurzu, który potrafił się przedrzeć nawet przez tę stalową skorupę. Wszedłem i zasunąłem za sobą drzwi, biorąc głęboki oddech.

Wtedy w mroku zapłonęły czerwone oczy, a zaraz za nimi następne i kolejne. Dziesiątki skrzydeł zatrzepotały nagle, rozległa się kanonada krak-

nięć. Naparłem na drzwi, wypadając ponownie na zewnątrz. Nade mną przefrunęły dziesiątki krukowatych ptaszysk, gubiących czarne pióra i uderzających o siebie niezgrabnie w locie.

– Jak długo będziesz uciekał? – rozbrzmiał odległy krzyk.

Obejrzałem się w bok i dostrzegłem kolejny tłum skręconych w zajadłej walce ciał. Gigantyczny pająk o trzech ludzkich twarzach, wyglądających jakby ktoś je stopił ze sobą w piecu, zdawał się właśnie miażdżyć w szczękach jakieś ptactwo, a nawet chyba jednego stwora Dziury.

Gawron stał po drugiej stronie tłumu i z wymierzonym, chłodnym spokojem podejmował się kolejnych potyczek, masakrując robotników. Nie było mi szkoda w żadnym stopniu istot, którymi posługiwała się Dziura. Mogły być kiedyś ludźmi, lichami czy czymkolwiek, ale to było dawno temu, może nawet dziesiątki lat wcześniej, zależnie od tego, jak mocno pan żeru o nie dbał. Dlatego tym bardziej całe pobojowisko przypominało mi scenę z koszmaru albo obrazu, na którym ktoś namalował zbyt wiele postaci, walczących o miejsce na planie.

Byłem tam jedynym człowiekiem, doszło to do mnie z opóźnieniem i dało mi to jakieś poczucie skali, w jakiej należało oglądać te wydarzenia. Może dlatego tak rzucałem się w oczy. Rogata, błotna kulka, odbijająca się od osłony do osłony. Kryłem się, chowałem, uciekałem, choć w dłoniach nadal czułem obcy ciężar włóczni Trzaski.

– Łu... – spróbowałem krzyknąć i w pół słowa zacząłem się dławić pyłem.

Szedłem coraz bardziej po omacku, nie mogąc doczyścić wizjerów maski. Miałem ochotę ją ściągnąć, ale cholera wie, gdzie bym wtedy wylądował. Nadal nie mogłem znaleźć Lusi i nie miałem bladego pojęcia, co mogło ją powstrzymywać. Gdzieś zza mnie dobiegały charakterystyczne szelesty, jakie wydawało ciało Gawrona przy każdym cięciu. Nie rozumia-

łem, dlaczego był taki sprawny, z czego to wynikało i jak należało się temu przeciwstawić, skoro nie znałem żadnej jego słabości. I wtedy do mnie dotarło, że jedyna pieśń którą znałem o Gawronie, to historia wiecznej pogoni za Wroną. Nic więcej w niej nie było, żadnej puenty, po prostu krąg wydarzeń, gdzie jedynymi zamieszanymi ludźmi były osoby, którym podmieniano dziecko. Gawron nigdy nie miał w tych historiach kontaktu z ludźmi i zapewne poza historiami też nie, aż do momentu, w którym nie zwabił nas do swojego tartaku. To oznaczało, że albo byliśmy tylko dziełem wielkiego przypadku albo Gawron sam zmieniał treść legendy, która definiowała jego istnienie.

I wtedy przede mną opadło ogromne ptaszysko. Płaszcz piór zafurkotał na wietrze, a ogromny dziób niemalże żgnął mnie w twarz. Chwilę temu władca ptaków był daleko za mną, a teraz dosłownie wyciągał ku mnie rękę.

– Żyjesz? – spytał znajomy trel. – Bo widzę, że to nie jest takie oczywiste, chłopaku.

Podniosłem wzrok i dostrzegłem zielone pióra, wyrastające z uskrzydlonej ręki WładyżeraAjernego. Na moment rozdziawiłem usta, łykając sporo kurzu. Widok był porażający, ponieważ to nie był ten sam półnagi, podstarzały dzięcioł. To był prawdziwy rycerz Kokudryły, na którym dumnie opinał się pancerz z lat świetności, świecąc w skrytym w mroku polu bitwy, gdzie podmuchy popiołu równały wszystko do szarej nijakości.

Chwyciłem ostro zakończoną dłoń, która miała jeszcze mniej ludzkich cech, niż poprzednim razem. Poza samymi szponami była zakryta w pancernej rękawicy. Srebrzysty hełm z zielonymi ornamentami skrywał twarz dzięcioła, odsłaniając jedynie długi dziób, wymalowany karmazynową farbą.

– W samą porę – powiedziałem i na moment zastanowiłem się nad własnymi słowami. – Zmieniłeś zdanie?

Władyżer jedną ręką dzierżył wysoką tarczę, płaciszce, a w drugiej trzymał dziobiec, który miał prawie tyle długości ile ja wzrostu. Nie sposób było w pełni odczytać emocje, jakie przejawiał pancerny ptak, ale pokiwał głową, rozglądając się po polu rzezi.

– Przyszedłem cię pochować. Pomyślałem, że pewnie trzeba będzie się pojedynkować o twoje ciało, honorowo rzecz jasna.

– Pochować mnie? Myślałem, że wykorzystasz gwóźdź, by do mnie dołączyć… Najlepiej przed czasem, by walczyć o to, co prawe.

– To co dla ciebie jest prawe, to inna kwestia młodzieńcze. Lubię cię, ale nie na tyle, by działać wbrew sobie.

– Cóż, ja żyję, to co masz zamiar zrobić?

– Brzydki jest – powiedział nagle dzięcioł, wpatrując się w dal.

Obejrzałem się tam, gdzie Władyżer i dostrzegłem jak z szyi konającego licha tryska krew. Gawron szarpnął pazurami po raz kolejny, drugą ręką chwytając istotę za potylicę. Nieludzką siłą urwał głowę stworzeniu o pionowych oczodołach i rzucił ją gdzieś za siebie. Pisklęta zapewne zgodnie z nawykiem skoczyły w kierunku zdekapitowanego drona i zaczęły wyrwać sobie z dziobów kawałki gnijącego mięsa.

– To jak, zmieniłeś zdanie? – spytałem, szczerze na to licząc.

– Jeszcze nie. Gdzie te twoje dwa nieboraki, które chciałeś wykaraskać z tarapatów?

Rozejrzałem się niepewnie i wskazałem na azymut w kierunku samej budowli. Jeśli Łucja i Juki nigdzie nie minęli się ze mną, to powinni byli tam być.

Ajerny kiwnął głową, wystawił tarczę po swojej lewej, stanął za mną i wskazał lancą, bym szedł. Gdy tylko poderwałem się do biegu, on zatrzymał mnie, pokazując, bym się wcale tak nie śpieszył.

– W moim tempie, patrz i się ucz – powiedział.

Serce biło mi coraz mocniej, bo miałem wrażenie, że niespełna rozumu dzięcioł nie zdawał sobie sprawy z tego, że byliśmy w ciągłym niebezpieczeństwie. Co gorsza, gdzieś podświadomie bałem się, że zaraz zacznie sobie roić widoki z dawno zapomnianych, ptasich wojen, a wtedy mogło się to skończyć tragicznie dla nas obu.

– Żer dla pana żeru! – zaryczał z mocą humanoid, biegnący na nas od lewej.

– O cholera – zdążyłem powiedzieć nim kwintalowy trup skoczył na Dzięcioła.

Władyżer przyjął uderzenie na płaciszce, przechylił się na bok, przekierowując prędkość stworzenia, zamiast próbować go zatrzymać i po prostu przerzucił ciało nad sobą. Stwór zamachał rękoma, lecąc wysoko w górze i nagle uderzył z impetem o leżącą obok kłodę. Podniósł się, rozejrzał zdezorientowany i pobiegł dalej, jak potrącona sarna.

– Jesteś po którejś stronie? – spytał nagle Ajerny.

– Nie, to tylko… Dywersja, improwizowałem.

– No to nie masz się czym przejmować – odpowiedział, wzruszając masywnymi ramionami i wskazując lancą przed siebie. – Patrz, trwało to pół minuty, a już jesteśmy na miejscu, widzisz?

Ku mojemu zaskoczeniu faktycznie przeszliśmy przez pole walk właściwie nietknięci. Miałem wrażenie, że to nie była kwestia jakiegoś doświadczenia wojennego Włajdodzioba, ani nawet tego, że miewał chwilę zaćmienia umysłu. On po prostu znał Las lepiej ode mnie, możliwe, że po prostu wiedział, iż tutaj akcent jest przeniesiony bardziej na same zjawiska, niż ich konsekwencje dla pojedynczych istot. Była jakaś walka? No może i była, czy było groźnie? No może i było, ale to nie była taka bitwa, jak w naszym świecie, gdzie faktycznie były jakieś cele, kampanie, armie, jeńcy i tym podobne. To bardziej przypominało dwa, spersonifikowane żywioły,

które przypadkiem natknęły się na siebie i tworzyły wyjątkowo paskudną niepogodę. Nie musiało mnie to dotyczyć.

Dotarliśmy pod niemalże samo wejście tartaku, ziejące jak gardziel mroku, wyjące setkami nawoływań wroń. Jakiś cichy lęk złapał mnie nagle i powiedział, że może lepiej tam nie wchodzić i po prostu schować się, udawać, że nie ma żadnego ja, że nie ma niczego. Mimo to domyślałem się, że Łucja i Juki musieli schować się w środku, gdy tylko rozpętała się cała ta ptasia i trupa burza.

Wkroczyłem przez próg, aż do wnętrza hali.

– Gdy jeleń wejdzie w moją puszczę, to jeleń mój – zawołał ochrypłym głosem Gawron. – Myślałem, że będziesz już uciekał, a ty próbujesz mnie okraść?

– Szukamy kogoś – odpowiedział Władyżer, stając między mną, a zbliżającym się Gawronem. – Nie dotyczy nas to, co się tu dzieje.

– A ja mam wrażenie, że wręcz przeciwnie. – Gawron wyciągnął ku nam dłoń, jakby zachęcając, byśmy wyszli mu naprzeciw. – Ten jednorogi sprowadził do mojego gniazda jakieś chodzące bagno. Chyba mi nie powiesz, że to go nie dotyczy.

– Ponoć masz jego…

– Nie zrozumieliśmy się – przerwał władca ptaków. – Ja z wami nie dyskutuję, ja wymagam, abyście w tej chwili tu podeszli.

Władyżer zmierzył wzrokiem stojącego nieopodal Gawrona i wystawił przed siebie tarczę, opierając broń o jej rant.

– Tego nie mogę dla ciebie zrobić. – Oczy dzięcioła błysnęły złotem.

– Zawsze byłem trochę monochromatyczny w kwestii garderoby – zaśmiał się Gawron, patrząc na swój płaszcz z kruczych piór, z którego wyzierały osmalone dziury po postrzałach. – Może czas wzbogacić się o następny kolor?

– Ostrzegam, że mierzyłem się w pojedynkach z najlepszymi lataczykami, jakich widziało wszechgniazdo.

– Nikt nie mówił o pojedynku – odpowiedział Gawron i wydał z siebie nieharmonijny jazgot, bijący po uszach jak syrena przeciwpożarowa.

Dziesiątki kraczących głosów rozbrzmiały jednocześnie, dolatując do nas z każdej strony tartaku. Widziałem te wszystkie ptasie oczy, przypatrujące się nam z głodem, agresją i wyuczoną nienawiścią.

– Przyleciał dzięciołek do mego ogródka... – zaintonował spokojnym tonem Gawron, ale nie zdążyłem dosłyszeć reszty.

Poczułem nagły ucisk w ramionach i lekkość. Świat zaczął oddalać się ode mnie i zmieniać w miriady czerwonych, czarnych i zielonych kropek, które rzucały długie cienie przy każdym uderzeniu pioruna. Dopiero po chwili zorientowałem się, że Władyżer złapał mnie swoimi szponiastymi łapami i wzbił się wysoko w niebo. Udało mu się objąć moje bicepsy tak, by szpony na stopach nie wbijały mi się w ciało, ale mimo to czułem, jak krew odpływa z kończyn, a błędnik wariuje.

– Myślałem, że będziecie walczyć! – krzyknąłem, próbując przebić się przez wiatr.

– Ja też! – zawołał dzięcioł, zamachał masywnymi skrzydłami i wzbił się wyżej w burzowe niebo. – Nie mówiłeś mi, że on śpiewa!

– Bo… bo nie wiedziałem?! – odpowiedziałem niepewnie, próbując nie wypuścić z dłoni włóczni Trzaski. – Co za różnica?!

– Nie umiem śpiewać!

– No i?!

Poczułem uderzenie, coś rąbnęło mnie w łydkę, wbijając się mocno w kilku miejscach. Miałem wrażenie, jakby próbował mnie rozszarpać dziki kot. Obejrzałem się niżej i wśród wirujących barw dostrzegłem jedno z piskląt, które uczepiło się mojej nogi.

– Wład! Władek! Weź to ze mnie!

Spróbowałem kopnąć pisklaka drugą nogą, ale każde takie uderzenie sprawiało, że humanoidalna wrona wbijała mi się coraz mocniej w ciało, szarpiąc i dziobiąc. Myślałem, że zemdleję, bo nieustannie oddalaliśmy się od ziemi, jakby dzięcioł naprawdę za priorytet uznał to, by nie słyszeć pieśni Gawrona.

Wreszcie udało mi się zrobić wymach jedną nogą w przód, drugą w tył i ruchem nożycowym zdzielić pisklaka po łbie, aż w końcu puścił się nogawki i pofrunął w dół. Trwało

to ledwie chwilę, bo zaraz odzyskał władzę nad własnym lotem, odbił gdzieś w bok i zaczął ponownie gonić mnie i dzięcioła.

– Leci! – zdążyłem krzyknąć, nim spod pierzastego roju pod nami wyskoczyła blada igła czaszki Gawrona.

Dzięcioł spróbował odchylić tor lotu w ostatniej chwili i uniknąć władcy ptaków, ale na daremno. Gawron ciął szponami od dołu, wczepił się w tarczę lataczyka i przerżnął metalową skorupę wzdłuż. Zajęczał gięty pancerz, ostre ręce przeciwnika wyskoczyły ponad rant tarczy i spróbowały sięgnąć twarzy dzięcioła. Władyżer nagle żgnął swoim wielkim dziobem Gawrona, wbijając mu się w ramię. Trwali tak chwilę wczepieni w siebie, stale nabierając prędkości, młócąc skrzydłami i na zmianę próbując wyszarpać sobie pióra. Ja robiłem wszystko, byleby nie spaść i nie dać się rozerwać przypadkowym cięciem.

Oślepiający promień światła przemknął tuż obok nas wprost z burzowej chmury i rąbnął w dach tartaku, skrzesając tornado iskier. Budynek zajął się ogniem od pioruna, który tylko czystym przypadkiem nie obrał sobie za cel nas.

Czarna wełna chmur objęła nas w swoje władanie, gdy całą trójką wznieśliśmy się wysoko pod nieboskłon. Wśród potwornej ciemności, prze-

rywanej błyskami gromów, dwa majestatyczne ptaki szarpały się, kłuły i dziobały, walcząc o przetrwanie.

Nagle wyfrunęliśmy ponad granicę burzy, do świata, gdzie podłoga usłana była gęstym mrokiem, a niebo otwierało się tak jasne i przejrzyste, niknące w nieskończoności kosmosu. Gdzieś w oddali dostrzegłem białe kropki budowli, wiszących jeszcze niemożliwie wyżej nad nami, jak unoszące się w niebiosach fortece o fasadach z pereł. Gawron i Władyżer zamarli na ułamek sekundy, w którym to mogłem rozejrzeć się i doznać przebudzenia. Wzlecenie ponad rozszalałą burzę dało mi kojącą wiedzę, że Las jest jednym z wielu lasów.

Cisza pękła, zmieciona brutalnym podmuchem wiatru. Zaczęliśmy pikować do ziemi, przedzierając się wpierw przez koszmar burzy, gdzie nieliczne pioruny rozświetlały rozwarte, ptasie dzioby. Chmara wron dopadła do nas, rycząc nam w twarze, szarpiąc skórę i ubrania, rysując rzeźbienia pancerzy. Powietrze znowu zaczęło pachnieć dymem i smakować jak popiół, wchodzący w każdy zakamarek organizmu. Runęliśmy w ziemię, jakby ktoś nas strącił w gorsze miejsce, skąd już tylko kopanie może stworzyć nowe dno.

Dzięcioł w ostatniej chwili wyhamował skrzydłami, zrzucił mnie w hałdę ciał, a samemu uderzył o ziemię wraz z Gawronem, sczepiając się szponami.

Poczułem jak brakuje mi oddechu, coś strzeliło pode mną, nie wiem, czy były to żebra moje, czy jednego z ciał na które spadłem. Sturlałem się ze stromego wzgórza zewłoków, które drony zbierały dla pana żeru.

Gdy już miałem pod palcami ziemię, a połową twarzy leżałem w błotnistej, krwawej kałuży, poczułem, że piętra Lasu są jedynie kolejnymi kręgami piekielnego leja, w który Saprofici schodzili na zawołanie demonów. Bóg nie słyszał modlitw w tej czeluści, jedynie pieśni, które sami so-

bie robiliśmy. Kręceni ze szmat i sznurków demiurgowie, dawali nam chwilę wytchnienia, głębszy oddech na ścieżce koszmarów.

– Żyjesz? – spytał głos próbujący przebić się przez moje otępiałe zmysły.

Coś obróciło mnie na plecy. Czułem, jak po twarzy spływa mi błoto. Jakaś jasna sylwetka nachyliła się nade mną i zaczęła uciskać ranę na piersi, by zaraz obwiązać ją kawałkiem płowej szmaty.

– Całe życie…

– Czyli żyjesz, nie odzywaj się teraz.

– Czuję, że spadam i nie wiem dokąd.

– Nie odzywaj się, tracisz krew.

– Znowu to zrobiłem.

– Co zrobiłeś? – spytała czaszka jelenia, klarująca się przed moimi oczami.

– Zawiodłem cię, myślałem, że jestem kimś. Myślałem, że to tylko kwestia odwagi,

ale tu chodzi o tyle innych rzeczy.

Spływający krwią szóstak Łucji wisiał nade mną, a ja przez jego brudne wizjery mogłem dostrzec łagodne, zielone oczy. To nie byłaby zła śmierć, zważywszy na zastałe okoliczności. W końcu mogłem umrzeć, patrząc się na leżące obok mnie zwłoki.

– Nie zawiodłeś mnie – odpowiedziała, obmywając palce w czymś z kolorowej menażki. – Dla odmiany zrobiłeś coś dobrze. Potem ci wyjaśnię, teraz leż.

Łucja już miała wstać, ale chwyciłem ją za dłoń. W nagłym przypływie świadomości zrozumiałem, że mówiła tym samym lekceważącym tonem, który zwiastował kłamstwo.

– Przysięgasz? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała, zrzucając z siebie moją dłoń.

Z trudem obróciłem się na bok i podciągnąłem po ziemi gdzieś dalej, by oprzeć się o leżącą, drewnianą skrzynię. Każdy oddech karał mnie bólem i miałem wrażenie, że nie czuję własnych nóg.

Przez zalepione pyłem, błotem i posoką wizjery, mogłem dostrzec dwie wysokie sylwetki ptaków, ścierających się ze sobą w pojedynku. Chociaż nie wiem, czy można to było nazwać pojedynkiem. Dzięcioł wyprowadzał cios swoim dziwacznym mieczem, Gawron parował szponami, atakował i natrafiał na tarczę, po czym kolejny pisklak robił wszystko, by przeszkodzić szermierzowi i tak w kółko. Kolejne szarpnięcia, dziobnięcia, uderzenia, czarna krew bryzgająca na wszystkie strony.

Dokładnie tak sobie wyobrażałem ptasie wojny. Tylko na moment uwierzyłem bajkom podstarzałego kombatanta z innego świata. Licha przejawiały w sobie dość ludzkich cech, by nie czynić swoich wojen niczym wzniosłym. Oni tak tylko opowiadali, ale prawda stała przede mną. Prawda kopała, gryzła, krzyczała w furii i wyprowadzała szerokie, zamaszyste ciosy, kierując się ślepym gniewem.

Z nieba spadły pierwsze krople deszczu i trwało do ledwie moment, nim z nieba lunęło jak z cebra. Okrzyki walczących stale stworzeń mieszały się z niejednolitym szumem, który bębnił o blachy, pluskał wśród błota i tłukł w szyby, ostatecznie zmieniając wszystko w jeden, wielki harmider wody i ziemi.

– Pieprzony świat – szepnąłem, z trudem zdejmując z siebie plecak.

W bagażu miałem jeszcze ćwiartkę, pozbawioną oryginalnej etykiety. Chwyciłem butelkę, zaciskając zęby z bólu. Odkręciłem korek i spojrzałem pod światłem na błyszczącą, przezroczystą ciecz.

– Jeden dla ciebie – mruknąłem, polewając rozszarpaną nogę spirytusem, a następnie pociągnąłem solidnego łyka. – I jeden dla ciebie, bo nigdy dla mnie.

Jeden z trupów w hałdzie otworzył zielone oko i zamachał ręką w moim kierunku, sycząc coś niezrozumiale. Połowę twarzy miał zmasakrowaną, jakby od uderzenia czymś masywnym i kanciastym.

– Też chcesz? – spytałem, wyciągając butelkę w kierunku nieumarłego, a następnie zabierając ją z powrotem. – Nie dla psa kiełbasa.

Dzięcioł wyprowadził trzy pchnięcia lancą, każde tak szybkie i mocarne, że mogłoby zmienić dorosłego człowieka w szaszłyk. Gawron uniknął ciosów, wyginając się z gracją akrobaty, a sam odpowiedział szybkim cięciem szponami, jedną ręką z góry, a drugą z dołu, następnie obrócił dłonie i ciął z powrotem. Ajerny wpierw sparował ciosy lancą, a potem zrobił unik, zasłaniając się tarcza. Kolejne pisklę skoczyło ku niemu, jak tresowany kundel do wilka, złapanego w obławę. Władyżer przyszpilił wronę do ziemi, przekręcił bronią i ciął Gawrona po nogach. Broń sięgnęła celu, Gawron zalał się krwią, ale niezrażony dalej chlastał, szarpał, dziobał, aż wreszcie sieknął głęboko wzdłuż napierśnika swojego wroga. Wtopiona gablotka, skrywając najcenniejsze pióro królowej Kokudryły, pękła. Błękitna lotka rozleciała się na kilka, wystrzępionych części.

Władyżer rozchylił oczy w niedowierzaniu, które zaraz rozwarło je jeszcze do granic możliwości i dalej, przyoblekajac rycerza w grymas przerażenia. Gawron chwycił oburącz za dziobiec i wyrwał go z ręki dzięcioła. Rycerz spróbował zaatakować rantem tarczy, jednak władca ptaków cofnął się o krok, poprawił chwyt na broni, jednym szponem zablokował osłonę dzięcioła i wbił lancę głęboko w mostek.

Pancerz i skóra pękły, dając dźwięk jak rozerwany latawiec, który nieopatrznie zahaczył o gałąź. Kości nie stawiły żadnego oporu i dopiero pancerz na plecach zatrzymał broń wewnątrz ciała Władyżera.

Gawron pchnął jeszcze broń, obalając zielonego ptaka w błoto i popiół, a sam oparł się o własne kolana i zaczął dyszeć ciężko. Jego ptasia czaszka spływała krwią, a krew z nóg lała się strugą do ziemi, tworząc drobną kałużę, w której obracały się resztki pióra królowej.

Rozbrzmiał plusk i między nogami zwycięskiego, skąpanego w posoce władcy wylądował malutki, żółty ochłap. Gawron jakby z niedowierzaniem spojrzał na kawał sera wielkości piąstki.

Łucja złapała za siekierę nieco bliżej środka styliska i zbliżyła się do Gawrona, nucąc coś pod nosem i szepcząc melodyjnie.

– A skąpy Gawron plaster sera połyka, oddychać nie może, dławi go, zatyka. W jego sercu wszyściutko się zamyka, miłość do siebie, taniec, śpiew i muzyka.

Patrzyłem na to, jak na sen, z niedowierzaniem, ale i pewnym mglistym, tępym niezrozumieniem. Przestałem kontaktować z rzeczywistością i analizować cokolwiek mniej więcej w momencie, gdy moje plecy zderzyły się ze stosem zwłok, więc tym bardziej nie dochodziło do mnie to, co widziałem.

Gawron wydarł się nagle takim ludzkim, przerażonym głosem. Padł na kolana i wyjął krwistą kulę błota i sera, a następnie siłą włożył ją sobie do gardła, zrywając skórzaną opaskę, ukrytą pod dziobem. Jego ciało dygotało, a on sam bił szponiastymi łapami w ziemię, wyrywając mokry grunt palcami i na zmiany wyjąc.

– To nie jest uczciwe – odezwały się dziesiątki głosów, wychodzących z zakamarków ciała Gawrona. – Nie masz prawa mi tego robić.

Łucja podeszła do ryczącego całym ciałem władcy i beznamiętnie rąbnęła go siekierą w potylicę. Krucza czaszka strzeliła odłamkami kości na boki, a Gawron padł w błoto, ślizgając się na własnej szacie.

– To jest za Kozła – powiedziała po prostu i uderzyła siekierą w rzepkę leżącego. – To jest za to, że zmarnowałeś mi siedem dni.

Gawron zaskowyczał boleśnie kilkoma głosami, każdy z nich wydawał z siebie litanię utyskiwań i jęków. Spróbował odczołgać się, pełznąć po błotnym trakcie, ale zaraz ostrze siekiery przebiło jego drugie kolano.

– Trzeba się zdobyć na wyżyny bezczelności, by śpiewać pod moim okiem. – Łucja puściła siekierę, przydepnęła butem łokieć leżącego człowieka i chwyciła go za nadgarstek. Gawron przez chwilę szarpał się i wrzeszczał coś, po czym zabrzmiał obrzydliwy trzask i jego ręka wygięła się w łokciu w przeciwnym kierunku, niż powinna. – Miałeś taką prostą robotę do wykonania, a ty to zwyczajnie, po ludzku spartaczyłeś.

– Tak się nie da żyć! – zawyły wszystkie ukryte usta Gawrona. – Chcę moją rodzinę, chcę być wolny!

– Lusia? – spytałem niepewnie, patrząc się, jak Bieniaszówna dociska butem plecy powalonego i leżącego w błotnistym popiele stworzenia.

Dookoła nas zaczęły zbierać się pierwsze trupy, które najwyraźniej zdołały wreszcie odnieść zwycięstwo nad ptasimi dziećmi. Nie zrobiły nic chwalebnego, ale na ich dawno pozbawionych życia twarzach, można było ujrzeć krwawą satysfakcję.

Dostrzegłem, że to już nie grzmoty burzy, a podpalony wcześniej tartak oświetlał pobojowisko. Ogień zajął ściany, spłynął po powałach i zawalił połowę hal produkcyjnych, pożerając łatwopalne zasoby.

– Będziesz to żarła? – spytało wysokie licho, które składało się z gipsowej kolumny, obrośniętej korzeniami i przyobleczonej w drewniane koń-

czyny. Zamiast łba miało wrośnięty w tułów odlew głowy z jakiejś figury świętego z przydrożnej kapliczki.

Łucja przydeptała mocniej butem, wzniosła go i uderzyła ponownie, patrząc w niebo, jakby zastanawiając się na odpowiedzią dłużej, niż można by się tego było spodziewać.

– Mogę ci to oddać, będziemy potrzebowali kilku rzeczy.

– A jak się nie zgodzę? – spytał awatar Dziury. Widocznie pan żeru zawczasu przygotował sobie kilka mówiących lich.

– To spróbujesz mi to zabrać – odpowiedziała Łucja, podnosząc z ziemi siekierę. Na jej czaszce błysnęły wymalowane symbole, odbijając się w świetle pożogi. – Raz.

– Zgoda – powiedział pan żeru, zwlekając ledwie sekundę.

Łucja zeszła z drżącego w konwulsjach Gawrona i pozwoliła kilku lichom zabrać go gdzieś w Las. Istoty niezwykle sprawnie i zorganizowanie zaczęły brać ciała z pola bitwy i zabierać je ze sobą jak mrówki materiały do budowy gniazda.

Więc to są ich łupy wojenne, pomyślałem, mięso pozbawione historii.

Lusia zbliżyła się do mnie, przykucnęła i obejrzała kilka z powierzchownych ran oraz poszarpaną nogę, po czym przesunęła palcami po moich wizjerach.

– Trzymasz się jakoś? – spytała spokojnym tonem.

Milczałem przez chwilę, aż w końcu zacząłem sięgać ręką po pistolet.

– Wszystko dobrze – mówiłem, próbując kupić sobie czas. – Gdzie jest Ze… Juki?

– Uciekł – szepnęła smutno, ale po chwili wzruszyła ramionami. – Zostawił nas przy pierwszej okazji, cóż, dziki jest, prawda? No, ale przynajmniej dzięki temu mogłam zająć się tobą, no nie? Nawet nie wiesz jak się martwiłam, że zrobisz coś głupiego, jak wtedy, wcześniej z Krzykaczem.

Tak bardzo się bałam, że sprowadzisz pomoc z wioski albo narazisz kogoś na niebezpieczeństwo, ale chyba wreszcie się uczysz.

Spojrzałem na spływający czerwoną, błotną rzeką tartak, który sypał na nas iskrami z oddali. Skierowałem wzrok na leżącego w kałuży dzięcioła, który konał rozszarpany obok skarbów swojej przeszłości. A na końcu wejrzałem w wizjery maski Łucji i sięgnąłem do kieszeni po broń.

Nie ma, pomyślałem, bo przecież wystrzelałem wszystko i upuściłem.

– Boisz się? – spytała, sama mając zlękniony głos. – Zawsze tam sięgasz, gdy się boisz, zauważyłam już dawno. Po co ci pistolet?

– Chce stąd uciec…

– I dokąd uciekniesz? – spytała cicho Łucja, wskazując na pogorzelisko. – Przecież wszystko czego potrzebujesz do szczęścia jest w Lesie.

– Tego się boję… że masz rację i jest tak jak mówisz. Las jest w nas i są tylko dwa miejsca, do których da się uciec od siebie. To szaleństwo albo śmierć, a ja… Ja nie dam się zwariować, Łucja.

Łucja siadła obok mnie, opierając się o tę samą skrzynię.

– Dalej palisz?

Pokiwałem głową i wyjąłem z plecaka zawinięte w folię skręty z jażyka i całą zapalniczkę. Odpiąłem zasłonę na ustach, odpaliłem pożytek i zaciągnąłem się głęboko, by zaraz podać go Łucji.

– To jest głodny świat – powiedziałem.

– To jest głodny świat – przyznała Lusia, zaciągając się bez przekonania.

* * *

Lodowy tron sunął majestatycznie przez zasypane śniegiem pola. Cztery istoty przypominające nosorożce pchały przed sobą kryształową

ścianę, roztrącając zaspy, niby atomowe lodołamacze na kole podbiegunowym. Cała czereda składała się z setek lodowych figur i śnieżnych rzeźb, przyobleczonych w błękitne żyłki detali, nadające im niemalże żywotnej fizjonomii.

– Myślałem, że będzie mniejsza – przyznał Maurycy.

Gopulska pokiwała głową i wzniosła sękaty kij nieco wyżej. Oranżowa poświata buchała gorącem niczym otwarty piec, pozwalając im ubrać się ledwie w jedną warstwę kurtek. Wszystko dookoła parowało natychmiastowo i zaraz krystalizowało się w powietrzu, tworząc cienkie, delikatne kopuły szkła.

– To my jesteśmy mali – odpowiedziała kobieta i zbliżyła się do umownego końca wsi, gdzie obok sterczał jedynie zasypany popiołem dom Romana. Jakiś stwór szukając schronienia, wbiegł pewnej nocy przez okno i zdemolował posesję.

Gdy już chłodny pochód królowej zimy zbliżył się do wsi i cały dwór zmarzniętych stworzeń ustawił się w półkole, można było dostrzec nazbyt wyraźnie dysonans, jaki wytwarzało leśne bogactwo, wobec rozbitych epidemią Chołów.

– Kłaniać się nie będę – szepnął ksiądz.

– Będziesz, jeśli chcesz zatrzymać to szaleństwo – warknęła Gopulska.

– Co za farsa – odparł kapłan, kłaniając się w pas.

Zofia lekko skłoniła głowę i skręciła nieco moc kostura, którym ogrzewała siebie i Maurycego. Nie wypadało wystawiać ciepła przeciwko tak nietypowym gościom.

I dopiero wtedy zza cienkiej jak pajęczyna kotary, wyszła Śnieżynka, opuszczając swoją przenośną salę tronową. Ze szczytu spłynęła seria sześcianów, nachodzących na siebie i mieszających się ze sobą w pozornym

bezładzie. Dopiero po chwili lodowe kształty zmieniły się w drobną, doskonałą kulę błękitu, a następnie ta zaczęła przeobrażać się, rozrastać jak fraktale, aż przybrała kształt człowieka, złożonego z milionów lodowych drobin. Skierowała swoje kroki w dół błyszczących diamentowym blaskiem schodów. Kroczyła delikatnie, stopień po stopniu, uderzając bosymi stopami o lód.

– Spodziewałem się, że będzie wyglądała jak płatek śniegu, sopel lodu albo może coś pomiędzy tymi dwoma – wyznał Maurycy.

– Właśnie przez takie myślenie trafiliśmy tu, gdzie jesteśmy. Obiecaj mi, że nie zrobisz nic głupiego, nic w stylu tego mieszczucha. Pamiętaj, sam tego chciałeś, masz chronić swoje stadko.

Kapłan pokiwał poważnie głową i wyszedł kilka kroków naprzód, zdejmując czapkę. Zimny wiatr zaczerwienił policzki na jego szarej, postarzałej nazbyt szybko twarzy.

– Nie budujecie nadajnika, nie uciekacie od mrozu – powiedziała królowa lodu głosem absolutnie wypranym z emocji, niepotrzebującym dodatkowych wyjaśnień.

– Pomnik… Tak, nie ma go, to prawda. – Maurycy zdjął z trudem ciemnoszare futro, po czym stanął w rozkroku, próbując opanować dygotanie mięśni. – Myślałem, że możemy dojść do porozumienia w inny sposób…

Śnieżynka wzniosła dłoń stanowczym ruchem, choć jej twarz nadal była bladą maską, udającą kobietę w kwiecie wieku. Natychmiast kilka z lodowych figur przesunęło się między masywnym zaprzęgiem nosorożców i stanęło przed obliczem władczyni. Sylwetki istot złączyły się ze sobą nagle, wydając z siebie cichy, monotonny trzask, po czym stworzyły coś na wzór płotu o pofalowanym szczycie, idącym raz wysoko w górę, a zaraz nisko do ziemi.

Maurycy zagryzł zziębnięte wargi, obrócił się jeszcze do Gopulskiej i kiwnął głową. Pożytek, którym przepłukał gardło przed nadejściem pani lodu, nadal palił w przełyku, ale niewątpliwie dawał też uczucie świeżości i spokoju.

Kapłan uchylił nieco usta, wpierw niepewnie, nie będąc do końca przekonanym, czy przygotowania, które poczynił, na coś się zdadzą. Ostatecznie jednak odważył się i wydał donośny głos, płynący wprost z jego wnętrza. Istoty przed nim były jak strony z nutami, a on poczynił wszelkie możliwe przygotowania, by nauczyć się je czytać. Skala jaką osiągał, pozwalała mu na odśpiewanie wszystkich dźwięków z lodowych figur. Każda z postaci reprezentowała coś innego, inny dźwięk, emocję, gest a odczytanie i dostosowanie się, było wyzwaniem samym w sobie. Gdyby nie zioła od Gopulskiej, jego głos nie mógłby nawet osiągnąć połowy niezbędnych tonacji, ani nawet wytrzymać tak długiego odśpiewu, który pozwolił mu na wzięcie oddechu dopiero po paru minutach, wypełnionych czymś między buczeniem a piskiem.

Śnieżka wyglądała tak, jakby rozumiała wszystko bez słów albo po prostu uznała, że nie warto odzywać się do lokalnych mieszkańców. Bez słowa zbliżyła się do kapłana, by zmierzyć go wzrokiem od góry do dołu.

Był od niej niższy, przesiąknięty zapachem niewypranych ubrań, gorączkowych potów, zielnych wywarów i kadzideł. Jego skóra była również niewyobrażalnie bardziej chropowata, nierówna i szara niż delikatna cera królowej, którą dziergano z warstw cienkich jak jeden płatek śniegu.

Ujęła go za dłoń, drugą położyła sobie na wzniosłym, kształtnym biodrze, przypominającym zamarznięty wodospad i wyczekała pierwszego kroku.

Maurycy wziął głęboki oddech i postąpił jako pierwszy, prowadząc taniec. Mróz był niewyobrażalny, a każde miejsce, w które prowadził bose

stopy kobiety, zmieniało się w szklany blat. Mimo to ruszał się tak, jak go nauczyła Gopulska. Wiedział, że musi dać z siebie wszystko i po cichu liczył, że wszystko oznaczało wystarczająco.

Twarz kapłana przybrała półprzezroczysty wyraz szklanej maski, jego siwe włosy przyozdobiła warstwa szronu, a rumiane policzki zmieniły się w nijakie, białe fałdy. Taniec prowadził dwójkę coraz bliżej tronu, nieznacznymi ruchami, drobnymi gestami, cichymi kroczkami. Gdy dotarli pod lodowe stopnie otoczone sługami Śnieżynki, ta wreszcie puściła dłonie kapłana, poczekała na ukłon i gdy ten się pojawił, odwzajemniła go z grzeczności i zgodnie z obyczajem.

Maurycy spojrzał na stojące w pewnej oddali zabudowania Chołów, gdzie lekko parowała mgiełka, znad pąsowej poświaty, jaką dawała sylwetka Gopulskiej. Jego zmrożony umysł wydawał się myśleć nieskończenie powoli, z każdą chwilą tracąc wspomnienia o tym, co miał sobie przypomnieć.

Bez słowa Śnieżynka pozwoliła się dwóm sługom wnieść na szczyt schodów. Nosorożce wykręciły mozolnie i powoli całą paradę, tworząc na środku pól okrąg o średnicy blisko pół kilometra. Cały majestat królewskiego dworu zaczął powoli oddalać się, zabierając ze sobą mróz, szklący serca i umysły.

Ksiądz zacisnął powieki, z jego ściętych białek spłynęła pojedyncza strużka cienkiego lodu, odbijającego wychodzące zza chmur promienie słońca.

Gopulska odetchnęła ciężko i wystawiła twarz na światło, łapiąc pierwsze promyki, zwiastujące nadejście przedwiośnia. Przez moment stała tak, obserwując jak ostatnie lodowe figury przekraczały granicę światów i znikały wśród pajęczyny pięter Lasu, by nie wrócić, przynajmniej do następnej zimy.

Figura utkana z błękitnego płomienia wyrosła obok Zofii, wytapiając w śniegu dziurę, gdzie tylko siwy opad popiołu żłobił dno. Sędziwy batiuszka podrapał się po długiej brodzie utkanej z ognia i spojrzał na Gopulską z mieszaniną strachu i zaciekawienia.

– Sprzedać kapłana…

– Sam chciał – odpowiedziała beznamiętnie Zofia.

– I to jest w tym najgorsze. Biedny, nawet nie wiedział, co go czeka. Chociaż tak z drugiej strony, trochę to trwało.

– Ponad tydzień tuczenia go pożytkami, by się pozbyć tego jego raczyska. Boże błogosław tę rudą Maryśkę i jej dobre, przeżarte ślepym gniewem serce.

– Ilu nas to kosztowało?

– Nas? Nie wczuwaj się tak. – Gopulska zamilkła na moment, mrużąc oczy, patrząc na to, jak szybko śnieżna polana zmieniła się w polanę kurzu. – Mniej niż tuzin, chociaż nadal nie mam pewności, co z Adolfem. Przecież nie pojechał tym wózkiem do Lasu, musiał go zabrać ktoś albo coś. Dowiem się potem, prędzej czy później, najważniejsze, że za jednym zamachem pozbyliśmy się głupich i głośnych.

– Sytuacja z Gawronem stabilna?

– Dało nam to tyle czasu, ile potrzebowaliśmy. A mówią, że ptaki są najmądrzejsze, prawda? Widać jak nisko wisi poprzeczka – zaśmiała się Zofia, kręcąc głową na boki.

– A co z… – Dionizy wskazał na niebo, z którego zamiast śniegu padał już jedynie popielaty pył.

– Tym zajmie się mama, gdy tylko dotrą do niej nasi bohaterowie, a raczej bohaterka. Pieprzony mieszczuch, konował za dychę. – Gopulska spojrzała złym wzrokiem na Dionizego, który skulił się lekko, jakby oczekując ciosu. – Jak to jest, że zawsze mężczyźni mają się za bohaterów, co?

Widzą matkę naturę, kłaniają się najświętszej panience, a potem szukają Boga i są wielce zdziwieni, że nigdzie nie ma wszechmocnego brodacza. Każdy chciałby być świętym rycerzem i przebić łeb smoka, że niby to takie proste i łatwe, zwłaszcza proste. Pola nie orze się jednym, rozemocjonowanym uderzeniem, tylko dekadami uprawy. Nie osiągniesz żadnych plonów, jeśli nie będziesz przez lata cierpliwie na to pracował. Zresztą, co ja ci będę mówiła, prawda?

– Mnie nabrałaś tak samo.

– Powinieneś być wdzięczny, że zdjęłam cię z tego drzewa albo nadal byś wisiał.

– Myślałem, że mnie uwolnisz.

– Pinokio chciałby, żeby wróżka zmieniła go w prawdziwego chłopca? Zaraz się przejmę, naprawdę. Pomyślę nad tym, jak już pozbędę się ostatniego problemu. Hej, nie mazgaj się płomyczku, chyba nie zdążyłeś ich polubić, co? Zresztą, koniec pogaduch, patrz lepiej na to. To wszystko jest jak w zegarku, aż sama się dziwię, że to było takie proste. Czyli jednak poprowadziłeś go mostem, co?

– Kazałaś mi – powiedział cicho Dionizy, patrząc w kierunku Lasu.

Spomiędzy drzew wychyliła się masywna sylwetka człowieka, niosącego na plecach dziurawy wór, z którego sypały się ziarna.

– Idzie ojczulek do naszej bezbożnej wioski. Dobrze, koniec plotkowania, trzeba się zająć przygotowaniami, coraz mniej wiosek dla takich jak ja. Ruszamy, bo zgłodniałam.

* * *

– Chciałbym móc go pochować, odszedł tak nagle – powiedziałem ze smutkiem. – Nie znaliśmy się zbyt dobrze, ale wydawał się być uczciwą

osobą. Miał swoje ideały, choć ich nie podzielałem. Wychował się inaczej niż ja i widział trochę inny kawał świata, ale ostatecznie poświęcił się dla naszego wspólnego dobra, a to zasługuje przynajmniej na jakikolwiek szacunek.

– Ptaki chowa się pod niebem szerokim, odchodzą do wszechjaja, aby dołączyć do wiecznego wykluwania – wyjaśniła mi poważnie Lusia, zaciskając dłonie na lejcach. – Pochowanie dzięcioła w ziemi byłoby co najmniej faux pas.

– O, podłapałaś to ode mnie?

– Może. – Łucja uśmiechnęła się i spojrzała na mnie spod maski.

Byłem bardziej skupiony na tym, by nie spaść ze swojego konia. Zlepione z liści, korzeni i pożółkłych kości wierzchowce, które wypożyczyła nam Dziura, zachowywały się przerażająco cicho. Brakowało mi ich parskania, pomrukiwania, oddechu, czegokolwiek. A one po prostu były tak bezgłośne, jakby nie istniały.

– Trzymasz się tam? – spytała, spoglądając na mnie.

Spojrzałem po przeżartym dziurami i plamami krwi płaszczu. Śmierdziałem jak sto nieszczęść i czułem, że moja maska lekko tarła przy każdym ruchu, jakby powoli traciła na szczelności od liczby uderzeń. Krew obcego Wierzba przeszła w stan spoczynku i obolały organizm zdecydowanie mocniej polegał na moich własnych siłach, przez co byłem nieustannie zmęczony i głodny. Ponadto biała plama pod skórą rozrosła się, jakby Wierzb zabrał dla siebie kolejny fragment ciała w ramach zapłaty za współistnienie. Mimo to Łucji musiało chodzić o szarość, paskudny, piekący popiół, który przeszedł mnie już na wskroś. Idąc przez martwe pustkowia skażonego Lasu, czułem, że każdy krok wydziera ze mnie coś i pozostawia jedynie pustkę. Szarość utrudniała poruszanie się zarówno w prawdziwym świecie, jak i po piętrach Lasu. Gdy już wiedziałem, że Śledź nie umierał na szarość,

a na to, że był chodzącymi zwłokami, to docierał do mnie coraz mocniejszy strach. Bo nie wiedziałem, jak długo mogłem żyć ja i jakie mogły być konsekwencje całkowitej zmiany.

– Pień mi kiedyś mówił, że od Wierzba można się zmienić w leśnego dziada albo Pustaka jakiegoś.

– Pień powiedział ci dużo rzeczy – mruknęła cicho Lusia, jakby niezadowolona, że wspominam o jakiejkolwiek innej osobie. – Tak, to prawda. W leśnego dziada, jeśli przedawkujesz nasiona, ale to się rzadko zdarza. Organizm sobie dobrze radzi z czymś takim, chyba że chorujesz przewlekle albo masz pasożyta, na przykład Wierzba. No, a w Pustaka to od wielu rzeczy, bo to ogólny termin na to, co już zatraciło poczucie samego siebie.

– Myślisz, że od tego zastrzyku…

– Nie, ale unikaj postów i nawadniaj się oraz nie bierz następnych dawek. Z jednym Wierzbem da się żyć, są pewne zalety.

– Jak na przykład nie wykrwawienie się w podziemiach radzieckiego laboratorium?

Łucja zaśmiała się i bez słowa pokręciła głową. Przez moment rozglądała się po drzewach, które zrzuciły liście i zmieniły się jedynie w pomniki kurzu, sterczące z martwej ziemi. Wszystko przypominało jedną, wielką nekropolię. Jeśli szarość zabijała Las jako taki, to właśnie szliśmy przez jego martwe tkanki.

Zacisnąłem mocniej nogi i poprawiłem się na siodle, uwitym niczym gniazdo mięsistych, miękkich liści. Nigdy nie jechałem konno, więc zastanawiałem się, czy to mój naturalny talent, czy po prostu sztuczny twór, jedynie przypominający konia, robił wszystko co w jego mocy, by mnie nie zrzucić.

– Jeździłaś kiedyś konno? – spytałem.

– Jak wszyscy. Przecież nadal się używa do roboty, przy wozach, czasem w polu. No chyba, że pytasz o jakąś dziką woltyżerkę i inne fantazje ułańskie. Powiem więcej, jest mi nawet nieswojo, że tak sobie spokojnie jedziemy, ale domyślam się, że okolica ma większe zmartwienia na głowie. Tak myślę, czy cały ten pył dotknął najpierw największe czy najmniejsze stworzenia w Lesie.

– Gdy byłaś dzieckiem, to też jeździłaś konno?

– Drozd… Tak jak wszyscy, tak. Natomiast nigdy w takich warunkach, a na pewno nie na koniu, który od lat powinien użyźniać ziemię. Zresztą, nawet nie nazwałabym tego koniem, prawdę mówiąc.

– Nie chcę rozmawiać już o Lesie. Zawsze mówimy o Lesie, czemu nie możemy porozmawiać o sobie?

Łucja zamilkła na moment, zakręciła dłonią, jakby nie mogąc znaleźć właściwego słowa, aż w końcu wypuściła powietrze nosem i zjechała bliżej drugiego konia, zdejmując z siebie plecak.

– Zmieniaj filtr na kasztany, niedługo wioska. Łatwo to idzie, gdy nikt nie próbuje cię zabić albo złapać.

Uśmiechnąłem się cierpko i z pewnym trudem wyłuskałem z plecaka woreczek, by wyjąć nieco żółtej, grudkowatej masy. Papka z wnętrza kasztanów była zdecydowanie okropna, a oddychanie przez taki filtr nosem, przypominało zaciąganie się przy katarze. Niestety samo przejście miało być jak zwykle gorsze.

– Ani kwiatka, ani kromki, ani gałązki – zaśmiałem się, przywiązując sobie czerwoną nitkę do jedynego rogu.

– Masz dobrą pamięć – stwierdziła Łucja, robiąc to samo, po czym zeskoczyła ze swojego konia i siadła na środku ścieżki.

Zieleń tamtego piętra i popielata, brudna szarość, tworzyły razem coś na kształt narośli, porastającej przewrócony nagrobek. Można było odnieść

wrażenie, że wszystko przypominało serię bardzo cienkich kurtyn, utkanych z pojedynczych, spleśniałych pajęczyn, które razem tworzyły ten przedziwny filtr. Drzewa wzrastały pod same niebiosa, przepuszczając bardzo niewiele promieni słonecznych, a w kilku miejscach wciąż dało się dostrzec pojedyncze, najsilniejsze albo obdarzone największym szczęściem źdźbła trawy.

Siadłem przed Łucją i chwyciłem ją za ręce, patrząc, jak konie Dziury odchodzą powoli, niespiesznie, jakby nie bardzo wiedząc, co mają zrobić.

– To teraz najgorsze – powiedziałem, biorąc ciężki oddech.

– Jeśli będziesz tak o tym myślał, to potrwa to dłużej. Uspokój się, oddychaj, niech pożytki przejdą przez twój organizm i...

– Nie, chodziło mi o spędzanie czasu z tobą.

Łucja ścisnęła dłonie odruchowo, obejmując swoimi palcami moje i szukając miejsc, w których dotyk zaboli najbardziej.

– Nie narzekaj – żachnęła się, strzepując kurz z rękawiczek.

– Po prostu ten pył szkodzi ci na osobowość, jesteś taka wyszarzona od środka. Nie chcesz o niczym rozmawiać, chyba że dotyczy to bezpośrednio dostawania się z punktu jednego do drugiego. Mamy kreślić kręgi z soli i odpędzać jakieś diabelstwa z dna snów? Nie ma problemu, Łucja w gotowości. Ktoś zagaduje o banalną rzecz? Cholera, nie ma mowy, trzeba się mądrze patrzeć w pustkę i nie odzywać.

– Bo się martwię, durniu – warknęła ostro.

– A kto się nie martwi? Myślisz, że ja się nie martwię?! Ja po prostu nie potrafię inaczej tego znosić, niż rozmawiając. Potrzeba czasem żartu, tak? Trochę autorefleksji, nawet żartobliwej obelgi we własnym kierunku. Czasami czuję się śmiesznie, wiesz? W tym wszystkim, w Lesie z jego dobrymi, złymi i bardzo złymi stronami. Jednak jeśli nie będę rozmawiał o tym i żartował, to mnie to pochłonie. Mam dość myślenia w Lesie o Lesie,

żeby potem myśleć o Lesie poza Lasem. Las to, Las tamto, mam wrażenie, że dla ciebie istnieje tylko Las i…

– I co? – spojrzała na mnie smutnym wzrokiem zza brudnych wizjerów.

– I właśnie doszło do mnie, że chcę zobaczyć twoje dłonie.

Zapadła cisza, która tylko bardziej utwierdzała mnie w moich zmartwieniach. Przyszło mi do głowy coś tak durnego, że aż bałem się, że mogłem mieć rację. Zdjąłem na krótki moment jedną rękawiczkę i spojrzałem pod światło na dłoń. Skóra odłaziła ołowianymi płatami, obnażając krwiste plamy. Paznokcie wrastały coraz mocniej w paliczki i przyjmowały ten sam, siwy, jednolity kolor. Nawet włosy zgrubiały jakby, przywarły do skóry i zmieniły się w długie, czarne pręgi.

– Masz czyste dłonie, prawda? – zapytałem przez zaschnięte od kurzu i oczekiwania gardło. – Pokaż mi je albo się przyznaj, ale na pewno nie wypieraj, nie przeciągaj i nie udawaj, że nie wiesz, czemu pytam.

Łucja bez słowa zdjęła brązową, skórzaną rękawicę i pokazała swoje długie, spracowane palce, które pokrywał delikatny, siwy nalot. Od razu po tym założyła rękawicę z powrotem i chwyciła mnie, byśmy tym razem nie rozdzielili się między piętrami.

– Czemu na ciebie to nie działa? – spytałem.

– Działa, po prostu widocznie na ciebie bardziej, bo byłeś na innych piętrach, gdzie akurat był większy opad…

– Nie okłamuj mnie. – Przez moment zastanawiałem się, czy naprawdę mogę powiedzieć o kimkolwiek z Chołów, że go znam. – Możesz mnie zwodzić albo możesz mi powiedzieć prawdę, jaka by ona nie była.

– Jeśli powiem ci prawdę, to wystawię wszystkich moich bliskich na ogromne niebezpieczeństwo. Wiem, że nikomu nie powiesz, a przynajmniej tak ci się wydaje. Natomiast są rzeczy w Lesie, które będą wiedziały, że ty

wiesz… A potem inne rzeczy bardzo będą chciały to z ciebie wyciągnąć. To nie jest ogromny sekret, to nie jest wielki sekret, to nie jest coś, co powinno interesować cię ze względu na jakieś… jakieś twoje badania Drozd. To jest po prostu sekret, który pomaga robić dobre rzeczy, w ukryciu przed złymi osobami.

– Wtedy w tartaku… Przecież ten bydlak nie miał sobie równych. Mógł nas wyfiletować, jak chciał. Najpierw tego wielkoluda od Dziury, potem Władyżera i cholera… Lusia, ty mi czegoś nie mówisz, co mogłoby mi bardzo pomóc.

– Nie, właśnie nie ty… – zahuczała zezłoszczona i rozejrzała się po martwym Lesie, w którym była jedyną, jaśniejszą plamą. – Robię to całe życie, jestem dobra w tym co robię, a Gawron był już zmęczony, ranny…

– Nie – odpowiedziałem, uśmiechając się smutno i patrząc gdzieś w grudkę brudu między nami. – Nie wierzę ci i tyle. Nie zmuszę cię do powiedzenia mi prawdy, ale wiem, że tak długo, jak mi nie powiesz, tak długo nie będziemy mogli być ze sobą w pełni szczerzy.

– No to nie bądźmy. Lubię cię, jak na przybłędę, ale… ale tylko tyle, Drozd. Jesteśmy dość różni, by się ze sobą nie nudzić i nie dość podobni, by nas to obchodziło.

– Mnie obchodzi.

– Mam wrażenie, że zboczyliśmy z tematu. Powinniśmy nasłuchiwać drapieżników, bo inaczej możemy coś zwabić. Po prostu nie wpadnij na coś głupiego, jak nagłe puszczenie mnie albo krzyczenie, dobrze?

– Teraz – odpowiedziałem szeptem.

– Co takiego?

– Teraz dopiero zboczyliśmy z tematu.

Siedzieliśmy tak jeszcze około godziny, trzęsąc się, marznąc i oddychając z coraz większym trudem, w miarę jak kasztanowa masa zalepiała

otwory w porożach. Świat delikatnie zaczął się huśtać, rozmywać i pokrywać mikroskopijnymi pęknięciami. To było jak usilne próby zaśnięcia, kiedy człowiek wypił mocną kawę i nie miał wcale ochoty na sen albo wręcz przeciwnie, ściskał oczy coraz mocniej, ale tym samym oddalał się od relaksującego, przedsennego stanu.

– Kasztany ściągają nas w dół, to miejsce jest bardzo specyficzne, bo nie próbujemy przeskoczyć na konkretne piętro, próbujemy dryfować, aż nas złapią Cisi. Nie budujesz wioski w Lesie, jeśli nie masz jakiegoś naturalnego sposobu na nieproszonych gości albo innych zabezpieczeń.

– Psa na łańcuchu – zaśmiałem się cierpko.

– Nie kracz, Drozd, czasami najciemniej jest pod latarnią. Są miejsca, które zapewniają bezpieczeństwo kosztem wolności i wtedy to nie pies jest na łańcuchu. Obawiam się, że ten szary pył może zmieniać sposób w jaki twój organizm metabolizuje substancje, jakimi staramy się nadać odpowiedni zwrot przejściu między piętrami.

– To przypomnij mi, jaką ty szkołę skończyłaś?

Łucja warknęła coś nieartykułowanego pod nosem, zatrzęsła porożem i poprawiła ponownie chwyt na moich nadgarstkach.

– Uwolnij jedną rękę i łyknij nieco tych kasztanów.

– A to jadalne?

– Nie, dlatego masz zjeść bardzo mało.

– A jakie mogą być tego skutki? Padaczka? Ślepota? Obrzęk jelita cienkiego?

– Sraczka, jasny gwint, Drozd, nie wiem, nie ma znaczenia, obojętnie.

– Obojętnie dla ciebie – uniosłem się, prychając w filtr. – Czemu ty niby nie zjesz kasztanów, co? Smacznego ci życzę, ja podziękuję.

– Bo jak sam zauważyłeś, ja jestem mniej zatruta i to raczej twoje ciało potrzebuje większej dawki pożytków.

– Nie masz na to jakiejś pieśni?

– Drozd – warknęła krótko Łucja.

Puściłem jedną rękę, wygrzebałem odrobinę żółtawej masy z zapasów i ze sporym obrzydzeniem wrzuciłem wnętrze kasztana do swoich ust, zamykając zaraz po tym przesłonę. Smak był obrzydliwy, język drętwiał, a gardło interpretowało to, jakby coś gorzkiego tarło nieustannie o wewnętrzne ścianki.

– Nigdy więcej – mruknąłem.

– Nie kracz. Nie wiem, czy wiesz, ale wioska zmienia swoje położenie w czasie. To część sztuki przetrwania Cichych. Migrują między różnymi gniazdami, ale zabierają ze sobą miejsce, rozumiesz?

– Jak zwykle, oczywiście, że nie.

– Uproszczę: to, że zejdziemy teraz w dół, nie znaczy, że będziemy na niższym piętrze. Można powiedzieć, że to piętro orbituje w przestrzeni Lasu. Cisi mają swoje dziwactwa, jak sam zauważyłeś. Wieczne milczenie, korzystanie z tego, co się samemu zrobi, przewrażliwienie na punkcie dawania rzeczy innym.

– Nigdy tego w pełni nie rozumiałem. Myślałem, że to coś co robi się w całym Lesie.

– To kwestia kultury, po prostu nie bierz od nich nic, chyba, że w drodze transakcji. No nic, uzbrój się w cierpliwość. Jak znam życie, to czeka nas dwa razy tyle drogi, gdy okaże się, że nasza wieszczka wie, gdzie jest lekarstwo. Tylko najpewniej czekać nas będzie koszmarnie długa przeprawa, ale hej, ty chyba lubisz takie rzeczy, nie? Nie potrafiłbyś tak osiąść na miejscu. Patrz na pozytywy.

Coś chwyciło mnie z mocą za ramiona. Wysokie figury utkane z ciemności zasłoniły całe światło i otoczyły nas nagle, krępując ręce. Serce

podskoczyło mi do gardła, chciałem krzyknąć, ale wiedziałem, że jest ogromna różnica, między szeptaniem a wyciem w Lesie.

Cisi puścili nas i odeszli. Chwilę mi zajęło zrozumienie tego, że nieoczekiwanie przeskoczyliśmy między piętrami i zostaliśmy przez nich złapani. Jedynie sama Lusia wydawała się niezrażona, zupełnie tak, jakby nic nie mogło ją zdziwić.

Mnie dziwiło wiele rzeczy, ale najbardziej to, że byliśmy w czymś, co wyglądało jak wyblakły rysunek wioski. Dostrzegałem zamazane kontury muru, chat z martwodrzewu oraz ukrytych przejść do podziemi. Mimo to, wszystko wydawało się utkane z mgły i waty, przypominającej gęste chmury, w których unosił się kurz i popiół.

– Jest źle – pokazała językiem migowym Lusia.

– Ta… – mruknąłem i od razu zacisnąłem usta.

– Cisza – dodała Łucja.

– Wiem – mignąłem. – Zapomniałem.

Miałem wrażenie, jakbym siedział w kinie, w którym film już się skończył. Napisy minęły, ale świateł nie włączono i nie wiedziałem szczerze, co miałem robić. Siedziałem więc w półmroku, obserwując ekran, który podświetlał równie zdezorientowanych widzów. Ta pustka była tak definitywna i chłodna, że aż nie napawała lękiem, a wręcz przeciwnie. Było w tym wszystkim pewne ukojenie, poczucie, że to koniec.

– Idziemy – mignęła Łucja, chwytając mnie za ramię.

Tych kilku Cichych, którzy nas złapali, było jedynymi strażnikami, przesiadującymi pod zadaszeniami, chroniąc się od pyłu. Przez szarą mgiełkę nie mogłem nawet dostrzec z daleka, czy coś jest jedynie cieniem rzuconym na ścianę, czy człowiekiem.

Zeszliśmy po betonowych schodach do wnętrza jednego z tuneli, który pokrywały ciasno linie dialogowe wiecznie milczących ludzi.

Spoczywaj w pokoju Adam, przeczytałem w myślach jeden z napisów, nie mieszaj pyłu z mąką. Kiedyś oszaleję od żarówek. Bałem się cieni pod murami, dziś oddałabym wszystko, by jeszcze raz je zobaczyć. Jeśli kiedyś skończy się świat, to nawet nie będziemy o tym wiedzieć, zamknięci na tej komecie, mknącej przez chłodny wszechświat. Jebać tego, kto zrobił butelki takimi śliskimi. Gdybym mógł jeszcze raz powiedzieć coś mojej siostrze, to postarałbym się znaleźć takie słowa, które byłyby jednocześnie przeprosinami, wyrazem tęsknoty i próbą pocieszenia, w tych napawających grozą dniach. Boże chroń naszego ojca świętego i święty Kościół powszechny z jego wspaniałym prymasem na czele. Nie mogę ci powiedzieć, ale są trzy i trzecia jest najgorsza, nie daj się nabrać. Samobójstwo to jedyna skuteczna ucieczka, ale kto powiedział, że po drugiej stronie jest lepiej? Dziś ugryzłam się w rękę, by poczuć smak krwi, cokolwiek, byleby nie ten przeklęty popiół. Nie musisz ratować wszystkich, ratuj tych, którzy są dla ciebie wszystkim.

Łucja szarpnęła mnie za ramię, bo zagapiłem się zbyt długo na napisy, pokrywające każdy fragment tuneli. Widać było, że zamknięci tu ludzie pisali w ostatnich dniach wyjątkowo intensywnie, używając wszystkiego co mieli pod ręką i pisząc cokolwiek im przyszło do głowy. Nie mogłem powiedzieć, z jakiego okresu pochodziły konkretne zapisy, ale domyślałem się, że w im mniej widocznym miejscu były, tym później je spisano z racji braku powierzchni do zapełnienia. Tym bardziej wydawało mi się to prawdopodobnie, im dłużej patrzyłem na sufit, pokryty samymi lamentami i schizofrenicznymi dialogami, w których brakowało jakiejkolwiek składni i sensu.

Same tunele dusiły się w zapachu niemytych ciał, wytapianych świec i kopcących kaganków. Nie wiedziałem, czy jeszcze nie chcieli, czy już nie mogli odpalić Diesla, by zasilić korytarze elektrycznym światłem. Wszyscy

gnieździli się pod ścianami, oddychając przez maski i ściskając swoich bliskich. Zastanawiałem się, jak musiały wyglądać Choły oraz czy Rzęsa wrócił do swojej rodziny nim było za późno. No i czy Juki teraz sam gdzieś ogrzewał się pod jakimś drzewem, czy skończył w paszczy leśnego licha.

Zbliżyliśmy się do głównej komory, gdzie urzędowała, a przynajmniej powinna była urzędować Maria Gopulska. Zapewne nie tylko ja, ale i Lusia dopuszczała możliwość, że mogło być zwyczajnie za późno. Przyszliśmy właściwie po poradę, a przecież wędrowaliśmy już tak długo, zwodzeni i mamieni przez niejednego z mieszkańców Lasu. Mimo to nie czułem, żebyśmy byli chociażby o krok bliżej prawdy. Zamiast tego miałem wrażenie, że do tej pory jedynie walczyliśmy o przetrwanie, o wyrwanie światu kilku metrów dystansu na ścieżce, a w tle tyle innych, niecierpiących zwłoki spraw leżało odłogiem.

W końcu straż Cichych wpuściła nas do środka okadzonej sali, gdzie na stercie poduch siedziała Gopulska, opierając się o niski, okrągły stół na trzech nogach. Tutaj światło dawały dziesiątki małych świeczek, ukrytych za kolorowymi szkiełkami, ułożonymi ze sobą w formacje, których przeznaczenia nie mogłem odgadnąć.

Najdziwniejsze było to, że obok Gopulskiej siedziała jakaś postać, która wymykała się całkowicie mojemu zrozumieniu. Przypominała mumię, rachityczną, prastarą kobiecinę, której jedynie kilka niezmiernie długich i zniszczonych włosów wyrastało dookoła głowy, tworząc coś na wzór mnisiego gniazda. Połowę twarzy miała pokrytą czarnymi plamami, które właściwie zdawały się stanowić jej naturalny pigment. Oko po spalonej stronie miała całkowicie ślepe, objęte bielmem. Mimo tej łysiny i matuzalemowego wieku, jej nagie ciało pokrywały czarne, skołtunione włosy, przypominające sierść nietoperza. Osoba ta, czy może jednak stworzenie, było kompletnie

nieruchome jak głaz. Siedziała jedynie na poduchach, obejmując jedną z nich i cicho mrucząc.

Przez moment staliśmy tak, wgapiając się w Gopulską, która wyglądała, jakby upiła się i zasnęła, opierając twarz o mebel. Po krótkiej chwili zatrzęsła się, jakby nie tyle wybudziła się z drzemki, co w ogóle wróciła do życia. Spojrzała na nas spod chusty, w jej oczach błyskała bystrość, której nie mógł zamaskować zaawansowany wiek.

– Poroża – mignąłem.

– Zdejmuj, napalone – odpowiedziała na głos kobieta.

Istota obok Gopulskiej lekko drgnęła, ale zaraz wróciła do bezruchu.

Zerwaliśmy z siebie maski i z goryczą dostrzegłem, jak spod mojej osypują się kępy włosów oraz pyłu. Skóra piekła mnie koszmarnie i miałem wrażenie, że bez maski oddycha mi się tak samo źle jak i z nią. Z tym popiołem, przylegającym do każdego kawałka mojego ciała i wrzynającym się pod skórę, aż do każdej komórki, czułem się nie mniej obciążony wiekiem od obecnych staruszek.

– Co teraz? – spytałem.

Gopulska podniosła twarz i dostrzegłem, że jest ona zaledwie pyłową figurą, która nie wiadomo jakimi mocami trzyma się w jednym kawałku. Wyglądała jak posąg człowieka, wykuty w cementowym bloku. Nawet jej białka oczu zdawała się pokrywać chropowata warstwa ołowianych drobin.

– Czekaliśmy na was – powiedziała ze smutnym wyrzutem, na jaki stać było tylko samotną starowinkę. – Tak długo czekaliśmy, bo… nie możemy się stąd wydostać. Wiem, po co tu przychodzicie, po lekarstwo na to przekleństwo albo po sposób na jego powstrzymanie, ale trafiliście w najgorsze możliwe miejsce. Nas to dotknęło niemalże na początku, nikt tu nie jest wolny od szarości. Wszyscy jesteśmy powidokiem z cienia dawnych siebie. Przejadamy zapasy, trwamy w bezruchu, nasłuchujemy własnych

serc, wydłużamy agonię. Ta siwizna jest zdradliwa jak ukąszenie jadowitego węża. Spodziewaliśmy się wielu rzeczy, naprawdę wielu, ale może sami już zauważyliście po kimś, kogo znacie, a jeśli nie wiecie, to ja wam powiem.

Maria z ogromnym trudem wzięła oddech, a dźwięk ten przypominał świst wiatru za kratą wentylacyjną. Jej oczy nawet nie drgnęły, a powieki zdawały się przyspawane do wnętrza łuku brwiowego.

– Utknęliśmy na tym piętrze. I jeśli jeszcze to do was nie dotarło, to też utkniecie

tu razem z nami.

– Dlatego tak długo dryfowaliśmy – szepnęła Łucja.

– Wiedziałaś o tym?

– Tylko się domyślałam.

Zacisnąłem zęby, czując, jak pył zgrzyta mi między trzonowcami. Miałem nieustanne wrażenie, że Łucja nie jest w stanie mi powiedzieć całej prawdy, ale przy tym też nawet nie chce się dzielić żadną inną myślą. Myślałem, że jestem wiecznie wleczony za kimś, jak bagaż albo plączący się pod nogami kot.

– Już nawet nie możemy wysłać nikogo po jedzenie, ani po pomoc, zresztą… Nikt tak po prawdzie nie wrócił, pal to licho – mruknęła Gopulska.

Na wpół spalona kobieta obok Gopulskiej zachwiała się, wydała z siebie dźwięk, jaki dają wyłamywane palce, po czym mruknęła cicho i wróciła do letargu. Nieustannie buczała jak prąd w gniazdku, ledwie słyszalnie, niepokojąco, przypominając o sobie.

– Gdzie ich wysłaliście? – spytałem. – Wiadomo, skąd się to bierze? Jest ktoś, kto spotkał się z czymś takim?

– Gdybyśmy się z czymś takim już spotkali... – zaczęła Gopulska.

– To by nas tu nie było – dokończyła Łucja.

Starowina pokiwała głową, jej twarz nadal była ołowianą maską, która ani na jotę nie zmieniała swojego wyrazu.

– Wysłałam siedmiu doświadczonych łowców na najwyższe piętro Lasu. Starczy powiedzieć, że byli wśród nich najwybitniejsi z tych, dzięki którym nasza leśna norka przetrwała tak długo. Teraz nie mamy nikogo. Straciliśmy nawet Kostropitę, a to znaczy, że cokolwiek tam jest, nie da się z tym walczyć, ani od tego uciec. Zresztą, może to nas zgubiło? Liczenie, planowanie, ratowanie tego skrawka dryfującego świata. A są rzeczy, których nawet nie możemy dojrzeć, a rządzą każdym fragmentem naszego życia.

Łucja wyglądała na nieprzekonaną, co było dosyć dziwne zważywszy na fakt, że przywódczyni lokalnej społeczności nie opłacało się kłamać. Na naszych oczach wegetowała, zamieniona w cementowy posążek, który ledwie się ruszał. Mimo wszystko rozumiałem, że jakieś stare animozje dzieliły Bieniaszów i Gopulskich. Widocznie wiejskie przepychanki były tak niezłomne, że dobiegały nawet do matecznika Lasu.

– Więc mamy dwie możliwości – odpowiedziałem – albo udajemy się na sama górę albo na sam dół Lasu.

– Nie – odpowiedziały zgodnie Łucja i Gopulska.

– Rozumiem, że to było odnośnie drogi na dół.

– Na dole Lasu… nie ma nic co nam pomoże – odpowiedziała wymijająco Łucja, na co o dziwo zantagonizowana z nią wieszczka odpowiedziała kiwnięciem głową.

– Więc pójdę na górę, już raz tam byłem. Skoro opad nadciąga z górnych pięter, to tam jest jego źródło, ma się rozumieć. Może to Serce potrzebuje naszej pomocy?

– Drozd, nie… Cholera, gadasz trzy po trzy – warknęła Łucja. – Żadne cholerne Serce nie potrzebuje twojej pomocy. Nikt nie potrzebuje twojej pomocy, to może być wszystko albo nic, nie mamy pojęcia z czym przyjdzie nam się mierzyć. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda, bo tak na pewno będzie.

– Mam wrażenie, że ostatnim razem to ja musiałem cię ratować.

– Wszystko co robię, robię by nie stała się wam krzywda – wyartykułowała powoli. – Więc ja w przeciwieństwie do ciebie nie rzucam się w wir wydarzeń. Myślisz, że mnie… Myślisz, że mnie nie bolało? Tam, w tartaku, gdy Gawron wziął i… I on Kozła… Cholera jasna, Drozd, myślisz, że ja nie cierpiałam? Myślisz, że nie płonęły mi trzewia i nie chciałam mu odrąbać tego pustego łba? Ale wiedziałam, że może to samo spotkać ciebie i resztę. Dlatego ja nie wybieram rozwiązań siłowych, gdy nie jestem przyparta do muru. Negocjuję, gdy ktoś grozi moim bliskim, a nie snuję plany i zasadzki. Ciebie to mam wrażenie bawi albo co gorsza czujesz się bohaterem. Wiesz, kiedy byłbyś bohaterem? Gdybyś spędził tyle lat co ja, na próbach zrozumienia tego miejsca tak, by zwykli ludzie mogli żyć w spokoju. Zrozumienie Lasu, a nie opisywanie go w swoim śmiesznym podręczniku. Nawiązanie nici porozumienia, zdobycie doświadczeń, poczucie na własnej skórze, co to znaczy obcować z Lasem. To nie jest to samo co wpaść na to, że jest w Lesie jakaś góra i dół, bo nie ma. Teraz jest, jutro nie ma. Dla jednych jest, dla innych nie ma. Czasami idziesz po skosie, a czasami wcale. Czasami coś chce cię pożreć, bo jest przyjaźnie nastawione, a czasami ktoś oferuje ci pomoc, bo cię szczerze nienawidzi. Las jest żywym organizmem, którego nikt w pełni nie rozumie i to nie jest jakaś tam wielka machineria, którą ty możesz sobie policzyć, zważyć i zmierzyć. Dla mnie to zawsze będzie życie, dla ciebie to jest albo zabawa albo przetrwanie, ale nigdy nic pomiędzy.

– Nie jestem takim człowiekiem za jakiego mnie masz – powiedziałem po chwili wahania. – I jeśli decyduję, że chcę tam iść, to nie dlatego, że planuję policzyć, ile komór z łyka ma wielkie Serce, ale dlatego, że zależy mi na tych wszystkich ludziach w Chołach. Część z nich zdążyłem poznać, nie, nie musisz mówić, wiem, że tylko powierzchownie. Wiem, że znasz ich od urodzenia, ale nie możesz wiecznie wpychać mnie w swoją bajkę, gdzie ja jestem tym mądralą z zadartym nosem, który nic nie rozumie. A jeśli uważasz inaczej, to ja cię nie będę przekonywał.

Spopielona staruszka drgnęła lekko, od początku naszego przybycia wpatrywała się w ścianę i nie odezwała ani razu. Na jej nieodgadnionej twarzy błądził nieobecny uśmiech.

– Wiesz, że twój organizm może nie wytrzymać takiej dawki?

– Już raz wytrzymał – powiedziałem buńczucznie, po czym zdałem sobie sprawę, że właśnie dlatego mógł nie wytrzymać drugi raz. – Nie jestem stary, nie chleję na umór, to powinno wystarczyć, prawda?

Łucja pokręciła głową z niedowierzaniem, po czym usadowiła się wygodniej na poduszkach, biorąc kilka głębokich oddechów.

– Jeśli przeżyjemy taką podróż, to powinniśmy wrócić w to samo miejsce, ale nim się wybudzimy może minąć tydzień. Podejmujemy się, bo mamy nadzieję, że się nami zajmiesz wraz z resztą Cichych.

– Ufamy wam – powiedziałem, ale Łucja przyszpiliła mnie chłodnym spojrzeniem. Widocznie ona nie podzielała mojego zdania. – Jak się uda, to może wrócimy z zaginionymi ludźmi z poprzedniej wyprawy.

– Nie musicie tego robić – powiedziała nagle Maria. – Spokojna śmierć to przywilej, nie rezygnujcie z niego tak łatwo. Nie wiecie, co was tam czeka.

– Tylko mnie zachęcasz. – Uśmiechnąłem się i wlepiłem wzrok w sufit, pod którym unosiły się kłęby błękitnego dymu.

– Wiesz, że najlepiej będzie przyjąć mniejszą dawkę, ale zastrzykiem?

– Naprawdę? – spytałem z lękiem i zdecydowanie opadł mi zapał. – Jakoś ostatnim razem nie potrzebowałem tego.

– I musiałam cię niańczyć przez blisko tydzień, a twój organizm walczył o każdą kroplę wody, więc nie jojcz.

– Nie jojczę – żachnąłem się i wystawiłem rękę, odwijając rękaw. – Tylko niech pani będzie delikatna, dobrze?

– Nie – odpowiedziała suchym głosem Gopulska, szukając niezbędnych narzędzi.

– Powinienem powiedzieć coś błyskotliwego, nim przeskoczymy?

– Nie. – Łucja podała mi czerwoną windę.

– Chciałbym żeby moje ostatnie słowa brzmiały tak, by dało się je cytować bez wstydu, może coś na zasadzie… Ała, kurwa – jęknąłem, czując jak igła wbija mi się w żyłę. Świat zapadł się w sobie, mrok zagarnął wszystkie kolory i zostawił głuchą nicość.

* * *

Wejście na tak wysoki poziom, a właściwie pod sufit, przypomina reinkarnację. Tak przynajmniej ja sobie to wyobrażałem, gdyż podróż do Serca była jak poddanie się eutanazji, a następnie odrodzenie się w świecie, który ledwie łapał się granic praw, jakie rządziły naszym istnieniem.

Piętra zaczęły nasuwać się na siebie i znikać pod sobą tak szybko, że nie mogłem nawet zrozumieć, czy patrzę się na coś konkretnego, czy jedynie interpretuję majaki oraz barwne plamy. Czas przestał mieć jakiekolwiek znaczenie, a błędnik próbował odgadnąć, gdzie się znajduje i dokąd zmierza. Z niewyobrażalnym trudem powstrzymywałem wymioty, na zmianę czując, że moja skóra zaciska się na mięśniach, czernieje i schnie, zmie-

niając mnie jedynie w pozbawioną wody skorupę dawnego człowieka. Paznokcie cięły skórę do krwi, jakby przyrastając o kolejne centymetry w czasie rzeczywistym. Włosy łaskotały coraz wyraźniej w kark, doprowadzając mnie do nieadekwatnego rozbawienia.

Aż w końcu zrozumiałem, że jestem gdzieś, choć nadal nie miałem pewności gdzie. Słabowitą ręką kurczowo trzymałem sznur, który łączył mnie z Łucją, byśmy na pewno nie rozdzielili się między piętrami. Miałem wrażenie, że już straciłem jakiekolwiek czucie. Czułem się jak w przypływie świadomości podczas paraliżu sennego, w którym można jedynie obserwować cienie, przelatujące nad głową i nachylające się z każdej strony.

Prawda była jednak taka, że cienie szybko wyostrzyły się w ołowiane kontury, trzymające w ryzach siwe kleksy. Świat był płaskorzeźbą, wyrytą na gigantycznej kości słoniowej, w jakiej przyszło nam żyć.

Konary drzewa zatarły o siebie, jakby ruszając się dzięki własnej woli. Betonowe listki nieustannie strząsały z siebie na poły przezroczysty pyłek, wyżymający rzeczywistość z kolorów i tekstur.

Doszły do mnie pierwsze uderzenia megalitycznego dzwonu, ukrytego w głębi drzewa, które podpierało sufit Lasu. Słońce błyskało gdzieś daleko, sącząc promienie pod opalizujące kształty tej wieczystej korony, pyszniącej się na skroniach dziwnego, wielopiętrowego kosmosu.

– Jerzy Drozd, Lesia, wy również się zgubiliście – wyszeptały liście, głosem, który zdawał się dobiegać z każdej strony i delikatnie muskać moje uszy.

– Lusia? – spytałem niepewnie, obracając głowę.

Z ogromnym trudem udało mi się spojrzeć w bok na Łucję, która jakiś czas temu musiała puścić windę, gdy już byliśmy na miejscu. Stała wyprostowana na grubej gałęzi, która była mostem, idącym w kierunku gniazda. Tam, na końcu pomostu spoczywało majestatyczne serce Lasu, przybysz,

kaleka z innego świata, który krył się za warstwami kory, liści, korzeni i niemożliwych do zaobserwowania mikroorganizmów, podtrzymujących życie tego dziwnego piętra.

Z czasem zaczęło do mnie dochodzić, że szczytowe piętro Lasu przypominało nieco Choły, w tym sensie, że trafiało się w wąskie gardło, jedną ścieżkę, jak szyjka lejka. Przynajmniej ciężko było się zgubić, będąc u samej góry.

– Wody – wyszeptałem cicho, czując, że zaraz znowu zemdleję.

– Janus – odpowiedziało Serce, choć raczej nie do mnie.

Poczułem, że coś jest mi przytykane do ust. Leciutko rozwarłem wargi, na tyle ile mogłem i poczułem, jak zimna, źródlana woda przechodzi mi przez przełyk. Dopiero po dłuższej chwili byłem w stanie wstać o własnych nogach i zorientować się w otoczeniu.

Przede mną stała wysoka, smukła postać, ubrana w długą szatę z białych liści, przypominających kształtem paprocie. Choć na pozór tak ludzka i prosto przyodziana, nie mogła w żaden sposób uchodzić za człowieka, z bardzo prostego powodu. Miała głowę jelenia o dwóch rogach, które wyrastały z czaszki i zrastały się razem w okrąg, nieco wyżej. Więc w zasadzie można powiedzieć, że to był jeden róg, ale to wtedy najmniej mnie obchodziło z wszystkich rzeczy.

Janus, jak nazwało to coś Serce, miał całkowicie puste, zwierzęce oczy, wyglądające jak okrągłe bryłki węgla. Najdziwniejsze było to, że to nie mogła być po prostu realistyczna maska, gdyż skóra i mięśnie grały tak żywo, jak u prawdziwego, dorodnego byka.

– Dziękuję – odpowiedziałem, bo domyśliłem się, że to on mnie napoił. – Dobrze, że zdążyliśmy, wreszcie się coś udało.

– Jurek… To chyba nie ma sensu – powiedziała cicho Łucja, przecierając bladą twarz.

Podrapałem się zdziwiony po brodzie i rozejrzałem po tym najbardziej niezwykłym ze wszystkich pięter. Wżerający się w skórę, siejący rozkład i śmierć popiół, sypał się bezpośrednio z korony drzewa, w którym rosło Serce.

– Chcemy wiedzieć… Dlaczego z nieba leci ten popiół?

Serce zaszumiało wieloma głosami naraz, choć równie dobrze mógł być to przypadkowy powiew wiatru wśród gałęzi. Przez moment przybysz milczał, ale po chwili podjął temat, jakby wpierw potrzebując namysłu.

– Czas w tym miejscu płynie inaczej, mówię tu o całym waszym wszechświecie. Tam skąd pochodzę liczy się to w inny sposób, więc ciężko mi ocenić, ile musiałam czekać.

– Czekać na co?

– Aż mnie uratują. – Przybysz zamilkł na chwilę, wydawał, czy wydawała się na najkrótszy moment szczęśliwa, mówiła z nutą nostalgii i wzruszenia, choć jej głos nadal pobrzmiewał jak chór świstów. – Nie mogą do mnie dotrzeć, bo wszystko co przyślą, staje się inne, nie mogą też mnie wyciągnąć, z tego samego powodu. Więc zaczęli zasypywać wasz świat, przeobrażać go coraz bliżej kształtu, gdzie będzie więcej naszych praw, naszego sposobu istnienia, a mniej waszego. Dzięki temu może uda im się wysłać mi prawdziwą pomoc albo przynajmniej narzędzie, bym wreszcie uwolniła się od tego karykaturalnego życia.

– Ten pył nas zabija – powiedziała po prostu Lusia. – Sypie się na wszystkie piętra, dociera do Chołów i nie wiadomo jak daleko jeszcze będzie nawiewał.

– Ciebie mi jest szkoda, Lesiu, ale powinnaś to sobie kalkulować sama. Musi spadać na wszystkie piętra, by scalić je w jedno, nasze.

– Nic takiego się nie dzieje, po prostu ludzie chorują, nie mogę przechodzić między piętrami, a z czasem po prostu się duszą, rozpadają na kawałki.

– Słowa, słowa, słowa. – Serce przez chwilę szumiało cicho, jakby delektując się każdą lecącą drobiną kurzu, na którą padały promienie światła. – Ja to wszystko widzę inaczej, klarownie. Dla mnie świat odzyskuje barwy, smak, dźwięki, czuję niemalże dawne echa mojego domu.

– Twój dom to pogorzelisko.

– Tylko dla was, bo jesteście ślepi na to, co my byśmy nazwali kolorami i głusi na to, co byśmy nazwali muzyką. Nie czujecie tych zapachów co my, nie znacie tego języka co my. W moich oczach świat kwitnie każdego dnia.

– W naszych umiera.

– Mamy prawo do różnicy zdań.

– Umieramy.

– Tak jak wcześniej.

– Nie, bo tym razem ostatecznie. Nie ma na to pieśni, nie ma na to lekarstwa, nie ma na to żadnego sposobu. Ludzie tracą rodziny, bliskich, a co będzie dalej? Chcesz zmienić kawałek naszego świata w ślepą plamkę czy może zmienić cały wszechświat w siwy kleks?

– Szczerze mi przykro, ale to jedyne wyjście. Mam prawo się stąd wydostać, mam prawo poznać to miejsce. Jestem w końcu badaczem, podróżnikiem, poznaję świat. Nie mogę poznać waszego świata, jeśli nie będę mogła w nim żyć. Jeśli będę ślepa i głucha, to nie zbliżę się do niczego w żaden sposób. Ten prymitywny język, którym do was mówię, jest jak muskanie tafli jeziora, by sprawdzić smak roślin, wegetujących na jego dnie. Ty mnie rozumiesz, Jerzy, prawda? Już mnie raz rozumiałeś, więc możesz znowu. My, istoty nauki, jesteśmy podobne. Ciekawość każe nam wędro-

wać przez nieczuły ocean kosmosu, nawigując między kropkami światła i ciepła.

– Nie możesz nas badać, nie możecie.

– Dlaczego? – odpowiedziało Serce, choć jej głos nie miał w sobie ani nuty zdziwienia. – Przecież badaliśmy już tyle światów, wasz jest jedynie inny, ale przez to znacznie cenniejszy.

– Bo… – zamyśliłem się na chwilę, zmrużyłem oczy i spojrzałem ponad ramieniem Janusa, na bijące w głębi drzewa Serce. – Bo sam fakt, że nas obserwujecie, zmienia nas. Zabijacie nas tym, depczecie nasze delikatne, skomplikowane struktury. Zanim nas poznacie, zdążycie wszystko zniszczyć. Jaka będzie z tego nauka, jeśli zmienicie wszystko w kalkę waszego, szarego, chropowatego świata. Nic wtedy nie poznacie. Zabijecie rzadki okaz, by pozyskać jego skamielinę.

– Tyle lat się wami opiekowałam… wszyscy opiekowaliśmy. Ta jedna, drobna nitka porozumienia, którą wam ofiarowaliśmy, nie wystarczyła by was poznać. Cała wiedza, którą zebraliśmy, nie ma znaczenia, bo jej nie rozumiemy. Mamy tylko te słowa, proste piosenki, ubogą semantykę, którą nieskończenie powoli przepływają ułamki wiedzy. A ja jestem taka chętna tej wiedzy, tak jej potrzebuję, jestem…

– Głodna – dokończyłem.

– Tak! – Serce podniosło swój dobiegający zewsząd głos i drzewo delikatnie zatrzęsło się, wprawiając w ruch cały świat. – Jestem głodna was, poznania tego, jak smakuje wasz każdy najdrobniejszy ruch. Tylko poprzez kontakt z wami mogę was poznawać. A wy jesteście tacy… Cisi jak kamienie. Dokładnie tak, cisi, tak jak cisi byli ci, którzy przyszli tu przed wami, próbując mnie powstrzymać.

– Było ich siedmiu, mieli czaszki jeleni? – spytała Łucja.

– Tak, spokojnie, oni już śpią razem ze mną. Drzemią w mojej koronie, śniąc najpiękniejsze sny. Dla was są martwi, ale zapewniam was, że są szczęśliwi. Nie mogłam ich odesłać z powrotem, a oni nie mieli gdzie zostać. Nie umieli mówić, więc nawet ta jedna, najmniejsza nić komunikacji została zerwana. Zupełnie tak, jakby ktoś celowo im odebrał narzędzia, by mnie zrozumieć.

Drgnąłem lekko, miałem wrażenie, że zimny pot przebiegł mi po karku, choć wątpiłem, by mój organizm mógł pozbyć się choćby kropli. Ciche przeświadczenie tego, że coś mi umyka, nie dawało mi spokoju. Zawsze czułem, że pod powierzchnią wszystkich wydarzeń, jest przynajmniej jeszcze jedna warstwa powiązań.

– Czy to, co mówimy, nie ma dla ciebie znaczenia? – spytałem, odpowiedziało mi tylko echo, odbijające się wśród liści.

– Jeśli zniszczysz to wszystko tylko dlatego, że nie wiesz, gdzie znaleźć inne rozwiązanie, to nie będziesz badaczem, będziesz zwykłym najeźdźcą. – Lusia wyszła krok naprzód i rozłożyła ręce. – Nic nie zostawisz. Będziesz miała pustynię do rozumowania, a jaki z tego pożytek dla kogokolwiek?

– Drozd, wy ludzie, potraficie przedstawiać skomplikowane problemy w tak prosty sposób, że aż przyjemnie się tego słucha. Zresztą, szczerze mówiąc to Lesi z czasem też.

Zmrużyłem oczy, za pierwszym razem myślałem, że się przesłyszałem, ale teraz zwyczajnie dziwnie było uznać, że przybysz ma wadę wymowy.

– Lesi? – spytałem.

– U was nie ma takiego imienia chyba, ale uznałam, że będzie pasować. Wtedy jeszcze nie znałam was wcale, teraz… teraz znam was niemal

wcale. Wpierw był Lesio od Leszka, potem Lesia, ale chyba nie macie takiego imienia, a ja już się przyzwyczaiłam.

– Czegoś zdecydowanie nie rozumiem – powiedziałem poważnie, lustrując dokładnie Łucję, która stała w bezruchu, świecąc bladą, ledwie muśniętą pyłem skórą. – Jaki do cholery Leszek i jaka Lesia?

– A no tak, ty nie mogłaś mu powiedzieć – stwierdziło Serce i wstrząsnęło lekko liśćmi, jakby to człowiek uderzał się otwartą dłonią w czoło, na znak przypominania sobie.

– Jeśli był kiedyś dobry czas na wyjaśnienie, to jest on teraz.

– Nie mów mu, będą z tego same problemy – stwierdziła Łucja.

– Jesteśmy tu tylko we dwójkę, Drozd – szepnęło Serce. – Jesteś tylko ty, ja i moje licha, nieudolne komunikatory, formatujące odczyty z waszego świata na wartościowe dane dla mnie.

– Licha? – Spojrzałem na Łucję, krzywiąc się na zmianę z odrazą i takim poczuciem, jakby ktoś mnie oszukał, zresztą znowu. – Czemu więc…

– Drozd, nie – wtrąciła się Łucja.

– Czemu ona nie jest szara? – spytałem zdziwiony.

– Bo w miarę jak wy przybliżacie się do zrozumiałej dla mnie formy, ona odczytuje, na ile jesteśmy już blisko jakiegoś wspólnego języka. Po co mi tłumacz języka, który zapomina obcej dla mnie mowy, w miarę jak ci, którzy nią mówią, uczą się mojej?

– Nie rozumiem, dlaczego ona jest tłumaczem?

– Bo należy do mnie, tak jak przed nią Leszek. On niestety zaginął, to się zdarza, więc zrobiłam nowego ambasadora, nazwij to jak chcesz.

– Nic nie rozumiem – warknąłem, czując, że Serce naprawdę nie radzi sobie z mową albo ja jestem aż tak odwodniony. – Łucja urodziła się w Chołach, tak?

– Tak – odpowiedziała stanowczo Bieniaszówna.

– Ciebie nie pytam – odparłem. – Miałaś wiele szans, by to wyjaśnić. Musiałem trafić tutaj, aż tutaj! Więc teraz chcę poznać prawdę.

– Prawda – szepnęło Serce – jest zdradliwa dla tych, którzy żyli w kłamstwie. Wiesz, czemu ja ciebie lubię, Drozd? Już ci to mówiłam, tak jak się lubi kota albo sprytną wiewiórkę czy ptaka śpiewającego za oknem. Lubię cię, bo jesteś moim materiałem badawczym. Ci ludzie w Chołach również, ale nie tylko oni, są jeszcze inne miejsca, które badam. Wiesz, trzeba dużo siły, by móc prowadzić tak szeroko zakrojone obserwacje. Pozwól, że postaram się z całej mocy to uprościć. Ludzie nie widzą na pewnych częstotliwościach, prawda? Nie słyszą pewnych zbyt wysokich lub zbyt niskich dźwięków. Mimo to potrafią tworzyć przedmioty, które są w stanie je imitować lub odczytywać i przekazywać dane w formie, która jest dla nich zrozumiała. Więc tym dla mnie jest Lesia, czy jak mówisz Łucja, ale wiesz, to już imię, które nadali jej rodzice. Nigdy się nie zastanawiałam, czy wiedzą.

– Mój ojciec wiedział – stwierdziła Łucja, jej twarz była ściągnięta grymasem, jakby chciała się rozpłakać w upokorzeniu, ale nie mogła przez jakieś poczucie powagi. – Mimo to nie wszyscy wiedzieli. Trzymaliśmy to w tajemnicy, bo wiedzieliśmy, że nic dobrego z takiej wiedzy nie przyjdzie. Byłam tam po to, by ich chronić, a nie narażać na niebezpieczeństwo.

– Moja mała pieśniarka, tak, chronić. Bo po co obserwować mrówki w terrarium, skoro coś je może w każdej chwili zjeść. – Serce zaszumiało jakby z westchnieniem, imitującym tęsknotę. – Najgorsze jest to, że jesteś taka prymitywna.

Łucja zdusiła cichy jęk. Widziałem jak wzdłuż jej szyi pulsują mięśnie. Zaciskała z całej siły oczy i trzymała się za ramiona.

– Nawet nie sprawdziłam, czego tam się dowiedziałaś przez te dwie dekady, a Leszka pewnie już nie odzyskam. Pół wieku badań na marne.

No cóż, to nie będzie miało znaczenia, gdy w końcu nasz kolorowy pył ogarnie świat. To będzie piękna globalizacja, naprawdę. Będziemy żyć w jednej, wielkiej wiosce. Wy, ludzie i my, podróżnicy ze świata, o którym nawet nie możecie sobie śnić.

– Nie przekonuje cię to, że robisz nam krzywdę? – spytałem bezsilnie.

– Czy mnie porusza na poziomie moralnym? Owszem. Czy przesłanki są na tyle istotne, bym wam przyznała rację? Nie. Proszę cię tylko o jedno, Drozd, bo chyba nawet mi zależy. Nie myśl o nas źle. My naprawdę mamy inne spojrzenie na wszystko, a wy jesteście mniej niż mrówką, niosącą liść do kopca.

– Nawet nad taką mrówką warto się pochylić. Po co wam ciekawość świata, który niszczycie? Będziecie to robić tak długo, aż nie zostanie nic, czym warto się interesować?

– Ubodłeś mnie, Drozd. Chciałabym, żebyś rozumiał mój ojczysty język. Mogłabym wtedy jednym słowem opowiedzieć ci wszystko, co kiedykolwiek przeżyłam. Niestety, mamy tylko ten powolny, ograniczony język.

– Czy wszystko co robiłam, było bez znaczenia? – spytała Łucja, jakby nadal nie mogąc się pogodzić z tym, że jest na własnym sądzie ostatecznym. – Żyłam, wiesz? Mogę powtórzyć ci każdy dzień mojego życia. Może i nie poznałam prawdy, którą chciałaś, ale wybrałam jedną z wielu dróg, jakimi ciągnie się życie na tym świecie. Widziałam ludzi, którzy stąpali nisko, w mokrą czeluść, gdzie życie oddaje się za nieśmiertelność wspomnień. Widziałam, jak ludzie mierzą własne życie jak od linijki, a potem odbierają sobie cześć, nazywając się tylko sumą ich działań i wydarzeń. I wiem, że w tym dziwnym świecie zarówno ja, jak i ty, jesteśmy skazane na doświadczenie drobnego wycinka rzeczywistości, kawałek po kawałku, chwila po chwili, nie mogąc objąć wszystkiego jednocześnie. Dopiero wte-

dy, składając to wszystko, można stworzyć mozaikę, którą ty nazwałabyś prawdą, gdybyś tylko dała mi szansę.

Położyłem jej dłoń na ramieniu, bo na moment wszystkie pozory opadły i mogłem dostrzec, że mam przed sobą odsłoniętą, wrażliwą osobę. Że lata przetrwania, kultywowania narzędzi obrony tego świata i zbierania wiedzy, nie pomogły jej wytworzyć poczucia samej siebie i zostawiły bezbronną. W końcu, to było prawie dziecko, samotne i w ciemnym Lesie.

Łucja wtuliła się we mnie, łkając cicho. Jej ręce drżały, twarz naszła czerwienią, a po policzkach lały się łzy.

– Ja tak bym chciała żyć – szepnęła. – Ja nie chcę, żebyście wszyscy umarli, ja nie chcę wrócić w niebyt. Tam musi być coś więcej, nie mogę być tylko narzędziem, nie mogę być tylko kolejnym lichem z Lasu, nie pozwól mi, Drozd, nie pozwól mi.

– Spokojnie... Hej, nie płacz, Lusia. – Zacisnąłem zęby, kołysząc lekko jej głową. – Dla mnie nie jesteś tylko lichem. Jesteś osobą, wiesz? Dla mnie będziesz człowiekiem, a jeśli

na czymś się znam, to na ludziach. Popatrz na mnie, patrz na mnie.

Łucja cofnęła lekko głowę i na zmianę próbowała otworzyć i zamknąć powieki, nabiegłe wilgocią i zmytym brudem.

– Jesteś człowiekiem z Lasu.

Drzewo zaszumiało cicho, gałęzie zatarły o siebie i coś drgnęło w wielkiej koronie, podtrzymującej sklepienie Lasu. Przez moment nie mogłem pojąć, co się tak właściwie zmieniło. Było zupełnie tak, jakby zabrakło jednego elementu, który był zawsze, powietrza albo nieba. Dopiero wtedy zrozumiałem.

Pył przestał padać.

– Szkoda by było, gdyby gwiazdy błyszczały najpiękniej właśnie w czasie spadania – odezwało się nagle Serce, twardym i nieprzeniknionym

głosem, złożonym z tysięcy ech. – Nie przekonałeś mnie, Jerzy Droździe… Ale mimo to zmieniłam zdanie, nieznacznie. Jestem cierpliwa, bardziej niż umiecie sobie to wyobrazić. Janus, zamknij drzwi.

Posągowa sylwetka człowieka z głową jelenia przez cały ten czas była absolutnie bezgłośna, sztywna i posłuszna, zupełnie jak narzędzie. Może właśnie to, że była w tym tak niepodobna do Łucji, wpłynęło na zdanie Serca? Janus zniknął nagle, rozpłynął się w powietrzu, zostawiając po sobie jedynie zawirowanie światła w przestrzeni, ale zaraz i to zniknęło bez śladu.

– Wracamy do domu? – spytałem, patrząc na zapłakaną Łucję.

– Absolutnie nie – przerwało mi Serce. – Mogłeś nie zrozumieć, więc powiem to dobitnie, tak żebyś miał świadomość. Ona zostaje tutaj, by przekazać mi wszystkie odczyty. Jeśli nie uznam, że badania mają dalszy sens w tej formie, to będziesz o tym wiedział.

– Pył wróci – stwierdziłem gorzko. – A jeśli odkryjesz w tym sens?

– To nigdy się tego nie dowiecie. Może kiedyś wyślę kolejną sondę, a może nigdy już nie będę obserwować was za waszego życia. Jej zadanie kończy się tu i teraz.

– Ona ma rodzinę – powiedziałem.

– Ma właściciela, stwórcę, Boga, nazywaj to jak chcesz, ale ja mam do niej prawo. Dla mnie jest narzędziem, niezależnie od tego, czy podzielasz moje zdanie.

– Oby się udało – szepnęła Łucja, uspokojając się nieco i łapiąc mnie za dłoń. – To wciąż trochę więcej czasu, a to więcej, niż mogłabym mieć bez twojej pomocy. Nie zapomnę o tym, że istniałeś.

Skrzywiłem się, widząc, jak moje spękane dłonie zostawiają na jej palcach brudne, szare ślady. Ona w odpowiedzi chwyciła mnie mocniej i zrobiła krok, wyprowadzając moją stopę do tyłu. Zaraz zrobiła drugi krok w

bok. Dopiero po chwili złapałem rytm prostego tańca, który odbijał się stuknięciami podeszew.

– Mówiłam ci kiedyś, Drozd, że będziesz się oddalał. A teraz w końcu odchodzisz. Mimo wszystko ja uważam, że było warto. Przykro mi, że nie mogłam ci tego wszystkiego powiedzieć wcześniej. Wy ludzie, jesteście naprawdę delikatni i trudni do zrozumienia.

– My ludzie – poprawiłem.

Łucja skinęła lekko głową, uśmiechając się i nachyliła usta do mojego ucha, by szepnąć krótko.

– Tam jest głodny świat, Drozd. – Zacisnęła paznokcie na mojej szyi. – Jest wielu, którzy chcieliby zyskać to, co przywieźli ze sobą przybysze. Nie daj im tego zdobyć, nie wiesz, do czego są zdolni.

– Dam sobie radę – odpowiedziałem, czując, że świat traci barwy, a ja odpływam.

– Tańcz na gałęzi świata, śpiewaj swoje pieśni, nie daj się złapać. A jeśli wszystko się uda, znajdź mnie.

Epilog

– Kiedy wchodzisz do Lasu, przestajesz być sam we własnej głowie. Oprócz ciebie jest jeszcze intruz z obcego świata. Możesz mówić o nim bóg, przybysz albo halucynacja, ale nazwanie wcale go nie obłaskawi. Nie możesz ocenić Lasu. Ma on swoją moralność, która została ukształtowana w wymiarze tak niedostępnym dla twojego zrozumienia, że jakakolwiek próba poznania jest z góry skazana na klęskę. Możesz tylko przestrzegać nowych, wspólnych tradycji, odprawiać rytuały dla samego siebie i krzyczeć do szumiącego matecznika, by cokolwiek drzemie w jego sercu, wiedziało: jestem człowiekiem, a to moja pieśń, bo tylko bestie nie mają swoich pieśni.

Doktor Jerzy Drozd spojrzał mętnym wzrokiem na pożytek, leżący na przykrytym kurzem stole. Roślina przypominała kwiat o sierpowatym kielichu białego koloru, po drugiej stronie korzenie były już fioletowe.

– Chociaż i tak człowiek patrzy na to wszystko i nic nie rozumie, z pieśniami czy tam bez żadnych pieśni – odezwał się w końcu Pień, klepnął w kolana i zaczął podnosić z rozchwianego krzesła. – Długo mnie szukałeś?

Drozd skrzywił się nieznacznie, zachwiał, próbując coś gestykulować i położył twarz na blacie. Przez moment po prostu dyszał ciężko, nasłuchując i wciągając rozchodzący się po izbie dym. Wszystko było skąpane w blasku ostatnich promieni słońca, które schowało się pod horyzontem.

– Dekadę, wszystko na marne.

– Ale ty się mazgajowaty zrobiłeś – prychnął Pień, rozprostowując pokryte bliznami ręce. – Jeszcze żebyś ty miał powód. Chaty sam nie musiałeś budować, tylko ukradłeś, co wyhodujesz to twoje, żyć nie umierać.

Zabrzmiał łoskot przewracanego stołka. Drozd legł na podłodze i przez chwilę nieudolnie próbował wstać. W pewnym momencie po prostu

położył się na plecach i wbił wzrok w pokryty napisami i węglowymi malunkami sufit. Czaszki różnych stworzeń i portrety mieszały się w mozaice wydarzeń.

– Czasami słyszę, jak bije – szepnął Drozd, drapiąc deski podłogi. – Bum, bum, bum pod ziemią, ciemne ziarno przyczyny, bum, bum, bum. Myślałem, że coś ciągnie mnie w dal, w nieznane, ale to nieprawda, Pień… Mnie ciągnie w dół, zawsze w dół.

Doktor zerwał się z trudem z podłogi i zbliżył do zabitych deskami okien, przewracając się po drodze o rozrzucone graty po dzięciole. Przyłożył oko do barykady i spojrzał na ciemniejący wschód. Na wzgórzu otoczonym ciemnymi sosnami, stał wysoki, kamienny maszt, przyozdobiony długimi wstęgami i kościanymi ornamentami. Dookoła tego unosiły się trzy gargantuiczne meduzy, utkane z dymiących cieni. Łby tych stworzeń przypominały ogromne, sine gałki oczne o pionowych, oranżowych źrenicach.

Nagle wszystkie trzy stwory skierowały wzrok w kierunku domu i jego mieszkaniec odlepił wzrok od szyby, by schować się pod ścianą. Przyłożył palec do ust i zamarł w bezruchu, czekając.

Przed nim usiadł drobny drozd, przyglądając się otoczeniu z zaciekawieniem.

– Popatrz na to, Pień – odezwał się nieobecnym głosem Jerzy. – Ciekawi mnie, czy jest prawdziwy?

Lista patronów

Jan Lutze
Paul Troffke
Rafał Krzyżanowski
Michał Misztal
Kamil Szyłkiewicz
Wirginia Jankowska
Wiktor Ordon
Damian Kurek
Marcin Ostoja-Hełczyński
Barry Lidders
Michał Nowak
Adam Orlicki
Anna Myszkier
Sebastian Wójcik
Katarzyna Gabrysz
Rafał Rogoziński
Janek Buszkiewicz
Grzegorz Dombrowski
Barbara Konopka
Weronika Jaśkiewicz
Jakub Pierzak
Jakub Rogala
Jan Guzik
Cyprian Perepeczo
Michał Lipski

Mateusz Wyszyński
Jacek Kloss
Marcin Gepner
Karol Szewczyk
Kate Turwon
Damian Bociek
Ania Jędrowiak
Ada Benio
Filip Siuda
Wojciech Dąbek
Miłosz Dunikowski
Krzysztof Negacz
Julia Podgórska
Kacper Jaśkiewicz
Edmund Kukowski
Damian Kurek
Michał Orzołek
Tomek Kisiel
Jakub Hukiewicz
Paweł Etmański
Maciej Knap
Mikołaj Roszczyk
Stomolko Connor
Kaźno De
Dorota Dzikowska